

John Twelve Hawks:

„Napisałem **Travelera**, bo ciągle wierzę w honor.
I w odwagę. I w miłość”.

PRELUDIUM

Rycerz, śmierć i diabeł

Maya wzięła ojca za rękę, kiedy wychodzili z podziemi na światło. Thorn nie odepchnął jej. Nie kazał też, aby skoncentrowała się na utrzymaniu prawidłowej postawy. Z uśmiechem na twarzy prowadził ją wąskimi schodkami w stronę długiego, pochylonego tunelu o ścianach wyłożonych białymi płytkami. Po jednej stronie wmontowano stalowe pręty. Z powodu tej bariery zwykle przejście wyglądało jak część gigantycznego więzienia. Gdyby Maya była sama, zapewne czułaby się jak w pułapce, ale obok był ojciec, nie miała się więc czego obawiać.

To cudowny dzień, pomyślała. Być może nawet drugi najcudowniejszy dzień w jej życiu. Wciąż miała w pamięci chwile sprzed dwóch lat, gdy ojciec spóźnił się na jej urodziny i Boże Narodzenie. Pojawił się dopiero w drugi dzień świąt, zajeżdżając taksówką wypełnioną prezentami dla niej i dla matki. Ranek ten był radosny i pełen niespodzianek, ale dzisiejsza sobota zapowiadała się jeszcze bardziej obiecująco. Tym razem nie pojechali, jak zawsze, do opuszczonego magazynu w pobliżu Canary Wharf, gdzie ojciec odśpiewał jej tajniki sztuki zadawania ciosów nogami i rękoma albo uczył posługiwać się bronią. Zamiast tego spędzili dzień w londyńskim zoo. Ojciec opowiadał różne historie o każdym ze zwierząt. Zwiedził świat wzdłuż i wszerz, potrafił więc rozprawiać o Paragwaju lub Egipcie tak, jakby był przewodnikiem wycieczek.

Ludzie przyglądali się im, gdy przechodzili od jednej klatki do drugiej. Większość Arlekinów usiłowała rozply-

nać się w tłumie, ale jej ojciec zdecydowanie wyróżniał się wśród zwykłych obywateli. Był z pochodzenia Niemcem, miał mocno zarysowany nos, włosy do ramion i ciemnoniebieskie oczy. Nosił ubrania w posępnych kolorach, a na rękę stalową bransoletę *kara*, przypominającą pęknięte kajdanki.

W szafie wynajmowanego przez nich we wschodnim Londynie mieszkania Maya znalazła postrzępioną książkę o historii sztuki. Na jednej z pierwszych stron zamieszczono w niej reprodukcję miedziorytu *Rycerz, śmierć i diabeł* autorstwa Albrechta Diirera. Lubiła wpatrywać się w ten wizerunek, chociaż budził w niej dziwne odczucia. *Zbrojny rycerz*, podobny do *jej* ojca, dzielny i opanowany, jechał konno przez góry, śmierć trzymała w dłoniach klepsydrę, a diabeł udawał giermka. Thorn również nosił miecz, ale ukrywał go w metalowej tubie przywiązanej do skórzanego pasa.

Choć właściwie była dumna z Thorna, to jednak czasem czuła się zażenowana i zakłopotana. Chwilami pragnęła być zwyczajną dziewczyną, córką zażywnego jegomościa pracującego w biurze - szczęśliwego człowieka, który zafundował jej lody i opowiadał dowcipy o kangurach. Świat wokół niej, wypełniony krzykliwą modą, muzyką pop i telewizyjnym show, stanowił nieustanną pokusę. Pragnęła wskoczyć do tej cieplej toni i dać się ponieść nurtowi. Bycie córką Thorna męczyło ją, gdyż wiązało się z koniecznością nieustannego unikania inwigilacji ze strony Rozległej Sieci, ciągłego wypatrywania wrogów i przewidywania, skąd może nadejść atak.

Miała już dwanaście lat, ale nie dysponowała jeszcze dostateczną siłą, aby posługiwać się mieczem Arlekinów. Zamiast niego ojciec wyciągnął z szafy laskę i wręczył jej tego ranka, zanim wyszli z mieszkania. Po ojcu odziedziczyła biały kolor skóry oraz mocne rysy, po sikhijskiej matce gęste, kruczoczarne włosy. Jej niebieskie oczy były tak jasne, że pod pewnym kątem wydawały się niemal przezroczyste. Nienawidziła chwil, kiedy pełne najlepszych intencji kobiety

podchodziły do matki i prawyły komplementy na temat jej urody. Za kilka lat będzie wystarczająco dorosła, żeby zmienić stroje i wyglądać możliwie pospolicie i zwyczajnie.

Po wyjściu z zoo ruszyli spacerowym krokiem przez Regent's Park. Był koniec kwietnia, młodzi mężczyźni ganiali za piłką na zabłoconej murawie, rodzice popychali wózki z opatulonymi niemowlakami. Można było odnieść wrażenie, że całe miasto cieszy się słońcem po trzech deszczowych dniach. Linią metra Picadilly dojechali do stacji Arsenał. Zaczynało się ściemniać, gdy doszli do wyjścia na ulicę. W Finisbury Park znajdowała się indyjska restauracja, w której Thorn zamówił stół na wczesną kolację. Do uszu Mai dobiegły hałasy - głośne trąbienie piszczałek i krzyki w oddali. Pomyślała, że to jakaś polityczna demonstracja. Przeszła za ojcem przez bramkę metra na zewnątrz i znalazła się w samym środku wojny.

Stojąc na chodniku, widziała gęsty tłum ludzi maszerujących Highbury Hill Road. Nie nieśli ze sobą transparentów ani flag, co pozwoliło Mai zrozumieć, że ogląda właśnie zakończenie meczu piłki nożnej. Przy tej samej ulicy znajdował się stadion Arsenálu, na którym jeszcze przed chwilą zespół w biało-niebieskich strojach - Chelsea - rozgrywał mecz. Kibice tej drużyny wychodzili przeznaczoną dla gości bramą po zachodniej stronie stadionu i szli ulicą między stojącymi po obu stronach szeregowymi domami. Od stacji metra dzielił ich krótki odcinek, którego pokonanie zwykle trwało chwilę, lecz teraz ulica przypominała klasyczną „ścieżkę zdrowia”. Policja chroniła kibiców Chelsea przed agresją fanów Arsenálu, którzy próbowali ich atakować i sprowokować do bójki.

Policjanci rozdzielali przeciwników, idąc po obu stronach biało-niebieskiego środka. Czerwoni rzucali butelkami i usiłowali przedrzeć się przez kordon. Zaskoczeni przez czoło pochodu przechodnie wskakiwali między zaparkowane samochody i przewracali kubły ze śmieciami. Różowe kwiaty,

którymi były obsypane rosnące wzdłuż krawężnika krzewy głogu, drżały za każdym razem, gdy ktoś w nie wpadał. Płatki wirowały w powietrzu i opadały na wezbraną ludzką masę.

Kolumna zmierzała ku stacji metra, oddalonej o jakieś sto metrów. Thorn mógł ruszyć w lewo w Gillespie Road, pozostał jednak na chodniku i obserwował ludzi gromadzących się wokół nich. Uśmiechał się lekko, pewien własnej siły, bawiąc się daremną agresją chuliganów. Oprócz miecza miał zwykle przy sobie co najmniej jeden nóż oraz krótką broń palną, zdobytą dzięki kontaktom w Ameryce. Gdyby tylko chciał, pozbawiłby życia wielu spośród tych ludzi, ale ta konfrontacja miała charakter publiczny i uczestniczyła w niej policja. Maya zerknęła na ojca. *Powinniśmy uciekać*, pomyślała. Motłoch całkowicie oszalał. Thorn jednak skarcił córkę gniewnym spojrzeniem, jakby wyczuł jej strach. Dziewczynka nie wydała z siebie głosu.

Wszyscy wokół krzyczeli. Ich wrzaski zlały się w jeden rozwścieczony ryk. Maya usłyszała przenikliwe wycie. Był to odgłos policyjnych syren. W powietrzu śmignęła butelka po piwie i rozbiła się w drobny mak tuż obok miejsca, w którym oboje stali. Nagle ruchomy klin czerwonych koszulek i szalików przedał się przez policyjny kordon i dostrzegła, jak mężczyźni w tłumie zadają sobie ciosy pięściami i kopniaki. Po twarzy jednego ze stróżów prawa popłynęła krew, zdołał jednak podnieść pałkę i ponownie podjął walkę.

Ścisnęła kurczowo dłoń ojca.

- Idą w naszym kierunku - powiedziała. - Musimy zejść im z drogi.

Thorn obrócił się i pociągnął córkę do tyłu, w kierunku wejścia do stacji metra, jakby chciał tam znaleźć schronienie. Ale teraz policjanci pędzili fanów Chelsea niczym stado bydła, a dziewczynkę otoczyli ludzie ubrani na niebiesko. Maya i ojciec, osaczeni przez tłum, zostali przepchnięci obok kasy biletowej, w której za grubą szybą siedział skulony ze strachu staruszek kasjer.

Thorn przeskoczył przez bramkę, w ślad za nim uczyniła to Maya. Znaleźli się ponownie w długim tunelu prowadzącym na perony, do pociągów. *Wszystko w porządku, pomyślała. Już jesteśmy bezpieczni.* Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że ludzie w czerwonych barwach również zdołali przedostać się do tunelu i biegli teraz obok nich. Jeden z nich niósł czerwoną skarpetę wypełnioną czymś ciężkim - kamieniami, może kulkami z łożyska - i zamachnął się nią niczym maczugą w kierunku starszego mężczyzny, który akurat znalazł się pod ręką. Rozbił mu okulary i rozkwaślił nos. Banda oprychów Arsenalu przyparła kibica Chelsea do stalowych barierek po lewej stronie tunelu. Ofiara napaści, kopana i bita, usiłowała wyrwać się z matni. Krwi było coraz więcej. I żadnego policjanta w pobliżu.

Thorn chwycił Mayę za kurtkę i wywlócił ją poza zasięg walczących. Jeden z chuliganów chciał ich zaatakować, ale ojciec powstrzymał go, wymierzając szybki i skuteczny cios prosto w gardło. Dziewczynka ruszyła w dół tunelu, próbując dobiec do schodów. Jednak zanim zdołała zrobić krok, coś przypominającego linę owinęło się wokół jej ramion i piersi. Spojrzała w dół i zobaczyła, że Thorn obwiązuje jej ciało biało-niebieskim szalikiem Chelsea.

W ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że ten dzień spędzony w ogrodzie zoologicznym, wesołe opowiadki oraz wyprawa do restauracji stanowiły część planu. Ojciec wiedział o meczu i prawdopodobnie był tu wcześniej, żeby sprawdzić czas przybycia band kibiców. Zerknęła nad ramieniem, dostrzegła uśmiech Thorna i potakujące kiwnięcie głową, jakby opowiadał kolejną zabawną historię. Później odwrócił się i odszedł.

Maya obróciła się na pięcie, gdy trójka fanów Arsenalu ruszyła z krzykiem w jej stronę. *Nie myśl. Reaguj.* Dźgnęła laską niczym oszczepem i okuty stała koniec trafił z chrupotem w czoło najwyższego z mężczyzn. Krew trysnęła strugą z jego głowy i zaczął się osuwać, ale Maya już się odwracała

aby ugodzić drugiego z napastników. Gdy ten odchylił się do tyłu, wyskoczyła wysoko i kopnęła go w twarz. Okręcił się i upadł na posadzkę. Dostał - i to solidnie. Doskoczyła i poprawiła kolejnym kopniakiem.

Gdy odzyskała równowagę, trzeci z mężczyzn chwycił ją od tyłu, uniósł nad ziemię i ścisnął z całych sił, usiłując złamać jej żebra. Maya upuściła laskę, wyciągnęła obie ręce do tyłu i złapała bandziora za uszy. Napastnik wrzasnął, gdy przerzuciła go przez ramię i rozciągnęła na ziemi.

Wreszcie dobiegła do schodów i pokonała je, przeskakując po dwa stopnie. Po chwili ujrzała ojca stojącego na peronie obok otwartych drzwi pociągu. Chwycił ją prawą ręką, a lewą torował drogę do wnętrza wagonu. Drzwi rozsuwały się i zasuwwały, aż w końcu się zamknęły. Kibice Arsenału dopędzili pociąg, walili pięściami w szyby, ale wagony ruszyły z miejsca i zagłębiły się w tunelu.

Wewnątrz panował ścisk. Maya słyszała chlipiącą kobietę, stojący przed nią chłopiec przykładał chusteczkę do rozbitych warg i nosa. Wagon wszedł w łuk, siła bezwładu pchnęła ją na ojca. Ukryła twarz w jego wełnianym płaszczu. Nienawidziła go i kochała, pragnęła uderzyć go, a zarazem przytulić się do niego - wszystko naraz. *Tylko nie płacz*, powiedziała do siebie w duchu. *On cię obserwuje. Arlekini nie płaczą*. Przygryzła dolną wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi.

1

Maya wylądowała na lotnisku Ruzyně późnym popołudniem. Do centrum Pragi dojechała wahadłowym autobusem. Wybór środka transportu był w pewnym sensie wyrazem buntu. Arlekin wynająłby auto z wypożyczalni albo złapał taksówkę. W taksówce zawsze można podciąć kierowcy gardło i zapanować nad sytuacją. Samolot i autobus były wyborem ryzykownym; stanowiły pułapkę o ograniczonej liczbie wyjść.

Nikt nie ma zamiaru pozbawić mnie życia, pomyślała. Nikomu na tym nie zależy. Travelerzy mieli wrodzoną moc, Tabulowie zaś dążyli do zgładzenia każdego członka ich rodu. Arlekin bronili Travelerów oraz ich nauczycieli, Przewodników, ale była to ich dobrowolna decyzja. Potomek Arlekina mógł zrezygnować z drogi miecza, przybrać zwykłe nazwisko i znaleźć swoje miejsce w Rozległej Sieci. Trzymając się z dala od kłopotów, mógł liczyć na to, że Tabulowie pozostawią go w spokoju.

Kilka lat temu Maya złożyła wizytę Johnowi Mitchellowi Kramerowi, jedynemu synowi Greenmana, brytyjskiego Arlekina, który zginął w Atenach od bomby podłożonej przez Tabulów w samochodzie. Kramer prowadził hodowlę trzody chlewnej w Yorkshire, miała więc okazję zobaczyć go, jak brnie mozolnie przez gnój z wiadrami paszy dla swoich kwiczących podopiecznych.

- Oni wiedzą tylko tyle, że nie przekroczyłaś jeszcze granicy - powiedział. - To twój wybór, Mayu. Zawsze możesz odejść i wieść normalny żywot.

Maya zdecydowała, że stanie się Judith Strand, młodą kobietą, która zaliczyła kilka seminariów z dziedziny wzornictwa przemysłowego na Uniwersytecie Salford w Manchesterze. Przeniosła się do Londynu i podjęła pracę asystentki w firmie projektanckiej. Po pewnym czasie zaproponowano jej zatrudnienie na pełny etat. Na trzy lata spędzone w mieście złożyła się nieustanna walka z własnymi słabościami oraz kilka drobnych zwycięstw. Wciąż miała w pamięci ten pierwszy raz, kiedy wyszła z mieszkania bez broni. Nie mogła obronić się przed Tabularni, czuła się słaba i zagrożona. Odniosła wrażenie, że na ulicy wszyscy ją obserwują - każdy, kto się zbliżył, był potencjalnym zamachowcem. Spodziewała się rażenia kulą lub ciosem sztyletem, nic się jednak nie stało.

Stopniowo wychodziła na coraz dłużej, testując nowe podejście do świata. W szybach sklepowych witryn przestała już szukać odbić prześladowców idących jej tropem. Kiedy siedziała z nowymi przyjaciółmi w restauracji, nie ukrywała broni po kieszeniach i przestała siadać plecami do ściany.

W kwietniu naruszyła jedną z głównych zasad Arlekinów i zaczęła odwiedzać psychiatrę. W Bloomsbury, w pokoju pełnym książek, odbyła pięć kosztownych sesji. Chciała rozmawiać o swoim dzieciństwie i pierwszej zdradzie na stacji metra Arsenał, okazało się to jednak niemożliwe. Doktor Bennett był schludnym, drobnym mężczyzną o nadzwyczaj głębokiej wiedzy na temat win oraz starej porcelany. Wciąż jeszcze pamiętała jego zaskoczenie, gdy nazwała go „obywatelem”.

- Z pewnością jestem obywatelem - oznajmił. - Urodziłem się i wychowałem w Wielkiej Brytanii.

- To tylko etykieta, którą posługuje się mój ojciec. Dziewięćdziesiąt pięć procent populacji to obywatele albo trutnie.

Doktor Bennett zdjął okulary w poślacanych oprawkach i przetarł szkła zieloną flanelką.

- Mogłaby to pani wyjaśnić dokładniej?

- Obywatele są kategorią ludzi, którym się wydaje, że rozumieją to, co dzieje się w świecie.

- Nie wszystko rozumiem, Judith. Nigdy bym tak nie powiedział. Ale orientuję się dobrze w bieżących wydarzeniach. Każdego ranka, gdy ćwiczę na ruchomej bieżni, oglądam telewizyjne wiadomości.

Maya zawahała się, po chwili zdecydowała się jednak powiedzieć prawdę.

- Fakty, które pan zna, są w przeważającej większości iluzją. Prawdziwe zmagania, mające wpływ na historię, rozgrywają się pod powierzchnią.

Doktor Bennett uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Proszę mi opowiedzieć o trutniach.

- Trutnie są ludźmi do tego stopnia obezwładnionymi walką o przetrwanie, że nie są świadomi niczego poza tym, co dzieje się w ich codziennej krzątaninie.

- Czy ma pani na myśli ubogich i nędzarzy?

- Mogą być biedni albo należeć do trzeciego świata, ale wciąż dysponują zdolnością dokonania transformacji. Ojciec zwykł mawiać: „Obywatele ignorują prawdę, a trutnie są za bardzo zmęczeni”.

Psychiatra nasunął okulary na nos i sięgnął po swój notes.

- Być może będziemy musieli porozmawiać o pani rodzicach.

Na tym terapia się zakończyła. Cóż bowiem mogła opowiedzieć o Thornie? Jej ojciec był Arlekinem, który przeżył pięć prób zamachów podjętych przez Tabulów. Cechowały go duma, bezwzględność, męstwo i brawura. Matka pochodziła z rodziny Sikhów, powiązanej z Arlekinami od kilku pokoleń. Aby uczcić jej pamięć, Maya nosiła na prawym nadgarstku bransoletkę *kara*.

Pod koniec tego lata obchodziła dwudzieste szóste urodziny. Koleżanka z pracy zabrała ją na zakupy do zachodniej dzielnicy. To wtedy Maya kupiła sobie kilka modnych ciuchów w żywych, jaskrawych kolorach. Zaczęła też oglądać

telewizję i nawet starała się uwierzyć w to, co podawały wiadomości. Bywały chwile, że czuła się szczęśliwa, powiedzmy - prawie szczęśliwa, i pogodziła się z nieustannym rozpraszaniem uwagi przez Rozległą Sieć. Sieć, która co chwilę podsuwała jakiś nowy powód do obaw albo nowy produkt, który każdy chciał kupić.

Chociaż przestała nosić broń, od czasu do czasu odwiedzała szkołę kickboxingu w południowym Londynie, gdzie staczała sparingowy pojedynek z instruktorem. We wtorki i czwartki uczęszczała na zajęcia dla zaawansowanych w akademii kendo, ćwicząc walkę z użyciem bambusowego miecza *shinai*. Maya tłumaczyła sobie, że tylko dokłada starań, aby utrzymać się w formie, podobnie jak inni pracownicy jej firmy, którzy uprawiali jogging albo grywali w tenisa. W głębi duszy wiedziała jednak, że jest to coś więcej. Podczas walki człowiek oddaje się całkowicie chwili, koncentrując się na własnej obronie i pokonaniu przeciwnika. Nic z tego, co robiła w prywatnym życiu, nie mogło się równać z intensywnością tych przeżyć.

Teraz przyjechała do Pragi, żeby zobaczyć się z ojcem. Z pełną mocą powróciły dobrze znane, towarzyszące Arlekinom paranoiczne rojenia. Kupiła bilet w kiosku na lotnisku, wsiadła do autobusu i zajęła miejsce z tyłu. Nie była to korzystna pozycja obronna, ale nie zamierzała się tym przejmować. Obserwowała starszą parę oraz grupę niemieckich turystów, jak wchodzi do autobusu i układają bagaże. Starła się rozproszyć skupienie, kierując myśli ku Thornowi, ale nad jej ciałem zapanował instynkt, który zmusił ją do wybrania innego miejsca, w pobliżu wyjścia awaryjnego. Pokonana przez wytrenowany nawyk, przepełniona wściekłością zacisnęła dłoń i na siłę skierowała wzrok w stronę okna.

Gdy wyjeżdżali z terminalu, zaczynało mżyć. Kiedy dojeżdżali do centrum, lało już na dobre. Praga rozciągała się po obu stronach rzeki, ale wąskie uliczki i budynki z szarego

kamienia sprawiły, że czuła się jak w wielkim labiryncie. Wmieście było mnóstwo katedr i pałaców, a ich smukłe wieże strzelały prosto w niebo.

Na przystanku autobusowym musiała dokonać wyboru. Mogła pójść do hotelu piechotą albo machnąć ręką na przejeżdżającą taksówkę. Wróbel, legendarny japoński Arlekin, napisał kiedyś, że prawdziwy wojownik powinien „kultywować przypadkowość”. W kilku słowach ujął cały system filozoficzny. Arlekin musiał odrzucić ogłupiającą rutynę i wygodne przyzwyczajenia. Powinien prowadzić życie zdyscyplinowane, ale nie obawiać się zaburzeń i chaosu.

Padła deszcz. Maya przemokła do suchej nitki. Najbardziej oczywistym krokiem było skorzystanie z taksówki czekającej przy chodniku. Wahała się przez chwilę, uznała jednak, że postąpi jak zwyczajny obywatel. Trzymając kurczowo bagaże w jednej ręce, mocnym szarpnięciem otworzyła drzwi taksówki i usiadła na tylnym siedzeniu. Kierowca był przysadzistym, brodatym mężczyzną o niskim wzroście i wyglądzie trolla. Podała nazwę hotelu, ale mężczyzna nie zareagował.

- Chodzi o hotel Kampa - powiedziała po angielsku. - Czy ma pan jakiś problem?

- Żadnego - odparł kierowca i wjechał na pas ruchu.

Hotel Kampa był dużym, czteropiętrowym budynkiem z zielonymi markizami. Jego zwarta konstrukcja budziła zaufanie. Znajdował się przy uliczce wyłożonej kocimi łbami, tuż obok mostu Karola. Maya zapłaciła taksówkarzowi, kiedy jednak chciała otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte.

- Otwórz te cholerne drzwi.

- Przepraszam najmocniej, *madame* - troll nacisnął przycisk i zamek otworzył się z kliknięciem. Uśmiechając się, obserwował, jak Maya wychodzi z taksówki.

Poleciła portierowi zanieść bagaże do recepcji. Ponieważ zamierzała zobaczyć się z ojcem, uważała, że powinna nosić

przy sobie zwykły oręż. Broń była ukryta w trójnożnym statywie kamery wideo. Jej wygląd nie zdradzał, jakiej jest narodowości, portier przemówił więc do niej po angielsku i francusku. Wybierając się w podróż do Pragi, zrezygnowała z kolorowych ubiorów kupionych w Londynie. Miała na sobie botki z krótką cholewką, czarny sweter oraz luźne spodnie w szarym kolorze. Był to styl typowy dla Arlekinów, oparty na ciemnych, kosztownych tkaninach oraz ubraniach szytych na miarę. Nie wchodziły w grę obcisłe stroje ani krzykliwe kolory. Nic, co mogłoby spowolnić ruchy podczas walki.

W holu znajdowały się klubowe fotele oraz małe stoliki. Na ścianach wisiały wyblakłe gobeliny. W położonej z boku kawiarni grupka starszych kobiet raczyła się herbatą, rozmawiając nad tacą z ciastem. Przy ladzie recepcji hotelowy boy przyglądał się futerałom na statyw i kamerę wideo; sprawiał wrażenie zadowolonego. Jedna z zasad Arlekinów głosiła, że zawsze trzeba mieć gotowe wytłumaczenie, kim się jest oraz co się robi w danym miejscu. Sprzęt wideo był raczej oczywistym rekwizytem. Portier i boy pomyśleli zapewne, że jest kimś w rodzaju filmowca.

Wynajęty przez nią apartament znajdował się na trzecim piętrze; był ciemny i pełen imitacji wiktoriańskich lamp oraz tapicerowanych mebli. Jedno z okien wychodziło na ulicę, drugie na restaurację ulokowaną w hotelowym ogrodzie. Wciąż jeszcze padało i restauracja była zamknięta. Parasole w paski przy stolikach nasiąkły wodą, oparte o okrągłe stoliki krzesła przywoływały skojarzenie ze zmęczonymi żołnierzami. Maya zajrzała pod łóżko i znalazła mały powitalny podarunek od ojca - pięćdziesiąt metrów liny używanej do wspinaczki, zakończonej hakiem. Gdyby do drzwi zapukał ktoś niepowołany, mogła wyjść przez okno i zniknąć z hotelu w niespełna dziesięć sekund.

Zdjęła płaszcz, ochlapała twarz wodą, a następnie położyła trójnog na łóżku. Pracownicy ochrony lotniska przy bramce kontrolnej poświęcili dużo czasu na zbadanie tajni-

ków kamery i kilku obiektywów Prawdziwa broń znajdowała się jednak w trójnożnym statywie. Jedna z nóg kryła dwa noże. Pierwszy, specjalnie wyważony, służył do rzucania, drugi - sztylet - do dźgania. Włożyła je do pochew i wsunęła pod elastyczny bandaż owinięty wokół przedramion. Ostrożnie podwinęła do góry rękawy swetra i obejrzała się w lustrze. Sweter był na tyle luźny, by biała broń stała się niezauważalna. Maya skrzyżowała nadgarstki, wykonała szybki ruch ramionami i w jej prawej dłoni znalazł się nóż.

Klinga miecza znajdowała się w drugiej nodze statywu. Trzecia noga stanowiła schowek na rękojeść oraz jelec chroniący rękę. Maya połączyła elementy. Jelec miał trzpień, który można było przesuwac na boki. Gdy wychodziła z mieczem na ulicę, garda była ustawiona równolegle do główki, dzięki czemu na całej długości broń leżała w linii prostej. Jeśli zachodziła potrzeba podjęcia walki, przestawiało się jelec do właściwej pozycji.

Oprócz trójnogu i kamery Maya miała też ze sobą metalową tubę długości czterech stóp, z paskiem na ramię. Tuba sprawiała niejasne wrażenie schowka na przybory, które artysta zabiera ze sobą do studia. Podczas poruszania się po mieście służyła za pochwę dla miecza. Maya potrafiła wydobyć go w ciągu dwóch sekund, kolejną sekundę zajmowało przygotowanie ataku. Kiedy była nastolatką, ojciec nauczył ją posługiwania się mieczem, później doskonaliła umiejętności techniczne na zajęciach kempo prowadzonych przez japońskiego instruktora.

Arlekinów szkolono również w użyciu broni krótkiej i karabinów szturmowych. Ulubionym orężem Mai była bojowa strzelba śrutowa kaliber 12 z uchwytem pistoletowym. Stosowanie staromodnego miecza obok nowoczesnych rodzajów broni było dozwolone - i wysoko cenione - jako element arlekińskiego stylu. Broń palna stanowiła zło konieczne, ale miecze pochodziły z innej epoki i nie poddawały się inwigilacji ani kontroli zawilej, monitorującej Sieci.

Ćwiczenia z mieczem doskonaliły równowagę, uczyły zasad strategii oraz pozbawiały skrupułów. Miecz Arlekinów, na podobieństwo sikhijskiej szabli *kirpan*, stanowił ogniwo łączące każdego wojownika z duchowym obowiązkiem i rycerską tradycją.

Thorn był przekonany, że używanie mieczy miało również przyczyny natury praktycznej. Ukryte w jakimś spręcie, na przykład w trójnogu, dawały się przemycić przez kontrolę bezpieczeństwa na lotniskach. Miecz był bronią cichą, krył w sobie również element tak dużego zaskoczenia, że użyty wobec niczego się niespodziewającego przeciwnika wywoływał u niego szok. Maya wyobraziła sobie atak. Najpierw pozorowane natarcie na głowę nieprzyjaciela, następnie wypad do dołu i cięcie w bok kolana. Niewielki opór. Pękająca kość i chrząstka. Czyjaś noga zostaje odcięta.

Wśród zwojów liny dostrzegła brązową kopertę. Rozerwała ją i przeczytała adres oraz wyznaczony czas spotkania. Godzina siódma wieczór. Plac Betlemske Namesti na Starym Mieście. Położyła miecz na kolanach, zgasła wszystkie światła i podjęła próbę medytacji.

Przed oczyma jej wyobraźni przepływały różne obrazy. Były to wspomnienia jedynej walki stoczonej samodzielnie jako Arlekin. Miała wtedy siedemnaście lat. Ojciec zabrał ją do Brukseli, gdzie miał ochraniać podróżującego po Europie buddyjskiego mnicha. Mnich był Przewodnikiem, jednym z duchowych nauczycieli, którzy potrafili pokazać potencjalnym Travelerom, jak się przechodzi z jednego wymiaru do drugiego. Chociaż Arlekini nie składali przysięgi, że będą za wszelką cenę bronić Przewodników, pomagali im, kiedy tylko mogli. Mnich był wybitnym nauczycielem i dlatego znalazł się na liście śmierci Tabulów

Tamtego wieczoru w Brukseli ojciec Mai oraz jego francuski przyjaciel, Linden, strzegli hotelowego apartamentu mnicha. Jej polecono pilnować wejścia do służbowej windy w podziemiach. Kiedy nadeszło dwóch tabulskich najem-

ników, nie było nikogo, kto mógłby przyjść jej z odsieczą. Jednego postrzeliła z automatu w gardło, drugiego zarąbała na śmierć mieczem. Krew zbryzgała jej szary, dziewczęcy kostium, ramiona i dłonie. Kiedy odnalazł ją Linden, nie mogła opanować histerycznego szlochu.

Dwa lata później mnich zginął w wypadku samochodowym. Przelana krew i cierpienia poszły na marne. *Uspokój się*, powiedziała do siebie. *Znajdź własną mantrę*. Travelerzy nasi, którzy jesteście w niebie... Niech ich wszyscy diabli.

Deszcz ustał około szóstej po południu, postanowiła więc, że uda się do mieszkania Thorna pieszo. Opuściła hotel, znalazła ulicę Mostecką i ruszyła w kierunku mostu Karola. Kamienna przeprawa w stylu gotyckim była dość szeroka, kolorowe lampy ustawione wzdłuż krawędzi oświetlały długi szpaler posągów. Turysta z kapeluszem na datki przy nogach grał na gitarze, uliczny artysta rysował węglem portret nieco leciwej przybyszki z dalekich stron. W połowie mostu stał posąg czeskiego świętego i męczennika. Słyszała kiedyś, że figura uchodzi za rodzaj amuletu przynoszącego szczęście. Wprawdzie nie istniało coś takiego, jak szczęśliwe zrządzenie losu, ale mimowolnie musnęła wykonaną z brązu tabliczkę pod posągiem i wyszeptła po cichu życzenie: „Żeby ktoś mnie pokochał i żebym odwzajemniła tę miłość”.

Nieco zawstydzona chwilą okazanej słabości przyspieszyła kroku, idąc mostem w kierunku Starego Miasta. W sklepach, kościołach oraz nocnych klubach ulokowanych w piwnicach kłębiła się ludzka ciżba niczym w zatłoczonym pociągu. Młodzi Czesi i zagraniczni turyści stali na zewnątrz pubów i piwiarni, spoglądali znużonym wzrokiem i zaciągali się skrętami z marihuany.

Thorn mieszkał przy ulicy Konviktskiej, o jeden kwartał na północ od sekretnego więzienia zlokalizowanego przy sąsiedniej ulicy Bartolomejskiej. W okresie zimnej wojny tajna policja przejęła budynek żeńskiego klasztoru i wykorzystywała jego pomieszczenia na cele więzienne i sale tortur. Obecnie siostry zakonne odzyskały swoją własność, a służba bezpieczeństwa przeniosła się do innego budynku w okolicy. Gdy Maya obchodziła kwartał uliczek, zdała sobie sprawę, dlaczego Thorn osiedlił się właśnie tutaj. Praga wciąż zachowywała średniowieczny charakter, a większość Arlekinów odnosiła się z niechęcią do wszystkiego, co wyglądało na nowe i nowoczesne. Miasto mogło się też pochwalić dobrze funkcjonującą służbą zdrowia, sprawną siecią komunikacyjną oraz szerokim dostępem do Internetu. Trzeci z rozstrzygających czynników był chyba najważniejszy - czeska policja wciąż jeszcze przestrzegała etyki z czasów komunistycznego reżimu. Jeśli Thorn przekupiłby właściwych ludzi, zyskałby dostęp do policyjnych archiwów oraz do paszportów.

W Barcelonie Maya spotkała kiedyś Cygana, który wytłumaczył jej, dlaczego ma prawo opróżniać cudze kieszenie i plądrować hotele, w których zatrzymują się turyści. Otóż kiedy Rzymianie krzyżowali Jezusa Chrystusa, przygotowali gwóźdź ze złota, który miał przebić serce Zbawiciela. Miejscowy Cygan - jak widać już w starożytnej Jerozolimie bywały z gością cygańskie tabory - podwędził gwóźdź, a Bóg w podzięce dał Cyganom dyspensę na uprawianie złodziejskiego rzemiosła po wieczne czasy. Arlekinini nie byli Cyganami, ale Maya była przekonana, że ich argumentacja mogła być bardzo podobna. Ojciec i jego towarzysze mieli niezwykle rozwinięte poczucie honoru i kierowali się zasa-

darni własnej, osobistej moralności. Byli zdyscyplinowani i lojalni wobec siebie nawzajem, jednak z pogardą traktowali wszelkie prawa sformułowane przez zwykłych obywateli. Ci, którzy wybrali drogę miecza, wierzyli święcie, że mają prawo zabijać i niszczyć na mocy przysięgi zobowiązującej ich do chronienia Travelerów.

Przeszła obok kościoła Świętego Krzyża i spojrzała w poprzek ulicy ku posesji przy Konviktskiej numer 18. Odrzwia z czerwonego drewna były wciśnięte między sklep z akcesoriami hydraulicznymi a salon z damską bielizną, w którego oknie wystawowym stał manekin odziany w parę wyszywanych cekinami pończoch przypiętych do pasa. Nad parterem wznosiły się jeszcze dwa piętra; wszystkie górne okna zamknięto okiennicami albo zamalowano ich szyby na kolor mlecznoszary. Z domów Arlekinów bywały zwykle co najmniej trzy wyjścia, w tym zawsze jedno tajne. W tym budynku znajdowały się czerwone drzwi frontowe oraz wyjście z tyłu na podwórze. Prawdopodobnie przekuto również tajne przejście prowadzące w dół, do sklepu z bielizną.

Otworzyła górne wieko futerału, w którym był miecz, i przesunęła go nieco do przodu, żeby rękojeść wysunęła się na zewnątrz o kilka cali. W Londynie doręczyciel sądowych pozwów postępował rutynowo, wsuwając pod drzwi nieoznakowaną szarą kopertę. Nie miała pojęcia, czy Thorn wciąż żył oraz czy czeka na nią w tym budynku. Jeśli Tabulowie odkryli, że dziewięć lat temu brała udział w zabójstwie ich najemników w hotelu, łatwiej było im wywabić ją poza Anglię i wykonać wyrok w obcym mieście.

Przechodząc na drugą stronę ulicy, Maya zatrzymała się przed sklepem z bielizną i spojrzała w okno wystawowe.

Szukała wzrokiem umownego znaku Arlekinów, czegoś w rodzaju maski lub części garderoby ze wzorem w romby czegokolwiek, co rozładowałyby narastające w niej napięcie. Dochodziła siódma wieczór. Powoli ruszyła wzdłuż chodnika i dostrzegła rysunek kredą na betonowych płytach. Był to owalny kształt, któremu towarzyszyły trzy proste linie - ideogram uproszczonego symbolu arlekińskiej lutni. Gdyby narysował ją jeden z Tabulów, zrobiłby to staranniej, a rysunek wierniej przypominałby instrument. Znaki na betonie były jednak bezładne i częściowo zatarte - zupełnie jakby ich autorem był znudzony dzieciak.

Nacisnęła dzwonek u drzwi, usłyszała terkoczący odgłos i dostrzegła kamerę monitorującą, ukrytą wewnątrz metalowej obudowy umieszczonej nad framugą drzwi. Zamek w drzwiach zgrzytnął i otworzył się, a Maya weszła do środka. Stała teraz w małym holu prowadzącym ku stromym metalowym schodom. Z tyłu za nią drzwi się zatrzasnęły, a zasuwa grubości trzech cali zaryglowała zamek. Znalazła się w pułapce. Wyciągnęła miecz, ustawiła jelec w pozycji do walki i ruszyła schodami ku górze. Na szczycie schodów znajdowały się kolejne stalowe drzwi i jeszcze jeden dzwonek. Nacisnęła guzik, z małego głośnika dobiegł elektronicznie przetworzony głos.

- Identyfikacja głosu.
- Idź do diabła.

Komputer przeprowadził analizę jej głosu, a po upływie trzech sekund drugie drzwi również otworzyły się automatycznie. Maya wkroczyła do dużego białego pomieszczenia z błyszczącą drewnianą podłogą. Mieszkanie ojca było skromne i schludne. Nie było żadnej rzeczy z plastiku, niczego, co byłoby sztuczne lub krzykliwe. Delikatnie zaakcentowany przedpokój i pokój gościnny. Znajdował się w nim skórzany fotel oraz szklany stolik do kawy, na którym stał wazon z jedną orchideą.

Na ścianie wisiły dwa plakaty oprawione w ramy. Jeden z nich zapraszał na wystawę japońskich mieczy samurajskich,

prezentowaną w Instytucie Sztuk Pięknych Nezu w Tokio. Drogę miecza. Żywot wojownika. Na drugim plakacie znajdował się assemblaż Marcela Duchampa z 1914 roku, zatytułowany *Trzy standardowe zatrzymania*. Francuski artysta z wysokości jednego metra upuszczał na paski płótna w kolorze pruskiego błękitu kawałki nitki, utrwalając w ten sposób ich układ. Podobnie jak każdy Arlekin, Duchamp nie walczył z przypadkowością i niewiadomą. Wykorzystywał je do tworzenia sztuki.

Usłyszała kroki bosych stóp na podłodze, później zza rogu wychyliła się postać z ogoloną głową, trzymająca w ręku pistolet maszynowy produkcji niemieckiej. Mężczyzna uśmiechał się, lufa jego broni była nachylona do dołu pod kątem 45 stopni. Gdyby był na tyle nierozważny, by unieść ją do góry, była zdecydowana zrobić wykrok w lewo i rozplatać mu twarz mieczem.

- Witamy w Pradze - odezwał się po angielsku z rosyjskim akcentem. - Twój ojciec pojawi się za chwilę.

Młodzieniec miał na sobie szorty ściągane w pasie tasiemką oraz bawełniany trykot bez rękawów z japońskimi literami nadrukowanymi na tkaninie. Maya dostrzegła liczne tatuaże na ramionach i karku. Węż. Demony. Wizja piekła. Nie musiała oglądać go w stroju Adama, żeby zyskać pewność, że jego ciało jest chodzącą epopeją. Arlekini zawsze gromadzili wokół siebie odmieńców i dziwaków, którzy im usługiwali.

Maya wsunęła miecz do metalowego futerału.

- Jak ci na imię?

- Aleksiej.

- Jak długo pracujesz dla Thorny?

- To nie jest praca - młody mężczyzna wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Pomagam twojemu ojcu, on pomaga mnie. Pobieram u niego nauki, by zostać mistrzem sztuk walki.

-1 radzi sobie doskonale - powiedział jej ojciec. Najpierw usłyszała jego głos, później Thorn wyjechał zza narożnika na elektrycznym wózku. Arlekiński miecz znajdował się w pochwie przytroczonej do oparcia fotela. W ciągu ostat-

nich dwóch lat Thorn zapuścił brodę. Ramiona i tors wciąż jeszcze były na tyle mocarne, że niemal zapominało się o jego wysuszonych na wiór, beżużytecznych nogach. Thorn zatrzymał się i posłał uśmiech w kierunku córki.

- Dobry wieczór, Mayu.

Ostatni raz widziała ojca w Peszawarze tej nocy, kiedy wraz z Lindenem wywiozła go z gór na pograniczu północno-zachodnim. Thorn był nieprzytomny, a ubranie Lindena całe we krwi.

Posługując się sfabrykowanymi artykułami prasowymi, Tabulowie zwabili Thorna, Lindena, chińską Arlekin imieniem Willow oraz Arlekina z Australii zwanego Libra na plemienne obszary Pakistanu. Thorn był przekonany, że dwoje dzieci - dwunastoletni chłopiec oraz jego dziesięcioletnia siostra - są Travelerami i że grozi im niebezpieczeństwo ze strony fanatycznego religijnego przywódcy. Czwooro Arlekinów oraz ich sprzymierzeńcy wpadli w zasadzkę zastawioną przez tabulskich najemników na górskiej przełęczy. Willow i Libra zginęli. Thorn został trafiony odłamkiem szrapnela i od pasa w dół był sparaliżowany.

Dwa lata później jej ojciec dzielił mieszkanie w Pradze z usługującym mu, wytatuowanym odmieńcem i wszystko było cudowne - po prostu zapomnijmy o przeszłości i ruszajmy do przodu! W tym momencie Maya odczuwała niemal satysfakcję z tego, że jej rodzic jest przykuty do inwalidzkiego wózka. Gdyby nie został ciężko zraniony, zapewne zaprzeczałby, że historia z zasadzką w ogóle się zdarzyła.

- Co u ciebie słysząc, Mayu? - zapytał Thorn i zwrócił się do młodego Rosjanina. - Nie widziałem mojej córki od dłuższego czasu.

Użycie wyrazu „córka” wywołało w niej wściekłość. Oznaczało to, że ściągnął ją do Pragi, by o coś ją prosić.

- Od ponad dwóch lat - dodała.

- Dwóch lat? - uśmiechnął się Aleksiej. - Sądzę, że macie sobie wiele do powiedzenia.

Thorn wykonał gest ręką i Rosjanin zabrał skaner z bocznego stolika. Przyrząd przypominał niewielką różdżkę stosowaną przez lotniskowe służby bezpieczeństwa, ale wykorzystywano go do wykrywania sygnalizacyjnych koralików używanych przez Tabulów. Koraliki miały wielkość pereł i emitowały sygnały, które były odbierane przez satelity systemu GPS. Istniały dwa typy - mininadajniki radiowe oraz takie, które emitowały fale podczerwone.

- Nie marnuj czasu na szukanie paciorków. Tabulowie nie wykazują zainteresowania moją osobą.

- Jestem tylko ostrożny.

- Nie jestem Arlekinem i oni wiedzą o tym.

Skaner nie zabręczał. Aleksiej wyszedł z pokoju, a Thorn podjechał w kierunku fotela. Maya była przekonana, że ojciec w duchu przeciwiczył już tę rozmowę. Prawdopodobnie spędził długie godziny, zastanawiając się nad tym, w co powinien się ubrać oraz jak poustawić meble. Do diabła z tym. Postanowiła pokonać go przez zaskoczenie.

- Masz miłego służącego - usiadła w fotelu, gdy Thorn podjeżdżał do niej. - Bardzo barwna postać.

Zwykle w prywatnych rozmowach posługiwali się językiem niemieckim. Tym razem ojciec czynił ustępstwo wobec niej. Maya miała paszporty kilku różnych krajów, ale od jakiegoś czasu uważała się za Brytyjkę.

- Tak, te atramentowe grafiki - Thorn uśmiechnął się. - Aleksiej ma znajomego artystę od tatuaży, który umieścił na jego ciele własną wizję Pierwszego Wymiaru. Nie wygląda to zbyt przyjemnie, ale to jego wybór.

- Tak, wszyscy mamy wolny wybór. Nawet Arlekini.

- Mayu, chyba nie bardzo się cieszysz, że mnie widzisz.

Zamierzała zachować opanowanie i dyscyplinę, ale słowa same zaczęły się jej wrywać.

- Wyciągnęłam cię z Pakistanu, przekupując pod drodze niemal połowę urzędników tego kraju, niektórym grożąc nawet utratą życia, żeby umieścić cię na pokładzie samolotu.

Potem znaleźliśmy się w Dublinie i Mother Blessing pokierowała sprawami, co było zresztą w porządku, w końcu to jej terytorium. Zadzwoiłam do niej na linię satelitarną następnego dnia, ona zaś powiedziała mi: „Twój ojciec jest sparaliżowany od pasa w dół. Już nigdy nie będzie chodził”. Później natychmiast się rozłączyła. To wszystko. Bum! I koniec. Przez ponad dwa lata nie słyszałam o tobie nic.

- Staraliśmy się ciebie chronić, Mayu. Czasy są teraz bardzo niebezpieczne.

- Powiedz to temu wytatuowanemu chłopakowi. Zauważyłam, że zagrożenie i bezpieczeństwo stanowią dla ciebie wytłumaczenie stosowane przy każdej okazji. Tym razem jednak to nie zadziała. Nie ma już bitew. Nie ma już tak naprawdę Arlekinów, pozostała tylko garstka: ty, Linden i Mother Blessing.

- Shepherd mieszka w Kalifornii.

- Troje lub czworo ludzi niczego nie zmieni. Wojna jest skończona. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? Tabulowie zwyciężyli. My przegraliśmy. *Wir haben verloren*.

Słowa wypowiedziane po niemiecku zdawały się urazić go mocniej niż angielskie. Thorn dotknął pulpitu sterowniczego na wózku inwalidzkim i odwrócił się trochę, tak żeby nie mogła widzieć jego oczu.

- Mayu, ty także jesteś Arlekinem. To twoja prawdziwa tożsamość. Twoja przeszłość i twoja przyszłość.

- Nie jestem Arlekinem i nie jestem podobna do ciebie. Powinieneś już o tym wiedzieć.

- Potrzebujemy twojej pomocy. To ważne.

- Zawsze coś jest ważne.

- Chciałbym, żebyś pojechała do Stanów. Zapłacimy za wszystko. I wszystko przygotujemy.

- Stany to teren Shepherd. Niech on to załatwi.

Ojciec posłużył się całą mocą wzroku i głosu.

- Shepherd znalazł się w bardzo nietypowej sytuacji. Nie bardzo wie, co ma robić.

- Prowadzę teraz normalne życie. Nie biorę już udziału w waszej grze.

Poruszając drążkiem sterowniczym Thorn wykręcił efektowną ósemkę dookoła pokoju.

- Ach tak. Życie zwykłego obywatela pod nadzorem Rozległej Sieci. Przyjemne i pozbawione zmartwień. Opowiedz mi o tym *coś* więcej.

- Nigdy wcześniej o to nie pytałeś.

- Czy nie pracujesz w jakimś biurze?

- Jestem projektantką wzornictwa użytkowego. Pracuję w zespole zajmującym się opracowywaniem wzorów opakowań dla różnych firm. W ostatnim tygodniu stworzyłam nową buteleczkę do perfum.

- Brzmi porywająco. Jestem pewien, że odniosłaś duży sukces. A co z resztą twojego świata? Jakiś przyjaciel, o którym powinienem wiedzieć?

-Nie.

- Był kiedyś ten adwokat, jak on się nazywał?

Thorn doskonale wiedział, ale udawał, że szuka w zakamarkach pamięci.

- Connor Ramsey Zamożny Przystojny Rodzina o dobrych koneksjach. Potem rzucił cię dla innej kobiety. Najprawdopodobniej spotykał się z nią przez cały czas, będąc z tobą.

Maya poczuła się, jakby Thorn wymierzył jej silny policzek. Powinna wiedzieć, że ojciec wykorzysta londyńskie kontakty, by zebrać wiadomości na jej temat. Zawsze sprawiał wrażenie, że wie wszystko.

- To nie twoje zmartwienie.

- Nie marnuj czasu, zadręczając się Ramseyem. Przed paroma miesiącami kilku ludzi pracujących dla Mother Blessing wysadziło w powietrze jego auto. Jest teraz przekonany, że stał się celem terrorystów. Wynajął nawet osobistą ochronę. Żyje w strachu. I dobrze mu tak. Nieprawdaż? Pan Ramsey zasłużył na karę za oszukanie mojej małej dziewczynki.

Thorn obrócił wózek wokół osi i uśmiechnął się do niej. Maya wiedziała, że powinna zareagować wściekłością, ale nie była w stanie. Miała w oczach Connora tulącego ją na molo w Brighton, potem przywołała scenę późniejszą o trzy tygodnie, gdy siedzieli w restauracji, a on oznajmiał jej, że nie jest dla niego kobietą odpowiednią na żonę. Czytała w gazetach o bombie w samochodzie, ale nie skojarzyła tego wydarzenia z mściwym działaniem ojca.

- Nie musiałeś tego robić.

- Ale zrobiłem - odparł Thorn i cofnął się w kierunku stolika na kawę.

- Podłożenie bomby w samochodzie niczego nie zmienia. Wciąż nie mam zamiaru jechać do Stanów.

- Czy ktoś mówi o Stanach? Po prostu ze sobą rozmawiamy

Arkana arlekińskiej sztuki walki podpowiedziały jej, że powinna teraz przystąpić do ataku. Podobnie jak Thorn, ona również przygotowała się do tej rozmowy.

- Powiedz mi jedną rzecz, ojczu. Tylko jedno. Czy ty mnie kochasz?

- Jesteś moją córką, Mayu.

- Odpowiedz na pytanie.

- Od chwili śmierci twojej matki jesteś jedyną drogą osobą, jaka pozostała mi w życiu.

- W porządku. Na moment uznajmy to oświadczenie za wystarczające - odparła i, siedząc w fotelu, pochyliła się do przodu. - Tabulowie i Arlekini byli kiedyś właściwie równorzędnymi przeciwnikami, ale Rozległa Sieć zmieniła układ sił. O ile wiem, nie ma już żyjących Travelerów i jest tylko garstka Arlekinów.

- Tabulowie posługują się skanerami twarzy, podsłuchem elektronicznym, współpracują z urzędnikami rządowymi i...

- Nie chcę znać przyczyn. Nie rozmawiamy o tym. Mówimy tylko o faktach i wnioskach. W Pakistanie zranili cię, a dwoje ludzi zginęło. Zawsze lubiłam Libre. Zabierał mnie do

teatru, kiedy przyjeżdżał z wizytą do Londynu. Willow była silną i pełną niekłamanego uroku kobietą.

- Każde z nich godziło się z ryzykiem - stwierdził Thorn. - Oboje mieli Godną Śmierć.

- Tak, i są martwi. Zwabieni w zasadzkę i unicestwieni w imię mrzonek. A ty chcesz teraz, żebym umarła w taki sam sposób.

Thorn chwycił za poręczę wózka i przez chwilę pomyślała, że ogromnym wysiłkiem woli zechce stanąć na własnych nogach.

- Stało się coś nadzwyczajnego - wyznał. - Po raz pierwszy mamy szpiega po drugiej stronie. Linden jest z nim w kontakcie.

- To tylko kolejna pułapka.

- Być może. Ale jak dotąd wszystkie otrzymane przez nas informacje okazały się prawdziwe. Kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się o dwójce potencjalnych Travelerów mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Są braćmi. Chroniłem kiedyś, przed wielu laty, ich ojca, Matthew Corrigan. Zanim zszedł do podziemia, przekazałem mu talizman.

- Czy Tabulowie wiedzą o istnieniu braci?

- Tak. Siedzą ich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dlaczego ich po prostu nie zabijają? Tak jak to zwykle robią.

- Wiem tylko, że Corriganowie znajdują się w niebezpieczeństwie i musimy im pomóc najszybciej, jak to jest możliwe. Shepherd pochodzi z rodziny Arlekinów Jego dziadek uratował setki ludzkich istnień. Ale Traveler nie z urodzenia nie będzie mu ufał. Shepherd nie jest zanadto zorganizowany czy inteligentny Jest...

- Głupkiem.

- Właśnie. Ty, Mayu, poradziłabyś sobie ze wszystkim. Musisz tylko odnaleźć Corriganów i zabrać ich w bezpieczne miejsce.

- Być może są tylko zwykłymi obywatelami.
 - Nie dowiemy się tego, dopóki nie będziemy mogli ich przepytąć. Masz rację co do jednej rzeczy: nie ma już więcej Travelerów. To może być nasza ostatnia szansa.
 - Nie potrzebujesz mnie. Zapłać po prostu kilku najemnikom.
 - Tabulowie mają więcej pieniędzy i władzy. Najemnicy zawsze nas zdradzają.
 - W takim razie sam się tego podejmij.
 - Jestem kaleką, Mayu. Uwięzionym tu, w tym mieszkaniu i w tym wózku. Jesteś jedyną osobą, która może to wykonać.
- Przez kilka sekund rzeczywiście zapragnęła sięgnąć po miecz i stanąć do walki, ale potem przypomniała sobie rozróbę z kibicami na stacji metra w Londynie. Ojciec powinien chronić własną córkę. Zamiast tego zburzył jej dzieciństwo.
- Wstała i podeszła do drzwi.
- Wracam do Londynu.
 - Nie pamiętasz, czego cię uczyłem? *Verdammt durch das Fleisch. Gerettet durch das Blut...*
- Potępieni przez ciało. Zbawieni przez krew Maya słyszała tę arlekińską sentencję i nienawidziła jej od czasów, gdy była dziewczynką.
- Kieruj swoje slogany do nowego rosyjskiego przyjaciela. Na mnie już nie działają.
 - Jeśli nie będzie już Travelerów, to Tabulowie całkowicie zawładną biegiem historii. W ciągu jednej lub dwóch generacji Czwarty Wymiar stanie się zimnym, jałowym miejscem, w którym wszyscy znajdują się pod obserwacją i będą kontrolowani.
 - Już tak się dzieje.
 - To nasz obowiązek, Mayu. Po to właśnie istniejemy - głos Thorna był przesycony bólem i goryczą. - Często tęskniłem za innym życiem, żalując, że nie urodziłem się

ignorantem i ślepcem. Ale nigdy nie odrzucę i nie wyrzeknę się przeszłości, nie wyrzeknę się pamięci Arlekinów, którzy poświęcili życie dla wielkiej sprawy.

- Dałeś mi broń i nauczyłeś, jak się zabija. A teraz chcesz mnie wysłać na pewną śmierć.

Siedząc w wózku, Thorn wydawał się w tej chwili mniejszy, niemal skurczony w sobie. Jego głos zamienił się w chrapliwy szept.

- Umarłbym za ciebie.

- Ale ja nie mam zamiaru umierać za sprawę, która już nie istnieje.

Maya wyciągnęła rękę ku ramieniu Thorn'a. Miał to być pożegnalny gest, ostatnia szansa nawiązania z nim fizycznego kontaktu - jednak gniewny wyraz jego twarzy sprawił, że cofnęła rękę.

- Zegnaj, ojczy - odwróciła się w stronę drzwi i odsunęła zasuwę. - Mam niewielką szansę zaznać odrobiny szczęścia. Nie pozwolę na to, żebyś mi ją odebrał.

Nathan Boone siedział w pomieszczeniu na drugim piętrze magazynu usytuowanego po przeciwnej stronie ulicy, na wprost sklepu z damską bielizną. Spoglądając badawczo przez noktowizor, obserwował, jak Maya wychodzi z budynku, w którym mieszkał Thorn, i rusza chodnikiem w drogę. Boone wykonał już zdjęcie córki Thorna na lotnisku w hali przylotów, ale z przyjemnością patrzył na nią ponownie. W ostatnich dniach ogromna część jego pracy wiązała się z wpatrywaniem się w monitor komputera, sprawdzaniem telefonicznych billingów oraz płatności dokonywanych kartami kredytowymi, przeglądaniem raportów służb medycznych i policyjnych komunikatów nadsyłanych z tuzina krajów. Widok kobiety Arlekina pozwalał mu nawiązać ponowny kontakt z realnym sednem tego, czym się zajmował. Wrogowie wciąż jeszcze istnieli - a przynajmniej niewielka ich garstka - jego zadaniem było zaś ich wyeliminowanie.

Dwa lata wcześniej, po strzelaninie w Pakistanie, odnalazł Mayę w Londynie. Jej oficjalne zachowanie wskazywało na to, że odrzuciła przemoc, po którą sięgali Arlekini, i zdecydowała się prowadzić zwyczajne, normalne życie. Bracia rozważali uśmiercenie jej, ale Boone przesłał im pocztą elektroniczną długi list, w którym mocno się temu sprzeciwiał. Zdawał sobie sprawę, że młoda kobieta mogła go doprowadzić do Thorna, Lindena lub Mother Blessing. Cała trójka Arlekinów wciąż była groźna. Za wszelką cenę należało ich wytropić i unicestwić.

Gdyby ktoś śledził Mayę w Londynie, z pewnością by to zauważyła, Boone wysłał więc ekipę techników do jej mieszkania, zlecając zamontowanie sygnalizacyjnych korali-ków w każdej sztuce jej podróźnych bagaży. Kiedy zabierze te rzeczy poza miejsce swojego zamieszkania, satelita GPS wyśle sygnał ostrzegawczy do komputerów nadzorowanych przez Braci. Szczęśliwym dla niego trafem Maya wybrała się do Pragi konwencjonalnym sposobem. Zdarzało się niekiedy, że Arlekin znikał nagle w jednym kraju i pojawiał się w miejscu oddalonym o tysiące mil jako ktoś, z zupełnie nową tożsamością.

Z radiowych słuchawek dobiegł uszu Boonea głos Loutki.

- Co teraz? - dopytywał się Czech. - Mamy ją śledzić?

- To zadanie dla Halvera. Poradzi sobie z tym. Głównym celem jest Thorn. Maya zajmiemy się jeszcze tego wieczoru, ale później.

Loutka wraz z trójką techników siedział w budzie dostawczego auta zaparkowanego na rogu ulicy. Był funkcjonariuszem czeskiej policji i do niego należało załatwianie spraw z miejscowymi władzami. Technicy mieli wykonać zadanie specjalne i wrócić do domu.

Z pomocą Loutki Boone wynajął w Pradze dwóch profesjonalnych zabójców. Najemnicy siedzieli teraz na podłodze, oczekując poleceń. Węgier o gigantycznej posturze nie mówił po angielsku. Jego przyjaciel Serb, były żołnierz, znał cztery języki i sprawiał wrażenie inteligentnego, ale Boone nie do końca darzył go zaufaniem. Był typem człowieka, który w razie oporu mógł zrejterować.

W pomieszczeniu było zimno, ale Boone miał na sobie parkę przystosowaną do każdej pogody i czapkę z dzianiny. Wojskowa fryzura oraz okulary ze stalowymi oprawkami nadawały mu wygląd osoby zdyscyplinowanej i sprawnej fizycznie, w stylu inżyniera chemika, który w weekendy biegał maratony.

- Ruszajmy - ponaglił Loutka.

-Nie.

- Maya wraca już do hotelu. Nie sądzę, żeby dziś wieczorem Thorn spodziewał się jeszcze jakichś gości.

- Nie rozumiesz tych ludzi. W przeciwieństwie do mnie. Z pełną świadomością czynią rzeczy, których nie da się przewidzieć. Thorn może postanowić wyjść z domu. Albo Maya zdecyduje się wrócić. Odczekajmy pięć minut i zobaczymy, co się stanie.

Boone obniżył noktowizor i podjął obserwację ulicy. Przez sześć ostatnich lat pracował dla Braci, niewielkiej grupy ludzi z różnych krajów, których łączyła wspólna wizja przyszłości. Bracia - nazywani przez swoich wrogów Tabularni - byli całkowicie oddani sprawie unicestwienia zarówno Arlekinów, jak i Travelerów

Amerikanin był ogniwem łączącym Braci z najemnikami. Obchodzenie się z takimi osobnikami, jak Serb czy Loutka, przychodziło mu z łatwością. Najemnik zawsze pragnął pieniędzy albo przywilejów. Boone najpierw negocjował cenę, a później rozstrzygał, czy zamierza dokonać wypłaty.

Chociaż otrzymywał od Bractwa sówite wynagrodzenie, nigdy nie traktował siebie jak najemnika. Dwa lata temu zezwolono mu na przeczytanie księgozbioru opatrzonego tytułem *Wiedza*, a dzięki tej lekturze zyskał głębsze zrozumienie celów wytyczonych przez Braci oraz ich filozofii. *Wiedza* pozwoliła mu dostrzec, że jest częścią historycznej bitwy toczonej z siłami chaosu. Bracia oraz ich sojusznicy byli już bardzo blisko stworzenia społeczeństwa poddanego perfekcyjnej kontroli, nowy porządek nie dawał jednak gwarancji przetrwania, jeśli pozwolono by Travelerom na opuszczenie systemu i późniejszy ich powrót w celu zakwestionowania obowiązujących przekonań i poglądów. Pokój i dobrobyt były możliwe do osiągnięcia jedynie w sytuacji, gdy szarzy zjadacze chleba przestają zadawać pytania i zadowolają się dostępnymi odpowiedziami.

Travelerzy wnosili do tego świata pierwiastek chaosu, ale Boone nie darzył ich uczuciem nienawiści. Każdy Tra-

veler miał wrodzoną zdolność przenoszenia się między wymiarami - Bracia nie byli w stanie zaradzić mechanizmowi dziedziczenia tej niezwyklej cechy. Inaczej miały się sprawy w wypadku Arlekinów. Chociaż istniały arlekińskie rody, każdy mężczyzna i każda kobieta dokonywali swobodnego wyboru, decydując się na ochranianie Travelerów. Ich celowe kierowanie się przypadkowością przeciwstawiało się regułom rządzącym egzystencją Nathana Boonea.

Kilka lat wcześniej Boone wyruszył do Hongkongu z misją zabicia Arlekina imieniem Wrona. Przeszukując ciało, znalazł typową broń oraz fałszywe paszporty, a oprócz tego Generator Liczb Losowych (GLL). GLL był miniaturowym komputerem generującym przypadkowe liczby za każdym razem, gdy naciśnięto się przycisk. Niekiedy Arlekini posługiwali się przyrządem, podejmując decyzje. Liczba nieparzysta oznaczała „tak”, parzysta - „nie”. Naciśnij przycisk, a GLL podpowie, w które drzwi wejść.

Pamiętał, jak pewnego razu siedział w hotelowym pokoju i analizował pracę urzędnika. Jak ktoś mógł żyć w taki sposób? Według niego każdego, kto kierował swoim życiem na podstawie przypadkowych liczb, należałoby wytropić i wyeliminować. Porządek i dyscyplina były wartościami, które nie pozwalały na rozpad zachodniej cywilizacji. Wystarczy tylko spojrzeć na margines społeczny, żeby się przekonać, co się stanie, gdy pozwoli się ludziom podejmować decyzje spowodowane przypadkowym wyborem.

Upłynęły dwie minuty. Naciśnął przycisk na zegarku i na wyświetlaczu pojawiały się wskazania jego tętna oraz temperatury ciała. Sytuacja należała do stresogennych, dlatego też Boone z zadowoleniem stwierdził, że puls jest tylko o sześć punktów szybszy niż normalnie. Znał liczbę uderzeń swojego serca podczas odpoczynku i w trakcie fizycznego wysiłku, a procentowy udział tkanki tłuszczowej, poziom cholesterolu i dzienna norma kalorii również nie stanowiły dla niego tajemnicy.

Usłyszał pocieranie zapałki o draskę i po kilku sekundach poczuł zapach tytoniowego dymu. Obracając się, dostrzegł, jak Serb zaciąga się papierosem.

- Wyrzuc to.
- Dlaczego?
- Nie lubię wdychać toksycznego powietrza.

Serb wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niczego nie wdychasz, przyjacielu. To mój papieros.

Boone wstał i odszedł od okna. Jego twarz pozostała bez wyrazu, gdy oceniał ewentualny opór. Czy ten człowiek jest niebezpieczny? Czy powodzenie operacji wymagało zastraszenia go? Jak szybko potrafił zareagować?

Amerykanin wsunął prawą dłoń do górnej bocznej kieszeni parki, poczuł naciętą rączkę brzytwy i chwycił ją mocno między kciukiem i palcem wskazującym.

- Natychmiast wyrzuc papierosa.
- Jak skończę palić.

Boone zamachnął się w dół i odciął koniuszek papierosa. Zanim Serb zdążył zareagować, zleceniodawca chwycił najemnika za kołnierz i przystawił mu brzytwę w odległości pół centymetra od prawego oka.

- Jeśli przetnę ci teraz gałki oczne, ostatnią rzeczą, jaką zachowasz w pamięci, będzie moja twarz. Będiesz myślał o mnie, Josefie, do końca swoich dni. Mój wizerunek wypali się w twoim mózgu.

- Błagam - wymamrotał Serb. - Błagam, nie...

Boone zrobił krok do tyłu i schował brzytwę do kieszeni. Spojrzał na Węgra. Olbrzym był całkowicie pod wrażeniem tego, co zaszło.

Gdy Amerykanin powrócił do okna, ze słuchawek znowu dobiegł głos Loutki.

- Co się dzieje? Dlaczego wciąż czekamy?

- Już nie czekamy - odparł Boone. - Powiedz Skipowi i Jamiemu, że nadeszła już pora, aby zapracowali na swoje honorarium.

Bracia Skip i Jamie pochodzili z Chicago i specjalizowali się w podsłuchu elektronicznym. Obaj byli niscy, korpulentni i mieli na sobie identyczne brązowe kombinezony. Gdy Boone patrzył przez noktowizor, dwaj mężczyźni wyciągnęli z dostawczego auta drabinę i zanieśli ją aż pod butik z bielizną. Wyglądali jak elektrycy wezwani do usunięcia awarii przewodów sieci elektrycznej.

Skip rozstawił drabinę, Jamie wszedł na górę do szyldu znajdującego się ponad oknem sklepu bieliźniarskiego. Wcześniej tego dnia przy dolnej krawędzi szyldu zamontowali miniaturową, sterowaną radiem kamerę. W ten sposób nakręcili sekwencję wideo z Maya w roli głównej, gdy stała przed domem na chodniku.

Thorn umieścił swoją kamerę monitorującą w obudowie, która chroniła drzwi wejściowe do jego mieszkania. Jamie ponownie wspiął się po drabinie, wymontował kamerę i włożył w jej miejsce miniaturowy odtwarzacz DVD. Kiedy bracia skończyli, złożyli drabinę i zanieśli ją z powrotem do samochodu. Za trzy minuty zarobili po dziesięć tysięcy dolarów na głowę oraz darmową wizytę w burdelu przy ulicy Korunni.

- Przyszykuj się - Boone przekazał komunikat porucznikowi Loutce. - Zaraz schodzimy na dół.

- A co z Harknessem?

- Powiedz mu, żeby został w aucie. Ściągniemy go na górę, kiedy będzie bezpiecznie.

Boone wsunął noktowizor do kieszeni kurtki i podszedł do miejscowych najemników.

- Pora wyruszać.

Serb powiedział coś do Węgra i obaj mężczyźni powstali.

- Bądźcie ostrożni, kiedy wejdziemy do mieszkania - ostrzegł ich zleceniodawca. - Arlekini są bardzo niebezpieczni. Zaatakowani reagują z szybkością błyskawicy.

Serb odzyskał nieco pewności siebie.

- Może są groźni dla ciebie. Ale mój przyjaciel i ja poradzimy sobie z każdym problemem.

- Arlekini nie są normalni. Całe dzieciństwo uczą się, jak zabijać wrogów.

Trzej mężczyźni zeszli na dół, gdzie spotkali Loutkę. Porucznik policji wyglądał dość blado w ulicznym świetle.

- A jak się nie uda? - zapytał.

- Jeśli czujesz cykora, możesz zostać w samochodzie razem z Harknessem, ale będzie to jednoznaczne z twoją rezygnacją z zapłaty. Nie martw się. Kiedy ja organizuję operację, wszystko idzie jak w zegarku.

Boone poprowadził mężczyzn na drugą stronę ulicy ku drzwiom klatki, w której mieszkał Thorn, i wyciągnął automatyczny pistolet sterowany laserem. W lewej dłoni trzymał pilota. Gdy nacisnął żółty przycisk, odtwarzacz DVD zaczął wyświetlać obraz Mai stojącej na chodniku, zarejestrowany pół godziny wcześniej. Spojrzał w lewo. Potem w prawo. Wszystko było gotowe. Nacisnął dzwonek u drzwi i czekał. U góry młody Rosjanin - prawdopodobnie nie był to Thorn - podszedł do monitora wpiętego w zamknięty obwód, spojrzął na ekran i dostrzegł Mayę. Rygiel w drzwiach otworzył się z trzaskiem. Byli już w środku.

Czterech mężczyzn wchodziło schodami na górę. Gdy dotarli do półpiętra, Loutka wyciągnęła rejestrator mowy.

- Identyfikacja głosowa - odezwał się elektroniczny głos.

Policjant uruchomił urządzenie i zaczął odtwarzać nagranie zrobione wcześniej tego dnia w taksówce. „Otwórz te cholerne drzwi - słyhać było głos Mai. - Otwórz.

Elektroniczny zamek w drzwiach zwolnił blokadę, Boone jako pierwszy znalazł się w środku. Pokryty tatuażami Rosjanin stał ze ścierką do naczyń i wyglądał na bardzo zaskoczonego. Amerykanin podniósł pistolet i wypalił z bliska. Pocisk kaliber 9 mm uderzył w pierś młodego mężczyzny niczym mocarna pięść i odrzucił go do tyłu.

Pragnąc zdobyć premię za uśmiercenie następnej ofiary, potężny Węgier obiegł ściankę dzielącą pokój na pół. Boone

usłyszał przeraźliwy krzyk wielkoluda. Pobiegł do przodu, tuż za nim Loutka i Serb. Znaleźli się w części kuchennej i zobaczyli Węgra leżącego twarzą na kolanach Thorny, z nogami na ziemi i ramionami obejmującymi poręcz wózka inwalidzkiego. Thorn usiłował za wszelką cenę odepchnąć martwe ciało i chwycić miecz.

- Złapcie go za ramiona - rozkazał Boone. - Szybko! Zróbcie to!

Serb i Loutka złapali Thorny za ręce, obezwładniając go. Wózek był cały obryzany krwią. Gdy Boone odciągnął zwłoki Węgra, dostrzegł rękojeść noża wystającą u nasady szyi trupa. Sparaliżowany od pasa w dół Arlekin raził go śmiertelnie nożem, ale olbrzym upadł do przodu, prosto na wózek.

- Cofnijcie się. Przesuńcie go tam - wydawał polecenia Amerykanin. - Ostrożnie. Nie ubabrajcie butów krwią.

Wyciągnął plastikową taśmę do kneblowania i spętał nią nogi i nadgarstki Thorny. Kiedy skończył, zrobił krok do tyłu i przyglądał się kalekiemu Arlekinowi. Thorn był pokonany, ale wciąż zachowywał się dumnie i arogancko, jak zawsze.

- Miło cię poznać, Thorn. Nazywam się Nathan Boone. Wymknąłeś mi się z rąk dwa lata temu w Pakistanie. Szybko się wtedy ściemniło, nieprawdaż?

- Nie rozmawiam z najemnikami Tabulów - odezwał się cicho Thorn.

Amerykanin słyszał głos Arlekina nagrany na taśmach z telefonicznych podsłuchów. W rzeczywistości jego tembr był głębszy i budził jeszcze większą grozę.

Boone rozejrzał się po pokoju.

- Podoba mi się twoje mieszkanie, Thorn. Naprawdę. Jest czyste i schludne. Kolory dobrane ze smakiem. Nie zaśmiecasz chaty gratami, ale starasz się osiągnąć minimalistyczny wygląd.

- Jeśli zamierzasz mnie zabić, czyń swoją powinność. Nie marnuj czasu na czczą gadaninę.

Boone podszedł do Loutki i Serba. Obaj mężczyźni przeciągnęli zwłoki Węgra do salonu.

- Długa wojna dobiegła końca. Travelerzy zostali unicestwieni, Arlekini doznali ostatecznej porażki. Mógłbym cię teraz zabić, ale do zakończenia mojego zadania jest mi potrzebna twoja pomoc.

- Nikogo nie wydám.

- Współpracuj z nami, a pozwolimy Mai prowadzić normalne życie. Jeśli nie, spotka ją bardzo przykra śmierć. Moi najemnicy przez dwa dni gwałcili chińską Arlekin, którą schwytaliśmy w Pakistanie. Rajcował ich dodatkowo fakt, że broniła się i usiłowała walczyć. Wydaje mi się, że miejscowe kobiety w podobnej sytuacji po prostu się poddają.

Thorn milczał, a Boone zastanawiał się, czy jeniec rozważy złożoną ofertę. Czy on kocha swoją córkę? Czy Arlekini są zdolni do takich uczuć? Mięśnie ramion Thorna naprężyły się, gdy usiłował zerwać kępujące go więzy. W końcu dał za wygraną i opadł bezsilnie na fotel.

Mężczyzna w parce włączył słuchawki.

- Panie Harkness, prosimy na górę wraz z pana materiałami. Teren jest bezpieczny.

Serb i Loutka ściągnęli Thorna z wózka, zawlekli do sypialni i rzucili na podłogę. Harkness zjawił się kilka minut później, dźwigając ze sobą nieporęczną skrzynię. Był to Anglik w starszym wieku, który odzywał się z rzadka, ale Boone nie bardzo chciałby zająć miejsce obok niego w restauracji. W jego pożółkłych zębach i bladej, anemicznej cerze dały się wyczuć atrybuty śmierci i rozkładu.

- Wiem, o czym wy, Arlekini, marzycie. O Godnej Śmierci. Czyż nie takiego określenia używacie? Mogę ci to zapewnić: szlachetną śmierć, przydającą godności ostatnim chwilom życia. Ale muszę otrzymać coś w zamian. Powiedz mi, jak znajdę dwójkę twoich przyjaciół: Lindena i Mother Blessing. Jeśli odmówisz, sytuacja stanie się bardziej upokarzająca...

Harkness umieścił skrzynkę przed wejściem do sypialni. W wieku skrzyni znajdowały się otwory przykryte grubą dru-

cianą siatką. Metalowe dno skrzyni było podrapane pazurami, a do uszu Boonea dobiegał odgłos chrapliwego dyszenia. Wyciągnął brzytwę z kieszeni.

- Kiedy wy, Arlekini, tkwiliście uwięzieni w średnio-wiecznych mrzonkach, Bracia zdobyli nowe źródła wiedzy. Opanowali tajniki inżynierii genetycznej.

Boone naciął skórę pod oczami Thorn'a. Stwór zamknięty w skrzyni poczuł zapach krwi Arlekina. Zwierzę wydało z siebie odgłos przypominający chichot, następnie rzuciło się z impetem na boczną ścianę i zaczęło wściekle drapać pazurami drucianą siatkę.

- Geny tego zwierzęcia dobrano tak, żeby było agresywne i nieustraszone. Atakuje instynktownie, nie zważając na zagrożenie własnego życia. To nie będzie Godna Śmierć. Zostaniesz pożarty jak kawał miecha.

Porucznik Loutka opuścił przedpokój i wrócił do pokoju gościnnego. Serb wyglądał na zdziwionego i przestraszonego. Stał w korytarzu kilka stóp za Harknessem.

- Ostatnia szansa. Podaj mi choć jedną informację. Uznaj nasze zwycięstwo.

Thorn zmienił ułożenie ciała, przetaczając się po podłodze, i spoglądał teraz na skrzynię. Boone zrozumiał, że Arlekin pragnie podjąć walkę z bestią i zamierza przydusić ją własnym ciałem.

- Myśl sobie, co chcesz - wydusił z siebie powoli. - Ale to będzie Godna Śmierć.

Boone cofnął się do przedpokoju i wyciągnął pistolet. Musiał zastrzelić zwierzę, kiedy ono skończy z kaleką ofiarą. Przerazający chichot ucichł, stwór przeistoczył się w milczącego, czatującego łowcę. Amerykanin skinął głową w kierunku Harknessa. Starszy mężczyzna usiadł okrakiem na skrzyni i powoli pociągnął do góry boczną ścianę.

Maya zorientowała się, że jest śledzona, zanim jeszcze dotarła do mostu Karola. Thorn powiedział kiedyś, że oczy emitują energię - przy odpowiednim poziomie wrażliwości można wyczuć fale docierające do śledzonego obiektu. Gdy dorastała w Londynie, ojciec od czasu do czasu wynajmował ulicznych kies^onkowców, aby śledzili ją w drodze ze szkoły do domu. Jej zadaniem było rozpoznanie „tropiciela” i przeprowadzenie ataku, do czego używała wyjętych z łożysk kulek, które ukrywała w torbie z książkami.

Zrobiło się ciemniej, gdy minęła most i skręciła w ulicę Saską. Postanowiła wejść do kościoła Matki Bożej Różańcowej. Był tu nieoświetlony dziedziniec z trzema drogami potencjalnej ucieczki. *Po prostu idź*, powiedziała do siebie w myślach. *Me oglądaj się przez ramię do tyłu*. Ulica Saską była wąska i kręta. Przydrożna latarnia rzucała snop słabego żółtego światła. Maya minęła przejście dla pieszych, zawróciła i wkroczyła w strefę cienia. Skryła się za kontenerami na śmieci i czekała.

Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Później dostrzegła idącego chodnikiem niewysokiego, przypominającego trolla taksówkarza, który zawiózł ją do hotelu, *Nigdy się nie wahaj. Zawsze reaguj*. Kiedy mijał wejście do bocznej alejki, wyjęła sztylet, doskoczyła z tyłu, chwytając lewą ręką za ramię i dociskając ostrze noża do karku mężczyzny.

- Nie ruszaj się. I nie próbuj uciekać - jej głos był miękki, niemal kuszący. - Pójdziemy teraz w prawo.., I nie życzę sobie żadnych komplikacji.

Odwróciła go i zaciągnęła w strefę cienia, a następnie przycisnęła do kubła na śmieci. Teraz szpic sztyletu dotykał jego jabłka Adama.

- Powiedz mi wszystko. Żadnych kłamstw. Może wtedy cię nie zabiję. Zrozumiałeś?

Przerażony troll przytaknął skwapliwie.

- Kto cię wynajął?

- Jakiś Amerykanin.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. Jest znajomym Loutki, porucznika policji.

- Jakie miałeś instrukcje?

- Miałem cię śledzić. To wszystko. Podwieźć cię taksówką i śledzić dziś wieczorem.

- Czy ktoś czeka na mnie w hotelu?

- Nie wiem. Przysięgam, że mówię prawdę - zaczął skamleć. - Nie rób mi krzywdy, błagam.

Thorn zapewne bez mrugnięcia okiem dźgnąłby trolla nożem, ale Maya zdecydowała, że nie musi posuwać się aż tak daleko. Jeśli zamorduje tego głupawego liliputa, wtedy całe jej życie legnie w gruzach.

- Zamierzam pójść dalej tą ulicą, ty natomiast ruszysz w przeciwnym kierunku, z powrotem ku mostowi. Zrozumiałeś?

Troll ponownie skwapliwie przytaknął.

- Tak - wyszeptał.

- Jeśli zobaczę cię ponownie, jesteś martwy.

Maya weszła na chodnik i skierowała się w stronę kościoła. Pomyślała o ojcu. Czy karzeł śledził ją przez całą drogę aż do mieszkania Thorna? Jak dużo wiedzieli?

Zawróciła pośpiesznie w kierunku alei i usłyszała głos trolla. Ściskając kurczowo telefon komórkowy, zdawał pośpiesznie relację swojemu mocodawcy. Gdy wyszła z cienia, karłowi zaparło dech i upuścił telefon na kocie łby. Maya chwyciła go za włosy, pociągnęła do góry i wsunęła czubek sztyletu w małżowinę lewego ucha.

W tym momencie ostrze mogło się jeszcze zatrzymać. Maya była w pełni świadoma dokonywanego wyboru i ponurej drogi, która się przed nią otwierała. *Me ró b tego*, pomyślała. *Wciąż jeszcze masz cień szansy*. Jednak duma i gniew wzięły w niej górę.

- Posłuchaj mnie dobrze - odezwała się. - To ostatnia rzecz, jaką usłyszysz. Giniesz z ręki Arlekina.

Ciągle zmagając się z sobą, usiłując przerwać to, co się dzieje, ale sztylet już przebijał się przez kanał słuchowy i docierał do mózgu.

Maya puściła taksówkarza, a jego bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Usta wypełniły się krwią, czerwona strużka ciekła też z nosa. Oczy nieboszczyka były otwarte, jego twarz wykrzywił grymas zdumienia, jakby przed chwilą usłyszał od kogoś niemiłą wiadomość.

Wytała ostrze sztyletu i schowała broń pod sweter. Nie wychodząc z cienia, zaciągnęła zwłoki mężczyzny do krańca alejki i przykryła je wyciągniętymi z kubła workami pełnymi śmieci. Rano ktoś odnajdzie denata i wezwie policję.

Me biegnij, powiedziała do siebie Maya. *Me okazuj lęku i strachu*. Przechodząc ponownie na drugą stronę rzeki, starała się wyglądać na spokojną i opanowaną. Gdy dotarła do ulicy Konviktskiej, weszła po schodach pożarowych na dach budynku ze sklepem z bielizną i przeskoczyła nad półtorametrową czeluścią dzielącą ją od budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Thorna. Nie było tu świetlików ani drzwi pożarowych. Musiała znaleźć inny sposób, aby dotrzeć do celu.

Zeskoczyła z powrotem na sąsiedni dach i ruszyła przez kolejne kamienice, aż znalazła sznur do prania rozciągnięty między dwoma metalowymi słupkami. Odcięła nożem linę,

wróciła na dach budynku, w którym było mieszkanie ojca, i owinęła sznur wokół komina przewodu wentylacyjnego. Poza poświęcią jedynej ulicznej latarni panowała całkowita ciemność; księżyc był w nowiu i wyglądał niczym cienka żółta kreska zarysowana na niebie.

Sprawdziła wytrzymałość linki i upewniła się, że utrzyma jej ciężar. Powoli przeszła przez niski murek przy krawędzi dachu i opuściła się po linie, przekładając dłoń za dłonią, aż do okna na drugim piętrze. Zerkając przez szybę, dostrzegła, że mieszkanie pełne jest białoszarego dymu. Maya odbiła się od ściany i wybiła nogami szkło. Dym zaczął uchodzić przez wybity otwór i znikał w mrokach wieczoru. Kopnęła ponownie w szybę, i jeszcze raz, wyłamując stopami ostre kawałki szkła aż do samej ramy okna.

Za dużo dymu, pomyślała. Bądź ostrożna albo znajdziesz się w pułapce. Odbiła się najmocniej, jak się dało, i wpadała przez wybity otwór do wnętrza. Dym unosił się pod sufitem i uciekał przez rozbite okno. Niewielka przestrzeń do wysokości około metra nad podłogą wolna była od dymu. Maya na czworakach przepęzła przez pokój gościnny i natknęła się na ciało Rosjanina leżące obok szklanego stolika na kawę. Strzał z broni palnej. Postrzał klatki piersiowej. Kałuża krwi wokół martwego korpusu.

- Ojcze!

Wstała, ominęła ściankę działową i natrafiła na stos płonących książek i poduszek, ustawiony na środku stołu w jadalni. W pobliżu kuchni potknęła się o kolejne zwłoki - olbrzymiego mężczyzny z nożem wbitym w gardło.

Czyżby uprowadzili jej ojca? Został ich więźniem? Przeszła nad martwym wielkoludem i przeszła korytarzem do następnego pokoju. Po łóżku i dwóch lampach pełzały języki ognia. Na białych ścianach były rozmazane krwawe odciski dłoni.

Obok łóżka leżało na boku ciało mężczyzny. Twarzą był odwrócony w przeciwną stronę, jednak rozpoznała ubranie

i długie włosy ojca. Dym otaczał ją gęstym całunem, gdy znowu zeszła do pozycji na czworakach i podpełzła do niego, niczym małe dziecko. Zaczął dusić ją kaszel. Później się rozplakała.

- Ojcie! - krzyczała przez łzy - Ojcie!

Potem zobaczyła jego twarz.

Gabriel Corrigan i jego starszy brat Michael wychowywali się, cały czas będąc w drodze. Uważali się więc za ekspertów w dziedzinie zajazdów dla kierowców ciężarówek, tanich moteli klasy turystycznej i przydrożnych muzeów eksponujących kości dinozaurów. Podczas niekończących się podróży matka siadała na tylnym siedzeniu między dwoma braćmi i czytała im książki lub opowiadała różne historie. Jedną z ulubionych opowieści była ta o Edwardzie IV i jego bracie, księciu Yorku - dwóch młodych książętach uwięzionych w londyńskiej Tower przez Ryszarda III. W wersji opowiedzianej przez matkę więźniowie, którzy mieli być uduszeni przez jednego z królewskich giermków, zdołali odnaleźć tajne przejście i przepłynąć na drugą stronę fosy, odzyskując wolność. Przebrani w łachmany, w towarzystwie Merlina i Robin Hooda, bracia przeżyli liczne przygody w piętnastowiecznej Anglii.

Kiedy bracia Corriganowie byli jeszcze chłopcami, wcielali się w zaginionych książąt, myszkując po parkach i przydrożnych zajazdach. Teraz jednak, gdy już dorośli, Michael spoglądał z innej perspektywy na dawną zabawę.

- Zajrzałem do podręcznika historii - powiedział kiedyś. - Ryszard III załatwił sprawy po swoim. Obaj bracia zostali zgładzeni.

- Czy to coś zmienia? - zapytał Gabriel.

- Ona kłamała, Gabe. To tylko kolejne z jej zmyśleń. Mama opowiadała nam wszystkie te historie, kiedy dorastaliśmy, ale nigdy nie mówiła nam prawdy.

Gabriel zgodził się ze zdaniem brata - byłoby lepiej, gdyby znali wszystkie fakty. Czasami jednak rozkoszował się jedną z licznych opowieści matki. W niedzielę wyjechał z Los Angeles przed świtem i mknął motocyklem przez ciemność w kierunku miasta Hemet. Czuł się niczym zaginiony książę, samotny i przez nikogo nierozpoznany, gdy kupował benzynę na taniej stacji benzynowej i jadł śniadanie w małej kafejce. Kiedy zjeżdżał z autostrady słońce pojawiło się nad horyzontem na podobieństwo jaskrawego, pomarańczowego bąbla, który pokonał prawo grawitacji i popłynął w górę po niebie.

Lotnisko w Hemet składało się z pojedynczego asfaltowego pasa startowego, z którego spękań wyrastały chwasty, pobliskiego terenu dla samolotów oraz kilku nadgryzionych zębem czasu przyczep kempingowych i zapuszczonych baraków. Biuro skoków spadochronowych mieściło się w przyczepie o podwójnej szerokości, stojącej w pobliżu południowego krańca pasa startowego. Gabriel zaparkował motocykl obok wejścia i rozwiązał sznurki przytrzymujące jego sprzęt.

Skoki z dużej wysokości kosztowały słono. Gabriel poinformował Nicka Clarka, instruktora, że stać go na jeden skok miesięcznie. Od jego ostatnich odwiedzin tutaj minęło jednak zaledwie dwanaście dni. Kiedy wszedł do przyczepy, Nick uśmiechnął się niczym bukmacher pozdrawiający stałego klienta.

- Nie mogłeś się powstrzymać?

- Zarobiłem dodatkową forszę - odparł Gabriel. - Nie wiedziałem, na co ją wydać.

Wręczył Nickowi zwitek banknotów i poszedł do męskiej szatni założyć termiczną bieliznę oraz jednoczęściowy kombinezon.

Gdy pojawił się z powrotem, przybyła grupa pięciu Koreańczyków. Mieli na sobie zielono-białe uniformy, dźwigali drogi sprzęt i korzystali z laminowanych kart z użytecznymi angielskimi zwrotami. Instruktor oznajmił, że Gabriel będzie skakał razem z nimi. Koreańczycy po kolei uścisnęli dłoń Amerykanina i zrobili sobie z nim pamiątkowe zdjęcie.

- Ile skoków z dużej wysokości zaliczyłeś? - zapytał jeden z Azjatów.

- Nie prowadzę dziennika pokładowego - odparł młodszy z Corriganów.

Odpowiedź została przetłumaczona i wszyscy wydali się zaskoczeni.

- Prowadź dziennik pokładowy - odezwał się najstarszy z nich. - Będiesz znał ich liczbę.

Nick polecił Koreańczykom, aby przygotowali się skoku. Cała grupa przystąpiła do sprawdzania szczegółowej listy kontrolnej.

- Ci faceci podróżują po siedmiu kontynentach, żeby skakać z dużych wysokości - powiedział szeptem Nick. - Założę się, że to kosztuje kupę forsy Kiedy skakali nad Antarktydą, mieli na sobie specjalne kombinezony kosmiczne.

Azjaci spodobali się Gabrielowi, traktowali bowiem skoki poważnie, wolał jednak pozostać sam, gdy sprawdzał gotowość sprzętu. Już same przygotowania były przyjemnością, rodzajem medytacji. Kombinezon miał nałożony na ubranie. Sprawdził termiczne rękawice, kask i gogle, następnie dokonał drobiazgowego przeglądu spadochronów - głównego i pomocniczego, zweryfikował ułożenie linek, obejrzał rączkę uwalniającą czaszę. Na ziemi wszystkie elementy wyglądały całkiem zwyczajnie, ale kiedy będzie wysoko nad ziemią, ulegną przemianie.

Koreańczycy pstryknęli jeszcze kilka ujęć, następnie wcisnęli się do samolotu. Mężczyźni siedzieli obok siebie, po dwóch w rzędzie, i podłączyli przewody tlenowe do konsoli samolotu. Nick powiedział coś do pilota i samolot oderwał się od ziemi, rozpoczynając powolne wznoszenie na pułap dziewięciu tysięcy metrów. Maski tlenowe utrudniały rozmowę, a Gabriel z ulgą przyjął zakończenie konwersacji. Zamknął oczy i skoncentrował się na oddychaniu w akompaniamencie miękkiego syku tlenu podawanego przez maskę.

Nie cierpiał grawitacji i reakcji własnego organizmu. Ruchy klatki piersiowej i walenie serca odbierał jak mechaniczne suwy monotonnie pracującej maszyny. Kiedyś próbował wytłumaczyć to Michaelowi, ale wyczuł, że mówią różnymi językami.

- Nikt nie prosił się na ten świat, ale tak czy inaczej tu jesteśmy - oznajmił Michael. - Jest tylko jedno pytanie, na które powinniśmy sobie odpowiedzieć. Stoimy na szczycie góry czy u jej podnóża?

- Może góra jest bez znaczenia.

Michael sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Obaj pniemy się na szczyt góry - zawyrokował. - Tam właśnie zmierzam i zabieram cię ze sobą.

Gdy osiągnęli pułap sześciu tysięcy metrów, we wnętrzu samolotu pojawiły się kryształki lodu. Gabriel otworzył oczy i zobaczył, że Nick przeciska się wąskim przejściem ku ogonowi maszyny i uchyla drzwi na kilka cali. Gdy mroźne powiewy wtargnęły do kabiny, młodszy z braci Corriganów poczuł rosnące podniecenie. To było to. Moment wyzwolenia.

Nick spojrział w dół, wypatrując strefy zrzutów, cały czas rozmawiając z pilotem przez interkom. Następnie podszedł do każdego skoczka, dając sygnał gotowości. Wszyscy mężczyźni założyli gogle i dociągnęli maski. Minęły dwie lub trzy minuty. Każdy przymocował do lewej nogi niewielką zapasową butlę z tlenem. Gabriel pociągnął rączkę zaworu

swojej butli i jego maska lekko napęczniała. Gdy odłączył przewód tlenowy od konsoli, był gotów do skoku.

Znajdowali się już na wysokości, którą ma Mount Everest - najwyższa góra Ziemi - i zrobiło się bardzo zimno. Koreańczycy prawdopodobnie rozważali, czy nie przystanąć przy drzwiach i nie popisać się swoimi umiejętnościami, ale Nickowi zależało na tym, aby znaleźli się w bezpiecznej strefie, zanim w ich butlach wyczerpie się tlen. Wstawali kolejno, jeden po drugim, przechodzili ku drzwiom i wypadali w bezmiar nieba. Gabriel zajął siedzenie najbliższej kabiny pilota, dzięki czemu miał skakać ostatni. Przesuwał się powoli i udawał, że poprawia coś przy linkach spadochronu, chcąc być zupełnie sam, kiedy wyskoczy. Gdy dotarł do drzwi, *zmarnował jeszcze* kilka sekund, kierując w *stronę* Nicka dłoń z uniesionym do góry kciukiem, aż w końcu znalazł się poza samolotem i rozpoczął spadanie.

Przesunął środek ciężkości i obrócił się na plecy tak, że nad sobą widział wyłącznie bezkresną przestrzeń. Niebo było ciemnogrnatowe, ciemniejsze niż cokolwiek, co można było dostrzec, stojąc na ziemi. Granat północnego nieba z odległym świetlnym punkcikiem. To Wenus. Bogini miłości. W odkrytej części policzków zaczął odczuwać piekący ból, ale ignorował to, koncentrując się na obrazie nieba, absolutnie czystego świata, jaki go otaczał.

Dwie minuty na ziemi to czas przerwy na reklamę w telewizyjnym show, pół kilometra przejechanego w żółtym tempie na zatłoczonej autostradzie albo fragment popularnej piosenki o miłości. Jednak podczas opadania przez atmosferę każda sekunda nabrzmiewała jak mała gąbka zanurzona w wodzie. Gabriel przeleciał przez warstwę ciepłego powietrza i ponownie zanurzył się w dojmującym zimnie. Choć umysł miał pełen myśli, w ogóle nie myślał. Wszystkie wątpliwości i kompromisy związane z życiem na ziemi odeszły w nicość.

Wysokościomierz na jego przegubie zaczął wysyłać głośnie sygnały. Kolejny raz przesunął środek ciężkości

i obrócił się na brzuch. Spoglądał w dół na monotony brązowy krajobraz południowej Kalifornii oraz łańcuch odległych gór. Gdy zbliżył się do ziemi, był w stanie dostrzec samochody, osiedla domów jednorodzinnych oraz żółtawą mgiełkę zanieczyszczonego powietrza wiszącą nad autostradą. Pragnął opadać w nieskończoność, ale cichy głos gdzieś wewnątrz mózgu rozkazał mu pociągnąć za rączkę.

Spojrzał w górę, w niebo - starając się dokładnie zapamiętać jego wygląd - po czym nad jego głową otworzyła się czasza spadochronu.

Gabriel mieszkał w zachodniej części Los Angeles, w domu usytuowanym zaledwie pięć metrów od autostrady prowadzącej do San Diego. Wieczorami w kierunku północnym przez przełęcz Sepulveda sunęła żółta rzeka przednich świateł samochodów, a równoległy nurt czerwonych świateł tylnych przesunął się na południe, ku miejscowościom nadbrzeżnym oraz w stronę granicy z Meksykiem. Pan Varosian, właściciel lokalu, w którym mieszkał Gabriel, odkrył w swoim domu siedemnaścioro dorosłych i dzieci - wszystkich deportował do Salwadoru. Później dał ogłoszenie następującej treści: „Tylko jeden lokator, żadnych wyjątków”. Podejrzewał Gabriela, że jest zaangażowany w jakieś nielegalne interesy - agencję towarzyską lub handel kradzionymi częściami samochodowymi. Pan Varosian nie przejmował się częściami samochodowymi, wymagał jednak przestrzegania kilku zasad: „Żadnej broni. Żadnych narkotyków. Żadnych kotów”.

Do uszu Gabriela docierał nieustanny warkot zmierzających na południe samochodów osobowych. Każdego ranka podchodził do płotu z łańcuchów, otaczającego tylną stronę posesji, aby zobaczyć, co autostrada pozosta-

wiła na brzegu. Ludzie bez przerwy coś wyrzucali przez okna samochodów: opakowania dań z fast foodów, gazety, plastikową lalkę Barbie z utapirowanymi włosami, kilka telefonów komórkowych, nagryziony kawałek koziego sera, zużyte prezerwatywy, narzędzia ogrodnicze oraz plastikową urnę kremacyjną wypełnioną zębami i prochami.

Ściany stojącego osobno garażu były pokryte graffiti, a trawnik od frontu zarastał chwastami, ale Gabriel nigdy nie dotykał niczego na zewnątrz domu. Stanowiło ono swego rodzaju przebranie, jak łachmany noszone przez zaginionych księżąt. Minionego lata kupił od grupy religijnej na zorganizowanym przez nią spotkaniu nalepkę na zderzak samochodu. Widniał na niej napis: „Jesteśmy potępieni na wieczność, raktunkiem jest krew Zbawiciela”. Gabriel wyciął większą część tekstu, pozostawiając tylko słowa „potępieni na wieczność”, i umieścił nalepkę na drzwiach wejściowych. Gdy agenci od nieruchomości i domokrażcy wszelkiej maści zaczęli omijać dom z dala, poczuł się, jakby wygrał małą wojnę.

Wnętrze domu było schludne i miłe. Każdego ranka, gdy słońce ułożyło się już odpowiednio, pokoje wypełniały się światłem. Matka Gabriela powiedziała kiedyś, że rośliny oczyszczają powietrze i pobudzają pozytywne myślenie, hodował więc w domu ponad trzydzieści kwiatów doniczkowych - w koszach zawieszonych u sufitu i w naczyniach ustawionych na podłodze. Sypiał na materacu w jednej z sypialń, a cały swój ruchomy majątek przechowywał w kilku workach z grubego płótna. Hełm kempo i pozostały rymsztunek umieścił w specjalnej skrzyni obok stojaka, który podtrzymywał bambusowy miecz *shinai* oraz stary japoński miecz samurajów, otrzymany od ojca. Gdy Gabriel budził się w nocy i otwierał oczy, stojak wyglądał jak samurajski wojownik stojący na straży jego snów.

Druga sypialnia była pusta, jeśli pominąć kilkaset książek ustawionych w stosy pod ścianą. Zamiast zapisać się do biblioteki i szukać konkretnej pozycji, Gabriel czytał po

prostu każdą publikację, która wpadła mu w ręce. Kilku z jego klientów podarowało mu przeczytane książki, poza tym zbierał tomiki pozostawione w poczekalniach lub wyrzucone na poboczne autostrady. Były to tanie, popularne wydania w miękkich oprawach, z kuszącymi wzrok okładkami, a także techniczne biuletyny o stopach metali. W bibliotece miał też trzy powieści Dickensa ilustrowane akwarelami.

Gabriel Corrigan nie był członkiem żadnego klubu, nie należał również do żadnej partii politycznej. Był głęboko przekonany, że powinien kontynuować żywot z dala od Siatki. Według słownikowej definicji, „siatka” to układ równo od siebie oddalonych linii poziomych i pionowych, który można wykorzystać do określenia położenia konkretnego obiektu lub punktu. Spoglądając z określonej perspektywy na współczesną cywilizację, można było dojść do wniosku, że każde komercyjne przedsiębiorstwo czy też program rządowy stanowiły część ogromnej Siatki. Poszczególne linie i pola pozwalały każdego wytropić i określić jego dokładne położenie. Oni mogli wykryć niemal wszystko na temat każdego.

Siatka składała się z linii prostych umieszczonych na płaszczyźnie, mimo to wciąż jeszcze istniała możliwość prowadzenia ukrytej egzystencji. Można było szukać zajęć w szarej strefie albo przemieszczać się z taką szybkością, że linie nie nadążały z ustaleniem dokładnej lokalizacji. Gabriel nie miał konta bankowego ani karty kredytowej. Posługiwał się prawdziwym imieniem, ale na jego prawie jazdy widniało fałszywe nazwisko. Chociaż używał dwóch telefonów komórkowych - jednego do rozmów prywatnych, drugiego do służbowych - rachunki za oba przychodziły na firmę prowadzącą handel nieruchomościami należącą do brata.

Jedyne ogniwo łączące go z Siatką znajdowało się na biurku w pokoju gościnnym. Mniej więcej przed rokiem Michael podarował bratu komputer osobisty i załatwił podłączenie do dzierżawionej linii cyfrowej. Dzięki szperaniu

w Internecie Gabriel ściągnął z Niemiec pliki z *trance Musik*, hipnotycznymi kaskadami dźwięków produkowanymi przez didżejów związanych z tajemniczą grupą o nazwie *Die Neunen Primitiven*. Słuchanie tej muzyki pomagało mu zasnąć, kiedy wracał do domu na noc. Gdy zamykał oczy, słyszał kobiecy głos, który śpiewał: „Pożeracze lotosu zagubieni w Nowym Babilonie. Samotny pielgrzymie, znajdź drogę do domu”.

Uwięziony we śnie, spadał przez ciemność, przez chmury, śnieg i deszcz. Uderzył w dach domu i przeleciał przez cedrowy gont, papę oraz drewniane belkowanie. I znowu był dzieckiem, stał na korytarzu piętra wiejskiego domu w Południowej Dakocie. Dom ogarnięty był pożogą, łóżko rodziców, komoda i bujany fotel w ich pokoju dymiły i skwierczały lizane językami ognia. *Wydostań się*, mówił do siebie. *Odnajdź Michaela. Ukryj się*. Ale jego dziecięce wcielenie - malutka postać idąca korytarzem - zdawało się nie słyszeć ostrzeżeń dorosłego Gabriela.

Z tyłu za ścianą coś eksplodowało, usłyszał głuchy, dudniący odgłos. Następnie ogień przeniósł się na schody, obejmując stopnie i poręczę. Prerażony chłopiec stał jak wmurowany na środku korytarza, gdy w jego kierunku zmierzała ognista fala gorąca i bólu.

Telefon komórkowy, leżący obok niego na bawełnianym materacu, zaczął dzwonić. Gabriel podniósł głowę z poduszki. Była szósta rano, promienie słońca usiłowały przecisnąć się przez szczelinę między zasłonami. *Niesie nie pali*, powiedział do siebie. *Kolejny dzień*.

Włączył komórkę i usłyszał głos brata. Michael wydawał się zatroskany, ale to była norma. Od dzieciństwa odgrywał rolę starszego, odpowiedzialnego brata. Za każdym razem,

gdy słyszał w radio informacje o motocyklowym wypadku, dzwonił do Gabriela na numer telefonu komórkowego tylko po to, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Gdzie jesteś? - zapytał Michael.

- W domu. W łóżku.

- Dzwoniłem do ciebie wczoraj pięć razy. Dlaczego nie oddzwoniłeś?

- Była niedziela. Nie miałem ochoty rozmawiać z kimkolwiek przez telefon. Zostawiłem komórki w domu i pojechałem do Hemet skoczyć z wysoka.

- Rób sobie, co chcesz, Gabe. Ale mów mi, dokąd się wybierasz. Zawsze zaczynam się martwić, jeżeli nie wiem, gdzie jesteś.

- W porządku. Spróbuję zapamiętać. - Gabriel odwrócił się na bok, dostrzegł okute na szpicach buty do jazdy na motorze i skórzaną kurtkę rozrzucone po podłodze. - Jak minął weekend?

- Jak zwykle. Zapłaciłem kilka rachunków i zagrałem w golfa z dwójką gości z firmy deweloperskiej. Widziałeś się z mamą?

- Tak. W sobotę zająłem do hospicjum.

- Czy w nowym miejscu wszystko jest w należytym porządku?

- Mama jest zadowolona.

- Powinna być bardziej niż zadowolona.

Dwa lata wcześniej ich matka przeszła w szpitalu rutynową operację pęcherza moczowego i przy tej okazji lekarze wykryli złośliwego guza na ścianie otrzewnej. Chociaż podjęto leczenie chemioterapią, nowotwór zdołał się przerzucić na niemal cały organizm. Obecnie matka znajdowała się w hospicjum w Tarzana, podmiejskiej dzielnicy położonej w południowo-zachodniej części doliny San Fernando.

Bracia Corriganowie podzielili się obowiązkami w opiece nad matką. Gabriel odwiedzał ją co drugi dzień i rozmawiał z personelem hospicjum. Jego starszy brat wpadał tam raz na

tydzień i płacił za wszystko. Michael zawsze był podejrzliwy wobec lekarzy i pielęgniarek. Kiedy tylko dostrzegał niedostatek gorliwości, przenosił matkę do innego ośrodka.

- Ona nie chce opuszczać tego miejsca, Michael.
- Nikt nie mówi o opuszczaniu. Chcę tylko, żeby lekarze wykonywali swoje obowiązki.

- Lekarze nie są teraz ważni, kiedy wstrzymano leczenie mamy chemioterapią. Obecnie zajmują się nią pielęgniarki i personel pomocniczy.

- Jeśli pojawi się najmniejszy choćby problem, daj mi natychmiast znać. I uważaj na siebie. Pracujesz dzisiaj?

- Uhm. Tak sądzę.

- Ten pożar w rejonie Malibu wydaje się coraz groźniejszy pojawiła się też nowa pożoga na wschodzie, w pobliżu jeziora Arrowhead. Tam nie ma już żadnych podpalaczy z zapawkami. To musi być wina pogody.

- Śnił mi się pożar - odparł Gabriel. - Znowu byliśmy w starym domu w Południowej Dakocie. Paliło się na dole i nie mogłem się wydostać.

- Musisz przestać o tym myśleć, Gabe. To strata czasu.

- Nie chcesz wiedzieć, kim byli napastnicy, którzy nas zaatakowali?

- Mama podała nam z tuzin wyjaśnień. Wybierz jedno z nich i prowadź normalne życie.

W mieszkaniu Michaela zadzwonił drugi telefon.

- Nie wyłączaj komórki - rzucił na koniec. - Porozmawiamy po południu.

Gabriel wziął prysznic, naciągnął szorty do biegania i trykotową koszulkę i poszedł do kuchni. Zmieszał w mikserze odrobinę mleka, jogurt i dwa banany. Popijając mleczny koktajl, podlewał rośliny w wiszących koszach,

później wrócił do sypialni i zaczął się ubierać. Gdy był obnażony, na jego skórze można było dostrzec blizny po ostatnim wypadku motocyklowym: blade, białawe linie na lewej nodze i ramieniu. Kręcone, brązowe włosy i gładka cera nadawały mu chłopięcy wygląd, ale wrażenie to ulegało zmianie, kiedy założył na siebie dżinsy, trykot z długimi rękawami i ciężkie buty do jazdy motorem. Buty były solidnie podrapane i pozdzierane; to rezultat dynamicznego wchodzenia w zakręty z głębokim przechyłem. Skórzana kurtka również była pościerana, a mankiety i rękawy pociemniały od oleju silnikowego. Oba telefony podłączył do słuchawek z wbudowanym mikrofonem. Telefony z pracy docierały do lewego ucha. Linia prywatna była zastrzeżona dla ucha prawego. Podczas jazdy mógł włączyć każdy z telefonów, naciskając dłonią na zewnętrzną kieszonkę.

Młodszy z braci Corriganów wyszedł na tylne podwórze, niosąc jeden z motocyklowych kasków. Był październik i w południowej Kalifornii gorący wiatr Santa Ana wiał od północnych kanionów. Niebo nad Gabrielem było czyste, ale kiedy spojrzął w kierunku północno-zachodnim, dostrzegł powłokę ciemnoszarego dymu unoszącego się nad płonącymi okolicami Malibu. W powietrzu dawało się wyczuć atmosferę osaczenia i zamknięcia, jakby całe miasto zamieniło się w pokój bez okien.

Gabriel otworzył drzwi do garażu i zlustrował wzrokiem swoje trzy motocykle. Kiedy miał parkować w nieznannej okolicy, zwykle wyruszał yamahą RD400. Była to najmniejsza z maszyn, wgnieciona i kapryśna. Tylko najbardziej naiwny złodziej motorów mógłby się pokusić o kradzież takiego gruchota. Gabriel był też właścicielem VII Moto Guzzi - potężnego włoskiego jednoślada z napędem na wał i silnikiem dużej mocy - dosiadał go w weekendy i pokonywał nim długie trasy po pustyni. Tego ranka zdecydował się pojechać hondą 600 - sportową maszyną średniej wielkości, rozwijającą bez trudu prędkość

ponad 160 kilometrów na godzinę. Podniósł na lewarku tylne koło, spryskał łańcuch smarem w aerozolu i odczekał, aż mazidło wsiąknie między ogniwa. Wyglądało na to, że honda ma problemy z napędem łańcuchowym, znalazł więc w warsztacie śrubokręt oraz klucz francuski i wrzucił je do torby kurierskiej.

Odprężył się dopiero w momencie, gdy dosiadł stalowego rumaka i kopnął w rozrusznik. Wyruszając w drogę motocyklem, zawsze odnosił wrażenie, że opuszcza dom i miasto już na wieki, by jechać bez końca, aż zniknie w ciemnej mgle na horyzoncie.

Jadąc bez szczególnego celu, Gabriel skręcił w bulwar Santa Monica i skierował się na zachód, w stronę plaży. Zaczął się właśnie poranny szczyt. Kobiety zmierzające do pracy w swoich land-roverach popijały napoje z metalowych podróżnych kubków, podczas gdy przy skrzyżowaniach, ubrani w ostrzegawcze kamizelki, czekali ludzie zatrudnieni do przeprowadzania dzieci po pasach. Stojąc na czerwonym świetle, Gabriel sięgnął do zewnętrznej kieszeni i włączył służbowy telefon komórkowy

Oferował swoje usługi dwóm firmom kurierskim - Sir Speedy i konkurującej z nią Blue Sky Messengers. Właścicielem pierwszej był Artie Dressler, ważący ponad sto siedemdziesiąt kilogramów były adwokat, który rzadko opuszczał dom usytuowany w dzielnicy Silver Lake. Artie był subskrybentem kilku pornograficznych witryn internetowych i prowadził rozmowy telefoniczne, oglądając jednocześnie nagie studentki z college'u, malujące paznokcie u nóg. Konkurentów z Blue Sky Messengers i właścicielkę firmy, Laurę Thompson, darzył serdeczną nienawiścią. Laura pracowała kiedyś jako montażystka filmowa, obecnie mieszkała

w domu z kopułą przy Topanga Canyon. Wierzyła w wypróbną okrężnicę i jedzenie w kolorze pomarańczowym. Gdy światło zmieniło się na zielone, zadzwonił telefon i ze słuchawki dobiegł chrypliwy głos Artiego, mówiącego z akcentem z New Jersey:

- Gabe! To ja! Dlaczego wyłączyłeś telefon?
- Przepraszam. Zapomniałem.
- Oglądam na monitorze komputera ujęcia z ukrytej kamery. Dwie dziewczyny biorą razem prysznic. Na początku wszystko było okay, ale teraz na obiektywie osiada para.
- Brzmi interesująco.
- Masz do odebrania przesyłkę, adres: Santa Monica Canyon.
- Czy to blisko pożaru?
- Nie. W odległości kilku mil. Nie ma problemu. Ale w dolinie Simi wybuchła nowa pożoga. Ta z kolei jest całkowicie poza kontrolą.

Kierownica motocykla była umieszczona nisko, a podnóżki i siedzenie wyprofilowano w taki sposób, że ciało kierowcy było nieustannie pochylone do przodu. Gabriel odczuwał drgania silnika i słyszał, jak zmieniają się biegi. Gdy pędził z dużą prędkością, maszyna stawała się częścią niego, przedłużeniem jego ciała. Czasem końce kierownicy znajdowały się zaledwie o centymetry od mknących obok aut, kiedy jechał wzdłuż przerywanej białej linii dzielącej oba pasy ruchu. Patrzył przed siebie na ulicę i widział światła stopu, przechodniów, ciężarówki skręcające powoli i natychmiast wiedział, czy zatrzymać się, przyspieszyć czy też gwałtownie skręcić i ominąć przeszkodę.

Santa Monica Canyon to enklawa drogich domów zbudowanych w pobliżu dwupasmowej drogi prowadzącej w stronę plaży. Zabrał szarą kopertę spod czyichś drzwi i zawiózł ją do brokera od hipotek w zachodnim Hollywood. Gdy dojechał pod wskazany adres, zdjął kask i wszedł do biura. Nie cierpiał tego aspektu swojej profesji. Siedząc na motocyklu, mógł je-

chać, dokąd tylko chciał. Stojąc przed recepcjonistką czuł się ślamazarny, dociążony kurtką i ciężkimi butami.

Być znów na motorze. Uruchomić silnik kopnięciem rozrusznika. Jechać dalej.

- Kochany Gabrielu, czy mnie słyszysz? - był to głos Laury dobiegający ze słuchawek. - Mam nadzieję, że zjadłeś rano przyzwoite śniadanie. Złożone węglowodany pomagają utrzymać właściwy poziom cukru we krwi.

- Nie martw się. Przekąsiłem coś.

- To dobrze. Masz do odebrania przesyłkę w Century City.

Gabriel znał ten adres całkiem nieźle. Umawiał się na randki z kilkoma recepcjonistkami i sekretarkami, które poznał, dostarczając przesyłki, ale zaprzyjaźnił się z jedną tylko osobą - obrończynią w sprawach karnych o nazwisku Maggie Resnick. Mniej więcej przed rokiem zjawił się w jej biurze po odbiór pilnej przesyłki i był zmuszony czekać, gdy jej sekretarki szukały zgubionego gdzieś prawniczego dokumentu. Maggie zapytała go o pracę i skończyło się na rozmowie ciągnącej się godzinę - długo po tym, jak dokument został znaleziony. Zaproponował jej przejażdżkę motocyklem i był zdumiony, że przyjęła tę propozycję.

Maggie była drobną, pełną energii kobietą już po sześćdziesiątce; lubiła nosić czerwone sukienki i drogie buty. Artie Dressler powiedział, że broniła gwiazd filmowych i innych osobistości, gdy te popadały w kłopoty, ale prawniczka rzadko opowiadała o prowadzonych przez siebie sprawach. Traktowała Gabriela jak ulubionego siostrzeńca, niewykazującego nadmiaru odpowiedzialności. Uważała, że powinien pójść do collegeu. Otworzyć konto w banku. Kupić jakąś nieruchomość. Gabriel nigdy nie posłuchał żadnej z jej rad, ale podobało mu się, że troszczy się o niego.

Kiedy wjechał na dwudzieste drugie piętro, recepcjonistka skierowała go korytarzem do prywatnego biura Maggie. Wszedł do środka i zobaczył, że rozmawia przez telefon, w dłoni trzymając papierosa.

- Oczywiście, że możesz spotkać się z prokuratorem okręgowym, ale nie ma mowy o ugodzie Nie ma mowy o ugodzie, bo on nie ma tej sprawy Spróbuj go wybadać i oddzwoń do mnie. Będę na lunchu, ale przełączą rozmowę na moją komórkę.

Maggie odłożyła słuchawkę i strzepnęła popiół z papierosa.

- Szubrawcy. Wszyscy są zakłamanymi łajdakami.
- Masz dla mnie jakąś przesyłkę?
- Nie chodzi o przesyłkę. Chciałam się z tobą zobaczyć. Zapłacę Laurze za doręczenie.

Gabriel rozsiadł się wygodnie na kanapie i rozsunał zamek w kurtce. Na stoliku do kawy stała butelka z wodą, której nalał sobie do szklanki. Maggie pochyliła się do przodu, a na jej twarzy malowała się autentyczna wściekłość.

- Gabriel, uduszę cię własnymi rękami, jeśli zajmujesz się handlem narkotykami.

- Nie rozprawiam narkotyków.
- Opowiadałeś mi o swoim bracie. Nie powinieneś mieszać się w jego przekrety służące tylko temu, żeby mógł zrobić więcej pieniędzy.

- Maggie, on kupuje nieruchomości. To wszystko. Budynki biurowe.

- Mam taką nadzieję, kochanie. Obetnę mu język, jeśli wciągnie cię w jakieś nielegalne interesy.

- O co chodzi?
- Pracuję razem z byłym policjantem, który jest teraz konsultantem do spraw ochrony osobistej. Pomaga mi, jeśli jakiś szaleniec prześladowuje któregoś z moich klientów. Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zapytał mnie: „Czy znasz kuriera o imieniu Gabriel jeżdżącego na motocyklu? Poznałem go kiedyś na twoim urodzinowym przyjęciu”. Oczywiście odpowiedziałam: „Tak”. Wtedy on stwierdził: „Kilku moich znajomych wypytywało mnie o niego. Gdzie pracuje, gdzie mieszka”.

- Kim są ci ludzie?

- Tego mi nie powiedział - odparła Maggie. - Powinieneś jednak uważać na siebie, kochanie. Ktoś wpływowy interesuje się tobą. Czy uczestniczyłeś w wypadku samochodowym?

-Nie.

- Jakiś proces sądowy?

- Oczywiście, że nie.

- A jak z dziewczynami? - spojrzała na niego znacząco. - Ktoś zamożny? Jakaś zameżna kobieta?

- Poderwałem dziewczynę na twoim przyjęciu. Andreę...

- Andreę Scofield? Jej ojciec ma trzy winnice w Napa Valley - Maggie uśmiechnęła się. - To o to chodzi. Dan Scofield upewnia się, czy jesteś odpowiednim facetem.

- Kilka razy wybraliśmy się na wspólną przejażdżkę.

- Gabriel, nie martw się. Porozmawiam z Danem i powiem mu, żeby nie był zanadto opiekuńczy. A teraz znikaj stąd. Muszę przestudiować akt oskarżenia.

Gdy Gabriel szedł przez podziemny garaż, czuł się zaniepokojony i zrobił się podejrzliwy. Czy ktoś go teraz śledzi? Ci dwaj mężczyźni w sportowej furgonetce? Kobieta z aktówką zmierzająca do windy? Sięgnął do torby kurierskiej i dotknął ciężkiego francuza. W razie potrzeby mógł użyć go jako broni.

Rodzice zawsze zmieniali miejsce pobytu, gdy tylko się dowiadywali, że ktoś o nich pytał. On jednak od pięciu lat mieszkał w Los Angeles i nikt nie wyważył kopniakiem jego drzwi. Być może powinien posłuchać rad Maggie - pójść do szkoły i wziąć się za normalną pracę. Po wejściu w koordynaty Siatki życie staje się bardziej poważne.

Gdy uruchomił motocykl, opowieść matki znów powróciła z kojącą siłą. On i Michael byli zagubionymi książętami, przebranymi w łachmany, jednak pełnymi mocy i odwagi.

Gabriel z rykiem silnika zjechał z rampy wyjazdowej, włączył się do ruchu i ominął furgonetkę. Drugi bieg. Trzeci bieg. Szybciej. Znow był w drodze, zawsze w drodze, drobna isierka świadomości otoczona przez maszyny.

Michael Corrigan wierzył, że świat jest polem bitwy i pozostaje w stanie ciągłej wojny. Wojna ta obejmowała militarne kampanie na wysokim poziomie rozwoju technologicznego, organizowane przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników, a do tego dochodziły mniejsze konflikty między krajami trzeciego świata oraz ludobójcze ataki skierowane przeciwko różnym rasom, plemionom czy sektom religijnym. Oprócz tego były jeszcze bomby podkładane przez terrorystów, zamachy, snajperzy-szaleńcy w obłądnie strzelający do ludzi, gangi uliczne, wyznawcy różnych kultów oraz rozczarowani naukowcy rozsyłający pocztą do nieznanym osobom zarazki węglik. Imigranci z krajów ubogiego Południa płynęli przez granice szerokim strumieniem do krajów bogatej Północy, wlokąc ze sobą straszliwe nowe wirusy i bakterie atakujące ludzkie organizmy. Natura popadła w stan rozdrażnienia z powodu nadmiernego zaludnienia i zanieczyszczenia środowiska, rewanzowała się więc suszami i cyklonami. Czapa lodowa w rejonach polarnych topniała, poziom mórz się podnosił, warstwa ozonowa z kolei robiła się coraz cieńsza, co było efektem lotów samolotami odrzutowymi. Michael tracił niekiedy poczucie wyraźnie określonego zagrożenia, ale zawsze wystrzegał się niebezpieczeństw natury ogólnej. Wojna nie kończyła się nigdy. Rósł jedynie stopień jej eskalacji oraz zasięg, pochłaniała wciąż nowe ofiary, często w wyrafinowany sposób.

Michael mieszkał na dziesiątym piętrze wieżowca z wynajmowanymi apartamentami w zachodniej części Los Angeles. Umeblowanie i udekorowanie wnętrza zajęło mu cztery godziny Tego dnia, kiedy podpisał umowę wynajmu, pojechał do ogromnego centrum meblowego przy bulwarze Venice i wybrał gotowe zestawy do pokoju gościnnego, sypialni oraz gabinetu. Zaproponował również młodszemu bratu wynajęcie mieszkania w tym samym bloku i urządzenie go podobnymi meblami, ale Gabriel odmówił. Z jakichś przewrotnych powodów jego młodszy brat upierał się, aby mieszkać w najokropniejszym chyba domu w całym Los Angeles i wdychać spaliny z autostrady.

Gdyby Michael wychodził na niewielki balkon, widziałby w oddali Ocean Spokojny, ale nie uważał widoków za rzecz przydatną i zwykle zasłony były zaciągnięte. Po telefonie do Gabriela zrobił sobie kawę, zjadł proteinowy baton i przystąpił do obdzwaniania nowojorskich firm inwestujących w nieruchomości. Ze względu na różnicę czasu, wynoszącą trzy godziny, oni już urzędowali w swoich biurach, podczas gdy on wciąż paradował po salonie tylko w bieliźnie.

- Tommy! Tu Michael! Dostałeś już ofertę, którą ci posłałem? Co o niej sądzisz? Co powie na to komisja kredytowa?

Zazwyczaj ludzie z komisji kredytowych cechowali się tchórzostwem lub głupotą, ale nie było na to żadnej rady. W ciągu minionych pięciu lat znalazł dostateczną liczbę inwestorów, aby kupić dwa budynki biurowe, obecnie był zaś w końcowej fazie transakcji związanej z zakupem trzeciego biurowca przy bulwarze Wilshire. Michael spodziewał się, że komisja udzieli negatywnej odpowiedzi, i miał już przygotowane kontrargumenty.

Około ósmej rano otworzył szafę i wybrał parę szarych spodni oraz marynarkę w kolorze granatowym. Zawijając

czzerwony krawat, chodził po mieszkaniu między jednym a drugim odbiornikiem telewizyjnym. Gorącym tematem poranka były pożary i silne podmuchy wiatru Santa Ana. Kolejna pożoga, na wschód od łańcucha gór, nie dawała się opanować, na ekranie telewizora pokazywano ludzi ogarniętych paniką, wrzucających do samochodów albumy ze zdjęciami i naręcza ubrań.

Zjechał windą do podziemnego parkingu i wsiadł do mercedesa. Z chwilą, gdy wychodził z mieszkania, czuł się jak żołnierz wyruszający na bitwę, w której stawką były pieniądze. Jedyną osobą, na której mógł polegać, to Gabriel, ale oczywiste było, że jego młodszy brat nigdy nie weźmie się za prawdziwą pracę. Ich matka była ciężko chora, a Michael wciąż płacił za leczenie chemioterapią. *Me narzekaj, powiedział do siebie. Nie przestawaj walczyć.*

Gdy zaoszczędzi dostatecznie dużo forsy, kupi małą wyspę gdzieś na Pacyfiku. Ani on, ani Gabriel nie mieli teraz przyjaciółek i Michael nie był w stanie zdecydować, jaki typ żony byłby odpowiedni do życia w tropikalnym raj. W scenach z marzeń razem z Gabrielem jechali konno przez spienione fale, a ich żony, nieco poza centrum uwagi, stały na urwisku, odziane w długie, białe suknie. Świat był pełen ciepła i słońca, oni zaś byli bezpieczni, naprawdę bezpieczni. Na zawsze.

Pożar lasu wciąż pustoszył wzgórze na zachodzie, a niebo miało kolor musztardowożółty kiedy Gabriel dojechał do hospicjum. Zostawił motocykl na parkingu i wszedł do środka. Hospicjum, powstałe z zaadaptowanego dwukondygnacyjnego motelu, mogło pomieścić szesnastu nieuleczalnie chorych pacjentów. Anna, pielęgniarka z Filipin, siedziała za biurkiem w recepcji.

- Dobrze, że jesteś, Gabrielu. Twoja matka pytała o ciebie.

- Przepraszam, że nie przywiozłem dzisiaj pączków.

- Lubię pączki, ale one lubią mnie aż za bardzo - Anna przyjrzała się swojej pulchnej, brązowej ręce. - Musisz natychmiast zobaczyć się ze swoją matką. To bardzo ważne.

Personel pomocniczy nieustannie pracował, myjąc podłogi i zmieniając prześcieradła w łóżkach, mimo to w budynku zawsze czuć było odór uryny oraz zapach zwiędłych kwiatów. Gabriel wszedł po schodach na pierwsze piętro i poszedł dalej korytarzem. Fluorescencyjne świetlówki przy suficie buczały cicho i miękko.

Gdy wszedł do pokoju, matka była pogrążona we śnie. Jej ciało pod białym prześcieradłem zamieniło się w niewielką kłodę. Przy okazji każdej wizyty w hospicjum Gabriel usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądała matka, gdy on i Michael byli jeszcze mali. Lubiła wtedy śpiewać, kiedy była sama, najczęściej stare rockandrollowe kawałki w stylu *Peggy Sue* lub *Blue Suede Shoes*. Uwielbiała imprezy urodzinowe i każdy pretekst był dobry do urządzenia rodzinnego przyjęcia. Chociaż mieszkali w motelowych poko-

jach, zawsze pragnęła celebrować Arbor Day, przypadające w ostatni piątek kwietnia święto sadzenia drzew, a także noc świętojańską na powitanie lata.

Gabriel usiadł obok łóżka i wziął do ręki dłoń matki. Ponieważ była zimna, zacisnął swoją mocniej. W odróżnieniu od innych lokatorów hospicjum jego matka nie przywiozła ze sobą haftowanych jaśków ani fotografii w ramach, by zamienić sterylne pomieszczenie w namiastkę domu. Jedynym gestem, którym zaznaczyła swoją obecność w tym pokoju, była prośba odłączenia telewizora stanowiącego stałe wyposażenie. Kabel leżał zwinięty na półce i przypominał cienkiego czarnego węża. Raz na tydzień Michael posyłał do jej pokoju bukiet kwiatów. Ostatnia dostawa - trzy tuziny róż - pochodziła sprzed prawie siedmiu dni, a opadłe różane płatki utworzyły czerwony krąg wokół białego wazonu.

Pani Corrigan zamrugała powiekami i otworzyła oczy, później skierowała wzrok na syna. Minęło kilka sekund, zanim go rozpoznała.

- Gdzie jest Michael?
- Będzie tu w środę.
- Nie w środę. Za późno.
- Dlaczego?

Uwolniła swoją dłoń z jego uścisku i spokojnym głosem powiedziała:

- Dzisiejszej nocy umrę.
- O czym ty mówisz?
- Nie chcę więcej znosić bólu. Jestem zmęczona moją powłoką.

„Powłoka” była określeniem, którego matka używała w stosunku do własnego ciała. Każdy miał powłokę oraz odrobinę czegoś, co nazywała Światłem.

- Wciąż jesteś silna - oponował Gabriel. - Wcale jeszcze nie umierasz.

- Zadzwoń do Michaela i powiedz mu, żeby tu przyjechał.

Zamknęła oczy, a Gabriel wyszedł na korytarz. Stała tam Anna, trzymając w rękach czyste prześcieradła.

- Co ci powiedziała?
- Stwierdziła, że niebawem umrze.
- To samo powiedziała mi, kiedy rozpoczęłam zmianę.
- Który lekarz ma dziś dyżur?
- Chattarjee, ten Hindus. Ale teraz wyszedł na kolację.
- Wezwij go przez pager. Proszę. Natychmiast.

Anna zeszła na dół do recepcji, a Gabriel włączył telefon komórkowy. Wybrał numer Michaela. Brat odebrał po trzecim sygnale. Gdzieś w tle było słychać odgłosy tłumu.

- Gdzie jesteś? - zapytał.
- Stadion Dodgersów. Miejsca w czwartym rzędzie, tuż za bazą. Jest bosko.
- Jestem w hospicjum. Musisz tu natychmiast przyjechać.
- Wpadnę około dwudziestej trzeciej, Gabe. Może trochę później. Kiedy skończy się mecz.
- Nie. To nie może czekać.

Gabriel usłyszał nasilone odgłosy tłumu i stłumiony głos brata ze słowami przeprosin. Najwyraźniej Michael wstał z miejsca i szedł na górę po stopniach bejsbolowego stadionu.

- Nic nie rozumiesz - oznajmił Michael. - Nie jestem tu dla rozrywki. To jest biznes. Zapłaciłem mnóstwo szmalu za te miejsca. Ci bankierzy zamierzają sfinansować połowę mojego budynku.

- Mama stwierdziła, że umrze dzisiejszej nocy.
- Ale co powiedział lekarz?
- Wyszedł na kolację.

Któryś z graczy na boisku musiał zdobyć punkt, gdyż publiczność gromko wiwatowała.

- Znajdź go więc! - Michael usiłował przekrzyczeć ryk tłumu.

- Ona już podjęła decyzję. Myślę, że tak może się stać. Przyjedź tu najszybciej, jak możesz.

Gabriel wyłączył komórkę i wrócił do pokoju matki. Raz jeszcze wziął w swoje ręce dłoń matki, tym razem jednak upłynęło kilka minut, zanim otworzyła oczy.

- Czy Michael już jest?
- Zadzwoń do niego. Jest już w drodze.
- Myślałam o Fostersach...

Tego nazwiska nie słyszał nigdy wcześniej. Przy różnych okazjach matka wspominała o rozmaitych ludziach i opowiadała przeróżne historie, ale Michael miał rację - w żadnej z nich nie było odrobiny sensu.

- Kim byli ci Fostersowie?

- Przyjaciółmi z collegeu. Byli na naszym ślubie. Kiedy razem z waszym ojcem wyjechaliśmy na miesiąc miodowy, pozwoliliśmy im przenieść się do naszego mieszkania w Minneapolis. Ich dom był wówczas malowany...

Pani Corrigan zamknęła oczy, jakby starała się to wszystko zobaczyć.

- Kiedy wróciliśmy do domu z miodowego miesiąca, była tam już policja. Jacyś ludzie włamali się do naszego mieszkania i zastrzelili przyjaciół, gdy ci spali w naszym łóżku. Chcieli zabić nas, ale popełnili błąd.

- Chcieli was zabić? - Gabriel usiłował opanować głos. Nie chciał jej przestraszyć i przerwać rozmowy. - Czy schwytano zabójców?

- Twój ojciec wsadził mnie do auta i natychmiast odjechaliśmy. Wtedy właśnie wyjawiał mi, kim jest naprawdę...

- 1 kim był?

Jednak ona znów odpłynęła, dryfując w stronę światła cieni w połowie drogi między tą a tamtą stroną. Gabriel wciąż trzymał jej dłoń. Odpoczywała przez chwilę, później przebudziła się i kolejny raz zadała to samo pytanie.

- Czy Michael tu jest? Czy jedzie tu?

Doktor Chattarjee wrócił do hospicjum około ósmej wieczorem, Michael pojawił się kilka minut później. Jak zwykle był w żwawy i pełen energii. Przy recepcji zgromadził się mały tłumek, gdy starszy z braci Corriganów usiłował się dowiedzieć, co się dzieje.

- Moja matka stwierdziła, że niebawem umrze.

Chattarjee był uprzejmym mężczyzną niskiego wzrostu, ubranym w poplamiony lekarski kitel. Analizował kartę choroby matki, chcąc pokazać, że jest świadom powagi sytuacji.

- Chorzy na raka często mówią podobne rzeczy, panie Corrigan.

- Jakie są fakty?

Doktor zapisał coś na karcie.

- Ona może umrzeć za kilka dni albo za kilka tygodni.

Bardzo trudno cokolwiek wyrokować.

- Czy to się może stać dzisiaj nocy?

- Stan jej organów wewnętrznych nie uległ zmianie.

Michael odwrócił się od doktora Chattarjee i zaczął wchodzić schodami na piętro. Gabriel ruszył za bratem. Na klatce schodowej byli tylko oni dwaj. Nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Zwrócił się do ciebie „panie Corrigan”.

- Zgadza się.

- Od kiedy to zacząłeś się posługiwać naszym prawdziwym nazwiskiem?

Michael zatrzymał się na półpiętrze.

- Robię tak przez cały ostatni rok. Po prostu nie mówiłem ci o tym. Teraz mam już numer ubezpieczenia społecznego i płacę podatki- Nowy budynek przy bulwarze Wilshire zamierzam mieć legalnie.

- Ale teraz zostałeś namierzony przez Siatkę.

- Nazywam się Michael Corrigan, a ty Gabriel Corrigan.

To nasza prawdziwa tożsamość.

- Wiesz przecież, że tato powiedział...
- Do cholery z tym wszystkim, Gabe! Nie możemy wciąż wracać do tej samej rozmowy. Nasz ojciec był wariatem. A mama była zbyt słaba i ulegała mu.
- To dlaczego ci ludzie nas zaatakowali i podpalili nasz dom?
- Z powodu ojca. Widocznie popełnił jakiś błąd, wdał się w nielegalne interesy. Nie jesteśmy niczemu winni.
- Ale Siatka...
- Siatka to po prostu życie we współczesnym świecie. Każdy musi sobie z tym jakoś poradzić - Michael wyciągnął rękę i dotknął ramienia Gabriela. - Jesteś moim bratem, prawda? Ale także moim najlepszym przyjacielem. Robię to dla nas obu. Przysięgam na Boga. Nie możemy wciąż zachowywać się jak karaluchy chowające się w ścianie za każdym razem, gdy ktoś zapali światło.

Bracia weszli do pokoju i stanęli po obu stronach łóżka, Gabriel dotknął ręki matki. Odniósł wrażenie, że z jej ciała odpłynęła cała krew.

- Obudź się - powiedział miękko. - Michael tu jest.
Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, gdy ujrzała obu synów
- No, jesteście wreszcie - odezwała się z cicha. - Śniliście mi się obaj.

- Jak się czujesz? - zapytał starszy syn.

Michael spoglądał na twarz i ciało matki, oceniając jej stan. Napięte ramiona i szybkie ruchy rąk wskazywały, że jest zmartwiony, ale Gabriel wiedział, że jego brat nigdy tego nie okaże. Nigdy nie akceptował żadnej słabości; wręcz przeciwnie, zawsze parł do przodu.

- Wydaje mi się, że jesteś silniejsza.

- Och, Michael - matka z trudem uśmiechnęła się do niego, jakby przed chwilą zostawił zabłocone ślady na kuchennej

podłódze. - Proszę, nie mów w ten sposób. Nie dzisiejszego wieczoru. Muszę wyjawić wam prawdę o waszym ojcu.

- Znamy już wszystkie te opowieści - oznajmił Michael. - Nie zaczynamy tego znów dzisiaj wieczorem. Dobrze? Musimy porozmawiać z lekarzem i zapewnić ci pełny komfort.

- Nie. Pozwól jej mówić. - Gabriel pochylił się nad łóżkiem. Poczł podniecenie i odroWnę strachu. Być może nadeszła chwila, kiedy w końcu wszystko się wyjaśni, a oni poznają przyczyny niedoli ich rodziny.

- Zdaję sobie sprawę, że opowiadałam wam niestworzone rzeczy - wydusiła z siebie matka. - Przykro mi. Większość z tych historii mijała się z prawdą. Po prostu chciałam was chronić.

Michael spoglądał w poprzek łóżka i triumfalnie potakiwał głową. Gabriel wiedział, co jego brat pragnie powiedzieć: „Widzisz? Zawsze ci powtarzałem - wszystko to czcze wymysły”.

- Czekałam zbyt długo - kontynuowała wyznanie pani Corrigan. - Tak trudno to wyjaśnić. Wasz ojciec był... Kiedy powiedział... Nie zrozumiałam... - jej usta drżały, jakby tysiące słów zmagalo się ze sobą, by mogły zostać wypowiedziane. - Był Travelerem.

Spojrzała na Gabriela. „Uwierz mi”, te słowa wyrażała jej twarz. „Błagam. Uwierz mi”.

- Mów dalej - zachęcił ją młodszy syn.

- Travelerzy posiadli zdolność emitowania energii na zewnątrz ciała i przechodzenia do innych wymiarów. Z tego właśnie powodu Tabulowie wypowiedzieli im wojnę na śmierć i życie.

- Mamo, przestań mówić. To odbiera ci resztkę sił - Michael wyglądał na zmieszanego. - Sprowadzimy tu lekarza i postaramy się, żebyś poczuła się lepiej.

Pani Corrigan uniosła głowę nad poduszkę.

- Mam za mało czasu, Michael. Nie mam już wcale czasu.

Musicie mnie wysłuchać. Tabulowie usiłowali... - znów zaczęła gubić wątek. - A potem my...

- Już dobrze. Już dobrze - wyszeptał Gabriel, niemal skandując.

- Arlekin imieniem Thorn odnalazł nas, kiedy mieszkaliśmy w Vermont. Arlekini to ludzie niebezpieczni, bardzo brutalni i okrutni, ale zaprzysiężeni w misji chronienia Travelerów Przez kilka lat byliśmy bezpieczni, ale później Thorn nie mógł dłużej bronić nas przed Tabularni. Dał nam pieniądze i zostawił miecz.

Jej głowa opadła na poduszkę. Każde słowo osłabiało ją, zabierając ze sobą maleńki okruch życia.

- Obserwowałam, jak dorastacie - podjęła. - Obserwowałam was obu, wypatrując znaków. Nie wiem, czy macie zdolność przechodzenia do innych światów Jeśli jednak dysponujecie tą mocą, musicie ukrywać się przed Tabularni.

Zacisnęła mocno powieki, gdy spazm bólu ogarnął całe jej ciało. Michael, pełen rozpacz, dotknął dłonią jej twarzy

- Jestem tu. Gabe też tu jest. Będziemy cię chronić. Wynajmę więcej lekarzy, wszystkich specjalizacji...

Pani Corrigan oddychała głęboko. Jej ciało zeszywniało, później mięśnie się rozluźniły. Odnieśli wrażenie, że w pokoju nagle zrobiło się chłodno, jak gdyby jakaś forma energii wymknęła się z pomieszczenia przez szczelinę u dołu drzwi. Michael odwrócił się i wybiegł z pokoju, wzywając pomocy. Gabriel wiedział jednak, że to koniec.

Po tym, jak doktor Chattarjee stwierdził zgon, Michael otrzymał w recepcji listę miejscowych zakładów pogrzebowych i zadzwonił z komórki do jednego z nich. Podał adres hospicjum, poprosił o standardową kremację i na koniec podyktował numer karty kredytowej.

- Wszystko w porządku? - spytał Gabriela.

- Jasne.

Gabriel czuł się otumaniony i ogromnie zmęczony. Spoglądał na obiekt przykryty teraz białym prześcieradłem. Powłoka pozbawiona Światła.

Pozostali przy jej łóżku do przyjazdu dwóch pracowników domu pogrzebowego. Ciało zostało wsunięte do foliowego worka, umieszczone na noszach i zaniesione na dół do nieoznakowanego ambulansu. Kiedy samochód odjeżdżał, obaj bracia Corriganowie stali pod światłem sygnalizacyjnym.

- Miałem jej kupić dom z wielkim ogrodem, jak zarobię odpowiednio dużo forsy - odezwał się Michael. - Sądzę, że to by się jej spodobało.

Rozglądał się po parkingu, jakby zgubił coś wartościowego.

- Kupno domu dla niej było jednym z moich celów.

- Musimy porozmawiać o tym, co nam powiedziała.

- Porozmawiać o czym? Czy jesteś w stanie wyjaśnić mi cokolwiek? Mama opowiadała nam historie o duchach i gadających zwierzętach, nigdy jednak nie wspominała o nikim, kto nazywałby się „Travelerem”. A jeżeli chodzi o podróżę, to jedyną, jaką odbyliśmy, była tułaczka tym przeklętym pikapem.

Gabriel był świadom tego, że Michael ma rację - słowa ich matki zdawały się pozbawione jakiegokolwiek sensu. Zawsze był przekonany, że kiedyś poda im prawdziwe wyjaśnienie nieszczęść, które przytrafiły się ich rodzinie. Teraz nigdy się już nie dowiedzą.

- Ale może część z tego jest prawdą. Na swój sposób...

- Nie chcę się z tobą spierać. To był długi wieczór i obaj jesteśmy zmęczeni.

Michael wyciągnął ramiona i przytulił młodszego brata.

- Zostaliśmy teraz tylko my dwaj. Musimy wspierać się nawzajem. Wyśpij się dobrze i porozmawiamy rano.

Michael wsiadł do mercedesa i wyjechał z parkingu. W chwili, gdy Gabriel siadał na siodełku motocykla, uru-

chamiał silnik i podkręcał obroty, Michael prawie już skręcał w bulwar Ventura.

Księżyc i gwiazdy były przesłonięte smugami gęstego dymu. Drobiny popiołu uniosły się w powietrzu i przylgnęły do pleksiglasowej osłony na jego kasku. Wrzucił kopnięciem trzeci bieg i ruszył pędem przez skrzyżowanie. Spoglądając przed siebie w dół bulwaru, zobaczył, jak Michael skręca na wjazd prowadzący do autostrady. Kilkaset jardów za mercedesem jechały cztery samochody.auta przyspieszyły, utworzyły grupę i również skręciły na wjazd.

Wszystko to działo się nadzwyczaj szybko, ale Gabriel zdał sobie sprawę, że ludzie w samochodach byli razem i śledzili jego brata. Wrzucił czwarty bieg i przyspieszył. W nogach i ramionach czuł wibracje silnika. Zwrot w lewo. Teraz w prawo. I był wreszcie na autostradzie.

Dogonił kolumnę aut mniej więcej milę dalej. Miał przed sobą dwie nieoznakowane furgonetki oraz dwa samochody sportowe z tablicami rejestracyjnymi stanu Nevada. Wszystkie cztery auta miała przyciemniane szyby i trudno było dostrzec, kto siedzi w środku. Michael nie zmienił tempa jazdy, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Gdy Gabriel obserwował rozwój wypadków, jedno ze sportowych aut wyprzedziło mercedesa Michaela, jadąc lewym pasem, drugie zaś siadło mu na ogonie. Ludzie w czterech samochodach działali w porozumieniu - wykonywali skoordynowane manewry, szykując się do kolejnego ruchu.

Michael zjechał na prawy pas, gdy jego brat dojeżdżał do zjazdu prowadzącego ku autostradzie do San Diego. Wszystkie pojazdy mknęły z tak ogromną prędkością, że światła zdawały się zostawiać za nimi jasne smugi. Pochylił przy zakręcie w lewo. Łagodne hamowanie... i już wyjeżdżali z zakrętu na szczycie wzgórza, zmierzając ku przełęczy Sepulveda.

Przejechali kolejną milę, następnie jadący przed mercedesem samochód sportowy zaczął zwalniać, jednocześnie

jedna z furgonetek zjechała na lewy, a druga na prawy pas. Teraz starszy z Corriganów znalazł się w potrzasku utworzonym przez cztery auta. Gabriel był już dostatecznie blisko, by usłyszeć, jak jego brat naciska klakson. Mercedes zjechał parę cali w lewo, ale kierowca w sportowym aucie odbił ostro w przeciwną stronę, uderzając w bok oszczynego samochodu. Cztery auta prześladowców zaczęły razem zwalniać, gdy Michael usiłował rozpaczliwie wydostać się z matni.

Rozległ się dzwonek w telefonie komórkowym Gabriela. Włączył go i usłyszał przerażony głos starszego brata.

- Gabe! Gdzie jesteś?

- Pięćset jardów za twoim autem.

- Wpadłem w tarapaty. Ci faceci walą w mój samochód.

- Nie zatrzymuj się. Postaram się uterować ci drogę.

Gdy jego motocykl podskoczył na wyboju, poczuł uderzenie czegoś ciężkiego w kurierskiej torbie. Wciąż miał przy sobie klucz francuski i śrubokręt. Trzymając kierownicę prawą ręką, otworzył zapięcie na rzepy, wsunął rękę do torby i chwycił francuza. Przyspieszył i wjechał między mercedesa a furgonetkę sunącą prawym skrajnym pasem.

- Przygotuj się - powiedział przez telefon do brata. - Jestem już obok ciebie.

Gabriel zbliżył się do furgonetki i walnął z całej siły w boczną szybę. Szkło pokryło się gęstą siateczką linii. Zamachnął się po raz drugi i szyba rozprysła się na drobne kawałki.

Przez krótki moment dostrzegł kierowcę - młodego mężczyznę z kolczykiem w uchu i ogoloną głową. Był najwyraźniej zaskoczony, gdy Gabriel grzmotnął ciężkim kluczem w jego twarz. Furgonetka skręciła nagle w prawo i uderzyła w barierkę. Rozległ się zgrzyt metalu trącego o metal, snop iskier wystrzelił w ciemność. *Jedź dalej*, pomyślał Gabriel. *Nie oglądaj się za siebie*. Sunąc za bratem, skręcił z autostrady i wjechał na zjazd.

Cztery auta nie skręciły z autostrady, ale Michael pędził, jakby prześladowcy wciąż za nimi gonili. Gabriel zauważył, że trudno mu nadążyć za bratem, gdy jechał za nim przez wzgórze. Próbował zadzwonić do brata na telefon komórkowy, ale Michael gestem nakazywał: „Dalej, dalej!”. Ze stopą na gazie mknął przez kanion stromą drogą, przy której wystrzeliwały w niebo bogate rezydencje o fundamentach podpartych cienkimi metalowymi pylonami. Po kilku szybkich zakrętach dojechali do wzgórz, z których rozciągał się widok na dolinę San Fernando. Michael zjechał z drogi i zatrzymał się na parkingu obok zabitego deskami kościoła. Po asfalcie walały się puste butelki i puszki po piwie.

Gabriel ściągnął motocyklowy kask, gdy jego brat wysiadł z samochodu. Michael wyglądał na rozdrażnionego i zmęczonego.

- To byli Tabulowie - zawyrokował Gabriel. - Wiedzieli, że matka jest umierająca i że jedziemy do hospicjum. Czekali przy bulwarze i zdecydowali, że schwytają najpierw ciebie.

- Ci ludzie nie istnieją. Nigdy nie istnieli.

- Przestań, Michael. Widziałem, jak te oprychy usiłowały zepchnąć cię z drogi.

- Niczego nie rozumiesz - Michael zrobił kilka kroków w poprzek parkingu i kopnął pustą puszkę. - Pamiętasz, kiedy kupowałem pierwszy budynek przy Melrose Avenue? Jak myślisz, skąd wzięłem pieniądze?

- Mówiłeś, że dostałeś je od inwestorów ze Wschodniego Wybrzeża.

- Dostałem je od ludzi, którzy nie przepadają za płaceniem podatku dochodowego. Mają mnóstwo szmalu, którego nie da się ulokować na bankowych kontach. Większość forsy pochodziła od gangstera z Filadelfii, Vincenta Torrellego.

- Dlaczego robisz interesy z kimś takim?

- A miałem inne wyjście? - w głosie Michaela zabrzmiały buńczuczne nuty - Bank odmówił mi kredytu. Nie posługiwałem się prawdziwym nazwiskiem. Wziąłem więc pieniądze od Torrellego i kupiłem budynek. Rok temu oglądałem wiadomości i zobaczyłem zwłoki mafiosa zastrzelonego pod kasynem w Atlantic City. Kiedy nie odezwał się nikt z jego rodziny ani przyjaciół, przestałem przysyłać raty ze spłatą pożyczki na adres skrytki pocztowej w Filadelfii. Vincent miał wiele sekretów. Doszedłem do wniosku, że nie wtajemniczył nikogo w sprawę swojej inwestycji w Los Angeles.

- I teraz cię odnaleźli?

- Sądzę, że tak właśnie się stało. Nie chodzi o „Travelerów” i wszystkie te pomylone historie, które mama nam opowiadała. Chodzi o paru facetów z mafii, którzy pragną odzyskać swoje pieniądze.

Gabriel wrócił do motocykla. Gdy spojrzął ku wschodowi, widział dolinę San Fernando. Zdeformowane soczewkami zanieczyszczonego powietrza, latarnie uliczne w kotlinie rzucały zmatowiałe pomarańczowe światło. W tym momencie pragnął jedynie dosiąść stalowego rumaka i pojechać na pustynię, znaleźć miejsce, gdzie widziałby tylko rozgwieżdżone niebo, gdy reflektor jego motocykla omiatałby wyboje pustynnej drogi. Pragnął zniknąć. Przepaść bez śladu. Oddałby wszystko, żeby tylko zagubić własną przeszłość, oddać poczucie, że jest zamknięty w kolosalnym więzieniu.

- Przykro mi - powiedział Michael. - Sprawy szły we właściwym kierunku. Ale teraz wszystko się pochrzało.

Gabriel spojrzął na starszego brata. Kiedyś, gdy mieszkali w Teksasie, ich matka była do tego stopnia zestresowana i roztargniona, że zupełnie zapomniała o zbliżającym się

Bożym Narodzeniu. W Wigilię nie było w domu niczego, co wiązałyby się z Gwiazdką, ale następnego ranka Michael pojawił się z sosnowym drzewkiem i gramami wideo' podwędzonymi w sklepie ze sprzętem elektronicznym. Bez względu na to, co się wydarzy, zawsze pozostaną braćmi - ich dwóch przeciwko całemu światu.

- Zapomnij o tych ludziach, Michael. Wynośmy się z Los Angeles.

- Daj mi dzień albo dwa. Może będę w stanie jakoś to wszystko wyprostować. Póki co, zameldujemy się w jakimś motelu. Powrót do domu byłby ryzykowny.

Obaj bracia spędzili noc w motelu położonym na północ od miasta. Pokoje były oddalone o jakieś czterysta metrów od autostrady Ventura, a odgłos przejeżdżających samochodów dobiegał przez okna. Gdy Gabriel zbudził się o czwartej nad ranem, usłyszał, jak Michael rozmawia w łazience przez komórkę.

- Mam przecież wybór - mówił ściszym głosem. - Z twoich słów wynika jednak, że nie mam żadnego.

Rano Michael pozostał w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Gabriel wyszedł z pokoju i w pobliskiej restauracji kupił kilka ciepłych bułek oraz kawę. Zdjęcie z tytułowej strony gazety umieszczonej na stojaku ukazywało dwóch mężczyzn uciekających przed ścianą ognia, a wielki nagłówek obwieszczał: *Silne wiatry rozdmuchują pożogę w Southland.*

Gdy wrócił do pokoju, Michael już wstał i wziął prysznic. Teraz czyścił buty wilgotnym ręcznikiem.

- Ktoś tu się wybiera na spotkanie ze mną. Myślę, że potrafi rozwiązać problem.

- Kto to jest?

- Naprawdę nazywa się Frank Salazar, ale wszyscy nazywają go Mr Bubble. Kiedy dorastał we wschodniej części

Los Angeles, obsługiwał w klubie tanecznym maszynę do puszczania baniek mydlanych.

Gdy Michael oglądał w telewizji biznesowy biuletyn informacyjny, Gabriel leżał na łóżku i spoglądał w sufit. Zamknął oczy i wraz z motocyklem znalazł się na górnym odcinku trasy szybkiego ruchu prowadzącej do Angeles Crest. Wchodząc w zakręty, redukował prędkość, a zielony świat wokół umykał do tyłu.

Ktoś zapukał. Starszy z Corriganów wyjrzał zza zasłony i otworzył drzwi. Na korytarzu stał ogromny Samończyk o szerokiej twarzy, z gęstą czarną czupryną. Miał na sobie rozpiętą hawajską koszulę nałożoną na T-shirt i nie starał się nawet ukryć pochwy pod ramię z automatycznym pistoletem kaliber 45.

- Cześć, Deek. Gdzie twój boss?

- Został w bryce. Muszę najpierw sprawdzić teren.

Samończyk wszedł do środka i zlustrował łazienkę, a następnie szafę. Wsunął swoje ogromne dłonie pod pościel i obadał każdą poduszkę na kanapie. Michael uśmiechał się, jakby nie było w tym nic niezwykłego.

- Żadnej broni, Deek. Wiesz przecież, że niczego nie noszę.

- Bezpieczeństwo to najważniejsza sprawa. To właśnie Mr Bubble powtarza przez cały dzień.

Po zrewidowaniu obu braci Deek wyszedł i powrócił po minucie z drugim gorylem, łysym Latynosem, oraz starszym mężczyzną w dużych przyciemnionych okularach i turkusowej koszuli do golfa. Twarz Mr Bubblea pokrywały plamy wątrobowe, na szyi można zaś było dostrzec różową bliznę po zabiegu chirurgicznym.

- Poczekajcie na zewnątrz - polecił ochroniarzom, a następnie zamknął drzwi.

Mr Bubble uściśnął dłoń Michaela.

- Miło cię widzieć - jego głos był miękki i chropawy. - Kim jest twój przyjaciel?

- To mój brat Gabriel.

- Rodzina to dobra rzecz. Zawsze trzymaj się rodziny - starszy mężczyzna przeszedł na drugą stronę i uściśnął dłoń Gabriela. - Ma pan bystrego brata. Być może tym razem nieco zanadto bystrego.

Mr Bubble bez zaproszenia zajął miejsce w fotelu obok telewizora. Michael przysiadł na wprost niego w narożniku łóżka. Od czasu, kiedy uciekli z farmy w Południowej Dakocie, Gabriel niezmiennie oglądał sceny, w których jego starszy brat usiłował przekonać obcych ludzi, że powinni coś od niego kupić lub stać się częścią jego planu. Mr Bubble nie zamierzał wdać się w targi. Trudno było dostrzec jego oczy za przyciemnionymi szklami okularów, a usta były lekko uśmiechnięte, jak gdyby szykował się do oglądania komediowego spektaklu.

- Rozmawiałeś ze swoimi przyjaciółmi w Filadelfii? - zapytał Michael.

- Zaaranżowanie tego zajmie trochę czasu. Będę chronił ciebie i twojego brata przez kilka dni do czasu, gdy problem zostanie rozwiązany. Oddamy rodzinie Torrellego budynek Melrose. W ramach zapłaty przejmę twoje udziały w nieruchomości Fairfax.

- To za wiele jak na jedną przysługę - zaproponował Michael. - Wtedy nic mi nie zostanie.

- Popelniłeś błąd, Michael. Teraz paru ludzi pragnie cię ukatrupić. Tak czy inaczej, problem musi być rozwiązany.

- Być może masz rację, ale...

- Bezpieczeństwo to najważniejsza sprawa. Stracisz kontrolę nad obydwoma biurowcami, ale pozostaniesz wśród żywych - wciąż się uśmiechając, Mr Bubble odchylił się na oparcie fotela. - Potraktuj to jako nauczkę na przyszłość.

Maya zabrała z hotelu Kampa kamerę oraz statyw, zostawiając walizkę i resztę rzeczy. W pociągu do Niemiec przyjrzała się dokładnie sprzętowi wideo, ale nie znalazła żadnego koralika sygnalizacyjnego. Nie ulegało wątpliwości, że jej życie zwykłego obywatela odeszło w przeszłość. Gdy Tabulowie odkryją zwłoki taksówkarza, rozpoczną polowanie na nią i zabiją ją przy pierwszej sposobności. Wiedziała, że bardzo trudno będzie się przed nimi ukryć. Tabulowie zrobili jej prawdopodobnie wiele zdjęć w czasie, gdy mieszkała w Londynie. Mogli też mieć odciski jej palców, skan głosu oraz próbki DNA jej tkanek, pozyskane z kosza na śmieci w jej biurze.

Gdy dojechała do Monachium, podeszła na dworcu do kobiety z Pakistanu i zapytała o adres sklepu z muzułmańską odzieżą. Pragnęła ukryć się całkowicie pod niebieską burką noszoną przez mieszkanki Afganistanu, ale ciężka odzież utrudniała posługiwanie się bronią. Ostatecznie kupiła czarny czador, którym zakryła europejskie ubranie, na głowę szal *hijab* oraz ciemne okulary. Po powrocie na stację kolejową zniszczyła swoje brytyjskie dokumenty i sięgnęła po zapasowy paszport, przeistaczając się tym samym w Gretchen Voss, studentkę medycyny, której ojciec był Niemcem, a matka Iranką.

Podróż samolotem była niebezpieczna, do Paryża pojechała zatem pociągiem, przeszła na stację Gallieni Metro i wsiadła do czarterowego autobusu kursującego codziennie do Anglii. Pojazd przepełniony był gasterbeiterami z Sene-

galu oraz całymi rodzinami z północnej Afryki, wiozącymi worki używanej odzieży. Gdy autobus dojechał do kanału La Manche, wszyscy wysiedli i przeszli na ogromny prom. Maya obserwowała brytyjskich turystów kupujących alkohol w sklepie wolnocłowym, wrzucających monety w otwory automatów do gier i oglądających sitcom na ekranie telewizora. Życie biegło normalnym torem - niemal monotonnym i nużącym - jeśli było się zwykłym obywatelem. Wydawało się, że oni nie zdają sobie z tego sprawy - lub się tym nie przejmują - że ciągle są inwigilowani przez Rozległą Sieć.

W Wielkiej Brytanii zdołano już zamontować cztery miliony kamer w układach zamkniętych, przy czym mniej więcej jedna kamera przypadła na piętnastu mieszkańców, a obserwacją byli objęci wszyscy. Thorn powiedział jej kiedyś, że każda osoba pracująca w Londynie w ciągu jednego dnia mogła być fotografowana przez ponad trzysta różnych kamer monitorujących. Kiedy urządzenia te pojawiły się po raz pierwszy, rząd przeprowadził akcję reklamową na billboardach, informując każdego obywatela, że będzie „Bezpieczny pod czujnymi oczami”. Pod pretekstem nowego prawa antyterrorystycznego przykład Wielkiej Brytanii został powielony przez wszystkie państwa uprzemysłowione.

Maya zastanawiała się, czy obywatele świadomie decydowali się na ignorowanie tej stałej ingerencji w ich życie. Większość z nich wierzyła szczerze, że kamery chronią ich przed atakiem przestępców i terrorystów. Ludzie ci wychodzili z założenia, że wciąż pozostają anonimowi, gdy przemierzają ulice miast. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z rzeczywistego potencjału nowego oprogramowania skanującego twarze. Z chwilą, gdy kamera monitorująca wykonała zdjęcie czyjegoś oblicza, było ono transponowane do ujęcia samej głowy o ujednoliconym formacie, kontraście i jasności, co pozwalało na porównanie z fotografiami umieszczonymi w paszportach i prawach jazdy.

Programy skanujące potrafiły rozpoznać twarze konkretnych osób, ale administracja rządowa dysponowała możliwością wykorzystywania kamer do wykrywania nietypowych zachowań. Programy pod kryptonimem „Cień” funkcjonowały już w Londynie, Las Vegas i Chicago. Komputery analizowały kadry wykonywane przez kamery w odstępach jednosekundowych i alarmowały policję natychmiast, gdy ktoś pozostawił pakunek przed publicznym budynkiem lub zaparkował samochód przy zjeździe z autostrady. „Cień” rejestrował każdego, kto spacerował ulicami wielkiego miasta i obserwował świat, zamiast wlec się noga za nogą do pracy. Francuzi mieli już dawno określenie na takich ludzi - *fldneur* - ale patrząc z perspektywy Rozległej Sieci, każda osoba ociągająca się na rogach ulic była natychmiast podejrzana. W kilka sekund zdjęcia tych ludzi zaznaczano odpowiednim kolorem i przesyłano placówkom policji.

W odróżnieniu od brytyjskiego rządu Tabulowie nie byli skrepowani przepisami prawa czy etosem służby publicznej. Ich organizacja była stosunkowo niewielka i szczerze finansowana. Należące do nich centrum komputerowe w Londynie mogło podpiąć się pod każdą prowadzącą obserwację kamerę i przeprowadzić selekcję w zbiorze obrazów za pomocą potężnego programu skanującego. Na szczęście liczba kamer monitorujących w Ameryce Północnej i Europie była już na tyle duża, że przygniotła Tabulów natłokiem danych. Nawet jeśli zdobyli zdjęcie kogoś, kto był poszukiwany na podstawie ich bazy zdjęć, nie byli w stanie zareagować dostatecznie szybko, aby przybyć na czas na określoną stację kolejową czy do hotelu.

- Nigdy się nie zatrzymuj - powtarzał jej Thorn. - Nie będą w stanie cię schwytać, jeśli nieustannie będziesz się przemieszczać.

Niebezpieczeństwo wiązało się z każdym rutynowym działaniem, które ujawniłoby drogę do określonego miejsca pokonywaną codziennie przez Arlekina. Skanowane zdjęcia

twarży prędzej czy później pozwalały na wykrycie schematu, dzięki któremu Tabulowie mogliby zastawić pułapkę. Thorn zawsze wystrzegał się sytuacji, które nazywał „kanałami” albo „ślepych uliczkami”. Kanał polegał na przymusowym korzystaniu z jednej konkretnej drogi znajdującej się pod stałą obserwacją władz. Ślepe uliczki były kanałami, które kończyły się w miejscu, z którego nie było wyjścia - takim jak samolot czy sala przesłuchań urzędu imigracyjnego. Tabulowie mieli przewagę finansową i technologiczną. Arlekini zdołali przetrwać dzięki własnej odwadze oraz umiejętności kultuwowania przypadku.

Kiedy Maya dotarła do Londynu, pojechała metrem do stacji Highbury-Islington, ale nie wróciła do swojego mieszkania. Zamiast tego poszła do restauracji Hurry Curry z potrawami na wynos. Chłopakowi dowożącemu zamówienia wręczyła klucz od zewnętrznych drzwi, kazała odczekać dwie godziny i położyć danie z kurczakiem pod drzwiami wewnętrznymi. Kiedy zaczęło się ściemniać, wspięła się na dach Highbury Barn - pubu usytuowanego pod drugiej stronie ulicy naprzeciw jej kamienicy. Ukryta za przewodem wentylacyjnym obserwowała ludzi zatrzymujących się, by kupić wino w nielegalnym sklepie zlokalizowanym na parterze budynku. Zwykli obywatele podążali pospiesznie do domu, dźwigając teczki i torby z zakupami. Biały dostawczy furgon stał zaparkowany obok wejścia do jej mieszkania, ale nikt nie siedział za kierownicą.

Hindus z restauracji Hurry Curry pojawił się dokładnie o siódmej trzydzieści po południu. W chwili, gdy otworzył drzwi, z białej półciężarówki wyskoczyło dwóch mężczyzn i wepchnęło chłopaka do środka. Przypuszczalnie zabili go albo tylko przepytali i wypuścili żywego. Tak naprawdę Maya się tym nie przejmowała. Przystawiała się na myślenie Arlekina: żadnego współczucia, żadnych więzów, żadnego miłosierdzia.

Noc spędziła we wschodnim Londynie w mieszkaniu, które przed wielu laty kupił ojciec. Mieszkała w nim jej

matka, ukryta pośród członków społeczności wschodnich Azjatów, do chwili śmierci na atak serca - Maya miała wtedy czternaście lat. Trzypokojowe mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze zapuszczonego budynku z cegły, tuż obok Brick Lane. Na parterze miało siedzibę bengalskie biuro podróży, a kilku pracujących tam mężczyzn za określoną zapłatę załatwiała dowód tożsamości i pozwolenie na pracę.

Wschodnia część Londynu zawsze znajdowała się poza obrębem murów miejskich i stanowiła dogodne miejsce, w którym można było zrobić lub kupić coś nielegalnego. Przez setki lat były to jedne z najokropniejszych slumsów świata; to tu wyprawiał się na łowy Kuba Rozpruwacz. Teraz jego śladami prowadzono wieczorem turystów z Ameryki, stary browar Trumana przeistoczył się w pub z ogródkiem, a szklane wieże kompleksu biurowego Bishops Gate wciśnięto na siłę w samo serce starej dzielnicy.

Dawne zaułki z ciemnymi uliczkami roiły się teraz od galerii artystycznych i modnych restauracji, jeśli jednak wiedziało się, gdzie szukać, wciąż można było znaleźć bogaty wybór produktów, dzięki którym umykało się inwigilacji Rozległej Sieci. W każdy weekend na górnym odcinku Brick Lane, w pobliżu Cheshire Street, pojawiali się uliczni handlarze. Oferowali noże i kastety do walk ulicznych, pirackie kasety wideo oraz karty SIM do telefonów komórkowych. Za kilka funtów ekstra mogli uruchomić chip karty kredytowej fałszywej korporacji. Chociaż władze administracyjne dysponowały technologią pozwalającą na podsłuchiwanie rozmów prowadzonych na łączach komórkowych, nie potrafiły wytropić właściciela telefonu. Rozległa Sieć monitorująca mogła z łatwością obserwować zwykłych obywateli, którzy mieszkali pod stałym adresem i korzystali z kont bankowych. Arlekini żyjący poza Siatką używali niekończącej się liczby „jednorazowych” telefonów na kartę i dowodów tożsamości. Niemal wszystko, poza mieczem,

było wykorzystywane tylko kilka razy i wyrzucane niczym papierki po cukierkach.

Maya zadzwoniła do swojego pracodawcy w biurze projektów i wyjaśniła, że jej ojciec jest chory na raka, a ona w związku z tym musi zwolnić się z pracy i zaopiekować nim. Ned Clark, jeden z fotografów zatrudnianych przez studio, przekazał jej nazwisko znanego mu lekarza homeopaty, a później zapytał, czy ma jakieś problemy z podatkami.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- W biurze był jakiś gość z izby skarbowej i wypytywał o ciebie. Rozmawiał z ludźmi w księgowości i zażyczył sobie informacji na temat płaconych przez ciebie podatków, chciał też numery twoich telefonów i adresy.

-I powiedzieli mu?

- Ależ oczywiście. W końcu reprezentował państwowy urząd - Clark ściszył głos. - Jeśli znasz jakieś przytulne miejsce w Szwajcarii, na twoim miejscu pojechałbym tam natychmiast. Do diabła z tymi łachudrami. Kto dzisiaj chce płacić podatki?

Maya nie miała pewności, czy ten człowiek z izby skarbowej był rzeczywiście państwowym urzędnikiem czy tylko tabulskim najemnikiem z podrobionym identyfikatorem. Tak czy inaczej, ktoś jej szukał. Gdy wróciła do mieszkania, znalazła klucz do schowka w magazynie w Brixton. Pojechała tam z ojcem, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, ale nie odwiedzała tego miejsca od wielu lat. Po trwającej kilka godzin obserwacji budynku weszła do środka i pokazała klucz recepcjonistce, który pozwolił jej wsiąść do windy i wjechać na drugie piętro. Skrytka była pokojem bez okien o wymiarach dużej szafy. W tym magazynie ludzie zazwyczaj przechowywali butelki z winem, temperatura była niska dzięki pracującej klimatyzacji. Maya włączyła słabą żarówkę wiszącą nad głową, zamknęła drzwi i przystąpiła do przeszukiwania pudełek.

Kiedy dorastała, ojciec wystarał się dla niej o czternaście paszportów kilku różnych państw. Arlekini zdobywali

metryki urodzenia osób, które zginęły w wypadkach samochodowych, i wykorzystywali je w dokumentach służących uzyskaniu legalnej tożsamości. Niestety, większość z tych podrabianych dokumentów była teraz nieprzydatna, gdyż administracja rządowa gromadziła informacje biometryczne - zeskanowane obrazy twarzy, wzór tęczy oraz odciski palców - które umieszczała w układzie scalonym dołączonym do paszportu lub dowodu tożsamości każdego obywatela. Gdy zawartość chipu była sczytywana przez skaner, dane porównywano natychmiast z bazą zgromadzoną w Brytyjskim Narodowym Rejestrze Tożsamości. W trakcie odpraw przy lotach do Stanów Zjednoczonych dane w paszporcie musiały zgadzać się z obrazem tęczy i odciskami palców pobranymi na lotnisku.

W Australii i Stanach Zjednoczonych zaczęto wydawać paszporty z wtopioną w okładki kartą identyfikacyjną emitującą fale radiowe. Te nowe paszporty były ułatwieniem dla służb imigracyjnych, ale dostarczyły jednocześnie Tabulom potężnego instrumentu pomocnego w ściganiu ich wrogów. Urządzenie o nazwie „szumówka” potrafiło odczytać dane z paszportu znajdującego się w kieszeni czyjś płaszcza lub w czymś portfelu. Montowano je w wejściach lub na przystankach autobusowych - wszędzie tam, gdzie ludzie na chwilę przystawali. Gdy zwykły obywatel myślał o lunchu, „szumówka” mogła poszukiwać nazwisk wskazujących na określoną rasę, religię lub narodowość. Potrafiła dotrzeć do takich danych, jak wiek, adres i odciski palców - a także podróże odbyte podczas ostatnich kilku lat.

Nowa technologia wymusiła na Mai użycie trzech „twarzowych” paszportów, które zawierały trzy różne wersje jej danych biometrycznych. Wciąż jeszcze można było oszukać macki Rozległej Sieci, ale wymagało to sprytu i pomysłowości.

Przed wszystkim należało zmienić rysy twarzy. System rozpoznawania koncentrował się na tak zwanych punktach węzłowych, dzięki którym można było zdefiniować

każdą, niepowtarzalną przecież, twarz. Komputer analizował położenie tych punktów i transponował je w ciąg cyfr określających wizerunek twarzy. Przyciemnione soczewki kontaktowe oraz dobrane peruki o innym kolorze włosów zmieniały wygląd zewnętrzny, ale oszukanie skanera wymagało zastosowania specjalnych środków farmakologicznych. Sterydy powodowały pęcznienie ust i skóry na policzkach. Środki uspokajające rozluźniały skórę i optycznie postarzały. Specyfiki należało wstrzyknąć pod skórę policzków i czoła przed wylądowaniem na lotnisku wyposażonym w skanery. Każdy z trzech „twarzowych” paszportów wymagał użycia innych dawek tych środków, wstrzykiwanych w różnej kolejności.

Maya oglądała kiedyś hollywoodzki film science fiction, którego bohater przeszedł przez kontrolę tęczówek, pokazując skanerowi gałkę oczną nieboszczyka. W świecie rzeczywistym było to niemożliwe. Skanery tęczówki emitowały promień czerwonego światła w kierunku oka, a martwa źrenica nie skurczyłaby się odruchowo. Agendy rządowe chełpiły się, że skanowanie tęczówek jest całkowicie niezawodną metodą identyfikacji. Niepowtarzalne zagięcia, nierówności i rozkład ziaren pigmentu ludzkiej tęczówki zaczynały powstawać już na etapie rozwoju embrionalnego. Chociaż skaner fotografujący twarz można było zmylić wydłużonymi rzęsami lub łzami, sama tęczówka pozostawała taka sama przez całe życie danej osoby

Thorn wraz z innymi żyjącymi w ukryciu Arlekinami opracował sposób na pokonanie takich skanerów kilka lat przed tym, jak urządzenia te znalazły powszechne zastosowanie w służbach imigracyjnych. Optycy z Singapuru zainkasowali wiele tysięcy dolarów za wyprodukowanie specjalnych soczewek kontaktowych. Wzór konkretnej tęczówki „wytrawiano” na powietrzni elastycznego plastiku. Gdy na źrenicę padała wiązka czerwonego światła, soczewki kurczyły się niczym żywa ludzka tkanka.

Ostatnią biometryczną przeszkodą do pokonania były odciski palców. Chociaż kwas czy operacja chirurgiczna mogły zmienić czyjeś odciski, rezultat był trwały i pozostawały blizny. Podczas pobytu w Japonii Thorn odkrył, że naukowcy z uniwersytetu w Jokohamie potrafią skopiować odciski palców pozostawione na szklance i wyprodukować odpowiadające im żelatynowe powłoki, które można nałożyć na opuszki palców. Osłonki te były bardzo delikatne, a ich nakładanie sprawiało wiele trudności, mimo to do każdego z podrabianych paszportów Mai dołączono odmienny zestaw linii papilarnych potwierdzających fałszywą tożsamość.

Przeglądając zawartość poszczególnych pudełek przechowywanych w schowku, Maya znalazła skórzane etui na kosmetyki, w którym znajdowały się dwie strzykawki do iniekcji podskórnych oraz zestaw środków farmakologicznych służących do zmiany wyglądu twarzy. Ponadto paszporty, osłonki z liniami papilarnymi, soczewki kontaktowe. Było tam wszystko, co trzeba. Przejrzała jeszcze inne pudełka i znalazła noże, pistolety oraz znaczne sumy pieniędzy w walutach różnych krajów. Był też niezarejestrowany telefon satelitarny, przenośny komputer oraz Generator Liczb Losowych wielkości kawiarnianego pudełka zapalek. Generator był prawdziwie arlekińskim przedmiotem, artefaktem, tak samo jak miecz. W dawnych epokach rycerze chroniący pielgrzymów zawsze mieli przy sobie kości do gry wykonane z rogu lub kości słoniowej i przed bitwą rzucali nimi na ziemi. Teraz wystarczyło, że nacisnęła guzik, a na wyświetlaczu pojawiały się ciągi przypadkowych liczb.

Do telefonu satelitarnego była przyklejona zalakowana koperta. Maya rozerwała ją, a w liście rozpoznała charakter pisma ojca.

Kiedy będziesz w Internecie, wystrzegaj się Carnivore. Udawaj zwykłego obywatela i używaj ogólnikowych sformułowań. Bądź czujna, lecz nie okazuj lęku. Zawsze miałaś silną

*osobowość i bycia pełna pomysłów, już jako mała dziewczynka.
Teraz, gdy mam już więcej lat na karku, jestem dumny z jednej
tylko rzeczy w moim życiu - że jesteś moją córką,*

Maya nie opłakiwała ojca, gdy była w Pradze. Podczas podróży powrotnej do Londynu całkowicie koncentrowała się na tym, by przeżyć. Ale teraz, sama w magazynowej skrytce, usiadła na podłodze i zaczęła szlochać. Choć na świecie zdołało przetrwać jeszcze kilku Arlekinów, na dobrą sprawę była zdana wyłącznie na siebie. Jeśli popełni błąd, Tabulowie ją unicestwią.

Doktor Phillip Richardson, badacz ośrodkowego systemu nerwowego, wykorzystywał różne techniki w celu poznania sekretów ludzkiego mózgu. Analizował niezliczone obrazy uzyskane dzięki tomografii komputerowej, prześwietleniom promieniami rentgenowskimi oraz technice rezonansu magnetycznego, które pokazywały pracę mózgu człowieka podczas operacji myślowych i reagowania na bodźce. Dokonał też wielu sekcji mózgu, ważył go, trzymał nawet w dłoniach szarobrazową tkankę mózgową.

Wszystkie przeprowadzone doświadczenia pozwoliły mu obserwować aktywność własnego mózgu podczas wygłaszania wykładu w sali Dennisona Uniwersytetu Yale. Richardson czytał treść wykładu z notatek, naciskając jednocześnie przycisk rzutnika, który wyświetlał różne obrazy na ekranie nad jego głową. Podrapał się w szyję, przeniósł ciężar ciała na lewą stopę i dotknął gładkiego pulpitu katedry. Mógł robić to wszystko, licząc jednocześnie przybyłych słuchaczy i dzieląc ich na odrębne kategorie. Było kilku kolegów z wydziału medycyny oraz około tuzina studentów Yale przygotowujących magisterium. Swojemu wykładowi dał prowokujący tytuł - „Bóg w pudełku: najnowsze postępy neurologii” - i czuł się dowartościowany tym, że przybyło kilku słuchaczy spoza środowiska akademickiego.

- Przez ostatnie dziesięć lat zajmowałem się badaniem neurologicznych podstaw ludzkich doznań duchowych. Zgromadziłem grupę ochotników, którzy często oddawali się medytacji lub modłom, i wstrzykiwałem im radioak-

tywny kontrast w momencie, w którym, jak twierdzili, nawiązywali bezpośredni kontakt z Bogiem i nieskończonym wszechświatem. Uzyskane rezultaty przedstawiają się następująco...

Richardson nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się obraz ludzkiego mózgu uzyskany metodą emisji fotonów. Kilka obszarów mózgu żarzyło się kolorem czerwonym, pozostałe miały barwę bladopomarańczową.

- Kiedy badany obiekt jest pogrążony w modlitwie, płat czołowy kory mózgowej koncentruje się na słowach. W tym samym czasie górny płat ciemieniowy, usytuowany na wierzchołku mózgu, ciemnieje. Lewy płat przetwarza informacje o naszej pozycji w przestrzeni i czasie. Dzięki temu uświadamiamy sobie fakt naszej odrębnej fizycznej cielesności. Gdy płat ciemieniowy przestaje być aktywny, nie jesteśmy w stanie już rozróżnić naszej jaźni od reszty świata. W rezultacie badany obiekt zyskuje przekonanie, że nawiązał bezpośredni kontakt z ponadczasowym i nieskończonym boskim bytem. Odbieramy to jako przeżycie duchowe, lecz w rzeczywistości jest to jedynie neurologiczne złudzenie.

Richardson ponownie nacisnął przycisk i wyświetlił kolejne przeżycie z obrazem mózgu.

- W ciągu ostatnich lat badałem również mózgi ludzi, którzy byli głęboko przekonani o doznawanych przeżyciach mistycznych. Proszę zwrócić uwagę na tę sekwencję obrazów. Osobnik doświadczający religijnej wizji w rzeczywistości reaguje na strumienie neurologicznych bodźców w płacie skroniowym, czyli obszarze kory mózgowej odpowiedzialnym za mowę i myślenie conceptualne. W celu zweryfikowania wyników eksperymentu przystawiłem elektromagnes do czaszek ochotników biorących udział w doświadczeniu i wygenerowałem pole magnetyczne niewielkiej mocy. Każdy z badanych obiektów relacjonował przeżycia związane z opuszczaniem ciała oraz odczuwaniem bezpośredniej styczności z mocą boską.

Eksperymenty tego rodzaju zmuszają nas do podania w wątpliwość tradycyjnych założeń dotyczących ludzkiej duszy. W przeszłości sfera ta była zgłębianą przez filozofów i teologów. Platonowi i Tomaszowi z Akwinu nie mieściłoby się w głowie, że ich partnerem w rozważaniach na temat istnienia Boga mógłby być lekarz. Weszliśmy jednak w Nowe Tysiąclecie. Choć kapłani nie przestają wznosić modłów, a filozofowie wciąż spekulują, najbliższej udzielenia odpowiedzi na dręczące rodzaj ludzki pytania egzystencjalne są neuropodrzy. Wyrażam naukowy pogląd, zweryfikowany wynikami doświadczeń, że Bóg żyje we wnętrzu obiektu ukrytego w tym pudełku.

Neurolog był wysokim, nieco flegmatycznym mężczyzną po czterdziestce, ale zdawało się, że jego ślamazarność całkowicie znikła, gdy ruszył w kierunku kartonowego pudełka ustawionego na stole obok mównicy. Słuchacze wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani. Każdy chciał to zobaczyć. Sięgnąwszy do środka pudełka, Richardson zwlekał przez chwilę, po czym wyciągnął pleksiglasowy pojemnik, w którego wnętrzu znajdował się ludzki mózg.

- Mózg człowieka. Kawałek tkanki nerwowej pływającej w roztworze formaliny. Na podstawie rezultatów przeprowadzonych przeze mnie doświadczeń zdołałem udowodnić, że tak zwana świadomość duchowa to jedynie kognitywna - poznawcza - reakcja na zmiany neurologiczne. Nasze poczucie boskiego bytu, nasza wiara w otaczającą nas duchową moc są kreowane przez mózg. Zróbmy ostatni krok i oceńmy implikacje wynikające z uzyskanych danych. Musimy w ten sposób dojść do niedającego się obalić wniosku, że Bóg również jest tworem naszego systemu neurologicznego. W procesie ewolucji wytworzyliśmy świadomość, która oddaje cześć i wielbi samą siebie. I to dopiero jest prawdziwy cud.

Prezentacja spreparowanego ludzkiego mózgu stanowiła dramatyczny akcent kończący wykład, teraz jednak Richardson musiał odtransportować eksponat do domu. Ostrożnie włożył pojemnik z powrotem do kartonu i zszedł po stopniach z podium. Kilku kolegów z akademii medycznej tłoczyło się wokół niego, pragnąc złożyć mu gratulacje. Młody chirurg odprowadził go do samochodu.

- Czyj to mózg? - zapytał młody człowiek. - Kogoś znanego?

- Wielkie nieba, nie. Ten mózg liczy sobie ponad trzydzieści lat. Pochodzi od uboższego pacjenta, który podpisał zgodę na pozyskanie organów.

Doktor Richardson umieścił mózg w bagażniku swojego volvo, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku północnym, oddalając się od uniwersytetu. Po tym, jak jego żona podpisała dokumenty rozwodowe i wyjechała na Florydę z instruktorem tańca towarzyskiego, neurolog zastanawiał się nad sprzedażem wiktoriańskiego domu przy Prospect Avenue. Jego racjonalny umysł podpowiadał mu, że dom jest zbyt duży jak na jedną osobę, ale świadomie uległ własnym zachciankom i postanowił zatrzymać posiadłość. Każdy pokój w budowlu przypominał odrębną część mózgu. Ściany biblioteki były zastawione regałami z książkami, a sypialnię na górze wypełniały zdjęcia z jego dzieciństwa. Kiedy zapragnął zmienić emocjonalne nastawienie, po prostu siadał w innym pokoju.

Zaparkował samochód w garażu i zdecydował, że zostawi mózg w bagażniku. Jutro rano zabierze eksponat do Akademii Medycznej i odstawi do szklanej gabloty

Wyszedł z garażu i opuścił automatyczne drzwi. Dochodziła piąta po południu. Niebo miało kolor ciemnopurpurowy Richardson poczuł w nozdrzach zapach dymu z palonego drewna dochodzący z komina sąsiada. Zapowiadała się chłodna noc. Być może po kolacji również rozpali ogień w kominku.

Zasiądzie w wielkim zielonym fotelu i przejrzy pobieżnie wstępny konspekt pracy magisterskiej jednego ze studentów.

Nieznajomy mężczyzna wysiadł z zielonego sportowego samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i ruszył w kierunku wjazdu. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, był krótko ostrzyżony i nosił okulary w stalowych oprawkach. Jego sposób poruszania się sugerował stanowczość i koncentrację. Neurolog zgadywał, że to „inkasent” przysłany przez jego byłą małżonkę. Z premedytacją nie wysłał płaćności za zeszyły miesiąc, po tym, jak przysłała mu list polecony z podwyższonymi roszczeniami finansowymi.

- Przepraszam za nieobecność na odczycie - powiedział mężczyzna. - „Bóg w pudełku” brzmi intrygująco. Czy zgromadziło się okazałe audytorium?

- Przepraszam - odezwał się Richardson. - Czy ja pana znam?

- Nazywam się Nathan Boone. Pracuję dla fundacji Evergreen. Otrzymał pan od nas grant. Czyż nie?

W ciągu ostatnich sześciu lat fundacja Evergreen finansowała program badań neurologicznych prowadzony przez Richardsona. Uzyskanie pierwszej dotacji nie było łatwe. Nie można było składać wniosków bezpośrednio do fundacji, inicjatywa wychodziła ze strony organizacji. Jednak po pokonaniu tej bariery dofinansowanie było już odnawiane automatycznie. Personel fundacji nigdy nie dzwonił ani też nie przysyłał nikogo do laboratorium, by ocenić postępy prac badawczych. Koledzy neurologa żartowali, że Evergreen to najbardziej tajemnicza struktura w świecie nauki, która w dodatku rozdaje pieniądze.

- Tak. Od jakiegoś czasu wspieracie moje badania - potwierdził Richardson. - Czym mogę panu służyć?

Nathan Boone sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął białą kopertę.

- To kopia pańskiego kontraktu. Polecono mi zwrócić panu uwagę na paragraf osiemnasty ustęp C Czy zna pan jego treść, doktorze?

Richardson pamiętał doskonale treść tego paragrafu. Był on czymś unikatowym, związanym wyłącznie z fundacją Evergreen, wpisano go do umowy jako zabezpieczenie przed zmarnowaniem lub defraudacją wyłożonych funduszy.

Boone wyciągnął dokument z koperty i zaczął czytać.

- „Paragraf osiemnasty ustęp C. Beneficjent dotacji”, moim zdaniem chodzi o pana, doktorze, „wyraża zgodę na spotkanie z przedstawicielem fundacji w dowolnym terminie w celu przedstawienia raportu na temat bieżących badań oraz złożenia oświadczenia dotyczącego wykorzystania stypendialnego funduszu. Czas spotkania zostanie wyznaczony przez fundację, która zapewni też środek transportu. Odmowa uhonorowania tego życzenia będzie skutkować anulowaniem umowy o subwencjonowaniu. Beneficjent zostanie zobowiązany do zwrotu na rzecz fundacji wszystkich przekazanych wcześniej środków finansowych”.

Boone przekartkował resztę dokumentu i zatrzymał się na ostatniej stronie.

- I podpisał się pan pod tym, doktorze Richardson? Nie myślę się? Czy to jest pański, poświadczony notarialnie, podpis?

- Oczywiście, że tak. Ale dlaczego chcą ze mną rozmawiać właśnie teraz?

- Jestem pewien, że chodzi o wyjaśnienie drobnej kwestii. Proszę zabrać skarpetki na zmianę i szczoteczkę do zębów, doktorze. Zawiozę pana do centrum badawczego fundacji w Purchase, w stanie Nowy Jork. Członkowie personelu chcą przeanalizować dziś wieczorem jakieś raporty, spotka się pan więc z nimi jutro rano.

- To absolutnie wykluczone - zaproponował neurolog. - Jutro muszę poprowadzić zajęcia ze studentami. Nie mogę opuścić New Haven.

Boone chwycił prawą rękę Richardsons. Ścisnął ją tak mocno, że naukowiec nie mógł się wyrwać. Boone nie wyciągnął broni ani też nie wygłaszał pogroźek, ale w jego osobie było coś, co budziło prawdziwą grozę. W odróż-

nieniu od większości ludzi nie okazywał wątpliwości i nie wahał się.

- Znam pański rozkład zajęć, doktorze Richardson. Sprawdziłem go, zanim tu przyjechałem. Jutro nie ma pan żadnych ćwiczeń ze studentami.

- Niech mnie pan puści. Proszę.

Wysłaniec fundacji puścił jego rękę.

- Nie mam zamiaru wciągać pana na siłę do samochodu i wieźć do Nowego Jorku. Nie zamierzam zmuszać pana do czegokolwiek. Jeśli jednak zdecyduje się pan postąpić nieracjonalnie, powinien pan przygotować się na przykre konsekwencje. W takim wypadku do końca życia żałowałbym, że tak błyskotliwy człowiek dokonał niewłaściwego wyboru.

Boone odwrócił się szybko, niczym żołnierz, który dostarczył meldunek i odmaszerował w kierunku swojego auta. Doktor Richardson czuł się tak, jakby otrzymał potężny cios w brzuch. O czym ten człowiek mówi? Przykre konsekwencje?

- Chwileczkę, panie Boone. Proszę...

Boone zatrzymał się przy krawężniku. Było zbyt ciemno, by dostrzec jego twarz.

- Jeśli pojedę do centrum badawczego, gdzie spędzę noc?

- Dysponujemy bardzo wygodnymi kwaterami mieszkalnymi dla naszego personelu.

- I wrócę tu jutro po południu?

Głos Boonea uległ nieznacznej zmianie. Brzmiał tak, jakby mężczyzna się uśmiechał.

- Może być pan tego pewien.

Nathan Boone czekał w holu na dole, gdy doktor Richardson pakował niedużą torbę podrózną. Wyszli z domu, nie zwlekając, i pojechali na południe, w stronę Nowego Jorku. Kiedy minęli granice Westchester, Boone zjechał na dwupasmową drogę lokalną w pobliżu miasteczka Purchase. Sportowe auto minęło kilka drogich podmiejskich domów z cegły i kamienia. Białe dęby i klony zdobiły frontowe trawniki, murawa była upstrzona opadającymi jesiennymi liśćmi.

Było kilka minut po dwudziestej, kiedy skręcili na żwirowany podjazd i dojechali pod bramę otoczonego murem kompleksu budynków. Nierzucająca się w oczy tabliczka informowała, że przybyli do ośrodka badawczego administrowanego przez fundację Evergreen. Strażnik w budce rozpoznał Boone a i otworzył bramę.

Zatrzymali się na niewielkim parkingu otoczonym sosnami i wysiedli z samochodu. Gdy szli ścieżką wyłożoną płytami z kamienia, Richardson dostrzegł pięć dużych budynków wypełniających odgrodzony obszar. Cztery z nich, wzniesione ze stali i szkła, były umieszczone w narożnikach czworokąta i połączone ze sobą zabudowanymi pasażami biegnącymi na wysokości pierwszego piętra. Pośrodku czworobocznej powierzchni znajdowała się budowla pozbawiona okien, z białą marmurową fasadą. Budynek ten przypominał Richardsonowi widzianą kiedyś fotografię Kaaby, muzułmańskiej świątyni w Mekce, w której był przechowywany Czarny Kamień przyniesiony Abrahamowi przez archanioła.

- To biblioteka fundacji - wyjaśnił Boone, wskazując na budynek w północnym narożniku. - Przesuwając się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, po kolei widzimy ośrodek badań genetycznych, centrum komputerowe i centrum administracyjne.

- A ten biały budynek bez okien?

- Nazywany jest ośrodkiem badawczym cybernetyki neurologicznej. Zbudowano go kilka lat temu.

Boone poprowadził naukowca do budynku administracyjnego. Hol był pusty, jeśli nie liczyć kamery monitorującej, zamontowanej na wsporniku przy ścianie. Na drugim końcu pomieszczenia znajdowały się dwie windy. Gdy obaj mężczyźni przeszli przez hol, drzwi jednej z wind otworzyły się automatycznie.

- Czy ktoś nas obserwuje?

Boone wzruszył ramionami.

- Zawsze należy się liczyć z taką ewentualnością, doktorze.

- Ktoś musi nas obserwować, gdyż właśnie otwarto nam te drzwi.

- Mam przy sobie identyfikacyjny chip nadający na częstotliwości radiowej. Nazywamy to Ogniwem Ochronnym. Układ informuje komputer, że jestem w budynku i zbliżam się do kontrolowanego wejścia.

Mężczyźni weszli do windy i drzwi się zamknęły. Boone przesunął dłoń nad szarym panelem wbudowanym w ścianę. Usłyszeli cichy gong i winda ruszyła w górę.

- W większości budynków stosuje się zwykłe plakietki identyfikacyjne.

- Niewiele już osób nosi tutaj identyfikatory - Boone uniósł rękę i Richardson dostrzegł bliznę na grzbiecie prawej dłoni. - Każdy, kto uzyskał wyższy poziom wtajemniczenia, ma wszczepiony implant pod skórą. Taki implant jest znacznie bezpieczniejszy i bardziej skuteczny

Dojechali na trzecie piętro. Boone odprowadził naukowca do apartamentu z sypialnią, łazienką i salonem.

- Tutaj spędzi pan noc - wyjaśnił. - Proszę usiąść i rozgościć się.

- Czy coś się wydarzy?

- Nic, co miałoby pana niepokoić, doktorze. Ktoś chce z panem porozmawiać.

Boone wyszedł z pokoju, a drzwi zamknęły się za nim lekko. *To jakaś paranoja*, pomyślał Richardson. *Traktują mnie, jakbym był kryminalistą*. Przez kilka minut naukowiec chodził po pokoju tam i z powrotem, później wzburzenie zaczęło stopniowo słabnąć. Może rzeczywiście popełnił jakiś błąd? Było przecież to sympozjum na Jamajce. I co jeszcze? Kilka obiadów i hotelowych pokoi, których wynajęcie nie miało nic wspólnego z badaniami. Ale jak mogli się o tym dowiedzieć? Kto im powiedział? Pomyślał o kolegach z uniwersytetu i doszedł do wniosku, że kilku z nich zazdrościło mu odniesionego sukcesu.

Drzwi rozsunęły się automatycznie i do środka wszedł młody mężczyzna o azjatyckich rysach, z grubym zielonym segregatorem pod pachą. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i wąski czarny krawat, dzięki czemu wyglądał schludnie i budził szacunek. Richardson natychmiast się odprężył.

- Dobry wieczór, doktorze. Nazywam się Lawrence Takawa, jestem kierownikiem projektów specjalnych prowadzonych przez fundację Evergreen. Zanim zaczniemy, chciałbym powiedzieć, że lektura książek pana autorstwa sprawiła mi wielką przyjemność, zwłaszcza pracy pod tytułem *Maszyny w czasie*. Z pewnością niektóre pańskie teorie na temat mózgu są nad wyraz interesujące.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego zostałem tu przywieziony

- Musimy z panem porozmawiać. Paragraf osiemnasty ustęp C daje nam takie prawo.

- Dlaczego spotykamy się dzisiaj? Jestem świadom tego, że podpisałem kontrakt, ale jest to bardzo dziwne. Mogliście przecież skontaktować się z moją sekretarką i uzgodnić termin spotkania.

- Musieliśmy zareagować na sytuację szczególną.
- Czego ode mnie chcecie? Raportu podsumowującego badania z ostatniego roku? Przesłałem wam sprawozdanie wstępne. Czy nikt tego nie czytał?

- Nie sprowadziliśmy tu pana, żeby nam pan przekazywał jakieś wiadomości, doktorze Richardson. Wręcz przeciwnie, to my chcemy przekazać panu pewną ważną informację.

Lawrence przesunął się ku jednemu z foteli i obaj mężczyźni usiedli naprzeciw siebie.

- W ciągu ostatnich sześciu lat przeprowadził pan wiele różnych eksperymentów, ale pańskie badania zdają się potwierdzać jedną określoną tezę. Rzeczywistość duchowa nie istnieje we wszechświecie. Ludzka świadomość to po prostu procesy biochemiczne w naszym mózgu.

- To uproszczone podsumowanie, panie Takawa. Ale, ujmując sprawę w sposób uogólniony: poprawne.

- Wyniki pańskich doświadczeń potwierdzają filozofię, którą kieruje się fundacja Evergreen. Ludzie nadzorujący jej prace są przekonani, że każda ludzka istota stanowi odrębny byt biologiczny. Nasz mózg jest organicznym komputerem, którego zdolności przetwarzania danych są zdeterminowane czynnikami dziedzicznymi. W ciągu życia mózg gromadzi nabywaną wiedzę oraz reakcje warunkowe na określone bodźce. Kiedy umieramy, mózgowy komputer ulega zniszczeniu wraz ze wszystkimi danymi i programami operacyjnymi.

Richardson przytaknął.

- Sądzę, że to oczywiste.

- To wspaniała teońa - podjął Lawrence. - Niestety, nie jest do końca prawdziwa. Odkryliśmy, że w każdym żywym organizmie istnieje pewna ilość energii niezależna od ciała czy mózgu. Ta energia pojawia się w każdej roślinie i zwierzęciu z chwilą, gdy rozpoczynają własne, odrębne życie. Opuścza nas, gdy umieramy.

Richardson usiłował powstrzymać uśmiech.

- Mówi pan o ludzkiej duszy

- My używamy określenia Światło. Wydaje się, że energia ta spełnia warunki zdefiniowane w teorii kwantowej.

- Niech pan to nazywa, jak się panu żywnie podoba, panie Takawa. Nie obchodzi mnie to szczególnie. Załóżmy na chwilę, że rzeczywiście posiadamy duszę. Kiedy żyjemy, mieszka w nas. Opuszcza nas, gdy odchodzimy z ziemskiego padółu. Nawet jeśli zaakceptujemy istnienie duszy i tak nie ma ona żadnych odniesień do naszego życia. Chcę przez to powiedzieć, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić z duszą. Zmierzyć jej. Zweryfikować doświadczalnie. Wydobyć i umieścić w słoju.

- Grupa ludzi zwanych Travelerami ma zdolność kontrolowania Światła i emitowania go poza fizyczne ciało.

- Nie wierzę ani trochę we wszystkie te duchowe nonsensy. Nie da się tego zweryfikować eksperymentalnie.

- Proszę to przeczytać i powiedzieć nam, co pan o tym myśli - Lawrence położył na stole zielony segregator. - Wróć do pana niebawem.

Lawrence wyszedł i Richardson po raz kolejny został sam. Przebieg rozmowy był do tego stopnia niecodzienny i nieoczekiwany, że neurolog nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować. Travelerzy Światło. Dlaczego pracownik organizacji naukowej posługiwał się terminami z dziedziny mistyki? Doktor Richardson musnął okładkę zielonego segregatora opuszkami palców, jak gdyby jego zawartość mogła go oparzyć. Odetchnął głęboko, odwrócił pierwszą stronę i pogrążył się w lekturze.

Raport był podzielony na pięć kolejno ponumerowanych rozdziałów. Pierwsza część stanowiła zapis doświadczeń różnych ludzi, przekonanych o tym, że ich dusza opuściła fizyczne ciało, przekroczyła cztery bariery i wkroczyła do

innego świata. Ci podróżujący - Travelerzy - wierzyli, że wszyscy ludzie noszą w swoich ciałach energię, podobną do tygrysa schwytanego w klatkę. Magle drzwi klatki otwierały się i to, co nazywali Światłem, mogło swobodnie wypłynąć.

W rozdziale drugim opisano losy kilku Travelerów, którzy pojawili się w ostatnim tysiącleciu. Kilku z nich wybrało pustelniczy żywot, przenosząc się na pustkowia, ale wielu było twórcami ważnych prądów umysłowych i przewodziło ruchom społecznym, stając się zagrożeniem dla struktur władzy. Ponieważ przychodzili z innego wymiaru, postrzegali wszystko z innej perspektywy. Autor drugiego rozdziału sformułował tezę, że święty Franciszek z Asyżu, Joanna d'Arc oraz Isaac Newton byli Travelerami. Słynny *Sekretny dziennik*, przetrzymywany w ukryciu w sejfie biblioteki Uniwersytetu Cambridge, ujawniał, że znany matematyk i fizyk pokonywał bariery Wody, Ziemi, Powietrza i Ognia.

W latach trzydziestych XX stulecia Józef Stalin uznał, że Travelerzy stanowią zagrożenie dla jego dyktatorskich rządów. Treść trzeciego rozdziału koncentrowała się na opisie aresztowań ponad setki mistyków i duchowych przywódców, dokonanych przez sowiecką tajną policję. Fizyk o nazwisku Borys Orłów prowadził badania naukowe nad Travelerami przetrzymywanymi w specjalnym łagrze pod Moskwą. Kiedy dokonywali przejścia do innych wymiarów, ich serce biło tylko raz na trzydzieści sekund, a oddech ustawał. „Są niczym martwi. Energia życiowa opuściła ich ciała” - pisał Orłów.

Heinrich Himmler, szef nazistowskiej SS, zapoznał się z tłumaczeniem sprawozdania Orłowa i doszedł do wniosku, że Travelerzy mogą stać się źródłem nowej sekretnej broni, dzięki której Niemcy będą mogły wygrać wojnę. W czwartym rozdziale przedstawiano zsyłkę pojmanych Travelerów do ośrodka badawczego przy obozie koncentracyjnym, kierowanego przez cieszącego się zbrodniczą sławą Kurta Blaunera - „Doktora Śmierć”. Więźniom wycinano

fragmenty tkanki mózgowej i poddawano ich elektrowstrząsom oraz lodowatym kąpielom. Kiedy eksperymenty nie doprowadziły do uzyskania nowej broni, Heinrich Himmler zdecydował o uznaniu Travelerów za „zdegenerowane elementy kosmopolityczne” i od tego momentu stali się oni celem ataków esesmańskich szwadronów śmierci.

Richardson nie widział żadnego sensu w okrutnych doświadczeniach prowadzonych w przeszłości. Ludzie, którzy uważali, że odbywają podróże do alternatywnych światów, cierpieli na nietypową aktywność określonych obszarów mózgu. Teresa z Avila, Joanna d'Arc oraz wszyscy inni wizjonerzy byli prawdopodobnie epileptykami i mieli objawy zaburzeń funkcjonowania płata skroniowego. Naziści mylili się, rzecz jasna. Ludzie ci nie byli ani świętymi, ani też arcywrogami państwa, potrzebowali jedynie nowoczesnych środków uspokajających oraz terapii leczącej chorobliwe stany emocjonalne związane z ich dolegliwościami.

Gdy naukowiec przeszedł do rozdziału piątego, z zadowoleniem dostrzegł dane eksperymentalne uzyskane za pomocą nowoczesnych technik neurologicznych - tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego. Pragnął poznać nazwiska badaczy, ale informacje na ten temat zakreślono czarnym mazakiem. Pierwsze dwa raporty zawierały szczegółowe dane neurologiczne ludzi, którzy stali się Travelerami. Gdy osoby te wchodziły w trans, ich ciała zapadały w stan swoistej hibernacji. Wykonane wówczas zdjęcia tomograficzne wykazywały całkowity brak aktywności neurologicznej poza reakcją na bicie serca, kontrolowaną przez pień mózgu.

Trzeci referat opisywał eksperyment przeprowadzony w jednym z ośrodków badawczych w Pekinie, gdzie grupa chińskich naukowców wynalazła urządzenie nazwane przez nich Rejestratorem Energii Neuronowej. Aparatura ta mierzyła poziom energii biochemicznej generowanej przez ludzki organizm. Wyniki pomiarów wykazywały,

że Travelerzy mieli zdolność krótkotrwałego emitowania czegoś, co Lawrence Takawa określał mianem Światła. Ta neurologiczna energia była niewiarygodnie silna, do trzystu razy mocniejsza od słabych prądów przepływających normalnie przez ludzki system nerwowy. Uczni - nie podano ich imion i nazwisk - sformułowali hipotezę, że energia ta wiąże się ze zdolnością podróżowania do innych światów.

To wciąż niczego nie dowodzi, pomyślał Richardson. Energia obezwładnia procesy mózgowie i wtedy ludzie sądzą, że widzieli anioły.

Odwrócił kartkę, przeszedł do kolejnej relacji i szybko ją przeczytał. W tym doświadczeniu chińscy badacze umieścili każdego z Travelerów w podobnej do trumny plastikowej kabynie, wyposażonej w specjalną aparaturę monitorującą poziom aktywności energetycznej. Za każdym razem, gdy obiekt badań wchodził w trans, jego ciało uwalniało gwałtowną falę energii. Światło aktywowało przyrządy pomiarowe, przechodziło przez ściany kabiny i zniknęło. Richardson sprawdzał przypisy, starając się odnaleźć nazwiska badaczy i Travelerów. W opisie każdego z eksperymentów pojawiało się kilka słów, niczym zdawkowy komentarz kończący długą konwersację: „Obiekt powrócił do miejsca odosobnienia. Obiekt przestał współpracować. Obiekt zmarł”.

11

Bengalski sklep z akcesoriami niezbędnymi do zorganizowania wesela był usytuowany na południowym¹ krańcu Brick Lane. Minąwszy złote sari i różowe weselne dekoracje wchodziło się do pokoju na tyłach, w któryś można było połączyć się z Internetem bez ryzyka, że zostanie się namierzonym. Maya wysłała zakodowaną wiadomość dla Lindena i Mother Blessing. Korzystając z karty kredytowej właściciela sklepu, zamieściła nekrolog na intern^{etow}.y^{cn} witrynach „Le Monde” i „Irish Times”.

Z głębokim żalem zawiadamiam, że z powodu nagłej choroby zmarł w Pradze H. Lee Quinn, założyciel Thom Secfhty Ltd. Pozostawił pogrążoną w głębokim smutku córkę Mayę. Zamiast kwiatów prosimy o datki na rzecz Funduszu Travelerów.

Jeszcze tego samego popołudnia otrzymała odpowiedź na tablicy Arlekinów - czarnej ścianie w pobliżu stacji Holborn, gdzie informacje zapisywano niedbale, niczym graffiti. Używając kawałka pomarańczowej kredy, ktoś zostawił znak arlekińskiej Lutni, linijkę cyfr i kilka słów: „pięć/sześć/Bush/Green”. Wiadomość była łatwa do odszyfrowania. Liczby oznaczały godzinę i datę. Spotkanie miało się odbyć przy Shepherds Bush Green num^{er} 56.

Maya wsunęła pistolet do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego i przerzuciła przez lewe ramię tubę,^w której

nosiła miecz. Pod numerem 56 przy Shepherd's Bush Green znajdowało się tanie kino, nieco dalej przy tej alei stał Empire Theatre. Tego popołudnia w repertuarze kina był chiński film z walkami kung-fu i dokumentalny obraz podróżniczy zatytułowany *Prowansja: kraina pełna czaru*.

Maya kupiła bilet u rozespanej młodej kobiety siedzącej w kasie. W pobliżu drzwi do sali numer 2 ktoś narysował trzy zachodzące na siebie arlekińskie romby, weszła więc do środka. W trzecim rzędzie drzemał jedyny zapity widz. Gdy światła zostały wygaszone i rozpoczęła się projekcja, głowa pijanego mężczyzny osunęła się do tyłu i rozległo się głośnie chrapanie.

Film nie miał nic wspólnego z urokami francuskiej wsi. Jako ścieżkę dźwiękową wykorzystano stare, trzeszczące nagranie utworu *fa! deux amours* w wykonaniu Josephine Baker - francuskiej piosenkarki jazzowej pochodzenia amerykańskiego. Na ekranie przewijały się sceny z filmowych serwisów informacyjnych i ściągnięte z Internetu zdjęcia archiwalne. Zwykły obywatel, który zabłąkałby się przypadkiem do takiego kina, uznałby oglądane kadry za nonsens, mieszanię niepowiązanych ze sobą ujęć prezentujących cierpienia, represje i terror. Jedynie Maya zdawała sobie sprawę, że sceny te przedstawiają w skrótowym ujęciu widzenie świata z perspektywy Arlekinów. Konwencjonalne ujęcie historii znane ze szkolnych podręczników było iluzją. Jedyną siłą zdolną dokonać rzeczywistych zmian w świecie byli Travelerzy. Misją Arlekinów było chronienie ich, ale Tabulowie dokładali wszelkich starań, żeby ich unicestwić.

Od tysięcy lat władcy i religijni przywódcy dopuszczali się mordów i zbrodni. Gdy w funkcjonującym w typowy sposób społeczeństwie pojawiał się Traveler, który przedstawiał nowe spojrzenie na świat, stanowiło to wielkie wyzwanie dla tych, którzy dzierżyli władzę. Najpierw przesładowano taką osobę, następnie ją unicestwiano. Stopniowo władcy przekonywali się do stosowania „strategii króla

Heroda". Jeśli w jakiejś grupie etnicznej lub religijnej pojawiało się więcej Travelerów, rządzący zarzynali każdego członka tej grupy, którego zdołali schwytać.

Pod koniec epoki renesansu niewielka grupa ludzi, nazywających siebie Braćmi, przystąpiła do realizowania bardziej zorganizowanych ataków. Zgromadzone bogactwa oraz polityczne wpływy i koneksje dały im możliwość mordowania Arlekinów i tropienia Travelerów, którzy zbiegli do innych krajów. Bracia służyli królom i cesarzom, ale uznawali się za coś lepszego od struktur władzy świeckiej. Najbardziej cenili stabilizację i posłuszeństwo - ich ideałem była uporządkowana społeczność, w której każdy znał swoje miejsce.

W XVIII wieku brytyjski filozof Jeremy Bentham zaprojektował panopticon - modelowe więzienie, w którym jeden strażnik mógł obserwować setki więźniów, sam pozostając niewidzianym. Bracia wykorzystali projekt panopticonu jako teoretyczną podstawę własnych idei. Doszli do przekonania, że cały świat będzie można poddać kontroli z chwilą, gdy ostatni Travelerzy zostaną zlikwidowani.

Chociaż Tabulowie dysponowali pieniędzmi i władzą, przez setki lat Travelerzy skutecznie się przed nimi bronili. Jednak komputeryzacja na dużą skalę i rozprzestrzenienie Rozległej Sieci monitorującej zmieniło wszystko. Tabulowie w końcu zyskali środki, dzięki którym mogli tropić i unicestwiać swoich wrogów. Po II wojnie światowej na świecie pozostało może dwudziestu kilku znanych Travelerów. Teraz nie było już żadnego, a Arlekini stali się zaledwie garstką wojowników. Wprawdzie Bracia pozostawali w cieniu, byli jednak na tyle pewni siebie, że założyli oficjalną organizację działającą jako fundacja Evergreen.

Każdy dziennikarz czy historyk, który podejmował się zgłębienia legend o Arlekinach i Travelerach, otrzymywał ostrzeżenie albo znajdował się na bruku. Strony internetowe poświęcone Travelerom infekowano komputerowymi wirusami, których nie dało się usunąć i które niszczyły oprogramowanie.

mowanie. Wynajmowani przez Tabulów hakerzy atakowali oficjalne witryny w Internecie, następnie tworzyli ich fałszywe odpowiedniki, na których zamieszczali zmyślone teorie na temat Travelerów, włączając w nie wątki o zbożowych kręgach, niezidentyfikowanych obiektach latających oraz motywy z Apokalipsy według Św. Jani. Przeciężni obywatele słyszeli rozmaite pogłoski na temat sekretnego konfliktu, jednak w żaden sposób nie mogli zweryfikować ich wiarygodności.

Josephine Baker nie przestawała śpiewać. Zapity typ nie przestawał chrapać. Na ekranie wciąż trwało zabijanie. Prawie wszyscy Travelerzy zostali zgładzeni, a Arlekini nie byli w stanie dłużej ich ochraniać. Maya oglądała telewizyjne relacje pokazujące najwyższych dygnitarzy z różnych rządów - wszyscy byli starzy, spoglądali martwymi oczyma z przyklejonym uśmiechem samozadowolenia. To właśnie oni mieli pod kontrolą siły militarne i struktury policji. Sami byli Braćmi lub ich poplecznikami. *Przeegraliśmy*, pomyślała Maya. *Przeegraliśmy z kretesem*.

Mniej więcej w połowie seansu do sali wszedł mężczyzna z kobietą i zasiedli w pierwszym rzędzie. Maya wysunęła nieco pistolet z kieszeni płaszcza i zwolniła bezpiecznik. Przygotowała się do obrony, ale później zobaczyła, jak mężczyzna rozpina rozporek w spodniach, a prostytutka przechyla się przez oparcie fotela i zaczyna go obsługiwać. Josephine Baker ani obrazy zagłady Travelerów w żaden sposób nie oddziaływały wcześniej na podchmielonego gościa, teraz jednak przebudził się i zauważył intruzów.

- Powinniście się wstydzić! - wykrzyknął bełkotliwie w ich kierunku. - Na to są specjalne miejsca, przecież wiecie!

- Odchrzań się! - odpowiedziała reprezentantka najstarszej profesji świata, po czym doszło do głośnej kłótni. W re-

zultacie para wyszła, a mający nieźle w czubie facet podążył za nimi.

Maya siedziała teraz samotnie w kinowej sali. Obraz na ekranie zatrzymał się na kadrze przedstawiającym prezydenta Francji wymieniającego uścisk dłoni z amerykańskim sekretarzem stanu. Kiedy drzwi od kabiny projekcyjnej otworzyły się ze skrzypieniem, uniosła broń do góry, gotowa oddać strzał. Z kabiny wyłonił się potężny mężczyzna z ogoloną głową i zszedł na dół po krótkiej drabinie. Podobnie jak Maya miał przy sobie arlekiński miecz w metalowej tubie zawieszanej na ramieniu.

- Nie strzelaj - odezwał się Linden. - To zepsułoby mi cały dzień.

Maya opuściła broń.

- Czy tamci ludzie pracowali dla ciebie?

- Nie. To po prostu kilku trutni. Myślałem, że nigdy nie wyjdą. Podobał ci się film, Mayu? Zmontowałem go w zeszłym roku, kiedy mieszkałem w Madrycie.

Linden podszedł do niej i objął ją czule. Miał silne ramiona i szerokie barki, jego potężna sylwetka i siła sprawiły, że poczuła się bezpieczna.

- Współczuję ci z powodu ojca - podjął Linden. - Był wspaniałym człowiekiem. Najdzielniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem.

- Ojciec mówił, że macie informatora pracującego dla Tabulów.

- To prawda.

Usiedli obok siebie i Maya dotknęła ręki Lindena.

- Chciałbym, żebyś się dowiedział, kto zabił mojego ojca.

- Już pytałem naszego informatora - odparł Linden. - Był to prawdopodobnie Amerykanin, nazywa się Nathan Boone.

- Jak mogę go odnaleźć?

- Zabicie Boone'a nie jest naszym najpilniejszym celem. Twój ojciec zadzwonił do mnie trzy dni przed twoim przy-

jazdem do Pragi. Chciał, żebyś pojechała do Stanów i pomogła Shepherdowi.

- Prosił mnie, żebym to zrobiła. Ale odmówiłam mu.

Rosły Arlekin przytaknął.

- Teraz ja proszę cię o to ponownie. Załatwię ci bilet na samolot. Możesz wyjechać nawet dziś wieczorem.

- Chcę odnaleźć człowieka, który zamordował mojego ojca. Zamierzam go zabić, a później zapaść się pod ziemię.

- Wiele lat temu twój ojciec odkrył Travelera o nazwisku Matthew Corrigan. Człowiek ten żył w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną i dwoma synami. Kiedy było pewne, że znaleźli się w niebezpieczeństwie, twój ojciec wręczył Corriganowi walizkę pieniędzy i miecz należący kiedyś do Sparrowa. Thorn dostał ten miecz, kiedy pomógł narzeczonej Sparrowa opuścić Japonię.

Maya poczuła podziw dla wspaniałomyślności ojca. Miecz, którym posługiwał się tak znany Arlekin, jak Sparrow, był czymś bardzo cennym. Jednak ojciec dokonał właściwego wyboru. Tylko Traveler był w stanie w pełni wykorzystać moc talizmanu.

- Ojciec mówił, że Corriganowie zaszyli się gdzieś na odludziu.

- Tak. Ale Tabulowie namierzyli ich w Południowej Dakocie. Słyszeliśmy, że najemnicy zabili wszystkich, ale najprawdopodobniej matka i synowie zdołali uciec. Na długo słuch o nich zaginął, ale jeden z braci, Michael Corrigan, ujawnił Rozległej Sieci monitorującej swoje prawdziwe nazwisko.

- Czy synowie są świadomi tego, że mają zdolność przechodzenia do innych wymiarów?

- Nie sądzę. Tabulowie zamierzają pojmać obu braci i przemienić ich w Travelerów

- To nie może być prawda, Lindenie. Tabulowie nigdy nie postępowali w ten sposób.

Francuz powstał szybko, znacząco górując nad Maya.

- Nasi wrogowie skonstruowali coś, co nazywają komputerem kwantowym. Wykorzystując ten komputer, dokonali niezwykle ważnego odkrycia, ale nasza wtyczka nie jest w stanie dotrzeć do bliższych informacji na ten temat. Nie wiemy, co konkretnie zdołali odkryć, ale znacząco wpłynęło to na zmianę ich dotychczasowej strategii. Zamiast zabijać Travelerów, zamierzają teraz wykorzystywać ich moc.

- Shepherd powinien coś z tym zrobić.

- Shepherd nigdy nie był dobrym wojownikiem, Mayu. Zawsze, gdy się z nim spotykałem, mówił o jakimś nowym projekcie związanym ze zdobywaniem pieniędzy. Zastanawiałem się nad tym, czy nie powinienem sam pojechać do Stanów, ale Tabulowie wiedzą o mnie zbyt wiele. Nikt nie jest w stanie odnaleźć Mother Blessing. Zamknęła wszystkie kanały komunikacyjne. Wciąż mamy kontakty z kilkoma zaufanymi najemnikami, ale oni nie będą w stanie poradzić sobie z problemem tego rodzaju. Ktoś musi odnaleźć Corriganów, zanim zostaną schwytani.

Maya powstała i podeszła w stronę kinowego ekranu.

- W Pradze zabiłam kogoś, ale to był dopiero początek koszmaru. Kiedy wróciłam do mieszkania ojca, znalazłam go leżącego na podłodze w sypialni. Ledwie go rozpoznałam, tylko po starych bliznach na rękach od ciosów nożem. Jakieś zwierzę okaleczyło jego twarz.

- Jeden z zespołów badawczych Tabulów zajmuje się tworzeniem zwierząt zmodyfikowanych genetycznie. Naukowcy nazywają je „sklejkami”, są to bowiem rezultaty rozdzielania, a następnie połączenia różnych segmentów łańcucha DNA. Być może użyli jednego z tych stworów do zaatakowania twojego ojca.

Wielkie dłonie Lindena zacisnęły się w pięści, jakby stawał do walki z przeciwnikiem.

- Tabulowie sięgnęli po tę moc, ale nie zdają sobie sprawy z konsekwencji. Jedyнным sposobem na ich pokonanie jest dotarcie do Michaela i Gabriela Corriganów.

- Mam gdzieś Travelerów. Wciąż słyszę słowa ojca, że większość z nich nawet nie darzy nas sympatią. Dryfują do innych wymiarów, my zaś jesteśmy uwięzieni w tym świecie na zawsze.

- Jesteś córką Thorna, Mayu. Jak możesz odmówić spełnienia jego ostatniej prośby?

- Nie - odparła. - Nie.

Ale głos ją zdradził.

Lawrence Takawa siedział przy swoim biurku, obserwując na ekranie monitora zachowanie doktora Richardsona. W apartamencie gościnnym zamontowano cztery ukryte kamery monitorujące. Przez ostatnie dwanaście godzin filmowały one neurologa, gdy ten czytał relacje na temat Travelerów, spał i na koniec brał prysznic.

Jeden z ochroniarzy pracujących w centrum badawczym wszedł właśnie do apartamentu doktora, żeby zabrać tacę po śniadaniu. Lawrence przesunął kursor ku górze ekranu. Kliknął myszą na znaku „plus” i kamera numer 2 pokazała zbliżenie twarzy naukowca.

- Kiedy spotkam się z personelem fundacji? - zapytał Richardson.

Pracownikiem ochrony był rosły Ekwadorczyk o imieniu Immanuel, ubrany w granatową marynarkę, szare spodnie i czerwony krawat.

- Nie wiem, proszę pana.
- Czy spotkanie jest zaplanowane na rano?
- Nikt mnie o niczym nie powiadomił.

Trzymając tacę w jednym ręku, Immanuel otworzył drzwi prowadzące na zewnętrzny korytarz.

- Proszę nie zamykać drzwi - odezwał się Richardson. - To nie jest konieczne.

- Nie zamykamy pana wewnątrz. Nie wypuszczamy pana na zewnątrz. Nie ma pan wystarczających uprawnień dostępu, które pozwoliłyby panu poruszać się swobodnie po tym budynku.

Gdy zamek ponownie się zatrasnął, neurolog głośno zaklął. Podskoczył, jakby zamierz ił zrobić coś stanowczego, później zaczął chodzić dookoła poloju. Z jego twarzy łatwo można było odczytać, co myśli. Wydawało się, że targali nim na przemian dwa główne uczucia: gniew i strach.

Lawrence Takawa nauczył się, jak skrywać emocje, kiedy był na drugim roku studiów Uniwersytetu Duke. Chociaż urodził się w Japonii, matka wywoziła go do Ameryki, gdy miał sześć miesięcy. Lawrence nienawdził sushi i niechętnie uczył się ojczystego języka.

Kiedy wędrowną trupa aktorów klasycznego japońskiego teatru *no* przybyła na uniwersytet, oglądał przez cały dzień przedstawienie, które zmieniło jego życie.

Początkowo spektakl wydał mu się egzotyczny i trudny do zrozumienia. Zachwyciły go jednak stylizowane ruchy aktorów na scenie, mężczyźni odtwarzający role kobiet oraz niesamowite brzmienie charakterystycznego dla teatru *no* fletu i trzech bębenków. Prawdziwym jednak odkryciem były teatralne maski. Główne postaci, kobiety oraz starcy nosili maski rzeźbione w drewnie. Widma, demony i szaleńcy ukrywali twarze za maskami krzykliwymi, prezentującymi silne emocje, ale te, które nosiła większość aktorów, miały celowo obojętny wyraz. Nawet *mężczyźni w średnim wieku*, odtwarzający swoje role bez masek, starali się grać bez jakiegokolwiek mimiki twarzy. Każdy gest na scenie, każda wypowiedź i reakcja były kwestią świadomego wyboru.

Lawrence dopiero co wstąpił w szeregi bractwa, które urządziło suto zakrapiane przyjęcia i kultywowało wymyślny ceremoniał związany z otrzęsinami. Kiedy przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze, widział oblicze zdradza-

jące brak pewności siebie i zakłopotanie - młodego mężczyznę, który nie był w stanie dostosować się do innych. Żywa maska pozwoliła mu pokonać ten egzystencjalny problem. Stojąc przed lustrem w łazience, ćwiczył rozmaite maski, wyrażające szczęście, podziw i entuzjazm. Gdy doszedł do ostatniego roku studiów, wybrano go prezydentem bractwa, a grono profesorskie usilnie namawiało go do podjęcia studiów doktoranckich.

Telefon na jego biurku zadzwonił delikatnie i Lawrence odwrócił się od komputerowego ekranu.

- Jak reaguje nasz nowy gość? - zapytał Boone.

- Wydaje się poirytowany i odrobinę przestraszony.

- Nie ma w tym nic złego - stwierdził Boone. - Generał Nash właśnie przyjechał. Idź po Richardsona i zaprowadź go do Pokoju Prawdy.

Lawrence zjechał windą na drugie piętro. Podobnie jak Boone, miał wszyty pod skórą identyfikator z chipem emitującym fale radiowe, nazywany Ogniwem Ochronnym. Machnął dłonią przed sensorem przy drzwiach. Drzwi otworzyły się i wszedł do środka.

Doktor Richardson obrócił się na pięcie i zbliżył do Lawrence'a. Palcem wskazującym dźgał powietrze.

- To skandaliczne! Pan Boone informował mnie, że mam spotkać się z waszym personelem. Zamiast tego siedzę tu zamknięty niczym więzień.

- Przepraszam najmocniej za opóźnienie - uspokajał Lawrence. - Generał Nash już przyjechał i bardzo pragnie z panem porozmawiać.

- Ma pan na myśli Kennarda Nasha? Waszego dyrektora wykonawczego?

- Właśnie. Jestem pewien, że widywał go pan w telewizji.

- Od kilku lat nie - Richardson obniżył ton głosu i nieco się odprężył. - Ale pamiętam go z czasów, gdy był doradcą prezydenta.

- Generał zawsze był zaangażowany w służbę dla społeczeństwa, dlatego przejście do fundacji Evergreen stanowiło dla niego oczywisty wybór - Lawrence sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął niewielki detektor metalu, podobny do tych, jakich używają służby ochrony na lotniskach. - Ze względów bezpieczeństwa prosiłbym, żeby zechciał pan pozostawić w pokoju wszystkie metalowe przedmioty. Chodź o zegarek, monety i pasek. To standardowa procedura w naszym ośrodku badawczym.

Gdyby Takawa wydał mu rozkaz, neurolog mógłby odmówić. W tej sytuacji musiał się jedynie pogodzić z tym, że zdjęcie zegarka było normalną procedurą stosowaną przy okazji spotkań z ważną osobą. Położył swoje rzeczy na stole, po czym Lawrence przesunął wykrywacz wzdłuż ciała naukowca. Obaj mężczyźni opuścili pokój i przeszli korytarzem do windy.

- Przeczytał pan wczoraj wieczorem cały materiał?

-Tak.

- Mam nadzieję, że lektura była interesująca.

- To wręcz niewiarygodne. Dlaczego nie opublikowano wyników tych najnowszych badań? Nigdy nie czytałem o Travelerach i aparaturze rejestrującej energię neuronową.

- Na tym etapie fundacja Evergreen uważa, że należy utrzymać te informacje w tajemnicy.

- Nauka nie rozwija się w taki sposób, panie Takawa. Do wielkich odkryć dochodzi dzięki temu, że naukowcy z całego świata mają dostęp do tych samych danych.

Zjechali windą na parter i poszli korytarzem do białych drzwi bez klamek i innych uchwytów. Gdy Lawrence machnął dłonią, drzwi otworzyły się automatycznie. Gestem zaprosił Richardсона, by wkroczył do wnętrza pomieszczenia, w którym nie było okien. Poza drewnianym stołem

i dwoma drewnianymi krzesłami nie było tu również żadnych mebli.

- To nasz specjalny, chroniony pokój - wyjaśnił Lawrence. - Wszystko, o czym się tutaj mówi, ma charakter poufny
- Gdzie zatem jest generał Nash?
- Proszę się nie niepokoić. Przybędzie tu za kilka minut.

Lawrence ponownie machnął prawą dłoń i drzwi się zasunęły, zamykając Richardsona w Pokoju Prawdy. Przez sześć ostatnich lat fundacja Evergreen dotowała prowadzone w tajemnicy eksperymenty, których celem było rozpoznawanie, czy ktoś kłamie. Badania nie dokonywano za pomocą analizatora głosu czy też wykrywacza kłamstw. Strach mógł zniekształcić wyniki takich testów, a dobry aktor był w stanie wytłumić wtórne sygnały, które świadczą o mijaniu się z prawdą.

Ignorując zewnętrzne zmiany fizyczne, naukowcy fundacji Evergreen zajrzeli bezpośrednio do wnętrza mózgu, stosując metodę rezonansu magnetycznego. Pokój Prawdy był po prostu dużą komorą służącą do uzyskiwania obrazu dzięki zastosowaniu jądrowego rezonansu magnetycznego. Mężczyzna lub kobieta poddani badaniu nie mieli pojęcia o tym, co się dzieje, dzięki czemu zakres reakcji był znacznie poszerzony.

Obserwując mózgowie osoby udzielającej odpowiedzi na pytania, można zobaczyć, jak różne obszary tkanki mózgowej reagują na to, co jest mówione. Badacze fundacji odkryli, że mózg działa sprawniej, gdy wypowiedzane treści są prawdziwe. Gdy badany obiekt kłamał, lewy płat przedczołowy kory mózgowej i przedni zwój mostu jarzyły się niczym stopiona lawa.

Lawrence poszedł dalej korytarzem do innych nieoznakowanych drzwi. Rozległo się kliknięcie otwieranego automatycznie zamka i wszedł do zacienionego pokoju. W ścianie, naprzeciw rzędu komputerów i długiego stołu z panelem kontrolnym, zamontowano tu cztery telewizyjne monitory. Pulchny mężczyzna z brodą siedział przy stole i wpisywał instrukcję, stukając w klawiaturę komputera. To Gregory Vincent, który zbudował i zainstalował używany dzisiaj sprzęt.

- Zdjąłeś z niego wszystko, co miało w sobie metal? - zapytał Vincent.

-Tak.

- Dlaczego nie wszedłeś do środka? Obawiałeś się, że powiesz coś nie tak, kiedy mogłem cię obserwować?

Lawrence przysunął biurowy fotel do panelu kontrolnego.

- Wykonywałem po prostu instrukcje.

- Jasne - Vincent podrapał się po brzuchu. - Nikt nie chce wchodzić do Pokoju Prawdy.

Spoglądając na monitor, Lawrence ujrzał ciało Richardsona zamienione w mglisty obraz złożony ze świetlnych plam w różnych odcieniach. Kolory i intensywność tych plam ulegały zmianom, gdy neurolog oddychał, przełykał ślinę i pogrążył się w myślach na temat kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Zamienił się w cyfrową istotę, którą można było opisać za pomocą liczb i poddać analizie, używając komputerów ustawionych z tyłu za nimi.

- Wygląda nieźle - podjął Vincent. - Nie powinno być z nim trudności.

Spojrzał na niewielki monitor podwieszony u sufitu, przekazujący obraz z kamery systemu ochrony. Korytarzem szedł mężczyzna z łysą głową.

- Doskonałe wycucie czasu. Generał właśnie nadchodzi.

Twarz Lawrence'a przybrała maskę odpowiednią dla tej chwili. Wyrażającą sumienność i pełne skupienie. Wpatrywał się w monitory, gdy Kennard Nash wszedł do Pokoju Prawdy. Generał przekroczył już sześćdziesiątkę; wyróżniał go spłaszczony nos oraz sprężysta, wojskowa postura. Lawrence podziwiał sposób, w jaki Nash ukrywał własną bezwzględność i surowość pod pozorami przyjaznego sposobu bycia, charakterystycznego dla trenera drużyny lekkoatletycznej.

Neurolog powstał i uściśnął dłoń Nasha.

- Doktorze Richardson! Cieszę się, że mogę spotkać się z panem. Nazywam się Kennard Nash i pełnię obowiązki dyrektora wykonawczego fundacji Evergreen.

- To dla mnie zaszczyt poznać pana, generale Nash. Pamiętam pana z czasów, gdy pracował pan dla rządu.

- Tak. To było prawdziwe wyzwanie, później jednak przyszła pora na zmianę miejsca. Kierowanie fundacją jest fascynującym zadaniem.

Obaj mężczyźni usiedli przy stole. W pomieszczeniu monitorującym Vincent wpisywał do komputera kolejną instrukcję. Na ekranach monitorów pojawiły się obrazy różnych obszarów mózgu Richardsona.

- Rozumiem, że zapoznał się pan z treścią tego, co nazywamy *Zieloną księgą*. To podsumowanie całej wiedzy na temat Travelerów, jaką dysponujemy.

- Te informacje są wręcz niewiarygodne - odparł Richardson. - Czy to prawda?

- Tak. Pewni ludzie mają zdolność emitowania energii neuronowej poza fizyczne granice własnego ciała. Jest to genetyczna anomalia, która może być przekazywana z rodziców na dzieci.

- Dokąd uchodzi ta energia?

Kennard Nash rozplótł dłonie i wsunął je pod stół. Przez kilka sekund wpatrywał się w neurologa, powoli i badawczo przesuwając wzrok po twarzy naukowca.

- Jak wskazują na to nasze sprawozdania, ludzie ci przechodzą do innych wymiarów, a następnie powracają.

- To niemożliwe.

Generał wyglądał na rozbawionego.

- Cóż, od wielu lat dysponujemy wiedzą na temat innych wymiarów. Stanowi ona jeden z fundamentów współczesnej teorii kwantowej. Zawsze mieliśmy dowód matematyczny, ale nie mamy możliwości odbycia takiej podróży. Odkrycie, że tacy ludzie czynią to od setek lat, było prawdziwym zaskoczeniem.

- Powinniście opublikować wyniki badań, którymi dysponujecie. Naukowcy na całym świecie rozpoczęliby eksperymenty, których celem byłoby zweryfikowanie tego odkrycia.

- Tego właśnie nie chcemy zrobić. Nasz kraj jest zagrożony atakami terrorystów i wywrotowców. Zarówno fundacja, jak i nasi przyjaciele na całym świecie obawiają się, że pewne grupy mogłyby wykorzystać moc, którą dysponują Travelerzy, do zniszczenia systemu ekonomicznego. Travelerzy wykazują tendencję do przejawiania postaw społecznych.

- Potrzebujecie więcej danych na temat tych osób.

- Dlatego właśnie tu, w naszym ośrodku, przystępujemy do realizacji nowego projektu badawczego. Obecnie jesteśmy na etapie przygotowywania aparatury doświadczalnej i poszukujemy Travelera gotowego zgodzić się na współpracę. Być może uda nam się pozyskać nawet dwóch; są to bracia. Potrzebujemy też neurologa z pańskimi kwalifikacjami i doświadczeniem, by wszczepić im do mózgow implanty z sensorami. Wtedy będziemy mogli wykorzystać nasz kwantowy komputer do śledzenia szlaku, którym będzie podążać energia.

- Do innych wymiarów?

- Tak. Dowiemy się, jak dostać się tam i jak stamtąd powrócić. Komputer kwantowy umożliwi nam śledzenie zdarzeń. Nie musi pan wiedzieć, doktorze, na jakiej zasadzie on

działa. Pana zadaniem będzie wszczęcie czujników i śledzenie naszych Travelerów w trakcie ich wojaży - generał Nash uniósł ręce, jakby odwoływał się do Boga. - Jesteśmy na progu epokowego odkrycia, które zmieni bieg dziejów naszej cywilizacji. Nie muszę panu mówić, jak ekscytujące jest to wyzwanie, doktorze Richardson. Byłbym zaszczycony, gdyby dołączył pan do naszego zespołu.

- I wszystko zostałooby utrzymane w tajemnicy?

- Na krótką metę. Ze względów bezpieczeństwa przenieśli się pan do naszego centrum badawczego i pracował na naszej aparaturze. Jeśli odniesiemy sukces, wtedy zezwolimy panu na opublikowanie wyników doświadczeń. Potwierdzenie istnienia innych światów automatycznie zapewniłoby Nagrodę Nobla, ale z pewnością rozumie pan, że chodzi o coś znacznie więcej. Byłoby to odkrycie tej samej rangi, co teoria względności Alberta Einsteina.

- A jeśli poniesiemy porażkę? - zapytał Richardson.

- Stosowane przez nas środki bezpieczeństwa ochronią nas przed wścibskimi mediami. Jeśli eksperyment zakończy się niepowodzeniem, nie ma potrzeby, by ktokolwiek o tym usłyszał. Travelerzy znów staną się tylko bohaterami ludowej bajki, niepotwierdzonej naukowymi dowodami.

Gdy neurolog analizował potencjalne możliwości, jego mózg przybrał kolor jaskrawoczerwony

- Uważam, że czułbym się bardziej komfortowo, gdybym mógł pracować u siebie w Yale.

- Wiem, co dzieje się w większości uniwersyteckich laboratoriów - odparł Nash. - Jest pan zmuszony do współpracy z różnymi komisjami weryfikacyjnymi i ciągłej roboty papierkowej. W naszym centrum badawczym nie ma biurokracji. Jeśli zażąda pan nowej aparatury, zostanie dostarczona do pańskiego laboratorium w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. I niech się pan nie martwi o koszty. Płacimy za wszystko. Do tego dochodzi sowite honorarium, które otrzyma pan z tytułu osobistego wkładu.

- Na uniwersytecie muszę wypełnić trzy formularze zamówienia, by otrzymać pudełko laboratoryjnych probówek.

- Tego rodzaju nonsensy to marnotrawienie pańskiej inteligencji i kreatywności. Zamierzamy zapewnić panu wszystko, czego będzie pan potrzebował, by dokonać tego przełomowego odkrycia.

Ciało doktora Richardsona odprężyło się, w obrębie płata czołowego pojawiły się różowe plamki, wskazujące na podwyższoną aktywność.

- Wszystko to brzmi bardzo kusząco...

- Jesteśmy do pewnego stopnia pod presją czasu, doktorze. Obawiam się, że pańska decyzja jest mi potrzebna już teraz. Jeśli waha się pan, skontaktujemy się z innymi naukowcami. Wydaje mi się, że jeden z pańskich kolegów, Mark Beecher, znajduje się na naszej liście.

- Beecher nie ma doświadczenia klinicznego - zaproponował Richardson. - Potrzebujecie neurologa, który zaliczył kursy z neurochirurgii. Kogo jeszcze ma pan na myśli?

- Davida Shapiro z Harvardu. O ile wiemy, przeprowadził kilka ważnych doświadczeń z korą mózgową.

- Tak, ale wyłącznie na zwierzętach - Richardson starał się stworzyć pozory braku zainteresowania, ale jego mózg wykazywał wysoki poziom aktywności. - Jak zgaduję, biorąc pod uwagę zadania, które stawia realizacja tego projektu, wybór mojej kandydatury jest najbardziej logiczny

- Wspaniale! Wiedziałem, że możemy na pana liczyć. Niech pan wraca do New Haven i zacznie czynić przygotowania do opuszczenia uniwersytetu na kilka miesięcy. Przekona się pan, że fundacja Evergreen ma na uczelni liczne kontakty na wysokim szczeblu, zatem nagłość decyzji nie będzie stanowić problemu - generał Nash wstał i uściśnął dłoń Richardsona. - Zamierzamy zmienić świat już na zawsze, doktorze. Będzie to rezultat także pańskich wysiłków.

Lawrence obserwował, jak świetlna sylwetka generała Nasha opuszcza pokój. Jeden z monitorów wciąż pokazywał neurologa, który nie mógł spokojnie usiedzieć na krześle. Na innych ekranach widniały obrazy cyfrowe zarejestrowane wcześniej. Ujęcia czaszki naukowca otaczały zielone ramki. Ich zawartość prezentowała analizę reakcji jego mózgu w różnych momentach rozmowy.

- Nie widzę schematów, które wskazywałyby na oszustwo w oświadczeniach doktora Richardsona - zawyrokował Vincent.

- Dobrze. Tego właśnie oczekiwałem.

- Jedynym człowiekiem, który nie mówił całej prawdy, był generał Nash. Spójrz na to...

Vincent wpisał kolejne polecenie i na jednym z monitorów pojawił się cyfrowy zapis obrazu mózgu Kennarda Nasha. Zbliżenie na korę mózgową wykazywało, że generał niemal przez cały czas rozmowy starał się coś ukryć.

- Ze względów technicznych zawsze rejestruję obrazy obu osób przebywających w Pokoju Prawdy - tłumaczył Vincent. - Dzięki temu mogę rozpoznać, czy sensory działają bez zarzutu.

- To było działanie nieuprawnione. Proszę, żebyś usunął z systemu wszystkie obrazy mózgu generała Nasha.

- Oczywiście. To dziecinnie łatwe - Vincent wystukał na klawiaturze kolejną instrukcję i cyfrowy zapis mózgu wojskowego, wskazujący na jego nieszczerłość, zniknął z monitora.

Ochroniarz wyprowadził doktora Richardsona na zewnątrz budynku. Pięć minut później neurolog siedział

w eleganckiej, długiej limuzynie wiozącej go z powrotem do New Haven. Lawrence wrócił do swojego biura i pocztą elektroniczną przesłał wiadomość do jednego z Braci, który miał odpowiednie znajomości we władzach wydziału medycznego Uniwersytetu Yale. Założył też plik z informacjami o Richardsonie i wpisał jego dane osobowe.

Bracia przyznawali wszystkim zatrudnianym przez siebie osobom określony poziom praw dostępu. Kennard Nash znajdował się na poziomie pierwszym i dysponował pełną wiedzą na temat wszystkich operacji i przedsięwzięć. Neurologowi z New Haven przyznano poziom piąty - wiedział o istnieniu Travelerów, ale nigdy nie dowiedział się niczego o Arlekinach. Lawrence zasłużył na zaufanie na poziomie trzecim. Zyskał szeroki dostęp do wielu informacji, ale nigdy nie miał poznać zasad, którymi kierują się Bracia, przyznając granty i subwencje.

Obiektywy kamer monitorujących śledziły Lawrence'a, gdy opuścił swoje biuro, przeszedł korytarzem i zjechał windą do podziemnego parkingu ulokowanego pod budynkiem administracyjnym. Gdy wyjechał poza bramy kompleksu, śledzenie jego przemieszczania się przejęły satelity GPS, globalnego systemu określania położenia, a zebrane w ten sposób informacje były przesyłane do komputerów fundacji Evergreen.

Jeszcze podczas pracy w Białym Domu generał Nash zaproponował, żeby każdy obywatel Stanów Zjednoczonych miał wszczepione lub nosił przy sobie Ogniwo Ochronne, inaczej zwane urządzeniem OO. Rządowy program „Wolność od strachu” kładł nacisk jednocześnie na kwestię narodowego bezpieczeństwa i praktyczne aspekty jego realizacji. Urządzenie OO, zakodowane w określony sposób, mogło pełnić funkcję karty kredytowej lub płatniczej. Można było

zgrupować w nim dane medyczne przydatne w razie nieszczęśliwego wypadku. Gdyby wszyscy lojalni i przestrzegający prawa Amerykanie nosili tego rodzaju identyfikatory, w ciągu zaledwie kilku lat rozwiązano by problem przestępczości ulicznej. Na jednym z promocyjnych zdjęć w prasie młodzi rodzice z kartami OO układali do snu dziecko, którego identyfikator OO znajdował się w łapkach pluszowego misia. Hasło w reklamie było proste, lecz chwytliwe: „Zwalczamy terroryzm, gdy ty śpisz”.

Chipy identyfikacyjne emitujące fale radiowe wszczepiono pod skórę tysiącom Amerykanów - głównie osobom starszym i ludziom w ciężkim stanie zdrowia. Podobne karty identyfikacyjne nosili pracownicy wielkich korporacji. Zdawało się, że większość amerykańskich obywateli miała pozytywne zdanie na temat identyfikatorów, które w założeniu chroniły ich przed nieznanym niebezpieczeństwem oraz pomagały przebrnąć przez kolejkę w miejscowym sklepie. Ale zastosowanie kart typu Ogniwo Ochronne stało się celem ataku ze strony nietypowego sojuszu lewicowych grup stojących na straży swobód obywatelskich i prawicowego odłamu liberalnych lewicowców. Po utracie poparcia ze strony Białego Domu generał Nash został zmuszony do ustąpienia.

Kiedy wojskowy przejął kierowanie fundacją Evergreen, bez chwili zwłoki wprowadził wewnętrzny system typu Ogniwo Ochronne. Pracownicy mogli nosić karty identyfikacyjne w kieszonkach koszul lub zawieszane na szyi, ale wszyscy członkowie wyżej postawionego personelu mieli chipy wszyte pod skórę. Blizna na grzbiecie prawej dłoni wskazywała na wysoki status w strukturach fundacji. Raz na miesiąc Lawrence musiał kłaść rękę na ładowarce podłączanej do gniazdka. Gdy układ scalony gromadził dostateczną moc, by znów móc nadawać, czuł lekkie ciepło i mrowienie.

Lawrence żałował, że nie wie, jak Ogniwo Ochronne działało w początkowej fazie programu. Satelita systemu GPS śledził przemieszczanie się wybranej osoby, a komputer gene-

rował dla każdego pracownika siatka najczęściej odwiedzanych miejsc. Jak większość ludzi, Lawrence spędzał dziewięćdziesiąt procent życia w obrębie jednej i *tej* samej siatki. Odwiedzał te same sklepy, ćwiczył w tej samej siłowni i jeździł tą samą trasą tam i z powrotem między biurem a domem. Gdyby Lawrence wiedział o tym, że poznano jego siatkę, nie zrobiłby kilku nietypowych rzeczy w ciągu pierwszego miesiąca.

Za każdym razem, gdy wysuwał się poza koordynaty przypisanej sobie stałej trasy, na ekranie jego komputera natychmiast pojawiała się litania pytań. *Dlaczego byłeś na Manhattanie w środę o dziewiątej wieczorem? Po co pojechałeś na Times Square? Dlaczego jechałeś 42 ulicą do Grand Central Station?* Pytania były generowane przez komputer, ale na każde z nich należało koniecznie odpowiedzieć. Lawrence zastanawiał się, czy jego odpowiedzi trafiły do pliku, którego nikt nie czytał, czy może były one skanowane i oceniane przez inny komputerowy program. Pracując dla Braci, nikt nie wiedział, czy i kiedy jest śledzony - zatem każdy zakładał, że jest obserwowany przez cały czas.

Kiedy Lawrence wszedł do swojego mieszkania, zdjął buty, ściągnął krawat i rzucił teczkę na niski stolik. Wszystkie meble kupił, korzystając z rad dekoratorki wnętrz wynajętej przez fundację Evergreen. Kobieta orzekła, że Lawrence ma osobowość spod znaku wiosny, zatem meble i dekoracje na ścianach musiały mieć dobrane pastelowe barwy w odcieniach błękitu i zieleni.

Kiedy w końcu był sam, zawsze postępował zgodnie z jednym i tym samym rytuałem - wrzeszczał, jakby darli z niego pasy. Następnie podchodził do lustra, zaczynał się śmiać, marszczyć brwi i krzyczeć jak szaleniec. Kiedy opadało z niego napięcie, brał prysznic i wkładał szlafrok.

Rok wcześniej urządził sobie sekretne pomieszczenie, wykorzystując w tym celu szafę w gabinecie. Zainstalowanie kabli i ukrycie ich za regałem zajęło całe miesiące. Ostatni raz był tam przed trzema dniami i nadchodziła pora, by złożyć kolejną wizytę. Odsunął o kilka stóp regał z książkami, przecisnął się do środka i włączył światło. Na małym buddyjskim ołtarzyku ustawił dwie fotografie swoich rodziców, wykonane któreś gorącej wiosny w japońskim Nagana. Na jednym ze zdjęć widnieli oboje - uśmiechali się do siebie i trzymali się za ręce. Na drugiej fotografii ojciec siedział samotnie, spoglądając ku górom smutnym wzrokiem. Na stole przed nim znajdowały się dwa zabytkowe samurajskie miecze: jeden z nich miał rękojeść inkrustowaną nefrytem, w drugim inkrustacja była ze złota.

Lawrence otworzył pudełko z drewna hebanowego i wyciągnął telefon satelitarny oraz przenośny komputer. Minutę później był już podłączony i surfował po sieci do chwili, gdy natrafił na francuskiego Arlekina imieniem Linden na czacie na temat *trance Music*.

- *Tu syn Sparrowa* - wystukał na klawiaturze Lawrence.
- *Jesteś bezpieczny?*
- *Tak sądzę.*
- *Nowiny;*¹
- *Znaleźliśmy naukowca, który zgodził się wszczepić czujniki do mózgu obiektu. Eksperyment rozpocznie się niebawem.*
- *Jakieś inne wieści?*
- *Uważam, że zespół informatyków dokonał kolejnego przełomu. Podczas lunchu w sali jadalnej wydawali się nad wyraz zadowoleni z siebie. Wciąż nie mam dostępu do danych na temat ich badań.*
- *Czy odnaleźli dwa najważniejsze elementy związane z ich doświadczeniem?*

Lawrence przez chwilę spoglądał na monitor, po czym odpisał szybko:

- *Szukają ich właśnie teraz. Czas się kończy. Musicie odnaleźć braci.*

Frontowe wejście do trzypiętrowego budynku, w którym znajdowała się odzieżowa fabryka należąca do Mr Bubblea, było obramowane dwoma kamiennymi obeliskami zainstalowanymi na murze z czerwonej cegły. Wyrzeźbione w tynku płaskorzeźby postaci z egipskich grobowców znajdowały się na parterze w pomieszczeniu recepcji, a hieroglify zdobiły ściany po obu stronach klatki schodowej. Gabriel zastanawiał się, czy inwestorzy znaleźli jakiegoś profesora, aby zapisał hieroglifami tekst, który rzeczywiście coś znaczył, czy też po prostu skopiowano je z jakiejś encyklopedii. Kiedy chodził nocą po pustym budynku, mógł dotykać hieroglifów i wyczuwać ich kształty opuszkami palców.

Każdego ranka w dni powszednie do fabryki zjeżdżali robotnicy. Na parterze znajdowały się działy przyjęć i ekspedycji. Rządzili tam młodzi Latynosi, noszący luźne spodnie i T-shirty. Przywożone tkaniny posyłano windą towarową na drugie piętro, do krawalni. W tej chwili produkowano damską bieliznę; krojczy układali stosy ałtasu i sztucznego jedwabiu na dużych drewnianych stołach i wycinali w materiale kontury wykrojów, używając do tego elektrycznych nożyc. Szwaczki na pierwszym piętrze były nielegalnymi imigrantkami z Meksyku i Ameryki Środkowej. Mr Bubble płacił im trzydzieści dwa centy za każdą uszytą sztukę odzieży. Pracowały w zapyłonym, pełnym hałasu pomieszczeniu, ale zawsze się uśmiechały lub rozmawiały ze sobą. Kilka z nich miało oprawione w ramki obrazki Marii Dziewicy ustawione na maszynach do szy-

cia, jak gdyby Matka Boska czuwała nad nimi, kiedy do czerwonych biustonoszy doszywały małe złote serduszka zwisające z tylnego zapięcia.

Gabriel i Michael spędzili kilka ostatnich dni, mieszkając na trzecim piętrze, przeznaczonym na magazyn, gdzie składowano puste kartony i stare biurowe meble. W sklepie sportowym Deek kupił im śpiwory oraz składane łóżka. W budynku nie było natrysków, ale wieczorem bracia schodzili na dół i myli się gąbką w toalecie dla personelu. Na śniadanie jedli pączki i bajgle. Podczas lunchu samochód, z którego sprzedawano jedzenie na wynos, parkował przed fabryką i jeden z ochroniarzy przynosił im *burritos* z jajkami albo kanapki z indykiem w styropianowych pojemnikach.

Dwóch Salwadorczyków strzegło ich w ciągu dnia. Gdy robotnicy wychodzili po pracy do domów, zjawiał się Deek i łysy Latynos - nazywał się Jesus Morales i kiedyś był wykidajką w nocnym klubie. Jesus spędzał większość czasu na czytaniu magazynów samochodowych i słuchaniu w radio muzyki *ranchero*.

Gdy Gabrielowi zaczynało się nudzić i pragnął z kimś pogadać, schodził na dół na pogawędkę z Deekiem. Olbrzymi Samończyk zawdzięczał swój przydomek temu, że był diakonem w jednym z fundamentalistycznych kościołów w Long Beach.

- Każdy człowiek ponosi odpowiedzialność za własną duszę - powiedział do Gabriela. - Jeśli ktoś wybiera się do piekła, w niebie będzie więcej miejsca dla prawych.

- A jeśli ty wylądujesz w piekle, Deek, co wtedy?

- Zapomnij o tym, brachu. Wybieram się na górę w dobre miejsce.

- A jeśli będziesz musiał kogoś zabić?

- To zależy od delikwenta. Gdyby to był prawdziwy grzesznik, wtedy za moją sprawą świat stałby się lepszym miejscem. Śmieci powinny trafiać do kubła. Wierz mi, wiem, co mówię, brachu.

Gabriel zatargał na trzecie piętro swoją hondę i kilka książek. Spędzał czas, rozmontowując motocykl, czyszcząc każdą część i montując całość ponownie. Kiedy go to męczyło, czytał stare pisma albo wydany w miękkiej oprawie przekład *Opowieści o księciu Genji*.

Młodszy z braci Corriganów tęsknił za swobodą, którą czuł, gdy pędził na motorze lub skakał ze spadochronem. Teraz siedział zamknięty w brudnej fabryce. Sen o pożarze nawiedzał go ciągle. Powracał do starego domu i patrzył, jak bujany fotel ogarniają żółte, skwierczące płomienie. Głęboki oddech. Przebudzenie w ciemności. Michael leżał kilka stóp od niego i pochrapywał, a na zewnątrz budynku śmieciarka hałaśliwie rozładowywała kubły z odpadkami.

W ciągu dnia Michael spacerował po trzecim piętrze, odbywając rozmowy przez telefon komórkowy. Za wszelką cenę starał się sfinalizować zakup biurowca przy Wilshire Boulevard, ale nie mógł wytłumaczyć ludziom z banku swojego nagłego zniknięcia. Transakcja stawała się coraz mniej realna, gdy prosił o prolongatę.

- Opuść - pocieszał Gabriel. - Znajdziesz inny budynek.
- To może trwać całe lata.
- Zawsze możemy przenieść się do innego miasta. Zacząć inne życie.

- To jest moje życie - Michael usiadł na starej skrzynce. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i zaczął ścierać tłustą plamę z czubka prawego buta. - Ciężko pracowałem, Gabe. Teraz wygląda na to, że wszystko pryśnie jak mydlana bańka.

- Zawsze jakoś dawaliśmy sobie radę.

Michael pokiwał głową. Wyglądał jak bokser, który właśnie przegrał walkę o mistrzowski tytuł.

- Chciałem nas chronić, Gabe. Nasi rodzice tego nie zrobili. Jedyne próbowali się ukryć. Pieniądze dają rzeczywistą ochronę. Budują mur między tobą a resztą świata.

Samolot gonił zapadającą ciemność, przecinając Stany Zjednoczone w kierunku zachodnim. Kiedy personel pokładowy włączył światło, Maya podciągnęła małą żaluzję i zerknęła przez okno. Jaskrawa linia blasku na wschodnim horyzoncie iluminowała rozciągającą się pod nią pustynię. Samolot przelatywał nad Nevadą albo Arizoną - nie była do końca pewna. Dostrzegła migocące światła zagubionego gdzieś małego miasteczka. W oddali ciemna wstążka rzeki wiła się meandrami przez nizinne okolice.

Podziękowała za śniadanie i lampkę szampana wliczoną w bilet, ale ochoczo sięgnęła po gorącą babeczkę z truskawkami i bitą śmietaną. Wciąż pamiętała czasy, gdy matka piekła babeczki do popołudniowej herbaty. Była to jedyna pora w ciągu dnia, kiedy mogła poczuć się jak normalne dziecko, siadając przy małym stoliku i czytając komiksy, gdy matka krzątała się po kuchni. Indyjska herbata z dużą ilością śmietanki i cukru. Paluszki rybne. Ryżowy pudding. Domowe ciasteczka o bajkowych kształtach.

Mniej więcej na godzinę przed planowym lądowaniem Maya poszła na tył samolotu i zamknęła za sobą drzwi toalety. Otworzyła paszport, którego teraz używała, przykleiła go taśmą do lustra wiszącego na ścianie i porównała twarz na fotografii z własnym, obecnym wyglądem. Jej oczy były piwne dzięki specjalnym soczewkom kontaktowym.

Otworzyła kosmetyczkę i wyjęła strzykawkę oraz rozpuszczone sterydy potrzebne do retuszu. Oficjalnie były to ampułki z insuliną, a do ich zestawu dołączono specjalne oświadczenie

ze stemplem lekarza, potwierdzające, że cierpi na cukrzycę. Obserwując twarz w lustrze, Maya wbiła igłę głęboko w mięsień policzka i wstrzyknęła połowę objętości.

Gdy skończyła zabieg, nalała wody do umywalki, wyjęła z kosmetyczki próbkę i wypuściła do zimnej wody jedną osłonkę z liniami papilarnymi. Żelatynowa błona miała kolor szarobiały, była cienka i delikatna, wyglądem przypominała fragment zwierzęcego jelita.

Maya wyciągnęła z kosmetyczki buteleczkę imitującą flakonik perfum i spryskała klejem wierzchołek lewego palca wskazującego. Włożyła dłoń do wody, położyła palec na osłonce i szybko wyjęła rękę z wody. Błona z liniami papilarnymi innej osoby przykryła odcisk jej palca wskazującego, który miał być zeskanowany w punkcie kontroli granicznej. Zanim samolot wylądował, będzie jeszcze musiała zetrzeć pilniczkiem do paznokci fragment osłonki, który przykrył wierzch paznokcia.

Odczekała dwie minuty, aż pierwsza błona wyschnie, następnie otworzyła drugą próbkę z osłonką na prawy palec wskazujący. Samolot wpadł nagle w turbulencje i zaczęło nim mocno kołysać. W toalecie zapaliło się czerwone światelko alarmowe: „Prosimy o bezzwłoczny powrót na miejsce”.

Skoncentruj się, powiedziała do siebie. Nie wolno ci popełnić błędu. W chwili, gdy nasuwała czubek palca na osłonkę, samolot zanurkował ostro w dół i rozerwała delikatną błonkę.

Uderzyła plecami o ścianę, żołądkiem zatargały nudności. Miała w zapasie tylko jedną osłonkę i gdyby znowu coś miało się nie powieść, znacząco rosła szansa na to, że po wylądowaniu na amerykańskiej ziemi zostanie aresztowana. Tabulowie prawdopodobnie zdobyli odciski jej palców, gdy pracowała w firmie w Londynie. Z łatwością mogli też wprowadzić fałszywe informacje do systemu komputerowego amerykańskiego urzędu imigracyjnego, które aktywowałyby się po zeskanowaniu odcisków jej palców. PODEJRZANA OSOBA. KONTAKTY Z TERRORYSTAMI. NATYCHMIAST ZATRZYMAĆ.

Córka Thorna otworzyła trzecią probówkę i przelała jej zawartość z osłonką do umywalki z wodą. Znów żółtawym klejem spryskała opuszkę prawego palca wskazującego. Wzięła głęboki oddech i włożyła dłoń do wody.

- Przepraszam! - stewardesa zastukała do drzwi toalety - Proszę natychmiast powrócić na swoje miejsce!

- Jeszcze tylko chwileczkę.

- Pilot włączył światła nakazujące zapięcie pasów! Przepisy wymagają, żeby wszyscy pasażerowie powrócili na swoje miejsca!

- Czuję się... Jest mi niedobrze - odparła Maya. - Proszę mi dać minutkę. To wszystko.

Krople potu spływały jej po karku. Tym razem odczekała powoli, napelniając płuca powietrzem, następnie wsunęła palec w osłonkę i wyciągnęła dłoń z wody. Żelatynowa błonka, wciąż wilgotna, lśniła na jej palcu.

Stewardesa, kobieta w starszym wieku, piorunowała ją wzrokiem, gdy Maya wracała na swoje miejsce.

- Nie widziała pani zapalanej lampki?

- Przykro mi - wyszeptała niesforna pasażerka. - Ale poczułam mdłości. Jestem pewna, że pani rozumie.

Samolot znowu podskoczył, gdy zapinała pas bezpieczeństwa i szykowała się w duchu do walki. Arlekin, który po raz pierwszy przybywał do obcego kraju, był odbierany przez miejscowego łącznika, który przekazywał mu broń palną, pieniądze oraz dokumenty tożsamości. Maya miała ze sobą miecz i noże ukryte w statywie kamery. Oba rodzaje broni oraz statyw zostały wykonane przez pewnego katalońskiego płatnerza z Barcelony, który przetestował wszystko na własnym aparacie rentgenowskim.

Shepherd deklarował początkowo, że spotka się z nią na lotnisku, ale amerykański Arlekin wykazywał właściwą sobie nieudolność. Podczas trzech dni, zanim Maya opuściła Londyn, kilka razy zmieniał zdanie, wreszcie przesłał Internetem wiadomość, w której stwierdził, że jest śledzony i musi postępo-

wać ze szczególną ostrożnością. Nawiązał kontakt z Jonesie i ta właśnie osoba miała czekać na Mayę w sali przylotów.

„Jonesie” to przydomek członków Boskiego Kościoła Isaaca T. Jonesa. Tworzyła go niewielka grupa Afroamerykanów wierzących głęboko, że Traveler Isaac Jones był największym prorokiem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Jones był szewcem żyjącym w Arkansas w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Podobnie jak wielu Travelerów, zaczął nauczać i głosić duchową nowinę, propagował też idee stanowiące wyzwanie wobec istniejących struktur władzy. Na południu stanu Arkansas biali i czarni dzierżawcy byli wyzyskiwani przez niewielką kastę wpływowych posiadaczy ziemskich. Prorok zachęcał biednych farmerów do zrywania kontraktów narzucających im ekonomiczne zniewolenie.

W 1889 roku Isaac Jones został niesłusznie oskarżony o targnięcie się na białą kobietę, która przyszła do jego warsztatu szewskiego, by zamówić sobie nowe buty. Czarnoskóry szewc został aresztowany i jeszcze tej samej nocy zabity przez żądny krwi tłum, który wyłamał drzwi do celi i zlinczował nieszczęśnika. Tej nocy, gdy Jones umarł męczeńską śmiercią, w celi aresztanta znajdował się też wędrowny komiwojażer Zachary Goldman. Kiedy tłum wtargnął do środka, Goldman zabił trzech ludzi ze strzelby szeryfa oraz dwóch kolejnych - używając łomu. Rozwścieczona tłuszcza obezwładniła go w końcu, później zaś młody mężczyzna został wykastrowany i spalony na tym samym stosie, co zmasakrowane szczątki Isaaca Jonesa.

Jedynie prawdziwi wyznawcy kongregacji znali fakty: Zachary Goldman był Arlekinem i nosił imię Lwa Świątyni. Tego dnia przyjechał do Jackson City z sumą pieniędzy wystarczającą, aby przekupić szeryfa i wymknąć się z miasta razem z prorokiem. Kiedy jednak szeryf uciekł, Goldman pozostał w areszcie i zginął, broniąc Travelera.

Niewielka wspólnota religijna zawsze była sprzymierzeńcem Arlekinów, ale wzajemne stosunki podczas ostat-

nich dziesięciu lat uległy zmianie. Niektórzy Jonesie byli przekonani, że tak naprawdę Goldman nie pojawił się w więziennej celi, sugerując tym samym, że Arlekin sami wymyślili tę historię dla własnych korzyści. Inni doszli do wniosku, że ich Kościół uczynił już dostatecznie dużo dla Arlekinów w podzięce za heroiczny czyn Goldmana i że dług wdzięczności został spłacony wiele lat temu. Martwili się również faktem istnienia na świecie innych Travelerów, gdyż uważali, że nowe objawienia absolutnie nie powinny zająć miejsca dawnej nauki ich proroka. Tylko garstka upartych wyznawców nazywała samych siebie „DN”, co stanowi skrót od słów: „Dług Niespłacony”. Arlekin zginął razem z prorokiem męczeńską śmiercią, a ich obowiązkiem było uhonorować to poświęcenie.

W hali przylotów lotniska w Los Angeles Maya odebrała z taśmociągu torbę z rzeczami, futerał z kamerą i statyw, następnie przeszła przez punkt kontroli granicznej, posługując się niemieckim paszportem. Soczewki kontaktowe oraz osłonki z liniami papilarnymi zadziałały doskonale.

- Witamy w Stanach Zjednoczonych - powiedział mężczyzna w mundurze, a Maya uśmiechnęła się uprzejmie. Ruszyła w kierunku zielonych znaków, wskazujących przejście dla tych, którzy nie mają hic do oclenia, i podążyła długim korytarzem do sali recepcyjnej.

Setki ludzi pchały się na stalową balustradę, oczekując na wychodzących pasażerów. Kierowca limuzyny trzymał w górze tekturową tabliczkę, na której wypisano nazwisko Kaufman. Młoda kobieta w obcisłej spódnicy i wysokich, stukających szpilkach podbiegła do przodu i objęła ramionami amerykańskiego żołnierza. Śmiała się i płakała jak głupia na widok wymizerowanego chłopaka, ale Maya poczuła ukłucie zazdrości. Miłość zwiększała zagrożenie - jeśli oddało się serce drugiej osobie, ten ktoś odchodził lub umierał. A jednak sceny będące przejawami miłości otaczały ją ze wszystkich stron. Przy wejściu ludzie

przytulali się do siebie i wymachiwali sztyldami domowej roboty. „Kochamy Cię, Davidzie!”, „Witamy w domu!”

Nie miała pojęcia, w jaki sposób rozpoznać Jonesie. Udając, że szuka narzeczonego, spacerowała po rozległym terminalu. *Cholerny Shepherd*, pomyślała. Jego dziadek był Łotyszem, który podczas II wojny światowej uratował życie setkom ludzi. Wnuk przyjął to samo zaszczytne arlekińskie imię, jednak w gruncie rzeczy nigdy nie grzeszył rozumem.

Maya doszła do wyjścia, zawróciła i ponownie skierowała się w stronę stanowisk lotniskowych służb ochrony. Zastanawiała się, czy nie powinna wyjść na zewnątrz i odnaleźć awaryjny adres, który otrzymała od Lindena - człowiek o imieniu Thomas mieszkał w miasteczku położonym na południe od lotniska. Teraz była zdana tylko na siebie, czuła się niepewnie i była lekko przestraszona.

Postanowiła, że zaczeka jeszcze pięć minut, ale dostrzegła młodą, czarnoskórą kobietę w białej sukience, stojącą przy stanowisku informacji. Murzynka trzymała w dłoniach bukiet róż jako powitalny prezent. Wśród kwiatów znajdowały się wycięte z mieniącego się kartonu trzy romby - tradycyjny znak Arlekinów. Gdy podeszła bliżej, zauważyła przypiętą z przodu sukienki młodej kobiety niewielką plakietkę ze zdjęciem czarnego mężczyzny o dostojnym wyglądem. Była to jedyna fotografia, jaką kiedykolwiek zrobiono Isaacowi T. Jonesowi.

Victory „Od Grzechu” Fraser stała pośrodku terminalu, trzymając bukiet róż. Jak większość członków jej Kościoła, spotykała się z Shepherdem podczas jego rzadkich podróży do Los Angeles. Mężczyzna ten wyglądał tak zwyczajnie, z przyklejonym do ust sympatycznym uśmiechem i w eleganckim ubraniu, że Vicki z trudem uwierzyła, że jest Arlekinem. W jej wyobrażeniach Arlekini byli egzotycznymi wojownikami, którzy potrafili chodzić po ścianach i chwycić zębami kule. Za każdym razem, gdy widziała, jak ktoś postępuje w okrutny sposób, pragnęła, by Arlekin wpadł przez okno lub zeskoczył z dachu i natychmiast wymierzył sprawiedliwość.

Vicki odwróciła się od okienka informacji i dostrzegła zbliżającą się do niej kobietę. Przybyszka niosła płócienną torbę podróżną, czarną tubę z pałkami na ramię, kamerę wideo i trójnożny statyw. Miała ciemne słoneczne okulary i krótko przycięte, brązowe włosy. Chociaż jej ciało było szczupłe, twarz miała nabrzmiałą i nieatrakcyjną. Gdy podeszła bliżej, Vicki zdała sobie sprawę, że było w niej coś gwałtownego i niebezpiecznego, niczym ledwo powstrzymany ogromny potencjał.

Kobieta zatrzymała się przed Victory i obrzuciła ją takującym spojrzeniem.

- Czy czeka pani na mnie? - zapytała z lekkim brytyjskim akcentem.

- Nazywam się Vicki Fraser. Czekam na osobę, która zna jednego z przyjaciół naszego Kościoła.

- Zapewne chodzi o człowieka zwanego Shepherdem.
Vicki przytaknęła.

- Powiedział mi, żebym zatroszczyła się o panią do czasu, gdy znajdzie miejsce bezpiecznego spotkania. Teraz śledzą go jacyś ludzie.

- W porządku. Wynośmy się stąd.

Opuścili budynek terminalu międzynarodowego, mijając się z tłumem, i przeszli na drugą stronę wąskiej ulicy do czteropoziomowego parkingu. Biała kobieta nie pozwoliła Victory nieść swoich bagaży. Nie przestawała oglądać się za siebie, jakby się obawiała, że ktoś może ją śledzić. Kiedy wchodziły po betonowych schodach, chwyciła Vicki za ramię i obróciła ją.

- Dokąd idziemy?

- Zaparkowałam tu auto, na drugim poziomie.

- Zejdź za mną na dół.

Powróciły na poziom pierwszy. Głośno rozmawiająca latynoska rodzina przecisnęła się obok nich i poszła schodami na górę. Dziewczyna odwróciła się szybko i rozejrzała na wszystkie strony. Nie dostrzegła niczego podejrzanego.

Ponownie ruszyły na górę i Vicki podeszła do chevroleta sedana, na którego tylnej szybie przyklejona była nalepka z napisem „Poznaj prawdę! Isaac T. Jones umarł za ciebie!”.

- Gdzie mój karabin? - zapytała kobieta.

- Jaki karabin?

- Miałeś dostarczyć mi broń, pieniądze i amerykańskie papiery. Taka jest standardowa procedura.

- Przykro mi panno... Panno Arlekin. Shepherd niczego takiego mi nie przekazał. Powiedział mi tylko, żebym miała znak z rombami i odebrała cię z terminalu. Moja matka nie chciała, żebym to robiła, ale ja mimo wszystko przyszedłam.

- Otwórz kufer... bagażnik... jak wy to nazywacie.

Przez chwilę Vicki szarpała się z kluczykami, w końcu otworzyła bagażnik. Był wypełniony aluminiowymi puszkami i plastikowymi butelkami, które wiozła do punktu

skupu surowców wtórnych. Poczula się zażenowana, że zobaczył to Arlekin.

Młoda kobieta włożyła do bagażnika futerał z kamerą i statyw. Rozejrzała się wokół. Nikt ich nie obserwował. Bez słowa wyjaśnienia otworzyła schowki w statywie, po czym wyciągnęła dwa noże i miecz. To, co się stało, zdecydowanie przekroczyło oczekiwania czarnej dziewczyny Vicki pamiętała Arlekinów widywanych w wyobraźni, noszących poślacane miecze i tnących ze świstem powietrze podczas lotów na linach. Nie wiedząc, co powiedzieć, przypomniała sobie cytat z *Listów zebranych* Isaaca T. Jonesa.

- Gdy nadejdzie Ostatni Posłaniec, Szatan zapadnie się w Najciemniejszą Krainę, a miecze zamienią się w Światło.

- Brzmi cudownie - Maya wsunęła miecz do metalowej tuby. - Ale zanim to się stanie, klinga mojego miecza musi być ostra jak brzytwa.

Wsiadły do samochodu i kobieta z mieczem poprawiła lusterko po prawej stronie tak, żeby mogła widzieć, czy ktoś będzie jechał za nimi.

- Znikajmy stąd - powiedziała. - Musimy pojechać w miejsce, gdzie nie ma żadnych kamer.

Wyjechały z budynku parkingu, objechały rondo przy lotnisku i skrzyły w bulwar Sepulveda. Był już listopad, ale powietrze było ciepłe, a słońce odbijało się od każdej samochodowej szyby i szklanej tafli. Jechały przez handlową dzielnicę o zabudowie jedno- i dwupiętrowej, w której nowoczesne biurowce stały wśród sklepów spożywczych dla imigrantów i salonów kosmetycznych. Na chodnikach było widać tylko kilku przechodniów: ludzie biedni, starsi oraz jakiś szaleniec z potarganymi włosami przypominający wyglądem Jana Chrzciciela.

- Kilka mil stąd jest park - podsunęła myśl Vicki. - Nie ma tam kamer monitorujących.

- Wiesz o tym czy zgadujesz?

Maya nie przestawała spoglądać we wsteczne lusterko.

- Zgaduję, ale to raczej logiczne.
- Wyglądało na to, że jej odpowiedź rozbawiła młodą kobietę.
- W porządku. Przekonajmy się, czy w Ameryce sprawdza się to, co logiczne.

Park okazał się wąskim pasem ziemi porośniętym kępą drzew, położonym przy ulicy, gdzie - po drugiej stronie - znajdował się Uniwersytet Loyoli. Na parkingu nie było nikogo i wyglądało na to, że nie ma tu kamer obserwacyjnych. Maya zlustrowała uważnie otoczenie, później zdjęła okulary słoneczne, wyjęła soczewki kontaktowe i ściągnęła brązową perukę. W rzeczywistości miała gęste czarne włosy, a jej oczy były nad wyraz jasne - w tęczęwkach widniała tylko odrobina błękitu. Obrzęk twarzy był rezultatem zastosowania środków farmakologicznych. W miarę jak znikał, jej rysy stawały się bardziej surowe, wręcz agresywne.

Vicki usiłowała nie patrzeć na tubę, w której znajdował się miecz.

- Czy jesteś głodna, panno Arlekin?

Młoda kobieta wcisnęła perukę do torby podróżnej, po czym po raz kolejny zerknęła w lusterko wsteczne.

- Mam na imię Maya.

- Moje imię nadane przez kościół brzmi Victory „Od Grzechu” Fraser. Ale zazwyczaj proszę ludzi, by mówili do mnie po prostu Vicki.

- Rozsądny wybór.

- Jesteś głodna, Mayu?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna sięgnęła do torebki na ramię i wyciągnęła mały elektroniczny gadżet wielkości pudełka zapalek. Nacisnęła guzik i na wąskim wyświetlaczu pojawił się ciąg zmieniających się cyfr. Vicki nie rozumiała znaczenia liczb, ale potomkini Arlekinów posługiwała się nimi, podejmując decyzje.

- Dobrze. Zjedźmy lunch - odparła Maya. - Zabierz mnie w takie miejsce, w którym będziemy mogły kupić coś, co można zjeść w samochodzie. I zaparkuj przodem do ulicy

Ich wybór padł na budkę z meksykańskimi potrawami, z szyldem „Titos Tacos”. Vicki przyniosła dwie porcje burritos i gazowane napoje. Maya nie odzywała się i plastikowym widelczykiem wybierała nadzienie z wołowiny. Nie wiedząc, co ma robić dalej, Vicki obserwowała ludzi przybywających na parking i opuszczających go. Starszą kobietę o krępej budowie ciała i indiańskich rysach chłopki z Gwatemali. Małżeństwo Filipińczyków w średnim wieku. Dwóch młodych Azjatów - prawdopodobnie Koreańczyków - ubranych w jaskrawą odzież i złotą biżuterię typową dla czarnych raperów.

Członkini religijnej kongregacji odwróciła się do Mai.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego jesteś w Los Angeles?

-Nie.

- Czy chodzi o Travelera? Pastor z mojego kościoła twierdzi, że nie ma już żyjących Travelerów. Wszystkich wytrącono i zgładzono.

Maya opuściła puszkę z napojem.

- Dlaczego twoja matka nie chciała, żebyś spotkała się ze mną?

- Boski Kościół Isaaca T. Jonesa nie wierzy w przemoc. Wszyscy w naszej wyznaniowej wspólnotcie wiedzą, że Arlekini...

Vicki przerwała i wyglądała na zmieszaną.

- Zabijają ludzi?

- Jestem pewna, że ludzie, z którymi walczyacie, są nikczemni i okrutni - Vicki wrzuciła reszkę jedzenia do papierowej torebki i spojrzała Mai prosto w oczy - W odróżnieniu od mojej matki i jej przyjaciół wierzę, że dług nie został jeszcze spłacony. Nigdy nie wolno nam zapomnieć, że Lew Świątyni był jedyną osobą na tyle dzielną, by bronić Proroka w noc jego męczeństwa. Skonał razem z Prorokiem i został spalony na tym samym stosie.

Maya mieszała ryż w kubku.

- Powiedz mi, co porabiasz, kiedy nie odbierasz z lotniska obcych ludzi?

- Tego lata ukończyłam szkołę średnią i teraz mama chce, żebym zdała egzamin kwalifikacyjny i podjęła pracę w urzędzie pocztowym. Wielu wiernych tu, w Los Angeles, pracuje jako doręczyciele poczty. To dobre zajęcie i daje wiele przywilejów. Przynajmniej tak mówią.

- A co ty chciałabyś robić?

- Byłoby wspaniale móc podróżować po świecie. Jest tyle miejsc, które widziałam tylko w książkach lub w telewizji.

- Zrób to więc.

- Nie mam pieniędzy ani biletów lotniczych jak ty. Nigdy nie byłam w eleganckiej restauracji czy nocnym klubie. Arlekinie to ludzie cieszący się największą swobodą i wolnością w całym świecie.

Maya zaprzeczyła głową.

- Nie chciałabyś być Arlekinem. Gdybym miała wolny wybór, nie byłoby mnie w tym mieście.

Z telefonu komórkowego w torebce Vicki zaczęły dobiegać tony *Ody do radości* Ludwiga van Beethovena. Czarna dziewczyna zawahała się chwilę, następnie włączyła telefon i usłyszała pogodny głos Shepherd'a.

- Odebrałaś przesyłkę z lotniska?

- Tak, proszę pana.

- Chcę z nią porozmawiać.

Vicki przekazała telefon Mai i usłyszała, jak dziewczyna trzy razy powtarza słowo „tak”. Następnie rozłączyła się i rzuciła telefon na siedzenie.

- Shepherd ma dla mnie broń i dokumenty tożsamości. Masz pojechać na „południowy zachód 489”, cokolwiek by to miało znaczyć.

- To zakodowana wiadomość. Powiedział mi, żeby w trakcie rozmów przez telefon komórkowy zachowywać ostrożność.

Vicki sięgnęła po książkę telefoniczną na tylnym siedzeniu i otworzyła ją na stronie 489. W dolnym lewym - południowo-zachodnim - rogu strony znalazła ogłoszenie firmy o nazwie „Zmartwychwstanie - części samochodowe”.

Mieściła się w dzielnicy Marina del Rey, kilka kilometrów od oceanu. Wyjechały z parkingu i ruszyły na zachód bulwarem Waszyngtona. Maya wyglądała przez okno, jakby starała się zapamiętać charakterystyczne punkty mijanej trasy

- Gdzie jest centrum Los Angeles?

- Chyba w śródmieściu. Ale nie do końca. Tutaj nie ma typowego centrum, są tylko niewielkie odrębne skupiska mieszkańców.

Maya włożyła dłoń pod rękaw swetra i poprawiła jeden z noży.

- Kiedy spacerowaliśmy po Londynie, ojciec czasami recytował poemat Yeatsa - zawahała się, po czym zaczęła mówić miękkim głosem: - „Kołując coraz to szerszą spiralą, sokół przestaje słyszeć sokolnika; wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze.

Mijały po drodze centra handlowe, stacje benzynowe i tereny o zabudowie mieszkalnej. Niektóre okolice były biedne i zaniedbane - dominowały tu małe domy w stylu hiszpańskim lub parterowe budynki typu rancho, których płaskie dachy były pokryte żwirem. Przed frontem każdego budynku znajdował się pas murawy obsiany bermudzką trawą oraz jedno lub dwa drzewa, zwykle palma lub chiński wiąz.

Firma „Zmartwychwstanie - części samochodowe" była ulokowana przy wąskiej bocznej uliczce między fabryką trykotowych bluzek a solarium. Na frontowej ścianie ktoś namalował w komiksowym stylu rękę Boga z Kaplicy Sykstyńskiej. Tym razem jednak dłoń nie dawała życia Adamowi, ale była uniesiona nad tłumikiem.

Vicki zaparkowała po drugiej stronie ulicy.

- Mogę tu na ciebie zaczekać. Nie ma sprawy.

- To nie jest konieczne.

Wysiadły z samochodu i wyjęły rzeczy Mai z bagażnika. Vicki myślała, że usłyszy „do widzenia" albo „dziękuję bar-

* Fragment *Drugiego przybycia* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

dzo", ale dziewczyna była już skoncentrowana na nowym otoczeniu. Spojrzała w górę i w dół uliczki, oceniając każdy pojazd i zaparkowany samochód, po czym wzięła torbę, kamerę oraz statyw i zaczęła się oddalać.

- Czy to już wszystko?

Maya zatrzymała się i spojrzała przez ramię.

- Co masz na myśli?

- Nie zobaczymy się już więcej?

- Oczywiście, że nie. Wykonałaś swoje zadanie, Vicki. Najlepiej będzie, jeśli nie piśniesz o tym nikomu ani słowa.

Taszcząc wszystkie bagaże w lewej ręce, Maya przeszła na drugą stronę ulicy do siedziby firmy wskrzeszającej części samochodowe. Vicki usiłowała nie czuć się dotknięta, ale gniewne myśli same jej się nasuwały. Kiedy była małą dziewczynką, słuchała opowieści o Arlekinach, którzy dzielnie i odważnie stawali w obronie sprawiedliwych. Teraz spotkała dwoje Arlekinów: Shepherd był zwykłym człowiekiem, z kolei ta młoda kobieta - Maya - charakteryzowała się egoizmem i brakiem ogłady.

Nadeszła już pora, by pojechać do domu i przyszykować obiad dla matki. O siódmej wieczór w Boskim Kościele miało być odprawione nabożeństwo. Vicki wsiadła do samochodu i zawróciła w kierunku bulwaru Waszyngtona. Kiedy zatrzymała się na czerwonym świetle, pomyślała o Mai przechodzącej przez ulicę z bagażem niesionym w lewej ręce. Prawą rękę miała wolną. Tak - o to właśnie chodziło. Wolną, by wyciągnąć miecz i kogoś uśmiercić.

Maya ominęła frontowe wejście do zakładu „Zmartwychwstanie - części samochodowe”. Weszła na parking i zaczęła obchodzić budynek. Niemal na tyłach znajdowało się nieoznakowane wyjście ewakuacyjne z arlekińskimi rombami wydrapanymi na zardzewiałym metalu. Weszła do środka. Poczła zapach smaru i rozpuszczalnika. Dostyszała oddalone głosy. Znalazła się w pomieszczeniu wypełnionym stosami zużytych gaźników i rur wydechowych. Wszystko było pogrupowane według marki i modelu. Wysunąwszy nieco miecz, ruszyła w kierunku światła. Drzwi były lekko uchylone, kiedy zajrzała przez szczelinę. Dostrzegła Shepherdę oraz dwóch mężczyzn stojących przy małym stoliku.

Sprawiali wrażenie zaskoczonych, kiedy Maya weszła. Shepherd sięgnął pod marynarkę po broń, lecz rozpoznał ją i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wreszcie jest! Dorosła i bardzo atrakcyjna. Oto słynna Maya, o której wam mówiłem.

Widziała Shepherdę sześć lat temu, kiedy odwiedził jej ojca w Londynie. Amerykanin obmyślił plan, jak zarobić miliony dolarów na pirackich filmach z wytwórni w Hollywood, ale Thorn odmówił sfinansowania tej operacji. Chociaż Shepherd zbliżał się już do pięćdziesiątki, wyglądał znacznie młodziej. Włosy blond miał przystrzyżone na jeża, nosił szarą jedwabną koszulę i szytą na miarę, sportową marynarkę. Podobnie jak Maya, przez ramię miał przewieszoną tubę, w której nosił arlekiński miecz. Dwaj pozostali mężczyźni wyglądali na braci. Obaj mieli

po dwadzieścia parę lat, zepsute zęby i utlenione na blond włosy. Ręce starszego z nich zdobyły zamazane więzienne tatuaże. Maya doszła do wniosku, że są to męty - co w slangu Arlekinów oznaczało niskiej rangi najemników - i postanowiła ich zignorować.

- Co się dzieje? - zapytała Shepherd. - Kto depta ci po piętach?

- To jest rozmowa na później - odparł Shepherd. - Teraz chcę, żebyś poznała Bobby Jaya i Tatea. Mam dla ciebie pieniądze i dokumenty. Broń dostarcza Bobby Jay

Tatę, młodszy z braci, utkwił w niej wzrok. Miał na sobie spodnie treningowe i sporo za dużą koszulkę piłkarską, która zapewne zakrywała spluwę.

- Ma taki miecz jak ty - powiedział do Shepherd. Arlekin uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Noszenie go niczemu nie służy, ale to coś w rodzaju potwierdzenia przynależności do klubu.

- Ile jest wart twój miecz? - zapytał Mayę Bobby Jay. - Nie masz ochoty go sprzedać?

Rozdrażniona zwróciła się do Shepherd. Arlekin uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Skąd wzięłeś tych ludzi?

- Spokojnie. Bobby Jay kupuje i sprzedaje broń wszelkiego typu i rodzaju. Zawsze szuka okazji do zrobienia interesu. Wybierz sobie sprzęt. Ja zapłacę, a oni sobie pójdą.

Na stole leżała walizka ze stali. Shepherd otworzył ją i ich oczom ukazało się pięć sztuk krótkiej broni ułożonych na podkładce z gąbki. Gdy Maya podeszła bliżej, dostrzegła, że jeden z pistoletów jest wykonany z czarnego plastiku, a nabój umieszczono w górnej komorze.

Shepherd wyciągnął plastikową broń.

- Widziałas kiedyś coś takiego? To taser wyzwalający elektrowstrząsy. Możesz oczywiście nosić prawdziwy pistolet, ale to pozwoli ci zdecydować, czy chcesz zabić przeciwnika, czy też nie.

- Nie jestem zainteresowana - odrzekła Maya.

- Mówię serio. Przysięgam na Boga. Sam noszę coś takiego. Jeśli strzelisz do kogoś z pistoletu, nie obejdziesz się bez ingerencji policji. To daje ci więcej możliwości.

- Jediną możliwością jest wybór: atakować czy nie.

- W porządku. Świetnie. Rób jak chcesz...

Shepherd uśmiechnął się szeroko i nacisnął spust.

Zanim zdążyła zareagować, dwie strzałki przywiązane do linek wystrzeliły z lufy i uderzyły ją w pierś. Potężne kopnięcie prądem zważyło ją na podłogę. Kiedy zmagala się ze sobą, by wstać, poraził ją drugi elektrowstrząs, potem jeszcze jeden, po którym zapadła ciemność.

Generał Nash zadzwonił do Lawrence'a w sobotę i poinformował, że o czwartej po południu Nathan Boone zamierza przeprowadzić telekonferencję z udziałem Braci, którzy zasiadają w Komitecie Wykonawczym. Lawrence wyruszył natychmiast ze swojego mieszkania w szeregowcu do centrum badawczego w hrabstwie Westchester. Strażnikowi przy bramie głównej przekazał listę uczestników. Zajrzał na moment do swojego biura, by sprawdzić skrzynkę poczty elektronicznej, następnie poszedł na trzecie piętro przygotować wszystko do spotkania.

Nash wpisał już do systemu polecenie zezwalające Lawrence'owi na wejście do sali konferencyjnej. Gdy syn Sparrowa zbliżył się do drzwi, jego karta identyfikacyjna OO została wykryta przez skaner i zamek otworzył się automatycznie. W sali znajdował się drewniany stół z mahoniu, fotele obite brązową skórą oraz ekran zajmujący całą ścianę. Dwie kamery wideo przekazywały ujęcia pomieszczenia pod różnymi kątami, dzięki czemu Bracia mieszkający w dalekim świecie mogli obserwować przebieg dyskusji.

Podczas posiedzeń komitetu podawanie alkoholu było zabronione, dlatego Lawrence ustawił na stole butelki z wodą mineralną i szklanki. Jego głównym zadaniem było zapewnienie sprawnego działania telewizji w układzie zamkniętym. Za pomocą panelu sterującego umieszczonego w jednym z narożników połączył się z kamerą wideo zamontowaną w biurowym apartamencie wynajmowanym w Los Angeles. Na razie obraz z tej kamery pokazywał

biurko i pusty fotel. Gdy rozpocznie się posiedzenie, miał w nim zasiąść Boone i przedstawić raport na temat braci Corriganów. W ciągu dwudziestu minut u dołu ekranu pokazały się cztery nieduże kwadraty, a na panelu kontrolnym pojawiły się potwierdzenia gotowości do udziału w dyskusji Braci z Londynu, Moskwy, Tokio i Dubaju.

Lawrence dokładał starań, aby wyglądać jak osoba sumienna i budząca szacunek, ale ucieszył go fakt, że w sali posiedzeń jest sam. Odczuwał strach i maska, którą przyjmował na co dzień, nie była w stanie ukryć emocji. Tydzień wcześniej Linden przesłał mu „pająka” - miniaturową kamerę wideo na baterie. Schowany teraz w kieszeni, pająk wydawał się Lawrenceowi bombą zegarową, która mogła eksplodować w każdej chwili.

Sprawdził szklanki dwa razy, aby być pewnym ich czystości, następnie skierował się ku drzwiom. *Me mogę tego zrobić, pomyślał. To zbyt niebezpieczne.* Jednak jego ciało odmówiło opuszczenia pokoju. W milczeniu zaczął się modlić: *Pomóż mi, Ojcze. Nie mam tyle odwagi co ty.*

Gniew, który wywołał w nim własny strach, zniemacka obezwładnił jego instynkt przetrwania. Zaczął od wyłączenia kamery, która miała pracować podczas dyskusji, następnie pochylił się i ściągnął buty. Poruszając się szybko, wszedł na jeden z foteli i stanął na środku stołu. Lawrence wsunął pająka do otworu wentylacyjnego urządzenia klimatyzacyjnego podwieszonego do sufitu, upewnił się, że magnesy porządnie stykają się z metalem, i zeskoczył z powrotem na podłogę. Minęło pięć sekund. Osiem. Dziesięć. Włączył ponownie kamerę monitorującą i zajął się ustawianiem krzesel.

Kiedy Lawrence dorastał, nigdy nawet nie przypuszczał, że jego ojcem mógł być Sparrow, Arlekin z Japonii. Matka

opowiadała mu, że zaszła w ciążę w trakcie studiów na uniwersytecie w Tokio. Bogaty kochanek odmówił poślubienia jej, ona jednak nie zgodziła się na aborcję. Nie chcąc wychowywać nieślubnego dziecka w konserwatywnym japońskim społeczeństwie, zdecydowała się na emigrację do Ameryki i wychowała syna w Cincinnati w stanie Ohio. Lawrence zaakceptował tę wersję bez żadnych wątpliwości. Chociaż matka uczyła go czytać i mówić w języku japońskim, nigdy nie odczuwał potrzeby, by polecieć do Tokio i odnaleźć egoistycznego biznesmena, który porzucił studentkę przy nadziei.

Matka Lawrence'a zmarła na raka, gdy był na trzecim roku studiów. W starej poszewce na poduszkę znalazł listy od jej krewnych z Japonii. Przyjazny i pełen miłości ton tych listów zaskoczył go. Z relacji matki wynikało, że rodzina wyrzuciła ją z domu, gdy tylko dowiedziała się, że jest brzemienna. Lawrence napisał do nich i jego ciotka Mayumi przyjechała do Ameryki na pogrzeb.

Po żałobnej ceremonii Mayumi została, by pomóc siostrzeńcowi spakować wszystkie rzeczy i przesłać na przechowanie do magazynu. Wtedy właśnie natrafił na osobiste przedmioty, które matka przywiozła ze sobą z ojczystego kraju: klasyczne kimono, kilka starych podręczników akademickich oraz album ze zdjęciami.

- To twoja babcia - oznajmiła Mayumi, wskazując na dojrzałą kobietę uśmiechającą się do obiektywu. Lawrence odwrócił stronę. - A to kuzynka twojej matki i jej przyjaciółki ze szkoły. Dziewczynki były takie śliczne.

Lawrence przewrócił kolejną kartkę albumu i wypadły z niego dwie fotografie. Na jednej z nich jego nastoletnia matka siedziała obok Sparrowa. Na drugim zdjęciu Sparrow był sam z dwoma mieczami.

- A to kto? - zapytał Lawrence.

Mężczyzna na fotografii emanował spokojem i powagą.

- Kim jest ta osoba? Proszę, powiedz mi.

Spoglądał na ciotkę, a ona zaczęła płakać.

- To twój *ojciec*. Spotkałam go tylko raz, w restauracji w Tokio, razem z twoją matką. Był bardzo silnym człowiekiem.

Ciotka Mayumi знаła tylko kilka informacji na temat mężczyzny ze zdjęcia. Używał imienia Sparrow, ale czasami przedstawiał się nazwiskiem Furukawa. Ojciec Lawrence'a był zaangażowany w coś niebezpiecznego. Być może był szpiegiem. Wiele lat temu został zabity przez grupę gangsterów yakuzy podczas strzelaniny w hotelu Osaka.

Po powrocie Mayumi do Japonii syn Sparrowa spędzał cały wolny czas w Internecie, poszukując informacji na temat ojca. Bez trudu znalazł doniesienia na temat incydentu w hotelu Osaka. Relacje o masakrze pojawiły się we wszystkich japońskich dziennikach i w prasie międzynarodowej. Zginęło osiemnastu żołnierzy yakuzy. Na liście zabitych bandytów znalazło się też nazwisko jego ojca - Hiroshiego Furukawy - a jeden z japońskich magazynów wydrukował jego pośmiertne zdjęcie. Lawrence dziwił się, dlaczego w żadnej z relacji nie podawano konkretnych przyczyn krwawego zajścia. Zwykle kończyło się na zdawkowych zwrotach reporterów - „gangsterskie porachunki” lub „spór o podział nielegalnych zysków”. Dwóch gangsterów mafii przeżyło, ale ci nie puścili nawet pary z ust.

Podczas studiów na Uniwersytecie Duke Lawrence nauczył się pisać programy przeszukujące duże zbiory danych statystycznych. Po dyplomie pracował dla internetowej witryny z grami, założonej przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. Ich struktury analizowały reakcję nastolatków grających drużynowo on-line i zwalczających się wzajemnie w wirtualnym, bombardowanym mieście. Młody informatyk miał udział w tworzeniu programu generującego profil psychologiczny każdego gracza. Profile wymyślone przez komputer wykazywały dużą zbieżność z rzeczywistymi decyzjami dokonywanymi przez żołnierzy w warunkach bojowych. Program określał, kto zostanie w przyszłości starszym sierżantem sztabowym, kto będzie radiooperatorem, a kto zgłosi się na ochotnika do wypełniania misji o wysokim stopniu ryzyka.

Rezultatem pracy dla armii była posada w Białym Domu i znajomość z Kennardem Nashem. Generał zorientował się, że Lawrence jest dobrym administratorem i że nie powinien marnować talentu na pisanie komputerowych programów. Nash miał niezłe koneksje w CIA oraz w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Lawrence zrozumiał, że pracując dla Nasha, może uzyskać szeroki dostęp do informacji poufnych, dzięki czemu będzie w stanie dotrzeć do utajnionych danych na temat ojca. Często przyglądał się fotografii ojca z dwoma mieczami Sparrow nie miał na ciele wymyślnych tatuaży, tak typowych dla członków yakuzy.

Wreszcie któregoś razu generał Nash wezwał Lawrence'a do swego biura i przekazał mu to, co Bracia nazywają Wiedzą. Poznał wersję najbardziej podstawową: istniała grupa terrorystów, zwanych Arlekinami, którzy bronili kasty heretyków - Travelerów. Dla dobra społeczeństwa należało unicestwić Arlekinów i objąć kontrolą wizjonerów. Lawrence wrócił do swojej stacji roboczej, dysponując pierwszym nadanym przez Braci kodem dostępu, wpisał nazwisko ojca do informacyjnej bazy danych i wreszcie poznał przynajmniej część prawdy. IMIĘ: *Sparrow*, ZNANY TEŻ JAKO: *Hiroshi Furukawa*. BRONŃ: *miecz/nóż/karabin.*, PODSUMOWANIE: *Sławny japoński Arlekin*. ZARADNOŚĆ: *Poziom 2*. SKUTECZNOŚĆ: *Poziom 1*. AKTUALNY STATUS: *Zlikwidowany - hotel Osaka*.

Gdy Lawrence poznał następne tajniki Wiedzy i uzyskał szerszy większą liczbę kodów dostępu, zdołał się dowiedzieć, że zdecydowana większość Arlekinów zginęła z rąk tabulskich najemników. Pracował więc dla struktur, które były odpowiedzialne za śmierć jego ojca. Ze wszystkich stron otaczało go zło, jednak, niczym aktor klasycznego teatru *no*, przez cały czas nosił maskę na twarzy

Kiedy Kennard Nash opuścił Biały Dom, syn Sparrowa poszedł za nim i objął nową posadę w fundacji Evergreen. Pozwolono mu zapoznać się z treścią trzech ksiąg: Zielonej,

Czerwonej i Niebieskiej, w których opisano Travelerów, Arlekinów oraz przedstawiono skróconą wersję historii Braci. W nowej epoce Bracia odrzucili brutalne, wprowadzone przez Stalina i Hitlera, totalitarne metody kontroli i sięgnęli po bardziej wyrafinowany system oparty na zasadzie panopticonu, sformułowanej przez żyjącego w XVIII wieku brytyjskiego filozofa Jeremy ego Benthama.

- Nie ma potrzeby obserwować każdego, jeśli wszyscy będą przekonani, że są obserwowani - tłumaczył Nash. - Kara nie jest konieczna, ale jej nieunikniony charakter musi być zaprogramowany w umysłach.

Jeremy Bentham był przekonany, że dusza nie istnieje i że poza materialnym światem nie ma innej rzeczywistości. Zanim umarł, obiecał zapisać majątek na rzecz uniwersytetu w Londynie, ale pod warunkiem, że ciało zostanie zakonserwowane, odziane w jego ulubiony strój i umieszczone w szklanej gablocie. Bracia traktowali doczesne szczątki myśliciela i filozofa jak relikwię. Kiedy tylko byli w Londynie, przychodzili je obejrzyć.

Mniej więcej rok temu Lawrence poleciał do Amsterdamu na spotkanie z jednym z kierowanych przez Braci zespołów monitorujących globalną sieć WWW. Podczas jednodniowej przerwy w podróży, a wypadła ona w Londynie, pojechał taksówką do uniwersytetu. Wchodząc od strony Gower Street, przeszedł przez główny czworoboczny dziedziniec. Było późne lato i upalna pogoda. Studenci w krótkich spodenkach i bawełnianych koszulkach siedzieli na marmurowych schodach gmachu Wilkinsa, Lawrence zazdrościł im swobody stylu bycia i ubioru.

Jeremy Bentham siedział na fotelu wewnątrz gabloty ze szkła i drewna, ustawionej przy wejściu do południowego krużganka. Jego oczyszczone z wnętrzości ciało wypchano słomą i watą, następnie założono szaty wybrane przez filozofa. Głowa umieszczona była w pojemniku ustawionym u jego stóp, ale pewnego razu studenci wykradli ją, wyko-

rzystując do rozegrania meczu piłki nożnej na uniwersyteckim dziedzińcu. Nie stanowiła -więc już części ekspozycji, gdyż przechowywano ją bezpiecznie w uczelnianym sejfie. Do gabloty wstawiono głowę z -wosku, a blady kolor nadał jej upiorny wygląd.

Zazwyczaj strażnik ze służby ochrony siedział w identycznej szklanej gablocie oddalonej o jakieś dwadzieścia stóp od filozofa. Bracia, przybywający tu, by złożyć hołd wynalazcy panopticonu, żartowali zwykle, że nie można rozstrzygnąć, kto jest bardziej martwy - Jeremy Bentham czy bezwolny truteń strzegący ziemskich szczątków myśliciela. Tego popołudnia jednak strażnik gdzieś przepadł i Lawrence był jedyną osobą w holu. Podeszedł powoli do wystawowej gabloty i spojrzał na woskowe oblicze. Francuski rzeźbiarz, twórca głowy, odtworzył ją bardzo dobrze, a uniesiony nieco do góry kącik ust Benthama sugerował, że był całkiem zadowolony z biegu, który obrały zdarzenia w nowym tysiącleciu.

Po kilku sekundach poświęconych na oglądanie zmumifikowanego ciała, Lawrence odszedł krok w lewo, by obejrzeć niewielką wystawę poświęconą życiu Benthama. Spojrzał w dół i dostrzegł graffiti namazane czerwoną woskową kredką na pokrytej patyną mosiężnej podstawie gabloty. Był to owalny kształt oraz trzy proste kreski; dzięki prowadzonym przez siebie dociekaniom Lawrence wiedział, że to symbol Lutni Arlekinów.

Czy chodziło o wyrażenie pogardy? Arogancką manifestację przeciwnych poglądów? Kucnął i przyjrzał się z bliska rysunkowi, a wtedy dostrzegł, że jedna z linii wskazuje na wypchane ciało Benthama. Znak. Wskazówka. Spojrzał wzdłuż holu krużganka na wiszący daleko kobierzec. Gdzieś w budynku trzasnęły drzwi, ale nikt się nie pojawił.

Zrób coś, pomyślał. To twoja jedyna szansa. Drzwiczki gabloty były zamknięte na niewielką mosiężną kłódkę, ale wystarczyło, że mocno ją podważył i wyrwał skobel. Gdy drzwiczki otwarły się, skrzypiąc, sięgnął do środka i spraw-

dził zawartość zewnętrznych kieszeni czarnego surduta filozofa. Nic. Odpiął guziki. Dotknął waty, którą wypchano mumię i trafił na wewnętrzną kieszeń. Coś w niej było. Kartka. Tak, pocztówka. Ukrył zdobycz w teczce, zamknął drzwiczki i wyszedł szybkim krokiem.

Godzinę później siedział w pubie niedaleko British Museum, oglądając badawczo pocztówkę przedstawiającą La Palette - kawiarnię przy Rue de Seine w Paryżu. Zielone markizy. Stolik i krzesła ustawione na chodniku. Na jednym ze stolików widocznych na fotografii ktoś zaznaczył „X”, ale Lawrence nie domyślał się, co to oznacza. Na drugiej stronie pocztówki ktoś napisał po francusku: *Kiedy świątynia legła w gruzach.*

Po powrocie do Ameryki syn Sparrowa dalej badał pocztówkę i spędzał długie godziny, szukając jakiegoś śladu w Internecie. Czy jakiś Arlekin zostawił kartkę pocztową jako wskazówkę, która miała doprowadzić do określonego miejsca? Jaka świątynia legła w gruzach? Przychodziła mu na myśl jedynie Pierwsza Świątynia w Jerozolimie. Arka Przymierza. Święte Świętych.

Pewnego razu, siedząc w swoim mieszkaniu w segmencie szeregowca, wypił całą butelkę wina i zdał sobie sprawę, że dawny zakon templariuszy był powiązany z Arlekinami. Najwyżsi rangą bracia zostali uwięzieni przez Filipa IV Pięknego, króla Francji, i spaleni na stosie. Kiedy to się stało? Wykorzystując przenośny komputer, niemal natychmiast odnalazł odpowiedź w Internecie. Październik 1307 roku. Piątek, trzynastego.

W roku, który właśnie trwał, dwa razy trzynastego wypadło w piątek - jeden z nich był w kalendarzu za kilka tygodni. Lawrence zmienił plany urlopowe i poleciał do Paryża. Rankiem trzynastego wybrał się do kawiarni La Palette, ubrany w sweter ze wzorem w arlekińskie romby. Lokal mieścił się w bocznej ulicy z niewielkimi galeriami artystycznymi, w pobliżu bulwaru Saint-Michel. Usiadł

przy jednym z małych stolików i zamówił cafe creme u kelnera. Był spięty i podekscytowany, gotów dać się porwać przygodzie, upłynęła jednak godzina i nie działo się nic.

Analizując raz jeszcze pocztówkę, zwrócił uwagę, że znak iksa znajdował się przy konkretnym stoliku ustawionym daleko po lewej stronie kawiarnianego ogródka. Gdy para młodych Francuzów skończyła czytać gazetę i zwołała stolik, przeniósł się na ich miejsce i zamówił bagietkę z szynką. Czekał do dwunastej w południe, kiedy starszy kelner w białej koszuli i czarnej kamizelce podszedł do jego stolika.

Najpierw przemówił po francusku. Lawrence pokręcił przecząco głową. W końcu spróbował po angielsku.

- Czy pan czeka na kogoś?

-Tak.

- Wolno wiedzieć na kogo?

- Nie mogę tego wyjawić. Ale poznam tę osobę, kiedy się tu zjawi.

Starszy kelner sięgnął pod kamizelkę, wyciągnął telefon komórkowy i podał go synowi Sparrowa. Niemal natychmiast rozległ się dzwonek, a Lawrence odebrał. Niski głos odezwał się po francusku, po czym po niemiecku i na koniec po angielsku.

- Jak odnalazł pan to miejsce? - zapytał głos.

- Pocztówka w kieszeni nieboszczyka.

- Dotarł pan do punktu wejściowego. Mamy siedem takich punktów w różnych miejscach świata, służą nam do pozyskiwania sojuszników i kontaktów z najemnikami. To tylko punkt wejścia. Nie oznacza to wcale, że pozwolimy panu wejść.

- Rozumiem.

- A zatem proszę mi powiedzieć... *Co* się stało w piątek trzynastego?

- Zakon templariuszy został osaczony i zniszczony. Niektórzy bracia zdołali przeżyć.

- Kto przetrwał?

- Arlekini. Jednym z nich był mój ojciec, Sparrow.
 Cisza. Potem mężczyzna po drugiej stronie roześmiał się miękko.

- Pański ojciec zapewne ucieszyłby się w tej chwili. Delektował się tym, co nieprzewidywalne. Kim pan jest?

- Lawrence Takawa. Pracuję w fundacji Evergreen.

Cisza, raz jeszcze.

- Ach... Tak - wyszeptał głos. - Chodzi o fasadę skrywającą grupę ludzi, którzy sami siebie nazywają Braćmi.

- Chcę się dowiedzieć więcej o moim ojcu.

- Dlaczego mam panu zaufać?

- Wybór należy do pana - odparł Lawrence. - Będę siedział przy tym stoliku jeszcze dziesięć minut i wychodzę.

Wyłączył komórkę i był pewien, że ona eksploduje, ale nie stało się nic. Po pięciu minutach zobaczył idącego chodnikiem rosnącego mężczyznę z ogoloną głową; chwilę później człowiek ten zatrzymał się przy jego stoliku. Przez ramię miał przezuconą metalową tubę na pasku i Lawrence zdał sobie sprawę, że patrzy na Arlekina niosącego ukryty miecz.

- *Mapporent sil vousplait une eau-de-vie fine* - powiedział przybysz do kelnera i usiadł na wiklinowym krześle.

Prawa dłoń Arlekina wypychała kieszeń trencza, jakby ścisnął w niej pistolet. Lawrence zastanawiał się, czy Arlekin zamierza rozprawić się z nim natychmiast, czy też woli poczekać, aż kelner przyniesie zamówiony trunek.

- Rozłączenie rozmowy było krokiem stanowczym, panie Takawa. Podoba mi się to. Być może rzeczywiście jest pan synem Sparrowa.

- Mam fotografię swoich rodziców, siedzących razem. Jeśli pan chce, pokażę ją panu.

- Albo wcześniej zabiję pana.

- To kolejny wybór.

Francuz po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Zatem dlaczego ryzykuje pan własne życie, by spotkać się ze mną?

- Chcę wiedzieć, jak zginął mój ojciec.
- Sparrow był ostatnim japońskim Arlekinem. Gdy Tabulowie wynajęli gangsterów z yakuzy, by zgładzić trójkę znanych Travelerów, przez niemal osiem lat chronił ich i ratował im życie. Jednym z Travelerów był buddyjski mnich żyjący w świątyni w Kioto. Szefowie yakuzy posyłali kilka razy swoich oprychów, by skrytobójczo zgładzili mnicha, ale za każdym razem mordercy przepadali jak kamień w wodę. Sparrow, rzecz jasna, wyłapywał ich i wycinał, niczym zielisko w ogrodzie. W odróżnieniu od innych współczesnych Arlekinów preferował walkę mieczem.

- Co się stało? W jaki sposób go pojmali?
- Poznał twoją matkę w Tokio, na przystanku w pobliżu uniwersytetu. Zaczęli się spotykać i zakochali się w sobie. Gdy twoja matka zaszła w ciążę, bandyci z yakuzy dowiedzieli się o tym. Porwali ją i zawieźli na gangsterską balangę w hotelu Osaka. Związali ją i zawiesili na linie. Gangsterzy zamierzali uchlać się, a następnie zgwałcić pojmaną ofiarę. Nie byli w stanie zabić Sparrowa, postanowili więc zhańbić jedyną osobę, jaka liczyła się w jego życiu.

Kelner podał kieliszek z koniakiem, a wielki mężczyzna wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Hałas ulicznego ruchu, dialogi toczone wokół nich zupełnie przycichły. Lawrence słyszał jedynie głos swojego rozmówcy.

- Twój ojciec wszedł do sali bankietowej przebrany za kelnera. Sięgnął pod wózek z potrawami i wyciągnął miecz oraz dwunastostrzałowy karabinek z obrotowym bębniem. Zaatakował gangsterów yakuzy, zabijając kilku i raniąc resztę. Następnie uwolnił twoją matkę i kazał jej uciekać.

- Posłuchała go?
- Tak. Sparrow powinien uciec wtedy z nią, ale jego honor został zszargany. Obchodził dookoła salę bankietową i dokonywał egzekucji żołnierzy yakuzy. Wtedy właśnie jeden z rannych bandziorów wyciągnął spluwę i strzelił mu w ple-

cy Miejscowych policjantów przekupiono, żeby zatuszować fakty, a gazety publikowały relacje o wojnie gangów.

- Co się stało z Travelerami?
- Pozbawieni ochrony, zostali zgładzeni w ciągu kilku tygodni. Niemiecki Arlekin imieniem Thorn przyleciał do Japonii, ale było już za późno.

Lawrence wpatrywał się w filiżankę z kawą.

- Więc tak się to odbyło...
- Czy to ci się podoba, czy nie, jesteś synem Arlekina i pracujesz dla Tabulów. Jest tylko jedno pytanie: Czy zamierzasz coś z tym zrobić?

Gdy zbliżała się pora spotkania, Lawrence znów zaczął odczuwać intensywny lęk. Zamknął drzwi swojego biura, ale każda osoba o wyższym poziomie dostępu - jak choćby Kennard Nash - mogła bez ceregieli wejść do środka. O godzinie 3:55 po południu wyjął odbiornik, który Linden przesłał mu wraz z „pajakiem”, i wsadził kabel do gniazdka w laptopie. Na ekranie pojawiła się najpierw gmatwanina czerwonych linii, później nagle zobaczył salę konferencyjną i usłyszał głosy w słuchawkach.

Kennard Nash stał przy długim stole i witał Braci, którzy przybyli na spotkanie. Kilku mężczyzn miało na sobie stroje do golfa, gdyż to popołudnie spędzili w miejscowym ekskluzywnym klubie rekreacyjno-sportowym Westchester. Bracia uścisnęli sobie nawzajem dłonie, opowiadali dowcipy i plotki na temat aktualnej sytuacji politycznej. Niezorientowany obserwator mógłby pomyśleć, że grupa dobrze ubranych, starszych mężczyzn prowadzi charytatywną fundację i spotyka się na dorocznym bankiecie w celu rozdania honorowych nagród.

- W porządku, panowie - przemówił Nash. - Zajmijcie swoje miejsca. Już czas, byśmy rozpoczęli dyskusję-

Wpisując komendę do komputera, Lawrence wyregulował ostrość obiektywu „pajaka”. Zobaczył, jak na ekranie w sali konferencyjnej ukazuje się postać Nathana Boonea. Małe kwadraty na dole ekranu pokazywały twarze Braci z innych krajów.

- Witam wszystkich - Boone mówił spokojnym głosem, jak specjalista do spraw finansowych omawiający bieżące przychody - Chcę wam przedstawić podsumowanie aktualnej sytuacji dotyczącej braci Michaela i Gabriela Corriganów. Miesiąc temu zainicjowałem operację monitoringową, której celem była obserwacja tych dwóch mężczyzn. Personel realizujący akcję wynajęto w Los Angeles, kilku fachowców ściągnęliśmy z innych miast. Nasi ludzie otrzymali polecenie śledzenia braci oraz zdobycia szczegółowych informacji na temat każdego z nich. Ich zatrzymanie było przewidziane jedynie w sytuacji, gdy stanie się oczywiste, że obaj zamierzają uciec z Los Angeles.

Na telebimie pojawił się obraz zaniedbanego, dwukondygnacyjnego budynku.

- Wieczorem kilka dni temu obaj bracia spotkali się w pewnym hospicjum, w którym przebywała ich matka. Nasz zespół nie dysponował aparaturą termowizyjną, ale miał ze sobą skaner akustyczny. Rachel Corrigan wyjawiała synom, co następuje...

Z telewizyjnych głośników dobiegł słaby głos umierającej kobiety:

- Wasz ojciec był Travelerem... Arlekin imieniem Thorn odnalazł nas... Jeśli jednak dysponujecie tą mocą, musicie ukrywać się przed Tabularni.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Boonea.

- Rachel Corrigan zmarła tego wieczora. Zespołem kierował pan Prichett. Podjął decyzję o pojmaniu Michaela Corrigan. Niestety, Gabriel pojechał autostradą w ślad za bratem i zaatakował jeden z naszych pojazdów Corriganom udało się wymknąć.

- Gdzie są teraz? - zapytał Nash.

Lawrence zobaczył, jak na ekranie pojawia się nowy obraz. Potężny mężczyzna, wyglądający, jakby urodził się na wyspach mórz południowych, oraz łysy Latynos ze strzelbą strzegli Corriganów, gdy ci opuszczali nieduży budynek.

- Następnego ranka jeden z naszych zespołów obserwacyjnych wypatrzył braci oraz dwóch goryli od osobistej ochrony w domu Gabriela. Pół godziny później w tym samym składzie wpadli do mieszkania Michaela i zabrali trochę ubrań.

- Czwórka mężczyzn skierowała się na południe Los Angeles do fabryki odzieżowej w City of Industry. Właścicielem zakładu jest człowiek nazwiskiem Frank Salazar. Dorobił się majątku na szwindlach i nielegalnych interesach, ale teraz ma kilka własnych legalnych firm. Salazar zainwestował szmal w jeden z budynków biurowych Michaela. Obecnie jego osobista obsługa ochrania obu braci.

- Czy wciąż przebywają na terenie fabryki? - dopytywał się Nash.

- W rzeczy samej. Proszę o zezwolenie na przeprowadzenie ataku na budynek i przechwycenie braci.

Mężczyźni zgromadzeni przy stole konferencyjnym przez kilka sekund zachowywali milczenie, po czym odezwał się łysy członek Bractwa, przebywający w Moskwie.

- Czy zakład znajduje się na terenach publicznych?

- Zgadza się - odparł Boone. - W odległości około pięciuset metrów znajdują się dwa budynki mieszkalne.

- Kilka lat temu komitet zdecydował, że powinniśmy unikać podejmowania działań, które mogą ściągnąć uwagę policji.

Generał Nash pochylił się do przodu.

- Gdyby to była rutynowa egzekucja, poprosiłbym pana Boonea, aby powstrzymał się i zaczekał na lepszą sposobność. Jednak sytuacja uległa bardzo istotnym zmianom. Dzięki powstaniu komputera kwantowego mamy możliwość zyskania sojusznika o ogromnej potędze. Jeśli projekt „Przejście”

powiedzie się, będziemy wreszcie dysponowali technologią niezbędną do kontrolowania całej ludzkiej populacji.

- Ale potrzebny jest nam Traveler - odezwał się jeden z mężczyzn przy stole.

Kennard Nash stuknął palcem w stół.

- Tak. O ile wiemy, do dziś nie przetrwał żaden z nich. Ci dwaj młodzi ludzie są synami znanego Travelera, mogli więc odziedziczyć jego dar. Musimy przejąć nad nimi kontrolę. Nie ma innego wyjścia.

Maya siedziała spokojnie i obserwowała trzech mężczyzn. Minęła dłuższa chwila, zanim odzyskała przytomność po potężnych elektrowstrząsach, które jej zaaplikowano. Wciąż odczuwała pieczenie w okolicy mostka i w lewym ramieniu. Gdy leżała bez czucia, mężczyźni wycięli stary pasek klinowy od wentylatora i wykorzystali go do związania jej nóg. Przełożone pod krzesłem ręce były spięte kajdankami. W tej chwili usiłowała za wszelką cenę zapanować nad gniewem i odnaleźć w głębi serca spokojne miejsce. „Pomyśl o kamieniu”, zwykł mawiać do niej ojciec. „O gładkim, czarnym kamieniu. Wyciągnij go z zimnego górskiego strumienia i zaciśnij w dłoni”.

- Dlaczego ona nic nie mówi? - zapytał Bobby Jay. - Gdybym był na jej miejscu, wyzwiałbym cię od najgorszych sukinsynów.

Shepherd spojrzął na Mayę i uśmiechnął się.

- Właśnie usiłuje wymyślić sposób, jak poderżnąć ci gardło. Ojciec uczył ją zabijać ludzi, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

- To zajebiste.

- Nie, to chore - skomentował Shepherd. - Inna Arlekin, Irlandka o przydomku Mother Blessing, pojechała kiedyś do miasteczka na Sycylii i w dziesięć minut zamordowała trzynaście osób. Usiłowała uwolnić katolickiego księdza porwanego przez miejscowych mafiosów wynajętych jako najemnicy. Ksiądz otrzymał postrzał i wykrwawił się na śmierć w samochodzie, ale Mother Blessing zdołała ująć z życiem.

A teraz, przysięgam na Boga, w przydrożnej kapliczce na północ od Palermo znajduje się ołtarz z portretem przedstawiającym ją jako wcielenie Anioła Śmierci. Do diabła z tym. Ona jest przeklętą psychopatką, taka jest prawda.

Tatę, żując gumę i drapiąc się, podszedł do krzesła i pochylił do przodu tak, że jego usta znalazły się w odległości zaledwie kilku centymetrów od jej twarzy.

- Czy naprawdę tym się zajmujesz, słodka bużko? Myślisz o tym, jakby tu nas zabić? Cóż, to nie jest miłe.

- Trzymaj się od niej z dala - ostrzegł Shepherd. - Po prostu zostaw ją na krześle. Nie rozpinaj kajdanek. Nie dawaj jej nic do jedzenia ani picia. Wróć, jak tylko znajdzie Prichetta.

- Sprzedawczyk - odezwała się Maya, choć powinna zachować milczenie. Rozmowa nie dawała jej żadnych korzyści, ale to słowo samo wyrwało się z ust.

- Ten wyraz sugeruje zdradę - odparł Shepherd. - Ale wiesz co? Nie mam już czego ani kogo zdradzać. Nie ma już na świecie Arlekinów

- Nie możemy pozwolić, by Tabulowie przejęli władzę.

- Mam dla ciebie wiadomość, Mayu. Arlekini właśnie stracili swoje zajęcie, gdyż Bracia już nie zabijają Travelerów. Zamierzają ich schwytać i wykorzystać moc, jaką władają. To samo powinniśmy zrobić my już dawno temu.

- Nie zasługujesz na miano Arlekina. Pokalałeś pamięć własnej rodziny.

- Mój dziadek i ojciec troszczyli się jedynie o Travelerów. Żaden z nich nie poświęcił mi choćby chwili uwagi. Jesteśmy do siebie podobni. Oboje wychowywaliśmy się pod opieką ludzi, którzy walczyli o przegraną sprawę.

Shepherd zwrócił się do Bobbyego Jaya i Tatea.

- Nie spuszczaście jej z oka - polecił i wyszedł z pomieszczenia.

Tatę podszedł do stołu i wziął jeden z noży Mai, ten służący do rzucania.

- Spójrz na to - zwrócił się do swojego brata. - Jest idealnie wyważony.

- Dostaniemy noże, jej arlekiński miecz i trochę gotówki ekstra, kiedy Shepherd wróci.

Maya napięła lekko mięśnie nóg i rąk, czekając na dogodną okazję. Gdy była dużo młodsza, ojciec zabierał ją do klubu w Soho, gdzie grali w bilard z odbiciem o trzy bandy. Nauczył ją przewidywać i organizować szybko po sobie następujące działania: biała bila uderzała w czerwoną, a następnie odbijała się od gumowego obicia bandy.

- Shepherd najwyraźniej odczuwa przed nią lęk.

Tatę podszedł do Mai, trzymając w dłoniach nóż.

- Arlekini cieszą się ogromną sławą, ale nie ma do tego żadnych podstaw. Spójrz na nią. Ma dwie ręce i dwie nogi, jak każdy zwykły śmiertelnik.

Tatę zaczął wciskać czubek noża w policzek Mai. Skóra napięła się i poddała. Docisnął mocniej i ukazała się kropelka krwi.

- Popatrz na to. Oni również krwawią.

Ostrożnie, niczym artysta rzeźbiący w glinie, Tatę zrobił płytkie nacięcie wzdłuż jej szyi do obojczyka. Poczowała, jak krew wypływa z ranki i kapie po jej skórze.

- Zobacz. Czerwona krew. Tak jak twoja czy moja.

- Przestań błaznować - ostrzegł Bobby Jay. - Wpuścisz nas w kanał.

Tatę wykrzywił twarz w grymasie uśmiechu i powrócił do stołu. Przez kilka sekund stał obrócony do niej plecami i przesłaniał bratu widok na nią. Arlekinka upadła do przodu na kolana i wyciągnęła ręce do tyłu najdalej, jak mogła. Gdy uwolniła się spod krzesła, przeciągnęła ręce pod miednicą i nogami. Teraz miała dłonie z przodu, przed sobą.

Maya powstała - wciąż ze skutymi nadgarstkami i spętanymi kostkami - i dała susa, mijając Tatea. Wykonując salto, znalazła się nad stołem, chwyciła w locie miecz i wyładowała na wprost Bobbyego Jaya. Całkowicie zaskoczony,

grzebał w zanadru skórzanej kurtki, usiłując wyciągnąć broń. Maya zamachnęła się oburącz i zadała szybki cios w szyję; z rozciętej tętnicy bryznęła krew. Bobby Jay zaczął osuwać się na ziemię, ale wojowniczką już o nim zapomniała. Wsunęła szpic klingi za pasek klinowy z gumy i przecięła go, uwalniając nogi.

Ruszaj się szybciej. Teraz. Ominęła stół, idąc w kierunku Tate'a, gdy ten sięgał pod za dużą koszulkę piłkarską i wyciągał gnata. Gdy unosił broń, Maya odskoczyła w lewo i cięła mieczem w dół, odrabując bandzirowi przedramię. Tatę przeraźliwie wrzeszczał i cofał się, słaniając na nogach, ale ona natychmiast ponowiła atak, zadając dwa ciosy mieczem - w kark i w tors.

Tatę osunął się na podłogę, a Maya stanęła nad jego ciałem, ściskając kurczowo miecz. Przez moment świat zrobił się malutki, zapadając się niczym czarny karzeł w punkcik, którego materia składała się jedynie ze strachu, nienawiści i euforii.

Od czterech dni bracia Corriganowie ukrywali się na ostatnim piętrze fabryki odzieżowej. Tego popołudnia Mr Bubble zadzwonił do Michaela i zapewnił, że negocjacje z rodziną Torellich w Filadelfii warko zmiierzają w pożądanym kierunku. Mniej więcej w ciągu tygodnia starszy z braci powinien otrzymać do podpisu dokumenty cesji własności i wtedy będą znowu wolni.

Deek pokazał się wieczorem i zamówił chińskie jedzenie. Posłał na dół Jesusa Moralesa, aby ten czekał na dostawę, sam zaś rozpoczął partię szachów z Gabrielem.

- W mamrze grywaliśmy dużo w szachy - wyjaśniał olbrzymi Samończyk. - Ale ci, którzy tam siedzieli, zwykle grali na jedno kopyto. Atakowali z uporem maniaka, aż ich król dostawał mata.

W fabryczce było bardzo cicho, kiedy maszyny szwalnicze milkły, a robotnice wracały do swoich domów i rodzin. Gabriel usłyszał warkot samochodu podjeżdżającego ulicą i zatrzymującego się przed frontem budynku. Wyrzwał przez okienko trzeciego piętra i dostrzegł chińskiego kierowcę wysiadającego z auta i niosącego dwie torby z jedzeniem.

Deek wpatrywał się w szachownicę, rozważając następne posunięcie.

- Ktoś się rozeźli, gdy Jesus im zapłaci. Kierowca przejechał szmat drogi, a ten kutwa Jesus da mu tylko baksa napiwku.

Dostawca wziął pieniądze od łysego Latynosa i ruszył z powrotem w stronę auta. Nagle sięgnął pod bluzę od dresu

i wyciągnął pistolet. Dogonił Jesusa, uniósł broń i odstrzelił ochroniarzowi czubek głowy. Deek usłyszał huk wystrzału. Pospiesznie podbiegł do okna i zobaczył dwa samochody pędzące ulicą. Wskoczyła z nich liczna grupa mężczyzn, wszyscy podążyli za Chińczykiem w stronę budynku.

Deek wcisnął przycisk w telefonie komórkowym i szybko wyrzucił z siebie urywane *słowu*.

- Ściągnijcie mi tu paru brachów, ale migiem. Sześciu ludzi z gnatami wali tu przez bramę.

Rozłączył się, chwycił automatyczny karabinek M-16 i podbiegł do Gabriela.

- Idź poszukać Michaela. Zostań z nim, aż Mr Bubble przyjedzie z odsieczą i wyciągnie nas z tej kabały.

Olbrzym ruszył ostrożnie w stronę schodów. Gabriel pobiegł korytarzem i znalazł Michaela stojącego obok składowanych łóżek.

- Co się dzieje?

- Atakują budynek fabryki.

Do ich uszu dobiegły odgłosy gwałtownej strzelaniny, przytłumione przez ściany. Deek dotarł do klatki schodowej i strzelał do napastników seriami z automatu. Michael sprawiał wrażenie zdezorientowanego i przestraszonego. Stojąc w wejściu patrzył, jak Gabriel sięga po zardzewiałą łopatę.

- Co robisz?

- Wynośmy się stąd.

Młodszy z Corriganów podważył łopatą dolną część ramy okna. Odrzucił narzędzie, otworzył okno rękami na oścież i wyjrzał na zewnątrz. Wzdłuż bocznej ściany budynku biegł betonowy gzyms szerokości około dziesięciu centymetrów. Dach następnego budynku, stojącego po drugiej stronie wąskiego przejścia, był oddalony o jakieś dwa metry i znajdował się jedną kondygnację niżej niż miejsce, w którym zostali osaczeni.

Wewnątrz budynku coś eksplodowało, po czym światła zgasły Gabriel podszedł do kąta i chwycił japoński miecz ojca. Wsunął go do plecaka rękojeścią w dół, tak że na ze-

wnętrz wystawał tylko czubek pochwy. Znów usłyszeli odgłosy strzałów. Potem okrzyki bólu wydawane przez Deeka. Gabriel założył plecak i powrócił do otwartego okna.

- Ruszajmy. Możemy zeskoczyć z tego budynku.
- Nie dam rady tego zrobić - odparł Michael. - Źle wymierzę i spadnę.
- Musisz spróbować. Jeśli tu zostaniemy, zabiją nas.
- Porozmawiam z nimi, Gabe. Potrafię rozmawiać z każdym.
- Zapomnij o tym. Oni nie chcą się z tobą targować.

Gabriel wyszedł przez okno i stanął na gzymsie, lewą ręką trzymając się okiennej ramy. Światło dobiegające z ulicy było na tyle silne, że widział sąsiadujący dach, ale chodnik między dwoma budynkami był jedynie czarną smugą. Policzył do trzech, odbił się, przeleciał przez powietrze i upadł na papę pokrywającą sąsiedni dach. Wstając na nogi, spojrzał na budynek fabryki.

- Pospiesz się!

Michael wahał się, zrobił ruch, jakby zamierzał wyjść przez okno, po czym się cofnął.

- Dasz radę! - Gabriel zdał sobie teraz sprawę, że powinien zostać z bratem i pomóc mu wydostać się pierwszemu. - Pamiętaj, co mi zawsze powtarzałeś? Musimy trzymać się razem. To jedyny sposób, by się stąd wydostać.

Z nieba doleciał ryk silnika helikoptera z zamontowanym reflektorem punktowym. Snop światła przecinał ciemność, przez chwilę zatrzymał się na otwartym oknie, po czym kontynuował penetrowanie dachu fabryki.

- Chodź, Michael!
- Nie dam rady! Znajdę jakieś miejsce, w którym się ukryję.

Starszy z braci sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął coś i rzucił w kierunku młodszego z Corriganów. Gdy to coś upadło na dach, Gabriel stwierdził, że to złoty klips spinający kartę kredytową i plik dwudziestodolarówek.

- Spotkamy się przy rogu bulwaru Wilshire i Bundy o dwunastej w południe - powiedział Michael. - Jeśli mnie

tam nie będzie, odczekaj dwadzieścia cztery godziny i spróbuj jeszcze raz.

- Oni cię rozwalą.

- Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

Starszy z braci Corriganów zniknął w ciemności i Gabriel został sam. Helikopter zawrócił nad budynkiem i zawisł w powietrzu z rykiem silnika, a wirowanie płatów wzniecało tumany kurzu i podrywało drobne kawałki śmieci. Światło reflektora poraziło go w oczy. Czuł się tak, jakby spoglądał w słońce. Niemal oślepiiony blaskiem, potykając się, przebiegł w poprzek dachu do drabiny pożarowej, chwycił metalowe szczeble i pozwolił sile grawitacji, aby ściągnęła go na ziemię.

Maya zdjęła zbrylgane krwią rzeczy i wcisnęła i,e do plastikowego worka na śmieci. Dwa martwe ciała leżały kilka stóp dalej, jednak ona usiłowała nie myśleć o tym, co się stało. *Trzymaj się teraźniejszości*, powiedziała do siebie. *Skoncentruj się na każdym wykonywanym ruchu*. Uczeń i poeci pisują o przeszłości - podziwiają ją, tęsknią za nią i żałują jej, ale Thorn szkolił córkę, aby unikała tego rodzaju rozterek. Klinga miecza była odpowiednim rozwiązaniem, gdy już przecinała powietrze.

Shepherd wyszedł na spotkanie z kimś o nazwisku Prichett, ale w każdej chwili mógł wrócić. Chociaż Maya bardzo chciała tu zostać i uśmiercić zdrajcę, jej najważniejszym zadaniem było odnalezienie braci Gabriela i Michaela Corriganów. Pomyślała, że być może zostali już schwytani. Albo wcale nie odziedziczyli mocy, dzięki której mogli stać się Travelerami. Był tylko jeden sposób, aby uzyskać odpowiedź na te pytania - musiała jak najszybciej do nich dotrzeć.

Maya wyciągnęła z torby odzież na zmianę, włożyła dżinsy, trykot z krótkim rękawem i niebieski bawełniany sweter. Owinęła dłonie pasjami z foliowych worków, przejrzała arsenał Bobbyego Jaya i wybrała niewielki automat produkcji niemieckiej, z pochwą zakładaną na kostkę. Bojowa strzelba z pistoletową kolbą i składanym łożem była umieszczona w długiej metalowej walizce, zdecydowała się więc wziąć ją ze sobą. Gdy była gotowa do wyjścia, rzuciła stare gazety na zakrwawioną podłogę i stanęła na nich, sprawdzając jednocześnie zawartość kieszeni martwych

już braci. Tatę miał przy sobie czterdzieści dolarów i trzy plastikowe fiolki z działkami kokainy. Kieszenie Bobby'ego Jaya były zasobniej sze - znalazła w nich ponad dziewięćset dolców zwiniętych w rolkę i spiętych gumką. Maya wzięła gotówkę, zostawiając narkotyki obok ciała Tatę'a.

Dźwigając walizkę ze strzelba i resztę bagaży, opuściła budynek wyjściem awaryjnym. Podążając w kierunku zachodnim, minęła kilka przecznic i wrzuciła worek z zakrwawionymi ubraniami do kubła na śmieci. Stała teraz przy bulwarze Lincoln, czteropasmowej ulicy ze sklepami meblowymi i restauracjami typu fast food. Zrobiło się upalnie, ona zaś miała wrażenie, że rozbryzgana krew wciąż lepi się do jej skóry

Dysponowała tylko jednym awaryjnym adresem. Kilka lat temu Linden przyjechał do Ameryki w celu zdobycia fałszywych paszportów i kart kredytowych. Zorganizował wtedy skrzynkę kontaktową u człowieka mieszkającego w Hermosa Beach, na południe od Los Angeles.

Zamówiła taksówkę, dzwoniąc z automatu na ulicy. Kierowca był starszym Syryjczykiem i ledwo co mówił po angielsku. Otworzył atlas i długo studiował mapę; w końcu stwierdził, że dowiezie ją pod wskazany adres.

Hermosa Beach było niewielkim miasteczkiem, leżącym na południe od lotniska Los Angeles. Centrum miało charakter turystyczny mieściły się tu restauracje i bary, ale większość zabudowy stanowiły nieduże, jednopiętrowe domki letniskowe usytuowane w odległości kilku kwartałów od brzegu oceanu. Taksówkarz zgubił się dwukrotnie. Zatrzymał się, jeszcze raz kartkował atlas i w końcu zdołał odnaleźć dom przy Sea Breeze Lane. Maya zapłaciła szoferowi i patrzyła, jak auto odjeżdża w dół ulicy. Być może Tabulowie już tu byli i czekali wewnątrz domu.

Weszła po stopniach przedsionka od frontu i zastukała do drzwi. Nikt nie odpowiadał, ale dosłyszała dźwięki muzyki dochodzące z podwórza. Otworzyła boczną furtkę

i znalazła się na wąskiej ścieżce prowadzącej między ścianą domu a betonowym murem. Chcąc mieć swobodne ręce, zostawiła wszystkie bagaże przy bramce. Automatyczny pistolet Bobby'ego Jaya tkwił w otwartej kaburze przypiętej paskiem do lewej kostki. Tuba z mieczem wisiała na ramieniu. Wzięła głęboki oddech, nastawiła się psychicznie na walkę i ruszyła do przodu.

Wzdłuż muru rosło kilka sosen, ale reszta podwórza była pozbawiona roślinności. Ktoś wykopał płytki dół w piaszczystym podłożu i przykrył go wysoką na półtora metra kopułą z wiklinowych witek związanych sznurkiem. Przy akompaniamencie muzyki country, dobiegającej z przenośnego radia, mężczyzna z nagim torsem nakrywał konstrukcję czworokątnymi poczerńiałymi płatkami spalonej słońcem bydłęcej skóry

Mężczyzna dostrzegł Mayę i przestał pracować. Był rdzennym mieszkańcem Ameryki, o długich czarnych włosach i obwisłym brzuchu. Gdy uśmiechnął się szeroko, pokazał ubytki wśród zębów trzonowych.

- Jutro - odezwał się Indianin.

- Słucham?

- Przesunąłem datę ceremonii w szałasie potów. Stali bywalcy otrzymali wiadomość pocztą elektroniczną, ale, jak sądzę, jesteś jedną z przyjaciółek Richarda.

- Szukam osoby o imieniu Thomas.

Mężczyzna pochylił się i wyłączył radio.

- To ja. Jestem Thomas „Kroczący po Ziemi”. A z kim rozmawiam?

- Jane Stanley. Dopiero co przyleciałam z Anglii.

- Byłem kiedyś w Londynie, żeby dać wywiad. Kilku ludzi wypytywało mnie, dlaczego nie noszę piór we włosach.

Thomas usiadł na drewnianej ławce i zaczął wkładać trykotową koszulkę.

- Powiedziałem, że jestem ze szczepu Absaroka, ludzi ptaków Wy, biali, nazywacie nas plemieniem Kruków. Nie potrzebuję wtykać we włosy orlego pióra, żeby być Indianinem.

- Przyjaciel powiedział mi, że wie pan wiele rzeczy
- Może wiem, a może nie wiem. Pani o tym zdecyduje.
Maya rozejrzała się po podwórzu, poza nimi nie było nikogo.
- I teraz buduje pan szałas potów?
- Zgadza się. Zwykle zarządzam jedną turę w weekendy
Przez ostatnie kilka lat organizuję weekendowe sesje oczyszczające dla rozwiedzionych kobiet i mężczyzn. Po dwóch dniach siódmych potów i walenia w bębenek dochodzą do wniosku, że przestali nienawidzić byłych współmałżonków- Thomas uśmiechnął się i wykonał gest dłońmi. - To nic wielkiego, ale poprawia świat. Każdy z nas toczy co dzień własną bitwę, choć nie zdaje sobie z tego sprawy Miłość usiłuje pokonać nienawiść. Odwaga zmagą się z tchórzostwem.
- Przyjaciel powiedział mi, że potrafi pan wyjaśnić, czemu Tabulowie zawdzięczają swoją nazwę.
Thomas spojrział na przenośną lodówkę i na sportową bluzę złożoną na ziemi. Tam najpewniej ukrył broń. Najprawdopodobniej pistolet.
- Tabulowie. Racja. Mogłem coś o tym słyszeć.
Indianin ziewnął i podrapał się po brzuchu zupełnie tak, jakby zapytała o grupę małych harcerzyków.
- „Tabula” pochodzi od łacińskiego zwrotu *tabula rasa*, co oznacza „czysta tabliczka”. Tabulowie uważają, że ludzki mózg jest czystą tabliczką w momencie, kiedy przychodzimy na świat. Innymi słowy: ludzie dysponujący władzą mogą wypełnić nasz umysł spreparowanymi informacjami. Jeśli proces ten obejmie dużą liczbę ludzi, to będzie można poddać kontroli niemal całą populację zamieszkującą świat. Tabulowie nienawidzą każdego, kto może wykazać istnienie innej rzeczywistości.
- Na przykład Travelerów?
Kolejny raz Thomas spojrział na ukrytą broń. Wahał się przez chwilę, później doszedł najwidoczniej do wniosku, że nie zdąży jej chwycić na tyle szybko, żeby wyjść cało z opresji.

- Posłuchaj, Jane... Czy jak się tam nazywasz. Jeśli przybyłaś tu, żeby mnie zabić, czyni swoją powinność. Mam to gdzieś. Jeden z moich stryjów był Travelerem, ale ja nie mam daru podróżowania do innych wymiarów. Gdy stryj powrócił do naszego świata, podjął próbę wprowadzenia zmian w plemiennej społeczności, które wypeniłyby plagę alkoholizmu i pozwoliły kontrolować własne życie. Jednak ludziom dzierżącym władzę nie spodobało się to. Chodziło o ziemię. Dzierżawę pól naftowych. Sześć miesięcy po tym, jak stryj rozpoczął głoszenie nowej prawdy, ktoś przejechał go na drodze. Zrobiliście to tak, żeby wyglądało na wypadek, czyż nie tak? Sprawca wypadku, który zbiegł, i żadnych świadków.

- Czy wie pan, kim jest Arlekin?

- Być może...

- Kilka lat temu spotkał pan francuskiego Arlekina imieniem Linden. Wykorzystując pańskie dane adresowe, zdobył kilka lipnych paszportów. W tej chwili ja jestem w poważnych tarapatach. Linden powiedział mi, że mogę liczyć na pańską pomoc.

- Nie walczę z Arlekinami. Nie jestem taką osobą.

- Potrzebuję samochodu osobowego lub ciężarówki, jakiegokolwiek pojazdu, który nie zostanie wysledzony przez Rozległą Sieć monitorującą.

Thomas „Kroczący po Ziemi” wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, ona zaś czuła moc w jego wzroku.

- W porządku - odpowiedział bez pośpiechu. - Mogę to załatwić.

Gabriel szedł dnem kanału burzowego biegnącego wzdłuż autostrady do San Diego. Już prawie dniało. Na wschodnim horyzoncie żarzyła się cienka linia słonecznego światła. Sznur osobowych i ciężarowych samochodów, zmierzających na południe, mijat go w pędzie.

Ktokolwiek zaatakował fabrykę odzieżową Mr Bubble'a, prawdopodobnie oczekiwał na jego powrót do domu położonego w zachodniej dzielnicy Los Angeles. Jego honda została w fabrycznym budynku, potrzebny był mu więc drugi motocykl. W Nowym Jorku czy Hongkongu - miastach o zabudowie pionowej - zgubiłby się bez trudu w metrze lub w tłumie. Jednak po Los Angeles piechotą chodzili wyłącznie bezdomni i nielegalni imigranci. Mając do dyspozycji motocykl, zostałby pochłonięty przez ruch uliczny w gęstej gmatwaninie śródmiejskich ulic i anonimowych autostrad.

Dwie posesje od domu Gabriela mieszkał stary człowiek o nazwisku Foster. Wśród należących do niego zabudowań była też szopa na narzędzia kryta dachem z aluminiowej blachy. Młodszy z Corriganów wspiał się na betonowy mur oddzielający autostradę od domów przy jego ulicy. Następnie wskoczył na szopę. Patrząc ponad dachami, dostrzegł wóz remontowy zakładu energetycznego zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Oczekał tam kilka minut, nie bardzo wiedząc, co ma robić dalej, gdy nagle dostrzegł blask żółtego płomyka w kabinie ciężarówki. Osobnik siedzący w mroku właśnie zapalił papierosa.

Gabriel zeskoczył z dachu szopy i ponownie przełaził przez mur odgradzający autostradę. Słońce wschodziło już

nad dachami okolicznych magazynów i hurtowni, podobne do zabrudzonego balonu. *Lepiej zrób to teraz, pomyślał. Jeśli siedzieli na czatach całą noc, teraz prawdopodobnie zapadli w półsen.*

Znów podszedł do muru, chwycił za górną krawędź i przerzucił ciało na drugą stronę, na zarośnięte zielskim podwórze wynajmowanego przez siebie domu. Bez chwili wahania pobiegł do garażu i otworzył kopniakiem boczne drzwi. Motocykl Moto Guzzi produkcji włoskiej stał zaparkowany pośrodku. Jego wielki silnik, czarny bak oraz wąska kierownica zawsze przywodziły mu na myśl byka oczekującego na toreadora.

Gabriel wałnął pięścią w przycisk uruchamiający elektryczne otwieranie drzwi garażu, dosiadł stalowego rumaka i uruchomił silnik nożnym starterem. Metalowe drzwi wydawały zgrzytliwy dźwięk, sunąc do góry. W chwili, gdy dolna krawędź znalazła się na wysokości półtora metra nad ziemią, dodał gwałtownie gazu.

Z ciężarówki wyskoczyło trzech mężczyzn i co tchu pędziło w jego stronę. Gdy młodszy Corrigan pomknął wyjazdem, mężczyzna w niebieskiej marynarce uniósł broń podobną do strzelby z granatem nałożonym na wylot lufy. Motocykl podskoczył przy zjeździe na ulicę, wtedy mężczyzna wypalił. Granat okazał się grubym plastikowym workiem wypełnionym czymś ciężkim. Dziwaczny pocisk trafił w maszynę, którą mocno zarzuciło w bok.

Nie zatrzymuj się, pomyślał Gabriel. Nie zwalnij. Odbił kierownicą w lewo, odzyskał równowagę i z rykiem silnika popędził jezdnią do końca kwartału. Oglądając się przez ramię, dostrzegł, jak trzech mężczyzn biegli co sił do ciężarówki.

Gabriel skręcił ostro na rogu ulicy, tylne koło motocykla wyrzuciło fontannę żwiru. Znów dodał gazu, a pęd wciskał go w siedzenie. Jego ciało przemieniło się niemal w część maszyny, stało się wzmocnieniem jej mocy, gdy, trzymając kurczowo kierownicę, pochylił się nisko i przemknął na czerwonych światłach.

Pozostawał na utwardzonych ulicach - najpierw ruszył na południe do Compton, później zawrócił i ponownie pojechał do Los Angeles. W południe przejechał przez róg Wilshire i Bundy ale Michaela tam nie było. Pojechał wtedy na północ do Santa Barbara i spędził noc w podupadłym motelu, stojącym kilka mil od plaży. Następnego dnia powrócił do Los Angeles, ale i tym razem nie dostrzegł brata w umówionym miejscu przy zbiegu dwóch ulic.

Gabriel kupił kilka gazet codziennych i przeczytał je od deski do deski. Nigdzie żadnej wzmianki o strzelaniu w fabryce odzieżowej. Zdawał sobie sprawę z tego, że wiarygodność telewizyjnych i prasowych serwisów informacyjnych jest ograniczona do określonego poziomu rzeczywistości. To, co mu się przydarzyło, było już na innym pułapie - coś jak świat równoległy. Dookoła niego inne społeczeństwa rosły w siłę albo upadały, tworząc nową historię lub łamiąc reguły, natomiast Sieć stwarzała pozory, że twarze pokazywane w telewizji są jedynymi, z którymi wiążą się wydarzenia ważne.

Resztę dnia spędził na motocyklu, zatrzymując się tylko raz, by zatankować i napić się wody. Wiedział, że powinien znaleźć bezpieczną kryjówkę, ale jakiś niespokojny duch wciąż pchał go naprzód. Gdy był już zmęczony, Los Angeles zaczęło rozpadać się na kawałki - odrębne obrazy bez łączącej je tkanki. Martwe pierzaste liście palm w *rynsztoku*. *Ogłoszenie z informacją o zagubionym psie*. Szyldy i reklamy na każdym kroku. **CENY OBNIŻONE DO GRANIC MOŻLIWOŚCI! NIE ODRZUCAMY ŻADNEJ OFERTY! DOSTARCZYMY NA CZAS, NA MIEJSCE I NA PEWNO!** Starszy człowiek pogrążony w lekturze *Biblii*. Nastolatka plotkująca przez komórkę. Później światła uliczne z czerwonych zmieniły się na zielone, on zaś pognął donikąd.

W Los Angeles Gabriel umawiał się na randki z kilkoma kobietami, ale związki te miały charakter przelotny i rzadko trwały dłużej niż miesiąc lub dwa. Z pewnością nie wiedziałyby, jak mu pomóc, gdyby zjawił się w ich mieszkaniu, szukając schronienia. Miał wprawdzie kilku przyjaciół, którzy lubili akrobacje spadochronowe, i kilku innych, z którymi ścigał się na motocyklach, ale więzi te nie były silne. Pragnąc uniknąć wykrycia przez Sieć, zerwał kontakty ze wszystkimi poza własnym bratem.

Jadąc na wschód Sunset Boulevard, pomyślał o Maggie Resnick. Była adwokatem, a on darzył ją zaufaniem; zapewne będzie wiedziała, co robić. Skręcając z bulwaru, wjechał w wijącą się meandrami ulicę prowadzącą przez Coldwater Canyon.

Dom Maggie wzniesiono na zboczu stromego stoku. Drzwi do garażu znajdowały się na parterze; następne, coraz mniejsze kondygnacje ze szkła i stali były ustawione w taki sposób, że budowla przypominała weselny tort. Dochodziła już niemal północ, ale w środku wciąż paliły się światła. Gabriel zadzwonił do drzwi, które po chwili otworzyła Maggie, odziana w czerwony flanelowy szlafrok i pluszowe kapcie.

- Mam nadzieję, że nie zjawisz się tu z propozycją motocyklowej przejażdżki. Jest ciemno i zimno, a ja padam z nóg. Poza tym mam jeszcze do przeczytania trzy zeznania złożone pod przysięgą.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Co się stało? Wpadłeś w tarapaty?

Gabriel przytaknął.

Maggie cofnęła się od progu, robiąc miejsce.

- W takim razie wejdź. Cnota jest godna podziwu, ale nudna. Chyba dlatego zdecydowałam się na praktykowanie prawa karnego.

Chociaż Maggie nie cierpiała gotowania, poleciła architektowi zaprojektować nad wyraz przestronną kuchnię. Na ha-

kach wisały podwieszane do sufitu miedziane garnki i rondle. Z drewnianej półki zwisały szeregiem kryształowe kieliszki do wina. W rogu stała duża lodówka z obudową ze stali nierdzewnej, w środku znajdowały się cztery butelki szampana i karton chińskich dań na wynos. Gdy pani adwokat parzyła herbatę, Gabriel siedział przy kuchennym blacie. Już samo to, że tu był, mogło ściągnąć na nią zagrożenie, ale rozpaczliwie pragnął opowiedzieć komuś o tym, co się wydarzyło. Teraz, gdy wszystko stało się takie niepewne, wspomnienia z dzieciństwa z dawną siłą wciskały się w jego myśli.

Maggie nalała mu filiżankę herbaty, po czym usiadła po przeciwnej stronie kontuaru i zapaliła papierosa.

- W porządku. W tej chwili jestem twoim prawnikiem. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że wszystko, co powiesz, ma charakter poufny, chyba że zamierzasz popełnić przestępstwo.

- Nie zrobiłem niczego złego.

Pani adwokat machnęła ręką, w powietrzu uniosła się falista smuga dymu.

- Oczywiście, że zrobiłeś. Wszyscy popełniamy przestępstwa. Pierwsze pytanie brzmi następująco: Czy poszukuje cię policja?

Gabriel w krótkich słowach opowiedział jej o śmierci swojej matki, po czym opisał mężczyzn, którzy zaatakowali starszego brata na autostradzie i na koniec podał szczegóły spotkania z Mr Bubbleem i strzelaniny w fabryce odzieży. Przez większość czasu Maggie po prostu pozwalała mu mówić, kilka razy tylko spytała go, skąd wie to czy tamto.

- Przeczuwałam, że Michael ściągnie na ciebie kłopoty - oznajmiła. - Ludzie ukrywający pieniądze przed aparatem administracyjnym zwykle są zamieszani również w inne rodzaje przestępczej działalności. Jeśli twój brat przestał im wypłacać ich część wpływów z czynszu za biurowy budynek, z pewnością nie skontaktowali się z policją. Wynajęli paru zakapiorów, żeby go wytropili.

- To mogło być równie dobrze co innego - podsunął myśl Gabriel. - Kiedy dorastaliśmy w Południowej Dakocie, jacyś ludzie przyszli po mojego ojca. Spalili nasz dom, ojciec zaś przepadł gdzieś na zawsze, ale nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego tak się stało. Matka opowiedziała nam tę przedziwną historię tuż przed śmiercią.

Młodszy z braci Corriganów nie rozmawiał nigdy z nikim o swojej rodzinie, tym razem jednak nie mógł przestać mówić. Z szczegółami opisał ich sielankowe życie w Południowej Dakocie i powtórzył słowa, które usłyszał od matki, gdy leżała na łożu śmierci. Pani adwokat spędziła większość życia, wysłuchując wyznań klientów, wyjaśniających, dlaczego dopuścili się przestępstw. Wyrobiła w sobie umiejętność nieokazywania sceptycyzmu do momentu, gdy opowieść dobiegała końca.

- Czy to wszystko, Gabriel? Jakies dodatkowe szczegóły?

- To wszystko, co sobie przypominam.

- Chcesz lampkę koniaku?

- Nie teraz.

Maggie sięgnęła po butelkę z francuskim koniakiem i naala sobie kieliszek.

- Nie zamierzam dyskredytować słów twojej matki, ale to, co powiedziała, kłóci się z moim zdroworozsądkowym widzeniem świata. Ludzie wpadają zwykle w tarapaty z powodu seksu, dumy oraz pieniędzy. Niekiedy z powodu wszystkich trzech rzeczy naraz. Ten gangster, o którym mówił ci Michael, Vincent Torelli, został zabity w Atlantic City. Z tego, co mi powiedziałeś o swoim bracie, wnioskuję, że zdarza mu się przyjmować pieniądze z nielegalnych źródeł finansowania, po czym kombinuje, jak by tu przestać spłacać zaciągnięte zobowiązania.

- Czy twoim zdaniem Michael jest cały i zdrowy?

- Prawdopodobnie tak. Potrzebny im jest żywy, jeśli chcą chronić zainwestowane pieniądze.

- Co mogę zrobić, by mu pomóc?

- Prawdę powiedziawszy, nie za wiele - wyraziła swój sceptycyzm pani adwokat. - Właściwe pytanie brzmi inaczej: Czy zamierzam się w to angażować? Ośmielam się powątpiewać w to, że masz jakieś pieniądze.

Gabriel kiwnął przecząco głową.

- Mam do ciebie słabość, Gabriel. Nigdy mnie nie okłamałeś i bardzo to cenię. Głównie zajmuję się profesjonalnymi kłamcami. Po jakimś czasie staje się to nużące.

- Chciałem tylko zasięgnąć twojej porady, Maggie. Nie proszę cię o to, żebyś zajęła się sprawą, która może okazać się niebezpieczna.

Victory „Od Grzechu” Fraser miała osiem lat, gdy kuzyn, przebywający w gościnie w Los Angeles, opowiedział jej o dzielnym Arlekinie, który poświęcił własne życie za Proroka. Historia była na tyle dramatyczna, że dziewczynka natychmiast poczuła sympatię do grupy tajemniczych obrońców. Gdy Vicki dorastała, jej matka Josetta oraz miejscowy pastor - wielebny J. T. Morganfield - dokładali starań, aby wypłenić z niej to oddanie idei Długu Niespłaconego. Vicki Fraser była zwykle pokorną sługą swojego Kościoła, jednak uparcie odmawiała zmiany poglądów w tej kwestii. Dług Niespłacony stał się dla niej namiastką skrywanego picia alkoholu i wymykania się wieczorami z domu, tak naprawdę był jedynym rzeczywistym aktem buntu.

Josetta wpadła w furję, gdy córka wyznała jej, że spotkała się na lotnisku z Arlekinem.

- Powinnaś się wstydzić - skarciła ją. - Prorok powiedział, że grzechem jest nieposłuszeństwo wobec rodziców.

- Prorok powiedział również, że można sprzeciwić się mniej ważnym zasadom, jeśli wypełnia się ważną Wolę Bożą.

- Arlekini nie mają nic wspólnego z Bogiem - zaprzeczyła Josetta. - Najpierw podetną ci gardło, a później będą się wściekać, że zakrwawiłaś im buty.

Tego samego dnia, kiedy Vicki udała się na lotnisko, na ulicy, przy której mieszkała, pojawił się wóz pogotowia energetycznego. Czarny mężczyzna z dwójką białych kolegów zaczęli wspinać się na słupy i sprawdzać linie przesyłowe, ale Josetta nie dała się nabrać. Fałszywi monterzy robili sobie

dwugodzinne przerwy na lunch i nigdy nie kończyli zaczętej roboty Przez cały dzień jeden z nich zawsze kręcił się w pobliżu, obserwując dom Fraserów Matka zakazała córce wychodzić z domu i odbierać telefony Wielebny Morganfield i inni członkowie religijnej wspólnoty przywdziali najlepsze szaty i zaczęli schodzić się do ich domu na modlitewne zgromadzenie. Nie miała zamiaru nikomu pozwolić na wtargnięcie siłą do środka i porwanie dziewicy Pana.

Vicki wpadła w tarapaty, ponieważ pomogła Mai, ale wcale tego nie żałowała. Ludzie rzadko kiedy słuchali, co ma do powiedzenia, a teraz cała kongregacja rozmawiała o jej wyczynie. Ponieważ nie mogła wyjść na zewnątrz, większość czasu mijała jej na myśleniu o wojownicze. Czy Arlekin był bezpieczny? Czy ktoś już ją uśmiercił?

Trzy dni po akcie nieposłuszeństwa, którego się dopuściła, wyglądała akurat przez okno, kiedy zobaczyła, jak przez płot przeskakuje Maya. Przez chwilę odniosła wrażenie, że wyczarowała ją z własnych snów.

Maya wyciągnęła automatyczny pistolet z kieszeni płaszcza, gdy szła w poprzek trawnika. Vicki otworzyła rozsuwane oszklone drzwi i machnęła do niej ręką.

- Bądź ostrożna - powiedziała dziewczyna. - Na ulicy znajduje się trójka mężczyzn. Udają monterów z elektrowni, ale jesteśmy zdania, że to ludzie wynajęci przez Tabulów

- Czy byli wewnątrz domu?

-Nie.

Przechodząc z pokoju gościnnego do kuchni, Maya zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Pistolet zniknął w kieszeni, ale prawa dłoń dotknęła zamknięcia metalowej tuby z mieczem zawieszony na ramieniu.

- Jesteś głodna? - zapytała Vicki. - Mogę przyrządzić ci śniadanie?

Maya stanęła przy zlewie, pilnie przyglądając się każdemu obiektowi w pomieszczeniu. W tym momencie czarnoskóra dziewczyna spojrzała na kuchnię zupełnie inaczej,

jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Garnki i rondle w zielonym kolorze owoców awokado. Plastikowy zegar na ścianie. Milutka figurka wiejskiej dziewczyny stojącej przy porcelanowej studni. Wszystko było proste i zwyczajne, a jednocześnie tchnęło spokojem i bezpieczeństwem.

- Shepherd zdradził - podjęła rozmowę Maya. - Pracuje teraz dla Tabulów. A ty mu pomagałaś. Co oznacza, że również możesz być zdrajczynią.

- Nie zdradziłam cię, Mayu. Przysięgam na imię Proroka.

Wojowniczką wyglądała na zmęczoną i bezradną. Rozglądała się po kuchni, jakby w każdej chwili ktoś miał ją zaatakować.

- Nie ufam ci do końca, ale w tej chwili nie mam zbyt wielkiego wyboru. Zamierzam zapłacić ci za udzieloną pomoc.

- Nie chcę pieniędzy od Arlekina.

- To daję pewną gwarancję lojalności.

- Pomogę ci za darmo, Mayu. Wystarczy, że mnie o to poprosisz.

Spoglądając Mai w oczy, zdała sobie sprawę, że domagała się czegoś, co Arlekinom przychodziło z najwyższym trudem. Zwrócenie się do innej osoby z prośbą o pomoc wymagało pewnego stopnia pokory i uznania własnej słabości. A przecież obrońcy Travelerów stanowili uosobienie dumy i niczym niezachwianej pewności siebie.

Maya wymamrotała pod nosem kilka słów, po czym spróbowała jeszcze raz, artykułując bardzo wyraźnie:

- Chcę, żebyś mi pomogła.

- Dobrze. Uczynię to z radością. Czy mamy jakiś plan?

- Muszę odnaleźć tych dwóch braci, zanim pochwycą ich Tabulowie. Nie dotkniesz pistoletu ani noża. Nawet nikogo nie zranisz. Pomóż mi tylko znaleźć najemnika, który mnie nie zdradzi. W tym kraju Tabulowie są bardzo potężni, ponadto pomaga im Shepherd. Nie jestem w stanie zrobić tego sama.

- Vicki? - jej matka dosłyszała rozmowę. - Co się dzieje? Czy mamy gości?

Josetta była dużą kobietą o szerokiej twarzy. Tego ranka włożyła na siebie garsonkę w koloize leśnej zieleni i medalion w kształcie serca z fotografią zmarłego męża w środku. Podeszła do progu i zatrzymała się, widząc nieznajomą. Obie kobiety mierzyły się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Maya dotknęła tuby z mieczem.

- Mamo, to jest...

- Wiem, kto to jest... Zbrodnicza grzesznica, która sprowadza śmierć w nasze życie.

- Usiłuję odnaleźć dwóch braci - oponowała Maya. - Mogą być Travelerami.

- Isaac T. Jones był ostatnim Travelerem. Nie ma innych. Maya dotknęła ręki Vicki.

- Ludzie Tabulów obserwują ten dom. Czasami mają ze sobą sprzęt, który pozwala im widzieć przez ściany. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. To niebezpieczne dla nas wszystkich.

Vicki stanęła między swoją matką a Arlekinem. Własne życie do tego momentu wydało się jej mało wyraziste i nieostre, jak zamazane zdjęcie, na którym rozmyty fotografowany obiekt ucieka przed obiektywem. Ale teraz, właśnie w tej chwili, miała przed sobą rzeczywisty wybór. „Posuwanie się naprzód nie jest trudne”, powiedział Prorok. „Odnalezienie właściwej ścieżki wymaga jednak głębokiej wiary”.

- Mam zamiar jej pomóc.

- Nie - odparła stanowczo Josetta. - Nie dam ci na to mojej zgody.

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia, mamo.

Vicki chwyciła swoją torebkę i wyszła na podwórko. Maya dogoniła ją, gdy dziewczyna dochodziła do trawnika.

- Pamiętaj o jednym - upomniała wojowniczką. - Działyśmy razem, ale wciąż nie ufam ci do końca.

- W porządku. Nie ufasz mi. Zatem od czego zaczniemy?

- Złap krawędź płotu i skacz.

Thomas „Kroczący po Ziemi” dał Mai do dyspozycji dostawcze auto marki Plymouth. W budzie nie było bocznych szyb, zatem w razie potrzeby można było się w niej od biedy przespać. Kiedy Vicki wsiadła do samochodu, wojowniczką poleciła jej ściągnąć z siebie wszystkie ubrania.

- Po co miałabym to robić?
- Czy w ciągu ostatnich dwóch dni ty i matka przez cały czas byłyście w domu?
- Nie cały czas. Wyszliśmy z wizytą do wielbego Morganfielda.

- Tabulowie weszli do waszego domu i przeszukali go. Prawdopodobnie w twojej odzieży i torbach podróży umieścili koraliki sygnalizacyjne. Kiedy opuścisz miejsce zamieszkania, satelita będzie śledzić twoje ruchy.

Vicki, czując się lekko zawstydzona, przeszła na tył samochodu, zdjęła buty, bluzkę i spodnie. W dłoni Mai pojawił się sztylet, posłużyła się jego czubkiem do sprawdzenia każdego rąbka i szwu.

- Czy ostatnio oddawałaś te pantofle **do naprawy?** - zapytała.

- Nie. Nigdy.
- Ktoś używał przy nich młotka.

Czubkiem noża Maya podważyła spód obcasa i odebrała flek. W trzonie obcasa wywiercona była mała szparka. Postawiła but podeszwą do dołu i na jej dłoń wypadł biały koralik sygnalizacyjny.

- Cudownie. Teraz wiedzą, że wyszłaś z domu.

Maya wyrzuciła paciorek przez boczną szybę i odjechała w kierunku koreańskich domów przy Western Avenue. Kupiły dla Vicki nową parę butów, później podjechały do kościoła Adwentystów Dnia Siódmego i zabrały ze sobą tuzin religijnych broszur. Udając misjonarkę adwentystów, czarnoskóra dziewczyna zastukała do drzwi domu w po-

blizu autostrady, tam gdzie mieszkał Gabriel. W środku nie było nikogo, ale czuła się tak, jakby ktoś ją obserwował.

Następnie pojechały na parking dużego domu towarowego i usiadły z tyłu samochodu. Podczas gdy Vicki obserwowała, co się dzieje, Maya podłączyła przenośny komputer do telefonu satelitarnego i wpisała numer abonenta po drugiej stronie.

- Co robisz?

- Włączam się do Internetu. To dość niebezpieczne ze względu na Carnivore'a.

- Cóż to takiego?

- Nazwa programu monitorującego globalną pajęczynę opracowanego przez wasze FBI. Biuro Bezpieczeństwa Narodowego opracowało też jeszcze sprawniejsze narzędzie służące do śledzenia, ale mój ojciec i zaprzyjaźnieni z nim Arlekin używają określenia Carnivore: „Mięsożerca”. Dawna nazwa przypominała im o zachowaniu ostrożności, gdy posługiwali się Internetem. Carnivore to pakiet programów tropiących, przeszukujących wszystko, co przechodzi przez konkretną sieć. Nakierowany jest na wybrane witryny WWW i adresy e-mailowe, ale potrafi też wykrywać wskazane słowa kluczowe i zwroty.

- Tabulowie wiedzą, rzecz jasna, o istnieniu tego oprogramowania?

- Dysponują nieautoryzowanym dostępem do niego, wykorzystując do tego własny program monitorujący Internet - odparła Maya i zaczęła pisać na klawiaturze komputera. - Carnivore'a można ominąć, posługując się ogólnikowym językiem, pozbawionym słów kluczowych.

Vicki siedziała na przednim fotelu furgonetki i obserwowała parking, natomiast Maya nawiązywała połączenie z drugim Arlekinem. Zwykli obywatele wychodzili z domu towarowego z ogromnymi wózkami wyładowanymi artykułami spożywczymi, odzieżą i sprzętem elektronicznym. Wózki były ciężkie od stert towarów, a zwykli ludzie pochylali się do przodu, pchając je w kierunku samochodów. Vicki

przypomniała sobie, jak w szkole średniej czytała o Syzyfie, greckim królu skazanym przez bogów na wieczne wtaczanie ogromnego głazu na szczyt góry

Przeszukawszy kilka witryn i wpisawszy różne słowa w charakterze kodów, Maya trafiła wreszcie na Lindena. Vicki spoglądała jej przez ramię, gdy wojowniczką pisała, używając ogólnikowych zwrotów. Shepherd, Arlekin który zdradził, był „wnukiem dobrego człowieka”, który „dołączył do konkurencyjnej firmy” i zniweczył „nasze wspólne biznesowe przedsięwzięcie”.

- *Jesteś cała?* - zapytał Linden.

-*Tak.*

- *Problemy z negocjacjami?*

- *Dwie porcje mięsa z chłodni* - odpisała Maya.

- *Starczy narzędzi?*

- *W sam raz.*

- *Stan fizyczny?*

- *Zmęczona, ale bez urazów.*

- *Jacyś pomocnicy?*

- *Jeden miejscowy pracownik z firmy Jones i Spółka: Dziś wynajmujemy profesjonalistę.*

- *Dobrze. Fundusze udostępnione.*

Przez moment ekran był pusty, po czym Linden odpisał.

- *Po raz ostatni kontaktowałem się z przyjacielem czterdzieści osiem godzin temu. Sugeruję, żebyś poszukała...*

Informator Lindena, operujący wewnątrz fundacji Evergreen, dostarczył mu sześć adresów, pod którymi należało szukać Michaela i Gabriela Corriganów. Informacje były bardzo lakoniczne, w rodzaju „partie golfa z M.” albo „przyjaciółka G”.

- *Dzięki.*

- *Spróbuję zdobyć więcej danych. Powodzenia.*

Maya przepisała informacje adresowe i wyłączyła komputer.

- Mamy kilka dodatkowych miejsc do sprawdzenia - zwróciła się do Vicki. - Ale muszę najpierw znaleźć najemnika... Kogoś, kto będzie w stanie udzielić mi wsparcia.

- Znam taką osobę.
- Czy jest członkiem grupy?
- Co to znaczy?
- Wiele osób, które odrzuciły życie pod nadzorem Rozległej Sieci monitorującej, połączyło się w grupy. Ich styl życia w różnym stopniu jest protestem wobec typowej egzystencji w Sieci. Niektóre grupy nie tolerują pokarmów wytworzonych w obrębie Sieci, inne nie akceptują oficjalnej „sieciorowej” muzyki i stylu ubierania. Jeszcze inni starają się żyć na podstawie nakazów wyznawanej wiary i odrzucają rządzący w Sieci strach oraz dogmaty.

Vicki się uśmiechnęła.

- W takim razie Kościół Isaaca T. Jonesa jest grupą.
- Masz rację - odparła Maya, uruchomiła silnik i zaczęła wyjeżdżać z ogromnego parkingu. - Walcząca grupa jest strukturą, która broni się, w sensie fizycznym, przed Siecią. Arlekini wykorzystują jej członków w charakterze najemników.
- Hollis Wilson nie należy do żadnej grupy. Ale z pewnością potrafi walczyć.

Gdy jechały na południe Los Angeles, Vicki wyjaśniła, że członkowie religijnej kongregacji zdali sobie sprawę z tego, że młodzi wyznawcy mogą ulec pokusie, jaką stanowi materialny blichtr, wcielenie Nowego Babilonu. Nastolatków zachęcano, by podejmowali się kościelnych misji w południowej Afryce i na Karaibach. Postrzegano to jako dobry sposób na ukierunkowanie młodzieńczej energii.

Hollis Wilson był członkiem rodziny szanowanej we wspólnocie religijnej, ale odmówił przyjęcia obowiązków misjonarza i zaczął zadawać się z przedstawicielami okolicznych gangów. Rodzice modlili się za niego i nawet zamknęli go w jego pokoju. Gdy kiedyś wrócił do domu nad ranem, zastał oczekującego w nim pastora kongregacji, który zamierzał odprawić egzorcyzmy i wypędzić szatana z serca młodego mężczyzny. Gdy Hollisa aresztowano w pobliżu

miejsca, gdzie skradziono samochód, pan Wilson zabrał syna na zajęcia karate w miejscowej sportowej lidze policyjnej. Sądził, że instruktor karate będzie w stanie wpoić synowi solidne zasady i uporządkować pełen chaosu styl życia.

Zdyscyplinowany świat sztuk walki okazał się prawdziwą potęgą i odciągnął Hollisa od religijnej wspólnoty. Po /dobyciu czwartego stopnia umiejętności i czarnego pasa wyruszył w ślad za jednym z instruktorów do Ameryki Południowej. Jego peregrynacje skończyły się w Rio de Janeiro, gdzie spędził sześć lat i stał się ekspertem od brazylijskiego stylu walki wręcz, zwanego *capoeira*.

- Wtedy powrócił do Los Angeles - kontynuowała relację Vicki. - Spotkałam go na ślubie jego siostry. Zorganizował szkołę sztuk walki w dzielnicy South Central.

- Opisz go. Jak wygląda? Wysoki? Niski?

- Szeroki w ramionach, ale wysmukły. Włosy dziwnie zakręcone, jak rastafarianin.

- Jaki ma charakter?

- Pewny siebie i próżny. Uważa siebie za dar Boga dla kobiet.

Szkoła sztuki walki mieściła się przy bulwarze Florence, wciśnięta między sklep z wysokoprocentowymi alkoholami a wypożyczalnię kaset wideo. W oknie widocznym z chodnika widniały hasła wypisane jaskrawymi, żółtymi i czerwonymi farbami: OBRÓN SIĘ SAM! KARATE, KICK-BOXING, BRAZYLIJSKA CAPOEIRA. ŻADNYCH UMÓW POCZĄTKUJĄCY MILE WIDZIANI.

Gdy zbliżyły się do siedziby szkoły, dosłyszały odgłosy bębnów, a dźwięk stał się donioślejszy, kiedy otworzyły frontowe drzwi. Wykorzystując płyty ze sklejki, Hollis urządził tu skromną recepcję z ladą i składanymi krzesłami. Na tablicy ogłoszeń wisiał przypięty pinezkami rozkład zajęć i plakaty reklamujące lokalne turnieje karate. Maya i Vicki minęły dwie niewielkie przebieralnie ze starymi narzutami zastępującymi drzwi i zajrzały do długiego pomieszczenia bez okien.

Siedzący w kącie pokoju starszy mężczyzna wybijał rytm na kongach, a dźwięk bębnow od"bijał się od betonowych ścian. Uczestnicy zajęć *capoeiry*, ubrani w trykotowe koszulki i białe bawełniane spodnie, stali w kręgu. Klaskali w dłonie do rytmu bębnow i obserwowali dwójkę ludzi walczących pośrodku. Jeden z rywali był niskim Latynosem i miał na sobie T-shirt z napisem „Myśl krytycznie!”. Usiłował bronić się przed atakami czarnoskórego mężczyzny w wieku dwudziestu kilku lat, który udzielał instrukcji w przerwach między kopnięciami. Mężczyzna spojrział na obie dziewczyny, a Vicki dotknęła ręki Mai. Hollis Wilson miał długie nogi i muskularne ręce. Dredy sięgały mu ramion. Po kilku minutach obserwowania go Maya odwróciła się i szepnęła do ucha Vicki:

- Czy to jest Hollis Wilson?

- Tak. Ten z długimi włosami.

Maya kiwnęła potakująco głową.

- Nada się.

Capoeira stanowi swoiste połączenie gracji i gwałtowności, przypominające rytualny taniec. Gdy Hollis i Latynos skończyli sparing, do wnętrza kręgu weszło dwóch kolejnych adeptów i ruszyło do ataku, wykonując na przemian gwiazdy, zadając ciosy rękami i kopnięcia z obrotem. Gdy któryś z rywali znalazł się na ziemi, zadawał cios nogą, opierając się dłońmi płasko na podłodze. Wysiłek był bardzo intensywny, a koszulki ćwiczących lepły się od potu.

Po kolei do środka wchodzili wszyscy uczestnicy zajęć, a Hollis przerywał im czasami, nakazując to atak, to obronę. Człowiek grający na kongach wybijał coraz szybszy rytm i kolejno każdy z walczących staczał następny pojedynek. W ostatniej serii główny nacisk położono na wymachy nogą i szybkie jak błyskawica kopnięcia do boku. Instruktor kiwnął głową w kierunku bębniarza i walki dobiegły końca.

Wyczerpani adepci *capoeiry* usiedli na podłodze. Wyciągnęli nogi i głęboko oddychali. Hollis ani trochę nie wyglądał na zmęczonego. Chodził tam i z powrotem przed

siedzącymi i przemawiał z takim zaangażowaniem, jakby prowadził kazanie w kościelnej kongregacji:

- Wyróżniamy trzy rodzaje ludzkich reakcji: świadomą, instynktowną i automatyczną. Ze świadomą mamy do czynienia, gdy myślimy o własnych działaniach. Instynktowna następuje, kiedy po prostu reagujemy. Do automatycznej reakcji dochodzi w sytuacji, gdy robimy coś z nawyku, gdyż robiliśmy tak już wcześniej.

Hollis przerwał i wpatrywał się w siedzących przed nim uczniów. Można było odnieść wrażenie, że oceniał ich mocne i słabe strony.

- W Nowym Babilonie wielu ludzi, których znacie, jest przekonanych, że działa świadomie, choć tak naprawdę popadli już w automatyzm. Niczym stado robotów pędzą samochodami po autostradach, jeżdżą do pracy, odbierają czeki z wynagrodzeniem w zamian za pot, ból i upokorzenie, następnie wracają do domu po to, by wysłuchać udawanego śmiechu dobiegającego z telewizora. Oni są już martwi. Lub umierający. Choć o tym nie wiedzą.

- Oprócz tego istnieje jeszcze inna grupa ludzi: imprezowe chłopaki i dziewczyny. Niektórzy z nich palą zielsko. Piją piwo słodowe. Usiłują załapać się na krótki i szybki seks. Ci z kolei są przekonani, że nawiązali kontakt z własnym instynktem, z naturalną mocą, ale wiecie co? Oni także działają automatycznie.

- Wojownik jest zupełnie inny. Wojownik posługuje się potęgą umysłu, by działać w sposób świadomy, moc serca kieruje jego działaniami instynktownymi. Wojownicy nigdy nic nie robią automatycznie, poza szorowaniem zębów.

Hollis przerwał i rozłożył ręce.

- Starajcie się myśleć. I czuć. Bądźcie autentyczni.

Klasnął w dłonie.

- To wszystko na dzisiaj.

Adepci pokłonili się nauczycielowi, chwycili swoje worki gimnastyczne, wsunęli gumowe japonki na białe nogi i opuścili

teren szkoły. Hollis przetarł ścierką kilka mokrych od potu miejsc na podłodze i odwrócił się z uśmiechem do Vicki.

- Cóż za niespodzianka - zaczął rozmowę. - Ty jesteś Victory „Od Grzechu” Fraser, córka Josetty Fraser.

- Byłam małą dziewczynką, kiedy opuściłeś naszą kongregację.

- Pamiętam. W środy wieczorem wspólna modlitwa. W piątki wieczorem spotkanie grupy młodzieżowej. A w sobotnie wieczory zabawa. Zawsze lubiłem śpiewać. W kościele grano dobrą muzykę. Ale jak dla mnie, trochę za dużo było modłów.

- Na pewno zabrakło ci wiary.

- Wierzę w wiele rzeczy Isaac T. Jones był wielkim prorokiem, ale wcale nie ostatnim - Hollis szedł w kierunku wyjścia. - Zatem po co tu przyszłaś i kim jest twoja przyjaciółka? Zajęcia dla początkujących są w środy, czwartki i piątki.

- Nie przyszłyśmy tu, żeby uczyć się sztuki walki. To moja znajoma, Maya.

- A kim ty jesteś? - skierował pytanie do Mai. - Białą przechrzta?

- To głupi komentarz - wtrąciła Vicki. - Prorok uznawał wszystkie rasy za równe.

- Usiłuję tylko ustalić fakty, panienko Victory „Od Grzechu”. Jeśli nie przyszłyście tutaj zapisać się na zajęcia, zapewne chcecie mnie poprosić o przyjęcie jakiejś funkcji w kongregacji. Jak się domyślam, wielbny Morganfield sądził, że osiągnie lepszy efekt, jeśli przyśle dwie śliczne laski, żeby porozmawiały ze mną. Pomysł sprytny, ale tym razem spalił na panewce.

- To nie ma nic wspólnego z religijną wspólnotą - podjęła Maya. - Chcę cię wynająć jako wojownika. Zakładam, że posiadasz broń lub dostęp do niej.

- A ty kim jesteś, do diabła?

Vicki zerknęła w stronę Mai, pytając o pozwolenie. Córka Thorna lekko przytaknęła wzrokiem. *Powiedz mu.*

- To jest Maya. Jest Arlekinem i przybyła do Los Angeles w poszukiwaniu dwóch braci, których ojciec był Travelerem.

Hollis wyglądał na zdumionego, po czym zaczął się głośno śmiać.

- Świetnie! A ja jestem pieprzonym Królem Świata. Nie wciskajcie mi tego kitu. Nie istnieją już ani Travelerzy, ani Arlekin. Wszystkich wytropiono i zgładzono.

- Mam nadzieję, że wszyscy tak myślą - powiedziała spokojnym głosem Maya. - Jest nam łatwiej, jeśli nikt nie wierzy nasze istnienie.

Hollis zmierzył Mayę wzrokiem, unosząc brwi, jakby podawał w wątpliwość jej prawo przebywania w tym miejscu. Nagle stanął w rozkroku w pozycji gotowości do walki i wymierzył cios na połowie szybkości. Vicki wrzasnęła, ale czarnoskóry instruktor kontynuował atak, uderzeniami głową i kopniakami na przemian prawą i lewą nogą. Gdy zaskoczona Maya, potykając się, poruszała się do tyłu, tuba z mieczem zsunęła się jej z ramienia i potoczyła kilkanaście centymetrów po wyłożonej glazurą posadzce.

Hollis wykonał gwiazdę, którą zakończył krzyżowym kopnięciem, ale Maya zdołała zablokować uderzenie. On poruszał się coraz szybciej, atakując z pełną siłą i prędkością. Wymierzając kopnięcia i ciosy rękami, przyparł wojowniczkę do ściany. Parowała uderzenia pięści dłońmi i przedramionami. Przesunęła ciężar ciała na prawą stopę i trafiła kopniakiem w krocze atakującego. Hollis upadł do tyłu, przetoczył się po podłodze i zerwał na równe nogi, szykując kolejną akcję ofensywną.

Walczyli teraz oboje twardo, starając się nawzajem urazić. Vicki krzyczała, żeby przestali, ale żadne z nich nie reagowało na jej wołanie. Twarz Mai była już spokojna, a wzrok skupiony i skoncentrowany, gdy otrząsnęła się z początkowego zaskoczenia. Utrzymywała krótki dystans, wymierzając szybkie ciosy i kopiąc, pragnąc, aby razy, które zadaje, były bolesne.

Hollis wciąż tańczył, oddalając się. Nawet w tej sytuacji chciał wszystkim pokazać, że potrafi walczyć z gracją i fantazją. Wymierzając ciosy i kopnięcia z pełnym obrotem, znów zaczął napierać na córkę Thorna. Zatrzymała się, gdy poczuła pod stopą tubę z mieczem.

Zamarkowała uderzenie na głowę Hollisa, schyliła się i chwyciła tubę. Wyciągnęła miecz, z kliknięciem ustawiła jelec w pozycji do walki i ruszyła do ataku na agresora. Instruktor z dredami stracił równowagę, upadł na plecy, a Maya zatrzymała się. Czubek *jej* miecza znalazł się o dwa cale od gardła Hollisa Wilsona.

- Nie! - krzyknęła Vicki i zły urok prysnął.

Przemoc i gniew zniknęły z sali ćwiczeń. Arlekin opuścił miecz do stóp Hollisa.

- Wiesz, zawsze chciałem zobaczyć arlekiński miecz.

- Następnym razem, gdy dojdzie do takiej walki, nie ujdiesz z życiem.

- Nie będziemy więcej walczyć ze sobą. Jesteśmy po tej samej stronie - Hollis obrócił głowę i kiwnął do Vicki. - Zatem, piękne panie, jak dużo zamierzacie mi zapłacić?

Hollis prowadził niebieski samochód dostawczy, a Vicki siedziała obok na miejscu pasażera. Maya kucnęła z tyłu, z dala od bocznych szyb. Gdy przejeżdżali przez Beverly Hills, widziała oderwane obrazy miasta. Niektóre domy zbudowano w stylu hiszpańskim, z dachami z czerwonej dachówki i dziedzińcami. Inne przypominały nowoczesne wersje typowych tokańskich willi. Kilka budowli imponowało jedynie wielkością, bez jakichkolwiek atrybutów pozwalających przypisać je do określonego stylu - ich portyki nad frontowymi drzwiami były przeładowane ozdobami, a balkony stanowiły imitację balkonu Romea i Julii. Widok tak wielu domów, które były jednocześnie wspaniałe i nijakie, budził w niej mieszane uczucia.

Hollis przejechał w poprzek przez Sunset Boulevard i ruszył w górę przez Coldwater Canyon.

- W porządku - powiedział. - Zbliżamy się.

- Mogą obserwować to miejsce. Zwolnij i zaparkuj, zanim tam dojedziemy.

Po kilku minutach kierowca zjechał na pobocze, a Maya przesunęła się do przodu, aby móc patrzeć przez przednią szybę. Zaparkowali na ulicy biegnącej wzdłuż rezydencji położonych na zboczu wzgórza, gdzie domy budowano blisko krańcównika. Kilka metrów przed willą Maggie Resnick stała ciężarówka wydziału wodociągów i zasilania energią. Mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie wspinał się na słup sieci elektrycznej, dwóch następnych obserwowało go z dołu.

- Wydaje się, że wszystko w porządku - ocenił Hollis.

Vicki pokręciła przecząco głową.

- Szukają braci Corriganów. Podobna ciężarówka przez dwa ostatnie dni stała pod naszym domem.

Siedząc w kucki na podłodze furgonetki, Maya wyciągnęła z walizki strzelbę i załadowała naboje. Strzelba miała metalowe łożo, złamała ją tak, że broń przypominała teraz duży pistolet. Kiedy znów podeszła do przedniego siedzenia, z tyłu za ciężarówką monterów zaparkowało sportowe auto. Wsiadł z niej Shepherd, kiwnął głową w stronę lipnych monterów i wszedł na drewniane schody dwupiętrowego domu. Zadzwoił i odczekał, aż do drzwi podeszła jakaś kobieta.

- Włącz silnik - powiedziała Maya. -1 podjedź pod dom.

Hollis nie wykonał jej polecenia.

- Kim jest ten blondyn?

- To były Arlekin imieniem Shepherd.

- A ci dwaj inni mężczyźni.

- Tabulscy najemnicy.

- Jak zamierzasz to rozegrać? - chciał wiedzieć Hollis.

Maya nie odpowiedziała. Dopiero po kilku sekundach Vicki i Hollis zrozumieli, że zamierza zabić Shepherdą i najemników. Vicki wyglądała na przerażoną, a Maya widziała odbicie samej siebie w oczach czarnoskórej dziewczyny.

- Nikogo nie zabijesz - powiedział cicho Hollis.

- Wynajęłam ciebie, Hollis. Jesteś najemnikiem.

- Przedstawiłem ci swoje warunki. Pomogę ci i będę cię chronić, ale nie pozwolę ci podejść do kogoś obcego i sprzątnąć go.

- Shepherd jest zdrajcą - nie ustępowała Maya. - Pracuje dla...

Zanim zdążyła dokończyć wyjaśnienie, drzwi od garażu uniosły się i pojawił się w nich mężczyzna na motocyklu. Gdy podskoczył, mijając krawężnik, jeden z monterów firmy telekomunikacyjnej zaczął mówić coś przez kieszonkową krótkofalówkę.

Maya dotknęła ramienia Vicki.

- To Gabriel Corrigan - oznajmiła. - Linden powiedział, że on jeździ motocyklem.

Gabriel skręcił w prawo w Coldwater Canyon i jechał pod górę w Mulholland Drive. Kilka sekund później trzech motocyklistów w czarnych kaskach wyskoczyło zza furgonetki i popędziło za uciekinierem.

- Wygląda na to, że czekali na niego jeszcze inni ludzie.

Hollis uruchomił silnik i wcisnął nogą pedał gazu.

Boksując na łysych oponach, dostawcze auto ruszyło kanyonem pod górę. Po kilku minutach skręcili w Mulholland Drive, dwupasmową ulicę prowadzącą grzbietem wzgórz Hollywood. Patrząc w lewą stronę, można było dostrzec rudawą mgiełkę unoszącą się nad kotliną wypełnioną domami, jasnoniebieskimi basenami oraz budynkami biurowymi.

Maya zamieniła się miejscami z Vicki i usiadła ze strzelbą w dłoniach przy oknie pasażera. Cztery motocykle miały nad nimi sporą przewagę i stracili je z oczu na kilkanaście sekund, gdy furgonetka weszła w zakręt. Droga ponownie stała się prosta. Maya obserwowała jednego ze ścigających, który wyciągnął broń podobną do raketnicy. Zbliżył się do Gabriela i odpalił broń, mierząc w czerwony motocykl, ale chybił. Pocisk uderzył w cienką warstwę asfaltu na granicy jezdni i chodnika i eksplodował.

- Co to było, do diabła?! - wykrzyknął Hollis.

- Ten typ używa pocisków Hattona - odparła Maya. - W pocisku jest mieszanina wosku i sproszkowanego metalu. Usiłują zerwać mu tylną oponę.

Nagle jeden tabulski najemnik został z tyłu, a dwaj pozostali kontynuowali pościg. Z przeciwnego kierunku nadjeżdżał pikap. Przerażony kierowca trąbił klaksonem i wymachiwał rękoma, starając się ostrzec Hollisa przed tym, czego przed chwilą był naocznym świadkiem.

- Nie zabijaj go! - jęknęła Vicki, gdy zbliżali się do pierwszego ze ścigających.

Jadąc powoli tuż przy krawężniku, tabulski najemnik ładował kolejny pocisk do komory raketnicy. Maya wysunęła lufę strzelby przez opuszczoną szybę i wystrzeliła, zrywając przednią oponę motocykla. Maszyna odbiła w prawo, uderzyła w mur oporowy, a kierowcę odrzuciło na bok.

Dziewczyna załadowała kolejny nabój do strzelby.

- Jedź dalej! - wykrzyknęła. - Nie możemy ich zgubić!

Dostawcze auto trzęsło się, jakby nie było w stanie jechać szybciej, ale mimo to Hollis docisnął pedał gazu do dechy. Usłyszeli huk eksplozji, a kiedy wyjechali z zakrętu, zobaczyli, jak drugi ze ścigających pozostaje / tyłu i ładuje kolejny nabój do raketnicy. Zarepetował broń i zjechał na jezdnię, zanim zdążyli go dogonić.

- Szybciej! - ponaglała Maya.

Hollis zacisnął dłonie na kierownicy, gdy z poślizgiem wchodzili w następny łuk jezdni.

- Nie dam rady Jedna z opon zaraz się rozleci.

- Szybciej!

Drugi motocyklista jechał, trzymając raketnicę w prawej dłoni i kierując maszyną lewą ręką. Wpadł na wybój i niemal stracił panowanie nad motocyklem. Gdy nieco zwolnił, dostawcza furgonetka dogoniła go. Hollis objechał go z lewej strony Maya strzeliła tym razem w tylną oponę i motocyklista przeleciał nad kierownicą. Samochód nie przestał pędzić i wszedł w kolejny łuk. W ich kierunku zbliżał się duży zielony sedan, trąbiąc klaksonem i gwałtownie skręcając. „Zawracajcie”, pokazywał gestami kierowca. „Zawracajcie”.

Skręcili i wjechali w Laurel Canyon, przejechali na czerwonych światłach, trąbiąc i wymijając inne samochody. Maya dosłyszała trzecią eksplozję, ale nie mogła dostrzec Gabriela ani trzeciego ze ścigających. Wyszli z łuku i spojrzeli w dół wąskiej ulicy. Tylna opona w maszynie młodszego z Corriganów została trafiona, ale motocykl wciąż jechał. Z rozerwanej opony unosił się dym, dobiegał też zgrzytliwy odgłos stali trącej o asfalt.

- Mamy ich! - wykrzyknął Hollis.

Zjechał furgonetką na środek jezdni i podjechał do motocyklisty od lewej strony

Maya wychyliła się przez okno, przyciskając kolbę broni do drzwi samochodu, i nacisnęła spust. Sruciny uderzyły w zbiornik paliwa, który eksplodował niczym bomba z benzyną. Impet wybuchu odrzucił motocyklistę do rowu.

Pięćset jardów przed nimi Gabriel skęcił na podjazd. Zatrzymał motocykl, zeskoczył z niego i zaczął biec. Hollis skęcił w ślad za nim, a Maya wyskoczyła z auta. Dzielący ją od młodszego z braci dystans był jednak zbyt duży, by mogła go dogonić. Istniała duża szansa, że ucieknie i się zgubi. Wojowniczką nie dała za wygraną i popędziła za nim co sił, wykrzykując głośno pierwsze słowa, jakie przyszły jej na myśl:

- Mój ojciec znał twojego ojca!

Gabriel zatrzymał się. Jeszcze kilka kroków i mógłby zeskoczyć w dół ze stromego zbocza porośniętego gęstymi krzakami.

- Był Arlekinem! - Maya nie przestawała wydierać się, ile sił w gardle. - Nazywał się Thorn!

I te właśnie słowa, imię jej ojca, usłyszał Gabriel. Wyglądał na zdumionego, za wszelką cenę chciał poznać prawdę. Nie zważając na strzelbę w rękach Mai, zrobił krok w jej kierunku.

- Kim jestem?

Nathan Boone spoglądał na Michaela Corriganą. Byli w prywatnym odrzutowcu, który leciał na wschód nad szachownicą kwadratowych i prostokątnych pól stanu Iowa. Zanim opuścili lotnisko Long Beach, młody mężczyzna sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie. Teraz jego twarz była bez życia i nie reagował na bodźce. *Być może zastosowane leki były zbyt silne*, pomyślał Boone. *Mogło dojść do trwałego uszkodzenia mózgu.*

Obrócił się na skórzanym fotelu i spojrzął na siedzącego za nim lekarza. Doktor Potterfield był opłacany jak każdy inny najemnik, ale zachowywał się tak, jakby miał jakieś specjalne przywileje. Boone postanowił przywołać go do porządku i pobawić się nim jak marionetką.

- Proszę sprawdzić parametry życiowe pacjenta.
- Zrobiłem to piętnaście minut temu.
- Proszę zrobić to jeszcze raz.

Doktor Potterfield klęknął obok noszy, dotknął tętnicy szyjnej i zmierzył tętno. Osłuchał serce i płuca starszego z braci Corriganów, podniósł powiekę i obejrzał tęczówkę.

- Nie zalecałbym utrzymywania go w tym stanie jeszcze jeden dzień. Puls jest wprawdzie mocny, ale oddech staje się płytki.

Boone spojrzął na zegarek.

- Jakie są rokowania na najbliższe cztery godziny? W tym czasie dolecimy do Nowego Jorku i dostarczymy go do centrum badawczego.

- Cztery godziny niczego nie zmieniają.

- Spodziewam się, że będzie pan na miejscu, kiedy on się obudzi - zasugerował Boone. - A jeśli pojawią się jakieś kłopoty, jestem pewien, że z satysfakcją weźmie pan na siebie pełną odpowiedzialność.

Ręce lekarza drżały lekko, gdy wyciągał z czarnej torby cyfrowy termometr i wsuwał czujnik w ucho Michaela Corrigan.

- Nie powinno być problemów w związku z długim przelotem, ale niech się pan nie spodziewa, że od razu będzie w stanie ruszyć na wspinaczkę wysokogórską. To będzie raczej przypominać wybudzenie po ogólnym znieczuleniu z narkozą. Pacjent będzie zdezorientowany i słaby.

Boone obrócił się ponownie do małego stolika umieszczonego pośrodku samolotu. Był rozdrażniony koniecznością opuszczenia Los Angeles. **Jeden** z jego podwładnych, młody człowiek - Dennis Prichett — rozmawiał z rannymi motocyklistami, którzy ścigali Gabriela Corrigan. Nie ulegało wątpliwości, że Maya pozyskała sojuszników i pierwsza dopadła młodszego z braci. Zespół działający w Los Angeles potrzebował nadzoru, ale instrukcje, jakie Boone otrzymał, były jasne i jednoznaczne. Projekt „Przejście” miał najwyższy priorytet. Zaraz, gdy tylko uda mu się pojąć któregoś z braci, ma wyruszyć w drogę i eskortować go osobiście do Nowego Jorku.

Przez większość czasu spędzonego na pokładzie szukał informacji na temat Mai, posługując się komputerem. Wszystkie jego pytania wędrowały do administrowanego przez Braci centrum monitoringu internetowego, ulokowanego w podziemnym kompleksie w śródmieściu Londynu.

Prywatność stała się wygodną fikcją. Kiedyś Kennard Nash miał na ten temat wykład dla grupy pracowników fundacji Evergreen. Nowe metody elektronicznej inwigilacji zmieniły społeczeństwo, można to było porównać do sytuacji, w której wszyscy przenieśli się do tradycyjnego japońskiego domostwa ze ściankami z bambusa i papieru.

Chociaż zza ścian dobiegały odgłosy innych ludzi, którzy kichali, rozmawiali ze sobą lub uprawiali seks, normą społeczną było udawanie, że nikt nie zwraca na to uwagi. Należało udawać, że ściany są z betonu i nie przepuszczają dźwięków. Ludzie odczuwali to samo, przechodząc przed obiektywem kamery monitorującej lub używając telefonu komórkowego. W porcie lotniczym Heathrow władze pozwoliły nawet na zastosowanie specjalnego urządzenia prześwietlającego, które widziało, co pasażerowie mają w kieszeniach. Ponieważ przygnębiające jest uświadomienie sobie, że różne struktury i organizacje prowadzą obserwację, podsłuchują rozmowy i rejestrują zakupy przeciętnego zjadacza chleba - większość zwykłych ludzi udaje przed sobą, że to nieprawda.

Popierający Braci urzędnicy rządowi dostarczyli kodów dostępu do najważniejszych baz danych. Największym źródłem był system Totalnej Świadomości Informacji, zbudowany przez rząd Stanów Zjednoczonych po wejściu w życie ustawy o obowiązkach patriotycznych. Baza danych systemu została zaprojektowana do przetwarzania i analizowania każdej transakcji w kraju, którą realizowano za pomocą komputera. Za każdym razem, gdy ktoś używał karty kredytowej, szukał książki w bibliotecznym katalogu, przelewał pieniądze za granicę lub udawał się w podróż, informacja o tym zdarzeniu trafiała do scentralizowanej bazy danych. Kilku zwolenników jednej z partii wolnościowych zgłosiło sprzeciw wobec tak daleko posuniętej ingerencji, dlatego rząd przekazał administrowanie programem w ręce służb wywiadowczych i zmienił nazwę systemu na Świadomość Informacji o Terroryzmie. Gdy w miejsce słowa „Totalna” pojawił się wyraz „Terroryzm”, wszystkie protesty natychmiast się skończyły.

Inne kraje uchwały nowe ustawy o bezpieczeństwie i tworzyły własne wersje baz danych tego typu. Poza tym różne firmy komercyjne gromadziły prywatne dane

osobowe, a później nimi handlowały. Jeśli opłacany przez Tabulów personel centrum komputerowego w Londynie nie był w stanie dotrzeć do kodów dostępu, miał do dyspozycji programy o nazwach „Wizjer”, „Piła do metalu” i „Dwu-ręczny młot”, dzięki którym przechodził przez wszelkie zabezpieczenia i wnikał do wnętrza każdej bazy danych na świecie.

Boone czuł podświadomie, że najbardziej obiecującą bronią w walce z wrogami Braci są nowe, tak zwane immunologiczne programy komputerowe. Pierwotnie opracowano je w celu monitorowania systemu komputerowego Królewskiej Poczty w Anglii. Aplikacje stworzone przez Braci były jeszcze efektywniejsze, działały niczym informatyczne limfocyty wyszukujące groźne idee lub informacje.

W ciągu kilku ostatnich lat programy immunologiczne zostały wprowadzone do Internetu przez zespół informatyków pracujących dla Braci. Samodzielnie wędrowały niezauważone przez tysiące systemów komputerowych. Niekiedy, na podobieństwo limfocytów, zostawały dłużej w komputerze osobistym jakiegoś użytkownika, czekając na pojawienie się informacji uznanej za „zakaźną”. Gdy znalazły coś podejrzanego, program potrafił wrócić do komputera gospodarza w Londynie z pytaniem o dalsze instrukcje.

Naukowcy zatrudniani przez Braci eksperymentowali także z nowym interaktywnym oprogramowaniem, za pomocą którego można było nawet karać wrogów Tabulów, gdyż funkcjonowałoby ono jak białe ciała krwi, zwalczające infekcję. Programy immunologiczne identyfikowały ludzi, którzy, przesyłając internetową korespondencję, używali określeń „Traveler” lub „Arlekin”. Po zakończeniu tej fazy aplikacja automatycznie umieszczała w komputerze właściciela wirusa niszczącego wszelkie dane. Pewna, niewielka część najgroźniejszych krążących po Internecie wirusów była dziełem ludzi opłacanych przez Braci lub ich sojuszników w rządzie. Winą można było bez trudu obar-

czyć siedemnastoletniego komputerowego hakera, mieszkającego na przykład w Polsce.

Mayę wysledzono, używając zarówno programów immunologicznych, jak i konwencjonalnych skanerów baz danych. Trzy dni wcześniej Arlekin dotarła do magazynu z używanymi częściami samochodowymi i uśmierciła dwóch najemników. Gdy opuściła to miejsce, musiała iść pieszo, podjechać okazją, kupić samochód lub znaleźć środek transportu komunalnego. Centrum komputerowe w Londynie analizowało raporty policyjne z Los Angeles z tego rejonu, w którym widziano młodą kobietę. Kiedy nie przyniosło to żadnych rezultatów, wkroczone do systemów komputerowych przedsiębiorstw taksówkowych, żeby sprawdzić klientów, którzy korzystali z taksówek w ciągu czterech godzin po jatce w magazynie używanych części. Uzyskiwane w trakcie przeszukiwania adresy porównywano z informacjami zebranymi przez aplikacje immunologiczne. W bazie danych centralnego komputera znajdowały się nazwiska i adresy tysięcy osób, które mogły potencjalnie udzielić pomocy Travelerom lub Arlekinom.

Pięć lat temu działający pod patronatem Braci Zespół Oceny Psychologicznej podłączył się do komputerów federacji konsumentów prowadzonych przez amerykańskie sieci marketów spożywczych. Za każdym razem, gdy ktoś coś kupował, posługując się kartą rabatową, lista nabytych artykułów trafiała do głównej bazy danych. Podczas wstępnej fazy badań psychologowie pod patronatem Braci dokładali starań, by dopasować strukturę spożycia produktów spożywczych i alkoholu do przynależności politycznej. Boone widział kilka statystycznych korelacji i uważał je za fascynujące. Kobiety mieszkające w północnej Kalifornii, które kupowały więcej niż trzy gatunki musztardy, zwykle prezentowały liberalne poglądy polityczne. Mężczyźni ze wschodniego Teksasu, kupujący drogie gatunki butelkowanego piwa, zaliczali się głównie do konserwatystów.

Dysponując adresami domowymi i danymi z minimum dwustu zakupów dokonanych w sklepach spożywczych, Zespół Oceny Psychologicznej był w stanie w wiarygodny sposób ocenić stosunek wybranej osoby do obowiązkowej obywatelskiej karty identyfikacyjnej.

Zdaniem Boonea, interesujące było wyłonienie grupy ludzi, którzy odrzucali dyscyplinę i społeczny porządek. Siedliska opozycji stanowili niekiedy zwariowani ekolodzy, którzy byli konsumentami zdrowej żywności i kontestowali przetworzone produkty spożywcze produkowane pod nadzorem Rozległej Sieci. Jednak równie kłopotliwe były ugrupowania organizowane przez maniaków wysoko rozwiniętych technologii, którzy w porze kolacji zajadali się wyłącznie słodkimi batonikami i drążyli Internet w poszukiwaniu pogłosek na temat Travelerów.

Gdy samolot Boonea przelatywał nad Pensylwanią, centrum monitoringu przesłało wiadomość do jego komputera. *Adres skrzynki kontaktowej jest zgodny z miejscem zamieszkania Thomasa „Kroczącego po Ziemi” - bratanka zlikwidowanego Travelera, będącego reprezentantem rdzennych mieszkańców Ameryki. Komputerowe programy immunologiczne wychwyciły negatywne uwagi na temat Braci zamieszczone przez tego osobnika w witrynie internetowej szczepu Kruków.*

Samolot odrzutowy zaczął schodzić ostro w dół, gdy zbliżali się do regionalnego portu lotniczego położonego niedaleko centrum badawczego fundacji Evergreen. Boone nacisnął na klawiaturze swojego komputera przycisk „Zapisz” i skierował wzrok na Michaela Corrigana. Braciom udało się odnaleźć tego młodego człowieka i schwytać, zanim uczynili to Arlekini, ale istniało ryzyko, że odmówi dobrowolnej współpracy. Boonea drażniło to, że ludzie ciągle odrzucali sposobność poznania prawdy. Religia czy filozofia nie liczyły się w najmniejszym stopniu; o tym, co jest prawdą, decydował ten, kto był u władzy

Odrzutowiec korporacji wylądował na lotnisku Westchester County i odskołał w stronę prywatnego hangaru. Kilka minut później Nathan Boone schodził po schodkach samolotu. Niebo zasnuła powłoka szarych chmur, w powietrzu czuć było jesienny chłód.

Lawrence Takawa czekał obok ambulansu, który miał przewieźć Michaela Corrigan do ośrodka badawczego fundacji Evergreen. Wydał polecenia zespołowi sanitariuszy, po czym podszedł do Boonea.

- Witamy z powrotem - powiedział Takawa. - Jak się czuje Michael?

- Przyjdzie do siebie. Czy w centrum wszystko jest gotowe?

- Byliśmy przygotowani już dwa dni temu, ale w ostatniej chwili musieliśmy dokonać drobnych poprawek. Generał Nash skontaktował się z Zespołem Oceny Psychologicznej i przedstawili nam nową strategię postępowania z Michaeliem Corriganem.

W głosie Lawrence'a Takawy dało się wyczuć lekkie napięcie i Boone spojrzął na młodego Azjatę. Przy każdej okazji, gdy widział asystenta Nasha, Lawrence nosił ze sobą coś - podkładkę do pisania z klipsem, teczkę na dokumenty czy choćby kartkę papieru - co wyraźnie sugerowało jego stanowisko zwierzchnika.

- Czy budzi to pana niepokój? - zapytał Boone.

- Nowa strategia wydaje się raczej agresywna - odparł Lawrence. - Nie jestem przekonany, czy to konieczne.

Boone obrócił się na pięcie i skierował wzrok na odrzutowiec. Doktor Potterfield nadzorował działania personelu medycznego podczas przenoszenia noszy z pacjentem na płytę lotniska.

- Wszystko zmieniło się z chwilą, gdy Arlekini dotarli do Gabriela. Musimy mieć pewność, że Michael będzie z nami współpracował.

Lawrence spoglądał na trzymaną w dłoniach podkładkę.

- Czytałem raporty wstępne na temat obu braci. Wygląda na to, że łączy ich silna więź.
- Miłość jest tylko jedną z metod manipulowania innymi - stwierdził Boone. - Możemy wykorzystać to uczucie w taki sam sposób, jak posługujemy się nienawiścią i strachem.

Nosze z Michaeliem umieszczono na stalowym wózku i sanitariusze pchali go po betonowej nawierzchni w stronę karetki. Doktor Potterfield, wciąż z zatroskaną twarzą, nie odstępował pacjenta na krok.

- Rozumie pan cel, który chcemy osiągnąć, panie Takawa?
- Tak, oczywiście.

Boone wykonał prawą ręką szybki ruch, którym objął samolot, ambulans i cały personel pracujący dla Braci.

- To nasza armia - oświadczył. - A Michael Corrigan stał się naszą nową bronią.

Victory Fraser obserwowała, jak Hollis i Gabriel chwycili razem motocykl, podnieśli go i wsadzili na tył furgonetki.

- Ty prowadzisz - powiedział Hollis, przekazując Vicki kluczyki do auta.

Wraz z Gabrielem przykucnęli obok jednoślada, gdy Maya pozostała na przednim siedzeniu obok kierowcy, trzymając strzelbę na kolanach.

Skreśli na zachód i zgubili się w gmatwaninie wąskich uliczek mieszkalnych przecinających wzgórze Hollywood. Gabriel nie przestawał wypytywać Mayę o swoją rodzinę, wydawało się, że z pełną desperacją, jak najszybciej, pragnie dowiedzieć się wszystkiego.

Vicki знаła tylko kilka faktów dotyczących Travelerów i Arlekinów, przysłuchiwała się więc uważnie rozmowie. Zdolność przechodzenia do innych światów miała prawdopodobnie podłoże genetyczne i była dziedziczona po rodzicach lub krewnych, ale od czasu do czasu pojawiali się nowi Travelerzy bez dziedzicznych powiązań. Arlekinini mają szczególne drzewa genealogiczne Travelerów; właśnie dzięki temu Thorn dowiedział się o ojcu Gabriela.

Hollis mieszkał kilka kwartałów od prowadzonej przez siebie szkoły *capoeiry* w dzielnicy sklepowych witryn. Domy jednorodzinne w tej okolicy miały podwórka od frontu i rabaty z kwiatami, ale ściany i billboardy były pokryte wątpliwej urody, ociekającymi farbą graffiti wymalowanymi przez małałaty z ulicznych gangów. Kiedy wyjechali z bulwaru Florence, Hollis doradził, żeby Maya przemieściła się na tył furgonetki.

Siadając na przedzie, polecił Vicki zwalniać przy każdej okazji, gdy będą mijali grupki młodych ludzi w za dużych ubraniach, z niebieskimi chustami. Za każdym razem, gdy zatrzymywali się przy grupce członków miejscowego gangu, Hollis ścisnął dłoń nastolatków i zwracał się do nich, używając ulicznych ksywek.

- Mogą się tu kręcić jacyś ludzie i wypytywać o mnie - mówił do nich. - Dajcie im do zrozumienia, że trafili pod niewłaściwy adres.

Podjazd do mieszczącego dwie sypialnie domu Hollisa był zagrodzony bramą z łańcucha przeplatane plastycznymi paskami. Gdy skręcili na podjazd i podjechali pod bramę, furgonetka nie była widoczna z ulicy. Hollis otworzył tylne drzwi i weszli do domu. W pokojach było czysto i schludnie, Vicki nie dostrzegła żadnych znaków wskazujących na to, że mieszka on z przyjaciółką. Za zasłony służyły zwykłe prześcieradła, pomarańcze włożono do umytego do czysta samochodowego kołpaka, jedna z sypialni pełna była sztang oraz talerzy i służyła za siłownię.

Vicki usiadła przy kuchennym stole wraz Gabrielem i Maya. Hollis wyciągnął ze schowka na szczotki szturmowy karabin, załadował magazynek i postawił broń na kuchennej ladzie.

- Będziemy tu bezpieczni - oznajmił. - Jeśli ktoś zaatakuje dom, zapewnię mu zajęcie. Wy zaś przeskoczycie przez mur na podwórko sąsiada.

Gabriel kiwnął przecząco głową.

- Nie chcę, by ktokolwiek ryzykował za mnie życiem.

- Za to mi właśnie płacą - odparł Hollis. - Maya jest osobą, która robi to za darmo.

Wszyscy patrzyli, jak Hollis napełnia czajnik i nastawia wodę na herbatę. Otworzył lodówkę i wyciągnął z niej chleb, ser, truskawki oraz dwa dojrzałe owoce mango.

- Czy wszyscy są głodni? - zapytał. - Sądzę, że jedzenia nam wystarczy.

Hollis wsadził do tosterka kanapki z serem, a Vicki postanowiła przyrządzić sałatkę owocową. Wołała stać przy blacie

i kroić w plasterki truskawki. Trudno było jej siedzieć obok Mai. Wojowniczką Arlekin wyglądała na wyczerpaną, a jednocześnie nie potrafiła się odprężyć. Czarnoskóra dziewczyna pomyślała, że wędrówka przez życie w nieustannej gotowości do zabijania i w ciągłym oczekiwaniu na atak musi być doświadczeniem bolesnym i nużącym. Przypomniała sobie list, który Isaac T. Jones napisał do członków swojej kongregacji na temat Piekła. Istniało oczywiście prawdziwe Piekło. Prorok widział je nawet na własne oczy: „Ale, moi bracia i siostry, waszym głównym zmartwieniem powinno być Piekło, które tworzycie we własnych sercach”.

- Wyjawiłaś mi tylko kilka faktów na temat Travelerów, kiedy byliśmy w furgonetce - Gabriel zwrócił się do Mai. - Ale co z resztą? Powiedz mi coś o Arlekinach.

Maya poprawiała pasek od tuby, w której nosiła miecz.

- Arlekini bronią Travelerów. To wszystko, co powinienesz wiedzieć.

- Czy istnieją przywódcy oraz zasady, którymi się kierują? Czy ktoś kazał ci przyjechać do Ameryki?

- Nie, to była moja własna decyzja.

- Dlaczego nie przyjechał z tobą twój ojciec?

Wzrok Mai skoncentrował się na solniczce stojącej pośrodku stołu.

- Mój ojciec został zabity tydzień temu w Pradze.

- Czy to sprawka Tabulów? - zapytał Hollis.

-Tak.

- Co się stało?

- To nie twoje zmartwienie - głos Mai był opanowany, ale jej ciało niemal zeszywniało z powodu rozdrażnienia. Vicki czuła, że dziewczyna jest gotowa skoczyć na równe nogi i posiekać ich wszystkich na drobne kawałki.

- Przyjęłam na siebie obowiązek ochrony Gabriela i jego brata. Kiedy się z niego wywiążę, zamierzam zapolować na człowieka, który zabił mojego ojca.

- Czy Michael i ja mamy z tym coś wspólnego? - zapytał Gabriel.

- Absolutnie nic. Tabulowie urządzali łowy na mojego ojca prawie przez całego jego życie. Dwa lata temu niemal zginął z ich rąk w Pakistanie.

- Przykro mi...

- Nie kieruj błędnie swoich uczuć - odparła Maya. - My nie żyjemy żadnych emocji wobec reszty świata i niczego nie oczekujemy w zamian. Kiedy byłam dzieckiem, ojciec zwykł mawiać do mnie: *Verdammt durch das Fleisch. Gerettet durch das Blut*. To znaczy: „Potępieni przez ciało. Zbawieni przez krew”. Arlekini są skazani na walkę w bitwie, która nie ma końca. Ale być może Travelerzy wybawią nas od piekielnych mąk.

- Od jak dawna biorą udział w tej bitwie? - chciał wiedzieć Hollis.

Maya odgarnęła włosy z twarzy.

- Ojciec powiedział, że stanowimy kontynuację rodu wojowników, który trwa nieprzerwanie od tysięcy lat. W święto Pesach ojciec zapalał świecę i czytał rozdział osiemnasty Ewangelii według św. Jana. Gdy Jezus wraz z uczniami udali się na spoczynek do Ogrójca, przybył tam Judasz w eskorcie rzymskich żołnierzy i oficerów wysłanych przez arcykapłanów

- Znam te wersety Biblii - oznajmił Hollis. - Prawdę powiedziawszy, są w nim zastanawiające szczegóły. Jezus uchodzi za Księcia Pokoju, w całym Nowym Testamencie nikt nie wspomina o broni ani o strażnikach, aż tu nagle jeden z uczniów...

- To Szymon Piotr - wtrąciła Vicki.

- Racja. Teraz sobie przypominam. W każdym razie Szymon Piotr dobywa miecza i odcina ucho słudze arcykapłana, człowiekowi, który nazywa się...

Tym razem Hollis spoglądał na Vicki, wiedząc, że będzie znała odpowiedź.

- ...Malchos.

- Znowu dobrze - przytaknął instruktor *capoeity*. - Zły sługa stoi więc w Ogrójcu z jednym tylko uchem.

- Niektórzy uczeni wysuwają hipotezę, że Szymon Piotr był członkiem ugrupowania zelotów - podjęła Maya. - Ale ojciec był przekonany, że Piotr Apostoł to pierwszy Arlekin wzmiankowany w historycznym dokumencie.

- Chcesz nam powiedzieć, że Jezus z Nazaretu był Travelerem?

- Arlekini są wojownikami, nie teologami. Nie zajmujemy się obwieszczaniem świata, który z Travelerów stanowi prawdziwe wcielenie Światła. Najważniejszym Travelerem mógł być Jezus, Mahomet lub Budda. Ale równie dobrze nieznany chasydzki rabin zamordowany podczas holocaustu. Chronimy Travelerów, ale nie oceniamy stopnia ich świętości. To już jest rola ich wyznawców.

- Ale twój ojciec czytywał Biblię - zauważył Gabriel.

- Pochodzę z europejskiego rodu Arlekinów, który miał silną więź z religią chrześcijańską. Prawdę mówiąc, niektórzy Arlekini odczytywali dalsze wersety z Ewangelii według św Jana, kiedy Jezusa pojmano, a Szymon Piotr...

- ...wyparł się Chrystusa - Hollis odwrócił się od kuchni. - Był uczniem, który po trzykroć wyparł się Pana.

- Legenda głosi, że właśnie z tego powodu Arlekini są potępieni. Ponieważ Szymon Piotr nie dochował wierności w tym momencie, musimy chronić Travelerów aż po kres doczesnego świata.

- Można odnieść wrażenie, że nie do końca w to wierzysz - zwrócił się do niej Hollis.

- To tylko jedna z biblijnych opowieści. Osobiście nie uważam, że jest prawdziwa, ale wierzę w istnienie tajemnej historii tego świata. Wojownicy broniący pielgrzymów i innych duchowych przywódców istnieli od zawsze. W okresie wypraw krzyżowych grupa chrześcijańskich rycerzy zaczęła chronić pielgrzymów podróżujących do Ziemi Świętej. Baldwin II, w tamtych czasach król Jerozolimy, zezwolił

tym rycerzom na kwaterowanie w ruinach dawnej Świątyni Jerozolimskiej. Sami siebie zaczęli określać mianem Ubogich Rycerzy Chrystusa i Milicji Świątyni.

- Czy to nie ci sami, których zwykle nazywa się templariuszami? - zapytał Gabriel.

- Tak, to pospolicie używana nazwa. Templariusze stali się bogatym i wpływowym zakonem, w ich majątku znajdowały się liczne klasztory i zamki w Europie. Mieli własne statki, pożyczali też pieniądze koronowanym głowom. W końcu przestali mieszkać w Ziemi Świętej i zaczęli chronić ludzi odbywających podróże duchowe. Nawiązali intensywne kontakty z ugrupowaniami uważanymi za heretyków, z bogomiłami w Bułgarii i katarami we Francji. Ci ludzie byli gnostykami, wierzyli, że dusza jest uwięziona w fizycznym ciele. Tylko wybrańcy posiadali sekretną wiedzę, która pozwalała im wymykać się z tego więzienia i przechodzić do innych wymiarów.

- Wtedy templariusze zostali zniszczeni - dodał od siebie Gabriel.

Maya powoli skinęła głową, jakby przypominała sobie historię zasłyszaną bardzo dawno.

- Król Filip IV Piękny obawiał się ich potęgi i pożył ich skarbów. W 1307 roku wysłał swoje wojska do siedziby wielkiego mistrza i aresztował braci zakonnych, oskarżając ich o herezję. Wielki mistrz spłonął na stosie, a zakon przestał istnieć - przynajmniej oficjalnie. Zgładzono jednak niewiele templariuszy. Większość z nich zesłała do podziemia i kontynuowała swoją działalność.

- Pora na obiad - oznajmił Hollis.

Postawił na stole półmisek z tostami, a Vicki dokończyła przyrządzanie owocowej sałatki. Wszyscy zasiedli do stołu i zaczęli jeść. Maya odprężyła się nieco, ale atmosfera wciąż była ciężka. Dziewczyna wpatrywała się w Gabriela, jakby usiłowała rozsądzić, czy ma on zdolność przechodzenia na drugą stronę. Młodszy z Corriganów zdawał się czytać

w jej myślach. Spoglądał na swój talerz i dłubał widelcem w swojej porcji.

- Ale dlaczego nazywają was Arlekinami? - Hollis skierował to pytanie do Mai. - Czy arlekin to nie jest aktor z umalowaną twarzą, jak u cyrkowego klowna?

- Przyjeliśmy tę nazwę w siedemnastym stuleciu. Arlekin jest jedną z postaci włoskiej formy scenicznej zwanej komeidią *dell'arte*, zwykle jest to mądry służący. Arlekin jest ubrany w kostium ze wzorem w romby. Niekiedy gra na lutni albo ma przypasany drewniany miecz. Zawsze jednak nosi maskę, ukrywając swoją tożsamość.

- Nazwa pochodzi jednak z języka włoskiego - kontynuował Hollis. - A słyszałem od innych, że Arlekini żyli także w Japonii i Persji, niemal w każdym zakątku świata.

- W siedemnastym wieku Arlekini z Europy zaczęli nawiązywać kontakty z wojownikami żyjącymi w innych krajach, należących do innych kultur, którzy również chronili Travelerów. Naszymi pierwszymi sojusznikami byli Sikhowie zamieszkujący Pendżab. Podobnie jak Arlekini, pobożni Sikhowie nosili *kirpan*, rytualny miecz. W tym samym mniej więcej czasie zawiazaliśmy również przymierze z buddystami i muzułmańskimi wojownikami *sufi*. W XVIII wieku dołączył do nas zakon żydowskich wojowników z Rosji i wschodniej Europy, chroniący rabinów zgłębiających sekrety Talmudu i kabały

Vicki odwróciła się do Gabriela.

- Lew Świątyni, Arlekin, który bronił Proroka, pochodził z żydowskiej rodziny.

Hollis sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Wiesz co, byłem w tym mieście w stanie Arkansas, w którym zlinczowano Isaaca Jonesa. Trzydzieści lat temu NAACP, organizacja broniąca praw mniejszości rasowych, i niektóre ugrupowania żydowskie ufundowały tablicę pamiątkową ku czci Zacharego Goldmana. Napis głosi hasła braterstwa, miłości i pokoju, Arlekin ten uśmiercił bowiem łomem kilku pieprzonych rasistów.

- Czy kiedyś odbywały się zgromadzenia Arlekinów? - zapytał Gabriel. - Czy różne grupy zebrały się kiedyś w jednym miejscu?

- To się nigdy nie zdarzy. Arlekini szanują przypadkowość zdarzeń. Nie lubimy reguł i zasad schematycznego postępowania. Rodziny Arlekinów łączą się ze sobą przez małżeństwa, tradycję i przyjaźń. Niektóre rodziny utrzymywały sojusz przez setki lat. Nie wybieraliśmy przywódców ani nie uchwaliliśmy konstytucji. Istnieje jedynie arlekiński sposób postrzegania świata. Niektórzy z Arlekinów walczą, bo takie jest nasze przeznaczenie. Inni wznoszą oręż w obronie wolności. I nie chodzi tu o wolność wyboru między cztermi różnymi gatunkami pasty do zębów czy o obłąd, który nakazuje terrorystom wysadzić w powietrze autobus pełen ludzi. Prawdziwa wolność jest tożsama z tolerancją. Daje ludziom prawo życia i myślenia w zupełnie nowy sposób.

- Wciąż chciałbym wiedzieć więcej na temat przesłania „Potępieni przez ciało. Zbawieni przez krew” - nie dawał za wygraną Hollis. - O czyjej krwi jest tu mowa? Tabulów, Arlekinów czy Travelerów?

- Wybierz sobie sam - odparła Maya. - Może dotyczy to wszystkich?

W domu była do dyspozycji tylko jedna sypialnia. Hollis zaproponował, żeby obie panie dzieliły wspólne łóżko w sypialni, a on i Gabriel prześpią się w pokoju gościnnym. Vicki zauważyła, że Mai nie do końca spodobał się ten pomysł. Teraz, gdy udało się jej odnaleźć Gabriela, była wyraźnie zaniepokojona, gdy musiała tracić go z pola widzenia.

- Wszystko będzie w porządku - szepnęła Vicki. - Gabriel będzie tylko kilka stóp od ciebie. Możemy zostawić otwarte drzwi, jeśli zechcesz. Poza tym Hollis ma karabin.

- Hollis jest tylko najemnikiem. Nie wiem, do jakiego stopnia jest gotów się poświęcić.

Maya przeszła kilka razy między sypialnią a pokojem gościnnym, jak gdyby chciała zapamiętać położenie drzwi i ścian. Następnie poszła do sypialni i wsunęła oba noże między ramę ze sprężynami a materac łóżka tak, że obie rękojeści wystawały na zewnątrz. Gdy opuściła rękę, mogła natychmiast wyciągnąć nóż z pochwy. W końcu położyła się do łóżka, a Vicki leżała na drugim materacu.

- Dobranoc - powiedziała Vicki, ale Maya jej nie odpowiedziała.

Podczas wakacji Vicki sypiała na jednym łóżku ze starszą siostrą i wieloma kuzynkami i przyzwyczaiła się do ich nieustannego wiercenia się. Córka Thorny różniła się jednak pod każdym względem. Maya leżała płasko na plecach z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Można było odnieść wrażenie, że jakiś ogromny ciężar przygniata jej ciało.

Kiedy następnego ranka Maya obudziła się, zobaczyła czarnego kota z białą szyją siedzącego na komodzie.

- Czego chcesz? - wyszeptwała, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Kot zeskoczył na podłogę, przesmyknął się przez próg i zostawił ją samą.

Usłyszała głosy i wyjrzała przez okno w sypialni. Hollis i Gabriel byli na podjeździe i robili przegląd uszkodzonego motocykla. Zakup nowej opony przedniej oznaczał transakcję pieniężną i kontakt z komercyjną firmą handlową, która była podłączona do Rozległej Sieci monitorującej. Tabulowie zapewne wiedzieli o uszkodzeniu motocykla i oczywiście już uruchomili programy komputerowe, które miały monitorować punkty sprzedaży opon motocyklowych w rejonie Los Angeles.

Zastanawiając się nad następnym ruchem, poszła do łazienki i wzięła szybki prysznic. Osłonki z liniami papilarnymi, które pozwoliły jej przejść przez punkt kontroli granicznej po wylądowaniu w Stanach, zaczęły łuszczyć się i schodzić z obu palców wskazujących, przypominając obumarły naskórek. Ubrała się, paskami przypięła oba noże do przedramion i dokonała przeglądu pozostałych elementów osobistego arsenału. Czarny kot pojawił się ponownie, gdy wyszła z łazienki, i zaprowadził ją do przedpokoju. Vicki zmywała naczynia przy kuchennym zlewie.

- Widzę, że poznałaś Garveya.

- To jego imię?

- Tak. Nie lubi, gdy się go dotyka, i nie mruczy. Moim zdaniem, to nie jest normalne.

- Nawet bym nie wiedziała, że powinien - odparła Maya. - Nigdy nie miałam domowego zwierzęcia.

Na blacie stał elektryczny ekspres. Maya naląła kawy do jasnożółtego kubka i dodała nieco śmietanki.

- Właśnie upiekłam chleb z mąki kukurydzianej. Jesteś głodna?

- Jeszcze jak.

Vicki ukroiła grubą pajdę wypieku własnej roboty i położyła na talerzu. Obie młode kobiety siadły wspólnie do stołu. Maya posmarowała kromkę masłem, potem dodała łyżeczkę dżemu z jeżyn. Pierwszy kęs smakował wybornie i odczuła chwilę nieoczekiwanej przyjemności. Kuchnia była schludna i praktycznie urządzona. Plamy słonecznego światła jaśniały na podłodze z zielonego linoleum. Chociaż Hollis odszedł z kongregacji, na ścianie obok lodówki wisiała oprawiona w ramki fotografia Isaaca T. Jonesa.

- Hollis zamierza kupić kilka części do motocykla - odezwała się Vicki. - Nakłania jednak Gabriela, żeby się nie pokazywał i został tutaj.

Maya przytaknęła, przełykając kolejny kęs kukurydzianego chleba.

- To dobry plan.

- Co ty zamierzasz robić?

- Nie jestem do końca pewna. Muszę nawiązać kontakt z moim przyjacielem w Europie.

Vicki zebrała brudne naczynia i zaniósła je do zlewozmywaka.

- Czy, twoim zdaniem, Tabulowie wiedzą, że wczoraj za kierownicą siedział Hollis?

- Być może. To zależy od tego, jak wiele widziała trójka motocyklistów, kiedy ich mijaliśmy.

- Co się stanie, jeśli jednak dowiedzą się o nim?

Głos Mai był świadomie bezbarwny i pozbawiony emocji.

- Będą starali się złapać go, później poddadzą torturom, żeby wycisnąć z niego wszystko, co wie, i na koniec zabiją go.

Vicki odwróciła się, trzymając w dłoni ścierkę do naczyń.

- To właśnie powiedziałam Hollisowi, ale on robił sobie z tego żarty. Powiedział, że zawsze szuka nowych partnerów do pojedynków.

- Sądzę, że Hollis potrafi zadbać o siebie, Vicki. Umie doskonale walczyć.

- Jest za bardzo pewny siebie. Uważam, że powinien...

Drzwi z siatką przeciw owadom skrzypnęły i do domu wszedł Hollis.

- W porządku. Mam już listę zakupów - uśmiechnął się do Vicki. - Może byś ze mną pojechała? Kupimy nową oponę, a później trochę jedzenia na obiad.

- Potrzebujesz pieniędzy? - zapytała Maya.

- Masz jakąś kasę?

Maya sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kilka banknotów dwudziestodolarowych.

- Płać tylko gotówką. Gdy kupisz oponę, natychmiast znikaj ze sklepu.

- Nie ma powodów, by siedzieć tam dłużej.

- Omijaj z daleka sklepy z parkingami wyposażonymi w kamery monitorujące. Można nimi zrobić zdjęcie tablic rejestracyjnych.

Vicki i Hollis wyszli razem, Maya zaś obserwowała, jak wyjeżdżają. Gabriel wciąż znajdował się na zewnątrz, na podjeździe, i ściągał zniszczoną oponę z obręczy przedniego koła motocykla. Dziewczyna upewniła się, że brama jest zamknięta i zasłania widok z ulicy. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać z Gabrielem na temat następnego kroku, ale zdecydowała, że najpierw powinna pomówić z Lindenem. Odnosiła wrażenie, że Gabriel jest przytłoczony wszystkim tym, czego dowiedział się od niej poprzedniego dnia. Prawdopodobnie potrzebował nieco czasu, żeby to przemyśleć.

Maya wróciła do sypialni, włączyła przenośny komputer i połączyła się z Internetem za pośrednictwem telefonu satelitarnego. Linden spał albo nie było go przy komputerze. Upłynęła cała godzina, zanim nawiązała z nim kontakt i, podążając za nim, znalazła się na bezpiecznym czacie. Używając ogólnikowego języka, by nie budzić czujności Carnivore'a, zrelacjonowała bieg zdarzeń.

- *Nasz biznesowy konkurent odpowiedział agresywną taktyką marketingową. W tej chwili przebywam w domu mojego pracownika razem z nowym wspólnikiem - Maya, posługując się szyfrem opartym na losowo dobranych liczbach pierwszych, podała Lindenowi adres domu.*

Francuski Arlekin nie odpowiadał, po kilku minutach dodała więc:

- *Zrozumiałeś?*
- *Czy nasz nowy wspólnik posiada umiejętność podróżowania do odległych miejsc?*
- *Jak na razie jeszcze nie.*
- *Czy dostrzegasz jakieś oznaki tej zdolności?*
- *Nie. Jest po prostu zwykłym obywatelem.*
- *Musisz zawieźć go do nauczyciela, który będzie w stanie ocenić jego potencjał.*

- *To nie należy do moich obowiązków -* odpisała Maya.

Misją Arlekinów było jedynie odnajdywanie i ochrona Travelerów. Nie angażowali się w niczyje podróże duchowe.

Znów zapadała kilkuminutowa przerwa, najwyraźniej Linden zastanawiał się, co ma odpowiedzieć. W końcu na ekranie przenośnego komputera znów pojawiły się słowa.

- *Nasi konkurenci przejęli kontrolę nad starszym bratem i zawieźli go do centrum badawczego pod Nowym Jorkiem. Planują dokonać oceny jego zdolności, a później poddać go treningowi. Jak na razie, nie znamy ich strategicznego celu. Ale musimy wykorzystać wszystkie środki i możliwości, by stawić im opór.*

- *Czy nowy wspólnik stanowi nasz główny potencjał?*

- *Właśnie. Wyścig się rozpoczął. W tej chwili rywale wyszli na prowadzenie.*

- *A jeśli nie zechce z nami współpracować?*
- *Wykorzystaj wszelkie sposoby, żeby zmienić zdanie. Nauczyciel mieszka na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, chroniony przez licznych przyjaciół. Za trzy dni zawieź naszego współnika do tego miejsca. W tym czasie skontaktuj się z naszymi przyjaciółmi i powiem im, że się do nich wybieracie. Podaję adres...*

Na ekranie ponownie pojawił się długi ciąg zakodowanych cyfr.

- *Potwierdź transmisję* - napisał Linden.

Córka Thorny nie odpowiadała.

Ostatnie słowa pojawiły się ponownie, tym razem napisane dużymi literami, dalej żądając od niej potwierdzenia.

- **POTWIERDŹ TRANSMISJĘ!**

Nie odpowiadaj" mu, powiedziała do siebie Maya. Zamierzała opuścić ten dom i przewieźć Gabriela za meksykańską granicę. Było to rozwiązanie bezpieczne. Upłynęło kilka sekund, zanim położyła palce na klawiaturze komputera i zaczęła powoli pisać.

- *Informacja otrzymana.*

Ekran został wyczyszczony, a Linden się rozłączył. Maya odkodowała podane cyfry za pomocą komputera i stwierdziła, że powinna udać się do miasta o nazwie San Lucas w południowej Arizonie. Co się tam wydarzy? Nowi wrogowie? Kolejna konfrontacja? Wiedziała dobrze, że Tabulowie wykorzystają wszystkie możliwości Rozległej Sieci monitorującej, by ich odnaleźć.

Poszła do kuchni i otworzyła drzwi zabezpieczone siatką. Gabriel siedział na podjeździe obok motocykla. Znalazł jakiś wieszak, wyprostował go i zgiął jeden z końców metalowego drutu. Teraz tym zaimprovizowanym narzędziem starał się skorygować ułożenie tylnej ośki.

- Gabriel, chciałabym obejrzeć miecz, który wozisz ze sobą.

- Weź sobie sama. Wystaje z mojego plecaka. Postawiłem go obok kanapy w pokoju gościnnym.

Pozostała w progu, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z despektu, jakiego się dopuścił wobec zabytkowej broni.

Gabriel przestał pracować.

- Coś nie tak?

- Ten miecz jest bardzo szczególny i wyjątkowy. Najlepiej będzie, jeśli przekażesz mi go własnoręcznie.

Wydał się zaskoczony, ale uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Jeśli tego sobie życzysz. Daj mi tylko chwilkę.

Córka Thorna przyniosła swoją torbę do pokoju gościnnego i usiadła na kanapie. Usłyszała szum wody w rurach, gdy Gabriel poszedł do kuchni i zmywał smar z rąk. Kiedy wszedł do pokoju, spojrzął na nią tak, jakby była obłąkana i chciała go zaatakować. Maya zdała sobie sprawę, że pod rękawami bawełnianego pulowera był widoczny zarys przypiętych paskami noży

Ojciec ostrzegł ją, że związki między Arlekinami a Travelerami są raczej nietypowe. Z tego, że ci pierwsi ryzykowali życie w obronie tych drugich, nie wynikało jeszcze, że obie grupy darzyły się wzajemnie sympatią. Ludzie, którzy przechodzili do innych wymiarów, zwykle stawali się bardziej uduchowieni. Natomiast Arlekinini zawsze pozostaną nierozdzielnie związani z ziemią, splamieni śmiertelnością i brutalną siłą Czwartego Wymiaru.

Kiedy Maya miała czternaście lat, razem z Mother Blessing podróżowała po krajach wschodniej Europy. W momencie, gdy irlandzka Arlekin wydawała polecenie, zarówno obywatele, jak i trutnie stawali na baczność, okazując pełne posłuszeństwo. „Tak, proszę pani”. „Oczywiście, proszę pani”. „Mamy nadzieję, że nie będzie żadnych problemów”. Mother Blessing przekroczyła już pewną granicę, a ludzie natychmiast to wyczuwali. Maya zdała sobie sprawę, że nie jest wystarczająco silna, by mieć taką moc.

Gabriel podszedł do plecaka i wyciągnął miecz - wciąż w pochwie z czarnej laki. Wręczył go dziewczynie, trzymając obiema rękami.

Poczuła perfekcyjne wyważenie miecza i od razu wiedziała, że to wyjątkowa broń. Rękojeść ze skóry płaszczki była owinięta nicią, na którą nanizano paciorki z ciemnozielonego nefrytu.

- Mój ojciec podarował ten miecz twojemu ojcu, kiedy byłeś dzieckiem.

- Nie pamiętam tego - odparł Gabriel. - Zawsze był gdzieś w domu, kiedy dorastaliśmy.

Trzymając pochwę na kolanach, córka Thorna powoli wyciągnęła klingę i przesunęła wzrok wzdłuż głowni. Broń wykonano w stylu *tachu* należało ją nosić ostrzem skierowanym do dołu. Kształt klingi był perfekcyjny, ale prawdziwie piękno ujawniał *hamon* - miejsce, w którym zaostzona część brzeszczotu schodziła się z nieostrym metalowym odcinkiem klingi. Jaskrawe powierzchnie stali, zwane nie, kontrastowały z matowymi miejscami barwy perłowobiałej. Widok ten nasuwał Mai skojarzenie z połaciami nagiej ziemi wystającej spod topniejącego wiosennego śniegu.

- Dlaczego ten miecz ma tak szczególne znaczenie? - zapytał Gabriel

- Posługiwał się nim Sparrow, japoński Arlekin. Był jedynym arlekińskim wojownikiem w Kraju Kwitnącej Wiśni, ostatnim spadkobiercą szlachetnej tradycji. Sparrow słynął z odwagi i zaradności. Później jednak pozwolił, by słabość wstąpiła w jego życie.

- Co się z nim stało?

- Zakochał się w studentce collegeu. Wynajęci przez Tabulów gangsterzy z yakuzy dowiedzieli się o tym i porwali młodą kobietę. Gdy Sparrow przyszedł jej na ratunek, został zabity

- Jak to się stało, że miecz trafił do Ameryki?

- Mój ojciec zdołał odszukać dziewczynę z collegeu. Spodziewała się dziecka i ukrywała się przed bandziorami z yakuzy. Pomógł jej uciec do Ameryki, ona zaś pozwoliła mu wziąć miecz.

- Jeśli jest to tak szczególny przedmiot, dlaczego twój ojciec go nie zatrzymał?

- To jest talizman. To znaczy, że jest bardzo stary i ma własną moc. Talizman może pełnić funkcję amuletu, zwierciadła albo miecza. Travelerzy mogą zabierać talizman ze sobą, kiedy ruszają w drogę do innych światów.

- A więc dlatego w końcu stał się naszą własnością.

- Talizmanu nie można mieć na własność, Gabrieliu. Jego moc istnieje niezależnie od ludzkiej chciwości i pożądania. Możemy się nim jedynie posługiwać albo przekazać go komuś innemu - odparła Maya, spoglądając ponownie na ostrze głoźni. - Ten szczególny talizman wymaga wyczyszczenia i naoliwienia. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Ależ skąd. Rób, co trzeba - odparł Gabriel z nieco zawstydzoną miną. - Nie poświęcałem specjalnie dużo czasu na polerowanie go.

Maya przywozła ze sobą przybory przeznaczone do konserwowania własnego miecza. Sięgnęła do torby, wyciągnęła arkusz papieru *hoshō* wykonanego ze spodniej części kory drzewa morwowego. Willow, Arlekin z Chin, nauczyła ją, jak traktować broń z pełnym respektem i szacunkiem. Lekko przechyliła głoźnię i zaczęła ścierać z brzeszczotu drobiny brudu i rdzawe smugi.

- Nie mam dobrych wiadomości, Gabrieliu. Kilka minut temu nawiązałam kontakt przez Internet z innym Arlekinem. Mój przyjaciel dysponuje wtyczką w organizacji Tabulów; człowiek ten potwierdza, że schwytali twojego brata.

Młodszy z Corriganów pochylił się nerwowo do przodu.

- Czy jesteśmy w stanie cokolwiek zrobić? - dopytywał się. - Gdzie go trzymają?

- Jest przetrzymywany w silnie strzeżonym ośrodku doświadczalnym w okolicach Nowego Jorku.

- Dlaczego nie możemy powiadomić policji?

- Przeciętny policjant być może bywa uczciwy, ale to nam wcale nie pomoże. Nasi wrogowie potrafią manipulować

Rozległą Siecią: komputerowym systemem o zasięgu globalnym, który monitoruje i steruje ludzką społecznością.

Gabriel przytaknął.

- Moi rodzice używali określenia Siatka.
- Tabulowie mogą włamywać się do policyjnych komputerów i wprowadzać fałszywe raporty. Pewnie już umieścili w nich informację, że oboje jesteście poszukiwani za morderstwo.
- W porządku, zapomnijmy o policji. Po prostu ruszajmy tam, gdzie przetrzymują Michaela.
- Jestem sama, Gabrielu. Wynajęłam Hollisa, ale nie wiem, do jakiego stopnia można na nim polegać. Ojciec nazywał wojowników „mieczami”. To tylko inny sposób liczenia ludzi, których masz po swojej stronie. W tej chwili nie dysponuję dostateczną liczbą mieczy, żeby przypuścić szturm na ośrodek badawczy chroniony przez najemników Tabulów.
- Musimy pomóc mojemu bratu.
- Nie sądzę, żeby chcieli go zabić. Tabulowie opracowali plan, a do jego realizacji zamierzają wykorzystać Travelera oraz coś, co nazywają komputerem kwantowym. Chcą nauczyć twojego brata przechodzenia do innych wymiarów. Wszystko to jest zupełną nowością. Nie wiem nawet, jak zamierzają to zrobić. Travelerzy byli zwykle szkoleni przez ludzi nazywanych Przewodnikami.
- Cóż to za jedni?
- Daj mi chwilę, to ci wyjaśnię...

Maya raz jeszcze sprawdziła wygląd głowni i dostrzegła na metalu kilka drobnych rys i zagłębień. Tę broń mógł naostrzyć jedynie *togishi*, japoński mistrz płatnerski. Jej wolno było jedynie posmarować głownię oliwą, żeby nie zaczęła rdzewieć. Wyciągnęła brązową buteleczkę i nalała odrobinę olejku z goździków na bawełnianą gazę. Słodki aromat goździków wypełnił pomieszczenie, gdy łagodnie smarowała klingę. Przez moment była całkowicie pewna jednej rzeczy - miecz krył w sobie ogromną moc. Zabijał już wcześniej i znowu miał odbierać życie.

- Przewodnik jest szczególnego rodzaju nauczycielem. Zwykle jest to osoba po duchowym treningu. Przewodnicy nie są Travelerami - nie są w stanie przechodzić do innych wymiarów, ale potrafią pomóc komuś, kto posiada dar.

- Gdzie ich znajdziemy?

- Mój przyjaciel podał mi adres Przewodnika mieszkającego w Arizonie. Ten człowiek będzie w stanie rozstrzygnąć, czy dysponujesz mocą.

- Tak naprawdę pragnę tylko naprawić motocykl i zniknąć stąd.

- To nie byłoby rozsądne. Bez mojej ochrony Tabulowie w końcu dopadną i ciebie.

- Nie potrzebuję niczyjej ochrony, Mayu. Niemal przez całe życie trzymałem się z dala od Sieci.

- Ale teraz cię szukają, wykorzystując wszelkie środki i siły, jakimi dysponują. Nie rozumiesz, do czego są zdolni.

Gabriel wyglądał na rozdrażnionego.

- Widziałem, co się przydarzyło mojemu ojcu. Arlekini nie zdołali go obronić. Nikt nie zdołał.

- Uważam, że powinieneś pojechać ze mną.

- Dlaczego? Możesz mi to wytłumaczyć?

Mówiła powoli, wciąż trzymając miecz i pamiętając o tym, czego nauczył ją Thorn.

- Niektórzy filozofowie uważają, że nietolerancja, nienawiść i okrucieństwo są naturalnymi skłonnościami rodzaju ludzkiego. Ci, którzy dążą do władzy, pragną za wszelką cenę utrzymać się przy niej i niszczą każdego, kto stanowi dla nich zagrożenie.

- To wydaje się całkiem oczywiste - skomentował Gabriel.

- Dążenie do sterowania innymi jest bardzo silne, ale pragnienie wolności i zdolność okazywania współczucia także jeszcze istnieją. Ciemność ogarnia wszystko, lecz Światło wciąż świeci.

- Wierzysz w to, co powiedziałaś, ze względu na istnienie Travelerów?

- Travelerzy pojawiają się w każdym pokoleniu. Opu-
szczają ten świat, a później powracają, by pomagać innym.
Stanowią dla ludzkości źródło inspiracji, przedstawiają
nowatorskie idee i wytyczają kierunek rozwoju naszej cy-
wilizacji...

- Być może mój ojciec był jednym z tych ludzi, ale nie
znaczy to wcale, że Michael i ja mamy tę samą zdolność.
Nie zamierzam jechać do Arizony, by spotkać się z tym
nauczycielem. Chcę odnaleźć Michaela i pomóc mu
w ucieczce.

Gabriel spoglądał na drzwi wyjściowe, jakby już zde-
cydował się opuścić to miejsce. Maya usiłowała odnaleźć
w sobie spokój, który odczuwała w trakcie walki. Musiała
dobrać właściwe słowa, w przeciwnym razie on ucieknie.

- Niewykluczone, że w innym wymiarze odnajdziesz brata.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Nie jestem w stanie niczego obiecać. Jeśli obaj jeste-
ście Travelerami, takie zdarzenie jest możliwe. Tabulowie
zamierzają nauczyć Michaela, jak podróżować do innych
światów.

Młodszy z braci Corriganów spojrzał jej prosto w oczy.
Przez chwilę zdumiała ją jego odwaga i siła. Po czym opu-
ścił głowę i znowu stał się zwyczajnym młodym człowie-
kiem w dżinsach i wyblakłym T-shircie.

- Być może okłamujesz mnie - powiedział cicho.

- Musisz po prostu podjąć to ryzyko.

- Jeśli pojedziemy do Arizony, jesteś pewna, że odnaj-
dziemy Przewodnika?

Córka Thorna przytaknęła.

- Mieszka w pobliżu miasteczka San Lucas.

- W takim razie pojedę tam i spotkam się z nim. Wtedy
podejmę decyzję, co robić dalej.

Wstał szybko i wyszedł z pokoju. Maya pozostała na
kanapie z nefrytowym mieczem w dłoniach. Głównia była
nieskazitelnie naoliwiona, stal załśniła, gdy miecz przeciął

powietrze. *Odlóż go na bok*, powiedziała do siebie. *Niech jego moc skryje się w ciemności.*

Głosy dobiegały z kuchni. Stąpając miękko po drewnianej podłodze, żeby nie skrzypiała, Maya podeszła do jadalni i spojrzała przez szparę w drzwiach. Hollis i Vicki wrócili do domu. Przygotowywali obiad, plotkując przy okazji o religijnej wspólnocie. Rozmowa dotyczyła dwóch starszych kobiet toczących spór, która z nich potrafi upiec najwspanialszy tort weselny. Sprawa ta podzieliła ich małą społeczność na dwie frakcje.

- Kiedy więc moja kuzynka wybrała Miss Annę, żeby ta upiekła tort, Miss Grace przyszła na przyjęcie tylko po to, żeby udawać mdłości po zjedzeniu kawałka weselnego ciasta.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jestem raczej zaskoczony, że nie podrzuciła do dzieży z ciastem zdechłego karalucha.

Oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Hollis uśmiechnął się do Vicki, później rozejrzał się szybko. Maya nastąpiła mocniej na deski podłogi, żeby zaskrzypiała, dając im znać, że jest w drugim pokoju, odczekała kilka sekund i weszła do kuchni.

- Rozmawiałam z Gabrielem. Założy nową oponę i wyjeżdżamy jutro rano.

- Dokąd jedziecie? - zapytał Hollis.

- Wyjeżdżamy z Los Angeles. To wszystko, co powinienś wiedzieć.

- W porządku. To twój wybór - odparł Hollis wruszając ramionami. - Czy ty w ogóle możesz mi coś powiedzieć?

Maya usiadła przy kuchennym stole.

- Zapłata czekiem czy też przelew bankowy są ryzykowne. Tabulowie osiągnęli mistrzostwo w monitorowaniu

tego rodzaju operacji. Za kilka dni otrzymasz przesyłkę, magazyn albo katalog w kopercie ze stemplem poczty niemieckiej. Między stronami będą ukryte banknoty stu-dolarowe. Być może przesyłki będą dwie lub trzy, łącznie dostaniesz pięć tysięcy dolarów.

- To zdecydowanie za dużo forsy - odparł instruktor brazylijskiej sztuki walki. - Umówiliśmy się na tysiąc dolarów dziennie, a pomagam ci dopiero drugi dzień.

Maya zastanawiała się, czy Hollis powiedziałby to samo, gdyby nie obserwowała go Vicki. Jeśli się kogoś lubi, łatwiej wyjść na głupka lub popełnić błąd. Mężczyzna z dredami pragnął wyglądać na wspaniałomyślnego w oczach młodej kobiety.

- Pomogłeś mi odnaleźć Gabriela. Płacę ci za twoje usługi.

- I to już koniec?

- Tak. Kontrakt zostaje anulowany

- Przestań, Mayu. Tabulowie tak łatwo nie zrezygnują. Będą szukać ciebie i Gabriela. Jeśli naprawdę chcesz wypuścić ich na manowce, zostaw im jakieś fałszywe informacje. Zrób tak, żeby byli przekonani, że wciąż jesteście w Los Angeles.

- Jak ty byś to zrobił?

- Mam parę pomysłów.

Hollis spojrział na Vicki, która rzeczywiście go obserwowała.

- Wy, Arlekini, zamierzacie zapłacić mi pięć kawałków. W zamian oferuję wam dodatkowo trzy dni moich usług.

Następnego ranka Vicki obudziła się wcześniej i przyszykowała dla wszystkich kawę oraz biszkopty. Po śniadaniu wyszli na zewnątrz, a Hollis dokonał przeglądu furgonetki Mai. Wlał kwartę oleju silnikowego do skrzyni korbowej, zdjął stare tablice rejestracyjne i założył inne, z porzuconego auta, które stanowiło niegdyś własność jego sąsiada. Potem zaczął grzebać w szafach i wyszperał parę rzeczy: plastikowe butelki na wodę i dodatkowe ciuchy dla Gabriela, podłużne kartonowe pudło jako schowek na strzelbę oraz mapę drogową, która miała ich zaprowadzić do południowej Arizony.

Maya zaproponowała, że będą wieźli motocykl na pace z tyłu dostawczej furgonetki - przynajmniej do czasu, gdy opuszczą Kalifornię - ale Gabriel zdecydowanie odrzucił ten pomysł.

- Stanowczo przesadzasz - powiedział do niej. - W tej chwili po autostradach wychodzących z Los Angeles mknie ponad sto tysięcy pojazdów. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób Tabulowie mogą mnie namierzyć.

- To nie człowiek prowadzi poszukiwania, Gabrielu. Tabulowie dysponują dostępem do kamer monitorujących zamontowanych przy znakach drogowych na autostradach. Właśnie teraz skanujący program komputerowy przetwarza obraz w poszukiwaniu tablicy rejestracyjnej twojego motocykla.

Po krótkiej sprzeczce Hollis wyszukał w garażu kawałek nylonowego sznurka i przywiązał plecak młodszego z Corriganów do tyłu motocykla. Wyglądało to na przypadkowy,

zaimprovizowany sposób wieszania plecaka, ale przy okazji przysłała tabliczkę rejestracyjną. Gabriel skinął głową i kopnął nożny rozrusznik motocykla, gdy Maya wsiadała do samochodu. Opuściła boczną szybę i również skinęła głową w kierunku Vicki i Hollisa.

Do tego momentu Vicki zdążyła się już przyzwyczać do arlekińskich manier. Takie słowa, jak „dziękuję” czy „do widzenia”, z trudem przeciskały się przez gardło Mai. Być może jej zachowanie było jedynie przejawem gburowatości lub dumy, ale czarnoskóra dziewczyna doszła do przekonania, że przyczyna jest inna. Arlekini wzięli na siebie przytłaczający obowiązek - mieli za cenę życia bronić Travelerów. Zaakceptowanie przyjacielskiej więzi z kimś spoza ich świata byłoby jedynie dodatkowym ciężarem. I to był powód, dla którego zdecydowanie woleli rodzaj kontaktów, jakie utrzymywali z najemnikami, których można było wykorzystać i później porzucić.

- Od tej chwili powinieneś być bardzo ostrożny - Maya zwróciła się do Hollisa. - Tabulowie rozwinęli system śledzenia transakcji elektronicznych. Eksperymentują też ze „sklejkami”: genetycznie zmodyfikowanymi zwierzętami używanymi do zabijania ludzi. Najlepszą strategią dla ciebie będzie zachowanie dyscypliny i jednocześnie postępowanie w sposób nieprzewidywalny. Komputery Tabulów z trudem radzą sobie z równaniami, w których występują zmienne losowe.

- Wystarczy, że prześlesz pieniądze - odrzekł Hollis. - O mnie się nie martw.

Instruktor *capoeiry* otworzył bramę wyjazdową. Gabriel ruszył pierwszy, Maya pojechała za nim. Dostawcze auto i motocykl sunęły powoli ulicą, skręciły za rogiem i zniknęły.

- Jak sądzisz - zapytała Vicki. - Będą bezpieczni?

Hollis wzruszył ramionami.

- Gabriel prowadził bardzo niezależny żywot. Nie wiem, czy zamierza okazać posłuszeństwo wobec poleceń wydawanych przez Arlekina.

- A jakie masz zdanie na temat Mai?
- W Brazylii podczas turnieju sztuk walki przed rozpoczęciem pojedynku zawodni! wychodzi na środek maty, a sędzia dokonuje prezentacji. Rywale spoglądają sobie prosto w oczy. Niektórzy ludzie twierdzą, że walka rozstrzyga się już w tym momencie. Jeden z zawodników stara się pokazać odwagę, natomiast wzrok zwycięzcy przenika przeszkodę i przechodzi na drugą stronę.
- Czy Maya jest właśnie taka?
- Godzi się z możliwością śmierci i w ogóle jej to nie przeraża. To ogromna zaleta wojownika.

Vicki pomogła Hollisowi pozmywać naczynia i posprzątać w kuchni. Mężczyzna z dreadami zapytał ją, czy nie zechciałaby wziąć udziału w zajęciach *capoeity* dla początkujących tego dnia o piątej po południu, ale dziewczyna odmówiła, dziękując bardzo uprzejmie. Nadeszła pora, by wróciła do domu.

W samochodzie nie rozmawiali. Hollis nie odrywał od niej oczu, ale ona nie odwzajemniała jego spojrzenia. Gdy rano Vicki brała prysznic, pofolgowała kobiecej ciekawości i pomyszkowała w łazience jak detektyw. W dolnej szufladzie szafki pod umywalką znalazła czystą koszulę nocną, lakier do włosów w aerozolu, paczkę podpasek higienicznych i pięć nowych szczoteczek do zębów. Nie oczekiwała wprawdzie, że Hollis będzie żył w celibacie, ale pięć szczoteczek, każda w plastikowym etui, sugerowało niekończącą się kawkadę panienek zrzucających z siebie ubranie i kładących się do jego łóżka. Rano robił kawę, odwoził królową jednej nocy do domu, wyrzucał szczoteczkę i zaczynał od nowa.

Kiedy dojechali do Baldwin Hills, przy której mieszkała, powiedziała Hollisowi, żeby zaparkował na rogu. Nie

chciała, żeby matka zobaczyła ich razem w samochodzie przejeżdżającym obok domu. Josetta mogłaby pomyśleć jak najgorzej o mężczyźnie z dreadami - że przyczyną rebelii jej córki był potajemny związek z tym mężczyzną.

Odwróciła aję do Hollisa.

- Jak zamierzasz przekonać Tabulów, że Gabriel wciąż przebywa w Los Angeles?

- Nie mam dokładnego planu, ale coś wymyślę. Zanim Gabriel odjechał, nagrałem na taśmę magnetofonową jego głos. Jeśli usłyszą go rozmawiającego na lokalnej linii telefonicznej, dojdą do wniosku, że wciąż jest w mieście.

- Kiedy to już się skończy, co zamierzasz zrobić?

- Odebrać pieniądze i zrobić mały remont w mojej szkole. Trzeba zainstalować urządzenia do klimatyzacji, a właściciel kamienicy nie zamierza ich kupić.

Musiła wyglądać na niezadowoloną, gdyż Hollis stał się rozdrażniony.

- Przestań, Vicki. Nie zachowuj się jak kościelna dziewczynka. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny byłaś zupełnie inna.

- Czyli jaka?

- Nie wydawałaś nieustannie osądów. Nie cytowałaś Isaca T. Jonesa przy każdej nadarzającej się okazji.

- No tak. Zapomniałam. Przecież ty nie wierzysz w nic.

- Wierzę w rozsądne postrzeganie rzeczy i spraw. I wydaje mi się oczywistością, że to Tabulowie mają całą władzę i pieniądze. Jest duże prawdopodobieństwo, że wytropią Gabriela i Mayę. Ona jest Arlekinem, nie podda się więc...

- Hollis pokiwał głową. - Przewiduję, że za kilka tygodni będzie już martwa.

- I nie zamierzasz niczego zrobić, żeby do tego nie dopuścić?

- Nie jestem idealistą. Dawno temu opuściłem wyznaniową wspólnotę. Jak powiedziałem, wypełnię kontrakt do końca. Ale nie zamierzam walczyć za przegraną sprawę.

Vicki zdjęła rękę z klamki i spojrzała na niego.

- Czemu ma służyć cały twój trening, Hollis? Robieniu pieniędzy? I to ma być wszystko? Czy nie powinieneś walczyć o coś, co pomoże innym? Tabubwie chcą pojmać każdego, kto może zostać Travelerem i przejąć nad nim kontrolę. Dążą do tego, żebyśmy wszyscy zamienili się w robociki posłuszne twarzom oglądanym w telewizji, odczuwające strach i nienawiść wobec ludzi, których nigdy nie spotkaliśmy.

Hollis wzruszył ramionami.

- Nie twierdę, że nie masz racji. Ale to niczego nie zmienia.

- Jeśli dojdzie do decydującej bitwy, po której stronie staniesz?

Ponownie chwyciła klamkę, gotowa wysiąść, ale Hollis chwycił ją za lewą rękę. Szarpnąwszy lekko, przyciągnął ją do siebie, przechylił i pocałował w usta. Przez moment, gdy stanowili jedność, poczuli, jak przepływa przez nich oboje światło. Dziewczyna odsunęła się i otworzyła drzwi.

- Lubisz mnie? - zapytał. - Przyznaj, że mnie lubisz.

- Dług Niespłacony, Hollis. Dług Niespłacony.

Vicki szła po chodniku szybkim krokiem, następnie skręciła na trawnik sąsiadów, kierując się do drzwi frontowych. *Me zatrzymuj się*, powiedziała do siebie. *Me oglądaj się*.

Maya przestudiowała mapę i stwierdziła, że autostrada międzystanowa prowadzi w prostej linii z Los Angeles do Tucson. Gdyby pojechali szlakiem wytyczonym tą grubą zieloną linią, dotarliby na miejsce w sześć do siedmiu godzin. Bezpośrednia trasa była wygodna, ale też dużo mniej bezpieczna. Tabulowie będą ich szukać na głównych szlakach komunikacyjnych. W tej sytuacji córka Thorna zdecydowała, że pojedą do południowej ~~Nenw~~ ~~hfr~~ ~~pu~~ ~~an~~ ~~aj~~ ~~ac~~ pustynię Mojave, kontynuując **później pedMra Materna** drogami stanu Arizona.

Sieć autostrad wydawała się dosyć zawiła, ale Gabriel wiedział, którą ma jechać. Gestami prawej ręki wskazywał jej, kiedy ma zwolnić, zmienić pas ruchu lub zjechać na konkretny rozjazd. Najpierw podążali autostradą międzystanową przez Riverside County. Mniej więcej co dwadzieścia mil mijali centra handlowe z potężnymi domami towarowymi. Wokół sklepowych budynków skupiały się zabudowania mieszkalne z identycznymi domami o czerwonych dachówkach, z jasnozielonymi trawnikami przed frontem.

Wszystkie te miasteczka miały własne nazwy, które można było odczytać na drogowych tablicach, ale w oczach Mai wyglądały równie sztucznie, co budowle ze sklejki na scenie opery. Nie mogła uwierzyć, że ktoś przed wieloma laty podróżował do tych miejsc w osadniczych wozach, by uprawiać tu ziemię i budować szkoły. Osady położone wzdłuż autostrady wyglądały na zbudowane rozmyślnie i celowo, jakby jakaś tabulska korporacja zaprojektowała

społeczną strukturę, a obywatele wdrażali ten projekt w życie: kupowali domy, obejmowali posady, wychowywali dzieci i poddawali własny los sterowaniu przez Rozległą Sieć monitorującą.

Kiedy dotarli do miasta Twenty-Nine Palms, zjechali z autostrady na dwupasmową asfaltową drogę prowadzącą w poprzek pustyni Mojave. Ameryka była tu zupełnie inna niż ta, w której mieszkaly społeczności skupione przy autostradach. Początkowo krajobraz był płaski i jałowy, później wjechali w obszar pokryty czerwonymi skałami - każda z nich sterczała samotnie i oddzielnie, niczym piramidy Szate roślinną stanowiły kalifornijskie juki o lancetowatych liściach i judaszowe drzewa o kolczastych, poskręcanych gałęziach, przywodzących na myśl wzniesione do góry ramiona.

Gdy wreszcie opuścili autostradę, Gabriel zaczął najwyraźniej rozkoszować się podróżą. Robił pełne gracji esy-floresy, jeżdżąc od lewej do prawej strony wzdłuż środkowej osi pustej drogi. W pewnym momencie zupełnie nieoczekiwanie przyspieszył znacznie. Maya docisnęła pedał gazu, starając się nadążyć za nim, ale młodszy z braci Corriganów wrzucił piąty bieg i bez trudu odjechał daleko naprzód. Wściekła, choć bezsilna, wpatrywała się w coraz bardziej malejącą sylwetkę, aż w końcu motocykl i kierowca złączyli się z linią horyzontu.

Gdy nie zawracał, zaczęła się o niego martwić. Może postanowił zapomnieć o Przewodniku i pojechał w dalszą drogę sam? Albo przydarzyło mu się coś złego? Być może pojмали go Tabulowie i czekali teraz, aż ona się pojawi? Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Kiedy była bliska paniki, gdzieś daleko przed nią pojawił się maleńki punkt. Stopniowo robił się coraz większy, aż w końcu z mgiełki wyłonił się Gabriel. Pędził z ogromną szybkością, gdy minął ją, mknąc w przeciwnym kierunku, uśmiechając się przy tym i machając ręką. *Dureń*, pomyślała. *Przeklęty dureń*.

Zerkając we wsteczne lusterko, widziała, jak Gabriel zawraca i nabiera rozpędu, by ją dogonić. Kiedy ponownie ją

mijał, zatrąbiła klaksonem i mrugnęła światłami. Młodszy z Corriganów zjechał na przeciwległy pas i sunął obdk niej pod prąd, gdy Maya opuszczała okno.

- Nie wolno ci tego robić! - wykrzyknęła.

Gabriel celowo przestawił coś przy motocyklu tak, że silnik ryczał jeszcze głośniej. Wskazywał na uszy i kiwał przecząco głową. „Przepraszam. Nic nie słyszę”.

- Zwolnij! Musisz jechać blisko mnie!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu niczym psotny urwis, wcisnął gaz do dechy i popędził do przodu. Ponownie odjechał daleko i w końcu zniknął w rozgrzanym powietrzu. Na dnie wyschniętego słonego jeziora pojawiła się fatamorgana. Stanowiąca złudzenie optyczne woda mieniła się i dokądś płynęła pod oslepiająco białym słońcem.

Kiedy dojechali do miasta o nazwie Saltus, Gabriel zatrzymał się przy sklepie wielobranżowym połączonym z gospodą, którą zaprojektowano tak, by wyglądała jak drewniana chata z epoki pionierskiego osadnictwa. Nappełnił bak motocykla do pełna i wszedł do budynku.

Maya zatankowała trochę paliwa do samochodu dostawczego, zapłaciła staremu człowiekowi prowadzącemu sklep i weszła do gospody przez szeroko otwarte drzwi. Sala była udekorowana farmerskimi narzędziami, a lampy wykonano z kół wozów osadniczych. Na ścianach wisały wypchane głowy jeleni i muflonów. Było już późne popołudnie i byli jedynymi klientami - lokal świecił pustkami.

Usiadła w boksie naprzeciw młodszego z Corriganów i złożyła zamówienie u znudzonej kelnerki paradującej w poplamionym fartuchu. Jedzenie podano szybko. Gabriel pożarł błyskawicznie swojego hamburgera i zamówił drugiego, gdy Maya bez apetytu wmuszała w siebie omlet z grzybami.

Ludzie podróżujący do innych wymiarów często byli też duchowymi przywódcami, ale Gabriel Corrigan nie okazywał żadnych znamion rozwiniętej duchowo osobowości. Cały czas zachowywał się jak normalny młody mężczyzna, który lubi jazdę na motorze i przesadza z dodawaniem keczupu do jedzenia. Był po prostu jeszcze jednym obywatelem - to wszystko. Mimo to Maya czuła się jednak jakoś dziwnie w jego towarzystwie. Mężczyźni, których znała w Londynie, uwielbiali brzmienie własnego głosu. Jednym uchem słuchali, gdy się do nich mówiło, czekając niecierpliwie, aż sami będą mogli znowu przemówić. Gabriel nie był taki. Obserwował ją uważnie, słuchał jej słów i reagował na zmiany jej nastroju.

- Czy naprawdę masz na imię Maya? - zapytał.

-Tak.

- A jak brzmi twoje nazwisko?

- Nie mam nazwiska.

- Każdy ma jakieś nazwisko - odparł Gabriel. - Chyba że jest gwiazdą rocka, królem albo kimś w tym rodzaju.

- W Londynie nazywałam się Judith Strand. Do Stanów wjechałam z niemieckim paszportem na nazwisko Gretchen Voss. Mam ze sobą trzy awaryjne paszporty z trzech różnych krajów. Ale Maya to moje arlekińskie imię.

- Co przez to rozumiesz?

- Arlekini wybierają sobie specjalne imię, gdy mają piętnaście lub szesnaście lat. Nie wiąże się z tym żaden ceremoniał. Wybierasz sobie po prostu imię i mówisz o tym rodzicom. Imiona nie zawsze kryją w sobie oczywiste znaczenia. Francuski Arlekin wybrał sobie imię „Linden”, od nazwy drzewa z liśćmi w kształcie serc. Niezwykle bezwzględna wojowniczką Arlekin z Irlandii każe się nazywać Mother Blessing.

- Dlaczego więc nosisz imię Maya?

- Wybrałam sobie imię, które drażniłoby ojca. Maya jest innym imieniem bogini Dewi, bogini-matki i małżonki boga

Sziwy. Oznacza również iluzję, świat zmysłowych złudzeń. W to właśnie pragnęłam wierzyć: w rzeczy, które można zobaczyć, usłyszeć i dotknąć. Odrzucałam świat Travelerów i inne wymiary.

Gabriel rozejrzał się po małej, zapuszczonej knajpie. „W Bogu pokładamy zaufanie. Cała reszta płaci gotówką” - widniało na szyldzie.

- A twoi bracia i siostry? Czy również z mieczem u boku przemierzają świat w poszukiwaniu Travelerów?

- Jestem jedynaczką. Matka pochodziła z sikhijskiej rodziny mieszkającej w Wielkiej Brytanii od trzech pokoleń. Przekazała mi to... - odpowiedziała Maya i uniosła prawy nadgarstek, pokazując stalową bransoletkę. - To się nazywa *kara*. Ma przypominać, że nie wolno mi uczynić niczego, co okryłoby mnie wstydem lub hańbą.

Maya chciała już skończyć posiłek i wyjść z gospody. Gdy znajdzie się na zewnątrz, będzie mogła założyć słoneczne okulary i ukryć oczy.

- Jaki był twój ojciec? - zapytał Gabriel.

- Nie musisz nic o nim wiedzieć.

- Czy był szaleńcem? Bił cię?

- Oczywiście, że nie. Zwykle przebywał w innym kraju, starając się uratować jakiegoś Travelera. Ojciec nigdy nie mówił, dokąd wyjeżdża. Nigdy nie wiedzieliśmy, czy żyje, czy powinniśmy już go opłakiwać. Nie przyjeżdżał na moje urodziny ani na Boże Narodzenie, potem pojawiał się nagle i zupełnie nieoczekiwanie. Zawsze zachowywał się tak, jakby wszystko było w najzupełniejszym porządku, jakby wyszedł na moment wypić kufel piwa za rogiem. Chyba za nim tęskniłam. Ale równocześnie nie chciałam, żeby wracał do domu. Oznaczało to, że musimy wznawiać moją naukę.

- I uczył cię, jak posługiwać się mieczem?

- To była tylko część mojego szkolenia. Musiałam nauczyć się także karate, dzudo, kickboxingu i opanować umiejętność posługiwania się różnymi rodzajami broni palnej.

Starał się też wyrobić we mnie określone schematy myślenia. Gdy byliśmy w sklepie na zakupach, nagle kazał mi opisać każdą osobę, którą minęliśmy. Kiedy jechaliśmy razem metrem, miałam przyjrzeć się każdemu pasażerowi i określić kolejność pojedynków, które stoczyłabym z nimi w walce wręcz. Najpierw należało zaatakować najsilniejszego przeciwnika, a następnie zająć się resztą.

Gabriel przytaknął, jakby rozumiał, o czym Maya mówi.

- Co jeszcze robił?

- Kiedy trochę podrosłam, ojciec wynajmował ulicznych złodziejasków i narkomanów, by śledzili mnie na ulicach w drodze ze szkoły do domu. Musiałam ich rozpoznać i znaleźć sposób ucieczki. Szkolenie zawsze odbywało się na ulicy i było tak niebezpieczne, jak to tylko możliwe.

Miała już zamiar opisać walkę w metrze przeciwko trzem futbolowym chuliganom, ale na szczęście zjawiała się kelnerka, przynosząc drugiego hamburgera. Gabriel zignorował ten fakt i starał się kontynuować rozmowę.

- Brzmi to tak, jakbyś nie chciała zostać Arlekinem.

- Staralam się prowadzić normalne życie. Ale okazało się to niemożliwe.

- Czy z tego powodu odczuwasz gniew?

- Nie zawsze możemy wybrać szlak, którym podążamy.

- Wydaje się, że odczuwasz żal i złość na ojca.

Te słowa zdołały przebić się przez jej ochronną skorupę i ukłuły boleśnie w serce. Przez moment pomyślała, że zaraz tak bardzo się rozplacze, że świat dookoła niej rozpadnie się na kawałki.

- Ja... Bardzo go szanowałam - wydusiła z siebie.

- To wcale nie znaczy, że nie możesz być na niego zła.

- Zapomnijmy o moim ojcu - odparła Maya. - On nie ma nic wspólnego z naszym obecnym położeniem. W tej chwili Tabulowie szukają nas, ja zaś staram się ciebie chronić. Przestań więc pędzić motocyklem jak szaleniec. Muszę mieć cię w polu widzenia przez cały czas.

- Jesteśmy na środku pustyni, Mayu. Nikt nas tu nie zobaczy.

- Sieć istnieje przez cały czas, nawet jeśli nie dostrzegasz jej linii - powiedziała Maya, wstała i zawiesiła na ramieniu tubę z mieczem w środku. - Skończ jeść. Czekam na zewnątrz.

Przez resztę dnia Gabriel jechał tuż przed nią, dostosowując prędkość jazdy motoru do samochodu. Słońce schodziło coraz niżej i w końcu zlało się z horyzontem, gdy oni wciąż jechali na wschód. Mniej więcej czterdzieści kilometrów przed granicą Nevady dojrzała zielono-niebieski neon niedużego motelu.

Maya sięgnęła do torebki i wyjęła generator liczb losowych. Liczba parzysta oznaczała kontynuację jazdy Nieparzysta nakazywała zrobienie postoju. Nacisnęła guzik. Na wyświetlaczu pojawiła się liczba 88167, mrugnęła więc światłami i skręciła na pokryte żwirem podwórze. Budynek motelu wzniesiono na planie litery „U”. Dysponował dwunastoma pokojami, dno pustego basenu zarosło trawą.

Maya wysiadła z auta i podeszła do Gabriela. Powinni dzielić pokój, żeby mogła mieć go na oku, ale postanowiła nie dyskutować z nim o tym. *Nie naciskaj na niego, pomyślała. Wymyśl jakieś wytłumaczenie.*

- Nie mamy za dużo pieniędzy. Taniej będzie wynająć jeden pokój.

- Nie ma sprawy - odparł młodszy z Corriganów i ruszył za nią w stronę oświetlonej recepcji.

Właścicielką motelu była stara kobieta, kopcząca papierochy niczym lokomotywa. Uśmiechnęła się znacząco, gdy Maya napisała na małej białej kartce *Mr i Mrs Thompson*.

- Płacimy gotówką - oświadczyła dziewczyna. ~

- Tak, skarbie. To dobrze. I postarajcie się niczego nie rozwalić.

Dwa zapadnięte łóżka. Mały stolik i dwa plastikowe krzesła. W pokoju był klimatyzator, ale postanowiła go nie włączać. Szum wentylatora mógł zagłuszyć odgłosy wydawane przez kogoś, kto by się zbliżał. Otworzyła okno nad łózkami, po czym poszła do łazienki. Letnia woda kapiała leniwie z końcówki prysznicza. Miała zwietrzały, alkaliczny zapach i Maya z trudem umyła gęste włosy. Wyszła mając na sobie bawełnianą koszulkę i sportowe szorty. Gabriel poszedł się kąpać jako drugi.

Córka Thornha ściągnęła koc z łóżka, po czym wsunęła się pod pościel, kładąc rękę w odległości kilku cali od prawej nogi. Pięć minut później Gabriel wyszedł z mokrymi włosami z łazienki, miał na sobie T-shirt i slipki. Przeszedł powoli przez wydeptany dywan i usiadł na krawędzi swojego łóżka. Maya sądziła, że zamierza coś powiedzieć, ale najwidoczniej zmienił zdanie i wsunął się pod kołdrę.

Leżąc twarzą do góry, wojowniczką zaczęła analizować dochodzące do niej odgłosy. Wiatr lekko naprężający siatkę w drzwiach. Warkot ciężarówki lub samochodu osobowego, który przejeżdżał od czasu do czasu pobliską szosą. Powoli zasypiała i pogrążała się w sen; znów była małą dziewczynką, stała samotnie w tunelu metra, a trzech mężczyzn atakowali ją. *Nie. Nie myśl o tym.*

Otworzyła oczy, odwróciła lekko głowę i spojrzała w poprzek pokoju w kierunku Gabriela. Jego głowa leżała na poduszce, a ciało było zwinięte w kłębek pod pościelą. Zastanawiała się, czy miał w Los Angeles dużo przyjacielek, które szeptały mu do ucha miłosne wyznania. Wyraz „miłość” budził w niej podejrzenia. Pojawiał się nieustannie w tekstach piosenek i w telewizyjnych reklamach. Jeśli słowo „miłość” było podejrzone i fałszywe - w sam raz dla zwykłych obywateli - jaka była najbardziej intymna rzecz, którą Arlekin mógł wyznać innej osobie?

Wtedy powróciło do niej tamto zdanie, ostatnie słowa, jakie usłyszała z ust ojca w Pradze: „Umarłbym dla ciebie”.

Do jej uszu dobiegł odgłos skrzypienia; Gabriel wiercił się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Minęło kilka minut, w końcu położył głowę na dwóch poduszkach.

- Kiedy dzisiaj po południu jedliśmy lunch, byłaś rozdrażniona. Może nie powinienem był pytać cię o to wszystko?

- Nie ma potrzeby, byś poznawał szczegóły mojego życia, Gabrielu.

- Ja również nie miałem normalnego dzieciństwa. Moi rodzice byli podejrzliwi wobec wszystkiego. Zawsze się ukrywali albo przed czymś uciekali.

Cisza. Maya zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć. Czy Arlekini oraz ludzie, których chronili, mogli prowadzić rozmowy na tematy osobiste?

- Czy spotkałeś kiedykolwiek mojego ojca? - zapytała. - Czy pamiętasz go?

- Nie. Ale pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem miecz z nefrytową rękojeścią. Miałem wtedy pięć, może sześć lat.

Zamilkł na dłużej, ona zaś nie zadawała kolejnych pytań. Niektóre wspomnienia były niczym blizny skrzętnie skrywane przed wzrokiem innych. Obok motelu przejechała ciężarówka. Potem samochód osobowy. I znowu ciężarówka. Gdyby jakieś auto skręciło na podwórze, słychać byłoby chrzęst opon na żwirowej nawierzchni.

- Potrafię zapomnieć o mojej rodzinie, kiedy skaczę na spadochronie albo pędzę motocyklem - głos Gabriela był cichy, jego słowa pochłaniała ciemność. - Gdy zwalniam, wszystko znów się pojawia...

- Wszystkie moje wczesne wspomnienia wiążą się z podróżowaniem naszym samochodem lub pikapem. Zawsze pakowaliśmy bagaże i gdzieś jechaliśmy. Chyba dlatego właśnie ja i Michael tak obsesyjnie chcieliśmy mieć dom.

Gdy w jednym miejscu zamieszkaliśmy na dłużej niż kilka tygodni, udawaliśmy, że pozostaniemy tam nie wiadomo jak długo. Wtedy jakieś auto pojawiało się więcej niż dwa razy pod naszym motelem albo człowiek ze stacji benzynowej zadawał ojcu nietypowe pytanie. Rodzice zaczynali coś do siebie szeptać, po czym budzili nas w środku nocy i musieliśmy ubierać się po ciemku. Zanim słońce wzeszło, byliśmy już w drodze, jadąc donikąd.

- Czy rodzice podali wam kiedyś jakieś wyjaśnienie? - zapytała Maya.

- Tak naprawdę to nie. I dlatego jest to tak bolesne. Zwykle po prostu mówili: „Tu nie jest bezpiecznie” albo: „Szukają nas źli ludzie”. Wtedy pakowaliśmy się i odjeżdżaliśmy

- I nigdy z tego powodu nie narzekaliście?

- Nie w obecności ojca. Zawsze nosił wyświechtane ubranie i robociarskie buty, ale było w nim coś, w spojrzeniu jego oczu, co powodowało, że wydawał się niezwykle silny i mądry. Obcy zawsze zwierzali mu się z sekretów i tajemnic, jakby był w stanie im pomóc.

- Jaka była twoja matka?

Gabriel nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Wciąż myślę o chwilach, kiedy widziałem ją po raz ostatni przed jej śmiercią. Trudno zatrzeć to w pamięci. Kiedy

byliśmy małymi brzdącami, zawsze starała się mieć pozytywne podejście do wszystkiego. Gdy nasza półciężarówka psuła się na drodze, zabierała nas na łąkę i zaczynaliśmy zbierać dziko rosnące kwiaty albo szukać czterolistnej koniczyny

- A wy, jak się zachowywaliście? - znów zapytała. - Byliście grzecznymi dziećmi czy urwisami?

- Ja byłem bardzo spokojny, zawsze zamknięty w sobie.

- A Michael?

- On był spokojnym starszym bratem. Gdy musieliśmy skorzystać z wynajętego schowka albo chcieliśmy mieć dodatkowe ręczniki, rodzice zawsze posyłali Michaela, by to załatwił. Życie nieustannie w drodze było nawet ciekawe, przynajmniej czasami. Wyglądało na to, że pieniędzy nam nie brakuje, chociaż ojciec nie pracował. Matka nienawidziła telewizji i zawsze opowiadała nam rozmaite historie albo czytała na głos książki. Lubiła Marka Twaina i Charlesa Dickensa, pamiętam też, jak bardzo byliśmy podekscytowani, kiedy czytała *Kamień księżycowy* Wilkiego Collinsa. Ojciec uczył nas, jak wyregulować silnik auta, jak posługiwać się mapą drogową i jak nie zgubić się w obcym mieście. Zamiast uczyć się ze szkolnych podręczników, zatrzymywaliśmy się przy każdym historycznym miejscu mijanym w trakcie podróży.

Kiedy miałem osiem lat, a Michael dwanaście, rodzice posadzili nas i zakomunikowali, że zamierzamy kupić farmę. Zatrzymywaliśmy się w małych miasteczkach, czytaliśmy miejscowe gazety i zajeżdżaliśmy na farmy, gdzie na trawnikach tkwiły tabliczki z napisem „Na sprzedaż”. Każde miejsce podobało mi się bardzo, ale ojciec zawsze wracał do auta, kiwając z powątpiewaniem głową, i mówił mamie, że „warunki nie były dogodne”. Po kilku tygodniach takiej tułaczki zacząłem myśleć, że pod słowem „warunki” kryła się grupa złych ludzi, którzy ochoczo mówili „nie”.

Dojechaliśmy aż do Minnesoty, po czym skręciliśmy na zachód, ku Południowej Dakocie. W Sioux City tato usły-

szał o farmie na sprzedaż, położonej niedaleko miasteczka Unityville. Była to ładna okolica z niewysokimi pagórkami, jeziorami i polami obsianymi lucerną. Farma leżała pół mili od drogi, zasłonięta przez świerkowy zagajnik. Na zabudowania składała się wielka, czerwona stodoła, kilka szop na narzędzia i rozchwierutany dwukondygnacyjny dom.

Po długotrwałych i nieustępliwych targach ojciec kupił posiadłość od człowieka, który bardzo potrzebował gotówki; wprowadziliśmy się dwa tygodnie później. Wszystko wydawało się normalne aż do końca miesiąca, kiedy wysiadło światło. Początkowo Michael i ja sądziliśmy, że coś się zepsuło, ale rodzice zawołali nas do kuchni i powiedzieli nam, że energia elektryczna i telefony łączą nas z resztą świata.

- Twój ojciec wiedział, że was ścigano - odezwała się Maya. - Chciał żyć poza mackami Rozległej Sieci.

- Ojciec nigdy o tym nie wspominał. Powiedział tylko, że będziemy nosić nazwisko Miller i każdy z nas miał wybrać sobie nowe imię. Michael chciał zostać Robinem, cudownym dzieckiem, ale ojcu ten pomysł nie przypadł do gustu. Po wielu rozmowach mój starszy brat postanowił, że będzie miał na imię Jim, jak Jim Hawkins z *Wyspy skarbów*.

- Tego samego wieczoru ojciec wyniósł całą broń i pokazał nam, gdzie który rodzaj oręża będzie schowany. Miecz z rękojeścią z nefrytu znajdował się w sypialni rodziców, nie wolno nam było go dotknąć bez ich pozwolenia.

Maya uśmiechnęła się do siebie, gdy pomyślała o wyjątkowo cennym mieczu ukrytym w szafie z garderobą. Zastanawiała się, czy był wciśnięty w kąt, obok starych butów.

- Karabin szturmowy znajdował się za kanapą we frontowym salonie, a schowek na strzelbę był w kuchni. Swoją trzydziestkę ósemkę z pochwą pod ramię ojciec trzymał pod kurtką, gdy pracował. Gdy Michael i ja dorastaliśmy, nie było to dla nas niczym niezwykłym. Broń palna była jeszcze jedną rzeczą, którą po prostu przyjęliśmy do wia-

domości. Powiedziałaś, że mój ojciec był Travelerem. Cóż, nigdy nie widziałem, żeby lffwitował czy gdzieś znikał.

- Fizyczne ciało pozostaje na tym świecie - odparła Maya. - Tylko Światło, które jest w nas, może przekroczyć bariery

- Dwa razy do roku ojciec wsiadał do pikapa i przepadał gdzieś na kilka tygodni. Zwykle mówił, że wyjeżdża na ryby, ale nigdy nie przywiózł żadnego wędkarskiego trofeum. Gdy mieszkał z nami na farmie, robił meble albo plewił ogród. Zazwyczaj kończył pracę około czwartej po południu. Potem brał Michaela i mnie do stodoły i uczył nas dżudo, karate i kendo z użyciem bambusowych mieczy Michael nie cierpiał ćwiczeń. Uważał je za marnowanie czasu.

- Czy kiedykolwiek powiedział o tym waszemu ojcu?

- Nie mieliśmy odwagi mu się sprzeciwić. Czasami spojrzaliśmy na któregoś z nas i od razu wiedział, o czym myślimy. Obaj byliśmy przekonani, że potrafi czytać w naszych myślach.

- Co mówili o nim wasi sąsiedzi?

- Nie znaleźliśmy zbyt wielu ludzi. Rodzina Stevensonów mieszkała na farmie położonej na szczycie wzgórza, ale nie byli zbyt przyjaźnie nastawieni. Starsze małżeństwo, Don i Ireneę Tedford, mieszkało po drugiej stronie strumienia i pewnego popołudnia odwiedzili nas, przynosząc dwa jabłeczniki. Byli zaskoczeni brakiem elektryczności, ale specjalnie się tym nie przejęli. Pamiętam, jak Don mówił, że oglądanie telewizji to strata czasu.

- Michael i ja zaczęliśmy bywać u nich każdego popołudnia, zadając się przy okazji paczkami domowej roboty. Ojciec zawsze zostawał w domu, a mama czasami brała kosz z brudnymi rzeczami i robiła duże pranie w ich automatycznej pralce. Tedfordowie mieli syna imieniem Jerry, który zginął na wojnie; jego zdjęcia znajdowały się w całym domu. Chociaż od dawna nie żył, starsza parć rozmawiała o nim tak, jakby wciąż przebywał pośród żywych.

- Wszystko było w najlepszym porządku do czasu, gdy na naszym podjeździe nie pojawił się wóz patrolowy z szeryfem

Randolphem w środku. Był dużym mężczyzną odzianym w mundur i nosił przy sobie broń. Kiedy przyjechał, wpadłem w panikę. Myślałem, że reprezentuje Siatkę i że ojciec będzie musiał go zabić...

W tym momencie Maya mu przerwała.

- Kiedyś jechałam samochodem z Arlekinem o imieniu Libra, zostaliśmy zatrzymani za przekroczenie prędkości. Także sądziłam, że Libra podeźnie konstablowi gardło.

- To samo czułem ja - kontynuował Gabriel. - Razem z Michaelem nie wiedzieliśmy, co się wydarzy. Mama przyrządziła szeryfowi kubek mrożonej herbaty i wszyscy zasiedliśmy na tarasie od frontu. Randolph zaczął od licznych pochwał tego, co zostało naprawione na farmie, po czym zaczął mówić o miejscowym podatku od nieruchomości. Ponieważ nie byliśmy podłączeni do sieci elektrycznej, był przekonany, że z powodów politycznych zamierzamy odmówić zapłacenia podatku.

Początkowo ojciec nic nie powiedział, ale nie przestawał patrzeć na Randolpha, koncentrując na nim swój wzrok. Potem zniemacka oznajmił, że z chęcią zapłaci podatek i wszyscy odetchnęli z ulgą. Jediną osobą, która wciąż pozostała przygnębiona, był mój starszy brat. Podeszedł do szeryfa i powiedział, że chce chodzić do szkoły, tak jak inne dzieci.

Gdy przedstawiciel prawa odjechał, ojciec zabrał nas do kuchni, gdzie odbyła się rodzinna dysputa. Michaelowi oświadczył, że szkoła jest niebezpieczna, gdyż stanowi część Siatki. Mój brat odparł na to, że powinniśmy nauczyć się takich rzeczy jak matma, przedmioty ścisłe i historia. Jego zdaniem, skuteczna obrona przed wrogami nie była możliwa, jeśli nie zdobędziemy wykształcenia.

- Co się później stało? - spytała wojowniczką.

- Nie rozmawialiśmy na ten temat do końca lata. Wtedy ojciec oznajmił, że możemy iść do szkoły, ale musimy zachować ostrożność. Nie wolno nam było podawać prawdziwego nazwiska ani też wspominać o domowym arsenale.

- Obawiałem się spotkania z innymi dziećmi, ale Michael był w siódmym niebie. Pierwszego dnia szkoły wstał dwie godziny wcześniej, by wybrać ciuchy, które będzie nosił. Powiedział mi, że wszyscy chłopcy chodzą w niebieskich dżinsach i flanelowych koszulach. My również mieliśmy się tak ubrać. Żebyśmy wyglądali tak samo, jak wszyscy inni.

Matka zawiozła nas do Unityville i zapisała do szkoły pod fałszywym nazwiskiem. Wraz z Michaelem spędziliśmy w biurze dwie godziny, w czasie których wicedyrektorka, pani Batenor, sprawdzała nasze umiejętności. Obaj czytaliśmy bardzo dobrze, ale ja nie byłem za dobry z matematyki. Kiedy zaprowadziła mnie do klasy, wszyscy uczniowie wpatrywali się we mnie jak sroka w kość. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jak bardzo nasza rodzina jest inna i jak postrzegają nas inni ludzie. Dzieci w klasie zaczęły szeptać, dopóki nauczyciel nie kazał im się uciszyć.

Podczas przerwy odnalazłem Michaela na szkolnym boisku i razem obserwowaliśmy, jak inni chłopcy grają w piłkę. Tak jak powiedział, wszyscy byli w dżinsach. Czwórka starszych chłopaków opuściła futbolowe boisko i podeszła do nas, by porozmawiać. Wciąż pamiętam wyraz twarzy mojego brata. Był taki podekscytowany. Taki szczęśliwy. Sądził, że zamierzają poprosić nas, byśmy dołączyli się do gry i wtedy zostalibyśmy ich kolegami.

Jeden z czwórki, najwyższy z nich, powiedział: „To wy jesteście Millerowie. Wasi starzy kupili farmę Halea Robinsona”. Michael chciał uścisnąć mu rękę, ale wyrostek powiedział: „Wasi starzy są szurnięci”.

Z twarzy Michaela jeszcze przez kilka sekund nie schodził uśmiech, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przez wszystkie te lata spędzone na wiecznej tułaczce wytworzył we własnej wyobraźni obrazy szkoły, kolegów i normalnego życia. Powiedział mi, że bym stanął z tyłu i wymierzył temu wysokiemu cios prosto w twarz. Pozostali obskoczyli go, ale nie mieli nawet cienia szansy. Michael

wykonywał kopnięcia z pełnym obrotem, zadawał ciosy karate wiejskim chłopakom. Stłukł ich na kwaśne jabłko i zapewne długo nie przestałby ich okładać, gdybym go w końcu nie odciągnął.

- Zatem nigdy nie zdobyliście przyjaciół?

- Na dobrą sprawę nigdy. Nauczyciele lubili Michaela, gdyż potrafił rozmawiać z dorosłymi. Cały wolny czas spędzaliśmy na farmie. Ale to było w porządku. Zawsze pracowaliśmy nad jakimś projektem, czy była to budowa domku na drzewie, czy tresowanie Minervy

- Kim była Minerva? Waszym psem?

- To była sowa, która stanowiła filar naszego systemu wczesnego ostrzegania - wyjaśnił Gabriel, uśmiechając się na to wspomnienie. - Kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki w szkole znalazłem sówkę pisklę w pobliżu strumienia płynącego przez posiadłość pana Tedforda. Nigdzie w okolicy nie było gniazda, zawinałem więc sowiątko w koszulkę i zaniósłem do domu. Dopóki sówka była mała, trzymaliśmy ją w kartonowym pudle i karmiliśmy jedzeniem dla kotów. Postanowiłem dać jej na imię Minerva, gdyż czytałem książkę, w której była mowa o tej rzymskiej bogini, której pomocnicą była sowa. Gdy Minerva podrosła, ojciec wyciął otwór w ścianie kuchni, po czym z obu stron dobudował mały podest z klapą pośrodku. Nauczyliśmy słynącego z mądrości ptaka, jak naciskać klapę i wchodzić do kuchni.

Ojciec umieścił klatkę Minervy w świerkowym młodniku u wylotu wyjazdu z farmy. Klatka miała zawieszony ciężarek służący do otwierania drzwiczek. Ciężarek był połączony z żyłką, którą przeciągnęliśmy nad drogą dojazdową. Gdy jakiś samochód skręcał z szosy, naciskał na żyłkę, a ta otwierała drzwiczki klatki. Minerva miała frunąć prosto do domu, ostrzegając nas o przybyciu nieproszonych gości.

- Pomysł był bardzo przebiegły.

- Być może, ale wtedy tak nie uważałem. Kiedy mieszkaliśmy w motelach, oglądałem w telewizji filmy szpiegow-

skie i pamiętam wszystkie te cacka high-tech. Jeśli źli ludzie szukali nas, to, jak mi się wtedy wydawało, powinniśmy mieć solidniejszy system wczesnego ostrzegania niż sowa.

W każdym razie ja pociągnąłem za żyłkę, drzwiczki klatki otworzyły się, a Minerva poleciała w stronę wzgórza. Kiedy razem z ojcem dotarliśmy do kuchni, sowa przeszła już przez kłapkę i zajała kocie mięcho. Zanieśliśmy Minervę z powrotem na początek wjazdu, wypróbowaliśmy kłatkę po raz drugi i ptak ponownie przyfrunął do domu.

Wtedy właśnie zapytałem ojca, dlaczego jacyś ludzie chcą nas zabić? Odpowiedział, że wyjaśni nam wszystko, kiedy będziemy nieco starsi. Zadałem mu więc pytanie, dlaczego nie możemy pojechać na biegun północny, do miejsca, w którym nigdy nas nie znajdują.

Ojciec sprawiał wrażenie wyczerpanego i przygnębionego. „Mógłbym wynieść się w takie miejsce”, powiedział do mnie, „ale ty, Michael i mama nic moglibyście pojechać razem ze mną. Nie odjadę i nie zostawię was samych”.

- Czy powiedział wam, że jest Trawc)erem?

- Nie - odparł Gabriel. - Nic z tych rzeczy Minęło kilka zim i nie wydarzyło się nic. Michael przestał toczyć w szkole walki, ale inne dzieciaki uważały go za nawiedzonego kłamczucha. Opowiadał im o mieczu z nefrytową rękojeścią i szturmowym karabinie ojca, do tego dorzucał jeszcze wątki o basenie w piwnicy naszego domu i o tygrysie trzymanym w stodole. Opowiadał tyle zmyślonych rzeczy, że nikt nie zdawał sobie sprawy, że część z nich była prawdą.

Pewnego popołudnia, kiedy czekaliśmy, aż szkolny autobus zabierze nas w drogę powrotną do domu, któryś z chłopaków napomknął o betonowym wiadukcie, który wiódł nad / autostradą międzystanową. Pod mostem biegła rura wodociągowa; kilka lat wcześniej dzieciak imieniem Andy przeszedł po tej rurze na drugą stronę jezdnii.

„To całkiem proste”, zadeklarował wtedy Michael. „Mój mały brat potrafi to zrobić nawet z zamkniętymi oczyma”.

Dwadzieścia minut później znalazłem się na nasypie pod wiaduktem. Podskoczyłem, chwyciłem się rury i zacząłem przechodzić nad autostradą, gdy Michael i reszta chłopaków mnie obserwowali. Byłem przekonany, że dam radę dokonać tego, ale gdy byłem w połowie drogi, rura pękła i spadłem na asfalt. Rozbiłem sobie głowę i złamałem lewą nogę w dwóch miejscach. Pamiętam, jak uniosłem głowę, spojrzałem w dół międzystanowej autostrady i dostrzegłem ciężarówkę, ciągnik siodłowy z naczepą, pędzącą prosto na mnie. Zemdlałem, a kiedy obudziłem się, byłem już w szpitalu na ostrym dyżurze z gipsem założonym na nogę. Jestem niemal pewien, że słyszałem, jak Michael podaje pielęgniarce moje prawdziwe nazwisko - Gabriel Corrigan. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Może sądził, że umrę, jeśli poda fałszywe nazwisko.

- I w ten sposób Tabulowie was odnaleźli - skomentowała Maya.

- Być może, ale kto to wie? Minęło kilka kolejnych lat i nic złego się nam nie przydarzyło. Kiedy miałem dwanaście lat, a Michael szesnaście, siedzieliśmy w kuchni, odrabiając lekcje po kolacji. Był styczeń, na dworze panował siarczysty mróz. Nagle przez kłapkę weszła Minerva, usiadła na podestacie pohukując i mrugając oczyma w stronę światła.

Zdarzało się tak już kilka razy wcześniej, kiedy pies Stevensonów zahaczył o żyłkę otwierającą drzwiczki klatki. Włożyłem kozaki i wyszedłem na dwór poszukać psiaka. Wyrzalem za róg domu, popatrzyłem w dół wzgórza i dostrzegłem czterech mężczyzn wychodzących ze świerkowego młodnika. Wszyscy byli ubrani na czarno i mieli karabiny. Coś do siebie mówili, rozdzielili się i ruszyli pod górę.

- Najemnicy Tabulów - wtrąciła Maya.

- Nie wiedziałem, kim są. Przez kilka sekund stałem jak wmurowany, potem wbiegłem pędem do domu, informując rodzinę o tym, co się dzieje. Ojciec pobiegł na górę do sypialni i zszedł na dół z workiem marynarskim i nefrytowym

mieczem. Miecz wcisnął mnie, a matce dał płócienny worek. Później wręczył Michaelowi strzelbę, kazał nam wyjść tylnymi drzwiami i schować się w piwnicy na ziemniaki. „A ty?“, zapytaliśmy „Zejdźcie po prostu do piwnicy i zostańcie tam“, powiedział do nas. „Nie wychodźcie, dopóki nie usłyszycie mojego głosu“.

Ojciec chwycił karabin, my zaś wyszliśmy tylnymi drzwiami. Polecił nam iść przy płocie, żebyśmy nie zostawili śladów na śniegu. Chciałem zostać z nim i pomóc, ale mama powiedziała, że musimy iść. Kiedy dotarliśmy do ogrodu, usłyszałem karabinowy wystrzał i krzyk mężczyzny. Nie był to głos mojego ojca. Jestem tego całkowicie pewien.

Piwnica na ziemniaki służyła za rupieciarnię, gdzie składowano stare narzędzia. Michael otworzył drzwi i zesliśmy schodami na dół. Drzwi były do tego stopnia zardzewiałe, że mój starszy brat nie mógł ich domknąć. Cała nasza trójka siedziała tam w ciemnościach na betonowym występie. Przez chwilę słyszeliśmy odgłosy strzelaniny, potem zapadła cisza. Kiedy się obudziłem, promienie słońca przeciskały się przez szczeliny wokół drzwi.

Michael otworzył drzwi i ruszyliśmy za nim. Dom i stodoła były spalone. Minerva latała nad naszymi głowami, jakby czegoś szukała. Ciała czterech mężczyzn leżały w kilku różnych miejscach - w odległości dwudziestu do trzydziestu jardów od siebie. Wokół zwłok krew zmieszała się ze śniegiem.

Matka usiadła na ziemi, objęła nogi rękoma i zaczęła szlochać. Michael i ja sprawdzaliśmy, czy coś ocalało z domu, ale nie udało nam się odnaleźć żadnych śladów ojca. Powiedziałem bratu, że napastnicy go nie zabili. Najwidoczniej zdołał uciec.

Wtedy Michael powiedział: „Zapomnij o tym. Lepiej się stąd wynośmy. Musisz mi pomóc z mamą. Pójdziemy do Tedfordów i pożyczymy od nich kombiaka“.

Poszliśmy z powrotem do piwnicy i wróciliśmy, niosąc miecz z nefrytową rękojeścią oraz marynarski worek.

Zajrzeliśmy do środka i zobaczyłem, że jest pełen popakowanych w małe pliki studolarowych banknotów. Matka wciąż siedziała na śniegu, płacząc i szepcząc coś do siebie niczym obłąkana. Z mieczem i workiem w dłoniach zaprowadziliśmy ją przez pola na farmę Tedfordów. Kiedy Michael zastukał do ich drzwi, Don i Irenę podeszli do drzwi ubrani w szlafroki. W szkole setki razy słyszałem Michaela zmyślającego wierutne bzdury, jednak nikt nigdy nie dawał wiary jego opowieściom. Tym razem jednak powiedział Tedfordom, że ojciec był wojskowym i zdezerterował z armii. Ostatniej nocy agenci rządowi spalili nasz dom i zabili go. W moich oczach historia ta była szalona, ale wtedy przypomniałem sobie, że syn Tedfordów zginął na wojnie.

- Przemyślane łgarstwo - pochwaliła Maya.

- Masz rację. I skuteczne. Don Tedford pożyczył nam swoje auto kombi. Michael od kilku lat jeździł już samochodem po farmie. Zapakowaliśmy broń i worek marynarski, następnie ruszyliśmy w drogę. Matka leżała na tylnym siedzeniu. Przykryłem ją kocem i zasnęła. Kiedy wyrzałem przez boczną szybę, zobaczyłem Minervę lecącą ponad dymami pogorzelska...

Gabriel zamilkł, a Maya wpatrywała się w sufit. Szosą przejechała ciężarówka, a jej światła na moment zajaśniały w szparach żaluzji. Po czym znów zapadła ciemność. I cisza. Cienie wokół nich zdawały się nabrać ciała i masy. Dziewczyna miała wrażenie, jakby oboje leżeli na dnie głębokiego basenu.

Boone nie przepadał za Los Angeles. Na pierwszy rzut oka miasto wyglądało na uporządkowane, ale kryły się w nim pierwiastki anarchii. Przypominał sobie oglądany na wideo film ze scenami buntu w murzyńskim getcie. Dymy sięgające słońca na niebie. Palmy skwierczące w płomieniach. W mieście roilo się od ulicznych gangów prowadzących między sobą stałą wojnę. To można było jeszcze zaakceptować. Ale przywódca z odpowiednią wizją, jak choćby Traveler, mógł powstrzymać zażywanie narkotyków i skierować gniew na zewnątrz, poza czarną społeczność.

Do Hermosa Beach przyjechał autostradą wiodącą na południe. Samochód zostawił na strzeżonym parkingu i ruszył piechotą w stronę Sea Breeze Lane. Wóz interwencyjny zakładu energetycznego stał zaparkowany naprzeciwko domu Indianina. Boone zastukał w tylne drzwi ciężarówki, a Prichett podciągnął do góry ekran zasłaniający szybę. Uśmiechnął się i skwapliwie pokiwał głową, wyrażając zadowolenie z przybycia gościa. Szef służb ochrony fundacji Evergreen otworzył drzwi i wspiął się do środka.

Trzech tabulskich najemników siedziało na niskich plażowych krzeselkach ustawionych z tyłu wozu. Hector Sanchez był byłym meksykańskim *federale* zamieszany w skandal łapówkarski. Ron Olson pracował w policji do czasu, gdy oskarżono go o gwałt.

Najmłodszy w grupie był Dennis Prichett. Jego przeszłość nie kryła niczego podejrzanego. Do kościoła chodził trzy razy w tygodniu i nigdy nie używał wulgarnych słów.

W ostatnich latach Bracia zaczęli zatrudniać szczerych, i gorliwych wyznawców różnych religii. Choć ich usługi opłacano tak samo jak zwykłych najemników, stawali po stronie Tabulów z pobudek moralnych i etycznych. Z ich punktu widzenia Travelerzy byli fałszywymi prorokami, stanowiącymi bezpośrednie zagrożenie dla wyznawanej przez nich wiary, jedynej i niepodważalnej. Ci nowi pracownicy byli nawet bardziej niezawodni i bezwzględni niż zwykli najemnicy, ale Boone im nie ufał. Znacznie lepiej rozumiał chciwość i strach niż religijną żarliwość.

- Gdzie nasz podejrzany? - zapytał.

- Na werandzie z tyłu domu - odparł Prichett. - O, tu. Proszę spojrzeć.

Wstał z krzeselka, na którym usiadł Boone, by mieć przed sobą ekran monitora. Za jeden z przyjemniejszych aspektów swojej pracy uważał możliwość korzystania z technologii pozwalającej widzieć przez ściany. Wóz techniczny biorący udział w operacji na południe od Los Angeles został wyposażony w urządzenia termowizyjne. Za pomocą specjalnej kamery można było uzyskać czarno-biały obraz powierzchni emitujących lub odbijających ciepło. Biała plama widniała w garażu: był to bojler z gorącą wodą. Inna jasna plama znajdowała się w kuchni: prawdopodobnie ekspres do kawy. Trzeci, jaśniejszy obiekt poruszał się na ciemniejszym tle i na niego wskazywał właśnie placem Prichett. Thomas „Kroczący po Ziemi” siedział na werandzie od strony podwórza.

Zespół inwigilacyjny skanował ten dom od trzech dni, monitorując rozmowy telefoniczne i posługując się programem Carnivore do śledzenia poczty elektronicznej.

- Jakież informacje wychodzące lub przychodzące? - zapytał szef ochrony.

- Rano miał dwie rozmowy na temat weekendowej oczyszczającej sesji w szałasie potów - zdał relację Sanchez.

Olson spojrzął na monitor komputera.

- W skrzynce odbiorczej poczty elektronicznej tylko spam.

- W porządku - odparł Boone. - Zatem pora ruszać. Czy wszyscy mają odznaki?

Mężczyźni skinęli potakująco głowami. Gdy przyjechali do Los Angeles, każdy z nich otrzymał fałszywą odznakę agenta FBI.

- Okay. Hector i Ron, wchodźcie drzwiami frontowymi. Jeśli natraficie na jakikolwiek opór, Bracia udzielili zgody na zamknięcie akt sprawy tego człowieka. Dennis, ty idziesz ze mną. Wejdziemy od strony podjazdu.

Czterej mężczyźni wysiedli z wozu i szybko przeszli przez ulicę. Olson i Sanchez poszli schodami na frontową werandę. Boone otworzył drewnianą furtkę, Prichett ruszył za nim przez podjazd. Na podwórzu znajdował się prowizoryczny szalás - szkielet z gałęzi nakryty niewyprawionymi bydlęcymi skórami.

Wyszli z za narożnika budynku i dostrzegli Thomasa „Kroczącego po Ziemi” siedzącego przy małym drewnianym stoliku na werandzie. Indianin rozmontował uszkodzoną rozdrabniarkę odpadków i teraz ponownie ją składał. Boone spojrzął na Prichetta i zauważył, że młody człowiek wyciągnął automatyczny pistolet kaliber 9 mm. Mocny chwyt. Białe knykcie. Od przodu domu dobiegł głośny trzask, gdy dwaj najemnicy wyważali nogami drzwi.

- Wszystko jest w porządku - powiedział Boone do Prichetta. - Nie ma żadnych powodów do obaw.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął fałszywy federalny nakaz rewizji i wszedł na werandę.

- Dzień dobry, Thomas. Agent specjalny Baker, a to jest agent specjalny Morgan. Mamy ze sobą nakaz przeszukania twojego domu.

Thomas „Kroczący po Ziemi” przestał dokręcać śrubę do pokrywy rozdrabniarki, odłożył klucz nasadowy i przyglądał się badawczo obu przybyłym.

- Nie wydaje mi się, że jesteście prawdziwymi funkcjonariuszami federalnej policji - odparł. - Wątpię też w praw-

dziwość waszego nakazu. Niestety, zostawiłem pistolet w kuchni, dlatego zamierzam zaakceptować tę szczególną sytuację.

- To rozsądny wybór - oznajmił Boone. - Dobry dla ciebie. Odwrócił się do Prichetta.

- Wracaj do furgonetki i utrzymuj łączność. Powiedz Hectorowi, żeby poważnie wziął się do roboty z wykrywaczem. Ron niech zostanie na werandzie od frontu i ma oko na wszystko.

- Tak, oczywiście - odparł Prichett i wsunął broń do pochwy pod ramieniem. - A co z podejrzanym?

- Poradzimy sobie tutaj sami. Mam zamiar omówić z Thomasem kilka możliwości.

Ponieważ Prichett pragnął wzorowo wypełnić powierzone zadanie, ruszył pospiesznie do furki wyjściowej. Boone przyciągnął sobie ławkę i usiadł przy stole.

- Co się zepsuło w rozdrabniarce odpadków? - zapytał.

- Zapchała się i spalił się silnik. Wiesz, co spowodowało zator? - zapytał Thomas, wskazując niewielki czarny przedmiot leżący na stole. - Pestka od śliwki.

- Czemu nie kupisz nowej rozdrabniarki?

- Za droga.

Boone przytaknął.

- Racja. Sprawdziliśmy stan twojego konta bankowego oraz saldo na kartach kredytowych. Nie śmierdzisz groszem.

Thomas „Kroczący po Ziemi” wznowił przerwana pracę, szperając wśród części rozrzuconych na stole.

- Jestem szczerze ujęty faktem, że fałszywy agent FBI troszczy się o stan moich finansów.

- Nie chcesz zatrzymać tego domu?

- Nie ma to dla mnie znaczenia. Zawsze mogę wrócić do ludzi z mojego szczepu w rezerwacie w Południowej Dakocie. Zbyt długo przebywam już w tym miejscu.

Boone sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki; wyciągnął kopertę i położył ją na stole.

- Tu jest dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce. Będą twoje w zamian za chwilę szczerą rozmowę.

Thomas „Kroczący po Ziemi” podniósł kopertę, ale jej nie otworzył. Trzymał ją przez chwilę w dłoni, jakby oceniał jej wagę. Później rzucił ją na blat stołu.

- Jestem uczciwym człowiekiem, masz więc u mnie szczerą rozmowę za darmo.

- Pewna młoda kobieta wynajęła taksówkę i przyjechała pod ten adres. Ma na imię Maya, ale prawdopodobnie posługiwała się fałszywym nazwiskiem. Ma dwadzieścia kilka lat. Czarne włosy. Bładoniebieskie oczy. Wychowała się w Wielkiej Brytanii i mówi z angielskim akcentem.

- Odwiedza mnie wielu ludzi. Może była u mnie na oczyszczającej parówce w szafasie potów - odrzekł Thomas, uśmiechając się do Boonea. - Jest jeszcze kilka wolnych miejsc na ceremonię zaplanowaną na ten weekend. Ty i twoi ludzie powinniście dołączyć do nas. Bić w bębny. Pozbyć się wraz z potem wszelkich trucizn i jądów. Kiedy na koniec wychodzisz na chłodne powietrze, czujesz się jak nowo narodzony

Sanchez wszedł podjazdem, niosąc biały antyseptyczny kombinezon i aparaturę detekcyjną. Przyrząd przypominał wyglądem odkurzacz podłączony do przenośnego bloku zasilającego noszonego na ramieniu. Blok zawierał także nadajnik radiowy, który przesyłał dane bezpośrednio do komputera zainstalowanego w furgonetce. Sanchez postawił detektor na ogrodowym krześle. Wstawił stopy do kombinezonu, następnie naciągnął go na nogi, ręce i tułów.

- A to po co? - zapytał Indianin.

- Dysponujemy próbką DNA tej młodej kobiety. Przyrząd na krześle służy do gromadzenia danych genetycznych. Za pomocą wbudowanego mikroprocesora dokona porównania DNA osoby podejrzanej z próbkami DNA, które znajdziemy w twoim domu.

Thomas znalazł trzy nakrętki w odpowiednim wymiarze i uśmiechnął się. Położył je obok nowego silnika elektrycznego.

- Jak powiedziałem, odwiedza mnie wielu gości.

Sanchez założył kaptur kombinezonu na głowę i zaczął oddychać przez filtr. Teraz jego własne DNA nie będzie się mieszać z pobieranymi próbkami. Najemnik otworzył tylne drzwi domu i przystąpił do pracy. Najlepsze próbki zwykle znajdowały się na pościeli, desce klozetowej i na oparciach tapicerowanych mebli.

Obaj mężczyźni mierzyli się nawzajem wzrokiem, słuchając przytłumionego buczenia wydawanego przez głowicę zasysającą.

- Powiedz mi teraz - odezwał się Boone - czy Maya gościła w twoim domu?

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Jest terrorystką.

Thomas „Kroczący po Ziemi” rozpoczął poszukiwanie na stole trzech stalowych podkładek dopasowanych do nakrętek.

- Na tym świecie istnieją prawdziwi terroryści, ale niewielka grupa ludzi wykorzystuje strach przed nimi, by wzmocnić posiadaną władzę. Ci ludzie polują na szamanów i mistyków... - Thomas uśmiechnął się ponownie. - Oraz osoby nazywane Travelerami.

Z wnętrza domu wciąż dobiegało buczenie. Boone wiedział, że Sanchez przemieszcza się z pokoju do pokoju i przystawia ssawkę do różnych przedmiotów i powierzchni.

- Wszyscy terroryści są tacy sami - oznajmił Boone.

Thomas odchylił się na oparcie ogrodowego krzesła.

- Opowiem ci historię Indianina imieniem Wovoka z plemienia Pajutów. W latach osiemdziesiątych XIX wieku zaczął odbywać podróże do innych światów. Gdy powracał, rozmawiał z przedstawicielami wszystkich plemion i zainicjował ruch znany pod nazwą Taniec Duchów. Jego zwolennicy tańczyli w kręgu i śpiewali niezwykle pieśni. Kiedy kończyli śpiewać, wracali do życia prawego i uczciwego. Przestali pić alkohol. Przestali kraść. Przestali sprzedawać swoje ciała za pieniądze.

Czy, twoim zdaniem, spodobało się to białym, którzy zarządzali rezerwatami? Po latach upodlenia Indianie znów stali się silni duchowo i moralnie. Niestety, równocześnie przestali być posłuszni. Tancerze rozpoczęli rytuał w rezerwacie Pine Ridge w Południowej Dakocie, a mieszkające tam blade twarze bardzo się przeraziły. Przedstawiciel rządu, Daniel Royer, zdecydował, że Indianie nie potrzebują wolności ani własnej ziemi. Postanowił, że nauczy ich gry w bejsbol. Dokładał starań, aby wytłumaczyć wojownikom, na czym polega miotanie piłki i uderzanie pałką, ale to nie oderwało ich od Tańca Duchów.

Biali zaczęli mówić między sobą, że „Indianie znów stają się niebezpieczni”. W tej sytuacji rząd wysłał żołnierzy na ceremoniał Tańca Duchów, który odbywał się nad Wounded Knee Creek. Otworzono ogień z broni palnej, mordując ponad dwieście dziewięćdziesiąt osób - mężczyzn, kobiet i dzieci. Żołnierze wykopali doły i wrzucili ciała do zamarznętej ziemi. Mój naród znów zaczął pić i zagubił cel życia...

Hałas ustał. Po minucie drzwi z tyłu domu zaskrzypiały i pojawił się w nich Sanchez. Natychmiast wyjął filtr z ust i ściągnął z głowy kaptur od białego kombinezonu.

- Znaleźliśmy zgodną próbkę - oznajmił. - Kosmyk jej włosów pozostał na kanapie w pokoju gościnnym.

- Świetnie. Możesz wracać do furgonetki.

Sanchez zdjął z siebie resztę kombinezonu i ruszył z powrotem podjazdem. Boone i Thomas znów zostali sami.

- Maya tu była - odezwał się szef służb ochrony.

- Tak twierdzi ta maszyna.

- Chcę wiedzieć, co mówiła i robiła. Chcę wiedzieć, czy dałeś jej jakieś pieniądze i czy ją gdzieś zawoziłeś. Czy była ranna? Czy zmieniła swój wygląd?

- Nie pomogę ci - powiedział ze spokojem Thomas. - Opuść mój dom.

Boone wyciągnął automatyczny pistolet, ale trzymał go poziomo na prawej nodze.

- Na dobrą sprawę nie masz żadnego wyboru, Thomas. Chcę tylko, żebyś pogodził się z tym faktem.

- Mam wolny wybór: mogę powiedzieć słowo „nie”.

Boone westchnął niczym rodzic, który nie może sobie poradzić z upartym dzieckiem.

- Wolność jest największym ze znanych w dziejach mitów. Jest celem destrukcyjnym i zarazem nieosiągalnym, powodem wielu cierpień i niedoli. Tylko nieliczni ludzie potrafią się z nią obchodzić. Społeczeństwo może być zdrowe i produktywne tylko wtedy, kiedy znajdzie się pod kontrolą.

- I twoim zdaniem do tego właśnie zdążamy?

- Nadchodzi nowa era. Zbliżamy się do epoki, w której będziemy dysponować technologią niezbędną do monitorowania i nadzorowania ogromnych rzesz ludzkości. W społeczeństwach uprzemysłowionych potrzebna infrastruktura już istnieje.

- A ty będziesz siedział za pulpitem sterującym?

- Och, ja również będę inwigilowany. Każdy będzie inwigilowany. To bardzo demokratyczny system. I nieunikniony, wierz mi, Thomas. Nie ma sposobu, by powstrzymać jego nadejście. Twoje poświęcenie za Arlekina jest absolutnie bez znaczenia.

- Jestem ci wdzięczny za to, że przedstawiłeś mi swoje zdanie, jednak sam zdecyduję, co nadaje sens i rangę mej egzystencji.

- Udzielisz mi pomocy, Thomas. Nie ma tu nic do negocjowania, takie są realia. Żadnych kompromisów. Musisz pogodzić się z tą sytuacją.

Thomas pokiwał głową, okazując współczucie.

- Nie, mój przyjacielu. To ty straciłeś kontakt z rzeczywistością. Spoglądasz na mnie i widzisz Indianina z plemienia Kruków, z nadwagą, któremu zepsuła się rozdrabniarka odpadków i który ma puste konto w banku. Myślisz sobie: „Ach, to tylko zwykły człowiek”. Ale, powiadam ci, że zwykli mężczyźni i kobiety przejrzą na oczy i dostrzegą, co wy

robicie. Wtedy powstaną, wyważą drzwi i opuszczą elektroniczną klatkę, w której ich zamknęliście.

Thomas wstał z krzesła, zszedł z werandy i ruszył przed siebie podjazdem. Boone przechylił się na ławce. Trzymając automat oburącz, odstrzelił Indianinowi rżepkę w prawym kolanie. Thomas upadł na ziemię, przewrócił się na plecy i znieruchomiał.

Boone podszedł do rannego, wciąż trzymając pistolet. Indianin nie stracił przytomności, ale jego oddech był szybki. Noga na wysokości kolana była niemal oderwana, z tętnicy tryskała ciemna krew. Gdy Thomas zaczął zapadać w szok, podniósł wzrok na swojego oprawcę.

- Wciąż nie odczuwam przed tobą strachu... - powiedział powoli.

Boonem szarpnęła wściekłość, nad którą nie był w stanie zapanować. Wymierzył pistolet w czoło Indianina, jak gdyby chciał zniszczyć wszystkie myśli i wspomnienia kłębiące się w jego umyśle. Jego palec nacisnął spust.

Huk drugiego strzału zabrzmiał nieprawdopodobnie głośno, a jego fale dźwiękowe rozeszły się kręgami na cały świat.

Biorąc prysznic, Michael analizował wszystko, co wiedział na temat sytuacji, w której się znalazł. Był przetrzymywany w apartamencie składającym się z czterech pomieszczeń pozbawionych okien. Od czasu do czasu docierały do niego przytłumione hałasy i szum wody płynącej w rurach, zakładał zatem, że oprócz niego w budynku mieszkają także inni ludzie. Miał do dyspozycji łazienkę, sypialnię i salon, w przedpokoju zawsze stali dwaj milczący mężczyźni w granatowych marynarkach, uniemożliwiając mu wyjście na zewnątrz. Nie miał pewności, czy znajduje się w Ameryce, czy też wywieziono go do jakiegoś obcego kraju. W żadnym z pomieszczeń nie było zegara, nie wiedział więc, czy jest noc, czy dzień.

Jedyną osobą, która z nim rozmawiała, był Lawrence Takawa, młody Amerykanin japońskiego pochodzenia, zawsze ubrany w białą koszulę i czarny krawat. Lawrence siedział obok jego łóżka, gdy Michael wybudził się ze snu po podanych środkach farmakologicznych. Kilka minut później zjawił się lekarz i pośpiesznie wykonał badanie ogólnego stanu zdrowia. Później powiedział coś Lawrenceowi na ucho i nie pokazał się więcej.

Już pierwszego dnia starszy z braci Corriganów zaczął zadawać pytania. „Gdzie jestem? Dlaczego mnie tu trzymają?”. Lawrence uśmiechał się uprzejmie i zawsze udzielał tych samych odpowiedzi: „To bezpieczne miejsce, jesteśmy twoimi nowymi przyjaciółmi, szukamy teraz również Gabriela, żeby i jemu zapewnić bezpieczeństwo”.

Michael zdawał sobie sprawę z tego, że jest więźniem, a oni są jego wrogami. Ale Lawrence i dwaj strażnicy dokładali wszelkich możliwych starań, aby czuł się komfortowo. W salonie znajdował się luksusowy telewizor i stojak pełen płyt DVD z filmami. Kucharze na zawołanie pichcili wszystko, czego tylko sobie zażyczył, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy po raz pierwszy wstał z łóżka, Lawrence zaprowadził go do szafy wbudowanej w ścianę i zaprezentował mu wartą tysiące dolarów garderobę, wraz z butami i dodatkami. Koszule frakowe uszyto z jedwabiu lub egipskiej bawełny, na kieszonkach ktoś wyhaftował dyskretnym ściegiem jego inicjały. Swetry były utkane z najdelikatniejszego kaszmiru. Miał również wyjściowe pantofle, buty sportowe i kapcie - wszystko dokładnie w jego rozmiarze.

Poprosił o sprzęt do ćwiczeń fizycznych. W jego pokoju gościnnym pojawiła się mechaniczna bieżnia i zestaw hantli. Gdy naszła go ochota na poczytanie konkretnej książki lub magazynu, przekazywał swoje życzenie Lawrenceowi i po kilku godzinach miał to, o co prosił. Kuchnia była znakomita, mógł zamówić dowolną butelkę z długiej listy win krajowych i francuskich. Takawa zapewnił go, że za jakiś czas będzie mógł nawet skorzystać z damskiego towarzystwa. Miał wszystko, czego pragnął/poza swobodą opuszczania tego miejsca. Lawrence oznajmił mu, że chodzi o to, aby w możliwie krótkim czasie doprowadzić go do pełnej fizycznej wydolności i sprawności po ciężkich przejściach, jakie ma za sobą. Na koniec czekało go spotkanie z bardzo wpływową osobą, która powie mu wszystko, co zechce wiedzieć.

Kiedy Michael wyszedł z łazienki, zauważył, że ktoś wyjął z szafy jego rzeczy i położył je na łóżku. Buty i skarpetki. Spodnie z szarej wełny z zaprasowanymi kantami i idealnie dopasowana koszula z czarnej dzianiny. Przeszedł do następnego pomieszczenia i zastał tam Lawrence'a z kieliszkiem wina w dłoni, słuchającego płyty z muzyką jazzową.

- Jak się miewasz, Michael? Dobrze spałeś?
- Nie najgorzej.
- Jakież sny?

Michael śnił, że leci nad oceanem, ale nie widział powodu, by informować o tym kogokolwiek. Nie chciał, żeby ktoś wiedział, co się dzieje w jego umyśle.

- Żadnych snów. Przynajmniej takich, które bym zapamiętał.

- Nadeszła chwila, na którą czekałeś. Za kilka minut spotkasz się z Kennardem Nashem. Wiesz, kim on jest?

Michael przywołał w pamięci twarz z telewizyjnych wiadomości.

- Czy to nie ten, który pracował kiedyś dla rządu?

- Dosłużył się stopnia generała brygady. Po odejściu z wojska doradzał dwóm amerykańskim prezydentom. Jest powszechnie szanowany. Teraz jest dyrektorem wykonawczym fundacji Evergreen.

- „Dla wszystkich pokoleń!” - Michael zacytował slogan promujący działania fundacji, wygłaszany w telewizji przed emisją sponsorowanych przez nią programów. Ich logo było bardzo charakterystyczne. Na początku pokazywano wideoklip z dwójką dzieci - chłopcem i dziewczynką - pochylających się na siewką sosny, następnie obraz ulegał przeobrażeniu w stylizowane drzewo.

- Zbliża się teraz godzina szósta po południu. Przebywasz w budynku administracyjnym krajowego ośrodka badawczego fundacji. Jesteśmy w Westchester County, mniej więcej trzy kwadransy jazdy samochodem z Nowego Jorku.

- Dlaczego mnie tu sprowadziliście?

Lawrence odstawił kieliszek z winem i uśmiechnął się. Odgadnięcie, co skrywały jego myśli, było niemożliwe.

- Idziemy na górę na spotkanie z generałem Nashem. Z przyjemnością odpowie na wszystkie twoje pytania.

W przedpokoju czekali już na nich dwaj strażnicy. Bez słowa wyprowadzili Michaela i Takawę pod eskortą

z pokoju, potem korytarzem aż do wind. Kilka metrów od miejsca, w którym stali, było okno i Michael zorientował się, że zapadł już zmrok. Kiedy nadjechała winda, Lawrence popchnął go do przodu. Machnął prawą ręką w pobliżu sensora i nacisnął guzik z numerem piętra.

- Słuchaj uważnie słów generała, Michael. Ten człowiek wie bardzo dużo.

Takawa cofnął się na korytarz, a Michael samotnie pojechał na najwyższe piętro.

Winda otworzyła się, a wyjście prowadziło bezpośrednio do wnętrza prywatnego gabinetu. Było to duże pomieszczenie, przypominające wystrojem bibliotekę angielskiego klubu dla panów. Wzdłuż ścian stały dębowe regały z rzędami książek w skórzanych oprawach, były tu też głębokie fotele i niewielkie zielone lampki do czytania. Jedynym nietypowym detalem były trzy kamery zamontowane pod sufitem. Ich obiektywy poruszały się powoli tam i z powrotem, monitorując całe biurowe pomieszczenie. *Obserwują mnie, pomyślał Michael. Zawsze ktoś mnie inwigiluje.*

Wchodząc, omijał meble i lampy, starając się niczego nie dotknąć. W jednym z narożników maleńkie reflektory punktowe oświetlały architektoniczną makietę ustawioną na drewnianym podeście. Miniaturowy budynek składał się z dwóch części - centralnie ustawioną wieżę otaczał mniejszy budynek. Zewnętrzna budowla była podzielona na małe, identyczne cele, każda z zakratowanym oknem w zewnętrznej ścianie oraz z drugim rzędem okienek umieszczonych w górnej części drzwi wejściowych.

Można było odnieść wrażenie, że wieża stanowi monolit, ale kiedy Michael obszedł makietę, dostrzegł przekrój poprzeczny budynku. W środku był labirynt wejść i schodów. Paski z drzewa balsa zakrywały okna niczym weneckie żaluzje.

Michael dosłyszał skrzypnięcie drzwi i zobaczył, jak do gabinetu wchodzi Kennard Nash. Łysa głowa. Szerokie ramiona. Gdy Nash się uśmiechnął, Corrigan przypomniał

sobie różne momenty, w których widział twarz byłego generała w telewizyjnych audycjach.

- Dobry wieczór, Michael. Nazywam się Kennard Nash.

Wojskowy przeszedł szybkim krokiem przez gabinet i uścisnął dłoń Michaela. Jedna z kamer monitorujących obróciła się lekko, jakby miała uwiecznić tę scenę.

- Jak widzę, odnalazłeś już panopticon - powiedział Nash i podszedł do makiety

- Co to jest? Szpital?

- Przypuszczam, że mógłby to być szpital albo budynek biurowy, ale w rzeczywistości jest to więzienie zaprojektowane przez Jeremy'ego Benthama, filozofa żyjącego w osiemnastym stuleciu. Chociaż przesłał swoje plany do wszystkich członków brytyjskiego gabinetu, projekt nigdy nie został zrealizowany. Ten model skonstruowano na podstawie szkiców i rysunków Benthama.

Nash podszedł bliżej do makiety i przyglądał się jej z uwagą.

- Każde pomieszczenie to cela o ścianach dostatecznie grubych, by więźniowie nie mogli się ze sobą komunikować. Światło pada z zewnątrz, zatem każdy ze skazańców jest podświetlony i dobrze widoczny.

- A strażnicy znajdują się w wieży?

- Tę część budowli Bentham nazywał obserwatorią.

- Przypomina w środku labirynt.

- Na tym właśnie polega geniusz panopticonu. Został tak zaprojektowany, żeby nigdy nie można było dostrzec twarzy strażnika ani usłyszeć, jak się przemieszcza. Pomyśl o implikacjach, które z tego wypływają, Michael. W wieży może być dwudziestu wartowników, tylko jeden albo nawet żadnego. W najmniejszym stopniu nie zmienia to sytuacji. Więzień musi zakładać, że jest obserwowany przez cały czas. Po jakimś czasie to przeświadczenie stanie się elementem świadomości skazańca. Kiedy system będzie działał perfekcyjnie, strażnicy mogą bez skrępułów pójść na lunch albo

wyjechać na trzydniowy urlop. Wszystko jedno, na jak długo. Więźniowie zaakceptowali warunki, w jakich przebywają.

Generał Nash przeszedł na drugą stronę pokoju, do regału z książkami. Otworzył ściankę z fałszywymi woluminami, odsłaniając barek sownie zaopatrzone w kieliszki, wiaderko z lodem oraz butelki z mocnymi trunkami.

- Jest szósta trzydzieści, wieczór. Zwykle o tej porze raczę się szklaneczką szkockiej. Mamy tu burbona, whisky, wódkę i wino. Mogę też zamówić coś bardziej wymyślnego.

- Napiję się słodowej whisky z odrobiną wody.

- Doskonale. Świetny wybór - odparł wojskowy i zaczął otwierać butelkę. - Jestem członkiem grupy, którą nazywamy Braćmi. Nasza struktura istnieje już od długiego czasu, ale przez setki lat reagowaliśmy na wydarzenia, starając się zredukować chaos. Panopticon był dla naszych członków prawdziwym objawieniem. Całkowicie zmienił nasz sposób myślenia.

Nawet najbardziej opieszali student historii rozumie, że ludzkie istoty są chciwe, impulsywne i okrutne. Jednak więzienie według projektu Benthama podpowiedziało nam, że przy zastosowaniu odpowiednich środków i metod kontrolowanie społeczeństwa jest możliwe. Nie trzeba już ustawiać policjantów na każdym rogu ulicy. Potrzebne jest jedynie stworzenie wirtualnego panopticonu, który monitorowałby daną społeczność. Nie jest przy tym konieczne obserwowanie wszystkich przez cały czas, wystarczy, że masy zaakceptują potencjalną możliwość i nieunikniony charakter kary. Chodzi o stworzenie struktury, systemu bezwarunkowej kary, która staje się faktem w życiu. Kiedy ludzie wymażą ze świadomości pojęcie prywatności, stworzą zgodną i pokojowo nastawioną społeczność.

Generał przeniósł dwie szklanki nad kanapą i fotelami ustawionymi przy niskim stole. Whisky Michaela postawił na stoliku i obaj mężczyźni usiedli naprzeciw siebie.

- A zatem wypijmy za panopticon - Nash wznosił szklankę w kierunku makiety na drewnianym podeście. - Wynalazek nie sprawdził się w praktyce, ale idea jest genialna.

Starszy z Corriganów pociągnął drobny łyżeczek whisky. Nie wyczuł w jej smaku rozpuszczonych narkotyków ale nie mógł być tego do końca pewny.

- Może pan tu wykładać filozofię, jeśli ma pan na to ochotę - podjął rozmowę Michael. - Ale mnie to zupełnie nie obchodzi. Wiem tylko jedno: jestem tu więźniem.

- Prawdę powiedziawszy, wiesz znacznie więcej niż tylko to. Twoja rodzina pod fałszywym nazwiskiem przez kilka lat mieszkała na farmie w Południowej Dakocie. Trwało to do czasu, gdy grupa uzbrojonych mężczyzn zaatakowała wasz dom. My to uczyniliśmy, Michael. Ci ludzie byli wynajęci przez nas i realizowali naszą dawną strategię.

- Zabiliście mojego ojca.

- Czyżby? - zdziwił się Kennard Nash, unosząc brwi. - Nasi ludzie spenetrowali pogorzelnisko, ale nigdy nie znaleźliśmy jego ciała.

Beznamiętny ton wojskowego budził wściekłość. *Ty sukinsynu, pomyślał Michael. Jak możesz tu siedzieć i się uśmiechać.* Czuł, jak narasta w nim gwałtowna fala gniewu, już był gotów rzucić się ponad stołem i chwycić Nasha za gardło. W końcu nadarzyła się okazja, by odpłacić za nieszczęścia i niedole jego rodziny.

Wydawało się, że generał zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że za chwilę stanie się obiektem wściekłego ataku. Gdy zadzwonił telefon komórkowy, odstawił whisky i wyciągnął aparat z kieszeni garnituru.

- Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać - powiedział do słuchawki. - Tak. Naprawdę? To bardzo interesujące. W takim razie sam go o to zapytam.

Nash opuścił telefon i spojrzał na Michaela surowym wzrokiem.

- Dzwoni Lawrence Takawa. Twierdzi, że zamierzasz mnie zaatakować albo podjąć próbę ucieczki.

Starszemu z Corriganów zapało dech na kilka sekund, zacisnął dłonie na poręczach fotela.

- Nie wiem... Nie wiem, o czym pan mówi - wydusił z siebie z trudem.

- Ależ Michael, proszę. Nie marnuj czasu na próby oszukiwania nas. Jesteś w tej chwili monitorowany skanerem na podczerwień. Lawrence Takawa twierdzi ponadto, że masz podwyższone tempo bicia serca, podwyższony poziom reakcji galwanicznej skóry oraz ogrzane okolice gałek ocznych. Wszystkie te symptomy wskazują jednoznacznie na reakcję typu „walcz lub uciekaj”. Co, koniec końców, znów prowadzi do zadanego na początku pytania: Zamierzasz mnie zaatakować czy uciec?

- Niech mi pan tylko odpowie, dlaczego chcieliście zabić mojego ojca?

Człowiek z tysią głową patrzył badawczo na twarz Michaela, po czym zdecydował się kontynuować rozmowę.

- Nie martw się - powiedział do Lawrence'a Takawy. - Wydaje mi się, że czynimy tu postępy.

Generał wyłączył komórkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

- Czy mój ojciec był przestępcą - zapytał Corrigan. - Czy coś ukradł?

- Przypominasz sobie panopticon? Model działa bez zarzutu pod warunkiem, że cała ludzka społeczność żyje wewnątrz budowli. Przystaje funkcjonować, jeśli choć jeden z osobników jest w stanie otworzyć drzwi i wydostać się na zewnątrz systemu.

- Czy mój ojciec potrafił to zrobić?

- Tak. Takich ludzi jak on nazywamy Travelerami. Twój ojciec potrafił emitować energię neuronów poza fizykalne ciało i podróżować do innych światów. Nasz świat jest Czwartym Wymiarem. Istnieją stałe bariery, które trzeba pokonać, by móc dotrzeć do innych światów. Nie wiemy, czy twój ojciec dotarł do wszystkich - Nash patrzył Michaelowi prosto w oczy. - Zdolność opuszczania tego świata najprawdopodobniej ma podłoże genetyczne. Być może ty również ją masz. Ty i Gabriel możecie mieć tę moc.

- A wy jesteście Tabularni.
- To nazwa używana przez naszych wrogów. Jak już ci powiedziałem, sami siebie nazywamy Braćmi. Fundacja Evergreen jest naszą oficjalną strukturą.

Michael wpatrywał się w swoją szklanę, starając się obmyślić jakąś strategię. Żył tylko dlatego, że czegoś potrzebowali. *Być może ty również ją masz, Michael.* Tak. To było to. Jego ojciec przepadł na dobre, oni zaś potrzebowali Travelera.

- Moja wiedza na temat fundacji ogranicza się do tego, co widziałem w reklamach emitowanych w telewizji publicznej.

Nash wstał i podszedł do okna.

- Bracia są najszczerzszymi idealistami. Chcemy tego, co będzie najlepsze dla każdego: pokoju i dobrobytu dla wszystkich. Jedynym sposobem osiągnięcia tego szczytnego celu jest zapewnienie stabilizacji społecznej i politycznej.

- Chcecie zatem umieścić wszystkich w gigantycznym więzieniu?

- Czy tego nie rozumiesz, Michael? W obecnych czasach ludzie obawiają się świata wokół siebie, a strach ten można bez trudu podsycać i podtrzymywać. Ludzie pragną się znaleźć w naszym wirtualnym panopticonie. Będziemy ich strzec, na podobieństwo dobrych pasterzy. Będą monitorowani, kontrolowani i chronieni przed nieznanym. Poza tym rzadko będą się zdarzały sytuacje, w których zauważą więzienne mury. Zawsze będzie coś, co przyciągnie ich uwagę. Wojna na Bliskim Wschodzie. Skandal z udziałem sławnych osób. Mistrzostwa świata w piłce nożnej albo Super Bowl. Narkotyki - zarówno nielegalne, jak i na receptę. Reklamy Lista przebojów. Nowe trendy w modzie. Strach może nakłaniać ludzi, by przekraczali próg panopticonu, ale gdy już się w nim znajdują, zapewniamy im rozrywkę.

- Uśmiercając tymczasem Travelerów.

- Jak wspominałem przed chwilą, to strategia, która trafiła już do lamusa. W przeszłości często reagowaliśmy jak zdrowy

organizm broniący się przed wirusową infekcją. Wszystkie podstawowe prawa zostały zdefiniowane w wielu językach. Zasady są czytelne i jasne. Rodzaj ludzki musi nauczyć się posłuszeństwa. Za każdym razem jednak, gdy jakaś grupa społeczna była bliska osiągnięcia określonego poziomu stabilności, pojawiał się Traveler z nowymi ideami i dążeniem do zmiany wszystkiego. Gdy bogaci i mądrzy usiłowali zbudować misterną i monumentalną katedrę, Travelerzy podminowywali jej fundamenty, przyczyniając się do powstawania komplikacji i problemów

- Cóż takiego uległo zmianie? - chciał wiedzieć Michael. - Dlaczego mnie nie uśmierciliście?

- Nasi naukowcy zainicjowali prace nad czymś, co nazwaliśmy komputerem kwantowym, i uzyskali rezultaty, które zaskoczyły wszystkich. Nie mam zamiaru dzisiaj wieczorem wtajemniczać cię we wszystkie szczegóły, Michael. Wszystko, co powinieneś wiedzieć, ogranicza się do tego, że Traveler jest w stanie dopomóc nam w dokonaniu niewiarygodnego przełomu technologicznego. Jeśli projekt „Przejście” powiedzie się, bieg historii ulegnie zmianie już na zawsze.

- Chcecie więc zrobić ze mnie Travelera?

- Tak. W rzeczy samej.

Michael wstał z kanapy i podszedł do generała Nasha. Upłynęło wystarczająco dużo czasu, by po jego pełnej emocji instynktownej reakcji wykrytej skanerem na podczerwień nie pozostało śladu. Być może ci ludzie byli w stanie zdalnie rejestrować puls i temperaturę skóry, ale to niczego nie zmieniało.

- Kilka minut temu powiedział pan, że wasza organizacja zaatakowała dom mojej rodziny.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, Michael. To był pożałowania godny incydent.

- Nawet jeśli zgodzę się zapomnieć o przeszłości, nie oznacza to wcale, że spełnię wasze oczekiwania. Nie mam

pojęcia, jak się „podróżuje” dokądkolwiek. Ojciec niczego nas nie uczył poza sztuką walki na bambusowe miecze.

- Tak. Jestem tego świadom. Czy miałeś okazję obejrzeć nasze centrum badawcze? - zapytał wojskowy, robiąc ruch ręką, a Michael spojrział przez okna. Światła reflektorów iluminowały silnie strzeżony kompleks zabudowań. Gabinet Nasha znajdował się na najwyższym piętrze nowoczesnego budynku biurowego, który był połączony z trzema innymi za pomocą zadaszonych przejść. W środku czworokątnego obszaru znajdował się piąty budynek - biały, w kształcie sześcianu. Marmurowe ściany były tak cienkie, że płonące wewnątrz światła sprawiały wrażenie, że budowla jest od środka rozżarzona.

- Jeśli masz w sobie potencjał Travelera, to my dołożymy własny personel i technologię konieczną do tego, abyś tę moc w sobie wygenerował. W przeszłości Travelerów szkolili mnisi heretycy, dysydency duchowni czy też rabini zamknięci w getcie. Proces ten był zdominowany przez religię i mistycyzm. Niekiedy taka nauka kończyła się niepowodzeniem. Jak więc widzisz, w naszej operacji wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

- Okay. Na pierwszy rzut oka widać, że wzniesiście kilka budynków i macie kupę szmalu. Nie przesądza to jednak wcale o tym, że jestem Travelerem.

- Jeśli ci się powiedzie, pomożesz nam przestawić bieg historii na nowe tory. Ale nawet w razie porażki zapewnimy ci komfortowe warunki. Już nigdy więcej nie będziesz musiał pracować.

- A jeśli odmówię współpracy z wami?

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. Nie zapominaj, Michael, że wiemy o tobie wszystko. Nasi ludzie badali twoje sprawy przez kilka tygodni. W odróżnieniu od swojego brata jesteś bardzo ambitny.

- Nie mieszajcie do tego Gabriela - zaproponował ostro starszy z braci Corriganów - Nie chcę, żeby ktokolwiek go szukał.

- Gabriel nie jest nam potrzebny. Mamy ciebie. Otwieram przed tobą wspaniałe perspektywy. Jesteś przyszłością, Michael. Masz szansę zostać Travelerem, który naprawdę zaprowadzi pokój na tym świecie.

- Ludzie nie przestaną ze sobą walczyć.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem? Wszystko jest kwestią strachu i odciągania uwagi. Strach sprawi, że ludzie wejdą do naszego wirtualnego panopticonu, my zaś zapewnimy im poczucie szczęścia. Będą dysponowali swobodą zażywania pastylek antydepresyjnych, będą mogli popadać w dług, rozwalać auta, obżerać się bez umiaru i przechodzić później na odchudzającą dietę, wpatrując się w obrazy pokazywane w telewizorze. Społeczeństwo może sprawiać wrażenie zdeorganizowanego, ale w rzeczywistości będzie bardzo stabilne. Co kilka lat będziemy wybierać manekina, aby przemawiał i wygłaszał orędzia w różnym ogrodzie Białego Domu.

- W czyich rękach będzie naprawdę władza?

- Rządzić będą Bracia, to oczywiste. Staniesz się członkiem naszej rodziny, poprowadzisz nas ku nowemu.

Dłoń Kennarda Nasha spoczęła na ramieniu Michaela Corrigana. Był to gest przyjacielski i ciepły, zupełnie jakby ekswojskowy był jego wujem lub świeżo upieczonym ojczymem. *Poprowadzisz nas ku nowemu, pomyślał Michael. Członkiem naszej rodziny...* Spoglądał przez okno i wpatrywał się w budowlę o ścianach z białego marmuru.

Generał Nash odwrócił się od swojego gościa i podszedł do barku.

- Pozwól, że naleję ci kolejnego drinka. Zamówimy też kolację: polędwiczki albo sushi, cokolwiek sobie życzysz. Rozmowę będziemy kontynuować później. Większość ludzi przechodzi przez życie, nie poznając nawet prawdy o najważniejszych wydarzeniach naszych czasów. Obserwują farsę, która toczy się na scenie, podczas gdy prawdziwy dramat rozgrywa się za kurtyną. Dzisiaj ją podniosę, udamy

się za kulisy i na własne oczy przekonasz się, jak działa rekwizytornia i co się kryje za sceną. Zobaczysz też zachowania aktorów w garderobie. Połowa rzeczy, których uczono cię w szkole, to tylko wygodna fikcja. Historia jest teatrem marionetek przeznaczonym dla naiwnych.

Gabriel obudził się w motelowym pokoju i zauważył, że Maya wyszła. Nie czyniąc najmniejszego hałasu, wstała z łóżka i ubrała się. Zdziwiło go, że schludnie wyrównała koc i wsadziła dwie poduszki do postrzępionej, bawełnianej poszewki. Można było odnieść wrażenie, że chciała zatrzeć wszelkie ślady swojej obecności, zaprzeczyć temu, że spędzili tę noc w jednym pomieszczeniu.

Usiadł na łóżku i oparł się o skrzypiące wezgielce. Odkąd opuścili Los Angeles, myślał o tym, co to znaczy być Travelerem. Czy wszyscy byli tylko biologicznymi maszynami? Czy też w każdej żywej istocie istniał pierwiastek wieczności, iskierka energii nazywanej przez Mayę Światłem? Nawet jeśli była to prawda, nie oznaczało to jeszcze, że posiadał moc.

Usiłował myśleć o innych światach, ale skończyło się na kłębowisku przypadkowych wrażeń. Nie był w stanie zapamiętać nad własnym umysłem. Sceny miały się bezładnie niczym rozgadana małpa zamknięta w klatce. Przed oczyma wyobraźni przewinęły mu się obrazy dawnych dziewczyn, zjazd na motocyklu ze zbocza góry; przypomniał sobie też słowa dawno zapomnianej piosenki. Usłyszał bzycający odgłos i otworzył oczy. To mucha tłukła się o szybę, daremnie szukając drogi do wolności.

Rozeźlony sam na siebie poszedł do łazienki i ochlapał twarz wodą. Maya, Hollis i Vicki ryzykowali dla niego własnym życiem, ale czekało ich rozczarowanie. Gabriel czuł się jak ktoś, kto wkręcił się na uroczyste przyjęcie bez za-

proszenia, udając kogoś bardzo ważnego. Przewodnik - o ile istnieje - uśmieje się pewnie do rozpuku, gdy dowie się o jego aspiracjach.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył torbę podróżną i przenośny komputer pozostawione przez Mayę obok drzwi. Oznaczało to, że jest gdzieś w pobliżu. Czy wzięła furgonetkę i pojechała kupić coś do jedzenia? Raczej niemożliwe. W okolicy nie było żadnej restauracji ani sklepu spożywczego.

Młodszy z braci Corriganów ubrał się i wyszedł na podwórze służące za parking. Starsza kobieta prowadząca motel wyłączyła neon, a w jej biurze było ciemno. Już dniało i niebo miało lawendowy kolor przetykany cienkimi, srebrzystymi obłoczkami. Obszedł dookoła lewe skrzydło motelu i dostrzegł wojowniczkę, jak stoi na betonowej płycie wśród kęp bylicy Beton wyglądał na fundamenty domu, który dawno temu został opuszczony i pozostawiony sam sobie na pustyni.

Maya najwidoczniej znalazła na miejscu niedokończonych budowy stalowy pręt. Trzymając go niczym miecz, wykonała kilka rytualnych gestów i pchnięć, podobnych do tych, które kiedyś sam ćwiczył, ucząc się kendo. Parada. Pchnięcie. Zasłona. Każdy ruch z gracją i wdziękiem przechodził w kolejny.

Obserwował młodą kobietę z pewnej odległości, starając się nie zakłócić skupienia, z jakim ćwiczyła. Do tej pory nie spotkał nikogo, kto byłby podobny do tej Arlekin. Wiedział, że jest wojowniczką zdolną zabijać bez chwili wahania, ale w jej sposobie patrzenia na świat było coś czystego i uczciwego. Spoglądając, jak trenuje, Gabriel zastanawiał się, czy przykładała wagę do czegokolwiek poza wypełnieniem zaciągniętego przed wiekami zobowiązania, którego pełen przemocy charakter zdominował jej życie.

Wyrzucona miotła leżała na kupie śmieci obok motelu. Oderwał od kija włosianą szczotkę i ruszył w kierunku po-

wierzchni wylanej betonem. Kiedy Maya dostrzegła go, prze-
rwała ćwiczebne parady i opuściła zaimprovizowaną broń.

- Mam za sobą kilka lekcji kendo, ale ty sprawiasz wra-
żenie prawdziwej mistrzyni - powiedział. - Nie masz ochoty
na sparingowy pojedynek?

- Arlekini nie walczą z Travelerami.

- Ale może się okazać, że wcale nim nie jestem, prawda?
Powinniśmy przyjąć do wiadomości taką ewentualność -
odparł Gabriel i wykręcił młynka kijem od szczotki. - Poza
tym to nie jest prawdziwy miecz.

Chwycił kij w obie ręce i przypuścił atak z połową
zwykłej szybkości. Maya łagodnie sparowała, a jej broń śmi-
gnęła w powietrzu i znalazła się po lewej stronie Gabriela.
Podeszwy jego motocyklowych butów lekko szurały, gdy
przemieszczali się po chropawej powierzchni betonowego
placyku. Po raz pierwszy poczuł na sobie wzrok Mai, pa-
trzącej na niego jako równego sobie. Kilka razy dostrzegł
nawet na jej twarzy lekki uśmiech, gdy blokował jej natar-
cia i usiłował zaskoczyć ją nieoczekiwanym pchnięciem.
Poruszając się z gracją i precyzją, toczyli pojedynek pod
przepastnym niebem.

Gdy mijali granicę stanu Nevada, zaczęło robić się gorąco. Kiedy tylko opuścili terytorium Kalifornii, Gabriel ściągnął kask i wrzucił go na pakę furgonetki. Włożył okulary przeciwsłoneczne i z rykiem silnika wyprzedził Mayę. Patrzyła, jak wiatr szarpie rękawy i mankiety jego dżinsowej kurtki. Skręcili na południe w kierunku rzeki Kolorado i drogowej przeprawy w Davis Dam. Czerwone skały. Drzewiaste kaktusy *saguaro*. Fale gorącego powietrza drgające nad asfaltową nawierzchnią. W pobliżu miasteczka o nazwie Searchlight Maya dostrzegła na poboczu tablice z ręcznie wypisanymi hasłami: RAJSKA GOSPODA. PIĘĆ MIL. ŻYWY KOJOT! POKAŻ SWOIM DZIECIOM! TRZY MILE. RAJSKA GOSPODA. JEDZONKO!

Gabriel na migi pokazał: „Zjedźmy śniadanie”, a kiedy dojechali do „Rajskiej Gospody”, zjechał na parking o nieutwardzonej nawierzchni. Budynek, w którym mieściła się tania restauracja, miał płaski dach i przypominał kryty wagon towarowy z oknami. Na dachu zainstalowano duży klimatyzator. Trzymając tubę z mieczem, Maya wysiadła z samochodu i zanim zdecydowała się wejść do środka, przez chwilę obserwowała gospodę. Drzwi frontowe. Drzwi od tyłu. Wystłozony, zdezelowany pikap zaparkowany przed wejściem, druga półciężarówka z dobudowaną częścią mieszkalną stała dalej z boku.

Młodszy z braci Corriganów podszedł do niej. Poruszał ramionami, rozluźniając mocno ukształtowane mięśnie.

- Nie przypuszczam, byśmy tego potrzebowali - odezwał się, wskazując na metalowe etui z mieczem w środku. -

Zamierzamy po prostu zjeść śniadanie, Mayu. To nie jest trzecia wojna światowa.

Dojrzała własne odbicie w oczach Gabriela. Arlekiński obłąd. Nieustająca paranoja.

- Ojciec wyrobił we mnie nawyk noszenia broni przy sobie, zawsze.

- Wyluzuj - odparł. - Wszystko będzie w najlepszym porządku.

W tym momencie dostrzegła jego twarz, oczy i brązowe włosy w zupełnie innym, nowym świetle.

Odwróciła się, wzięła głęboki oddech i zaniósła miecz do wnętrza furgonetki. *Nie przejmuj się*, powiedziała do siebie. *Mc się nie wydarzy*. Na wszelki wypadek sprawdziła jednak, czy oba noże są przymocowane paskami do przedramion.

Kojota trzymano w klatce ze szczeblami z łańcucha, stojącej niedaleko frontowej ściany budynku. Uwięzione zwierzę siedziało na upstrzonej odchodami betonowej płycie i ciężko dyszało w upale. Maya po raz pierwszy widziała żywego kojota. Ten okaz bardziej przypominał kundla z głową i zębami wilka. Jedynie w ciemnych brązowych oczach czaiła się dzikość, wzrok zwierzęcia wodził za dziewczyną, gdy uniosła rękę.

- Nienawidzę ogrodów zoologicznych - zwróciła się do Gabriela. - Przywodzą mi na myśl więzienie.

- Ludzie lubią oglądać zwierzęta.

- Obywatele pragną zabijać dzikie zwierzęta albo zamykać je w klatkach. Pomaga im to zapomnieć, że sami również są więźniami.

Wnętrze gospody było długim i wąskim pomieszczeniem z wydzielonymi wzdłuż okien boksami. W środku znajdowała się jeszcze lada bufetowa z wysokimi stołkami i mała kuchnia. Trzy automaty do gry stały obok frontowych drzwi, każdy z kuszącym motywem namalowanym krzykliwymi barwami. NAJWYŻSZA PULA! WIELKI ZWYCIEŹCA! OSZOŁOMIONY SZCZĘŚCIARZ! Dwaj

Meksykanie w kowbojskich butach i zakurzonych roboczych ubraniach siedzieli przy kontuarze, zjadając jajecznicę i kukurydziane tortille. Młoda kelnerka z tlenionymi na blond włosami i w fartuszkę przelewała zawartość jednej prawie pustej butelki keczupu do drugiej. Maya dostrzegła twarz zerkającą z kuchennego okna służącego do wydawania posiłków - starszy mężczyzna o zapuchniętych oczach i niechlujnej brodzie. Kucharz.

- Usiądźcie, gdzie wam się podoba - odezwała się kelnerka, a Maya wybrała miejsce zapewniające jej zdaniem najlepszą pozycję obronną - ostatni boks z widokiem na drzwi wejściowe. Usiadła i wpatrywała się w zastawę ze srebra stojącą na stole z plastikowego laminatu, starając się zapamiętać wygląd i rozkład wnętrza. Było to dobre miejsce na postój. Dwaj Meksykanie nie sprawiali wrażenia groźnych, widziała też każdy samochód zjeżdżający z szosy do gospody.

Podeszła kelnerka, przynosząc szklanki z wodą i lodem.

- Dzień dobry. Podać wam obojgu kawy? - jej głos był wysoki i bez troski.

- Dla mnie tylko trochę soku pomarańczowego - odparł Gabriel.

Maya wstała.

- Jak trafić do toalety?

- Musisz wyjść na zewnątrz na tył domu. Poza tym jest zamknięta. Chodź ze mną, zaprowadzę cię.

Kelnerka - na plakietce widniało imię „Kathy” - poprowadziła Mayę dookoła gospody do nieoznakowanych drzwi zamkniętych na zasuwę i kłódkę. Nie przestawała trąkotać, szukając po kieszeniach klucza.

- Tatuś się martwi, że ludzie tu wchodzi i kradną wszystko papier toaletowy. Jest tu kucharzem, pomywaczem i człowiekiem od wszystkiego.

Kathy otworzyła drzwi i zapaliła światło. Pomieszczenie było wypełnione tekturowymi kartonami z puszkowanym

jedzeniem i innymi artykułami. Zaczęła się krzątać w środku, sprawdziła pojemnik z papierowymi ręcznikami i przetarła umywalkę.

- Masz naprawdę wdechowego faceta - powiedziała dziewczyna. - Chciałabym móc jeździć po okolicy z takim przystojniakiem, ale ugrzęzłam w „Raju”, dopóki tato nie sprzeda tego miejsca.

- Jesteście trochę na odludziu.

- Nikt tu nie mieszka; tylko my i ten stary kojot. Plus parę osób wracających z Vegas. Byłaś kiedyś w Vegas?

-Nie.

- Ja byłam sześć razy.

Gdy Kathy w końcu opuściła pomieszczenie, Maya zamknęła drzwi i usiadła na stercie kartonów. Zaczęła się obawiać, że może w jakiś sposób związać się uczuciowo z Gabrielem. Arlekinom nie wolno było nawiązywać przyjaźni z Travelerami, których chronili. Właściwą postawą było okazywanie w stosunku do nich pewnej wyższości, jak gdyby byli małymi dziećmi, niewiniątkami w lesie pełnym wilków. Ojciec zawsze mówił, że istnieją praktyczne powody utrzymywania uczuciowego dystansu. Chirurdzy rzadko operują członków własnej rodziny. Wiąże się to z ryzykiem popełnienia błędu w ocenie sytuacji. Ta sama zasada dotyczy Arlekinów.

Maya stanęła przed umywalką i spojrzała w lustro. *Popatrz na siebie*, pomyślała. Potargane włosy. Podkrążone oczy. Ciemne, ponure ubranie. Thorn przemienił ją w zabójczynię pozbawioną wszelkich więzów, w osobę wolną od typowego dla trutni pragnienia luksusu i komfortu, a także wyzwoloną od właściwej dla obywateli potrzeby bezpieczeństwa. Travelerzy mogli być słabi i zagubieni, ale dysponowali zdolnością przechodzenia do innych wymiarów, mogąc uciec z tego doczesnego więzienia. Arlekini nie mogli opuścić Czwartego Wymiaru aż do końca swoich dni.

Kiedy Maya wróciła do gospody, dwaj Meksykanie zdążyli zjeść jajecznicę i odjechać. Zamówili dla siebie śniada-

nie, a Gabriel odchylił się na oparcie boksu i przyglądał się jej uważnie.

- Załóżmy, że ludzie rzeczywiście potrafią odbywać wojaże do innych światów. Jakie są te światy? Czy jest tam niebezpiecznie?

- Nie wiem na ten temat zbyt wiele. Z tego właśnie powodu potrzebujesz pomocy Przewodnika. Ojciec mówił mi o dwóch potencjalnych zagrożeniach. Kiedy już wyruszasz na drugą stronę, twoja powłoka, czyli fizyczne ciało, zostaje tutaj.

- A jakie jest drugie ryzyko?

- Twoje Światło, czyli dusza czy jak zechcesz to nazwać, może zginąć lub doznać obrażeń w innym świecie. Jeśli tak się stanie, zostaniesz tam uwięziony na wieki.

Głosy. Śmiech. Maya obserwowała już drzwi, gdy do lokalu weszło czterech młodych ludzi. Refleksy słońca odbijały się od zostawionego na parkingu niebieskiego samochodu o sportowych liniach. Oceniała każdego z przybyłych i ochrzciła przydomkiem. Szerokie Bary, Łysa Głaca i Tłuścioch mieli na sobie stroje złożone ze sportowych bluz z nazwami klubów sportowych i spodni od dresów. Wyglądali tak, jakby właśnie uciekli z ogarniętej pożarem siłowni i porwali z szatni na chybił trafił przypadkowe części garderoby. Ich przywódca, najniższy z mężczyzn, ale dysponujący najdonioślejszym głosem - był ubrany w kowbojskie buty z cholewami i na grubych podszwach, żeby mógł wydawać się wyższy. *Nazwij go Wąsikiem*, pomyślała. *Me. Srebrną Sprzączką*. Sprzączka stanowiła wyróżniający się element misternie wykończonego kowbojskiego pasa.

- Usiądźcie, gdzie chcecie - powitała ich rutynowo Kathy

- Do diabła, jasne - odrzekł Srebrna Sprzączka. - Tak czy inaczej zamierzamy to zrobić.

Ich podniesione głosy, pragnienie, by zauważono ich obecność, zaniepokoiły nieco Mayę. Kończyła szybko dojadać resztę śniadania, gdy Gabriel rozsmarowywał winogronowy dżem na swoim toście. Czterej mężczyźni wzięli od

Kathy klucz do toalety i złożyli zamówienie, korygując je po chwili i żądając dodatkowej porcji bekonu. Powiedzieli dziewczynie, że wracają do Arizony z meczu bokserskiego, który oglądali w Las Vegas. Przeegrali duże pieniądze postawione na faworyta w tej walce, a resztę stracili w kasynie przy stołach do gry w oczko. Kathy zapisała zamówienie i wróciła za kontuar. Tłusciuch wymienił banknot dwudziestodolarowy na jednodolarowe monety i zaczął grać na automatach.

- Skończyłeś jeść? - Maya spytała Gabriela.

- Jeszcze sekundę.

- Wynośmy się stąd.

Gabriel wyglądał na rozbawionego.

- Nie lubisz takich facetów, jak ci tutaj.

Zamieszała kostki lodu w szklance z wodą i skłamała.

- Nie zwracam uwagi na obywateli, dopóki nie wchodzą mi w drogę.

- Wydawało mi się, że polubiłaś Victory Fraser. Obie zachowywałyście się tak, jakbyście się zaprzyjaźniły...

- To pieprzone oszukaństwo! - Tłusciuch walnął pięścią w jeden z automatów do gry. - Włożyłem do dziury dwadzieścia baksów i nie dostałem nawet jednego z powrotem.

Srebrna Sprzączka siedział już w boksie naprzeciw Łysej Glacy. Podkręcił wąsik i uśmiechnął się bezczelnie.

- Dobrze, że się połapałeś, Davey. Automaty są ustawione tak, żeby nigdy nie wypłacać. Oni nie zarabiają tu na sobie, podając lurowatą kawę, tylko kradną na lewo parę dolców turystom, którzy grają na tych automatach.

Kathy wyszła zza kontuaru.

- Czasami wypłacają. Dwa tygodnie temu pewien kierowca ciężarówki zgarnął całą pulę.

- Nie wciskaj mi kitu, skarbie. Po prostu oddaj mojemu koleśowi dwadzieścia dolarów. Potraktuj to jako prawo albo jako dołę, którą musicie odpalić.

- Nie mogę tego zrobić. Te maszyny nie są nawet naszą własnością. Dzierżawimy je tylko od pana Sullivana.

Szerokie Bary wrócił z toalety i wszedł do środka. Stał przy automacie i przysłuchiwał się rozmowie.

- Gówno nas to obchodzi - wtrącił swoje. - Cały pieprzony stan Nevada to jedno wielkie zdzierstwo. Oddaj nam pieniądze albo jemy za darmo.

- Właśnie - dodał Łysa Głaca. - Jestem za darmowym żarciem.

- Jedzenie nie ma nic wspólnego z automatami do gry - upierała się Kathy - Jeśli zamówiliście dania, to...

Tłuścioch zrobił trzy kroki w stronę kasy i chwycił dziewczynę za rękę.

- Do diabła, wezmę za friko coś innego niż żarcie.

Jego trzech kompani zawyli, wyrażając aprobatę.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - zapytał Szerokie Bary - Zastanów się, czy ona jest warta dwudziestu dolarów.

- Jeśli zrobi dobrze każdemu z nas, wyjdzie po piątku na głowę.

Drzwi od kuchni otworzyły się z impetem i wyszedł z nich ojciec kelnerki, ściskając w dłoniach kij do bejsbolu.

- Zostawcie ją! Natychmiast!

Srebrna Sprzączka wyglądał na ubawionego.

- Grozisz mi, staruszkule?

- Nie mylisz się, do cholery! Zabierajcie swoje tyłki i wy-nocha!

Niski mężczyzna z wąsikami sięgnął w poprzek stołu i chwycił ciężką szklaną cukiernicę stojącą obok małej buteleczki z sosem tabasco. Odchylił się nieco i z całej siły rzucił pojemnikiem. Ojciec Kathy zrobił gwałtowny unik, ale mimo to cukiernica trafiła go w lewy policzek i pękła z trzaskiem. Cukier rozsypał się dookoła, a starszy mężczyzna zachwiał się.

Łysa Głaca wysunął się z boksu. Chwycił za koniec kija bejsbolowego, wyrwał go z rąk starca i mocno zacisnął na nim dłoń. Grubszym końcem zaczął walić ojca Kathy, który jęczał z bólu i w końcu osunął się na podłogę.

Maya dotknęła dłoni Gabriela.

- Wyjdźmy przez kuchnię.

-Nie.

- W najmniejszym nawet stopniu nas to nie dotyczy.

Gabriel spojrział na nią z wyrazem lekkiej pogardy, ona zaś poczuła się tak, jakby ktoś ciął ją przez twarz nożem. Nie ruszyła się - nie mogła się ruszyć, gdy młodszy z Corriganów powstał i podszedł kilka kroków do mężczyzn.

- Wynocha stąd!

- A ty kim, do diabła, jesteś? - Srebrna Sprzączka wysunął się z boksu. Teraz cała czwórka stała przy kontuarze. - Nie będziesz nam tu rozkazywał.

Łysa Glaca kopnął starca w zębra.

- Pierwszą rzeczą, jaką zamierzamy zrobić, jest zamknięcie tego starego dziada razem z kojotem.

Kathy usiłowała się wyrwać, ale Tłuścioch trzymał ją mocna

- A następnie zamierzamy przetestować jakoś tego towaru.

Gabriel okazywał niepewność osoby, która ćwiczyła karate tylko w szkółce na zajęciach. Stał w miejscu czekając, aż zostanie zaatakowany.

- Słyszeliście, co powiedziałem?

- No. Słyszeliśmy - odparł Łysa Glaca, machając kijem do bejsbolu jak policyjną pałką. - Masz pięć sekund, żeby się stąd zmyć.

Maya wysunęła się wreszcie z boksu. Rozłożyła szeroko ręce, czuła się odprężona. *Sposób, w jaki walczymy, przypomina nurkowanie w oceanie*, powiedział jej kiedyś Thorn. *Opadamy, ale z gracją. Poddajemy się sile grawitacji, ale kontrolując ją.*

- Nie ważcie się go tknąć - odezwała się.

Mężczyźni wybuchnęli szyderczym śmiechem, ona zaś zrobiła kilka kroków w ich stronę, dochodząc do granicy strefy zabijania.

- Z jakiego kraju jesteś? - zapytał Srebrna Sprzączka. - Wydaje się, że z Anglii lub czegoś podobnego. Tutaj, paniusiu, kobiety nie wtrącają się do walk, które toczą ich mężczyźni.

- Hej, chcę, żeby się w to wmieszała - zachęcał Szerokie Bary. - Ma smukłe, małe ciało.

Maya poczuła, jak jej serce przenika arlekiński chłód. Jej oczy instynktownie zmierzyły odległość i wytyczyły trajektorie walki między nią a czterema celami. Wyraz jej twarzy był pozbawiony życia - zero emocji - ale mimo to starała się, by jej słowa były zrozumiałe i jednoznaczne.

- Jeśli spadnie mu chociaż włos z głowy, zetnę was na proch.

- Och, już się trzęsę ze strachu.

Łysa Głaca spojrział na swojego kompana i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wpadłeś w tarapaty, Russ! Ta mała panienka wygląda na obłąkaną! Lepiej miej się na baczności!

Gabriel odwrócił się w stronę wojowniczkę. Po raz pierwszy wydało mu się, że to on jest górą w relacji między nimi, jak Traveler wydający polecenia swemu wojownikowi.

- Nie, Mayu! Słyszysz mnie? Rozkazuję ci, nie...

Był do niej częściowo odwrócony, ignorując niebezpieczeństwo. Łysa Głaca postanowił to wykorzystać i uniósł kij bejsbolowy. Maya wskoczyła najpierw na stołek, później na kontuar. Przebiegła dwoma długimi susami obok pojemników z keczupem i musztardą i z szybkością błyskawicy kopnęła prawą nogą Łysą Głacę w gardło. Zaczął pluć i wydawać z siebie charczące odgłosy, ale wciąż trzymał pałkę. Wojniczka chwyciła koniec kija i zeskoczyła na podłogę, wykręcając go jednym ruchem z ręki napastnika. Następnie zdzieliła go pałką w ogoloną głowę. Rozległ się głośny chrząst, a ugodzony upadł twarzą do dołu.

Kątem oka dostrzegła, jak Gabriel walczy ze Srebrną Sprzączką. Podbiegła do Kathy, ściskając kij w prawej dłoni i wyciągając sztylet lewą. Tłuszcioch struchlał ze strachu. Podniósł ręce do góry, niczym żołnierz poddający się w walce, ona zaś przebiła jego dłoń i czubkiem sztyletu przyszpiliła ją do drewnianej boazerii. Otyły obywatel wydał z siebie

piskliwy wrzask, ale zignorowała go i ruszyła ku Szerokim Barom. Zamarkowała uderzenie w głowę, ale cios zadała dużo niżej. Prawe podudzie złamane. Trzask. Odłamki kości. Następnie cios w głowę. Cel upadł na twarz, dając jej czas, by mogła rozejrzeć się dookoła. Srebrna Sprzączka leżał na podłodze, nie dając oznak życia. Gabriel poradził sobie z nim nad wyraz skutecznie. Gdy skierowała się ku Tłuściochowi, ten znów zaczął jęczeć.

- Nie - skamlał. - Błagam, na Boga. Nie.

Jednym uderzeniem pałki pozbawiła go przytomności. Gdy padał na twarz, wyrwał nóż ze ściany.

Opuściła pałkę, schyliła się i podniosła sztylet. Był umazany krwią, wytarła więc ostrze o koszulkę Tłuściocha. Gdy się wyprostowała, chłodna precyzja i determinacja zaczęły powoli słabnąć. Na podłodze leżało pięć ludzkich ciał. Obroniła Gabriela i nikogo przy tym nie zabiła.

Kathy spoglądała na Mayę, jakby miała przed sobą upiora.

- Uciekajcie stąd - wydusiła z siebie. - Po prostu uciekajcie. Zaraz zadzwonię po szeryfa. Nie martwcie się. Jeśli pojedziecie na południe, powiem, że ruszyliście na północ. Podam fałszywy opis waszego- samochodu i zmienię wszystko.

Gabriel wyszedł pierwszy, Maja podążyła za nim. Gdy mijała kojota, odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi klatki. W pierwszej chwili zwierzę nie poruszyło się, jakby zapomniało, co to wolność. Dziewczyna szła dalej, spoglądając przez ramię. Kojot wciąż tkwił w swoim więzieniu.

- Biegnij! - zawołała. - To twoja jedyna szansa!

Kiedy uruchomiła silnik furgonetki, kojot, wciąż nieufny, wyszedł z klatki i dokonywał oględzin ubitej powierzchni parkingu. Głośny ryk motocykla Gabriela najwyraźniej przestraszył zwierzę. Dał susa w bok, ale później odzyskał swój spokój i obojętność i wolnym truchtem zaczął oddalać się od gospody.

Gabriel nie spojrział na Mayę, gdy ponownie zjechali na szosę. Nie uśmiechał się już ani nie machał ręką, nie kreślił pełnych gracji esów-floresów wzdłuż białej, przerywanej linii. Choć wybawiła go z opresji, jej działanie najwyraźniej zwiększyło dystans między nimi. Przez chwilę znów z absolutną pewnością zdała sobie sprawę, że nikt nigdy *jej* nie pokocha ani nie ukoi jej bólu. Podobnie jak ojciec, umrze otoczona przez wrogów. Umrze samotnie.

Lawrence Takawa stał w masce chirurgicznej i fartuchu w rogu sali operacyjnej. Nowy budynek w centrum czworokątnego kompleksu nie był jeszcze do końca wyposażony w aparaturę medyczną. Na razie prowizoryczną salę operacyjną urządzono w podziemiach biblioteki.

Spoglądał na Michaela Corrigana, gdy ten kładł się na chirurgiczny stół. Panna Yang, pielęgniarka, przyniosła ogrzany koc i owinęła nim nogi pacjenta. Wcześniej tego dnia zgoliła z głowy Michaela wszystkie włosy. Wyglądał teraz jak rekrut, który dopiero co rozpoczął odbywanie służby zasadniczej.

Doktor Richardson wraz z doktorem Lau, anestezjologiem sprowadzonym z Tajwanu, skończyli przygotowania do operacyjnego zabiegu. W przedramię Michaela wbito igłę, przewód dożylny kroplówki został podłączony do butelki ze sterylnym roztworem. W kontrolowanej przez Braci prywatnej klinice położonej w Westchester County wykonano także zdjęcia mózgu Michaela techniką rentgenowską i metodą rezonansu magnetycznego. Panna Yang przypięła klisze ze zdjęciami do podświetlanych paneli znajdujących się na jednej ze ścian pomieszczenia.

Richardson spojrzał w dół na pacjenta.

- Jak się czujesz, Michael?

- Czy to będzie bolesne?

- Niespecjalnie. Na wszelki wypadek zastosujemy znieczulenie. Podczas zabiegu, ze względów bezpieczeństwa, twoja głowa musi pozostać całkowicie unieruchomiona.

- A jeśli coś pójdzie nie tak i nastąpi uszkodzenie mojego mózgu?

- To tylko nieskomplikowany zabieg, Michael. Nie ma powodów do obaw.

Richardson skinął głową w stronę doktora Lau i przewód kroplówki podłączono do plastikowej strzykawki.

- W porządku. Przystępujemy do realizacji procedury. Zaczynaj liczyć od stu do jednego.

Nim upłynęło dziesięć sekund, Michael był już pod narkozą i miarowo oddychał. Z pomocą pielęgniarki neurolog unieruchomił czaszkę pacjenta w stalowych uchwytach i dokręcił śruby z wyściełaną powierzchnią. Nawet jeśli ciało starszego z braci Corriganów ogarną konwulsje, jego czaszka ani drgnie.

- Czas na sporządzenie mapy - powiedział Richardson do pielęgniarki.

Panna Yang podała mu giętą stalową linijkę i czarny flamaster. Przez następne dwadzieścia minut chirurg rysował siatkę na czubku głowy Michaela. Dwa razy sprawdził własne dzieło, następnie zaznaczył osiem punktów przewidzianych do wykonania otworków.

Już od kilku lat neurologowie umieszczali na trwałe elektrody w mózgach pacjentów cierpiących na depresję. Dzięki głębokiej neurologicznej stymulacji lekarze, operując pokrętkiem, mogli wprowadzić niewielką ilość elektryczności do tkanki i dokonać natychmiastowej zmiany nastroju chorego. Jedną z pacjentek Richardсона - młoda kobieta o imieniu Elaine, pracująca w cukierni - zazwyczaj ustawiała potencjometr na pozycji 2, na przykład gdy oglądała w domu telewizję, ale przestawiała pokrętko na 5, gdy ciężko pracowała nad weselnym tortem. Ta sama technologia, która pomagała naukowcom stymulować mózg, miała zostać użyta do śledzenia szlaku, którym podąży energia neuronów Michaela Corriganana.

- Czy powiedziałem mu prawdę? - zapytał Takawa.

Doktor Richardson rzucił spojrzenie w poprzek sali.

- Co ma pan na myśli?
- Czy ten zabieg może uszkodzić jego mózg?
- Jeśli ma się zamiar za pomocą komputera monitorować czyjąś neurologiczną aktywność, wtedy wszczepia się do mózgu sensory. Elektrody podłączone do czaszki od zewnątrz nie dają takiej precyzji odczytów. W rzeczywistości otrzymywane dane mogą być nawet sprzeczne ze sobą.
- Ale czy druciki nie zniszczą jego komórek mózgowych?
- Wszyscy mamy miliardy komórek w naszych mózgach, panie Takawa. Być może pacjent zapomni, jak się wymawia wyraz „Konstantynopol” albo nie będzie w stanie przypomnieć sobie, jak miała na imię dziewczyna, która w szkole średniej siedziała z nim w jednej ławce na lekcjach matematyki. To naprawdę błahostka.

Gdy miejsca nacięć były wyznaczone z zadowalającą precyzją, doktor Richardson usiadł na taborecie obok stołu operacyjnego i wpatrywał się badawczo w wierzchołek głowy Michaela.

- Więcej światła - powiedział.

Siostra Yang skorygowała ustawienie lampy chirurgicznej. Doktor Lau stał kilka metrów dalej, obserwując ekran monitora i kontrolując parametry życiowe pacjenta.

- Wszystko w porządku?

Anestezjolog sprawdził puls i oddech starszego z braci Corriganów.

- Może pan przystępować do zabiegu.

Richardson ściągnął niżej chirurgiczną wiertarkę zawieszoną na regulowanym ramieniu i ostrożnie nawiercił niewielki otworek w czaszce człowieka leżącego na operacyjnym stole. Wiercenie powodowało przenikliwy zgrzytliwy odgłos, który przypominał dźwięk świdra w gabinecie stomatologa.

Chirurg cofnął wiertło. Na powierzchni czaszki pojawił się mały czerwony punkcik. Robił się coraz większy, ale panna Yang starła krew sterylnym wacikiem. Na drugim regu-

lowanym ramieniu, podwieszonym u sufitu, był zamontowany przyrząd do neuropatycznych iniekcji. Richardson umieścił głowicę nad małym otworkiem, nacisnął spust i miedziany drucik grubości ludzkiego włosa, pokryty teflonową powłoką, został wprowadzony bezpośrednio do tkanki mózgowej.

Drugi koniec drucika połączono z przewodem dostarczającym dane do komputera kwantowego. Lawrence miał na głowie słuchawkę i mikrofon telefonu komórkowego podłączonego do linii obsługującej centrum komputerowe.

- Zaczynajcie test - powiedział do jednego z techników. - Pierwszy czujnik jest już w jego mózgu.

Upłynęło pięć sekund. Dwadzieścia sekund. Po czym technik potwierdził, że zostały odebrane sygnały neurologicznej aktywności.

- Pierwszy sensor działa poprawnie - powiedział Takawa. - Możecie wprowadzać następny

Doktor Richardson ściągnął płytkę miniaturowej elektrody wzdłuż drucika, przylepił jej koniec do skóry i odciął nadmiar drucika. Po kolejnych dziewięćdziesięciu minutach wszystkie czujniki zostały wprowadzone do mózgu starszego z braci Corriganów i połączone z płytkami elektrod. Patrząc z dala, można było odnieść wrażenie, że do jego czaszki przyklejono osiem srebrnych monet.

Michael wciąż był nieprzytomny, dlatego została przy nim pielęgniarka. Lawrence przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia w ślad za dwójką lekarzy. Wszyscy zdjęli swoje fartuchy chirurgiczne i wrzucili je do śmietnika.

- Kiedy się obudzi? - zapytał asystent generała Nasha.
- Mniej więcej za godzinę.
- Czy będzie odczuwał ból?
- Nieznaczny.

- Doskonale. Zapytam w centrum komputerowym, kiedy możemy rozpocząć eksperyment.

Doktor Richardson wyglądał na zaniepokojonego.

- Myślę, że pan i ja powinniśmy porozmawiać.

Obaj mężczyźni opuścili budynek biblioteki i przeszli w poprzek czworokątnego kompleksu do centrum administracyjnego. Poprzedniej nocy padało, a niebo wciąż było zasnuwane chmurami. Ktoś przyciął krzewy róż, z irysów zostały tylko wyschnięte pędy kwiatostanów. Rosnąca wzdłuż ścieżek bermudzka trawa wiewała. Wydawało się, że przemijaniu podlega wszystko, poza białym gmachem bez okien, ulokowanym w środku dziedzińca. Oficjalnie budowlę tę nazywano ośrodkiem badawczym cybernetyki neurologicznej, ale młodszy personel określał ją mianem grobowca.

- Zapoznałem się z dodatkowymi informacjami o Travelerach - rozpoczął rozmowę Richardson. - Przewiduję w tej chwili możliwość pewnych komplikacji. Mamy do dyspozycji młodego człowieka, który ma zdolność przechodzenia do innych wymiarów lub też jej nie ma.

- Zgadza się - odparł Lawrence. - Nie dowiemy się tego, dopóki nie podejmiemy próby.

- Wyniki doświadczeń wskazują, że Travelerzy potrafią się nauczyć, jak mogą dotrzeć do innych światów. Jest to spowodowane długotrwałym stresem albo na skutek nagłego szoku. Jednak większość z nich korzystała z pomocy nauczycieli, którzy wskazywali im...

- Mówi pan o Przewodnikach - wszedł mu w słowo Lawrence. - Szukamy osoby, która mogłaby pełnić taką funkcję, ale jak dotąd bez powodzenia.

Przerwali rozmowę, wchodząc do budynku administracyjnego. Lawrence zauważył, że doktor Richardson unika patrzenia na grobowiec. Neurolog spoglądał w niebo, później na betonowy klomb wypełniony bluszczem - na cokolwiek poza białą, sześcienną budowlą.

- Co się stanie, jeśli nie znajdziecie Przewodnika? - zapytał Richardson. - W jaki sposób Michael dowie się, co powinien robić?

- Istnieje też inny wariant. Personel pomocniczy podaje analizom najróżniejsze środki farmakologiczne mogące posłużyć za neurologiczne katalizatory

- To jest moja dziedzina i mogę pana zapewnić, że tego rodzaju specyfik nie został jeszcze opracowany. Nic, co może przyjąć ludzki organizm, nie jest w stanie spowodować nagłego wzrostu poziomu energii neuronowej.

- Fundacja Evergreen dysponuje licznymi kontaktami i źródłami. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Nie ulega wątpliwości, że nie informujecie mnie o wszystkim - powiedział Richardson. - Chcę panu powiedzieć jedną rzecz, panie Takawa. Takie podejście nie sprzyja zakończeniu eksperymentu sukcesem.

- Co jeszcze chciałby pan wiedzieć, doktorze?

- Nie chodzi tylko o Travelerów, prawda? Oni stanowią jedynie część większego zamierzenia; czegoś, z czym jest związane wykorzystanie kwantowego komputera. Do czego zatem tak naprawdę dążymy? Może mi pan to wyjawić?

- Wynajęliśmy pana po to, żeby wysłać Travelera w inne światy - odpowiedział Lawrence. - A pan powinien jedynie zrozumieć, że generał Nash nie zaakceptuje porażki.

Po powrocie do biura Lawrence musiał wykonać tuzin pilnych rozmów telefonicznych i wysłać ponad czterdzieści listów pocztą elektroniczną. Odbił rozmowę z Kennardem Nashem na temat zabiegu operacyjnego i potwierdził, że centrum komputerowe jest w stanie rejestrować aktywność neurologiczną we wszystkich obszarach mózgu Michaela Corrigana. W ciągu dwóch następnych godzin, precyzyjnie

dobierając słowa, sporządził pismo, które przesłał pocztą elektroniczną do wszystkich badaczy, otrzymujących dotacje i granty od fundacji Evergreen. Chociaż nie wspomniał o Travelerach, zwrócił się z prośbą o szczegółowe i wyczerpujące informacje na temat środków psychotropowych, których zażywanie wiąże się z powstawaniem wizji i z iluzjami podróżowania do innych światów.

O szóstej po południu urządzenie systemu Ogniw Ochronne podjęło obserwację Lawrence'a, gdy opuścił ośrodek badawczy fundacji i pojechał do swojego szeregowca. Zamknąwszy drzwi wejściowe, zrzucił z siebie ubranie, w którym był w pracy, założył czarny bawełniany płaszcz kąpielowy i wszedł do sekretnego pomieszczenia za regałem z książkami.

Chciał przekazać Lindenowi najnowsze informacje na temat postępów projektu „Przejście”, ale gdy połączył się z Internetem, w górnym rogu ekranu zaczął migotać symbol niebieskiej skrzynki pocztowej. Dwa lata wcześniej, po tym, jak Lawrence otrzymał nowe kody dostępu do systemu komputerowego zawiadywanego przez Braci, napisał specjalny program do wyszukiwania informacji o swoim ojcu. Gdy aplikacja ruszyła, pomknęła przez zakamarki globalnej pajęczyny niczym fretka polująca na szczury w starym domostwie. Dzisiaj program odnalazł informacje o ojcu w plikach z dowodami komendy policji w Osace.

Na fotografii Sparrowa znajdowały się dwa miecze: jeden ze złotą rękojeścią, drugi inkrustowany nefrytem. Gdy był w Paryżu, Linden wyjaśnił mu, że jego matka podarowała nefrytowy miecz Arlekinowi o imieniu Thorn, który z kolei przekazał go rodzinie Corriganów. Lawrence zgadywał, że Gabriel Corrigan ciągle miał miecz przy sobie, kiedy Boone i jego najemnicy zaatakowali fabrykę odzieżową.

Nefrytowy miecz. Złoty miecz. Być może były jeszcze inne. Syn Sparrowa dowiedział się, że najsłynniejszym japońskim płatnerzem wyrabiającym miecze był mnich imie-

niem Masamune. Działał on w XIII wieku, gdy Mongołowie podejmowali próby inwazji na Kraj Kwitnącej Wiśni. Rządzący wówczas cesarz nakazał odbycie rytualnych modłów w buddyjskich świątyniach i wiele mieczy powstało jako dary wotywnie. Sam Masamune wykuł wtedy miecz bez skazy, z rękojeścią inkrustowaną brylantami, pragnąc zainspirować swoich dziesięciu uczniów zwanych *Jittetsu*. Kiedy nauczyli się, jak obrabiać stal, każdy z nich wykuł specjalny miecz, który podarował mistrzowi.

Program napisany przez Lawrence'a odnalazł internetową witrynę pewnego buddyjskiego mnicha mieszkającego w Kioto. Na stronie tej były podane imiona wszystkich dziesięciu *Jittetsu* i nazwy wyjątkowych mieczy, które wyszły spod ich ręki:

PŁATNERZ	MIECZ
<i>/ Hasabe Kinishige</i>	<i>Srebrny</i>
<i>II Kanemitsu</i>	<i>Złoty</i>
<i>III Go Yoshihiro</i>	<i>Drewniany</i>
<i>IV Naotsuna</i>	<i>Perłowy</i>
■/#ę&	<i>Kościany</i>
<i>VI \$&l Kunitsugu</i>	<i>Zkości słoniowej</i>
<i>VII Kinju</i>	<i>Nefrytowy</i>
<i>VIII Shizu Kaneuji</i>	<i>Żelazny</i>
<i>IX Chogi</i>	<i>Brązowy</i>
<i>X Saeki Norishige</i>	<i>Koralowy</i>

Nefrytowy miecz. Złoty miecz. Inne miecze wykute przez dziesięciu uczniów mistrza Masamune zaginęły - prawdopodobnie z powodu trzęsień ziemi lub wojen - ale wymarła już linia japońskich Arlekinów zdołała ocalić przynajmniej te dwa poświęcone ostrza. Pierwszy z tych skarbów znajdował się w rękach Gabriela Corrigana, drugi został użyty do zaszlachtowania gangsterów z yakuzy w obryzganej krwią bankietowej sali.

Program wyszukujący przemieszczał się po policyjnej liście dowodów i transponował japońskie znaki na język angielski. „Zabytkowy *tachi* (długi miecz). Złota rękojeść. Numer akt śledztwa 15433. Dowód zaginął”.

Me *zaginął*, pomyślał Lawrence. *Został wykradzony*. Najprawdopodobniej Bracia wydobyli złoty miecz z policyjnego depozytu w Osace. Jest gdzieś w Japonii albo w Ameryce. Być może znajduje się w magazynach centrum badawczego, w odległości zaledwie kilku metrów od jego biurka.

Lawrence Takawa był gotów wyrwać się na chwilę i szybko powrócić do centrum. Panował nad emocjami, wyłączył komputer. Kiedy Kennard Nash po raz pierwszy przedstawił mu wizję wirtualnego panopticonu, była to jedynie filozoficzna teoria, teraz jednak on sam żył za murami niewidzialnego więzienia. W ciągu jednego lub dwóch pokoleń każdy mieszkaniec uprzemysłowionego świata dojdzie zapewne do tego samego wniosku - że został wytropiony i jest śledzony przez Rozległą Sieć.

Jestem osamotniony, pomyślał. *Tak. Zupełnie sam*. Jego twarz przybrała jednak maskę, która sprawiła, że wyglądał na osobę czujną, sumienną i gotową okazać posłuszeństwo.

Doktor Richardson czuł chwilami, że jego dawne życie bezpowrotnie gdzieś się rozplynęło. Marzył o powrocie do New Haven niemal tak, jak duch z *Opowieści wigilijnej* Dickensa, stojący na ulicy w chłodzie i mroku, gdy jego dawni przyjaciele i koledzy przebywali w ciepłym i przytulnym wnętrzu, śmiejąc się i popijając wino.

Nie ulegało wątpliwości, że nie powinien nigdy zgadzać się na przeprowadzkę do kompleksu badawczego ulokowanego w Westchester County. Sądził, że organizacja jego przenosin z Uniwersytetu Yale potrwa całe tygodnie, jednak fundacja Evergreen dysponowała wyjątkowymi wręcz wpływami we władzach uczelni. Dziekan Wydziału Medycyny osobiście wyraził zgodę na urlop naukowy Richardsons, na dodatek pełnopłatny, po czym zapytał, czy fundacja nie jest przypadkiem zainteresowana sfinansowaniem budowy nowego laboratorium genetycznego. Lawrence Takawa wynajął neurologa z Uniwersytetu Columbia, który zgodził się przyjeżdżać w każdy wtorek i czwartek w celu dokończenia zajęć z grupą studentów prowadzonych przez urlopowanego teraz naukowca. Pięć dni po rozmowie z generałem Nashem w jego domu zjawiono się dwóch funkcjonariuszy ochrony, pomogło mu się spakować i zawiozło go do nowego mieszkania w kompleksie badawczym.

Jego nowy świat był komfortowy, ale równocześnie bardzo ograniczony. Lawrence Takawa dał mu przypinany klipszem elektroniczny identyfikator nazywany Ogniwem Ochronnym - karta ta określała zakres jego dostępu do

różnych części kompleksu. Richardson swobodnie mógł korzystać z biblioteki i centrum administracyjnego, ale odmówiono mu dostępu do pomieszczeń z komputerami, ośrodka badań genetycznych oraz pozbawionej okien budowli nazywanej grobowcem.

Podczas pierwszego tygodnia pobytu w kompleksie pracował w podziemiach biblioteki, doskonaląc swoje chirurgiczne umiejętności na mózгах psów i szympanów oraz na pewnym otyłym nieboszczyku z białą brodą, nazywanym przez personel Krisem Kringle. Teraz, gdy powleczone teflonem druciki zostały wszczepione do mózgu Michaela Corrigan, neurolog spędzał większość czasu w niewielkim apartamencie mieszczącym się w centrum administracyjnym albo w boksie biblioteki.

Zielona księga zawierała wnioski z rozległych badań neurologicznych przeprowadzonych na Travelerach. Żaden z raportów nie był wcześniej opublikowany, a grube czarne zakreślenia ukrywały nazwiska członków różnych zespołów badawczych. Naukowcy chińscy najprawdopodobniej torturowali Travelerów z Tybetu, w przypisach podawano informacje o stosowaniu szoku chemicznego i elektrowstrząsów jak metod eksperymentalnych. Jeśli obiekt badań umierał w trakcie tortur, obok numeru opisującego przypadek pojawiał się znaczek gwiazdki - *.

Doktor Richardson odnosił wrażenie, że rozumie podstawowe aspekty aktywności mózgu Travelerów. System nerwowy wytwarzał łagodne ładunki elektryczne. Kiedy Traveler przechodził w stan transu, siła ładunku rosła, co wiązało się z charakterystycznym rytmem bicia serca i pulsu. Nagle wszystkie funkcje w obrębie mózgu ustawały. Oddychanie i praca serca spadały do skrajnie niskiego poziomu. Poza reakcją - na niskim poziomie - rdzenia przedłużonego, z funkcjonalnego punktu widzenia mózg pacjenta był martwy. W tym czasie neurologiczna energia Travelera przemieszczała się do innych wymiarów.

Większość Tavelerów wykazywała dziedziczne powiązania z rodzicami lub krewnymi, którzy dysponowali mocą, jednak nie był to mechanizm bezwzględny. Człowiek obdarzony takimi zdolnościami mógł pojawić się na wiejskich obszarach Chin, urodzić się w chłopskiej rodzinie, w której nikt nigdy nie odbywał podróży do innych światów. Zespół badawczy na Uniwersytecie Utah przygotowywał tajną bazę danych genealogicznych, która objęła wszystkich znanych Travelerów oraz ich przodków i antenatów.

Neurolog nie był do końca pewien, do jakiego rodzaju informacji nie ma prawa dostępu i jaką wiedzę może się podzielić z resztą członków lekarskiego personelu. Doktor Lau, anestezjolog, oraz panna Yang przylecieli z Tajwanu specjalnie po to, by wziąć udział w eksperymencie. Kiedy we troje spożywali posiłek w kafeterii, rozmawiali o sprawach praktycznych albo o amerykańskich musicalach, które panna Yang uwielbiała.

Doktor Richardson wcale nie palił się do pogawędki o *Dźwiękach muzyki* czy *Oklahomie*. Niepokoiła go perspektywa ewentualnego fiaska eksperymentu. Nie znaleziono Przewodnika, który poprowadziłby Michaela, a jego zespół nie otrzymał żadnych specjalnych środków farmakologicznych, które byłyby w stanie uwolnić Światło z cielesnej powłoki Travelera. Neurolog wysłał do innych zespołów badawczych pracujących w kompleksie fundacji zredagowany ogólnikowo e-mail z prośbą o pomoc. Po dwunastu godzinach otrzymał raport z budynku, w którym mieściło się laboratorium genetyczne.

Dokument opisywał przebieg doświadczenia nad regeneracją komórek. Przed wieloma laty, jeszcze jako student ostatniego roku, sam Richardson zajmował się tą problematyką na zajęciach z biologii. On i jego laboratoryjny partner pocięli ciało płazińca na dwanaście odrębnych segmentów. Po kilku tygodniach powstało dwanaście identycznych wersji tego samego stworzenia. Niektóre płazy, na przykład salamandry,

potrafiły zregenerować utracone odnóże. Agencja Projektów Badawczych Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych wydawała miliony dolarów na doświadczenia nad regeneracją u ssaków. Ludzie z Departamentu Obrony twierdzili, że pragną zregenerować palce i kończyny utracone przez wojennych weteranów, jednak krążyły pogłoski o bardziej ambitnych próbach regeneracji. Jeden z pracujących na zlecenie rządu naukowców przedstawił komisji kongresowej wizję przyszłego amerykańskiego żołnierza, będącego w stanie przeżyć ciężką ranę postrzałową, która zagoi się błyskawicznie i pozwoli mu kontynuować walkę.

Najwidoczniej fundacja Evergreen zaszła dużo dalej, niż pozwalały wstępne eksperymenty nad procesami regeneracji. Sprawozdanie z przebiegu eksperymentu opisywało zdolności zwierzęcia-hybrydy, określanego mianem „sklejki”, do powstrzymania w ciągu jednej do dwóch minut silnego krwawienia z ciężkiej rany. W ciągu tygodnia stwor ten był w stanie zregenerować uszkodzone nerwy rdzenia kręgowego. Brakowało opisu, w jaki sposób naukowcy osiągnęli te zdumiewające wręcz rezultaty. Neurolog był pogrążony w powtórnej lekturze raportu, kiedy w bibliotece pojawił się Lawrence Takawa.

- Dopiero co się dowiedziałem, że otrzymał pan w sposób nieuprawniony pewne informacje z zespołu badań genetycznych.

- Jestem zadowolony, że tak się stało - odparł Richardson. - Te informacje są nad wyraz obiecujące. Kto jest kierownikiem programu badawczego?

Zamiast odpowiedzieć, Lawrence wyciągnął telefon komórkowy i wystukał numer.

- Możecie przysłać kogoś do biblioteki? - powiedział do słuchawki. - Dziękuję.

- O co chodzi?

- Fundacja Evergreen nie jest jeszcze gotowa do opublikowania tych odkryć. Jeśli wspomni pan o tym komukolwiek, pan Boone uzna to za złamanie zasad bezpieczeństwa.

Do biblioteki wszedł strażnik, a Richardson poczuł mdłości w trzewiach. Lawrence stał obok boksu z głupim wyrazem twarzy

- Komputer doktora Richardсона wymaga wymiany - oznajmił Lawrence, jak gdyby chodziło o jakąś techniczną awarię. Ochroniarz natychmiast odłączył komputer i wyniósł go z biblioteki. Syn Sparrowa spojrział na zegarek.

- Dochodzi pierwsza. Może pójdziemy razem na lunch?

Neurolog zamówił kanapkę z sałatką z kurczaka i kokilkę zupy z jęczmienia, był jednak zbyt zdenerwowany, by skończyć posiłek. Kiedy wrócił do biblioteki, w jego boksie znajdował się już nowy komputer. Na nowym twardym dysku nie było już pliku z raportem, ale informatycy fundacji zainstalowali wyrafinowany symulator do gry w szachy. Wykładowca z Yale usiłował nie rozważać negatywnych konsekwencji, ale z trudem mógł zapanować nad myślami. Przez resztę dnia nerwowo ćwiczył różne warianty zakończeń partii szachowych.

Pewnego wieczoru po kolacji Richardson pozostał dłużej w stołówce dla obsługi. Dokładał starań, by oddać się lekturze artykułu z „New York Timesa” poświęconego czemuś, co nazwano „Nową Duchowością”, gdy do sąsiedniego stolika dosiadła się grupa młodych programistów komputerowych i opowiadała głośno dowcipy dotyczące pornograficznej gry wideo.

Ktoś dotknął jego ramienia. Doktor odwrócił się i ujrzał Lawrence’a i Takawę w towarzystwie Nathana Boonea. Neurolog od kilku tygodni nie widział szefa służb bezpieczeństwa fundacji i nabrał przekonania, że strach, który czuł wcześniej, był irracjonalny. Teraz, gdy Boone spoglądał mu w oczy, uczucie lęku powróciło. Było w tym człowieku coś, co budziło nieodpartą grozę.

- Mam wspaniałe wieści - odezwał się Lawrence. - Jeden z naszych współpracowników zadzwonił przed chwilą z informacją o testowanym przez nas środku farmakologicznym o symbolu 3B3. Naszym zdaniem jest szansa, że pomoże on Michaelowi Corriganowi przejść do innych wymiarów.

- Kto opracował ten środek?

Lawrence wzruszył ramionami, jak gdyby nie było to ważne.

- Tego nie wiemy.

- Będę mógł zapoznać się ze sprawozdaniami z badań laboratoryjnych?

- Nie istnieją.

- Kiedy mogę otrzymać próbkę tego specyfiku?

- Pojedzie pan ze mną - wtrącił się do rozmowy Boone. - Wybierzemy się razem na jej poszukiwanie. Jeśli znajdziemy źródło, będzie pan musiał dokonać szybkiej oceny środka 3B3.

Obaj mężczyźni wyszli natychmiast, a następnie pojechali sportowym autem Boone'a do centrum Nowego Jorku, na Manhattan. Boone miał na głowie słuchawkę i mikrofon podłączone do telefonu i po drodze odebrał kilka rozmów - nie mówiąc choćby jednego konkretnego słowa i nie wymieniając żadnego nazwiska. Słuchając oderwanych komentarzy, Richardson domyślał się, że ludzie Boonea szukają w Kalifornii jakiejś osoby, której strzegła niebezpieczna kobieta, specjalistka od ochrony osobistej.

- Jeśli ją znajdziecie, patrzcie jej na ręce i nie pozwólcie, by zbliżyła się do was - powiedział do kogoś szef służb ochrony. - Oceniałbym, że strefa bezpieczeństwa wynosi około dwóch i pół metra.

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym Boone otrzymał kolejną informację.

- Nie sądzę, żeby Irlandka była w Ameryce - wyraził swoją opinię. - Moje źródła w Europie donoszą, że zniknęła gdzieś bez śladu. Jeśli ją zobaczycie, podejmujcie bardzo stanowcze działania. Ona nie ma żadnych zahamowań. Jest niezwykle niebezpieczna. Wiecie, co się stało na Sycylii? Tak? Dobrze, nie zapominajcie o tym.

Boone wyłączył telefon i skoncentrował się na jeździe. Światelka z tablicy rozdzielczej odbijały się w soczewkach jego okularów.

- Doktorze Richardson, dotarły do mnie informacje, że przeglądał pan nieuprawnione informacje z zespołu badań genetycznych.

- To był zupełny przypadek, panie Boone. Naprawdę nie zamierzałem...

- Ale niczego pan nie widział.

- Niestety widziałem, ale...

Boone spojrział na Richardsona karcącym wzrokiem, jakby neurolog był krnąbrnym dzieciakiem.

- Niczego pan nie widział - powtórzył.

- Nie. Chyba jednak nie widziałem.

- No i dobrze - pochwalił Boone, zjeżdżając na prawy pas i skręcając w stronę New York City.

Dochodziła już dziesiąta wieczorem, kiedy dotarli na Manhattan. Doktor Richardson spoglądał przez okno na bezdomnego mężczyznę grzebiącego w koszu na śmieci i na grupę roześmianych młodych kobiet wychodzących z restauracji. W porównaniu z cichym otoczeniem centrum badawczego śródmieście Nowego Jorku wydawało się bardzo hałaśliwe i ogarnięte rozgardiaszem. Czy rzeczywiście bywał w tym mieście z byłą żoną, odwiedzał teatry i jadał w restauracjach? Boone pojechał na wschodnią stronę i za-

parkował przy Dwudziestej Ósmej. Wysiedli i ruszyli piechotą w kierunku ciemnych zabudowań Bellevue Hospital.

- Co tu właściwie robimy? - zapytał neurolog.

- Zamierzamy spotkać się z osobą, którą fundacja Evergreen uznaje za przyjaciela - odparł Boone, rzucając w jego kierunku szybkie, taksujące spojrzenie. - Dzisiaj wieczorem odkryje pan, jak wielu ma pan nowych przyjaciół na tym świecie.

Szef służb bezpieczeństwa podał wizytówkę znużonej kobiecie siedzącej w recepcji; pozwoliła im pójść do windy i wjechać na oddział psychiatryczny. Na szóstym piętrze za ścianką z pleksioglasu siedział umundurowany szpitalny ochroniarz. Na jego twarzy nie pojawiło się zdziwienie, kiedy Boone z pochwy pod ramieniem wyciągnął automatyczny pistolet i włożył go do niedużego, szarego sejfu. Weszli na oddział. Czekał na nich niski Latynos w białym laboratoryjnym fartuchu. Uśmiechnął się i wyciągnął na powitanie obie ręce, jakby przyjechali na urodzinowe przyjęcie.

- Dobry wieczór, panowie. Który z was to doktor Richardson?

- To ja.

- Miło mi poznać. Jestem doktor Raymond Flores. Ktoś z fundacji Evergreen poinformował mnie, że wpadniecie z wieczorną wizytą.

Doktor Flores poprowadził ich korytarzem. Chociaż pora była późna, kilku pacjentów w zielonych bawełnianych piżamach i szlafrokach kręciło się po oddziale. Wszyscy byli nafaszerowani lekami i poruszali się powoli. Ich oczy były martwe, a szpitalne kapcie lekko szurały, gdy sunęli nimi po posadzce z glazury.

- Zatem pracuje pan dla fundacji? - zapytał Latynos.

- Tak. Kieruję jednym ze specjalnych projektów - odparł neurolog.

Doktor Flores minął kilka sal z pacjentami i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

- Człowiek z fundacji o nazwisku Takawa prosił mnie, żebym przyjrzał się delikwentom, którzy znajdują się pod wpływem tego nowego drażniwa 3B3 rozprowadzanego na ulicach. Jak dotąd nikt nie przeprowadził analiz chemicznych, ale wydaje się, że to środek halucynogeny o niezwyklej sile. Ludzie, którzy go zażywają, twierdzą, że odlatują do innych światów.

Flores otworzył drzwi i wszedł do izolatki, w której cuchnęło moczem i wymiocinami. Jedyne źródłem światła była osłonięta drucianą siatką żarówka na suficie. Młody mężczyzna w płóciennym kaftanie bezpieczeństwa leżał na posadzce wyłożonej zielonymi płytkami. Głowę miał ogoloną, ale na skórze czaszki pojawił się już krótki język jasnych włosów.

Pacjent otworzył oczy i uśmiechnął się do stojących nad nim trzech mężczyzn.

- Witam wszystkich. Dlaczego nie ulżycie sobie i nie powyciągacie sobie mózgow?

Doktor Flores wygładził plakietkę na swoim fartuchu i uśmiechnął się życzliwie.

- Terry, ci panowie chcieliby się czegoś dowiedzieć o 3B3.

Terry mrugnął dwa razy, a Richardson zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle zamierza się odezwać. Nagle zaczął odpychać się nogami, dociskając biodra do ściany, po czym zmusił się w ten sposób do przyjęcia pozycji siedzącej.

- Drag to mało powiedziane. To prawdziwy odlot.

- Wstrzykujesz sobie to paskudztwo, wciągasz nosem, wdychasz czy może połykasz? - zapytał Boone spokojnym i celowo obojętnym głosem.

- To jest płyn, jasnoniebieski, jak letnie niebo. - Terry zamknął oczy na kilka sekund i znów je otworzył.

- Wypiłem to w klubie, a potem wyrwałem się z cieleśnej powłoki i pofrunąłem, przelatując nad wodą i ogniem do pięknego lasu. Ale nie byłem w stanie zatrzymać się tam na dłużej niż kilka chwil - wyznał ze smutkiem. - Oczy jaguara były zielone.

- Gdzie możemy zdobyć 3B3? - zapytał Richardson.
Terry znów przymknął oczy i uśmiechnął się błogo.
- Wiecie, ile on kasuje za jedną działkę? Trzysta trzydzie-
ści trzy baksy. Twierdzi, że to magiczna liczba.
- Kto cześciej taką świętą kasę? - chciał wiedzieć Boone.
- Pius Romera Można go zawsze spotkać w Chan Chan
Room.
- To klub taneczny w centrum - wyjaśnił doktor Flores. -
Mieliśmy kilku pacjentów, którzy przedawkowali właśnie tam.
- Ten świat jest zbyt mały - wyszeptał Terry. - Jesteście
w stanie to zrozumieć? Jest jak marmurowa kulka wrzucona
przez dziecko do stawu.
Ruszyli z powrotem korytarzem w ślad za Floresem.
Boone odszedł na bok i natychmiast zadzwonił do kogoś
z telefonu komórkowego.
- Czy badał pan innych pacjentów, którzy zażywali ten
sam środek? - zapytał na koniec Richardson.
- To czwarty przypadek przyjęty w ciągu ostatnich dwóch
miesięcy Stosowaliśmy w ich wypadku kombinowaną terapię,
podając przez kilka dni fontex i valdov, aż osiągnęli stan kata-
tonii, później obniżaliśmy dawkowanie i przywracaliśmy ich
do świata realnego. Po jakimś czasie jaguar znika.

Boone zaprowadził Richardsona do sportowego auta.
Odebrał dwa kolejne telefony, za każdym razem powiedział
„tak” do każdego z rozmówców, po czym wyłączył komórkę.
- Co teraz robimy? - zapytał neurolog.
- Następny przystanek w Chan Chan Room.
Przed wejściem do klubu przy Pięćdziesiątej Trzeciej
stały dwa rzędy zaparkowanych limuzyn i czarnych miej-
skich aut. Za aksamitną liną tłoczyli się ludzie, czekając,
aż bramkarze sprawdzą ich wykrywaczami metali. Kobiety

stojące w kolejce były ubrane w krótkie sukienki lub spódnice z cienkiego materiału z wysokimi rozcięciami z boku.

Boone przejechał obok tłumku i zatrzymał się obok samochodu typu sedan, zaparkowanego dalej, w połowie kwartału. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni i podeszli do okna od strony Boonea. Jeden z nich był niskim Afroamerykaninem i miał na sobie drogą samochodową kurtkę z zamszu. Jego biały partner był wzrostu futbolowego napastnika. Nosił wojskową kurtkę z demobilu i wyglądał tak, jakby chciał dopaść kilku przechodniów i rzucić nimi o chodnik.

Murzyn wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cześć, Boone. Kupa czasu - odezwał się i skinął głową w stronę neurologa. - Kim jest twój nowy przyjaciel?

- Doktorze Richardson, to jest detektyw Mitchell, a to jego partner, detektyw Krause.

- Dostaliśmy wiadomość od ciebie, przyjechaliśmy tu i pogadaliśmy z bramkarzami - głos Krausego był niski i chrapliwy - Twierdzą, że ten gość, Romero, wszedł tu przed godziną.

- Wy dwaj idźcie na tył obstawić drzwi pożarowe - włączył się do rozmowy Mitchell. - My wyprowadzimy go na zewnątrz.

Boone zakręcił szybę i pojechał w dół ulicy. Zaparkował dwa kwartały od klubu, następnie sięgnął pod przednie siedzenie i znalazł czarną skórzaną rękawiczkę.

- Pójdzie pan ze mną, doktorze. Mister Romero może dysponować jakimiś informacjami.

Richardson podążył ulicą za szefem ochrony w kierunku tylnego wyjścia Chan Chan Room. Przez stalowe drzwi pożarowe docierały rytmiczne, pulsujące dźwięki muzyki. Kilka chwil później drzwi otworzyły się z impetem, wyszedł z nich detektyw Krause i popchnął na chodnik chudego Portorykańczyka. Drugi policjant, nie tracąc nic z uroczej prezencji, doskoczył do leżącego i kopnął go w brzuch.

- Panowie, chcielibyśmy przedstawić wam Piusa Romero. Siedział w sali dla VIP-ów, popijając coś owocowego z ma-

lenką parasolką. To chyba nie jest w porządku? Krause i ja jesteśmy oddanymi funkcjonariuszami publicznymi, a nigdy nie zaproszono nas do takiej sali dla bardzo ważnych gości.

Pius Romero leżał na asfalcie, z trudem chwytając oddech. Boone włożył czarną rękawiczkę. Spoglądał na Portorykańczyka takim wzrokiem, jakby ten był pustym pudłem z kartonu.

- Posłuchaj mnie uważnie, Pius. Nie przyszliśmy tu, żeby cię aresztować, ale potrzebne mi są pewne informacje. Jeśli choć odrobinę skłamiesz, moi przyjaciele odnajdą cię i zadadzą ci mnóstwo cierpień i bólu. Zrozumiałeś? Pokaż mi, że rozumiałeś...

Pius usiadł i dotknął otartej skóry na łokciu.

- Nie robię niczego złego.

- Kto dostarcza 3B3?

Nazwa narkotyku sprawiła, że młody mężczyzna nieco się wyprostował.

- Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- Sprzedałeś to paru gościom. Od kogo to kupiłeś?

Pius zdołał stanąć na równe nogi i rzucił się do ucieczki, ale Boone zdołał go chwycić. Zaciągnął narkotykowego dilerę pod ścianę i zaczął bić go w twarz prawą ręką. Za każdym razem, gdy pięść w skórzanej rękawiczce uderzała w twarz Romero, rozlegał się tępy odgłos. Z nosa i ust Portorykańczyka zaczęła ciec strużka krwi.

Doktor Richardson rozumiał, że przemoc, którą miał przed oczyma, była prawdziwa, bardzo prawdziwa, ale odczuwał obojętność wobec tego, co się działo. Miał wrażenie, że stoi krok z tyłu, oddalając się od rzeczywistości, jakby oglądał film na telewizyjnym ekranie. Gdy Portorykańczyk wciąż otrzymywał razy, on patrzył na dwójkę detektywów. Mitchell uśmiechał się, z kolei Krause kiwał głową, jak fan koszykówki, który przed momentem zobaczył fantastyczny rzut za trzy punkty

Głos Boonea był spokojny i rzeczowy.

- Złamałem ci nos, Pius. Teraz zamierzam uderzyć ku górze i zmiażdżyć kość nosową między oczodołami. Ta kość

nie zrośnie się nigdy. To nie złamana ręka czy noga. Będziesz cierpiał do ostatniego dnia swej nędznej egzystencji.

Pius Romero uniósł ręce jak dziecko.

- Czego chcesz? - wyjęczał. - Nazwisk? Podam ci nazwiska. Powiem ci wszystko...

Około drugiej w nocy znaleźli wreszcie adres w pobliżu lotniska JFK we Flushing, w Queens. Człowiek, który produkował 3B3, mieszkał w białym domu z szalunkowych desek, a aluminiowe krzesła na werandzie były przymocowane do niej łańcuchem. Okolica była cicha, zamieszкана przez robotników; ludzie zamiatali tu swoje chodniki, a na małych trawnikach przed frontem domu ustawiali figury Matki Boskiej. Boone zaparkował sportowe auto i polecił neurologowi wysiąść. Podeszli razem do policjantów siedzących w swoim samochodzie.

- Potrzebujecie wsparcia? - zapytał Mitchell.

- Zostańcie tu. Doktor Richardson i ja wejdziemy do środka. W razie kłopotów zadzwonię z komórki.

Uczucie obojętności, które chroniło neurologa, gdy szef służb ochrony masakrował twarz Piusa Romero, znikło podczas ich jazdy przez Queens. Doktor Richardson czuł się zmęczony i przestraszony. Chciał uciec jak najdalej od tych trzech mężczyzn, ale miał świadomość, że to nie zda się na nic. Trzęsąc się z zimna, ruszył za Boonem na drugą stronę ulicy.

- Co zamierza pan zrobić? - zapytał.

Boone przystanął na chodniku i spoglądał na światło zapalone w oknie na drugim piętrze.

- Nie wiem. Najpierw muszę ocenić ewentualne zagrożenia.

- Nienawidzę przemocy, panie Boone.

- Tak samo jak ja.
- Niemal zakatował pan na śmierć tego młodego człowieka.

- Przez cały czas byłem daleki od tego - kiedy Boone mówił, z jego ust wychodziły obłoczki białej pary - Powinien pan nieco lepiej poznać historię, doktorze. U podstaw wszystkich wielkich zmian leżały cierpienia i destrukcja.

Obaj mężczyźni ruszyli podjazdem w stronę tylnych drzwi domu. Boone stanął na werandzie i dotknął framugi opuszkami palców. Nagle zupełnie nieoczekiwanie zrobił krok w tył i kopnął drzwi z całych sił tuż ponad klamką. Rozległ się trzask pękających desek i drzwi się otworzyły. Richardson wszedł za nim do wnętrza.

W domu było bardzo ciepło, a wnętrze wypełniał ostry i cuchnący zapach, zupełnie jakby ktoś rozlał butelkę z amoniakiem. Przeszli przez ciemną kuchnię, przy czym neurolog nastąpił niechętny na naczynie z wodą. Po kuchni i na blatach kręciły się jakieś zwierzaki. Boone nacisnął włącznik górnego światła.

- Koty - powiedział szef ochrony, niemal wypluwając z siebie to słowo. - Nienawidzę kotów. Nie można ich niczego nauczyć.

W kuchni były cztery, na kolejne dwa natrafili w korytarzu. Zwierzaki poruszały się bezgłośnie na miękkich poduszkach łapek, a w ich oczach - na przemian złotych, czerwonych i ciemnozielonych - odbijały się refleksy przyćmionego światła. Wygięte ogony przypominały znak zapytania, wąsy badały powietrze.

- Na górze jest zapalone światło - powiedział Boone. - Zobaczmy, kto jest w domu.

Jeden za drugim weszli drewnianymi schodami na drugie piętro. Szef ochrony otworzył drzwi i wszedł na strych, którego wnętrze zostało zamienione na laboratorium. Były tu stoły i laboratoryjne szkło. A także spektrograf, mikroskopy i palnik Bunsena.

W wiklinowym fotelu siedział starszy człowiek, na jego kolanach leżał biały kot rasy perskiej. Mężczyzna był elegancko ogolony i schludnie ubrany nosił dwuogniskowe okulary zsunięte na dół, na czubek nosa. Wejście intruzów zdawało się wcale go nie zdziwić.

- Dobry wieczór, panowie - jego wymowa była bardzo precyzyjna, podkreślał każdą sylabę. - Wiedziałem, że prędzej czy później zjawicie się tutaj. Prawdę powiedziawszy, przewidziałem to. Trzecia zasada dynamiki Newtona głosi, że każdemu działaniu towarzyszy inne, równe mu co do wartości, ale o przeciwnym kierunku.

Boone obserwował starca tak, jakby ten miał zamiar zerwać się do ucieczki.

- Nazywam się Nathan Boone. Jak pańska godność?

- Lundquist. Doktor Jonathan Lundquist. Jeśli jesteście z policji, możecie bezzwłocznie opuścić to miejsce. Nie zrobiłem niczego sprzecznego z prawem. Nie ma przepisu zabraniającego produkcji 3B3, bo nikt w rządzie nie wie, że coś takiego istnieje.

Kot szylkretowy próbował otrzeć się o nogę szefa ochrony, ale Boone wymierzył mu kopniaka.

- Nie jesteśmy glinami.

Starszy mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

- W takim razie musicie być... Tak, to oczywiście... Pracujecie dla Braci.

Twarz szefa ochrony wyglądała tak, jakby znów zamierzał założyć czarną skórzaną rękawiczkę i złamać starcowi nos. Richardson potrząsnął przecząco głową. Nie ma potrzeby tego robić. Podeszedł do starszego mężczyzny i usiadł na składanym krześle.

- Jestem doktor Phillip Richardson, zajmuję się badaniami neurologicznymi na Uniwersytecie Yale.

Lundquist wydawał się zadowolony ze spotkania z innym naukowcem.

- I teraz pracuje pan dla fundacji Evergreen...

- Tak. Prowadzę projekt specjalny.
- Przed wieloma laty wnioskowałem do fundacji o przyznanie mi stypendium badawczego, ale nie otrzymałem nawet odpowiedzi na swoją propozycję. Było to jeszcze zanim dowiedziałem się o istnieniu Travelerów z buntowniczych witryn w Internecie - starzec uśmiechnął się ciepła - Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie pracować samodzielnie. Żadnych formularzy do wypełniania. Nikt nie patrzy na ręce, nie zagląda przez ramię.

- Czy usiłował pan powielić doznania Travelerów?
- Pragnąłem osiągnąć znacznie więcej, doktorze. Dążyłem do uzyskania odpowiedzi na kilka pytań o fundamentalnym charakterze - Lundquist przestał głaskać perskiego kota, który zeskoczył z jego kolan. - Kilka lat temu pracowałem w Princeton, gdzie wykładałem chemię organiczną...

Spojrzał na neurologa z Uniwersytetu Yale.

- Miałem naprawdę spore osiągnięcia, żadnego efekciarstwa. Zawsze interesowałem się całościowym obrazem. Nie wyłącznie chemią, ale również innymi obszarami wiedzy. Pewnego popołudnia udałem się na seminarium dla absolwentów wydziału fizyki, którego tematem było coś, co nazywano teorią bran.

Współcześnie fizycy natrafiają na wiele poważnych problemów. Koncepcje objaśniające kształt wszechświata, jak choćby ogólna teoria względności Einsteina, nie są wewnętrznie spójne, jeśli przejdziemy do poziomu subatomowego świata mechaniki kwantowej. Niektórzy specjaliści z tej dziedziny starali się ominąć te sprzeczności, tworząc teorię kwarków, koncepcję głoszącą, że wszystko składa się malutkich, subatomowych cząstek drgających w wielowymiarowej przestrzeni. Opis matematyczny takiego modelu wydaje się sensowny, jednak kwarki są na tyle małe, że eksperymentalne udowodnienie ich istnienia okazało się niemożliwe.

Teoria bran to krok dalej, ponieważ usiłuje znaleźć wyjaśnienie o charakterze kosmologicznym. „Braną” jest skrótem

od wyrazu „membrana”. Autorzy koncepcji są przekonani, że wszechświat dostępny naszej percepcji ma postać swego rodzaju błony utworzonej przez czas i przestrzeń. Zwykle posługujemy się analogią, że nasza galaktyka przypomina kożuch glonów na powierzchni stawu... Cienką warstwę unoszącą się na dużo większej masie czegoś. Cała materia, w tym nasze własne ciała, są uwięzione w naszych branach, jednak grawitacja może przenikać do głównej masy albo wpływać delikatnie na nasz fizyczny świat. Inne brany, inne wymiary, inne światy - obojętne, jakiego określenia użyjemy - mogą się znajdować bardzo blisko nas, my jednak pozostajemy całkowicie nieświadomi ich istnienia. Przyczyną tego stanu jest to, że ani światło, ani dźwięk czy też radioaktywność nie mogą się wydostać poza własny wymiar.

Czarny kot podszedł do Lundquista, a naukowiec podrapał czworonoga za uszami.

- Tak prezentuje się ta teoria, przynajmniej w dużym uproszczeniu. Miałem w głowie tę koncepcję, kiedy udałem się na wykład pewnego mnicha z Tybetu, który przybył do Nowego Jorku. Siedzę tam sobie i słucham tego, co mówi o sześciu różnych światach buddyjskiej kosmologii, i nagle dociera do mnie, że opisuje brany... Różne wymiary i oddzielające je bariery. Istniała jednak pewna zasadnicza różnica: moi koledzy z Princeton nie byli w stanie wyobrazić sobie możliwości przechodzenia do tych różnych miejsc. A na przykład Traveler ma taką umiejętność. Fizyczne ciało nie, ale Światło, które jest w nas.

Lundquist odchylił się na oparcie fotela i uśmiechnął do swoich gości.

- Ten związek między pierwiastkami duchowości i fizyki sprawiał, że zacząłem postrzegać naukę w nowy sposób. Zgniatamy teraz atomy i rozdzielamy na części chromosomy. Docieramy na dno oceanów i patrzymy daleko w kosmos. Jednak tak naprawdę nie badamy tego, co kryje się w naszych czaszkach, poza bardzo pobieżnymi kwestiami. Ludzie

posługują się technikami rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej, by obejrzeć mózg, ale to podejście jest bardzo wąskie i fizjologiczne. Nikt nie zdaje sobie sprawy, jakie ogromne rozmiary ma nasza świadomość. Dzięki niej utrzymujemy więź z resztą wszechświata.

Richardson rozejrzał się po pomieszczeniu i dostrzegł pręgowanego kota ulokowanego na skórzanej teczce przykrytej po części stertą brudnych papierów. Starając się nie budzić czujności Lundąuista, powstał i zrobił kilka kroków w kierunku stołu.

- I wtedy rozpoczął pan własne eksperymenty?

- Tak. Początkowo w Princeton. Potem odszedłem na emeryturę i przeniósłem się tu, by zaoszczędzić pieniądze. Proszę pamiętać, że jestem chemikiem, nie fizykiem. Postanowiłem więc podjąć poszukiwania substancji, która umożliwiłaby wyzwolenie Światła z naszej fizycznej cielesności.

- I opracował pan formułę...

- To nie jest prosta recepta, jak przepis na ciasto - w głosie Lundąuista dało się wyczuć rozdrażnienie. - 3B3 to żywy organizm. Nowy szczep bakterii. Po wypiciu wodnego roztworu są one absorbowane przez nasz system nerwowy.

- Brzmi to groźnie.

- Zażywałem preparat dziesiątki razy. I wciąż pamiętam, żeby w czwartki wystawić kubły ze śmieciami, nie zapominał też o płaceniu rachunków za prąd.

Pręgowany kot, mrużąc, ruszył w stronę Richardsona, kiedy ten doszedł do stołu.

- Czy 3B3 pozwoliło panu zobaczyć inne światy?

- Nie. To jest porażka. Może się pan nałykać tego do oporu, ale to nie przemieni pana w Travelera. Podróż jest bardzo krótka, krótki kontakt zamiast właściwego lądowania. Czasu wystarczy jedynie na zapamiętanie jednego czy dwóch obrazów i już trzeba wracać.

Neurolog otworzył teczkę i wpatrywał się w poplamione wykresy i odręczne notatki.

- Czy miałby pan coś przeciw temu, byśmy wzięli próbkę z bakteriami i komuś podali preparat?

- W żadnym razie. Nieco bakterii znajdzie pan na szalce Petriego, która znajduje się na stole przed panem. Ale moim zdaniem tylko zmarnuje pan czas. Jak panu mówiłem, to nie działa. Dlatego właśnie zacząłem podawać specyfik Piusowi Romero, który zimą zwykle odśnieża mój podjazd. Sądziłem, że być może coś jest nie w porządku z moją świadomością. Okazało się jednak, że przyczyną fiaska nie byłem ja. Za każdym razem, kiedy Pius wraca po następną dawkę, nalegam, żeby opisywał mi wszystko ze szczegółami. Ludzie doznają wizji podróżowania do innych światów, ale nie są w stanie tam pozostać.

Richardson podniósł ze stołu szalkę Petriego. Szczep bakterii o niebieskozielonej barwie rósł na eleganckim, wypukłym kawałku agarowego żelu.

- Czy to jest właśnie to?

- Tak. Porażka. Wracajcie, proszę, do Braci i powiedzcie im, żeby zajrzeli do klasztoru. Niech się modlą. Medytują. Studiują Biblię, Koran lub kabałę. Nie istnieje szybki sposób na opuszczenie naszego małego, nędznego świata.

- A gdyby Traveler zażył 3B3, jakie byłyby skutki? - zapytał neurolog. - Czy specyfik pozwoliłby mu na rozpoczęcie drogi, którą mógłby później zakończyć samodzielnie?

Doktor Lundquist pochylił się do przodu, a Richardson pomyślał, że starzec chce wyskoczyć z fotela.

- To interesujący pomysł - odparł. - Ale czyż wszyscy Travelerzy nie zostali zgładzeni? Bracia wydali wielkie pieniądze, by ich wyróżnić. Ale kto wie? Może będą w stanie znaleźć jakiegoś niedobitka ukrywającego się na Madagaskarze lub w Katmandu.

- Znaleźliśmy Travelera gotowego do współpracy.

- Chcecie się nim posłużyć?

Doktor Richardson przytaknął.

- Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego Bracia to robią? Neurolog wziął teczkę i szalkę Petriego.

- To zdumiewające odkrycie, doktorze. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

- Nie oczekuję komplementów, tylko wyjaśnienia. Dlaczego Bracia zmienili dotychczasową strategię?

Boone zbliżył się do stołu.

- Czy po to właśnie przyszliśmy, doktorze? - zapytał miękko głosem Richardsona.

- Tak sądzę.

- Nie będziemy tu wracać. Lepiej, żeby pan był pewny.

- To wszystko, czego potrzebujemy. Niech pan posłucha, nie chcę, żeby doktora Lundquista spotkało coś przykrego.

- Ależ oczywiście, doktorze. Rozumiem, co pan czuje. Ten człowiek nie jest kryminalistą, jak Pius Romero - Boone łagodnie położył dłoń na ramieniu neurologa i skierował go ku drzwiom. - Niech pan idzie do samochodu i zaczeka. Muszę wyjaśnić doktorowi Lundquistowi nasze spojrzenie na kwestie bezpieczeństwa. To nie potrwa długo.

Richardson zszedł schodami na dół, przeszedł przez kuchnię i wyszedł tylnymi drzwiami. Zimne powietrze zakłuło go ostro w oczy, w których pojawiły się łzy, jakby miał się rozpląkać. Kiedy stał na werandzie, poczuł się tak zmęczony, że zapragnął natychmiast, położyć się i zwinąć w kłębek. Jego życie zmieniło się już na zawsze, ale organizm wciąż tłoczył krew, trawił pokarm i wchłaniał tlen. Przestał być naukowcem publikującym fachowe artykuły i marzącym o Nagrodzie Nobla. W jakiś dziwny sposób zrobił się mniejszy, niemal niezauważalny, niczym maleńki element skomplikowanego mechanizmu.

Wciąż trzymając w dłoni szalkę Petriego, neurolog ruszył podjazdem, powłóczęgając nogami. Najwyraźniej rozmowa Boone'a z doktorem Lundquistem nie zajęła dużo czasu. Dogonił go, zanim zdążył wsiąść do samochodu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Richardson.

- Oczywiście - odparł szef służb ochrony fundacji. - Wiedziałem, że nie będzie problemów. Czasem najlepiej

wyjaśnić sprawy prosto i otwarcie. Bez zbędnych słów. Bez fałszywej dyplomacji. Przedstawiłem stanowcze stanowisko i uzyskałem pozytywną odpowiedź.

Boone otworzył drzwi samochodu i wykonał ironiczny ukłon, niczym beczelny kierowca.

- Musi pan być zmęczony, doktorze Richardson. To była długa noc. Jeśli pan pozwoli, zawiozę pana z powrotem do ośrodka badawczego.

Hollis przejeżdżał obok budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Michaela Corrigan, o dziewiątej rano, o drugiej po południu i o siódmej wieczorem. Wpatrywał tabulskich najemników, czatujących w zaparkowanych samochodach lub na ławkach w parku, ludzi udających pracowników zakładu energetycznego albo służb miejskich. Po każdym przejeździe parkował przed salonem kosmetycznym i notował wszystko, co zauważył. „Starsza pani pchająca wózek z zakupami. Mężczyzna z brodą montujący w samochodzie fotelik dla dziecka”. Kiedy po upływie pięciu godzin przyjechał kolejny raz, porównał notatki i nie dostrzegł żadnych podobieństw. Oznaczało to jedynie tyle, że Tabulowie nie czekają na zewnątrz apartamentowca. Być może siedzieli w mieszkaniu ulokowanym naprzeciw apartamentu wynajmowanego przez Michaela.

Plan obmyślił po zakończeniu wieczornych zajęć *capoeiry*. Następnego dnia włożył niebieski bawełniany kombinezon, zabrał też mopa i wiadro na kółkach - sprzęt używany do mycia podłogi w jego szkole. Kompleks, w którym mieszkał Michael, zajmował cały kwartał przy bulwarze Wilshire w pobliżu Barrington. Obejmował trzy drapacze chmur, towarzyszący im czteropoziomowy garaż oraz duży wewnętrzny dziedziniec z basenem i kortami tenisowymi.

Działaj w sposób celowy i rozważny, pomyślał Hollis. Me musisz walczyć z Tabularni. Zagraj im po prostu na nosie. Zaparkował samochód dwa kwartały od wejścia, nalał do wiadra dwa dzbanki wody z mydlinami, zanurzył w tym mopa i zaczął

szorować chodnik. Kiedy zbliżył się do wejścia, starał się myśleć jak dozorca - i odgrywać jego rolę.

Dwie starsze damy wyszły z budynku, kiedy do niego dotarł.

- Dopiero co umyłem chodnik - odezwał się do nich. - I cała robota na marne, bo ktoś narobił śladów w jednym z korytarzy

- Ludzie powinni nauczyć się trochę manier - powiedziała jedna z pań. Jej przyjaciółka przytrzymała drzwi, żeby Hollis mógł wcisnąć się z wiadrem do holu.

Hollis skinął głową i uśmiechnął się do starszych pań, gdy odchodziły. Oczekał kilka sekund, następnie poszedł w kierunku wind. Gdy zjechała pierwsza z nich, wjechał sam na ósme piętro. Mieszkanie Michaela Corrigan'a znajdowało się w końcu korytarza.

Jeśli tabulscy najemnicy ukryli się w apartamencie naprzeciwko i obserwowali go przez judasza, musiał natychmiast zmyślić jakąś historyjkę. „Mister Corrigan płaci mi za sprzątanie chaty Tak, proszę pana. Robię to raz w tygodniu. Czy pan Corrigan wyjechał? Nie wiedziałem, że wyjechał. Nie płaci mi od miesiąca”.

Posługując się kluczem, który dostał od Gabriela, Hollis otworzył drzwi i wszedł do środka. Był czujny, gotów do odparcia ewentualnego ataku, ale nikt się nie pojawił. W apartamencie było duszno, w powietrzu wisiał kurz. Na stoliku do kawy leżał „Wall Street Journal” sprzed dwóch tygodni. Postawił wiadro i mopa obok drzwi i ruszył pośpiesznie do sypialni starszego z braci Corriganów. Znalazł aparat telefoniczny, wyciągnął kieszonkowy magnetofon, po czym wybrał numer domowy Maggie Resnick. Nie było jej w domu, ale Hollis wcale nie miał zamiaru z nią rozmawiać. Był pewien, że Tabulowie założyli podsłuch linii telefonicznych. Gdy zgłosiła się automatyczna sekretarka w aparacie Maggie, instruktor sztuk walki włączył magnetofon i przyłożył go do słuchawki.

„Cześć, Maggie. Mówi Gabe. Zamierzam wyjechać z Los Angeles i ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu. Dzięki za wszystko. Do zobaczenia”.

Hollis wyłączył urządzenie, odłożył słuchawkę i szybko opuścił apartament. Był bardzo napięty, gdy pchał wiadro wzdłuż korytarza. Nadjechała winda. Wsiadł do środka. *W porządku, pomyślał. To było całkiem łatwe. Nie zapominaj, że jesteś dozorcą.*

Gdy winda zjechała do holu, Hollis wypchnął wiadro z wodą i skinął w stronę młodej pary z cocker-spanielem. Drzwi wejściowe otworzyły się i do środka wbiegło trzech tabulskich najemników. Wyglądali na funkcjonariuszy palej i, którzy właśnie w ten sposób zarabiają na chleb. Jeden z nich miał na sobie dżinsową kurtkę, dwaj pozostali byli przebrani za malarzy. Nieśli ręczniki i brudne szmaty, które zakrywały ich dłonie.

Hollis zignorował ich, gdy go mijali. Był już zaledwie półtora metra od wyjścia, gdy starszy Latynos otworzył drzwi prowadzące do części dziedzińca z basenem.

- Hej, co się dzieje? - zapytał Hollisa.

- Na piątym piętrze ktoś rozbił butelkę z sokiem z żurawin. Właśnie zrobiłem z tym porządek.

- Nie widziałem tego w porannym raporcie.

- To zdarzyło się przed chwilą - Hollis był już w drzwiach i prawie dotykał klamki.

- Poza tym, czy to jest robota Freddyego? Dla kogo pracujesz?

- Zostałem zatrudniony dopiero niedawno...

Zanim zdołał dokończyć zdanie, wyczuł ruch za sobą. Po chwili ktoś docisnął do jego szyi twardą i chłodną stal pistoletowej lufy.

- On pracuje dla nas - odezwał się jeden z najemników.

- Zgadza się - przytaknął drugi. - Ale jeszcze nie skończył.

Obok Hollisa stali dwaj mężczyźni przebrani za malarzy. Kazali mu zawrócić i zaprowadzili go z powrotem do windy.

Człowiek w dżinsowej kurtce rozmawiał z dozorcą, pokazując mu jakieś oficjalne zezwolenie.

- O co chodzi? - mężczyzna z dredami starał się wyglądać na zdziwionego i przestraszonego.

- Zamknij się - wyszeptał wyższy z najemników. - Nie próbuj pisać nawet cholernego słowa.

Hollis i dwaj malarze weszli do windy. W ostatniej chwili do środka wcisnął się jeszcze facet w dżinsowej kurtce i nacisnął guzik z numerem 8.

- Jak się nazywasz? - zapytał ten w dżinsie.

- Tom Jackson. Jestem tu dozorcą.

- Nie wciskaj nam pieprzonego kitu - wtrącił niższy z malarzy. To on miał pistolet. - Facet na dole nie wiedział, kim jesteś.

- Wynajęto mnie do roboty tutaj dopiero dwa dni temu.

- Jak się nazywa firma, która zleciła ci tę robotę?

- To był Mister Regal.

- Pytałem o nazwę firmy. >

Hollis przesunął się nieco, schodząc z linii strzału. ' i

- Przykro mi, proszę pana. Naprawdę bardzo mi przykro. Wiem tylko, że wynajął mnie Mister Regal i kazał mi...

Błyskawicznie wykonał półobrót, chwycił rękę uzbrojonego napastnika i wykręcił ją do tyłu. Prawą ręką uderzył go w jabłko Adama. Pistolet wypalił, czyniąc niesamowity hałas w małej przestrzeni, drugi z malarzy został trafiony. Wył z bólu, gdy Hollis wykonał obrót i wbił jego łokieć w usta faceta w dżinsach. Następnie mocno wygiął do dołu rękę z pistoletem, aż tabulski najemnik upuścił broń.

Obrót. Atak. Pełny obrót i kolejny cios. W ciągu kilku sekund trzech mężczyzn leżeli na podłodze. Drzwi windy otworzyły się. Hollis nacisnął czerwony guzik blokujący windę i wyszedł na korytarz. Pobiegł nim, znalazł wyjście awaryjne i zbiegł schodami na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Kiedy Michael dorastał na bezdrożach Ameryki, wyrobił w sobie automatyczną reakcję na niestworzone opowieści matki i nierealne projekty Gabriela, jak zarobić pieniądze. „Czas wyruszać do Rzeczywistego Miasta”, zwykł do nich mawiać w takich chwilach, co miało oznaczać, że ktoś w rodzinie musi zachować obiektywne spojrzenie na problemy, z którymi się borykali. Starszy z braci Corriganów uważał sam siebie za burmistrza Rzeczywistego Miasta - nie było to, być może, najwspanialsze miejsce na ziemi, ale przynajmniej wiadomo było, na czym się stoi.

Przebywanie w ośrodku badawczym fundacji sprawiło, że zagubił gdzieś tę umiejętność obiektywnej oceny. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest więźniem. Nawet gdyby udało mu się znaleźć drogę wyjścia z tych zamkniętych pomieszczeń, strażnicy nigdy nie pozwoliliby mu swobodnie wyjść przez bramę i złapać autobusu do Nowego Jorku. Być może utracił na zawsze wolność - jednak w ogóle go to nie martwiło, po raz pierwszy bowiem w życiu ludzie, z którymi się stykał, okazali mu tyle szacunku i poważania, na ile we własnych oczach zasługiwał.

W każdy wtorek dołączał do Kennarda Nasha w dębowym gabinecie, gdzie wspólnie raczyli się drinkami i spożywali kolację. Podczas spotkań mówił głównie generał, wyjaśniając świadome cele kryjące się za pozornie przypadkowymi zdarzeniami. Pewnego wieczoru Nash opisał mu identyfikacyjne radiowe układy scalone wmontowane w paszporty Amerykanów oraz pokazał zdjęcia urządzenia

zwanego szumówką, które potrafiło odczytać zapis w chipie paszportu z odległości ponad dwudziestu metrów. Gdy po raz pierwszy zaproponowano użycie tej technologii, kilku ekspertów było za zastosowaniem paszportów „kontaktowych”, wymagających przeciągnięcia przez szczelinę terminalu, jak karty kredytowe. Jednak przyjaciele Braci urzędujący w Białym Domu uparli się przy wersji emitującej fale radiowe.

- Czy te informacje są zaszyfrowane? - zapytał Michael.

- Oczywiście, że nie. To utrudniłoby dzielenie się tą technologią z innymi rządami.

- A jeśli szumówki dostaną się w ręce terrorystów?

- Z pewnością ułatwiłoby im to odwalanie roboty. Założmy, że po bazarze w Kairze spaceruje turysta. Za pomocą szumówki jego paszport zostaje odczytany i wydaje się, że jest Amerykaninem, który odwiedził Izrael. Do czasu, gdy Amerykanin dojdzie do końca uliczki, po zamachowcu nie pozostanie już nawet ślad.

Starszy z braci Corriganów usiadł na chwilę i próbował zinterpretować pozbawiony wyrazu uśmiech Nasha.

- To nie ma żadnego sensu. Administracja rządowa utrzymuje, że nas chroni, ale w rzeczywistości jej działania zwiększają zagrożenie, na które jesteśmy narażeni.

Dyrektor wykonawczy fundacji zrobił taką minę, jakby jego faworyzowany bratanek popełnił niewinny błąd.

- Tak. To godne pożałowania. Ale na szali trzeba po jednej stronie położyć życie kilku przypadkowych ofiar, a po drugiej stronie władzę, którą daje nam nowa technologia. To jest przyszłość, Michael. Nikt nie jest w stanie tego powstrzymać. Za kilka lat nie będą to tylko paszporty. Każdy będzie nosił ogniwo ochronne i dzięki temu będzie monitorowany przez cały czas.

To właśnie podczas jednej z tych cotygodniowych dyskusji Nash wspomniał o tym, co przydarzyło się Gabrielowi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa brat Michaela został porwany przez pewną kobietę, fanatyczkę pracującą dla grupy terrorystów zwanych Arlekinami. Zanim zdołali zbiec z Los Angeles, zabiła kilku ludzi.

- Mój personel czyni usilne starania, aby ją wytropić - oświadczył były wojskowy. - Nie chcemy, żeby ktoś wyrządził krzywdę twojemu bratu.

- Proszę dać mi znać, kiedy go odnajdziecie.

- Oczywiście - przytaknął Nash, smarując krakersa odrobiną twarożku oraz kawioru i wyciskając na to kropelkę soku z cytryny - Powód, dla którego o tym wspominam, wiąże się z możliwością wyszkolenia Gabriela na Travelera przez wojowniczkę Arlekinów. Jeśli obaj macie tę zdolność, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że spotkacie się w innym świecie. Chciałbym, żebyś przy tej okazji zapytał go o lokalizację jego fizycznego ciała. Kiedy się tego dowiemy, będziemy w stanie go uratować.

- Niech pan o tym zapomni - wyraził sceptycyzm starszy z Corriganów - Gabriel wyruszy w podróż do innych wymiarów jedynie pod warunkiem, że będzie mógł zabrać ze sobą motocykl. Być może Arlekini zdadzą sobie z tego sprawę i puszczą go wolno.

W dzień eksperymentu Michael obudził się wcześniej. Wziął prysznic, założywszy czepek kąpielowy, żeby nie zamokły srebrne płytki, umieszczone na skórze jego głowy. Założył bawełniany T-shirt, spodnie ściągane tasiemką w pasie i gumowe japonki. Tego ranka nie przewidziano

śniadania. Zdaniem doktora Richardsona nie był to dobry pomysł. Michael siedział więc na kanapie i słuchał muzyki, kiedy Lawrence Takawa zastukał cicho do drzwi i wszedł do pokoju.

- Zespół badawczy jest gotowy - oznajmił. - Już czas.
- A jeśli zdecyduję się nie zrobić tego?

Lawrence wyglądał na zaskoczonego.

- To twój wybór, Michael. Ale, co oczywiste, Bracia nie będą zadowoleni z tej decyzji. Musiałbym zadzwonić do generała Nasha i...

- Wyluzuj. Nie zmieniłem zdania.

Starszy z braci Corriganów założył jeszcze na ogoloną głowę czapkę z wełnianej dzianiny i poszedł korytarzem w ślad za asystentem Nasha. Dwaj ochroniarze, jak zawsze w granatowych marynarkach i czarnych krawatach, tym razem formowali coś na kształt straży honorowej - jeden szedł z przodu, drugi zamykał pochód. Niewielka grupka przeszła przez zamknięte drzwi i wyszła na dziedziniec.

Michael był zaskoczony tym, że cały personel zaangażowany w projekt „Przejście” - sekretarki, laboranci i programiści - wyszedł na zewnątrz, żeby popatrzeć na niego, jak przechodzi do grobowca. Większość członków personelu nie rozumiała prawdziwej natury projektu, jednak powiedziano im, że jego rezultaty mają dopomóc w ochronie Ameryki przed jej wrogami, a Michael jest kluczowym elementem tego planu.

Skinął lekko głową, niczym sportowiec pozdrawiający zgromadzone tłumy, i wolnym krokiem przemierzał dziedziniec w kierunku grobowca. Wszystkie te budynki zbudowano i wszystkich tych ludzi zatrudniono dla tej właśnie chwili. *Założę się, że kosztowało to gigantyczne pieniądze, pomyślał. Dam głowę, że grube miliony.* Starszy z braci Corriganów zawsze miał poczucie, że jest kimś wyjątkowym, stworzonym do rzeczy wielkich, a teraz traktowano go jak filmową gwiazdę w wysokobudżetowej produkcji, w której scenariu-

szu przewidziano tylko jedną rolę, jedną twarz na ekranie. Jeśli rzeczywiście ma zdolność podróżowania do innych światów, ich powinnością jest okazywać mu szacunek. Nie było dziełem przypadku, że znalazł się tutaj. To było jego prawo, przysługujące mu z racji urodzenia.

Stalowe drzwi rozsunęły się i weszli do rozległego, ciemnego pomieszczenia. Wzdłuż czterech ścian biegła oddzielona szklaną ścianą galeria, umieszczona mniej więcej na wysokości sześciu metrów nad gładką betonową posadzką. Z galerii sączyło się chłodne światło kontrolnych paneli i komputerowych monitorów, Michael dostrzegł też kilku techników spoglądających na niego z góry. Powietrze było tu chłodne i suche, do uszu dochodziło też ciche buczenie.

Stalowy stół chirurgiczny z niedużą poduszką pod głowę znajdował się na środku sali. Stał przy nim doktor Richardson. Pielęgniarka i anestezjolog, doktor Lau, sprawdzali aparaturę kontrolną i zawartość laboratoryjnego stojaka, na którym znajdowały się probówki wypełnione płynami o różnych kolorach. Obok poduszki leżało osiem drucików połączonych z płytkami elektrod o srebrzystej barwie. Inne druciki były skręcone ze sobą i tworzyły gruby czarny kabel zwisający ze stołu i znikający w podłodze.

- Wszystko w porządku? - zapytał Lawrence.

- Jak dotąd.

Asystent generała Nasha lekko dotknął ramienia Michaela i razem z dwoma ochroniarzami został przy drzwiach. Zachowywali się tak, jakby bohater dnia zamierzał wybiec z budynku, przeskoczyć mur i ukryć się w lesie. Ten poszedł do środka grobowca, ściągnął czapkę i podał ją pielęgniarce. Mając na sobie jedynie bawełniany trykot i spodnie, położył się na stole twarzą do góry. W pomieszczeniu było zimno, ale

on czuł się gotowy na wszystko, jak sportowiec szykujący się do życiowego startu.

Richardson pochylił się nad nim i przykleił taśmą osiem drucianych sensorów do ośmiu elektrod-płytek umieszczonych na jego czaszce. Teraz jego mózg był bezpośrednio połączony z komputerem kwantowym, a zespół techników na galerii mógł obserwować jego neurologiczną aktywność. Richardson sprawiał wrażenie zdenerwowanego i Michael wolałby, żeby twarz lekarza była ukryta za chirurgiczną maską. *Do diabła z nim. To nie jego mózg naszpikowano cienkimi miedzianymi drutami. To moje życie, pomyślał starszy z braci Corriganów. Moje ryzyko.*

- Powodzenia - powiedział neurolog.

- Niech pan zapomni o pobożnych życzeniach. Po prostu zróbmy to i zobaczymy, co się wydarzy.

Doktor Richardson przytaknął i przesunął na uszy słuchawki z mikrofonem, dzięki którym mógł rozmawiać z technnikami na galerii. On był odpowiedzialny za mózg Michaela, z kolei doktor Lau i pielęgniarka mieli się zająć resztą jego organizmu. Podłączyli sensory do klatki piersiowej i szyi, dzięki czemu mogli obserwować parametry, które informowały o stanie ciała. Pielęgniarka wtarła w ramię Michaela środek znieczulający miejscowo, po czym wbiła przez skórę igłę od kroplówki. Do igły była podłączona plastikowa rurka, przez którą do żył pacjenta zaczął skapywać roztwór soli fizjologicznej.

- Czy rejestrujecie jego fale mózgowie w pełnym zakresie? - powiedział neurolog szeptem do mikrofonu. - Dobrze. Tak. To bardzo dobrze.

- Potrzebujemy wartości odniesienia, żeby móc rozpocząć - rzekł do Michaela. - Zamierzamy zatem poddać twój mózg działaniu zróżnicowanych bodźców. Staraj się nie myśleć o niczym. Po prostu reaguj.

Pielęgniarka podeszła do stalowego stojaka i przyniosła kilka próbek z różną zawartością. Pierwsza partia zawierała rozmaite smaki: słony, kwaśny, gorzki i słodki. W drugiej były różne aromaty: różany, waniliowy oraz coś, co przypo-

minało Michaelowi zapach palonej gумы. Richardson nie przestawał mrużyć do mikrofonu, gdy sięgnął po specjalną latarkę i kierował snop światła o różnej barwie w oczy obiektu tego eksperymentu. Później odtwarzał dźwięki o zróżnicowanym natężeniu i dotykał skóry twarzy piórkami, kawałkiem drewna i chropawą bryłką stali.

Zadowolony z danych odbieranych przez czujniki, neurolog poprosił Michaela, by odliczał od końca, dodawał do siebie różne liczby, a później opowiedział, co podano mu na kolację poprzedniego wieczoru. Weszli w głębokie pokłady jego pamięci i pacjent musiał opisać swoje wrażenia, kiedy pierwszy raz zobaczył ocean i, także po raz pierwszy, nagą kobietę. *Czy miałeś własny pokój, kiedy byłeś nastolatkiem? Jak wyglądał? Opisz meble i plakaty na ścianie.*

W końcu neurolog przestał zadawać pytania, a pielęgniarka wlała Michaelowi do ust kilka kropel wody.

- W porządku - powiedział Richardson do techników. - Uważam, że jesteśmy gotowi.

Pielęgniarka znów sięgnęła do stojaka i wyciągnęła podłączony do kroplówki pojemnik, w którym znajdował się roztwór specyfiku opatrzonego symbolem 3B3. Kennard Nash odwiedził wcześniej Michaela, by porozmawiać z nim o preparacie. Wyjaśnił, że 3B3 to szczep specjalnych bakterii, wyhodowany w Szwajcarii przez jeden z wiodących zespołów naukowych. Specyfik jest niesłychanie drogi i trudny w produkcji, ale wytwarzane przez drobnoustroje toksyny najprawdopodobniej podwyższają poziom energii neuronów. Kiedy pielęgniarka podniosła pojemnik do góry, zachlupotał w nim lepki płyn barwy turkusowoniebieskiej.

Zdjęła ze stojaka butelkę z solą fizjologiczną, podłączyła drugi pojemnik i cienką plastikową rurką do igły wbitej w rękę Michaela popłynęła strużka 3B3. Neurolog i anestezjolog wpatrywali się w leżącego na stole mężczyznę, jakby już za moment miał on odlecieć do innych wymiarów.

- Jak się czujesz? - zapytał Richardson.

- Normalnie. Ile czasu minie, zanim poczuję kopa wyzwolonego przez ten drag?

- Tego nie wiemy.

- Nieco zwiększone tempo uderzeń serca - poinformował ich doktor Lau. - Oddech bez zmian.

Przez kilka minut Michael wpatrywał się w sufit, starając się nie okazać swojego rozczarowania, następnie zamknął oczy. Może rzeczywiście nie jest Travelerem albo, czego nie da się wykluczyć, nowy specyfik nie działa. Wszystkie wysiłki i pieniądze poszły na marne.

- Michael?

Otworzył oczy. Richardson patrzył na niego z góry. W pomieszczeniu wciąż było zimno, ale na czole lekarza perlily się kropelki potu.

- Zaczynj odliczać wstecz od stu.

- Już to robiliśmy.

- Oni chcą, żebyśmy powrócili do wartości odniesienia.

- Niech pan o tym zapomni. To przecież niczego...

Starszy z Corriganów ruszył lewą ręką i ujrzał coś nad wyraz osobliwego. Dłoń i nadgarstek pokrywały maleńkie świetlane punkciki wychodzące z jego ciała, zupełnie jak duch wyżłizgujący się z zamkniętej szafy. Bezwładna dłoń opadła na stół, ale świetlista dłoń wciąż była uniesiona.

Od razu wiedział, że to coś - ta zjawy - zawsze stanowiła część jego osoby i kryła się we wnętrzu jego ciała. Świetlana dłoń przywiodła mu na myśl schematyczny rysunek gwiazdnej konstelacji, na przykład Bliźniąt lub Strzelca. Dłoń tę tworzyły maleńkie gwiazdy połączone cieniutką, prawie niedostrzegalną linią światła. Nie był w stanie poruszać pozbawioną materii dłonią w taki sposób, jak resztą ciała. Gdy pomyślał: *rusz kciukiem, zaciśnij palce*, nic się nie działo. Musiał pomyśleć, *co będzie chciał robić tą dłonią*, gdy po krótkiej chwili rozgwieżdżona ręka zareagowała na tę wizję. To był rajcujące. Wszystko funkcjonowało z niewielkim opóźnieniem, jak poruszanie ciałem pod wodą.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał Richardsons.

- Zaczynj liczyć wstecz od stu, proszę.
- Co pan myśli o mojej ręce? Nie widzi pan, co się dzieje?
Neurolog pokręcił przecząco głową.
- Obie twoje ręce leżą na stole zabiegowym. Możesz opisać to, co widzisz?

Michael stwierdził, że mówienie przychodzi mu z trudem. Nie wystarczyło, że poruszał ustami i językiem - precyzowanie myśli i dobranie do nich właściwych słów stało się dziwacznym i mozolnym wysiłkiem. Umysł był szybszy niż słowa. Nieporównanie szybszy.

- Sądzę... że... - powiedział i przerwał na chwilę, która wydała mu się niemal wiecznością. - To nie jest halucynacja.

- Opisz to, proszę.
- To było zawsze w moim wnętrzu.
- Opisz, co widzisz, Michael.
- Pan... jest... ślepcem.

Rozdrażnienie starszego z braci Corriganów rosło, przechodząc niemal w gniew, odepchnął się rękoma od blatu, by usiąść. Poczuł, jak coś w nim pęka, zupełnie jakby był czymś starym i kruchym, jak pośliznęła stara ampułka. W ciągu sekundy zdał sobie sprawę z tego, że górna część jego „ciała astralnego” przyjęła pozycję pionową, podczas gdy fizyczny tułów wciąż leżał na stole. Dlaczego tego nie widzieli? Przecież to takie wyraźne. Richardson jednak nie przestawał wpatrywać się w jego ciało na stole, jak gdyby było równaniem, które nieoczekiwanie rozwiąże się samo.

- Wszystkie oznaki życia ustały - zakomunikował Lau. - On nie żyje albo...

- Co za bzdury pan opowiada - warknął zniecierpliwiony neurolog.

- Nie. Serce wciąż bije. Pojedyncze uderzenie. Klatka piersiowa też się porusza. Wszedł w stan jakiejś hibernacji, jak ktoś zakopany pod zwałami śniegu - informował Lau, spoglądając na ekran monitora. - Powoli. Wszystko dzieje się bardzo wolno. Ale on wciąż żyje.

Doktor Richardson pochylał się nisko, tak że jego usta znalazły się zaledwie o kilka centymetrów od uszu mężczyzny leżącego na stole.

- Czy mnie słyszysz, Michael? Czy...

Brzmienie ludzkiego głosu stało mu się do tego stopnia nieznośne - tak przesycone żalem, słabością i strachem - że Michael postanowił oderwać resztę astralnego ciała od fizycznej powłoki i zaczął unosić się ponad obecnymi w sali. Czuł się w tej pozycji bardzo osobliwie, jak dziecko uczące się pływać. Wzlot w górę. Nurek w dół. Patrzył na świat, ale był oderwany od chaosu swoich połączeń nerwowych.

Chociaż nie mógł tego dostrzec wyraźnie, czuł, że w posadzce pomieszczenia jest niewielki czarny otwór, jak studzienka odpływowa w dnie basenu. Czuł też, jak łagodna siła ciągnie go ku tej dziurze. *Nie. Trzymaj się od tego z daleka.* Był w stanie oprzeć się tej sile i zawrócić, jeśli zechce. Ale co się w niej kryło? Czy był to etap konieczny, aby przeistoczyć się w Travelera?

Czas płynął. Minęło kilka sekund, a może kilka minut. Jego świetliste ciało opadło teraz niżej, za to siła - przyciągająca siła - wciąż wzrastała, zaczął nawet odczuwać strach. Wydało mu się, że widzi twarz Gabriela, poczuł silne pragnienie ponownego spotkania z bratem. Powinni przeżywać to wspólnie. Kiedy byli z dala od siebie, wszystko stawało się niebezpieczne.

Blżej. Teraz bardzo blisko. Przestał walczyć i poczuł, jak jego astralne ciało zapada się w sobie, najpierw do formy kuli, później tylko punktu, stając się esencją materii wciąganej do ciemnej czeluści. Nie miał już płuc. Ani ust. Ani głosu. Niczego.

Michael otworzył oczy i stwierdził, że unosi się na powierzchni oceanicznego bezmiaru o barwie ciemnozielonej.

Nad sobą widział trzy słońca tworzące trójkątną konfigurację. Emanowało z nich białe gorąco, niebo miało kolor jasnosłomkowy

Usiłował się odprężyć i ocenić sytuację. Woda była ciepła i łagodnie nim kołysała. Nie było najmniejszego wiatru. Opuścił w głąb nogi, nurkował i wyskakiwał niczym korek, obserwując świat wokół siebie. Dostrzegł ciemną, rozmytą linię wyznaczającą horyzont, nigdzie jednak nie widać było choćby skrawka lądu.

- Hej! - wykrzyknął. Przez moment dźwięk jego głosu sprawił, że poczuł się potężny i pełen życia. Jednak wykrzyzczone słowo utonęło w bezmiarze oceanu.

- Jestem tu! - znów zawołał. - Właśnie tu!

Nikt jednak nie odpowiedział na jego wołanie.

Przypomniał sobie relacje z rozmów z Travelerami, które zostawił w jego pokoju doktor Richardson. Istniały cztery bariery blokujące dostęp do innych światów: Woda, Ogień, Ziemia i Powietrze. Bariery nie były ułożone w jakiejś określonej kolejności, podróżujący Travelerzy natykali się na nie w rozmaity sposób. Należało znaleźć przejście przez każdą z barier, ale ludzie odbywający międzywymiarowe wojaże używali różnych słów do opisanie ciężkich prób, którym zostali poddani. Zawsze jednak były jakieś wrota. Przejścia. Pewien rosyjski Traveler użył zwrotu: „ciąć cię nożem w długiej, czarnej kurtynie”.

Wszystkie relacje zgadzały się w jednym - można było kontynuować podróż do kolejnej bariery albo powrócić do swojego świata. Nikt jednak nie sporządził instrukcji, jak dokonać tej sztuki. „Po prostu znajdujesz drogę” - wyjaśniał pewien Traveler w spódnicy - „albo droga znajduje ciebie”. Te różnice w relacjach były drażniące. Dlaczego nie mogli powiedzieć po prostu: idź trzy metry i skręć w prawo? Potrzebna mu była mapa drogowa, nie filozoficzne dyrdymały.

Michael zaklął głośno i uderzył dłońmi o wodę tylko po to, żeby usłyszeć plusk. Woda ochlapała mu twarz i spływała

po policzku do ust. Spodziewał się ostrego, słonego smaku oceanu, ale ta była zupełnie obojętna, nie miała ani smaku, ani zapachu. Nabrał nieco wody w dłoń i przyjrzał się jej dokładnie. W wodzie były zawieszony drobne cząsteczki. Mógł to być piasek albo glony czy nawet gwiazdny pył; nie potrafił w żaden sposób rozstrzygnąć.

Czy był to tylko sen? Czy naprawdę mógł utonąć? Spoglądając w niebo, starał się przypomnieć sobie opowieści o zaginionych rybakach i turystach, którzy wypadli z wycieczkowych statków i tak długo dryfowali na powierzchni oceanu, aż nadchodził ratunek. Jak długo on sam mógł przetrwać? Trzy lub cztery godziny? Cały dzień?

Zanurzył głowę, po czym wynurzył się i wypluł wodę, która wpłynęła mu do ust. Dlaczego nad jego głową wisiały na niebie trzy słońca? Czy był to inny świat, w którym obowiązywały inne prawa życia i śmierci? Chociaż usiłował pogрузić się w rozmyślania na temat tych zasad oraz sytuacji, w której się znalazł, fakt, że był tu sam i nie widział wokół siebie nawet skrawka lądu, na siłę wpychał się do tych dywagacji. *Tylko nie wpadaj w panikę*, pomyślał. *Możesz tak wytrzymać bardzo długo.*

Przypominał sobie stare rockandrollowe hity i śpiewał je na głos. Liczył wspaniale i recytował dziecięce rymowanki - robił wszystko, co dawało mu poczucie, że jeszcze żyje. Wdech, wydech. Chłapięcie wodą. Obrót. I jeszcze kilka rozbryzgów. Ale za każdym razem, kiedy to zrobił, małe fale i bryzgi były pochłaniane przez wszechogarniającą ciszę wokół niego. Czy był już martwy? Niewykluczone, że już nie żył. Richardson zapewne pochylał się właśnie nad jego bezwładnym ciałem. Być może był już bliski zgonu i gdyby zanurzył się jeszcze raz, woda zmyłaby ostatnie resztki życia z jego ciała.

Przestraszony, wybrał jakiś kierunek i popłynął w tę stronę. Najpierw odkrytym kraulem, później stylem grzbietowym, kiedy poczuł zmęczenie w ramionach. Nie potrafił ocenić, jak długo płył. Ile minęło czasu. Pięć minut.

A może pięć godzin. Kiedy jednak znów się zatrzymał i zaczął rozbryzgiwać wodę wokół siebie, dostrzegł tę samą linię horyzontu. Te same trzy słońca. Żółtawe niebo. Zanurkował, po czym szybko wynurzył się na powierzchnię, rozchlapując wodę i krzycząc.

Michael położył się twarzą do góry, zwinął się w kłębek i zamknął oczy. Niezmiennność otoczenia, jego statyczna natura sprzyjały generowaniu wizji w umyśle. Jednak wszystkie te wizje kończyły się przywołaniem obrazu Gabriela oraz ludzi, których znał. Absolutna samotność tego miejsca była czymś dziwnym i niepokojącym. Jeśli był to świat z jego snu, to powinien pojawić się w nim statek piratów albo luksusowa łódź wyścigowa pełna eleganckich kobiet.

Nagle poczuł, jak coś miękkiego i oślizłego ociera się o jego nogę. W panice chciał odpłynąć jak najszybciej z tego miejsca. Odbicie nóg. Wypchnięcie ramion. Zagarnięcie wody. Myślał jedynie o tym, by posuwać się jak najszybciej i znaleźć się jak najdalej od tego czegoś, co otarło się o niego. Woda zapełniała mu nozdrza, ale wydmuchiwał ją. Zamknął oczy i płynął na oślep, wymachując desperacko ramionami. Postój. Oczekiwanie. Brzmienie własnego oddechu. Wtedy strach go opuścił i znów popłynął donikąd, w kierunku nieustannie oddalającego się horyzontu.

Czas mijał. Czas snów. Czas przestrzeni. Nie był niczego pewien. Przestał płynąć, położył się na plecach, wyczerpany, łapczywie chwytając powietrze. Wszystkie myśli gdzieś się rozpierzchły, pozostała jedynie żądza oddychania. Niczym drobina żywej tkanki skoncentrował się na tej czynności, która we wcześniejszym jego życiu była prosta i automatyczna. Upłynęło znów trochę czasu i zdał sobie sprawę z nowego uczucia. Odnosił wrażenie, że posuwa się w określonym kierunku, przyciągany przez jakąś część horyzontu. Stopniowo wodny prąd robił się coraz silniejszy

Michael słyszał szum płynącej obok niego wody, później do jego uszu dotarł przytłumiony, grzmiący odgłos,

podobny do odległego wodospadu. Przechodząc do pozycji pionowej, uniósł głowę do góry i starał się dostrzec, dokąd zmierza. W oddali unosiła się w powietrzu drobna mgiełka, a niewielkie fale załamywały gładką tafłę oceanu. Prąd był już silny i trudno było płynąć w przeciwną stronę. Odległe grzmoty stawały się coraz donioślejsze, w końcu jego własny głos przestał być słyszalny w otaczającym huku. Michael uniósł w powietrze prawe ramię, jak gdyby jakiś gigantyczny ptak lub anioł miał nadlecieć z misją ocalenia i wybawić go od zguby. Masy wody niosły go do chwili, gdy powierzchnia oceanu zdawała się zapadać tuż przed nim.

Przez chwilę był pod wodą, następnie usiłował przesuwać się w stronę światła. Znalazł się na skraju ogromnego wiru o zasięgu porównywalnym z księżycowym kraterem. Zielona woda wirowała dookoła, zapadając się w ciemny lej. Prąd wiru unosił go, wciągając coraz głębiej i dalej od światła. *Me przestawaj płynąć*, mówił do siebie Michael. *Me poddawaj się*. Coś w nim zostanie zniszczone na zawsze, jeśli pozwoli, by woda wypełniła mu usta i płuca.

Gdy był w połowie odległości dzielącej go od dna zielonej misy, dostrzegł mały czarny cień przypominający wielkością i kształtem okrętowy iluminator. Cień był bytem niezależnym od wiru. Zniknął pod mgłą i pianą, jak ciemna skała ukryta w nurcie rzeki, lecz po chwili pojawił się w tym samym miejscu.

Uderzając mocno nogami i wymachując ramionami, Michael zanurkował w kierunku cienia. Stracił go z oczu. Ale zaraz znów dojrzał. I wtedy ruszył ku czarnemu jądru.

Pomieszczenia na galerii biegnącej wewnątrz grobowca zajmował głównie personel techniczny, ale wejścia do jej północnej części strzegły zamykane drzwi. Ta prywatna platforma obserwacyjna była wyłożona dywanami, wstawiono tu też sofę i stojące lampy z nierdzewnej stali. Małe czarne stoliki oraz fotele z prostym oparciem i zamszową tapicerką stały obok zamalowanych okien.

Kennard Nash siedział samotnie przy jednym ze stolików, osobisty ochroniarz - Ramon Vega, były funkcjonariusz peruwiańskiej policji - nalewał chardonnay do jego kieliszka. Ramon miał na sumieniu zamordowanie pięciu górników z kopalni miedzi, którzy okazali się na tyle nieroztropni, by zorganizować strajk, ale generał cenił tego człowieka za wysokie umiejętności lokaja i kelnera.

- Co jest w menu na kolację, Ramon?

- Łosoś. Tłuczone ziemniaki z czosnkiem. Fasolka szparagowa i migdały. Posiłek przyniosą z centrum administracyjnego.

- Wyborne. Dopilnuj, żeby jedzenie nie wystygło.

Ramon wyszedł do przedpokoju obok zamykanych drzwi, a Nash sączył swój kieliszek wina. Jedną z rzeczy, których Kennard Nash nauczył się w ciągu dwudziestu dwóch lat służby w armii, było przekonanie o konieczności oddzielenia szarży oficerskiej od szeregowych żołnierzy. Oficerowie byli dowódcami, nie przyjaciółmi. Kiedy pracował dla Białego Domu, rządowy personel hołdował tej samej zasadzie. Co kilka tygodni prezydent opuszczał miejsce odosobnienia

i grał w bejsbol lub zapalał światełka na narodowej choince, ale prawie przez cały czas był ściśle chroniony przed przypadkowością niezaplanowanych wydarzeń. Chociaż Nash był wojskowym, ostrzegał prezydenta szczególnie przed uczestnictwem w żołnierskich pogrzebach. Niezrównowazona emocjonalnie świeżo upieczona wdowa mogła wpaść w rozpacz i histerię. Matka mogła rzucić się na trumnę, a ojciec żądać wytłumaczenia, czemu miała służyć śmierć syna. Filozofia panopticonu uczyła Braci, że prawdziwa władza opiera się na kontroli i przewidywalności.

Ponieważ rezultaty projektu „Przejście” nie dały się do końca przewidzieć, Nash nie fatygował się z informowaniem Braci o rozpoczęciu eksperymentu. Liczba niewiadomych była po prostu zbyt duża, aby dało się zagwarantować końcowy sukces. Wszystko zależało od Michaela Corrigan, młodego człowieka, który leżał teraz na stole pośrodku grobowca. Wielu młodych mężczyzn i wiele młodych kobiet, którym zdarzyło się zażyć 3B3, skończyło pobyt w szpitalach psychiatrycznych. Doktor Richardson narzekał, że nie jest w stanie określić pożądanej dawki specyfiku ani też przewidzieć jego wpływu na potencjalnego Travelera.

Gdyby była to operacja militarna, Nash scedowałby całą odpowiedzialność na młodszych oficerów i trzymał się z daleka od bitwy. Łatwiej uniknąć posądzeń o winę, jeśli było się w innym miejscu. Generał znał tę podstawową regułę - i stosował ją przez całą swoją karierę - tym razem jednak nie potrafił trzymać się z dala od ośrodka badawczego. Zaprojektowanie komputera kwantowego, budowa grobowca oraz próby stworzenia Travelera były jego osobistymi decyzjami. Jeśli projekt „Przejście” zakończy się powodzeniem, to jego dziełem będzie zmiana biegu historii.

Już teraz panopticon przejmował kontrolę w miejscu pracy. Sącząc wino, Kennard Nash rozkoszował się własną wielką wizją. W Madrycie komputer liczył uderzenia zmęczonej młodej kobiety w klawiaturę. Wprowadzała dane

z kart kredytowych. Specjalny program monitorował jej pracę i co godzinę sporządzał wykres, wykazując, czy osiągnęła pożądaną liczbę uderzeń. Automatycznie pojawiał się odpowiedni komentarz: „Dobra robota, Mario” albo: „Jestem zaniepokojony, panno Sanchez”. Młoda kobieta uderzała więc na wszelki wypadek coraz szybciej w klawisze, żeby tylko nie stracić pracy.

Gdzieś w Londynie kamera obserwacyjna koncentrowała się na twarzach w tłumie, zamieniając ludzkie istoty w ciągi liczbowe, które można było porównać z cyfrowymi plikami. W Mexico City i w Dżakarcie elektroniczne uszy podsłuchiwały rozmowy telefoniczne, a internetowe czaty były nieustannie monitorowane. Rządowe komputery wiedziały, że jakaś książka została kupiona w Denver, a inna wypożyczona w bibliotece w Brukseli. Kto kupił tę książkę? Kto przeczytał tę drugą? Zapisz. Wymień informacje. Ponownie zapisz. Dzień po dniu wirtualny panopticon obserwował więźniów, stając się częścią ich świata.

Ramon Vega wszedł do pokoju i lekko się uklonił. Nash doszedł do wniosku, że coś poszło nie tak z planowaną kolacją.

- Pan Boone czeka przed wejściem, generale. Twierdzi, że chce się pan z nim widzieć.

- Tak. Oczywiście. Proszę natychmiast go tu przysłać.

Kennard Nash wiedział, że gdyby siedział w „pokoju prawdy”, lewa strona jego kory mózgowej żarzyłaby się na czerwono, wskazując na nieszczerłość wypowiedzianych słów. Nie darzył sympatią Nathana Boonea i odczuwał zdenerwowanie w jego obecności. Szef służb ochrony został wynajęty przez poprzednika Nasha na stanowisku dyrektora wykonawczego i wiedział bardzo dużo o wewnętrznych działaniach Braci. Nawiązał też własne i niezależnie kontakty z licznymi członkami komitetu wykonawczego. Większość Braci uważała Boonea za człowieka odważnego i pełnego potencjału - idealny szef służb bezpieczeństwa.

Nasha niepokoiło to, że nie mógł w pełni kontrolować jego działań. Ostatnio stwierdził, że szef służb ochrony nie wykonał jego bezpośredniego polecenia. Ramon wprowadził Boonea na galerię, po czym opuścił obu mężczyzn.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - zapytał szef ochrony, stojąc z lekko rozstawionymi nogami i rękoma założonymi z tyłu.

Nash był tu ważniejszy rangą, człowiekiem, który rozkazywał, ale obaj dobrze wiedzieli, że Boone może przejść przez pokój i w kilka sekund skrócić wojskowemu kark.

- Proszę usiąść, panie Boone. Kieliszek chardonnay?

- Nie teraz - Boone podszedł do okna i spojrzał w dół na stół zabiegowy. W tym momencie anestezjolog przyklejał sensor kardiologiczny do klatki piersiowej starszego z braci Corriganów

- Jak przebiega eksperyment?

- Michael pogrążył się w transie. Puls słaby. Oddychanie spowolnione. Mam nadzieję, że przemieni się w Travelera.

- Albo jest w stanie agonalnym. 3B3 mogło wypalić mu mózg.

- Energia neuronów opuściła jego ciało. Nasze komputery śledzą jej ruch z dużym powodzeniem.

Obaj mężczyźni zamilkli na chwilę, spoglądając przez okno galerii.

- Założmy przez chwilę, że on naprawdę jest Travelerem - pierwszy odezwał się szef ochrony. - Czy może w tej chwili umrzeć?

- U osoby leżącej na stole operacyjnym może dojść do zatrzymania wszystkich funkcji życiowych.

- Co stanie się wtedy z jego Światłem?

- Nie wiem - odparł Nash. - Nie może jednak powrócić do fizycznej powłoki.

- Czy on może umrzeć w innym świecie?

- Tak. Jesteśmy przekonani, że jeżeli umrze w innym świecie, zostanie uwięziony tam na wieki.

Boone odwrócił się od przeszklonej ściany.

- Mam nadzieję, że wszystko się powiedzie.
- Musimy uwzględnić wszystkie ewentualności. Dlatego właśnie tak istotne jest, żeby odnaleźć Gabriela Corrigan. Jeśli Michael umrze, będziemy natychmiast potrzebować zmiennika.
- Rozumiem.

Generał Nash opuścił kieliszek z winem.

- Moje źródła doniosły mi, że wycofał pan naszych agentów terenowych z Kalifornii. To był zespół poszukujący Gabriela.

Boone najwyraźniej nie był poruszony tym zarzutem.

- Inwigilacja elektroniczna jest w toku. Jest też drugi zespół poszukujący wynajętego przez Arlekina najemnika, który podłożył fałszywy ślad w apartamencie Michaela Corrigan. Moim zdaniem jest to instruktor sztuk walki wręcz, który kiedyś był członkiem kościoła Isaaca T. Jonesa.
- Ale w tej chwili nikt nie szuka Gabriela - podjął rozmowę Nash. - Zignorował pan moje bezpośrednie polecenie.
- Moim obowiązkiem jest chronienie naszej organizacji i pomoc w osiągnięciu wytyczonych celów.
- Obecnie naszym nadrzędnym celem jest realizacja projektu „Przejsie”, panie Boone. Nic nie jest ważniejsze.

Szef ochrony podszedł bliżej do stolika, niczym policjant zamierzający przesłuchać podejrzanego.

- Być może kwestię tę należałoby przedyskutować na posiedzeniu komitetu wykonawczego.

Generał Nash spoglądał na stolik i rozważał możliwości manewru. Nie chciał przekazać Booneowi pełnej wiedzy na temat komputera kwantowego, ale niemożliwe było utrzymanie tego w sekrecie.

- Jak pan wie, mamy już działający komputer kwantowy. Nie czas teraz i pora, by omawiać aspekty technologiczne urządzenia, ale w grę wchodzić cząstki subatomowe w polu energetycznym. W nieskończenie krótkim odcinku czasu cząsteczki te znikają z pola siłowego, po czym ponownie do

niego wracają. I jak pan myśli, gdzie znikają, panie Boone? Nasi naukowcy powiedzieli mi, że podróżują do innych wymiarów: innych światów.

Boone sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Podróżują razem z Travelerami.

- Te cząsteczki powróciły do naszego komputera z informacjami od wysoko rozwiniętej cywilizacji. Początkowo otrzymaliśmy proste kody binarne, później informacje o coraz wyższym stopniu złożoności. Ten postęp cywilizacyjny umożliwił naszym naukowcom dokonanie nowych odkryć z dziedziny fizyki i informatyki. Pokazano nam również, jak dokonywać modyfikacji genetycznych na zwierzętach i tworzyć „sklejki”. Jeśli zdobędziemy więcej wiedzy na temat zaawansowanych technologii, będziemy w stanie zrealizować wizję panopticonu jeszcze za naszego życia. Bracia będą nareszcie dysponowali potencjałem, który pozwoli im monitorować i kontrolować ogromne rzesze ludzi.

- Czego w zamian życzy sobie ta cywilizacja? - zapytał Boone. - Nikt nigdy nie daje nic za darmo.

- Chcą dotrzeć do naszego świata i spotkać się z nami. I po to właśnie są nam potrzebni Travelerzy: mają im wskazać drogę. Komputer kwantowy śledzi szlak pokonywany przez Michaela Corrigana, gdy ten udaje się do innych światów. Czy pan to rozumie, panie Boone? Czy to wszystko jest zrozumiałe?

Przez chwilę szef służb ochrony fundacji Evergreen wyglądał tak, jakby to, co usłyszał, zrobiło na nim wrażenie. Nash cieszył się tą chwilą, ponownie napełniając winem swój kieliszek.

- Dlatego właśnie wydałem panu polecenie, żeby odnaleźć Gabriela Corrigana. Nie jestem zbyt zbudowany tym, że nie wykonuje pan służbowych poleceń.

- Wycofałem agentów terenowych z jednego powodu - oznajmił Boone. - Uważam, że w naszej organizacji jest zdrajca.

Ręka Nasha zdrząła lekko, kiedy odstawiał kieliszek.

- Jest pan tego pewien?

- Córka Thorna, Maya, jest w Stanach. Jednak nie zdołałem jej schwytać. Wojownicze Arlekinów udało się przewidzieć wszystkie nasze kroki.

- Sądzi pan, że któryś z terenowych agentów nas zdradził?

- Filozofia panopticonu głosi, że każdy powinien być poddany obserwacji i ocenie; nawet ci, którzy kierują systemem.

- Chce pan przez to powiedzieć, że osobiście mam z tym coś wspólnego?

- W żadnym razie - zaprzeczył Boone, ale spoglądał na generała takim wzrokiem, jakby rozważał podobną ewentualność. - Obecnie zespół internetowy sprawdza każdego, kto ma związek z tym projektem

- A kto sprawdza pańskie działania?

- Nigdy nie miałem przed Braćmi żadnych tajemnic.

Nie patrz na niego, pomyślał Kennard Nash. Nie pozwól, by spojrzał ci w oczy. Spoglądał przez oszkloną ścianę na ciało Michaela Corrigana.

Doktor Richardson nerwowo chodził wzdłuż stołu z nieruchomym ciałem eksperymentalnego obiektu. W niewiadomy sposób biała éma zdołała przedostać się do klimatyzowanych pomieszczeń grobowca. Lekarz wyglądał na zdumionego, gdy nocny motyl wyleciał z ciemności i trzepotał skrzydłami w świetle lamp.

Maya i Gabriel przejechali przez miasto San Lucas około godziny pierwszej po południu i skierowali się na wschód, skręcając w dwupasmową trasę szybkiego ruchu prowadzącą na południe. W miarę jak licznik furgonetki pokazywał kolejne pokonywane kilometry, dziewczyna starała się ignorować uczucie narastającego niepokoju. Informacja, którą otrzymała w Los Angeles od Lindena, był zupełnie jasna: *Jedź do San Lucas w Arizonie. Następnie skręć na południe na autostradę 77. Wypatruj zielone) wstążki. Imię osoby kontaktowej: Martin.* Być może ominęli wstążkę albo pustynny wiatr gdzieś ją zwiął. Zespół internetowy Tabulów mógł wysledzić Lindena, a ona z Gabrielem wpadną w zasadzkę.

Maya miała wprawę w wyszukiwaniu niewyraźnych wskazówek, które prowadziły do bezpiecznych domów lub punktów kontaktowych, ale ochrona potencjalnego Travelera, jakim był Gabriel, zmieniła wszystko. Od czasu potyczki w „Rajskiej Gospodzie” trzymał ją na dystans, rzucił tylko kilka zdawkowych słów, kiedy zatrzymali się, żeby zatan-kować i spojrzeć na mapę. Zachowywał się jak mężczyzna, który zgodził się wspinać na szczyt niebezpiecznej góry i musi tolerować przeszkody napotkane po drodze.

Opuściła boczną szybę w furgonetce i pustynny wiatr osuszył krople potu na jej skórze. Niebieskie niebo. Jastrząb wykorzystujący prąd wznoszący. Gabriel jechał w odległości kilometra przed nią, w pewnej chwili nagle zawrócił i popędził z powrotem w jej kierunku. Wskazał w lewą stronę i dawał znaki prawą dłonią. Znalazł to, czego szukali.

Maya dostrzegła zieloną wstążkę zawiązaną wokół stalowej podstawy słupka milowego. Droga o nieutwardzonej nawierzchni - nie szersza niż koleiny pozostawione przez auto - odchodziła w tym miejscu od autostrady, ale przy rozjeździe nie było żadnego znaku, który mówiłby, dokąd prowadzi. Gabriel ściągnął kask i zawiesił go na kierownicy motocykla. Kask kolebał się mocno, kiedy pokonywali pełną wertepów drogę. Jechali przez prawdziwą pustynię - płaskie i jałowe okolice z kaktusami, kępami obumarłej trawy i krzewami akacji, której ostre jak kocie pazury gałęzie drapały boki furgonetki. W pewnym momencie droga się rozwidła, ale Gabriel wypatrzył wstążkę przy odnodze prowadzącej na wschód. Gdy dojechali na wzniesienie, zaczęły pojawiać się jadłoszyny i dębyjjzare, rosły tu też podobne do ostrokrzewu krzewy z żółtymi kwiatami przyciągającymi pszczoły.

Gabriel ruszył w stronę szczytu niewysokiego wzgórza i zatrzymał się na chwilę. To, co z autostrady wydawało się linią wzgórz, okazało się płaskowyżem, którego dwa potężne ramiona otaczały dolinę. Nawet z tej odległości był w stanie dostrzec kilka wyglądających jak pudełka domów częściowo zasłoniętych przez sosny. Daleko za ludzką sadybą, na krawędzi płaskowyżu, widniały trzy elektrownie wiatrowe. Na szczycie każdej ze stalowych wież znajdował się wirnik z trzema śmigłami, które obracały się niczym gigantyczne śmigła samolotu.

Gabriel otarł chustą pył z twarzy i kontynuował jazdę połą drogą. Jechał powoli, rozglądając się na boki, jak gdyby ktoś miał wyskoczyć zza krzaków i sprawić im niespodziankę.

Strzelba leżała na podłodze samochodu przykryta starym kocem. Maya chwyciła broń, załadowała nabój do komory i położyła karabinek na siedzeniu obok kierowcy. Zastanawiała się, czy Przewodnik rzeczywiście mieszka tutaj, czy też został już wytropiony i zgładzony przez Tabulów.

Droga skręcała prosto ku dolinie, po chwili przejechali po kamiennym mostku przerzuconym nad wąskim strumie-

niem. Po drugiej stronie potoku dostrzegła postaci poruszające się między krzewami i zwolniła.

Czworo - nie, pięcioro dzieci nosiło duże kamienie ścieżką prowadzącą do strumienia. Być może dzieciaki budowały kamienną tamę albo tworzyły basen do kąpieli. Nie była tego pewna. Wszystkie jednak zatrzymały się i wpatrywały się w motocykl i furgonetkę. Trzysta metrów dalej minęli małego chłopca niosącego plastikowe wiadro. Pomachał do nich ręką. Wciąż nie dostrzegali żadnych dorosłych, ale maluchy zdawały się całkiem zadowolone z tego, że są pozostawione same sobie. Przez kilka sekund Maya wyobraziła sobie królestwo dzieci wychowywanych bez nieustannego wpływu Rozległej Sieci.

Kiedy zbliżyli się do doliny, wjechali na odcinek drogi wybrukowany brązowo-czerwoną kostką, nieco ciemniejszą od otaczającej ziemi. Minęli trzy długie szklarnie, po czym Gabriel skręcił na podwórze warsztatu samochodowego. Cztery zakurzone pikapy zaparkowano w otwartym baraku wykorzystywanym jako garaż naprawczy. Obok drewnianej szopy z narzędziami stały w rzędzie: buldożer, dwa dżipy oraz zabytkowy szkolny autobus. Ceglane stopnie prowadziły w górę stoku do dużej zagrody pełnej białych kurczaków.

Maya zakryła strzelbę kocem, ale przerzuciła przez ramię pasek tuby kryjącej miecz. Gdy zamykała drzwi samochodu, dostrzegła dziesięcioletnią mniej więcej dziewczynkę siedzącą na szczycie muru oporowego. Dziewczynka była Azjatką, jej długie czarne włosy opadały na chude barki. Podobnie jak inne dzieci, miała na sobie wytartą odzież - dżinsy i bluzkę z krótkim rękawkiem - oraz parę ciężkich robociarskich butów. Z pasa zwisał duży myśliwski nóż z rogową rękojeścią, wsadzony w pochwę. Broń i długie włosy nadawały dziewczynce wygląd rycerskiego giermka, gotowego zająć się ich rumakami, kiedy już przybyli na zamek.

- Cześć! - powiedziała dziewczynka. - Czy jesteście przybyszami z Hiszpanii?

- Nie, przyjechaliśmy z Los Angeles - odparł Gabriel i przedstawił siebie i Mayę. - A kim ty jesteś?

- Alice Chen.

- Czy to miejsce ma jakąś nazwę?

- New Harmony - odpowiedziała Alice. - Wybraliśmy tę nazwę dwa lata temu. Każdy miał jeden głos. Nawet dzieci.

Dziewczynka zeskoczyła z muru i podeszła, by przyrzec się z bliska zakurzonemu motocyklowi Gabriela.

- Czekamy na dwóch kandydatów z Hiszpanii. Kandydaci mieszkają tu przez trzy miesiące, a następnie głosujemy, czy ich przyjąć - wprowadziła ich w szczegóły, po czym odwróciła się i świdrowała wzrokiem Mayę. - Skoro nie jesteście kandydatami, to właściwie co tu robicie?

- Szukamy kogoś, kto ma na imię Martin - wyjaśniła wojowniczo. - Czy wiesz, gdzie możemy go spotkać?

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawiacie z moją mamą.

- To nie jest konieczne...

- Chodźcie ze mną. Ona jest w osiedlowym centrum.

Dziewczynka poprowadziła ich przez kolejny mostek, przy którym strumień przebijał się przez czerwone skały i tworzył meandry z bajorami. Duże domy zbudowane w południowo-zachodnim stylu stały po obu stronach drogi. Budynek miały otynkowane ściany zewnętrzne, małe okna oraz płaskie dachy, które w upalne wieczory można było wykorzystywać jako patio. Większość domów miała podobne rozmiary i Maya zastanawiała się, w jaki sposób budowniczy zdołali przewieźć tony cegieł i betonu wąską, polną drogą.

Alice Chen nie przestawała zerkać na nich przez ramię, jakby się spodziewała, że dwójka przybyszy zechce od niej uciec. Gdy minęli dom pomalowany na pastelowozielony kolor, Gabriel dogonił Mayę.

- Czy ci ludzie się nas spodziewają?

- Najwidoczniej nie.

- Kim jest Martin? Przewodnikiem?

- Nie wiem, Gabrielu. Dowiemy się tego już wkrótce.

Przeszli przez sosnowy zagajnik i dotarli do zespołu czterech białych budynków otaczających dziedziniec.

- To osiedlowe centrum - wyjaśniła Alice, gdy otwierali ciężkie drewniane drzwi.

Poszli za nią krótkim korytarzem do szkolnej sali wypełnionej zabawkami. Młoda nauczycielka siedziała na narzucie z piątką dzieci i czytała na głos książkę z obrazkami. Skinęła głową w stronę Alice, po czym spojrzała na dwoje obcych, kiedy stanęli w progu.

- Małe dzieci mają lekcje przez cały dzień - wyjaśniła ich przewodniczka. - Ale wyjdą na przerwę o drugiej po południu.

Opuścili budynek szkoły przeszli dziedzińcem obok kamiennej fontanny stojącej pośrodku i weszli do drugiego budynku. Były w nim trzy pomieszczenia bez okien, wypełnione komputerami. W jednym z pomieszczeń w oddzielnych boksach siedzieli ludzie analizujący obrazy na komputerowych monitorach, mówiący jednocześnie do mikrofonów nałożonych na głowy.

- Zawróć myszkę - mówił młody mężczyzna. - Widzisz czerwone światełko? To oznacza...

Przerwał na kilka sekund i gapił się na Mayę i Gabriela.

Szli dalej, minęli dziedziniec i weszli do trzeciego budynku, w którym były kolejne biurka i komputery. Drobną Chinką w białym lekarskim kitlu wyszła z pomieszczenia na tyłach. Mała Alice pobiegła do niej i szeptała jej coś do ucha.

- Dzień dobry - przywitała ich kobieta. - Jestem doktor Joan Chen, matka Alice.

- To Maya, a to Gabriel. Oni nie przyjechali z Hiszpanii.

- Szukamy...

- Tak. Wiem, kim jesteście - przerwała Joan. - Martin wspomniał o was na spotkaniu rady. Ale nie było zgody. Nie głosowaliśmy nad tą sprawą.

- Chcemy tylko porozmawiać z Martinem - wyjaśnił Gabriel.

- Ależ tak. Oczywiście - przytaknęła Joan i dotknęła ramienia córki. - Zaprowadź ich na wzgórze do pana Greenwalda. Pomaga w budowie nowego domu rodziny Wilkinsów.

Alice pobiegła przodem, gdy opuszczali klinikę i ruszyli dalej drogą.

- Nie spodziewałem się komitetu powitalnego, kiedy tu dotrzemy - odezwał się młodszy z braci Corriganów - Ale twoi przyjaciele nie wydają się nazbyt gościnni.

- Arlekini nie mają przyjaciół - odparła Maya. - Mamy obowiązki i sojuszników. Nie mów niczego, dopóki nie będę w stanie ocenić sytuacji.

Droga była pokryta porozrzucaną słomą. Kilkaset metrów dalej dotarli do pryzmy z bel słomy, ustawionej obok pełnego ruchu placu budowy. Z już wylanych fundamentów nowego domu wystawały stalowe pręty, na które nabijano słomiane bele, niczym ogromne żółte cegły. Przy budowie domostwa pracowało około dwudziestu ludzi w różnym wieku. Kilkunastoletni chłopcy w przepoconych bawełnianych koszulkach wbijali pręty w bele słomy, używając do tego dwuręcznych młotów, a trzech starsi mężczyźni przypinali ocynkowaną siatkę do już postawionych fragmentów zewnętrznych ścian. Dwaj stolarze z przypiętymi pasami narzędziowymi montowali drewnianą ramę, która miała podporać belki stropowe. Maya natychmiast zrozumiała, że wszystkie budynki w dolinie zbudowano w ten sam prosty sposób. Miejscowa społeczność nie potrzebowała cegieł ani betonu. Wystarczyły im płyty ze sklejki, wodoodporne tynki oraz kilkaset słomianych bel.

Muskularny Latynos w wieku czterdziestu kilku lat klęczał na ziemi, odmierzając płytę. Miał na sobie krótkie spodnie, pobrudzoną koszulkę i znoszony już pas z narzędziami. Kiedy dostrzegł przybyszy, wstał i podszedł do nich.

- W czym mogę wam pomóc? - zapytał. - Szukacie kogoś?
Zanim Maya zdążyła odpowiedzieć, mała Alice wyszła przez próg budowanego domu w towarzystwie krępego mężczyzny w grubych okularach na nosie. Mężczyzna ruszył pospiesznie w ich stronę z wymuszonym uśmiechem na twarzy

- Witamy w New Harmony Jestem Martin Greenwald. A to mój przyjaciel, Antonio Cardenas - powiedział i odwrócił się do Latynosa. - To są goście, o których dyskutowaliśmy na spotkaniu rady Otrzymałem w tej sprawie informację od moich przyjaciół w Europie.

Antonio nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego ich przybyciem. Naprężył barki i stanął w lekkim rozkroku, jak gdyby szykował się do walki.

- Widzisz, co wisi na jej ramieniu? Wiesz, co to znaczy?

- Mów ciszej - skarcił go Martin.

- Ona jest przeklętym Arlekinem. Tabulowie nie byliby zbyt zadowoleni, gdyby dowiedzieli się, że tu była.

- Ci ludzie są moimi gośćmi - powiedział Martin stanowczym tonem. - Alice zaprowadzi ich do Niebieskiego Domu. Około siódmej wieczorem będą mogli przyjść do Żółtego Domu i zjemy razem kolację - zwrócił się do Latynosa. - Ty też jesteś zaproszony, mój przyjacielu. Porozmawiamy o tym przy szklaneczce wina.

Antonio zawahał się przez kilka sekund, po czym wrócił na plac budowy. Pełniąc funkcję przewodnika, mała Alice Chen zaprowadziła przybyszy z powrotem do miejsca, w którym zaparkowali. Maya owinęła broń w koc, a Gabriel przerzucił miecz przez ramię. Znow ruszyli za Alice przez dolinę ku budynkowi o niebieskiej elewacji, stojącemu przy drodze niedaleko strumienia. Domostwo było stosunkowo małe - kuchnia, jedna sypialnia, pokój gościnny z sypialnym poddaszem. Drugie drzwi wychodziły na otoczony murem ogród porośnięty krzewami rozmarynu i dzikiej gorczycy.

W łazience z wysokim stropem znajdowała się staromodna wanna na nóżkach, na kranie widniały zielone plamy śniedzi.

Maya zrzuciła brudne ubranie i wzięła kąpiel. Woda miała lekko żelazisty zapach, jakby czerpano ją głęboko spod ziemi. Gdy napełniła wannę do połowy wodą, położyła się na plecach i usiłowała odprężyć. Nad umywalką ktoś postawił ciemnoniebieską butelkę z gałązką dzikiej róży. Przez chwilę zapomniała o czających się wokół zagrożeniach i skoncentrowała całkowicie na tym pojedynczym elemencie urody świata.

Jeśli się okaże, że Gabriel jest Travelerem, będzie nadal go chronić. Ale gdy Przewodnik dojdzie do wniosku, że młodszy z braci Corriganów jest tylko jeszcze jednym zwykłym śmiertelnikiem, wtedy powinna pożegnać się z nim na zawsze. Zanurzając się w wodę, oczyma wyobraźni zobaczyła, jak Gabriel zostaje w New Harmony, zakochany w młodej wieśniaczce, która lubi piec chleb. Stopniowo wyobraźnia poprowadziła ją ku mniej przyjemnym wizjom i ujrzała siebie samą stojącą wieczorem samotnie pod domem, wpatrującą się przez okno, jak Gabriel z żoną szykują kolację. Arlekin. Z dłońmi zbrukanymi krwią. Niech trzyma się z daleka.

O zachodzie słońca poszperała w torbie podróżnej i znalazła niebieski bezrękawnik oraz bawełnianą spódnicę długą do kostek. Kiedy spojrzała w lustro, stwierdziła z przyjemnością, że wygląda bardzo zwyczajnie - zupełnie jak młode kobiety, które Gabriel spotykał w Los Angeles. Następnie podciągnęła spódnicę i przypięła dwa noże do nóg. Pozostałą broń schowała pod narzutą zakrywającą łóżko.

Weszła do pokoju gościnnego i zobaczyła Gabriela stojącego w półmroku. Patrzył przez szczelinę między zasłonami.

- Ktoś czai się w krzakach na zboczu wzgórza jakieś dwadzieścia metrów stąd - poinformował ją. - Obserwują ten dom.

- To przypuszczalnie Antonio Cardenas lub jeden z jego przyjaciół.

- Czy powinniśmy w związku z tym coś zrobić?
- Nie. Chodźmy poszukać Żółtego Domu.

Maya starała się stwarzać wrażenie odprężonej, gdy szli ponownie drogą, nie była jednak pewna, czy ktoś za nimi nie idzie. Powietrze wciąż było ciepłe, korony sosen tworzyły na niebie ciemniejsze plamy. Żółty Dom znajdował się niedaleko jednego z mostków. Patio na dachu było oświetlone lampkami naftowymi - usłyszeli dobiegające stamtąd głosy.

Weszli do wnętrza i zobaczyli ośmioro dzieci w różnym wieku, jedzących kolację przy długim stole. Niewysoka kobieta z kręconymi, rudymi włosami krzątała się po kuchni. Miała na sobie dzinsową spódnicę i bawełnianą bluzkę z nadrukiem jak z komiksu, przedstawiającym kamerę monitorującą przekreśloną czerwonym krzyżem. Był to symbol sprzeciwu wobec Rozległej Sieci. Maya widziała ten wizerunek na podłodze pewnej dyskoteki w Berlinie oraz jako graffiti na murach w madryckiej dzielnicy Malasaña.

Wciąż trzymając łyżkę, kobieta podeszła do nich, aby się przywitać.

- Jestem Rebecca Greenwald. Witamy w naszym domu.

Gabriel uśmiechnął się i wskazał na dzieci.

- Dorobiliście się sporej trzódki.

- Tylko dwójka jest nasza. Na kolacji jest jeszcze troje dzieci Antonia, córka Joan i dwie przyjaciółki z innych rodzin. Dzieci w naszej społeczności zawsze jędzą kolację w domu innej rodziny. Po pierwszym roku pobytu tutaj musieliśmy ustanowić pewne reguły: do godziny czwartej po południu każde dziecko musi się zameldować u przynajmniej dwojga dorosłych. Chcę przez to powiedzieć, że jest to reguła, ale czasami może się zrobić niezły galimatias. W zeszłym tygodniu gościliśmy u siebie siedmioro umorusanych maluchów i trzech nastoletnich chłopaków, a każdy z nich jadł za dwóch. Nagotowałam mnóstwo spaghetti.

- Czy Martin...

- Mój mąż jest na górze, na patio, razem z innymi. Wejdźcie po prostu schodami. Dołączę do was za kilka minut.

Przeszli przez jadalnię do otoczonego murem ogrodu. Gdy wchodzili na dach zewnętrznymi schodami, Maya usłyszała podniesione głosy

- Nie zapominaj o dzieciach w tej społeczności, Martinie. Naszym obowiązkiem jest zapewnienie im bezpieczeństwa.

- Myślę o dzieciach dorastających na całym świecie. Rozległa Sieć uczy je strachu, chciwości i nienawiści...

Rozmowa urwała się z chwilą, gdy pojawili się Maya i Gabriel. Na środku patio ustawiono drewniany stół, światła zapewniały lampki na olej roślinny. Przy stole siedział Martin, Antonio oraz Joan i raczyli się winem.

- Witamy ponownie - powiedział Martin. - Usiądźcie, proszę.

Wojownicza dokonała szybkiej oceny kierunków, skąd mógłby nastąpić atak, i zajęła miejsce obok Joan Chen. Z tego miejsca mogła widzieć każdego, kto wchodził na górę po schodach. Martin uwijał się wokół nich, stawiając srebrne platery i nalewając do dwóch kieliszków wino z butelki bez etykiety.

- To jest merlot, kupujemy to wino bezpośrednio w wytwórni - wyjaśnił. - Kiedy po raz pierwszy zaświtała nam w głowach idea New Harmony, Rebecca zapytała o moją wizję i powiedziałem, że marzę o szklaneczce dobrego wina popijanej wieczorami w gronie oddanych przyjaciół.

- Brzmi to niezwykle skromnie - skomentował Gabriel. Martin uśmiechnął się i usiadł.

- Tak, ale nawet z tak drobnych życzeń jak to wynikają pewne wymagania. Potrzeba do tego życia w społeczności dysponującej wolnym czasem, z ludźmi osiągającymi dostateczne dochody, by pozwolić sobie na kupno merlota i móc cieszyć się drobnymi rozkoszami życia - uśmiechnął się i wznosił swój kieliszek. - W takim ujęciu kieliszek wina staje się pojęciem rewolucyjnym.

Maya zupełnie nie znała się na winach, ale smak tego trunku był przyjemny i przypominał jej wiśnie. Lekka bryza wiała doliną, płomyki trzech oliwnych lampek delikatnie migotały. Na nieskazitelnie czystym niebie nad pustynią można było podziwiać miriady gwiazd.

- Chciałbym przeprosić was oboje za niezbyt miłe powitanie - podjął rozmowę Marin. - Chcę również przeprosić w imieniu Antonia. Wspomniałem o waszym przyjeździe na spotkaniu rady, ale nie głosowaliśmy nad tą sprawą. Nie sądziłem, że zjawicie się tak szybko.

- Powiedzcie nam tylko, gdzie znajdziemy Przewodnika - powiedziała Maya. - I natychmiast stąd odjedziemy.

- Może Przewodnik w ogóle nie istnieje - warknął Antonio. - A wy możecie się okazać wysłanymi przez Tabulów szpiegami.

- Dziś po południu złościłeś się, że jest Arlekinem - uspokajał go Marin. - A teraz posądzasz ją o to, że jest szpiegiem.

- Wszystko jest możliwe.

Na twarzy Martina pojawił się uśmiech, gdy na górę weszła jego żona, niosąc tacę z jedzeniem.

- Nawet jeśli są szpiegami, zasługują na dobre jedzenie. Proponuję więc, żebyśmy zaczęli od posiłku. Porozmawiamy z pełnymi żołądkami.

Wokół stołu zaczęły krążyć półmiski i czarki. Sałatka. Lazania. Chrupiący pszenny chleb wypiekany we własnym piecu chlebowym. Gdy spożywali kolację, czworo mieszkańców New Harmony odprężyło się i zaczęło rozmawiać o codziennych sprawach i obowiązkach. Rura doprowadzająca wodę przeciekała. Jedna z ciężarówek wymagała wymiany oleju. Konwój miał odjechać do San Lucas za kilka dni i musieli wyruszyć bardzo wcześnie, gdyż jeden z nastolatków miał zdawać egzamin wstępny do college'u.

Po skończeniu trzynastu lat dzieci przekazywano w ręce jednego miejscowego nauczyciela, ale przedmioty były wykładane przez nauczycieli z całego świata - głównie

byli to studenci ostatniego roku studiów, którzy uczyli za pośrednictwem Internetu. Kilka uczelni wyższych zaoferoowało pełne stypendium dziewczynie, która w zeszłym roku ukończyła szkołę w New Harmony. Jej wiedza na temat rachunku różniczkowego i znajomość języka francuskiego w stopniu pozwalającym tłumaczyć dzieła Moliera wzbudziły ogromny podziw, a wiedziała też, jak wykopać studnię oraz naprawić uszkodzony silnik wysokoprężny.

- Co jest tutaj dla was największym problemem? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Zawsze są jakieś komplikacje, ale radzimy sobie z nimi - odpowiedziała Rebecca. - Na przykład w większości domów jest co najmniej jeden kominek, ale zazwyczaj dym wisiał długo nad doliną. Dzieci dostawały od tego kaszlu. Niebo było ledwo widoczne. Wtedy usiedliśmy i wspólnie postanowiliśmy, że nikt nie rozpali w kominku, jeśli na budynku naszego centrum nie będzie wywieszona niebieska flaga.

- Czy wszyscy są osobami wierzącymi? - zapytała Maya.

- Ja jestem chrześcijaninem - odpowiedział Antonio. - Martin i Rebecca są wyznania mojżeszowego. Joan jest budystką. Reprezentujemy wspólnie chyba wszystkie religie, ale życie duchowe jest prywatną sprawą każdego z nas.

Rebecca spojrzała na męża.

- Żyliśmy kiedyś pod nadzorem Rozległej Sieci. Ale wszystko zmieniło się w chwili, kiedy samochód Martina miał awarię na autostradzie.

- Uważam, że to właśnie był punkt wyjścia - podjął Martin. - Osiem lat temu mieszkałem w Houston, pracując jako konsultant od sprzedaży nieruchomości. Doradzałem bogatym rodzinom, dysponującym komercyjną własnością ziemską. Mieliśmy dwa domy, trzy samochody i...

- Był cieniem człowieka - wtrąciła Rebecca. - Kiedy wracał po pracy do domu, szedł do piwnicy z butelką whisky i oglądał stare filmy, dopóki nie zasnął na kanapie.

Martin przytaknął.

- Ludzkie istoty dysponują niemal nieograniczoną zdolnością popadania w urojenia. Potrafimy wyjaśnić sobie każde przygnębiające zdarzenie, o ile pasuje do wizji rzeczywistości stworzonej na własny użytek. Prawdopodobnie do końca swoich dni włókłbym się tą samą drogą, gdyby nie przypadek. Pojechałem służbowo do Wirginii i spotkało mnie coś okropnego. Moi nowi klienci przypominali chciwe dzieci, pozbawione nawet cienia odpowiedzialności. Podczas spotkania w pewnej chwili zaproponowałem, żeby jeden procent od rocznych zysków przeznaczyci na cele charytatywne w swojej miejscowości. Wtedy orzekli, że nie jestem dostatecznie twardy, aby prowadzić sprawę ich inwestycji.

Później było j uż tylko gorzej. Na lotnisku w Waszyngtonie były setki policjantów, ponieważ ogłoszono jakiś specjalny rodzaj alarmu. Musiałem dwa razy przechodzić przez kontrolę ochrony, byłem świadkiem, jak mężczyzna w sali odlotów dostał ataku serca. Mój samolot miał sześć godzin spóźnienia. Skracalem sobie czas oczekiwania, popijając drinki i gapiąc się w telewizor w lotniskowym barze. Wszędzie tylko śmierć i destrukcja. Zbrodnie. Zanieczyszczenie środowiska. Informacje przekazywane w wiadomościach wywoływały we mnie strach. Reklamy zachęcały mnie do kupna rzeczy, których nie potrzebowałem. Ogólny przekaz dawał do zrozumienia, że ludzie mogą być jedynie biernymi ofiarami albo konsumentami.

Kiedy wróciłem do Houston, było prawie czterdzieści stopni ciepła, a wilgotność przekraczała dziewięćdziesiąt procent. W połowie drogi do domu mój samochód odmówił posłuszeństwa na autostradzie. Rzecz jasna, nikt się nawet nie zatrzymał. Pamiętam, że wysiadłem z niego i patrzyłem w niebo. Miało brudny, brązowawy odcień od smogu. Dookoła leżały śmieci. Otaczał mnie hałas rozpędzonych samochodów. Zdałem sobie sprawę, że nie warto martwić się istnieniem piekła gdzieś tam po śmierci, skoro tu, na ziemi, sami stworzyliśmy sobie własne piekło.

I posłuchajcie, co się wtedy stało. Za moim autem zatrzymał się jakiś pikap i wysiadł z niego mężczyzna. Był mniej więcej w moim wieku, miał na sobie dżinsy i roboczą koszulę, w dłoni trzymał stary fajansowy kubek, bez ucha, coś w stylu naczyń używanych podczas ceremoniału picia herbaty w Japonii. Podeszedł do mnie, nie przedstawił się ani nie zapytał, co się dzieje z samochodem. Spojrzał mi w oczy, jak gdyby wiedział doskonale, co w tej chwili czuję. Po czym podał mi kubek i powiedział: „Proszę, tu jest trochę wody Musi pan być spragniony”.

Napiłem się wody Była chłodna i miała dobry smak. Mężczyzna podniósł maskę w moim samochodzie, pogrzebał w silniku i w ciągu kilku minut samochód znów był na chodzie. Normalnie dałbym temu człowiekowi parę groszy i pojechał dalej, ale wydawało mi się to nie w porządku, zaprosiłem go więc do domu na kolację. Po dwudziestu minutach byliśmy już na miejscu.

Rebecca przytaknęła i uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że Martin postradał rozum. Spotkał jakiegoś człowieka na autostradzie, a teraz ten obcy je kolację z naszą rodziną. Najpierw doszłam do wniosku, że to jakiś bezdomny. Może nawet drobny przestępca. Kiedy skończyliśmy posiłek, posprzątał naczynia ze stołu i zaczął zmywać je w kuchni, gdy Martin kładł dzieci do łóżka. Nieznajomy zaczął pytać o moje sprawy i z jakiegoś powodu zaczęłam opowiadać mu o wszystkim. Jak bardzo jestem nieszczęśliwa. Jak zamartwiam się o męża i dzieci. Jak muszę zażywać pastylki, żeby móc zasnąć w nocy.

- Nasz gość okazał się Travelerem - dodał Martin, spoglądając przez stół na Gabriela i Mayę. - Nie wiem, czy dużo wiecie o tym, jaką mocą dysponują?

- Chciałbym usłyszeć wszystko, co możesz mi opowiedzieć - zachęcił go młodszy z braci Corriganów.

- Travelerzy mogą opuszczać nasz świat i później do niego powracać - podjął Martin. - Na wszystko spoglądają z zupełnie odmiennej perspektywy.

- Ponieważ potrafią wydostać się poza mury więzienia, w którym żyjemy, mogą widzieć sprawy bardzo klarownie - dodał od siebie Antonio. - Dlatego Tabulowie tak bardzo się ich boją. Zależy im na tym, żebyśmy uwierzyli, że Rozległa Sieć jest jedyną prawdziwą rzeczywistością.

- Początkowo Traveler nie mówił dużo - podjęła Rebecca. - Ale w jego obecności można było odnieść wrażenie, że zagląda człowiekowi w głąb serca.

- Wziąłem trzy dni urlopu - kontynuował opowieść Martin. - Rebecca i ja tylko z nim rozmawialiśmy, starając się wyjaśnić, w jaki sposób utknęliśmy w tej ślepej uliczce. Po upływie trzech dni Traveler przeniósł się do motelu w centrum Houston. Każdego wieczoru zjawiał się w naszym domu, a my zaczęliśmy zapraszać naszych przyjaciół.

- Byłem przedsiębiorcą budowlanym, który dobudował sypialnię w domu Greenwaldów - odezwał się Antonio. - Kiedy Martin wpadł do mnie, myślałem, że chce, żebym spotkał się z kimś w rodzaju kaznodziei. Pewnego wieczoru zajrzałem do nich i akurat trafiłem na Travelera. W pokoju gościnnym zebrał się mały tłumek, stanąłem więc z dala, w rogu. Traveler popatrzył na mnie może przez dwie sekundy i to zmieniło całe moje życie. Poczulem, że wreszcie spotkałem kogoś, kto naprawdę rozumie wszystkie moje problemy.

- Dowiedzieliśmy się o istnieniu Travelerów dużo później - dołączyła do dyskusji Joan. - Martin nawiązał kontakt z innymi ludźmi przez Internet i odnalazł tajne strony internetowe. Najważniejsze jest uświadomienie sobie faktu, że każdy Traveler jest inny. Wywodzą się z różnych religii i kultur. Większość z nich odwiedza tylko jeden lub dwa światy Kiedy wracają do naszego świata, w różny sposób interpretują swoje doświadczenia.

- Nasz Traveler bywał w innym świecie zamieszkanym przez wygodniałe duchy - wyjaśnił Martin. - To, co tam zobaczył, pozwoliło mu zrozumieć, dlaczego ludzie z taką desperacją zaspokajają duchowy głód. Wciąż wypatrują no-

wy eh obiektów i nowych zdarzeń, które jedynie na chwilę potrafią zaspokoić ich nieposkromiony apetyt.

- Rozległa Sieć podtrzymuje w nas stan niezadowolenia i strachu - wtrącił Antonio. - To tylko kolejny sposób wymuszenia na nas posłuszeństwa. Stopniowo zdałem sobie sprawę, że wszystkie rzeczy, które kupuję, wcale nie powodują, że czuję się szczęśliwszy. Dzieciaki wydzierają się na okrągło. Żona i ja zaczęliśmy rozmawiać o rozwodzie. Czasami budziłem się o trzeciej nad ranem i po prostu leżałem, myśląc o zadłużeniu kart kredytowych.

- Traveler sprawił, że przestaliśmy się czuć jak schwytani w pułapkę - wtrąciła Rebecca. - Patrzył na nas wszystkich, grupkę zwyczajnych ludzi, i pomógł nam dostrzec, jak można żyć lepiej. Sprawił, że zdołaliśmy pojąć, co możemy zmienić na własną rękę.

- Nasi przyjaciele odbywali rozmowy ze swoimi przyjaciółmi i po upływie tygodnia każdego wieczora odwiedzało nas tuzin rodzin. Dwadzieścia trzy dni po swoim przybyciu Traveler pożegnał się z nami i odszedł.

- Kiedy nas opuścił, cztery rodziny przestały przychodzić na spotkania - podjął Antonio. - Bez jego siły i wsparcia nie byli w stanie wyrwać się z okowów dawnych nawyków i przyzwyczajzeń. Później zjawili się nowi ludzie, poznani za pośrednictwem Internetu, i dowiedzieli się o Travelerach oraz o niebezpieczeństwie związanym z przeciwstawianiem się Rozległej Sieci. Minał kolejny miesiąc i pozostało tylko pięć rodzin. To był załążek, grupa ludzi, którzy pragnęli zmienić swój los.

- Nie chcieliśmy żyć w sterylnym świecie, ale nie zamierzaliśmy też zrezygnować z trzech wieków osiągnięć technologicznych - tłumaczył Martin. - Optymalnym rozwiązaniem z naszego punktu widzenia było połączenie high-tech i low-tech. Swego rodzaju „trzecia droga”. Zebraliśmy więc wszystkie posiadane pieniądze, kupiliśmy tę ziemię i sprowadziliśmy się tutaj. Pierwszy rok był niewiarygodnie

ciężki. Mieliśmy problemy z uruchomieniem turbin wiatrowych, dzięki którym uzyskalibyśmy niezależne źródło energii. Ale Antonio okazał się wielki. Doszedł do sedna problemu i sprawił, że generatory zaczęły pracować.

- Do tego czasu pozostały tylko cztery rodziny - powiedziała Rebecca. - Martin pierwszy zaczął nas namawiać do budowy wspólnotowego ośrodka. Korzystając z telefonu satelitarnego, mogliśmy łączyć się z Internetem. Teraz udzielamy porad technicznych klientom trzech różnych firm. To główne źródło dochodów naszej wspólnoty.

- Wszyscy dorośli w New Harmony muszą pracować sześć godzin dziennie, pięć dni w tygodniu - kontynuował wyjaśnienia Martin. - Można pracować w ośrodku wspólnoty, pomagać w szkole lub w szklarniach. Produkuje mniej więcej jedną trzecią żywności, jemy jaja znoszone przez nasze kury i warzywa z własnych ogrodów, resztę kupujemy. W naszej społeczności nie ma przestępstw. Nie mamy hipotek ani kart kredytowych. No i mamy najwyższy luksus: mnóstwo wolnego czasu.

- Jak więc spędzacie wolny czas? - zapytała Maya.

Joan postawiła kieliszek na stole.

- Razem z córką chodzimy na piesze wycieczki. Zna wszystkie okoliczne szlaki turystyczne. Kilku tutejszych nastolatków uczy mnie latać na lotni.

- Ja zajmuję się wyrabianiem mebli - dodał od siebie Antonio. - Są jak dzieła sztuki, ale można na nich usiąść. Zrobiłem ten stół dla Martina.

- Uczę się gry na wiolonczeli - wtrąciła Rebecca. - Mój nauczyciel mieszka w Barcelonie. Dzięki komputerowej kamerze może widzieć i słuchać, jak gram.

- Ja zaś spędzam czas, siedząc w globalnej sieci i rozmawiając z ludźmi - podjął Martin. - Kilko spośród tych nowych przyjaciół zamieszkało z nami w New Harmony. W tej chwili wspólnotę tworzą dwadzieścia trzy rodziny.

- New Harmony pomaga rozpowszechniać informacje o Rozległej Sieci - zabrała głos Rebecca. - Kilka lat temu

Biały Dom zaproponował wprowadzenie czegoś, co nazwano kartą identyfikacyjną Ogniwo Ochronne. Projekt odrzucono w Kongresie, ale dowiedzieliśmy się, że stosuje się go w dużych korporacjach. Za parę lat rząd ponownie zaproponuje to rozwiązanie i wtedy karty będą już obowiązkowe.

- Ale nie zerwaliście więzów z nowoczesną cywilizacją - rzekła Maya. - Macie elektryczność i komputery.

- Oraz nowoczesną medycynę - uzupełniła Joan. - Konsultuję się za pomocą Internetu z innymi lekarzami, poza tym wykupiliśmy podstawową polisę zdrowotną na wypadek poważniejszej choroby. Nie wiem, czy przypisać to diecie, fizycznej aktywności i brakowi stresu, ale mieszkańcy wspólnoty chorują bardzo rzadko.

- Nie chcemy wcale uciekać od współczesnego świata i uchodzić za średniowiecznych włościan - tłumaczył Martin. - Naszym celem jest przejęcie kontroli nad własnym życiem i udowodnienie, że wybrana przez nas „trzecia droga” jest skuteczna. Istnieją inne wspólnoty podobne do New Harmony, także funkcjonujące na zasadzie połączenia nowoczesnej technologii i prostych technik. Kontaktujemy się ze sobą dzięki globalnej pajęczynie WWW Nowa kolonia w Kanadzie rozpoczęła swój byt zaledwie dwa miesiące temu.

Gabriel od dłuższego czasu nie odzywał się, nie przestawał jednak spoglądać na Martina.

- Powiedz mi jedną rzecz - odezwał się w końcu. - Jak miał na imię ten Traveler?

- Matthew

- Jakie miał nazwisko?

- Nigdy go nam nie podał - odparł Martin. - Nie sądzę, żeby miał choćby prawo jazdy.

- Czy macie jakieś jego zdjęcie?

- Chyba mam jedno w kufrze ze starymi rzeczami - odpowiedziała Rebecca, wstając od stołu. - Czy mam...

- Nie ma takiej potrzeby - wtrącił Antonio. - Mam jedno przy sobie.

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął notatnik, z którego wystawały różne zestawienia, stare recepty i plany techniczne. Położył notes na stole i zaczął wertować kartki, później wyciągnął niewielką fotografię.

- Moja żona zrobiła to zdjęcie cztery dni przed odejściem Travelera. Tego wieczora jadł kolację w naszym domu.

Trzymając fotografię za krawędź, niczym drogocenną relikwię, Antonio podał ją nad stołem. Gabriel wziął zdjęcie i wpatrywał się w nie przez długą chwilę.

- Kiedy zostało zrobione?

- Mniej więcej osiem lat temu.

Gabriel spojrzął po obecnych. Jego twarz wyrażała jednocześnie ból, nadzieję i radość.

- To mój ojciec. Byliśmy przekonani, że nie żyje, że zginął w pożarze, ale to jest on. Siedzi obok ciebie.

Gabriel siedział pod firmamentem nocnego nieba i badawczo oglądał postrzępione zdjęcie swojego ojca. Ponad wszystko pragnął, żeby Michael był tu z nim- Dwaj bracia stali przy zwęglonych zgliszczach farmy w' Południowej Dakocie. Razem jeździli po całym kraju, szeptali do siebie wieczorami, kiedy matka już spała. Czy ojciec wciąż jeszcze żyje? Czy ich szuka?

Corriganowie szukali swojego ojca bez ustanku, spodziewając się, że zobaczą go, jak siedzi na przystanku autobusowym lub wygląda orzez okno kawiarni. Czasami, kiedy wjeżdżali do nowego miasta, bracia spoglądali na siebie, odczuwając rosnące napięcie i podniecenie. Może był gdzieś blisko - bardzo blisko - wystarczyło pojechać dwa kwartały dalej na zachód i skrócić w lewo. Dopiero kiedy dotarli do Los Angeles, Michael postanowił, że pora porzucić wszelkie nadzieje. Ojciec nie żyje i odszedł na zawsze. Czas zapomnieć o przeszłości i iść dalej przez życie.

Gdy na niebie migotały już gwiazdy, Gabriel wypytywał czworo mieszkańców New Harmony o szczegóły Antonio i pozostali okazali mu współczucie, ale nie byli w stanie udzielić zbyt wielu informacji. Nie wiedzieli, jak odnaleźć Travelera. Nie kontaktował się z nimi ani nie zostawił adresu.

- Czy kiedykolwiek wspomniał, że ma rodzinę? Zonę? Dwóch synów?

Rebecca położyła dłoń na ramieniu syna Matthew Corrigan.

- Nie. Nigdy nie wspomniał o tym nawet słowem.

- Co wam powiedział, kiedy się z wami żegnał?
- Objął każdego z nas, po czym stanął w drzwiach - Martin zawiesił przepelniony emocjami głos. - Powiedział, że wpływowi ludzie będą chcieli nas nastraszyć i wzbudzić w nas nienawiść. Zechcą przejąć kontrolę nad naszym życiem i przyciągnąć naszą uwagę...
- .. błyskotliwymi mrzonkami - dokończyła Joan.
- Tak, błyskotliwymi mrzonkami. My jednak nie powinniśmy zapominać, że w naszych sercach jest Światło.
Zdjęcie - reakcja Gabriela na nie - rozwiązało przynajmniej jeden problem. Antonio przestał podejrzewać, że on i Maya są tabulskimi szpiegami. Gdy skończyli pić wino, Antonio wyjaśnił, że wspólnota chroni Przewodnika. Osoba ta mieszka w odosobnieniu czterdzieści kilometrów na północ. Jeśli wciąż mają zamiar się z nim spotkać, może ich tam zawieźć następnego ranka.

Gdy wracali do Niebieskiego Domu, Maya milczała. Kiedy dotarli do frontowych drzwi, wyprzedziła go i weszła do środka pierwsza. W działaniu tym dało się wyczuć coś agresywnego - jakby każde nowe lokum było miejscem, w którym mogli być zaatakowani. Wojowniczką nie zapaliła światła. Wydawało się, że ma zapisane w pamięci dokładne położenie każdego z mebli. Dokonała szybkiej inspekcji domu, po czym stanęły naprzeciw siebie w pokoju gościnnym.

- Wszystko w porządku, Mayu. Jesteśmy tu bezpieczni.
Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową, jakby powiedział coś bardzo głupiego. Słowo „bezpieczeństwo” było dla niej kłamstwem. Kolejną iluzją.
- Nigdy nie spotkałam twojego ojca i nie wiem, gdzie on jest - odezwała się. - Ale chcę ci powiedzieć, że... Chyba zrobił to, żeby cię chronić. Wasz dom został zniszczony

Wasza rodzina musiała się skryć pod ziemię. Zdaniem naszego informatora Tabulowie byli przekonani, że nie żyjecie. Bylibyście bezpieczni, gdyby Michael nie powrócił do Sieci.

- Być może taki był właśnie powód. Ale ja wciąż...
- Chcesz się z nim zobaczyć.

Gabriel przytaknął.

- Być może spotkasz go pewnego dnia. Jeśli masz moc Travelera, będziesz miał szansę spotkać się z nim w innym świecie.

Gabriel wszedł po drabinie na łóżko umieszczone na strychu. Usiłował zasnąć, ale okazało się to niemożliwe. Gdy chłodny wiatr ciągnący od kanionu szarpał okienną ramę, syn Matthew Corrigana usiadł na łóżku i podjął próbę przeistoczenia się w Travelera. Nic wokół niego nie było realne. Jego ciało nie było realne. Mógł je opuścić. Jeśli tylko zechce.

Przez mniej więcej godzinę spierał się sam ze sobą. *Zakładając, że dysponuję mocą, wystarczy, że zaakceptuję ten fakt. A plus B równa się C.* Kiedy logika nie skutkowała, zamknął oczy i dał się ponieść własnym emocjom. Mógł odnaleźć ojca i porozmawiać z nim, gdyby udało mu się wyrwać z cielesnej powłoki. W myślach starał się wyjść z ciemności na światło, ale kiedy otworzył oczy, stwierdził, że wciąż leży w łóżku. Przepętniony gniewem i frustracją, walił pięścią w materac.

W końcu udało mu się zasnąć, a kiedy obudził się o świcie, był owinięty w gryzący wełniany koc. Gdy z kątów strychu zniknęły cienie, Gabriel włożył ubranie i zszedł po drabinie. W łazience nie było nikogo, sypialnia również była pusta. Poszedł korytarzem do kuchni i zajrzał przez uchylone drzwi. Maya siedziała, trzymając na kolanach tubę z mieczem, i wpatrywała się w refleks słońca na posadzce

z czerwonej glazury Miecz i zacięty wyraz na jej twarzy sprawiły, że poczuł się tak, jakby Arlekin był zupełnie wyzuty z wszelkich ludzkich uczuć. Wątpił, czy ktoś mógł prowadzić bardziej samotne życie. Zawsze ścigana, zawsze gotowa podjąć walkę i spojrzeć śmierci w oczy.

Maya odwróciła się nieco, kiedy Gabriel wszedł do kuchni.

- Zostawali dla nas coś na śniadanie? - zapytał.

- W kredensie jest herbata i kawa rozpuszczalna. A w lodówce mleko, masło oraz bochenek chleba.

- Jak dla mnie, to wystarczy - Gabriel nalał wody do czajnika i postawił go na palniku kuchenki elektrycznej. - Czemu nie przyrządzisz sobie czegoś?

- Nie jestem głodna.

- Czy wiesz cokolwiek na temat tego Przewodnika? - znów zapytał. - Jest młody czy stary? Jakiej jest narodowości? Wczoraj wieczorem niczego nam nie powiedzieli.

- Przewodnik stanowi ich tajemnicę. Ukrywanie go jest ich aktem buntu wobec Rozległej Sieci. Antonio ma rację co do jednego. Wspólnota popadłaby w poważne tarapaty, gdyby Tabulowie dowiedzieli się, że tu byliśmy.

- Co się stanie, kiedy spotkamy się z Przewodnikiem? Zostaniesz tam i będziesz patrzeć, jak padam czołobitnie na twarz?

- Mam inne rzeczy do zrobienia. Nie zapominaj, że Tabulowie wciąż cię szukają. Muszę sprawić, żeby uwierzyli, że jesteś gdzieś indziej.

- I jak zamierzasz to zrobić?

- Powiedziałeś, że twój brat dał ci pieniądze i kartę kredytową, kiedy rozdzieliliście się w tej fabryce.

- Czasami używam jego kart - przyznał Gabriel. - Nie mam żadnej własnej.

- Sądzisz, że mogę ją pożyczyć?

- A co z Tabularni? Czy oni nie wysledzą numeru karty?

- Tego właśnie się spodziewam - oznajmiła Maya. - Wykorzystam kartę kredytową i twój motocykl.

Gabriel nie chciał stracić motocykla, ale wiedział, że dziewczyna ma rację. Tabulowie znali numer rejestracyjny jego maszyny i dysponowali tuzinem sposobów, żeby go namierzyć. Musiał pozbyć się wszystkiego, co wiązało się z jego dawnym życiem.

- W porządku.

Dał jej kartę kredytową Michaela i kluczyki motocyklowe. Maya sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć mu coś ważnego, ale wstała bez słowa i podeszła do drzwi.

- Zjedz śniadanie - rzekła. - Antonio powinien zjawić się tu za parę minut.

- To może się okazać stratą czasu. Mogę nie być Travelerem.

- Zaakceptowałam taką ewentualność.

- Zatem nie ryzykuj życiem i nie zrób niczego szalonego.

Maya spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Gabriel poczuł, że w tym momencie coś ich łączy. Nie byli przyjaciółmi, tylko żołnierzami walczącymi po jednej stronie. I wtedy po raz pierwszy, odkąd ją spotkał, usłyszał śmiech wojowniczeki.

- To wszystko jest szalone, Gabrielu. Ale mam nadzieję, że w jakiś sposób znajdziesz własny zdrowy rozsądek.

Antonio Cardenas pojawił się dziesięć minut później i oznajmił, że zawiezie ich do miejsca, gdzie mieszka Przewodnik. Gabriel wziął ze sobą miecz oraz plecak z zapasem odzieży. Na pace pikapa leżały trzy płócienne torby pełne puszek z jedzeniem, chleba oraz świeżych warzyw ze szklarni.

- Na samym początku, kiedy Przewodnik do nas przyjechał, spędziłem tam cały miesiąc, stawiając turbinę wiatrową, która miała napędzać pompę wodną i dawać prąd -

odezwał się Antonio. - Teraz pokazuję się tam raz na dwa tygodnie z dostawą jedzenia.

- Jaki on jest? - zapytał Gabriel. - Tego nam nie powie-
działeś.

Antonio machnął w stronę kilkorga dzieciaków, gdy pikap powoli ruszył drogą.

- Ma bardzo silną osobowość. Powiedz prawdę, a wszystko będzie w porządku.

Dotarli do dwupasmowej trasy szybkiego ruchu, która prowadziła do San Lucas, ale po kilku milach Antonio skręcił w porzuconą asfaltową drogę przecinającą prostą linią pustynię. Tablice z napisem „Wstęp wzbroniony” były niemal na każdym kroku, niektóre wisiały na stalowych słupkach, inne po prostu leżały literami do góry na spękanej ziemi.

- Była tu kiedyś baza raketowa - wyjaśnił Antonio. - Funkcjonowała przez ponad czterdzieści lat. Ogrodzona płotem. Ścisła tajna. Po czym Departament Obrony zabrał rakietę i sprzedał te tereny miejscowym służbom sanitarnym. Kiedy hrabstwo nie potrzebowało już tej ziemi, nasza wspólnota kupiła czterysta akrów.

- To wygląda na zupełne pustkowienie - zauważyła Maya.

- Wszystko, co zobaczycie... ma pewne zalety dla Przewodnika.

Niedźwiedzia trawka i kaktusy sięgały auta i drapały karoserię. Przez około sto metrów szosa była zasypana piaskiem, po czym znów pojawił się asfalt. Gdy droga powoli wznosiła się pod górę, zaczęli mijać czerwone skały i gaje z judaszowymi drzewami. Każde z niskich drzew wyciągało w górę gałęzie przyozdobione spiczastymi liśćmi, niczym prorok wznoszący modły do niebios. Zrobiło się bardzo gorąco, a słoneczna tarcza zdawała się coraz większa.

Mniej więcej po dwudziestu minutach ostrożnej jazdy dotarli do ogrodzenia z drutu kolczastego i sfatygowanej bramy.

- Od tego miejsca musimy pójść pieszo - powiedział Antonio i wszyscy wysiedli z półciężarówki. Wzięli torby

z jedzeniem, precyzyjnie się przez dziurę w bramie i ruszyli dalej drogą.

Gabriel dostrzegł z oddali wiatrak postawiony przez Antonia. Unoszące się nad gorącą ziemią rozedrgane powietrze sprawiało, że turbina wiatrowa wykrzywiała się i kołysała. Zanim zdążył zareagować, na szosę wpelzł wąż. Miał około metra długości i zaokrągloną głowę, czarny grzbiet zdobiły kremowe pasma. Maya zatrzymała się i dotknęła tuby z mieczem.

- Nie jest jadowity - rzekł Gabriel. - To chyba pończoszniczek albo wąż byczy. Zwykle są raczej bojaźliwe.

- To lancetogłów królewski - poprawił go Antonio. - Tutaj przed nikim nie uciekają.

Ruszyli dalej i zobaczyli następnego węża sunącego po ziemi, a potem trzeciego, wygrzewającego się na drodze w słońcu. Wszystkie węże miały czarne ciała, ale kolory i deseń pasków wydawały się różne. Białe, kremowe, jasnożółte.

Na ich szlaku pojawiało się coraz więcej węży i Gabriel przestał je liczyć. Dziesiątki gadów wiły się, pełzały i rozglądały się wokół małymi czarnymi oczkami. Maya wyglądała na zaniepokojoną - niemal przestraszona.

- Nie przepadasz za węzami?

Opuściła ręce i próbowała się odprężyć.

- W Anglii nie ma ich zbyt wiele.

Kiedy zbliżyli się do wiatraka, Gabriel zauważył, że stoi on obok prostokątnego obszaru o betonowej nawierzchni i rozmiarach zbliżonych do boiska piłkarskiego. Przypominało to gigantyczny bunkier z karabinami maszynowymi, opuszczony przez żołnierzy. Prosto na południe od betonowego placu stała nieduża aluminiowa przyczepa kempingowa, odbijająca refleksy pustynnego słońca. Nad drewnianym piknikowym stolikiem i plastikowymi skrzynkami z narzędziami i zapasami był rozpięty spadochron, który służył za osłonę przed słońcem.

Przewodnik klęczał przy podstawie turbiny i spawał wzmacniający wspornik. Miał na sobie niebieskie dzinsy,

koszulę w kratę z długimi rękawami oraz grube skórzane rękawice ochraniające dłonie. Twarz zakrywał spawalniczy kask. Cały był skupiony na płomieniu łączącym ze sobą dwa kawałki metalu.

Znów przepelzł kolejny, ponadmetrowej długości lancetogłów, niemal ocierając się o czubek buta młodszego z braci Corriganów Gabriel widział teraz dobrze tysiące niewyraźnych esów-floresów, śladów pozostawianych przez węże sunące po suchej ziemi.

Dziesięć metrów przed wieżą Antonio zawołał i pomachał ręką. Przewodnik usłyszał go, powstał i podniósł spawalniczą maskę. W pierwszej chwili Gabriel uznał, że ma przed sobą starego mężczyznę o siwych włosach. Gdy podeszli bliżej, zdał sobie sprawę, że mieli się spotkać z mniej więcej siedemdziesięcioletnią kobietą. Jej czoło było szerokie, a nos prosty. Twarz wyrażała ogromną siłę bez cienia sentymentalizmu.

- Dzień dobry, Antonio. Tym razem przywiozłeś ze sobą przyjaciół.

- Doktor Briggs, to jest Gabriel Corrigan. Jest synem Travelera i chciałby wiedzieć, czy...

- Ależ tak. Oczywiście. Witajcie - doktor Briggs mówiła z energicznym akcentem z Nowej Anglii. Ściągnęła jedną z ochronnych rękawic i uściśnęła dłoń Gabriela. - Nazywam się Sophia Briggs.

Jej palce były silne, a spojrzenie niebieskozielonych oczu nad wyraz przenikliwe. Gabriel poczuł, że jest taksowany wzrokiem, po czym kobieta odwróciła się od niego.

- A ty jesteś...

- Maya. Przyjaciółka Gabriela.

Doktor Briggs dostrzegła czarną metalową tubę zawieszoną na ramieniu Mai i w lot zrozumiała, co się w niej kryje.

- To bardzo interesujące. Sądziłam, że was, Arlekinów, nie ma już na tym świecie, że zostaliście wybici w rezultacie

heroicznych, ale samobójczych czynów. Nie jesteś przypadkiem zbyt młoda, żeby się tym zajmować?

- A może ty jesteś zbyt stara.

- Zawsze ten sam duch. Odrobina buntu. Podoba mi się to - Sophia wróciła do przyczepy i wrzuciła spawalnicze przybory do plastikowej skrzynki po mleku stojącej na ziemi. Zaskoczone odgłosami dwa duże lancetogłowy wysunęły się z cienia i zaczęły pełznąć w kierunku wiatraka.

- Witamy w krainie *Lampropeltis getula*, lancetogłowa królewskiego pospolitego. Oczywiście nie ma w nich nawet cienia pospolitości. To odważne, mądre i naprawdę urocze gady, jeszcze jeden z darów Boga na tym upadłym świecie. Macie przed sobą podgatunek *splendida*, lancetownika pustynnego, żyjącego w Arizonie. Odżywiają się żmijami i grzechotnikami, nie gardzą też żabami, ptakami i szczurami. Wprost uwielbiają zabijać szczury Zwłaszcza duże i wstrętne.

- Doktor Briggs zajmuje się badaniem węży - wtrącił Antonio.

- Jestem biologiem specjalizującym się w węzach, herpetologiem. Przez dwadzieścia osiem lat wykładałam na Uniwersytecie New Hampshire, do czasu, gdy wyrzucili mnie siłą. Powinniście widzieć rektora Mitchella, głupiego, małego człowieczka, który z ledwością człapał po schodach, sapiąc przy tym i dysząc, jak oznajmiał mi, że jestem zbyt słabowita, by prowadzić wykłady Co za nonsens. Kilka tygodni po uroczystej kolacji na cześć mojego przejścia na emeryturę po prostu zdebiałam, dostawszy od moich internetowych przyjaciół cynk, że Tabulowie odkryli moje kwalifikacje jako Przewodnika.

Antonio położył na stole płócienną torbę z zapasami jedzenia.

- Ale ona nie chciała odejść.

- A dłączegóż miałabym chcieć? Nie jestem tchórzem. Mam trzy sztuki broni palnej i potrafię się nimi posługiwać. Antonio i Martin wynaleźli to miejsce i zwabili mnie tutaj. Wy dwaj jesteście sprytnymi urwisami...

- Wiedzieliśmy że nie będziesz w stanie się oprzeć - chwalił się Antonio.

- Mielście rację. Pięćdziesiąt lat temu rząd zmarnował miliony dolarów, budując tę groteskową bazę raketową - Sophia minęła przyczepę i wskazała pewne miejsce. Gabriel dostrzegł trzy gigantyczne dyski otoczone zardzewiałymi stalowymi rusztowaniami. - Tam właśnie znajdują się trzy pokrywy silosów. Można je otwierać i strzelać ze środka. W ich wnętrzu trzymano pociski raketowe.

Obróciła się na pięcie i wskazała na stertę śmieci i odpadków, oddaloną mniej więcej o kilometr.

- Gdy zabrano stąd rakiety miejscowe władze zamieniły te tereny w wysypisko śmieci. Pod warstwą dwudziestu centymetrów ziemi i plastikową plandeką znajdują się pokłady śmieci, którego rozkładają się od dwudziestu lat i utrzymują ogromną populację szczurów. Gryzonie odżywiają się odpadkami i rozmnażają. Lancetogłowy zjadają szczury, rosną i rozmnażają się w silosach. Prowadzę badania nad podgatunkiem *splendida* i, jak dotąd, okazały się one bardzo owocne.

- Co więc zamierzamy robić? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Zjeść lunch, rzecz jasna. Zjedzmy lepiej ten chleb, zanim stanie się czerstwy.

Sophia przydzieliła wszystkim jakąś pracę i przyrzadzali posiłek z artykułów, które najszybciej się zepsują. Mai przypadło krojenie chleba i tępy nóż najwyraźniej ją drażnił. Obiad był prosty, ale smakowity. Sałatka ze świeżych pomidorów z oliwą i octem. Bardzo kaloryczny kozi ser pokrojony w kostkę. Żytni chleb. Truskawki. Na deser Sophia wyciągnęła tabliczkę belgijskiej czekolady i poczęstowała każdego dwoma kawałkami.

Węże były wszędzie. Jeśli wchodziły jej w drogę, chwyciła je mocno i przenosiła na skrawek wilgotnej ziemi obok szopy. Maya siedziała przy stole w jednej z pozycji jogi, jakby któryś z gadów mógł przepęłznąć po jej nodze. Podczas posiłku Gabriel poznał nowe fakty z życia Sophii

Briggs. Nie miała dzieci. Nigdy nie wyszła za mąż. Kilka lat temu poddała się operacji biodra, ale, pomijając ten epizod, starała się trzymać z daleka od lekarzy.

Gdy miała czterdzieści kilka lat, zaczęła odbywać coroczne wyprawy do legowisk węży w Narcisse Park w Manitobie, gdzie prowadziła badania nad liczącą pięćdziesiąt tysięcy osobników populacją węży pończoszników, które w okresie lęgowym opuszczały swoje siedliska w wapiennych jaskiniach. Nawiązała wtedy bliską przyjaźń z pewnym katolickim księdzem mieszkającym w tamtej okolicy. Po wielu latach ksiądz wyjawiał jej, że jest Przewodnikiem.

- Ojciec Morrissey był czarującym człowiekiem - powiedziała. - Jak większość księży, celebrował przy tysiącach chrztów, ślubów i pogrzebów, ale nauczył się czegoś dzięki religijnym przeżyciom. Był osobą niezwykle spostrzegawczą i wnikliwą. I bardzo mądrą. Czasami miałam wrażenie, że czyta w moich myślach.

- Dlaczego wybrał ciebie? - zapytał Gabriel.

Sophia oderwała kawałek chleba z kromki.

- Moje umiejętności nie należą do najważniejszych na tym świecie. W rzeczywistości wcale nie darzę ludzi wielką sympatią. Są próżni i głupawi. Ale nauczyłam się zauważać pewne rzeczy. Mogę skoncentrować się na czymś i przestać zwracać uwagę na zbędne detale. Być może ojciec Morrissey mógł znaleźć kogoś, kto bardziej by się nadawał, ale zapadł na raka limfy i zmarł po siedemnastu tygodniach od postawienia diagnozy. Wzięłam na uczelni urlop, siedziałam przy jego szpitalnym łóżku, on zaś przekazywał mi swoją wiedzę.

Kiedy wszyscy skończyli posiłek, Sophia wstała od stołu i spojrzała na Mayę.

- Chyba nadeszła pora, byś ruszała w drogę, młoda damo. Mam w przyczepie telefon satelitarny, który zwykle działa. Zadzwoń do Martina, kiedy skończymy

Antonio zebrał opróżnione płócienne torby i ruszył w drogę powrotną. Maya i Gabriel stali blisko siebie, ale żadne z nich

się nie odezwało. Zastanawiał się, co może jej powiedzieć. „Bezpiecznej podróży”. „Do zobaczenia wkrótce”. Żadne z tych konwencjonalnych pożegnań jakoś nie pasowało do Arlekina.

- Do widzenia - powiedziała pierwsza.

- Do widzenia.

Maya zrobiła kilka kroków, po czym zatrzymała się i spojrzała do tyłu na niego.

- Zawsze miej przy sobie nefrytowy miecz - dodała jeszcze. - Nie zapomnij. To talizman.

Wtedy odeszła. Jej sylwetka robiła się coraz mniejsza, kiedy znikąca, odchodząc drogą.

- Ona cię lubi.

Gabriel obrócił się i zdał sobie sprawę, że Sophia ich obserwowwała.

- Darzymy się wzajemnie szacunkiem...

- Gdyby coś takiego powiedziała mi kobieta, uznałabym ją za osobę nad wyraz tępą, ale ty jesteś po prostu typowym mężczyzną - skomentowała Sophia, po czym powróciła do stołu i zaczęła zbierać brudne naczynia. - Darzy cię sympatią, Gabrielu. Ale Arlekinom absolutnie nie wolno tego robić. Mają wielką moc. W zamian za ten dar są jednak chyba najbardziej samotnymi ludźmi na tym świecie. Ona nie może sobie pozwolić choćby na cień uczuć, które zakłóciłyby obiektywizm jej oceny.

Gdy sprząтали po jedzeniu i zmywali naczynia w plastikowej misce, Sophia wypytała Gabriela o rodzinę. W sposobie systematycznego zdobywania informacji było wyraźnie widoczne jej akademickie przygotowanie.

- Skąd o tym wiesz? - pytała. - Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Słońce przesunęło się ku horyzontowi po zachodniej stronie. Skalisty grunt zaczął się ochładzać, a wiatr przybrał na sile. Sprawił, że spadochron nad nimi łopotał i wydał się jak żagiel. Sophia patrzyła z rozbawieniem, kiedy Gabriel opisywał jej nieudane próby przemiany w Travelera.

- Niektórzy Travelerzy potrafią sami nauczyć się podróżować do innych światów - oznajmiła. - Ale nie w naszym obłąkańczym świecie.

- Dlaczego nie?

- Nasze zmysły są za bardzo zdominowane przez wszystkie te hałasy i jaskrawe światła wokół nas. W przeszłości potencjalny Traveler wpełzał do jaskini albo znajdował samotnie w kościelnych murach. Musisz mieć zapewnione spokojne otoczenie, jak choćby wnętrze raketowego silosu - Sophia skończyła zamykać pudełko z jedzeniem i spojrzała na niego. - Chcę, żebyś mi przyrzekł, że pozostaniesz w silosie przez co najmniej osiem dni.

- To dosyć długo - skomentował Gabriel. - Sądziłem, że raczej szybko zorientujesz się, czy mam moc potrzebną do przejścia.

- Odkrycie tego jest twoją powinnością, młody człowieku. Nie moją. Przyjmij te zasady albo wracaj do Los Angeles.

- W porządku. Osiem dni. Nie widzę problemu - Gabriel podszedł do stołu i wziął plecak oraz nefrytowy miecz. - Chcę to zrobić, doktor Briggs. To dla mnie bardzo ważne. Być może nawiążę kontakt ze swoim ojcem albo bratem...

- Nie myślałabym o tym. To raczej niespecjalnie pomaga - Sophia wymiotła węże ze spiżarni i wzięła propa nową lampę. - Wiesz, dlaczego lubię węże? Są takie, jakimi stworzył je Bóg: czyste, piękne i... nagie. Poznając do głębi ich naturę, zdołałam pozbyć się wszystkich rupieci i głupot z mojego życia.

Gabriel rozejrzał się dookoła, popatrzył na raketową bazę i pustynny krajobraz. Czuł się tak, jakby miał zostawić za sobą wszystko i wyruszyć w długą podróż.

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

- Dobrze. Zejdźmy do podziemi.

Gruby czarny przewód biegł od generatora prądu turbiny wiatrowej do wnętrza raketowego silosu. Sophia Briggs szła wzdłuż przewodu przez betonowy plac w kierunku zadaszanej rampy ze stalową podłogą.

- Kiedy trzymali tu pociski raketowe, główne wejście wiodło przez windę towarową. Ale rząd kazał rozmontować windę, gdy teren ten sprzedano miejscowym władzom. Węże dostają się do środka na tuzin różnych sposobów, ale my skorzystamy ze schodów awaryjnych.

Sophia postawiła na ziemi lampę propanową i zapalką zapaliła knot. Gdy lampa zajarzyła się już jaskrawym białym płomieniem, kobieta otworzyła właz, ciągnąc go oburącz, i odsłoniła stalowe schody prowadzące w ciemną otchłań. Gabriel zdawał sobie sprawę, że lancetogłowy nie stanowią dla człowieka najmniejszego zagrożenia, ale poczuł się jakoś nieswojo, ujrawszy dorodny okaz zsuwający się w dół po stopniach.

- Dokąd on zmierza?

- Do jednego z wielu miejsc. W silosie przebywa od trzech do czterech tysięcy osobników podgatunku *splendida*. To ich miejsce lęgowe - wyjaśniła Sophia. Zeszła dwa stopnie w dół i zatrzymała się. - Czy węże cię niepokoją?

- Nie. Ale to wgląda nieco niezwykle.

- Każde nowe doświadczenie wydaje się odbiegać od normy. Reszta życia jest przeznaczona na sen oraz posiedzenia i narady. A teraz chodź i zamknij za sobą drzwi.

Gabriel wahał się przez kilka sekund, następnie zatrzasnął właz. Stał na pierwszych stopniach metalowych schodów

wijących się spiralnie wokół szybu windy osłoniętego klatką / łańcucha. Na stopniach przed nim znajdowały się dwa duże lancetogłowy. Kilka innych pełzało wewnątrz klatki, jakby podróżowały odnogami jakiejś węzowej autostrady Gady prześlizgiwały się wzdłuż ciał swoich pobratymców, wysuwając rozdwojone języki i badając otaczające powietrze. Ruszył schodami w dół za Sophią.

- Prowadziłaś już kiedyś osobę, która sądziła, że jest Travelerem?

- W ciągu ostatnich trzydziestu lat miałam dwóch uczniów: młodą kobietę i starszego mężczyznę. Żadne z nich nie zdołało wyruszyć w podróż do innych wymiarów, ale być może była to moja wina - Sophia spojrzała w górę. - Nie możemy nauczyć ludzi być Travelerami. To coś bliższego sztuce niż nauce. Wszystko, co może zrobić Przewodnik, to zebrać właściwe techniki, żeby ułatwić potencjalnym kandydatom odkrycie mocy, która w nich tkwi.

- I w jaki sposób to robisz?

- Ojciec Morrissey pomógł mi zapamiętać *99 ścieżek*. Jest to niepisana księga, w której znajduje się dziewięćdziesiąt dziewięć technik i ćwiczeń opracowywanych w ciągu wieków przez wizjonerów z różnych religii. Jeśli nie byłbyś na to przygotowany, mógłbyś sądzić, że wszystko to jest wyłącznie magią i księżycowym pyłem; całym tym nonsensem wymyślonym przez chrześcijańskich świętych, żydów studiujących kabałę, buddyjskich mnichów i tak dalej. Ale w *99 ścieżkach* nie ma nawet grama mistyki. To praktyczne zestawienie dziewięćdziesięciu dziewięciu idei, którym przyświeca ten sam cel: wyzwolenie Światła z fizykalnego ciała.

Dotarli do dna szybu windy i zatrzymali się przed masywnymi drzwiami awaryjnymi, wciąż wiszącymi na jednym zawiasie. Sophia połączyła ze sobą dwa odcinki elektrycznego przewodu i w pobliżu leżącego niedaleko generatora zapaliła się żarówka. Otworzyli drzwi, przeszli krótkim korytarzem

i weszli do szerokiego tunelu, w którym zmieściłby się pikap.

Przerdzewiałe dźwigary wystawały ze ściany niczym żebra gigantycznego zwierzęcia. Podłogę tworzyły płaskie, stalowe płyty. Stare przewody wentylacyjne i rury wodociągowe biegły nad ich głowami. Równie stare fluorescencyjne świetlówki nie działały i jedynym źródłem światła było sześć zwykłych żarówek, których oprawki połączono z przewodem zasilającym.

- To jest tunel główny - wyjaśniła Sophia. - Od jednego końca do drugiego mierzy prawie półtora kilometra. Plan całego obszaru podziemi przypomina kolosalną jaszczurkę. Stoimy teraz pośrodku jej tułowia. Jeśli pójdziesz na północ ku głowie, znajdziesz się w silosie raketowym numer jeden. Przednie nogi prowadzą do drugiego i trzeciego silosu, z kolei w odnóżach tylnych znajdują się pomieszczenia centrum kontrolnego i kwatery personelu. Udając się na południe, dojdiesz do ogona, gdzie pod ziemią jest przechowywana antena radiowa.

- Gdzie się podziały wszystkie węże?

- Gromadzą się pod podłogą lub w kanałach wentylacyjnych nad twoją głową - wyjaśniła Sophia i ruszyła tunelem. - Eksplorowanie tych miejsc jest bardzo niebezpieczne, jeśli nie wiesz, dokąd zmierzasz. Podłogi są wewnątrz puste, a położono je na stalowych sprężynach, żeby zamortyzować drgania po wybuchu. Miejscami jest tu wiele poziomów zbudowanych jeden na drugim, zatem spaść można z bardzo wysoka.

Skręcili w jeden z bocznych korytarzy i weszli do dużego pomieszczenia. Ściany zewnętrzne wzniesiono z betonowych bloków pomalowanych na biało. Cztery wewnętrzne ścianki działowe, o połowę niższe, dzieliły pomieszczenia na sypialne boksy. W jednym z nich znajdowało się składane łóżko, a na nim śpiwór, poduszka i materac z pianki gumowej. Kilka stóp od łóżka stała lampa na propan, przykryte wiadro i trzy butelki z wodą.

- To było dormitorium personelu. Kiedy po raz pierwszy badałam liczebność populacji *splendida*, pozostałam pod ziemią przez kilka tygodni.

- Sugerujesz, że mam tu zamieszkać?

- Tak. Przez osiem dni.

Gabriel rozejrzał się po spartańskim pomieszczeniu. Przywodziło mu na myśl więzienie. *Nie narzekaj*, pomyślał. *Po prostu rób to, co ci każe*. Postawił plecak na posadzce i usiadł na połowym łóżku.

- W porządku. Zatem zaczynamy.

Sophia kręciła się niespokojnie po pomieszczeniu, zbierając bryłki odpadającego betonu i rzucając je na stolik w narożniku.

- Na początek omówimy podstawy. Wszystkie żywe istoty noszą w sobie specjalny rodzaj energii nazywany Światłem. Jeśli sobie życzysz, możesz nazwać ją „duszą”. Kwestie teologiczne nie zajmują mnie wcale. Kiedy człowiek umiera, Światło łączy się na powrót z energią, która nas otacza. Travelerzy są jednak inni. Ich Światło może opuszczać fizyczne ciało i później do niego powracać.

- Maya mówiła, że Światło podróżuje do innych wymiarów.

- Tak. Ludzie nazywają to „światami” lub „bytami równoległymi”. Jeśli wolisz, możesz używać określenia, które twoim zdaniem ma większy sens. Święte księgi różnych religii opisywały odmienne aspekty tych światów. Są one źródłem mistycznych widzeń. Wielu świętych i proroków opisywało te światy, ale pierwszą próbę ich zrozumienia podjął pewien buddyjski mnich z Tybetu. Zanim państwo to zostało podbite przez Chiny, w Tybecie panowała teokracja o niemal tysiącletniej historii. Chłopi wspierali mnichów i mniszki, którzy potrafili zrozumieć relacje Travelerów z międzywymiarowych wojaży i z zebranych informacji zbudowali uporządkowany system. Sześć światów nie jest więc koncepcją buddyjską, lecz w rzeczy samej tybetańską. Tybetańczycy są też pierwszymi ludźmi, którzy opisali całość.

- Jak mam się tam dostać?

- Światło wyrwie się z twojej cielesnej powłoki. Musisz zmierzać do tego zdarzenia małymi krokami. Pierwszy raz

jest zaskakujący, czasami nawet bolesny. Następnie twoje Światło musi pokonać cztery bariery, by dotrzeć do każdego z innych światów. Te bariery to Woda, Ogień, Ziemia i Powietrze. Nie istnieje ustalona kolejność ich pokonywania. Kiedy już twoje Światło znajdzie przejście, będzie z niego korzystać za każdym razem.

- I wtedy wkracza się do sześciu światów - podjął Gabriel. - Jakie one są?

- Żyjemy w Czwartym Świecie, Gabrielu. To rzeczywistość ludzi. Jaki jest ten nasz świat? Piękny. Okropny. Pełen cierpień. Porywający - mówiąc to, Sophia znów podniosła betonową bryłkę i rzuciła ją w poprzek pomieszczenia. - Każda rzeczywistość, w której można spotkać lancetogłowy królewskie i lody czekoladowo-miętowe, ma swoje dobre strony.

- Lecz te inne miejsca...?

- Każdy człowiek może odnaleźć ślady innych światów we własnym sercu. Dominuje w nich jedna, określona cecha. W szóstym wymiarze, zamieszkanym przez bogów, grzechem jest pycha. W piątej rzeczywistości półbogów za grzech uchodzi zazdrość. Musisz zrozumieć, że nie mówimy tu o bogu jako mocy, która stworzyła wszechświat. Zgodnie z nauką Tybetańczyków, bogowie i półbogowie przypominają istoty ludzkie zamieszkujące inne światy

- A my żyjemy w Czwartym Wymiarze...

- W którym grzechem jest pożądanie - Sophia obróciła się i obserwowała węża sunącego wzdłuż rury odprowadzającej ścieki. - Zwierzęta Trzeciego Wymiaru nie mają pojęcia o istnieniu pozostałych światów. W Drugim Świecie mieszkają wygłodniałe duchy, które nigdy nie są w stanie się nasycić. Pierwszym Wymiarem jest miasto nienawiści i gniewu, w którym rządzą ludzie pozbawieni współczucia. Inne nazwy tego miejsca to Szeol, Hades, Piekło.

Gabriel poczuł się tak, jakby stanął przed plutonem egzekucyjnym.

- Jesteś Przewodnikiem. Powiedz mi więc, co powinienem robić.

Sophia Briggs sprawiała wrażenia rozbawionej.

- Nie czujesz się zmęczony, Gabrielu?

- To był długi dzień.

- W takim razie powinieneś udać się na spoczynek.

Sophia wyciągnęła z kieszeni flamaster i podeszła do ściany.

- Musisz przestać rozróżniać rzeczywistość od świata snów, zgubić tę granicę. Zamierzam pokazać ci ścieżkę osiemdziesiątą pierwszą. Odkryli ją żydzi praktykujący kabałę, żyjący w północnej Galilei, w mieście Safed.

Posługując się flamastrem, narysowała na ścianie cztery litery hebrajskiego alfabetu.

- Nie myśl o sobie ani o mnie, ani też o *splendida*. Trzy razy podczas snu powinieneś zadać sobie pytanie: „Czy jestem na jawie, czy we śnie?”. Nie otwieraj oczu, ale pozostań w świecie snów i obserwuj, co się dzieje.

-1 to wszystko?

Uśmiechnęła się i ruszyła ku wyjściu z pomieszczenia.

- Na początek.

Gabriel ściągnął buty, położył się na łóżku, wpatrzony w cztery hebrajskie litery. Nie potrafił ich przeczytać ani wymówić, ale ich kształty zaczęły krążyć w jego umyśle. Jedna z liter przypominała bezpieczne schronienie przed sztormem. Trzcina. Kolejne schronienie. Później pojawiła się mała falista linia podobna do węża.

Zapadł w głęboki sen, po czym wracał na jawę lub przechodził w półsen - nie miał pewności. Spoglądał w dół na tetragram narysowany czerwonym barwnikiem na posadzce z szarych płytek. Kiedy tak patrzył, podmuch wiatru zmaszał imię Boga.

Gabriel obudził się cały spocony. Coś się stało z żarówką i w pomieszczeniu było ciemno. Z korytarza prowadzącego do głównego tunelu dobiegała blada poświata.

- Hej! - wykrzyknął. - Sophia?

- Już idę.

Młodszy z braci Corriganów usłyszał odgłosy kroków u wejścia do dormitorium. Nawet w całkowitej ciemności Sophia zdawała się wiedzieć, dokąd idzie.

- To zdarza się nieustannie. Wilgoć przesiąka przez beton i zwiera elektryczne styki - wyjaśniła, postukała palcem w żarówkę i po chwili drucik wewnątrz znów się rozżarzył. - No i kłopot z głowy.

Podeszła do łóżka i podniosła benzynową lampę.

- To twoja latarnia. Jeśli światło zgaśnie albo gdy najdzie cię ochota na wycieczki, miej ją ze sobą - powiedziała, przyglądając się jego twarzy. - Jak ci się spało?

- Całkiem dobrze.

- Czy byłeś świadom tego, co ci się śni?

- Prawie. Później już nie mogłem zostać we śnie.

- Wszystko wymaga czasu. Chodź ze mną. I weź ze sobą miecz.

Gabriel podążył głównym tunelem za Sophią. Nie wiedział, jak długo był pogrążony we śnie. Nie miał też pojęcia, czy jest już ranek, czy jeszcze noc. Zauważył, że natężenie światła w żarówce ulega zmianom. Dwadzieścia pięć metrów nad ich głowami wiatr szumiał w gałęziach judaszowych drzew i napędzał śmigła turbiny wiatrowej. Niekiedy siła wiatru zwiększała się i wtedy żarówki świeciły jaśniej. Gdy ruch powietrza zamierał, jedynym źródłem energii były akumulatory - wówczas druciki w żarówkach żarzyły się na pomarańczowo, jak rozżarzone węgle w dogasającym ogniu.

- Chcę, żebyś przystąpił do pracy nad siedemnastym szlakiem. Przywiozłeś ze sobą miecz, i to był chyba dobry

pomysł. Ścieżkę tę obmyślili mieszkańcy Chin albo Japonii, któraś z kultur miecza. Uczy, jak koncentrować się na własnych myślach bez myślenia.

Zatrzymali się przy końcu tunelu i Sophia wskazała na mokrą plamę widoczną na pokrytych rdzą metalowych płytach. - No, dotarliśmy na miejsce...

- Co mam właściwie robić?

- Popatrz do góry, Gabrieli. Prosto w górę.

Podniósł głowę i dostrzegł kroplę wody formującą się na łukach wsporników nad ich głowami. Trzy sekundy później kropla oderwała się od wspornika i rozbryznęła na stalowej płycie przed nim.

- Wyciągnij miecz i przetnij kroplę na pół, zanim doleci do ziemi.

Przez sekundę pomyślał, że Sophia żartuje sobie z niego, kazać mu zrobić coś absolutnie niewykonalnego, ale na jej twarzy nie dostrzegł uśmiechu. Wyciągnął więc nefrytowy miecz. Jego wypolerowana głownia lśniła nawet w półmroku. Trzymając broń oburącz, przyjął pozycję wyjściową w kendo i szykował się do ataku. Kropla nad jego głową rosła, zaczęła drżeć i w końcu opadła. Machnął klingą, ale beznadziejnie chybił.

- Nie przewiduj - poradziła. - Po prostu bądź gotowy.

Przewodniczka pozostawiła go samego pod stalowym dźwigarem. Formowała się kolejna kropla. Zakładał, że opadnie za dwie sekundy. Za sekundę. Teraz. Kropla spadała, on zaś ciął mieczem z nadzieją i pożądaniem.

Po walce stoczonej w apartamentowcu, w którym znajdowało się mieszkanie Michaela, Hollis pojechał najpierw do szkoły sztuk walki przy bulwarze Florence i poprowadził ostatnie zajęcia. Dwóch najlepszych uczniów - Marco Martinez a i Tommy ego Wu - poinformował, że przekazuje szkołę w ich ręce. Marco miał prowadzić zajęcia na poziomie zaawansowanym, Tommy zaś uczyłby początkujących. Przez pierwszy rok mieli dzielić się kosztami po połowie, później czekało ich podjęcie decyzji, czy chcą dalej wspólnie prowadzić szkołę.

- Mogą mnie szukać jacyś faceci. Będą prawdziwymi policjantami albo użyją podrabianych odznak. Powiedźcie im, że postanowiłem wrócić do Brazylii i znów brać udział w turniejach walk.

- Potrzebujesz gotówki? - zapytał Marco. - Mam w mieszkaniu trzysta dolców.

- Nie, dzięki. Spodziewam się sporej zapłaty od pewnych gości z Europy.

Tommy i Marco spojrzeli na siebie. Zapewne pomyśleli, że zajął się handlem narkotykami.

W drodze do domu Hollis zatrzymał się w sklepie spożywczym i chodził między regałami, wrzucając do koszyka wybrane towary. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że wszystkie decyzje, które kiedyś uważał za ważne - odejście z kościoła, wyjazd do Brazylii - miały go jedynie przygotować do chwili, kiedy Victory Fraser i Maya przekroczyły próg jego szkoły. Mógł się jeszcze wycofać, ale czuł, że nie byłoby to *fair*. Do tej walki szykował się przez całe życie.

Jadąc w stronę domu, wypatrywał obcych, którzy nie pasowali do kolorytu sąsiedztwa. Kiedy otwierał bramę wjazdową i parkował w garażu samochód, czuł się wystawiony na atak. Coś poruszyło się w półmroku, kiedy otwierał tylne drzwi i wszedł do kuchni. Odskokzył do tyłu, po czym roześmiał się, widząc, że to tylko Garvey, jego kot.

Tabulowie zapewne wiedzieli już, że czarny mężczyzna stoczył w windzie zwycięską walkę z trójką ich najemników. Hollis wywnioskował, że ich komputery nie będą potrzebowały dużo czasu, żeby dotrzeć do jego danych personalnych. Shepherd wykorzystał Vicki do odebrania Mai z lotniska. Rozległa Sieć dysponowała zapewne nazwiskami wszystkich wyznawców miejscowej społeczności należącej do kościoła Isaaca T. Jonesa. Hollis wystąpił z szeregów wspólnoty kilka lat temu, ale w kongregacji wszyscy wiedzieli, że jest instruktorem sztuk walki.

Chociaż Tabulowie zamierzali go zabić, nie planował wyjechać natychmiast. Miał kilka powodów natury pragmatycznej - musiał najpierw otrzymać od Arlekinów honorarium wynoszące pięć tysięcy dolarów - poza tym pozostawanie w Los Angeles odpowiadało jego stylowi walki. Hollis uderzał w kontrataku. Gdy walczył na turnieju, zawsze na początku każdej rundy prowokował przeciwnika do szarży. Otrzymany cios dodawał mu siły i był powodem do kontrnatarcia. Chciał teraz, żeby źli faceci wykonali pierwszy krok, aby mógł ich później unicestwić.

Hollis załadował szturmowy karabin i usiadł w przyziemnym salonie. Nie włączał telewizora ani radia, na kolację zjadł płatki śniadaniowe. Od czasu do czasu po pokoju przechadzał się Garvey z ogonem uniesionym do góry, spoglądając na niego sceptycznie. Kiedy zapadł zmrok, wszedł na dach domu, zabierając ze sobą karimatę i śpiwór. Ukryty za agregatem systemu klimatyzacji, leżał na plecach i spoglądał w niebo. Maya mówiła, że Tabulowie dysponują sprzętem termowizyjnym, który pozwala im widzieć przez

ściany Hollis mógł się bronić w dzień, ale nie życzył sobie, by Tabulowie wiedzieli, gdzie śpi. Włączył klimatyzację, miał więc nadzieję, że ciepło wydzielane przez silnik elektryczny zmiesza się z ciepłem, które wydzielało jego własne ciało.

Następnego dnia listonosz przyniósł paczkę nadesłaną z Niemiec, w środku były dwie książki na temat perskich dywanów. Między stronami nie znalazł nic, ale kiedy przeciął żyłką okładki, znalazł łącznie pięć tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Osoba, która nadała paczkę, dołączyła niedużą wizytówkę niemieckiego studia nagraniowego. Z tyłu wizytówki ktoś dopisał adres witryny internetowej oraz uprzejmą wiadomość. *Samotny? Nowi przyjaciele czekają na ciebie.* Hollis uśmiechnął się do siebie, kiedy przeliczał banknoty: *Nowi przyjaciele czekają na ciebie. Arlekini.* Wreszcie coś prawdziwego. Cóż, niewykluczone, że będzie potrzebował wsparcia, gdy po raz kolejny przyjdzie mu stawić czoła Tabulom.

Instruktor *capoeiry* przeskoczył przez mur i porozmawiał na podwórku ze swoim sąsiadem, Deshawmem Foxem, byłym szefem gangu, zajmującym się sprzedażą samochodowych felg robionych na zamówienie. Dał Deshawnowi tysiąc osiemset dolarów, by ten kupił używany pikap z mieszkalną dobudówką z tyłu.

Trzy dni później półciężarówka stała już na podjeździe Deshawna, wyładowana dodatkową odzieżą, jedzeniem w puszkach oraz amunicją. Gdy Hollis kompletował biwakowy sprzęt, Garvey włożył do kanału wentylacyjnego pod stropem. Chciał zwabić kota gumową myszką i daniem z tuńczyka, ale zwierzak nie dał się skusić i został pod krokwiami.

Nadjechała ciężarówka zakładu energetycznego, trzech mężczyźni w kaskach udawali, że naprawiają linię energetyczną na rogu ulicy. Pojawił się również nowy listonosz: starszy, biały mężczyzna, ostrzyżony po wojskowemu na jeża. Dzwonił do drzwi kilka minut, zanim wreszcie poszedł. Tuż po zachodzie słońca Hollis znów wszedł na dach

z karabinem i kilkoma butelkami wody. Światła ulicy i zanieczyszczenie powietrza sprawiały, że z trudem dostrzegał gwiazdy, ale leżał na plecach i obserwował pasażerskie odrzutowce krążące nad Los Angeles w kolejce do lądowania. Starał się nie myśleć o Vicki Fraser, ale wciąż w wyobraźni widział jej twarz. Większość dziewcząt ze wspólnoty Jonesie zachowywała dziewictwo do czasu wyjścia za mąż. Hollis zastanawiał się, czy Vicki też hołdowała tej zasadzie, czy może miała jakiegoś sekretnego przyjaciela.

Obudził się o drugiej nad ranem, kiedy brama wjazdowa lekko zgrzytnęła. Kilku ludzi cicho przez nią przeskoczyło, lądując na betonie. Minęło kilka sekund i tabulscy najemnicy wyważyli kopnięciem tylne drzwi, po czym weszli do domu.

- Nie tutaj! - ktoś krzyknął. - Nie tutaj.

Usłyszał brzęk tłuczonych talerzy i uderzenie garnka o podłogę.

Minęło dziesięć, może piętnaście minut. Do jego uszu dobiegło skrzypnięcie zamykanych drzwi z tyłu domu, po czym rozległ się warkot włączanych silników i dwa samochody odjechały. Znowu nastała cisza. Hollis przewiesił karabin przez ramię i opuścił się po dachu do ogrodu. Kiedy wylądował na ziemi, natychmiast odbezpieczył karabin.

Stojąc na kwiatowej rabacie, słuchał przez chwilę niskich basów dobiegających z samochodu przejeżdżającego ulicą. Już miał zamiar przeskoczyć przez mur na podwórko Deshawna, kiedy przypomniał sobie o kocie. Być może Tabulowie wypędzili go z ukrycia, kiedy przeszukiwali dom.

Otworzył tylne drzwi i wsunął się do kuchni. Przez okna wpadała jedynie blada poświata, ale był w stanie dostrzec spustoszenie, którego dokonali nieproszeni goście. Drzwi od szafy były otwarte, a zawartość kuchennych szafek tworzyła stertę na podłodze. Nastąpił na skorupy potłuczonych naczyń i wywołany tym chrzęst napędził mu strachu. *Zachowaj zimną krew*, powiedział sobie. *Źli faceci już sobie poszli*. Po szyi spłynęła mu kropelka potu.

Kuchnia znajdowała się na tyłach domu. Krótki korytarz prowadził do łazienki, sypialni i siłowni, w której trzymał przyrządy do ćwiczeń. Przy końcu korytarza kolejne drzwi wiodły do pokoju gościnnego na planie litery „L”. Dłuższa część pomieszczenia była miejscem, w którym HoUis słuchał muzyki i oglądał telewizję. Teraz skierował się do mniejszego segmentu salonu, który nazywał „pokojem pamięci” i gdzie trzymał oprawione w ramki fotografie rodziny, dawne trofea z turniejów karate oraz album z wycinkami na temat jego profesjonalnych walk stoczonych w Brazylii.

Otworzył drzwi na korytarz i poczuł cuchnący odór. Kojarzył mu się z zapachem nieczyszczonych klatek w schronisku dla psów.

- Garvey? - wyszeptał, nagle przypominając sobie o kocie. - Gdzie jesteś, do diabła?

Ostrożnie ruszył korytarzem i dostrzegł coś rozmazanego na podłodze. Krew. Strzępy futra. Te tabulskie sukinyśny dopadły Garveya i rozdarły zwierzaka na strzępy

Odór stał się silniejszy, kiedy dotarł do końca korytarza. Stał tam minutę, wciąż myśląc o nieszczęsnym kocie. I wtedy usłyszał cienki, chichoczący odgłos dochodzący z pokoju gościnnego. Czy było to jakieś zwierzę? Zastanawiał się. Czy Tabulowie zostawili w jego domu obronnego psa?

Uniósł karabin, popchnął drzwi i wszedł do pokoju. Światła padające z ulicy były przyćmione przez zasłony, które zrobił z prześcieradeł, ale Hollis zdołał dostrzec dużego zwierzaka siedzącego na tylnych łapach w przeciwnym rogu pokoju, obok łóżka. Gdy podszedł bliżej, ze zdziwieniem stwierdził, że to nie pies, lecz hiena. Drapieżnik miał szerokie barki, krótkie uszy i duże, mocne szczęki. Gdy hiena dojrzała człowieka, obnażyła zęby i groźnie je wyszczerzyła.

Druga hiena, z futrem w cętki, wyszła z mroku w „pokoj pamięci”. Bestie spojrzały na siebie i przywódca przy łóżku wydał z siebie gardłowy pomruk. Starając się utrzymać dystans, Hollis zaczął przesuwać się ku zamkniętym

drzwiom od frontu. Usłyszał z tyłu przypominające śmiech szczeknięcie, szybko się odwrócił i zobaczył trzecią hienę wychodzącą z korytarza. Zwierzę to pozostało w ukryciu do czasu, gdy człowiek wszedł do pokoju gościnnego.

Trzy hieny ruszyły w jego stronę, podchodząc go z trzech stron. Czuł ich cuchnący odór, słyszał stukanie pazurów o drewnianą podłogę. Oddychał z trudem. Poczul, jak obezwładnia go paraliżujący strach. Przywódca hien znów zachichotał i wyszczerzył zęby.

- A niech was diabli - powiedział i wypalił z broni. Najpierw strzelił do przywódcy, później lekko się obrócił i zastrzelił bestię z cętkowanym futrem, atakującą od strony „pokoju pamięci”. Trzeci zwierz wyprysnął w powietrze, gdy Hollis odskoczył w bok. Poczul ostry ból w lewym ramieniu, gdy padał na podłogę. Obrócił się na bok i patrzył, jak trzecia hiena szykuje się do kolejnego ataku. Nacisnął spust i strzelił do zwierza pod niewielkim kątem. Kule trafiły bestię w klatkę piersiową i odrzuciły ją na ścianę.

Kiedy wstał, dotknął ramienia i poczul krew. W trakcie skoku hiena musiała zahaczyć o nie pazurami. Teraz zwierzę leżało na boku, oddychając ze świstem, a krew z bulgotem płynęła z rany w klatce piersiowej. Spojrzał na napastnika, ale nie podszedł blisko. Hiena patrzyła na niego z nienawiścią w oczach.

Stolik na kawę leżał przewrócony na bok. Ominął go i sprawdzał obrażenia, których doznał przywódca. Otwory po kulach widniały na klatce piersiowej i przednich łapach. Wargi zwierza były ściągnięte, a zęby wyszczerzone.

Stanął w kałuży krwi i rozmazał ją po podłodze. Kule przebiły grzbiet cętkowanej hieny i niemal odcięły jej głowę. Pochylił się nad zwierzakiem i zobaczył, że żółto-czarna sierść pokrywała grubą skórę podobną do bydłowej. Ostre pazury. Mocny pysk i zęby. Była to perfekcyjna maszyna do zabijania - zupełnie inna od niedużych, płochliwych hien, które widział w ogrodach zoologicznych. To zwierzę

było odmieńcem, czymś, co wyhodowano, by ścigało bez strachu, by zawsze atakowało i zabijało. Maya ostrzegą go, że tabulscy naukowcy zdobyli wiedzę pozwalającą im podporządkować sobie prawa genetyki. Jakiego słowa użyła przy tej okazji? „Sklejki”.

Coś w pokoju uległo zmianie. Odwrócił się od zabitej hieny i zdał sobie sprawę, że nie słyszy już rżącego oddechu trzeciego napastnika. Uniósł karabin i wtedy dojrzał z lewej strony sunący ku niemu cień. Obrócił się i zdążył jedynie dostrzec, jak przywódca wstaje na nogi i daje susa prosto na niego.

Hollis wypalił z furją. Pocisk trafił przywódcę i odrzucił do tyłu. Nie przestawał naciskać spustu, dopóki nie opróżnił całego magazynka mieszczącego trzydzieści nabo. Następnie chwycił broń za lufę i zaczął okładać zwierzę, pełen wściekłości i zgrozy, rozwalając czaszkę i szczęki stwora. Drewniana kolba najpierw pękła i odpadła od łoża karabinu. Stał teraz w ciemności, ściskając kurczowo bezużyteczną już broń.

Odgłos drapania. Pazury na drewnianej podłodze. Niecałe dwa metry od niego trzecia hiena stawała na nogi. Chociaż rany w klatce piersiowej wciąż broczyły krwią, zwierzę gotowało się do ataku. Hollis rzucił karabin w stronę bestii i pobiegł na korytarz. Zatrzasnął za sobą drzwi, ale bestia wyważyła je, pędząc za nim.

Hollis wpadł do łazienki, zamknął drzwi i naparł plecami na cienką deskę, przytrzymując dłonią klamkę. Pomyślał, żeby przecisnąć się oknem, ale zrozumiał, że drzwi nie wytrzymają dłużej niż przez kilka sekund.

Bestia uderzyła mocno o drzwi. Ustąpiły na kilka centymetrów, ale Hollis docisnął je nogą i znów zdołał zatrzasnąć. *Znajdź jakąś broń*, pomyślał. *Cokolwiek*, Tabulowie porzucali na podłodze łazienki ręczniki i przybory toaletowe. Wciąż opierając plecy o drzwi, osunął się na kolana i desperacko przeglądał to, co leżało na podłodze. Bestia

po raz drugi walnęła w drzwi, znów je nieco otwierając. Zobaczył zęby hieny i usłyszał jej przerażający chichot, gdy znów, dociskając z całych sił, zdołał zamknąć drzwi. Dostrzegł pojemnik z lakierem do włosów w sprayu. Zapalniczka na butan leżała na umywalce. Sięgnął po jedno i drugie, obrócił się plecami do okna. Drzwi otworzyły się z hukiem. Przez ułamek sekundy spojrzął bestii w oczy i dostrzegł niepokonowaną żądzę zabijania. Poczł się tak, jakby dotknął przewodu elektrycznego pod napięciem i jego ciałem targnął potężny wstrząs elektryczny

Nacisnął dozownik, kierując strumień lakieru prosto w te wściekłe oczy, po czym zapalił zapalniczkę. Chmura rozpylonego lakieru złapała ogień i potężny pomarańczowy płomień buchnął prosto w pysk zmodyfikowanej genetycznie bestii. Hiena zawyła z gardłowym rżeniem, co brzmiało jak krzyk katowanego człowieka. Ogarnięta płomieniami rzuciła się korytarzem w stronę kuchni. Hollis popędził do siłowni, chwycił stalowy szpikulec i pogonił za bestią do kuchni. Dom wypełnił swąd palącego się futra i mięsa.

Staął w drzwiach i uniósł prowizoryczną broń. Był gotowy do ataku, ale płonąca bestia ryczała jak zarzynane prosię i biegała na oślep po pomieszczeniu, aż w końcu padła martwa pod stołem.

Gabriel nie wiedział, jak długo już mieszka w podziemiach. Może cztery, może pięć dni. Może więcej. Czuł się odłączony od świata zewnętrznego i dobowego rytmu słonecznego światła i ciemności.

Mur, który wcześniej stworzył, oddzielając stan jawy od snu, zaczął stopniowo zanikać. Gdy żył w Los Angeles, jego sny były pogmatwane albo pozbawione sensu. Teraz sprawiały wrażenie, jakby były innym rodzajem rzeczywistości. Jeśli zasypiał, koncentrując się na tetragramie, mógł pozostać świadomy w trakcie snu i wędrował przez senne wizje jak gość. Świat snów był wielki - niemal przytłaczający - dlatego przez większość czasu patrzył w dół na swoje stopy, tylko od czasu do czasu spoglądając w górę, by obejrzeć nowe otoczenie, w którym się znalazł.

Przebywając w świecie snu, Gabriel chodził po pustej plaży, na której każde ziarenko piasku było maleńką gwiazdą. Zatrzymał się i patrzył w niebieskozielony ocean, którego fale bezgłośnie uderzały o brzeg. Któregoś razu znalazł się w opustoszałym mieście z brodatymi asyryjskimi posągami umieszczonymi na wysokich murach z cegły. W centrum miasta był park z rzędami brzoź, fontanną i rabatą niebieskich irysów. Każdy kwiat, liść oraz pęd trawy był idealny i niepowtarzalny. Po powrocie z jednej z takich eskapad znalazł krakersy, puszkę z tuńczykiem i pokrojone owoce pozostawione w plastikowym pojemniku obok składanego łóżka. Jedzenie pojawiło się niemal magicznie i nigdy się nie domyślił, w jaki sposób Sophia Briggs zdołała wejść do

środku dormitorium, nie czyniąc przy tym najdrobniejszego hałasu. Gabriel najadł się do syta, po czym wyszedł z dormitorium i wkroczył do głównego tunelu.

Lancetogłowy królewskie trzymały się zwykle z dala od żarówek rozmieszczonych wzdłuż tunelu głównego, ale zawsze znajdował je w pomieszczeniach bocznych. Czasami skręcały się w skłębioną i wijącą się masę głów, ogonów oraz śliskich korpusów. Często leżały biernie na podłodze, jakby wciąż trawiły dorodnego szczura. Wężę nigdy na niego nie syczały, nie przyjmowały też groźnych póz, ale gdy spoglądał im w oczy - czyste, o niezwykle przenikliwym spojrzeniu, niczym małe czarne klejnoty - odczuwał niepokój.

Gady nie czyniły mu nic złego, ale silos stwarzał realne zagrożenie. Gabriel zbadał opuszczoną sterownię, obejrzał generator prądu i antenę. Generator był pokryty warstwą pleśni, która przylgnęła do stali niczym puszysty miękki kilim. W sterowni liczniki i panele kontrolne były rozbite i powyrywane, z sufitu zwisały przewody elektryczne, jak korzenie w jaskini.

Gabriel przypomniał sobie, że widział niewielki otwór w jednym z włazów zakrywających wejście do silosu-wyrzutni. Być może istniał sposób, aby przedostać się przez tę dziurę i dotrzeć do słonecznego światła, ale komora rakietowa była najbardziej niebezpieczną częścią podziemnego kompleksu. Raz Gabriel podjął nawet próbę spenetrowania silosu-wyrzutni. Zgubił się w labiryncie mrocznych korytarzy i o mało co nie wpadł do szczeliny w podłodze.

W pobliżu pustych zbiorników paliwa, używanego niegdyś do generatorów, znalazł liczący czterdzieści dwa lata egzemplarz wydawanej w Phoenix gazety „Arizona Republic”. Papier był już pożółkły i postrzępiony na brzegach, ale wciąż można było przeczytać drukowany tekst. Gabriel spędził całe godziny, leżąc na łóżku i czytając gazetowe artykuły, ogłoszenia drobne i kolumnę matrymonialną. Udawał przed sobą, że jest przybyszem z innego świata i gazeta stanowi jedyne źródło wiadomości na temat ludzkiej rasy.

Cywilizacja, której obraz wyłaniał się ze stron „Arizona Republic”, wydawała się brutalna i okrutna. Chociaż można było również dostrzec elementy pozytywne. Gabriel z przyjemnością przeczytał artykuł o starszej parze, która była małżeństwem od pięćdziesięciu pięciu lat. Tom Zimmerman był elektrykiem; pasjonowały go modele kolejek. Jego żona Elizabeth była kiedyś nauczycielką, a ponadto aktywną członkinią kościoła metodystów. Leżąc na łóżku, Gabriel przyglądał się badawczo wyblakłej jubileuszowej fotografii tej pary. Uśmiechali się do obiektywu, palce ich dłoni były ze sobą splecione. Gabriel miał za sobą kilka związków z kobietami z Los Angeles, ale doświadczenia te były w jego odczuciu bardzo odległe. Zdjęcie Zimmermanów było dowodem, że miłość potrafi przetrwać wściekłość tego świata.

Stara gazeta i myślenie o Mai stanowiły jedyną rozrywkę. Zazwyczaj wychodził do głównego tunelu i spotykał Sophie Briggs. Rok wcześniej policzyła wszystkie węże w rakietowym silosie i teraz znów przeprowadzała obliczenia, aby się przekonać, czy liczebność populacji wzrosła. Miała ze sobą nietoksyczną farbę w sprayu, wyszukiwała węże i zaznaczała znalezione okazy, żeby wiedzieć, które zostały już policzone. Gabriel przywykł do widoku lancetogłówów królewskich z jaskrawożółtymi smugami na czubku ogona.

Syn Matthew Corrigana szedł długim przejściem ze świata snu, po czym otworzył oczy i stwierdził, że leży na składanym łóżku. Wypił trochę wody i zjadł garść pszennych krakersów, później opuścił dormitorium i znalazł Sophie w opuszczonej sterowni. Pani biolog odwróciła się i skierowała na niego ostre, przenikliwe spojrzenie. Gabriel zawsze czuł się jak nowy student na prowadzonych przez nią uniwersyteckich zajęciach.

- Jak ci się spało? - zapytała.
- Całkiem nieźle.
- Znalazłeś zapasy jedzenia, które dla ciebie zostawiłam?
- Tak.

Sophia dostrzegła lancetogłowa królewskiego pełzającego w mroku. Poruszając się szybko, spryskała farbą w sprayu czubek wężowego ogona, zostawiając na nim żółty pasek, a następnie dodała tego osobnika do sumy na podręcznym kalkulatorze.

- Jak wyglądają sprawy w kwestii tej cudownej kropli wody? Czy przeciąłeś ją na pół swoim mieczem?

- Jeszcze nie.

- Cóż, może tym razem ci się uda, Gabrielu. Spróbuj jeszcze raz.

Wrócił więc do miejsca, w którym na posadzce widniała plama wilgoci. Spoglądając na strop, przeklinał w duchu wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć ścieżek. Kropla była zbyt mała i opadała za szybko. Klinga miecza była zbyt wąska. To zadanie było naprawdę niemożliwe do wykonania.

Na początku usiłował skoncentrować się na samym zdarzeniu; patrząc, jak kropla się formuje, napinał mięśnie i trzymał miecz jak gracz w bejsbol czekający na szybką piłkę. Niestety, w tym, co się działo, nie było odrobiny regularności. Niekiedy kropla nie chciała opaść nawet przez dwadzieścia minut. Kiedy indziej odrywała się i spadała w ciągu dziesięciu sekund. Gabriel śmigał mieczem, ale chybiał. Rzucał wtedy zazwyczaj cicho jakieś przekleństwo i podejmował kolejną próbę. Gniew wypełniał mu serce do tego stopnia, że myślał o tym, by uciec z silosu i wrócić na piechotę do San Lucas. Nie był zaginionym księciem z opowieści matki, jedynie głupawym młodym mężczyzną wykonującym polecenia starej, na poły szurniętej kobiety.

Gabriel czuł się tak, jakby dzisiejszy dzień miał przynieść kolejne porażki. Jednak stojąc przez kilka godzin samotnie z mieczem, stopniowo zapominał o sobie samym

i własnych problemach. Chociaż broń wciąż była w jego rękach, nie czuł, że trzyma oręż w sposób świadomy. Miecz stanowił teraz swego rodzaju przedłużenie jego myśli.

Kropla wody opadła, ty razem jednak zdawało się, że spada powoli. Kiedy machnął głownią, był o krok wstecz od tego, co przeżywał, obserwując, jak ostrze klingi dotyka kropli wody i rozdziela ją na pół. Czas zatrzymał się na moment, on zaś widział wszystko bardzo precyzyjnie - miecz, swoje dłonie i dwie połówki wodnej kropli opadające w przeciwnych kierunkach. Później czas znów ruszył z miejsca i wrażenie znikło. Minęło zaledwie kilka sekund, ale on czuł, jakby był to ułamek wieczności. Obrócił się i pobiegł tunelem.

- Sophia! - krzyczał. - Sophia!

Jego głos odbijał się echem od betonowych ścian.

Specjalistka od węży wciąż była w sterowni, zapisując coś w skórzanym notesie.

- Czy coś się stało?

Gabriel nie mógł wydusić z siebie słowa, jakby język odmówił mu posłuszeństwa.

- Udało... Udało mi się przeciąć kroplę na pół nefrytowym mieczem.

- Dobrze. Bardzo dobrze - zamknęła notes. - Robisz postępy.

- Było jeszcze coś, ale trudno to opisać. Miałem wrażenie, że czas płynie wolniej, kiedy to się wydarzyło.

- Widziałeś to?

Gabriel spuścił wzrok na posadzkę.

- Wiem, że to brzmi jak szaleństwo.

- Nikt nie jest w stanie powstrzymać czasu - odparła Sophia. - Ale ludzie potrafią skoncentrować swoje zmysły w sposób daleko przekraczający normalne granice. Twoja percepcja przyspieszyła. Czasami zdarza się to wielkim sportowcom. Ktoś rzuca lub kopie piłkę w powietrze, oni zaś widzą to niezwykle dokładnie. Niekiedy muzycy są w stanie usłyszeć każdy instrument z osobna w orkiestrze

symfonicznej. To może przytrafić się też zwykłym śmiertelnikom podczas medytacji lub modłów.

- Czy to przydarza się także Travelerom?

- Travelerzy różnią się od reszty ludzi, ponieważ potrafią nauczyć się kontrolować ten rodzaj zintensyfikowanej percepcji. Dzięki temu zyskują moc postrzegania świata z ogromną przenikliwością - wyjaśniła Sophia, spoglądając badawczo w twarz Gabriela, jakby jego oczy mogły dać jej odpowiedź. - Czy potrafisz to zrobić, Gabrielu? Czy jesteś w stanie nacisnąć przycisk w mózgu i sprawić, że świat zwolni i na chwilę się zatrzyma?

- Nie. To wszystko po prostu się zdarzyło.

Przytaknęła.

- W takim razie musimy jeszcze poćwiczyć - zdecydowała Sophia, wzięła lampę naftową i ruszyła ku wyjściu z pomieszczenia. - Wypróbujmy ścieżkę siedemnastą, by wyostrzyć w tobie zmysł równowagi i zmiany pozycji ciała. Gdy ciało Travelera porusza się delikatnie, pomaga to Światłu wyzwolić się z cielesnej powłoki.

Po kilku minutach stali już na pomoście zbudowanym w połowie wysokości dwudziestometrowego silosu, w którym kiedyś znajdowała się antena radiowa podziemnej bazy. Stalowy dźwigar szerokości około ośmiu centymetrów biegł wzdłuż średnicy silosu. Sophia uniosła lampę i pokazała mu znajdującą się pod nimi dziesięciometrową czeluść, na dnie której leżał stos porzuconych mechanizmów i urządzeń.

- Na dźwigarze, mniej więcej w połowie jego długości, leży moneta jednocentowa. Idź i ją przynieś.

- Jeśli spadnę, połamię sobie nogi.

Gdy to powiedział, stara kobieta podniosła jeszcze raz latarnię i spojrzała w dół.

- Tak, całkiem możliwe, że złamiesz nogi. Ale bardziej prawdopodobne jest, że złamiesz obie kostki. Oczywiście, jeśli polecisz na głowę, możesz nawet skrócić kark - zawyrokowała, po czym opuściła lampę i skinęła głową. - Ruszaj w drogę.

Gabriel wziął głęboki oddech i ruszył, stawiając stopy wzdłuż dźwigara, tak że cały ciężar ciała spoczywał na ich podbiciu. Ostrożnie odsuwał się od pomostu.

- To niewłaściwy sposób - oceniała. - Stawiaj kroki, kierując palce do przodu.

- Tak jest bezpieczniej.

- Nie, wcale nie. Powinieneś rozłożyć ramiona pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do dźwigara. Skoncentruj się na oddechu, nie na strachu.

Gabriel obrócił się, chcąc odpowiedzieć Sophii, i w tym momencie stracił równowagę. Przez moment chwiały się do przodu i do tyłu, po czym przykucnął i chwycił dźwigar obiema rękami. Poczuli, że znów zaczyna spadać i zatrzymał się dopiero, gdy rozstawił szeroko nogi i usiadł okrakiem na stalowej belce. Upłynęły dwie minuty, zanim zdołał powrócić na pomost.

- To było żałosne, Gabrielu. Spróbuj jeszcze raz.

-Nie.

- Jeśli pragniesz zostać Travelerem...

- Nie chcę dać się zabić! Każesz mi robić rzeczy, których sama nie potrafisz wykonać.

Sophia postawiła latarnię na pomoście. Weszła na belkę z wprawą linoskoczka, posuwając się szybko ku środkowi dźwigara, schyliła się i podniosła monetę. Leciwa już kobieta wykonała kilka susów w powietrzu, następnie zrobiła pełny obrót i wylądowała na jednej nodze. Po czym szybko wróciła na pomost i pstryknęła centówką w kierunku Gabriela.

- Odpocznij trochę, Gabrielu. Pozostajesz na jawie o wiele dłużej, niż ci się wydaje - poradziła mu, podniosła lampę i ruszyła w stronę głównego tunelu. - Kiedy tu wrócę, wypróbujemy ścieżkę dwudziestą siódmą. Jest naprawdę stara, wymyśliła ją w dwunastym wieku niemiecka zakonnica, Hildegarda z Bingen.

Gabriel, doprowadzony do wściekłości, wyrzucił monetę i ruszył za Sophią.

- Jak długo przebywam pod ziemią?
- Tym się nie przejmuj.
- Nie przejmuję się. Po prostu chcę wiedzieć. Jak długo już tu jestem i ile jeszcze pozostało dni do mojego wyjścia?
- Idź się przespać. I nie zapomnij śnić.

Gabriel zastanawiał się nad opuszczeniem podziemi, ale w końcu zdecydował, że zostanie. Jeśli wyjdzie za wcześnie, będzie musiał wytłumaczyć się z tej decyzji przed Maya. Jeśli pozostanie tu jeszcze kilka dni i zawiedzie, nikt nie będzie się troszczył o to, co mu się przydarzyło.

Zapadanie w sen. Kolejna senna wizja. Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że stoi na podwórzu przed dużym budynkiem z cegły. Budowla przypominała klasztor lub szkołę, ale nikogo w niej nie było. Na ziemi wały się porzucane papiery, porywy wiatru unosiły je w powietrze.

Obrócił się, wszedł przez otwarte drzwi i znalazł się w długim korytarzu. Szyby w oknach po prawej stronie były wybite. Nie widział martwych ciał ani śladów krwi, ale od razu wiedział, że stoczyła się tu zacięta walka. Wiatr uderzał pustymi ramami okien. Karta z notesu w linie fruwała po podłodze. Doszedł do końca korytarza, skręcił za róg i dostrzegł kobietę o czarnych włosach, która siedziała na podłodze, trzymając na łonie mężczyznę. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że to jego własne ciało. Oczy leżącego były zamknięte, wyglądało na to, że nie oddycha.

Kobieta podniosła wzrok i odgarnęła z twarzy kosmyk długich włosów. To była Maya. Jej ubranie było unurzane we krwi, złamany miecz leżał na podłodze przy jej nogach. Przyciskała ciało mocno do siebie, kołysząc się lekko do przodu i tyłu. Jednak najbardziej poruszył go widok łez w jej oczach.

Gabriel obudził się w ciemności tak absolutnej, że z trudem przyszło mu rozstrzygnąć, czy jest już martwy, czy może jeszcze żyje.

- Hej! - zawołał, a dźwięk jego głosu odbił się echem od betonowych ścian pomieszczenia. Coś musiało się stać z przewodami elektrycznymi albo z agregatem zasilającym. Wszystkie żarówki zgasły i otaczały go egipskie ciemności. Usiłując nie wpaść w panikę, sięgnął pod składane łóżko i trafił dłonią na lampę i pudełko zapalek. Płomyk zapalnika zaskoczył go nagłym blaskiem. Zapalił knot i pomieszczenie wypełniło się bladym światłem.

Kiedy ustawiał szklany klosz lampy, usłyszał ostry terkozący odgłos. Obrócił się lekko w lewą stronę i dostrzegł sunącego pół metra od nogi grzechotnika. Jakimś cudem jadowity wąż dostał się do wnętrza silosu, teraz skusiło go ciepło ciała Gabriela. Czubek ogona gada wibrował z dużą częstotliwością, wąż odchylił głowę do tyłu, szykując się do ataku.

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, niczym prosta czarna linia, z mroku wypełzniętą ogromny lancetogłów królewski i wbił się zębami w grzechotnika tuż poniżej głowy. Oba węże opadły na betonową posadzkę, gdy lancetogłów owinął swoje ciało wokół ofiary.

Gabriel chwycił lampkę i potykając się, wybiegł z dormitorium. Światła wzdłuż głównego tunelu zgasły i dopiero po kilku minutach odnalazł schody awaryjne prowadzące na powierzchnię. Podeszwy butów wydawały głuchy odgłos, gdy wspinał się po metalowych stopniach ku wyjściu. Dotarł do pomostu, napał mocno na właz i pojął, że został zamknięty w podziemiach.

- Sophia! - krzyknął. - Sophia!

Nikt jednak nie odpowiadał na jego wołanie. Powrócił do głównego tunelu i stanął obok przewodu, z którego zwisały zgaszone żarówki. Wszystkie czynione przez niego próby

stania się Travelerem spędził na niczym. Kontynuowanie tych wysiłków zdawało się bezcelowe. Jeśli Sophia nie zamierzała otworzyć włazu, pozostawało mu udać się do wyrzutni i szukać innego wyjścia.

Gabriel pospiesznie ruszył tunelem głównym w kierunku północnym i natrafił na labirynt przejść i korytarzy. Silosy zostały zaprojektowane w taki sposób, żeby mogły ulec odkształceniu w momencie eksplozji przy starcie rakiety. Natrafiał na liczne szyby wentylacyjne, które prowadziły donikąd. W końcu przestał chaotycznie kręcić się po korytarzach, zatrzymał się i spojrzał na płomień trzymanej w ręku lampy. Co kilka sekund płomyk drgał pod wpływem leciutkiego podmuchu powietrza. Ruszył powoli w jego kierunku, aż poczuł nagle zimny powiew płynący tunelem. Po przecięnięciu się między ciężkimi stalowymi drzwiami a wygiętą framugą znalazł się na wystającej ze ściany platformie pośrodku silosu-wyrzutni.

Silos był potężną podziemną komorą ustawioną pionowo z betonowych ścian. Wiele lat temu rząd nakazał zabrać stąd pociski rakietowe wycelowane <w kierunku Związku Radzieckiego, ale Gabriel zdołał dostrzec mroczny zarys platformy wyrzutni, jakieś sto metrów poniżej. Spiralne schodki prowadziły wzdłuż ścian silosu ku wylotowi na powierzchnię. I zobaczył to, czego pragnął - promień światła przenikający przez szczelinę w pokrywie silosu.

Coś kapnęło mu na policzek. Woda gruntowa przeciekała przez szczeliny w betonowych ścianach. Trzymając w dłoni lampę, zaczął wchodzić po stopniach w kierunku światła. Metalowe schodki drżały przy każdym jego kroku. Skapująca przez pięćdziesiąt lat woda skorodowała stalowe bolce przytrzymujące konstrukcję przy ścianie.

Zwolnij, pomyślał. Bądź ostrożny. Ale schody zaczęły się trząść niczym żywa istota. Nagle jeden z bolców oderwał się od ściany i poleciał w mroczną otchłań pod nim. Gabriel zatrzymał się i usłyszał, jak kawałek przerdzewiałego metalu

uderza rykoszetem od stopni platformy. I wtedy, strzelając niczym seria z pistoletu maszynowego, bolce z hukiem zaczęły odpadać od ściany, jeden po drugim, a stalowe schodki powoli odrywały się od betonu.

Wypuścił lampę i trzymał się teraz poręczy obiema rękami, gdy górna część schodów spadała w jego kierunku. Ciężar opadającej konstrukcji wyrwał następne bolce i Gabriel zaczął spadać do przodu, zatrzymując się dopiero na betonowej ścianie, jakieś sześć metrów poniżej pomostu wejściowego. Tylko jeden wspornik wciąż podtrzymywał poręcz.

Młodszy z Corriganów wisiał przez chwilę na poręczy, zdjęty panicznym strachem. Pod nim ziała otwarta czeluść nieprzeniknionej ciemności. Powoli zaczął wspinać się po poręczy, po czym w uszach zabrzmiał mu jakiś ryczący odgłos. Coś było nie w porządku z prawą stroną jego ciała. Odnosił wrażenie, że jest sparaliżowana. A gdy usiłował się utrzymać, dostrzegł coś zupełnie sprzecznego z logiką. Ramię złożone z cienia obrysowanego świetlnymi punkcikami oddzieliło się od ciała, podczas gdy jego fizyczna ręka wisiała bez ruchu wzdłuż jego boku. Trzymał się teraz tylko jedną dłonią, ale mógł jedynie wpatrywać się w jej światełko.

- Trzymaj się! - wykrzyknęła Sophia. - Jestem tuż nad tobą.

Dźwięk głosu Przewodnika sprawił, że „astralna” ręka zniknęła. Gabriel nie widział, gdzie stoi Sophia, ale dostrzegł opadającą w dół nylonową linę, uderzającą o betonową ścianę. Zdażył jedynie wyciągnąć rękę i ją chwycić, gdy metalowy wspornik oderwał się od betonu. Poręcz spadała obok niego, uderzając z impetem o platformę wyrzutni.

Gabriel podciągnął się na linie do pomostu, po czym położył się na chwilę, z trudem łapiąc oddech. Sophia stała nad nim, trzymając lampę.

- Wszystko w porządku?

-Nie.

- Byłam na powierzchni, kiedy wysiadł generator. Naprawiłam go i natychmiast zesłam na dół.

- Zamknęłaś... Zamknęłaś mnie w środku.
 - To prawda. Pozostał jeszcze tylko jeden dzień.
- Wstał i ruszył w kierunku przejścia. Sophia podążyła za nim.
- Widziałam, co się wydarzyło, Gabriel.
 - A jakże. Mało co nie zginąłem.
 - Nie mówię o tym. Przez kilka sekund twoja ręka była bezwładna. Nie potrafię tego zobaczyć, ale wiem, że Światło wyszło poza twoje ciało.
 - Nie mam pojęcia, czy jest noc, czy dzień, czy śnię, czy też jestem na jawie.
 - Jesteś Travelerem, tak jak twój ojciec. Nie jesteś w stanie tego pojąć?
 - Zapomnij o tym. Mam to gdzieś. Chcę po prostu normalnie żyć.

Nie mówiąc nawet słowa, Sophia uczyniła szybki krok w stronę Gabriela. Wyciągnęła rękę, chwyciła go z tyłu za pasek i mocno nim potrząsnęła. Poczuł, jak coś w nim pęka i rozdziera się. To jego Światło wyrwało się z cielesnej klatki i uniosło do góry, gdy ciało fizyczne upadło bezwładnie na podłogę. Był przerażony, rozpaczliwie pragnął powrócić do tego, co dobrze znał.

Spojrzał na swoje ręce i zobaczył, że przeistoczyły się w miriady świetlnych punkcików, z których każdy migocze jak gwiazdka. Gdy Sophia uklękła obok porzuconego teraz ciała, Traveler podryfował w górę, przenikając przez betonowy strop.

Świecące na jego ciele gwiazdy zaczęły zbliżać się do siebie, kiedy przeistoczył się w punkt skoncentrowanej energii. Był jednocześnie niezmiernym oceanem w kropli wody, górą ściśniętą do rozmiarów ziarenka piasku. Po chwili cząsteczki zawierające jego energię, jego prawdziwą świadomość, wniknęły w coś, co było kanałem lub przejściem pchającym go do przodu.

Chwila ta mogła trwać tysiąc lat albo ułamek sekundy; kompletnie stracił poczucie czasu. Wiedział jedynie, że

porusza się teraz z ogromną prędkością, pędząc przez ciemność, sunąc wzdłuż zakrzywionej krawędzi zamykającej przestrzeń. W końcu ruch ustał i nastąpiła transformacja. Jeden oddech, ale bardziej pierwotny i wszechogarniający niż jakiegokolwiek płuca i tlen, wypełnił jego jestestwo. *Ruszaj teraz. Znajdź wyjście.*

Gabriel otworzył oczy i stwierdził, że spada w niebieskich przestworzach. Spojrzał w dół, później na boki, ale niczego nie dostrzegł. Na dole pod nim nie było żadnego lądu. Żadnego miejsca lądowania czy końcowego celu podróży. Była to bariera Powietrza. Zrozumiał, że zawsze wiedział o jej istnieniu. Skacząc na spadochronie, usiłował odtworzyć właśnie to uczucie we własnym świecie.

Teraz jednak nie było już takich ograniczeń, jak samolot do skoków czy nieunikniony powrót na ziemię. Przymknął na chwilę oczy, potem znów uniósł powieki. Wygiął plecy w łuk i rozłożył ramiona, sterując opadaniem przez masy powietrza. *Szukaj przejścia*. To właśnie zaleciła mu Sophia. Istniało jedno przejście, które prowadziło przez wszystkie cztery bariery i otwierało drogę do innych światów. Przechylając się na prawy bok, zaczął opadać spiralą, jak jastrząb wypatrujący zdobyczy.

Czas mijał. W pewnej chwili Gabriel dostrzegł w oddali cienką czarną linię, jak cień unoszący się w przestworzach. Wyciągnął ramiona, wyszedł z wąskiej spirali i z ogromną prędkością spadał ostro skosem w lewo. Cień urósł do owalnej formy, a Gabriel szybował ku jej ciemnemu centrum.

Kolejny raz poczuł skupione światło, pęd do przodu oraz oddech, który przywracał życie. Gdy ponownie otwo-

rzył oczy, stał już pośrodku pustyni. Czerwona ziemia była spękana, jakby łączywie chwytła powietrze. Gabriel obrócił się na pięcie, lustrując wzrokiem nowe otoczenie. Niebo nad nim miało barwę szafirowoniebieską. Chociaż słońce zniknęło, wzdłuż całej linii horyzontu żarzyło się światło. Nie widział skał ani roślin, dolin ani gór. Był uwięziony przez barierę Ziemi, jedyną pionową płaszczyznę w świecie bezkresnej równiny.

Gabriel zaczął iść. Kiedy się zatrzymał i rozejrzał dookoła, roztaczająca się przed nim perspektywa nie uległa żadnej zmianie. Uklęknął i dotknął palcami czerwonego gruntu. Potrzebował innego punktu w krajobrazie, innego elementu rzeźby terenu, żeby móc potwierdzić własną egzystencję. Kopał i drapał ziemię do chwili, gdy usypał niewielką pryzmę wysokości około dwudziestu pięciu centymetrów.

Jak małe dziecko, które rzuciło na podłogę kubek i w ten sposób zmieniło świat, obszedł pryzmę kilka razy dookoła, chcąc się upewnić, że ona na pewno istnieje, po czym znów zaczął iść, licząc przy tym kroki. Pięćdziesiąt. Osiemdziesiąt. Sto. Kiedy jednak spojrzął za siebie, pryzma ziemi zniknęła.

Gabriel poczuł, jak nagła fala paniki napływa mu do serca. Usiadł, zamknął oczy i odpoczywał, później wstał i wznowił marsz. Gdy się rozglądał, wypatrując możliwego przejścia, poczuł się beznadziejnie zagubiony. Przez chwilę kopał czubkiem buta. Okruchy gleby wystrzeliwały w powietrze, spadały na powierzchnię i natychmiast zniknęły, wchłaniane przez nową rzeczywistość.

Obejrzał się i zobaczył za sobą ciemną plamę. Był to jego własny cień, sunący za nim w tej podróży bez celu. Cień miał niezwykłą głębię i ostrość, jakby ktoś wrył go w podłoże. Czy było to przejście na drugą stronę? Czy zawsze tu było? Zamykając oczy, padł do przodu i poczuł, jak przejście go wciąga.

Oddychaj, powiedział do siebie. *Zaczynij oddychać*. Klęczał na ubitej drodze biegnącej przez środek miasta. Ostrożnie powstał, spodziewając się, że grunt zapadnie się pod nim i wciągnie w Powietrze, Wodę lub inny jałowy i pustynny świat. Tupał stopami po powierzchni ulicy niczym człowiek ogarnięty napadem szału, ale nowa rzeczywistość wciąż trwała i nie zamierzała zniknąć.

Miasteczko przypominało mu przygraniczny bastion w stylu staromodnych westernów, miejsce, w którym spotykało się kowbojów, szeryfów i dziewczyny z podejrzanymi lokali. Budynki miały dwie lub trzy kondygnacje oraz płaskie dachy kryte gontem. Po obu stronach ciągnął się drewniany chodnik, jak gdyby budowniczowie chcieli uniknąć błota rozbryzgującego się na wejściowych drzwiach. Nie dostrzegł jednak nawet śladu tego błota, deszczu czy choćby wody. Kilka rosnących wzdłuż ulicy drzew sprawiało wrażenie martwych; ich liście były suche, brązowawe i łamliwe.

Gabriel wyciągnął nefrytowy miecz i ścisnął go mocno, gdy wkroczył na drewniany chodnik. Nacisnął klamkę - otwartą - i wszedł do salonu fryzjerskiego, w którym było tylko jedno pomieszczenie i trzy fotele. Na ścianach wisiały lustra; Gabriel spojrzął na własną twarz i miecz trzymany w ręku. Wyglądał na przestraszonego, jak człowiek spodziewający się w każdej chwili ataku. *Opuść to miejsce. Pospiesz się*. I znów znalazł się na chodniku, pod jasnym niebem, z widokiem na drzewa bez życia.

Wszystkie drzwi były otwarte, zaczął więc badać każdy budynek. Jego buty wydawały głuchy odgłos, gdy stąpał po chodniku. Odkrył sklep wypełniony belami tkanin. Na górze znajdowało się mieszkanie. Była tam umywalka z ręczną pompą oraz żeliwny piec. Na stole ustawiono talerze i kubki dla trzech osób, ale półki i lodówka były puste. W innym budynku natrafił na warsztat bednarski pełen drewnianych beczek w różnej fazie montażu.

W miasteczku były tylko dwie ulice, które przecinały się w ryneczku z parkowymi ławkami i kamiennym obeliskiem. Na obelisku nie zachował się żaden napis, jedynie szereg geometrycznych symboli, w tym okrąg, trójkąt i pentagram. Gabriel szedł ulicą aż do granic miasteczka i dotarł do skraju martwych drzew i kolczastych krzewów. Przez chwilę wpatrywał się w ścieżkę, później zrezygnował z dalszego marszu i zawrócił na placyk.

- Hej - zawołał. - Jest tu kto?

Nikt jednak nie odpowiedział. Gdy spojrzął na miecz, poczłował się jak tchórz, wsunął go więc z powrotem do pochwy.

Budynek w pobliżu ryneczku miał formę zaokrąglonej kopuły. Drzwi wejściowe wykonano z ciemnego, ciężkiego drewna i zawieszono na żelaznych zawiasach. Gabriel przekroczył próg i znalazł się we wnętrzu kościółka z ławkami oraz witrażami w oknach, przedstawiającymi skomplikowane wzory geometryczne. W przedniej części przestronnego pomieszczenia był usytuowany drewniany ołtarz.

Niewidoczni jak dotąd mieszkańcy miasta udekorowali ołtarz różami, które zdążyły już zwiędnąć i uschnąć, po ich barwie pozostało jedynie smętne wspomnienie. Pośrodku tej wysuszonej na wiór ofiary płonęła czarna świeca. Jaskrawy płomień migotał i mrugał. Płomień był jedyną rzeczą w całym miasteczku, która poruszała się i w której tliło się życie.

Ruszył w stronę ołtarza i odetchnął głęboko, jakby wzdychał. Czarna świeca spadła z mosiężnego świecznika, a jej płomyk dotknął wysuszonych płatków i liści. Róża natychmiast zajęła się ogniem i pomarańczowy płomień powędrował wzdłuż suchego pędu, sięgając kolejnego kwiatu. Zaczął rozglądać się po wnętrzu w poszukiwaniu pojemnika z wodą lub wiadra z piaskiem, czegokolwiek, co mogłoby ugasić języki ognia. Nic. Kiedy się obrócił, ołtarz już płonął. Płomienie ogarnęły filary i docierały do krawędzi woluty.

Gabriel wybiegł na zewnątrz i stanął na środku ulicy. Otworzył usta, ale nie wydał z siebie głosu. Gdzie mógł się skryć?

Czy było tu jakieś miejsce, w którym znalazłby bezpieczne schronienie? Starając się opanować ogarniający go strach, pobiegł w dół ulicy prowadzącej obok salonu fryzjerskiego i sklepu z ubraniami. Kiedy dotarł do skraju miasta, zatrzymał się i spojrzął w stronę lasu. Wszystkie drzewa już płonęły, gęsty dym unosił się do góry niczym masywna, szara ściana.

Poczuł na twarzy drobiny popiołu i stał je z policzków. Wiedział, że nie ma drogi ucieczki, ale pobiegł z powrotem do kościołka. Dym wydostawał się przez szpary w ciężkich drzwiach. Przez szyby witraży przebijał żar. Gdy patrzył na nie, w środkowym oknie pojawiło się pęknięcie, które powiększało się niczym szarpana rana na ludzkiej skórze. Rozżarzone powietrze zwiększało objętość i okno eksplodowało, zasypując ulicę okruciami szkła. Języki ognia sięgały okiennej ramy, a czarny dym unosił się nad białą kopułą.

Pobiegł pędem ulicą w przeciwnym kierunku i zobaczył, jak objęta ogniem sosna strzela niebotycznymi płomieniami. *Zawracaj, pomyślał. Uciekaj.* Jednak teraz pożoga ogarnęła już wszystkie budynki. Intensywny żar obudził wiatr, który unosił drobiny popiołu wirujące w powietrzu niczym liście podczas jesiennej wichury.

Gdzieś w tym kataklizmie było wyjście, ciemne przejście, które wyprowadziłoby go z powrotem do świata ludzi. Pożar pochłonął jednak cały cień, a gęsty dym przemienił dzień w noc. *Za gorąco, pomyślał. Me da się oddychać.* Powrócił na placyk i uklęknął obok kamiennego obelisku. Wszystko stało już w płomieniach. Gabriel zasłonił twarz dłońmi i zwinął się w kłębek. Ogień otaczał go ze wszystkich stron i przenikał przez skórę.

I wtedy pożoga wygasła. Gdy otworzył oczy, zobaczył wokół siebie zwęglone zgliszcza miasteczka i spalony las.

Większe kawałki drewna wciąż jeszcze się dopalały, a smugi dymu unosiły się ku niebieskoszaremu niebu.

Gabriel opuścił rynecek i powoli ruszył ulicą. Kościółek, warsztat bednarski i sklep tekstylny z mieszkaniem na górze ~ zostały całkowicie strawione przez płomień. Chwilę później dotarł do skraju miasteczka i smętnych pozostałości lasu. Niektóre drzewa przewróciły się, ale kilka wciąż stało pionowo niczym czarne drewniane figury z poskręcanymi ramionami.

Szedł po własnych śladach przez pokryte popiołem ulice i dostrzegł drewniany filar przedsionka, wciąż stojący pośrodku ognistego kataklizmu. Gabriel dotknął słupka, przesuwając dłoń po jego gładkiej powierzchni. Czy było to możliwe? Jak zdołał przetrwać? Pozostał przy słupku, starając się zrozumieć jego znaczenie, i dostrzegł otykowaną na biało ścianę w odległości około sześciu metrów od niego. Kilka minut wcześniej tej ściany nie było... Chyba że był zbyt zdezorientowany, by ją zauważyć. Ruszył w jej stronę i zobaczył pośród popiołów fryzjerski fotel. Był jak najbardziej realny. Dotknął go, czując gładkość zielonej skóry i drewnianego oparcia.

Pojął, że miasteczko powstawało z popiołów, niczym Feniks, w takiej samej postaci. Miało się wskrzesić w pełnej formie, by znów spłonąć - proces ten powtarzał się bez końca. Było to przekleństwo bariery Ognia. Jeśli nie będzie w stanie znaleźć przejścia, zostanie uwięziony w pułapce wiekiściego cyklu destrukcji i ponownych narodzin.

Nie szukał już cienia, wrócił na plac i oparł się o obelisk. Gdy patrzył przed siebie, pojawiły się frontowe drzwi, później fragment drewnianego chodnika. Miasto odradzało się i krzepło coraz bardziej, rosnąc jak żywa istota. Dym zniknął, a niebo znów było błękitne. Wszystko zmieniło się, choć było takie samo, gdy popiół stopniał w promieniach słońca niczym płatki brudnego śniegu.

W końcu proces wskrzeszenia dobiegł końca. Znów otaczało go opustoszałe miasto i uschnięte drzewa. Dopiero

wtedy odzyskał zdolność logicznego myślenia. *Zapomnij o meandrach filozofii. Istnieją tylko dwa stany bytu: równowaga i ruch.* Tabulowie oddają cześć ideałowi społecznej i politycznej kontroli, iluzji, że wszystko powinno pozostawać takie samo. W rzeczywistości jednak była to zimna pustka przestrzeni, która nie miała nic wspólnego z energią Światła.

Opuścił miejsce, w którym znalazł schronienie, i znów zaczął szukać cienia. Zupełnie jak detektyw tropiący ślady, wchodził do każdego budynku i otwierał szafy oraz puste kredensy. Zaglądał pod łóżka i starał się patrzeć na każdy obiekt pod różnymi kątami. Być może uda mu się wypatrzyć przejście, jeśli stanie we właściwej pozycji.

Kiedy wrócił na ulicę, powietrze wydawało się nieco cieplejsze. Miasteczko było odnowione i skończone, nabierało teraz sił do następnej ognistej destrukcji. Nieunikniony przebieg tego cyklu zaczął go drażnić. Dlaczego nie był w stanie powstrzymać tego, co miało się zdarzyć? Zaczął gwizdać bożonarodzeniową kolędę, radując się nikłym głosem w otaczającej go ciszy. Powrócił do kościółka, otworzył z impetem drzwi i pomaszerował w stronę ołtarza.

Świeca znów się pojawiła, jak gdyby wcześniej nic się nie wydarzyło, i świeciła jasnym płomieniem, stojąc w podstawie mosiężnego świecznika. Poślinił kciuk i palec wskazujący, potem wyciągnął rękę, by zdusić płomyk. Z chwilą, gdy dotknął świecy, płomyk oderwał się od knota i zaczął się unosić nad jego głową niczym jaskrawożółty motyl. Potem przysiadł na pędzie róży i sucha jak pieprz łodyga natychmiast zajęła się ogniem. Gabriel usiłował zdusić płomień dłonią, ale wzniesione iskry poleciały na ołtarz, który znów stanął w ogniu.

Zamiast uciekać od pożogi, usiadł w środkowej ławce i obserwował, jak niszczące płomienie ogarniają nawę. Czy może zginąć w tym miejscu? Jeśli jego ciało zgorzeje, to czy odrodzi się ponownie, jak ołtarz i fryzjerski fotel? Czuł już intensywne gorąco, ale usiłował zaprzeczyć istnieniu tej

nowej rzeczywistości. Być może wszystko to było jedynie snem, jeszcze jednym wytworem jego umysłu.

Dym uniósł się pod sufit i teraz zaczął dryfować w dół, ściągany ku na wpół otwartym drzwiom. Gdy Gabriel wstał i zaczął wychodzić z kościółka, ołtarz zamienił się w słup ognia. Dym wypełnił mu płuca. Zaniósł się kaszlem, wtedy spojrzął w lewo i dostrzegł cień w jednym z ozdobionych witrażem okien. Cień był czarny i głęboki. Unosił się to w przód, to w tył - jak falująca cząstka nocy Gabriel chwycił ławkę i przeciągnął ją pod ścianę. Później stanął na niej i podciągnął się do wąskiego występu pod okienną ramą.

Wyciągnął miecz i ciął nim cień, prawa ręka znikła w nieprzeniknionej ciemności. *Skacz*, pomyślał. *Ocal siebie*. Zaczął spadać w ciemną otchłań przejścia, wciągany przez przestrzeń. W ostatnim momencie spojrzął za siebie i w progu kościółka dostrzegł Michaela.

Maya jechała na północ do Las Vegas, wioząc motocykl Gabriela ukryty na pace furgonetki. Po drodze widziała dziesiątki znaków drogowych z reklamami rozlicznych kasyn gry, potem na horyzoncie pojawiły się błyszczące jaskrawo sylwetki wieżowców. Minęła kilka moteli przed wjazdem do miasta i zameldowała się we Frontier Lodge, zespole dziesięciu osobnych mieszkań urządzonych w stylu drewnianych chat. Kabina prysznicowa była co prawda ozdobiona zielonymi plamami, które spowodowała kapiąca z kranów woda, a materac się zapadał, ale wojowniczką Arlekinów położyła miecz obok siebie i spała przez dwanaście godzin.

Wiedziała, że w kasynach są zainstalowane kamery monitorujące, a niektóre z nich mogły być podłączone do tabulskich komputerów. Po obudzeniu sięgnęła po strzykawkę i wstrzyknęła w wargi oraz w skórę pod oczami specyfiki zmieniające rysy twarzy. W rezultacie wyglądała na osobę otyłą i wyczerpaną, jak kobieta walcząca z nałogiem alkoholowym.

Pojechała do centrum handlowego i kupiła tanie, krzykliwe ciuchy - spodnie cygaretki do połowy łydki, różową bluzkę z krótkim rękawem i sandały. Potem poszła do sklepu, w którym starsza dama odziana w kowbojski strój sprzedawała kosmetyki i peruki ze sztucznych włosów. Maya wskazała perukę koloru blond, nasadzoną na styropianową głowę ustawioną za ladą.

- To blond szampański, złotko. Mam zapakować czy chcesz ją założyć?

- Założę ją od razu.

Ekspedientka skinęła głową z aprobatą.

- Mężczyźni uwielbiają ten odcień koloru blond. Po prostu tracą rozum.

Teraz była już gotowa. Wjechała do miasta, zostawiła samochód na parkingu za hotelem Paris Las Vegas i tylnymi drzwiami weszła do holu. Hotel był centrum rozrywki urządzonej w stylu Miasta Świąteł. Była w nim wieża Eiffla wysokości połowy oryginału oraz budynki z namalowanymi fasadami przypominającymi Luwr oraz Operę Paryską. Uzupełnieniem były restauracje i bary oraz ogromny obszar przeznaczony na hazard, gdzie ludzie grali w blackjacka lub stali przy jaskrawo oświetlonych automatach do gry

Maya przeszła pasażem do następnego hotelu i ujrzała gondolierów z wiosłami, wiozących turystów kanałem prowadzącym donikąd. Poza innym doborem kolorów hotel Venice przypominał hotel Paris. W żadnym z pomieszczeń przeznaczonych na hazard nie było zegarów ani okien. Było się tutaj i jednocześnie nigdzie. Kiedy Maya znalazła się po raz pierwszy w kasynie, wyostrzony zmysł równowagi pozwolił jej zrozumieć coś, czego zdecydowana większość turystów nigdy nie była w stanie zauważyć. Podłoga była minimalnie nachylona, żeby w nieodparty sposób ciągnąć gości z części hotelowej ku automatom do gry i stolikom do gry w blackjacka.

Ludzie zazwyczaj uważali Las Vegas za szczęśliwe miejsce, w którym można się było porządnie upić, zasmakować hazardu oraz patrzeć, jak nieznane kobiety rozbierają się do naga. W rzeczywistości jednak miasto rozkoszy było tylko trójwymiarową iluzją. Kamery monitorujące pracowały przez całą dobę, grę przy stolikach obserwowano na monitorach, a legion ochroniarzy z naszytą na rękawach uniformów flagą amerykańską pilnował, żeby nie stało się nic niepożądanego. To właśnie chcieli osiągnąć Tabulowie: pozory wolności w kontrolowanej rzeczywistości.

W tak uporządkowanym otoczeniu trudno było przechrzyć władze. Maya spędziła niemal całe życie na unikaniu

Rozległej Sieci, teraz jednak miała nacisnąć jej wszystkie możliwe przyciski i uciec, ale nie dać się pojmać. Była pewna, że komputery Tabulów przeszukiwały rozmaite bazy danych - wliczając w to skaner monitorujący użycie karty kredytowej Michaela Corrigana. Jeśli jego karta była zastrzeżona jako skradziona, Maya mogłaby mieć do czynienia z ochroniarzami, którzy nie mają zielonego pojęcia o istnieniu Tabulów. Arlekini unikali walki ze zwykłymi obywatelami i trutniami, ale czasami było to konieczne, by ująć z życiem.

Po sprawdzeniu pozostałych hoteli ulokowanych wzdłuż pasażu, zdecydowała, że najlepsze warunki do ucieczki stwarza hotel New York, New York. Resztę popołudnia spędziła w sklepie Armii Zbawienia, w którym zaopatrzyła się w dwie walizki oraz męską odzież. Kupiła też zestaw przyborów toaletowych, z kremem do golenia, na wpeł opróżnioną tubką pasty do zębów oraz szczoteczką, którą przez chwilę szorowała po betonie. Ostatni detal był najważniejszy: mapa drogowa z zaznaczoną ołówkiem trasą przejazdu, prowadzącą od wybrzeża do wybrzeża. Jej celem był Boston w stanie Massachusetts.

Gabriel zostawił w furgonetce kask, rękawice oraz motocyklową kurtkę. Gdy wróciła do motelu, włożyła na siebie strój do jazdy na motocyklu. Poczła się tak, jakby znalazła się w jego skórze, jakby otoczyła ją jego obecność. Kiedy mieszkała w Londynie, miała swój skuter, ale włoska maszyna była duża i dysponowała wielką mocą. Kierowanie motocyklem przychodziło jej z trudem, za każdym razem, gdy zmieniała bieg, rozlegało się zgrzytanie.

Wieczorem zostawiła jednośląd na hotelowym parkingu, weszła do kasyna New York, New York i korzystając z płatnego automatu telefonicznego, zarezerwowała apartament. Po dwudziestu minutach zjawiała się w recepcji, dźwigając dwie walizki.

- Mój mąż zrobił rezerwację - poinformowała recepcjonistę. - Przyleci późnym wieczorem.

Recepcjonista był muskularnym młodym mężczyzną z krótko przystrzyżonymi blond włosami. Wyglądał tak, jakby prowadził letni obóz sportowy w Szwajcarii.

- Mam nadzieję, że spędzicie tu miły weekend - powiedział, biorąc kartę kredytową Michaela i wsuwając ją do szczeliny czytnika. Terminal przesłał numer do komputera sieciowego, potem dalej, do centralnego systemu gdzieś w świecie. Wojownicza uważnie obserwowała twarz recepcjonisty, wypatrując najmniejszej oznaki napięcia, na wypadek gdyby na wyświetlaczu pojawiła się informacja: „karta skradziona”. Była gotowa kłamać, uciec, nawet zabijać, gdyby okazało się to konieczne - ale mężczyzna uśmiechnął się i zapytał, czy życzy sobie apartament dla palących czy też niepalących.

Dwupokojowy apartament znajdował się na trzynastym piętrze. Łóżko, dwa telewizory, meble oraz armatura w łazience były większe niż w zwykłych brytyjskich hotelach. *Amerykanie to pokaźna rasa*, pomyślała. Ale nie tylko o to chodziło - było to świadome dążenie, by wywołać uczucie zdominowania przez wspaniałe meble.

Puściła wodę do wanny i umywalki, użyła mydła i zmoczyła kilka ręczników. W salonie na stole położyła mapę drogową i ołówek. Obok telewizora postawiła papierową torbę z tłustymi serwetkami z restauracji. Każdy element, odpadki i odzież, stanowił fragment inscenizacji, która, jak miała nadzieję, będzie przedmiotem oględzin i interpretacji tabulskiego najemnika.

Upłynęło mniej więcej dziesięć minut od chwili, gdy numer karty kredytowej dotarł do Rozległej Sieci. Wróciła do sypialni, otworzyła walizki i wrzuciła parę rzeczy do szuflady. Zawahała się przez chwilę, po czym sięgnęła do torebki i wyciągnęła mały pistolet produkcji niemieckiej, zabrany z metalowej walizki w siedzibie firmy „Zmartwychwstanie - części samochodowe”.

Pistolet stanowił niezbity dowód, że była w tym hotelu. Tabulowie nie uwierzą nigdy, że z rozmysłem pozostawiła broń. Jeśli policja znajdzie pistolet, zostanie on zarejestro-

wany w bazie danych, a buszujące po globalnej sieci komputery Tabulów natychmiast to odkryją.

Maya nadała pościeli wygląd używanej, gdy usłyszała ciche kliknięcie zamka w zewnętrznych drzwiach apartamentu. Ktoś posłużył się magnetycznym kluczem i właśnie otwierał drzwi do apartamentu.

Prawą ręką dotknęła tuby z mieczem. Poczuła typową dla Arlekina żądzę zaatakowania - bez względu na okoliczności - i unieszkodliwienia tego, Co jej zagrażało. Jednak to przeszkodziłoby w osiągnięciu rzeczywistego celu, którym było dostarczenie Tabulom fałszywego tropu. Maya rozejrzała się po pokoju i dostrzegła rozsuwane drzwi, prowadzące na balkon. Wyciągnęła sztylet i podeszła do zasłony, którą szybko rozcięła na dwa pasy.

W sąsiednim pokoju skrzypnęła podłoga, gdy intruz skradł się cichaczem po dywanie. Ktokolwiek był za drzwiami sypialni, zatrzymał się na kilka sekund i wojowniczo zastanawiała się, czy ten ktoś zbiera w sobie odwagę do ataku.

Trzymając pasy tkaniny, odsunęła drzwi i wyszła na balkon. Poczuła uderzenie gorącego pustynnego powietrza. Gwiazdy nie pojawiły się jeszcze na niebie, ale zielono-czerwony neon jarzył się w dole przy ulicy. Nie miała czasu, by skrócić linę. Przywiązała oba kawałki do poręczy i przeszła na drugą stronę.

Zasłony wykonano z cienkiej bawełny, która nie była w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Gdy Maya opuściła się w dół, jeden z pasków zaczął się rozdzierać, aż wreszcie zerwał się. Wisiała w powietrzu, trzymając się drugiego paska tkaniny, ale postanowiła dalej opuszczać się do następnego piętra. Usłyszała głosy w górze. Może zdołali ją dostrzec.

Nie miała czasu, by myśleć, czuć lub się bać. Chwyła dłoń za żelazną poręcz i wciągnęła swoje ciało na balkon. Znow wyjęła sztylet i przy okazji zobaczyła ranę na swojej dłoni. *Potępieni przez ciało. Zbawieni przez krew.* Otworzyła rozsuwane drzwi i przeszła przez pusty apartament.

Jednym z powodów, dla których Michael polubił życie w ośrodku badawczym, był sposób, w jaki personel zdawał się przewidywać jego potrzeby. Kiedy po raz pierwszy powrócił z wyprawy poza bariery, czuł się rozbity i zdezorientowany, nie do końca pewny swojej fizycznej cielesności. Doktor Richardson i Lawrence Takawa zaprowadzili go do galerii na parterze, gdzie spotkał się z generałem Nashem. Michael poprosił o szklankę soku pomarańczowego, po pięciu minutach przyniesiono mu półtoralitrowy karton, prawdopodobnie wzięty z szafki na jedzenie któregoś z ochroniarzy.

Teraz wrócił już po raz drugi z podróży, w której przekraczał bariery. Wszystko było przygotowane tak, żeby mógł odczuwać pełny komfort. Na stoliku w galerii stała szklana karafka ze schłodzonym sokiem pomarańczowym. Obok była srebrna taca ze świeżo upieczonymi ciastkami czekoladowymi, jakby cała ekipa mam w kuchennych fartuchach przygotowała się na jego powrót do domu.

Kennard Nash siedział naprzeciw niego w czarnym skórzanym fotelu, sącząc wino z kieliszka. Kiedy po raz pierwszy zaczęli rozmowę, Michaela zaskoczył fakt, że generał nigdy nie robi notatek. Teraz zrozumiał, że wszystko rejestrowały pełniące całodobowy dyżur kamery monitorujące. Poczul się dowartościowany tym, że wszystko, co mówi i robi, jest na tyle ważne, by to rejestrować i poddawać analizie. Los całego centrum badawczego zależał teraz od jego travelerskiej mocy.

Nash pochylił się do przodu.

- I wtedy rozgorzała pożoga? - zapytał miękko.
- Tak. Drzewa zaczęły płonąć. Stało się to w chwili, gdy znalazłem ścieżkę prowadzącą do małego miasteczka pośrodku niczego. Miasteczko również ogarnął pożar.
- Czy ktoś tam był? - zapytał Nash. - Czy byłeś tylko ty?
- Początkowo sądziłem, że miasto jest opustoszałe. Potem wszedłem do małego kościółka i zobaczyłem mojego brata, Gabriela. Nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa. Był już w przejściu, które najprawdopodobniej prowadziło na powrót do tego świata.
- Dyrektor wykonawczy fundacji sięgnął po telefon komórkowy w kieszeni marynarki, nacisnął klawisz i przekazał polecenie Lawrenceowi Takawie.
- Skopiuj ostatnie pięć sekund naszej rozmowy i prześlij to do Nathana Boonea. Potrzebuje tych danych najszybciej, jak to tylko możliwe.
- Generał zamknął kłapkę aparatu telefonicznego i podniósł kieliszek z winem.
- Twój brat wciąż jest więziony przez grupę terrorystów zwanych Arlekinami. Najwidoczniej nauczyli go pokonywać bariery.
- Gabriel miał ze sobą japoński miecz ojca. Jak to jest możliwe?
- Nasze badania wykazują, że pewne obiekty, nazywane talizmanami, mogą być zabierane przez Travelera.
- Mam gdzieś, jak to się nazywa. Znajdźcie jeszcze jeden i dajcie mi. Chcę mieć broń, kiedy znów przekroczę bariery.
- Generał Nash przytaknął pośpiesznie, jakby chciał powiedzieć: „Cokolwiek pan sobie życzy, panie Corrigan. Nie ma problemu. Załatwimy to”. Michael odchylił się na oparcie fotela. Czuł się na tyle pewny siebie, że powiedział następane zdanie.
- To znaczy: jeśli zdecyduję się wyruszyć do innych światów.
- Oczywiście, że się zdecydujesz - zapewnił go wojskowy

- Niech pan mi nie grozi, geneTale. Nie służę w pańskiej armii. Jeśli chce mnie pan zabić, proszę to zrobić natychmiast. Ale wtedy zaprzepaści pan szansę osiągnięcia najważniejszego celu projektu.

- Jeśli chodzi ci o pieniądze, Michael...

- Oczywiście, że chcę pieniędzy Ale to banalne. Tak naprawdę chcę dostępu do wszystkich informacji. Podczas pierwszego spotkania powiedział pan, że dzięki mojej pomocy spodziewacie się dokonać technologicznego przełomu. Powiedział pan także, że razem zmienimy bieg historii. Czemu zatem mają służyć druty w moim mózgu? Czemu mają służyć wszystkie te wysiłki?

Nash podszedł do bocznego stolika i sięgnął po czekoladowe ciastko.

- Chodź ze mną, Michael. Zamierzam coś ci pokazać.

Obaj mężczyźni opuścili galerię i poszli korytarzem w stronę wind.

- Wszystko zaczęło się przed paroma laty, kiedy byłem w Białym Domu i pracowałem nad programem „Wolni od Strachu”. Każdy obywatel miał nosić chip z Ogniwem Ochronnym. To położyłoby kres przestępczości i terroryzmowi.

- Ale to nie zadziałało - wtrącił starszy z braci Corriganów

- Na tamtym etapie nasza technologia nie była dostatecznie rozwinięta. Nie dysponowaliśmy system obliczeniowym, który byłby w stanie poradzić sobie z tak wielką ilością danych.

Kiedy wyszli z budynku, dwóch ochroniarzy ruszyło ich śladem w poprzek czworobocznego dziedzińca kompleksu badawczego. Powietrze było chłodne i wilgotne, ciężkie chmury zakrywały wieczorne niebo. Michael zdziwił się, widząc, że zmierzają do centrum komputerowego. Tylko uprawnieni technicy mieli do niego dostęp.

- Kiedy przejąłem kierowanie działaniami Braci, naciskałem na rozwój prac nad komputerem kwantowym. Wiedziałem, że będzie dysponował dostateczną mocą, by rozwiązywać

skomplikowane problemy i radzić sobie z bardzo dużą liczbą informacji. Dysponując zespołem komputerów kwantowych, można w sensie dosłownym śledzić i monitorować codzienną krzątanie każdego mieszkańca tej planety. Niektóre osoby zapewne by się temu sprzeciwiały, ale większość z nas z zadowoleniem zrezygnowałaby z odrobiny prywatności w zamian za bezpieczeństwo. Pomyśl tylko o korzyściach i pożytkach. Koniec z dewiacyjnymi zachowaniami. Koniec z niemiłymi niespodziankami...

- Koniec z Travelerami - uzupełnił Michael.

Generał Nash roześmiał.

- Tak. Przyznaję to. Pozbycie się ludzi pokroju Travelerów stanowiło część planu. Ale wszystko uległo zmianie. Teraz jesteś w naszym zespole.

Ochroniarze pozostali na zewnątrz, a Michael i Nash weszli do pustego holu centrum komputerowego.

- Zwykły system komputerowy opiera się na systemie binarnym. Bez względu na moc obliczeniową czy rozmiary, zawsze są w nim tylko dwa stany: zero lub jeden. Zwykle komputery mogą pracować bardzo szybko lub być łączone w sieci, ale zawsze będą ograniczone przez te dwie możliwości. Natomiast komputer kwantowy jest oparty na mechanice kwantowej. Logiczne wydaje się, że atom może się obracać w dół lub w górę: zero lub jeden. I znów mamy do czynienia z systemem binarnym. Ale dzięki mechanice kwantowej wiemy, że atom może obracać się w górę, w dół lub w obie strony jednocześnie. Uwzględniając to, różne operacje obliczeniowe można prowadzić równocześnie i z wielką prędkością. Ponieważ komputer kwantowy wykorzystuje układy kwantowe zamiast konwencjonalnych, ma niewyobrażalną moc obliczeniową.

Weszli do boksu bez okien, stalowe drzwi zamknęły się za nimi. Nash przyłożył dłoń do szklanego panelu. Drugie drzwi rozsunęły się z miękkim szumem i wkroczyli do słabo oświetlonego pomieszczenia.

Pośrodku znajdował się szczelnie zamknięty szklany pojemnik - sześcienna bryła, której boki miały długość prawie dwóch metrów - ustawiony na solidnym stalowym postumencie. Grube przewody biegły po podłodze, wychodząc od postumentu w kierunku rzędu komputerów binarnych znajdujących się przy ścianie. Trzech techników w białych fartuchach krążyło wokół zbiornika niczym ministranci przy ołtarzu, kiedy jednak Nash zmierzył ich wzrokiem, natychmiast się wynieśli.

Zbiornik był wypełniony zieloną cieczą, która poruszała się i burzyła w powolnym tempie. Niewielkie eksplozje, jak mikroskopijne wyładowania atmosferyczne, rozświetlały różne obszary płynnej zawartości. Do uszu Michaela dochodził buczący odgłos, w powietrzu czuć było swąd spaleniźny, jakby ktoś podpalił garść wysuszonych liści.

- To jest nasz komputer kwantowy - oznajmił Nash. - Są w nim elektrony unoszące się w silnie zmrożonym ciekłym helu. Energia przechodząca przez hel zmusza elektrony do interakcji i wykonywania operacji logicznych.

- Wygląda jak akwarium.

- Tak. Z tą różnicą, że złotą rybką są cząsteczki subatomowe. Teoria kwantowa pozwoliła nam stwierdzić, że na bardzo krótką chwilę cząstki materii przechodzą do innych wymiarów, potem zaś powracają.

- Jak Travelerzy.

- I tak się rzeczywiście stało. Podczas pierwszych eksperymentów komputer kwantowy zaczął otrzymywać informacje z innego świata. Początkowo nie mogliśmy się połapać, o co chodzi. Sądziliśmy, że był to błąd w oprogramowaniu. Wtedy jednak jeden z naszych naukowców pojął, że otrzymaliśmy binarną wersję standardowych równań matematycznych. Kiedy przesłaliśmy analogiczne informacje, w odpowiedzi otrzymaliśmy diagramy, które podpowiedziały nam, jak zbudować jeszcze potężniejszy komputer.

- I w ten sposób zbudowaliście tę maszynę?

- Prawdę mówiąc, jest to już trzecia wersja. To był proces nieustannej ewolucji. Za każdym razem, gdy udoskonalamy nasz komputer, otrzymujemy informacje na coraz wyższym poziomie zaawansowania. Można to porównać do budowy serii potężnych aparatów radiowych. Każdy kolejny odbiornik rozpoznawał więcej słów, odbierał więcej informacji. Zdobyliśmy wiedzę z innych dziedzin, poza informatyką. Nasi nowi przyjaciele nauczyli nas, jak manipulować chromosomami i tworzyć nowe, hybrydowe gatunki zwierząt.

- Czego chcą w zamian? - zapytał Michael.

- Ta inna cywilizacja wie o istnieniu Travelerów i, moim zdaniem, trochę nam ich zazdrości - były wojskowy wyglądał na rozbawionego. - Są uwięzieni we własnym świecie, ale bardzo chcieliby odwiedzić nasz.

- Czy to jest możliwe?

- Komputer kwantowy śledził szlak, jaki pokonałeś, przekraczając bariery. I to jest właśnie powód zainstalowania drutów w twoim mózgu. Jesteś skautem, który dostarczy mapę drogową naszym nowym przyjaciołom, jeśli przejdiesz do innych światów, obiecali przekazać nam technologię budowy jeszcze potężniejszej maszyny.

Michael podszedł bliżej do komputera kwantowego i obserwował drobne wyładowania. Nash był przekonany, że starszy Corrigan rozumie istotę władzy we wszystkich jej formach, ale ten nagle zdał sobie sprawę, że wizja generała jest w pewnym stopniu ograniczona. *To ja jestem odźwiernym, pomyślał. Ja kontroluję bieg zdarzeń. Jeśli ta druga cywilizacja pragnie wejść do naszego świata, to ja zdecyduję, w jaki sposób to nastąpi.*

Wziął głęboki oddech, później zrobił krok do tyłu, oddalając się od komputera.

- Nadzwyczaj imponujące, generale. Razem dokonamy wielkich rzeczy.

Maya skręciła w niewłaściwą stronę, idąc przez pustynię, i teraz zgubiła się, szukając porzuconej bazy raketowej. Było już późne popołudnie, gdy wreszcie udało się jej odnaleźć ogrodzenie z drutu kolczastego i rozwaloną bramę.

W czarnej, uszytej na miarę odzieży czuła się komfortowo, ale niepotrzebnie zwracała w niej uwagę otoczenia. Kiedy była w Las Vegas, drugi raz poszła do sklepu Armii Zbawienia i kupiła sobie ściągane w pasie tasiemką spodnie, spódnice oraz bluzki - żadna z tych rzeczy nie była dopasowana w ramionach i wzdłuż nóg. Tego popołudnia włożyła na siebie bawełniany pulower oraz plisowaną spódnice - coś w stylu mundurka angielskiej uczennicy. Na nogach miała buty ze stalowymi szpicami, które zapewniały bardzo dobre efekty pod warunkiem, że kopniak był wymierzony z pełnym obrotem.

Wysiadła z furgonetki, przerzuciła przez ramię tubę z mieczem, po czym spojrzała na swoje odbicie w lusterku wstecznym. To był błąd. Jej poplątane czarne włosy wyglądały jak ptasie gniazdo. *To bez znaczenia*, pomyślała. *Jestem tu po to, by go chronić*. Ruszyła ku bramie i wtedy się zawahała. Poczła nagle nieodparty impuls, który nakazał jej wrócić do samochodu i się uczesać. Wściekła do granic możliwości - bliska historycznego krzyku - czesała w pośpiechu czarne kosmyki. Kiedy skończyła, z wściekłością wrzuciła szczotkę do samochodu.

Pustynne powietrze ochładzało się, pojawił się z tuzin lancetogłówów królewskich pełznących asfaltową drogą. Ponieważ

nikt jej nie obserwował, Maya wyjęła miecz i trzymała go w gotowości, na wypadek gdyby któryś z gadów za bardzo się zbliżył. Przyznanie się przed sobą do własnego strachu było jeszcze bardziej frustrujące niż incydent ze szczotką do włosów *One nie są niebezpieczne. Nie zachowuj się jak tchórz.*

Wszystkie te złe myśli zniknęły, kiedy zbliżyła się do niewielkiej przyczepy kempingowej ustawionej opodal wiatrowej turbiny. Gabriel siedział przy piknikowym stole pod osłoną spadochronu. Kiedy ją dostrzegł, wstał i pomachał ręką. Maya przyglądała się badawczo jego twarzy. Czy wyglądał inaczej? Czy się zmienił? Młodszy z braci Corriganów uśmiechał się, jakby dopiero co powrócił z dalekiej podróży. Nie krył zadowolonia, że znów ją widzi.

- Minęło dziewięć dni - odezwał się pierwszy. - Zaczynałem się już o ciebie martwić, kiedy nie pojawiłaś się wczoraj wieczorem.

- Martin Greenwald przesłał mi wiadomość przez Internet. Sophia nie kontaktowała się z nim, więc zakładał, że wszystko jest w porządku.

Drzwi od przyczepy otworzyły się. Wyszła z nich Sophia Briggs, niosąc plastikowy dzbanek i kilka kubków.

- W tym konkretnym momencie wszystko jest rzeczywiście w porządku. Dzień dobry, Mayu. Witamy z powrotem - powiedziała, stawiając dzbanek na stole i spoglądając na Gabriela. - Powiedziałaś jej?

-Nie.

- Przekroczył cztery bariery - rzekła do Mai. - Bronisz teraz Travelera.

W pierwszej chwili poczuła się zrehabilitowana. Wszystkie jej wysiłki i wyrzeczenia miały sens, gdyż chroniła Travelera. Później jednak do jej świadomości dotarły dużo smutniejsze myśli. Ojciec miał rację, Tabulowie stali się zbyt potężni. Prędzej czy później dopadną Gabriela i zgładzą go. Wszystko, co zrobiła - odnalezienie go, dowiedzenie do Przewodnika - przybliżyło tylko moment jego zguby.

- To wspaniale - wydusiła z siebie Maya. - Rano kontaktowałam się z moim przyjacielem w Paryżu. Nasz informator przekazał mu wiadomość, że Michael również pokonał bariery

Sophia przytaknęła.

- Wiedzieliśmy o tym już wcześniej. Gabriel widział go na moment przed przejściem przez barierę Ognia.

Kiedy słońce zaszło, usiedli we troje pod spadochronem i popijali lemoniadę. Sophia zaproponowała, że przyrządzi kolację, ale Maya podziękowała. Gabriel przebywał tu już zbyt długo i nadeszła pora wracać. Sophia wzięła zwiniętego pod stołem węża i przeniosła go do silosu. Gdy wróciła, wyglądała na zmęczoną i nieco zasmuconą.

- Zegnaj, Gabrielu. Zajrzyj tu kiedyś, jeśli będziesz mógł.

- Spróbuję.

- W antycznym Rzymie, kiedy wielki wódz powracał ze zwycięskiej wojny, przez ulice miasta przeciągał paradny orszak. Najpierw niesiono zbroje i oręż zabitych wrogów oraz zdobyczne sztandary, potem prowadzono wojowników wziętych w niewolę i ich rodziny. Następnie maszerowały zwycięskie legiony i oficerowie, a dopiero na samym końcu, w złotym rydwanie, jechał wódz. Jeden ze sług prowadził konie, drugi zaś stał za plecami bohatera i szeptał mu do ucha: „Jesteś śmiertelny. Jesteś śmiertelnym człowiekiem”.

- Czy to ma być ostrzeżenie, Sophio?

- Podróże do innych światów nie zawsze uczą litości i współczucia. Zimny Traveler jest osobą, która podąża niewłaściwym szlakiem. Używa swojej mocy, by dodać cierpień i nieszczęść temu światu.

Maya i Gabriel poszli do samochodu i pojechali dwupasmową szosą przecinającą pustynię. Światła miasta Phoenix tworzyły poświatę na zachodnim horyzoncie, ale niebo nad nimi było czyste; mogli podziwiać księżyc w trzeciej kwadrze i jaśniejszą mgiełkę Drogi Mlecznej.

Siedząc za kierownicą, Maya objaśniała plan. W tej chwili potrzebowali pieniędzy, bezpiecznej kryjówki oraz kilku różnych fałszywych dokumentów tożsamości. Linden prześle amerykańskie dolary na skrzynkę kontaktową w Los Angeles. Hollis i Vicki wciąż tam są i mogą się przydać jako sojusznicy

- Nie nazywaj ich sojusznikami - zaproponował Gabriel. - Są przyjaciółmi.

Maya chciała mu powiedzieć, że nie mogą mieć przyjaciół - nie na dobre i złe. On był dla niej najważniejszym obowiązkiem. Mogła ryzykować życiem dla jednej tylko osoby. Główną powinnością Gabriela było unikanie Tabulów i przetrwanie.

- Oni są przyjaciółmi - powtórzył z naciskiem. - Rozumiesz to, prawda?

Postanowiła zmienić temat.

- Opowiedz mi o swoich przeżyciach - poprosiła. - Jak to jest, kiedy przekracza się bariery?

Gabriel opisał bezkresne niebo, niekończącą się pustynię oraz przeogromny ocean. Na koniec opowiedział o spotkaniu z bratem w płonącym kościele.

- Czy zdołałeś z nim pomówić?

- Chciałem, ale byłem już w przejściu. Kiedy tam wróciłem, Michaela już nie było.

- Nasza wtyczka u Tabulów donosi, że twój brat współpracuje z ochotą.

- Nie wiesz, czy to prawda. Po prostu stara się przeżyć.

- To coś więcej niż walka o przetrwanie. On im pomaga.

- I teraz martwisz się, że może stać się Zimnym Travelerem?

- Tego nie można wykluczyć. Zimny Traveler daje się skorumpować wskutek żądzy władzy. Może wtedy spowodować wiele zła na tym pełnym nieszczęść świecie.

- Czy Arlekini chronią Zimnych Travelerów?

- Oczywiście, że nie.

- Czy zabijacie takich ludzi?

Głos Gabriela Corrigana zmienił się i Maya obróciła się, żeby na niego spojrzeć. Traveler patrzył na nią niezwykle uważnie.

- Czy zabijacie takich ludzi? - powtórzył.

- Czasami. Kiedy mamy taką możliwość.

- Byłabyś w stanie zabić mojego brata?

- Gdyby to było konieczne.

- A mnie? Zabiłabyś mnie?

- Wszystko to tylko spekulacje, Gabrielu. Nie ma potrzeby, żebyśmy o tym mówili.

- Nie okłamuj mnie. Przeczuję, co odpowiesz.

Maya zacisnęła dłoń na kierownicy, nie mając odwagi spojrzeć na niego. Jakieś sto metrów przed nim ciemna sylwetka przebiegła przez drogę i znikła w zaroślach.

- Mam tę moc, ale nie potrafię panować nad nią - wyszeptał Gabriel. - Potrafię przyspieszyć percepcję przez moment i zobaczyć wszystko z niezwykłą ostrością.

- Możesz sobie widzieć, co chcesz, ale ja i tak nie mam zamiaru cię okłamywać. Jeśli stałbyś się Zimnym Travelerem, nie wahałabym się i bym cię zabiła. Nie byłoby innego wyjścia.

Cienka nić solidarności między nimi, radość, że znowu są razem, gdzieś się rozproszyły. Jechali pustą drogą w kompletnej ciszy.

Lawrence Takawa położył prawą dłoń na blacie kuchennego stołu i wpatrywał się w niewielki wzgórek, wskazujący miejsce, gdzie pod skórą wszyty był identyfikacyjny chip Ogniwo Ochronne. Lewą ręką sięgnął po żyłkę, w myślach zastanawiał się, jak bardzo jest ostra jej krawędź. *Zrób to>* powiedział do siebie. *Twój ojciec nie czułby leku.* Wstrzymując oddech, zrobił głębokie nacięcie. Z rany popłynęła krew i zaczęła skapywać na stół.

Nathan Boone wpatrywał się badawczo w zdjęcia wykonane przez kamery monitorujące w hotelu New York, New York w Las Vegas. Nie było najmniejszej wątpliwości, że pod postacią młodej kobiety o włosach koloru blond, która zameldowała się, korzystając z karty kredytowej Michaela Corrigan, kryła się Maya. Do hotelu natychmiast został wysłany najemnik, ale wojownicza zdołała uciec. Dwadzieścia cztery godziny później ochroniarze znaleźli na hotelowym parkingu motocykl Gabriela. Czy młodszy z braci Corriganów podróżował z nią? Czy też była to tylko próba skierowania pościgu na fałszywy trop?

Boone zdecydował, że poleci do Nevady osobiście i przepytą każdego, kto zetknął się z dziewczyną. Był w drodze na lotnisko Westchester County, kiedy odebrał telefon od Simona Leutnera, głównego administratora w należącym do Braci ośrodku komputerowym w Londynie.

- Dzień dobry. Mówi Leutner.
- Co się dzieje? Znaleźliście Mayę?
- Nie, proszę pana. Chodzi o inną sprawę. Tydzień temu prosił pan, żeby sprawdzić pod kątem bezpieczeństwa wszystkich pracowników fundacji Evergreen. Poza weryfikacją rozmów telefonicznych i użycia kart kredytowych staraliśmy się sprawdzić wykorzystanie kodów dostępu przy wchodzeniu do naszego systemu.
- To brzmi całkiem logicznie.
- Co dwadzieścia cztery godziny komputer sporządza rejestr użytych kodów. Przed chwilą stwierdziliśmy, że pracownik trzeciego poziomu, nazwiskiem Lawrence Takawa, wszedł do nieuprawnionego sektora bazy danych.
- Współpracuję z panem Takawą. Jesteś pewny, że nie zaszła pomyłka?
- Najzupelniej. Posłużył się kodem generała Nasha, ale informacja została odebrana na jego osobistym komputerze. Wydaje mi się, że nie wiedział o dodanej przez nas w zeszłym tygodniu funkcji pozwalającej określić, dokąd trafiła informacja.
- Co chciał wiedzieć pan Takawa?
- Szukał jakiejś specjalnej przesyłki nadanej w Japonii do naszego centrum administracyjnego w Nowym Jorku.
- Gdzie w tej chwili przebywa ten pracownik? Sprawdźcieś jego lokalizację wskazywaną przez Ogniwo Ochronne?
- Wciąż przebywa w swoim mieszkaniu w Westchester County. Z odczytu zapisów godzinowych wynika, że, jak poinformowałem, ma wolny dzień z powodu wirusowej infekcji.
- Daj mi znać, jeśli opuści dom.

Boone zadzwonił do pilota na lotnisku i przesunął godzinę odlotu. Jeśli Lawrence Takawa pomagał Arlekinom, bezpieczeństwo Braci było w najwyższym stopniu zagrożone. Zdrajca był niczym utajony nowotwór w organizmie. Potrzebny będzie chirurg - ktoś taki jak on sam - któremu nie zadrży ręka przy wycinaniu guza.

Fundacja Evergreen miała własny budynek biurowy na rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Madison Avenue na Manhattanie. Dwie trzecie powierzchni budynku służyło publicznym pracownikom fundacji, którzy przyjmowali podania o finansowanie badań naukowych i nadzorowali wykorzystanie funduszy. Ta część personelu - ochrzczona mianem Owieczek - nie miała zielonego pojęcia o istnieniu Braci oraz o naturze ich działalności.

Bracia urzędowali na ośmiu najwyższych piętrach biurowca, do których dojeżdżało się osobnym zespołem wind. Na tablicy informacyjnej kondygnacje te były oznaczone jako siedziba władz organizacji o charakterze *non profit* o nazwie Nations Stand Together, która miała się zajmować udzielaniem pomocy krajom trzeciego świata w zwalczaniu terroryzmu. Dwa lata wcześniej na spotkaniu Braci w Londynie Lawrence Takawa spotkał młodą kobietę ze Szwajcarii, która odbierała telefony i odpowiadała na emaile przesyłane do organizacji. Kobieta była mistrzynią w pokrętnym, a jednocześnie uprzejmym i niejednoznacznym odpowiadaniu na wszelkie zapytania. Podobno ambasador Togo przy Organizacji Narodów Zjednoczonych był przekonany, że Nations Stand Together zamierzało udzielić jego krajowi dużej pożyczki na zakup lotniskowych urządzeń prześwieblających.

Lawrence wiedział, że budynek ma jeden słaby punkt: ochroniarze pracujący na parterze należeli do Owieczek i nie mieli pojęcia o strategicznych działaniach Braci. Postawił auto na parkingu przy Czterdziestej Ósmej, podszedł do budynku od strony Madison Avenue i wkroczył do holu. Chociaż na dworze było chłodno, płaszcz i marynarkę zostawił w samochodzie. Nie miał nawet teczki, tylko kubek kawy z przykrywką i teczkę z szarego papieru na dokumenty. Stanowiło to element planu.

Lawrence pokazał starszemu ochroniarzowi plaketkę identyfikacyjną i uśmiechnął się.

- Wybieram się do Nations Stand Together, na dwudzieste trzecie piętro.

- Proszę stanąć na żółtym kwadracie, panie Takawa.

Przystanął przed skanerem tęczówki - dużą szarą skrzynką zamontowaną na bramce ochrony. Ochroniarz nacisnął guzik i obiektyw wykonał zdjęcie jego tęczówki. Potem komputer porównał je ze znajdującym się w bazie zapisem danych o ziarnistości jego tęczówki. Zapaliło się zielone światelko. Starszy strażnik skinął głową w stronę młodego Latynosa stojącego przy bramce.

- Enriqué, zawieź, proszę, pana Takawę na dwudzieste trzecie piętro.

Młody ochroniarz towarzyszył Lawrenceowi do windy, przystawił kartę do czujnika i zostawił syna Sparrowa samego. Gdy winda sunęła na górę, Lawrence otworzył szarą teczkę i wyciągnął z niej podkładkę z klipsem przytrzymującym kilka oficjalnie wyglądających dokumentów.

Gdyby miał na sobie płaszcz lub niósł teczkę, ochroniarze w holu mogliby go zatrzymać, pytając, dokąd się udaje. Ale elegancko ubrany i pewny siebie młody człowiek z dokumentami musiał być po prostu jednym ze współpracowników, na przykład nowym pracownikiem sekcji komputerowej, który właśnie powraca z przerwy na kawę. Złodzieje nie noszą kubków z kawą z dodatkiem skondensowanego mleka.

Szybko odnalazł kancelarię obsługującą pocztę i wsunął do czytnika kartę identyfikacyjną, żeby dostać się do środka. Paczki były ustawione pod ścianami, a poczta lądowa znajdowała się w innych przegródkach. Pracownik kancelarii najprawdopodobniej pojechał z wózkiem i przesyłkami na korytarz, lada chwila mógł wrócić. Lawrence musiał jak najszybciej znaleźć to, czego szukał, i natychmiast opuścić budynek.

Kiedy Kennard Nash napomknął o pomysłe zdobycia miecza-talizmanu, syn Sparrowa posłusznie przytaknął

i obiecał, że wymyśli jakieś rozwiązanie. Po kilku dniach poszedł do generała i przekazał mu jak najbardziej ogólne informacje. W bazie danych figurował Arlekin o imieniu Sparrow, zabity w trakcie krwawej potyczki w hotelu Osaka. Istniała szansa, że japońscy Bracia przejęli miecz zabitego wojownika.

Kennard Nash oznajmił, że skontaktuje się z przyjaciółmi z Tokio. Większość z nich zaliczała się do wpływowych biznesmenów i ich zdaniem Travelerzy podkopywali stabilne fundamenty japońskiego społeczeństwa. Po czterech dniach Lawrence posłużył się kodem dostępu generała, by zajrzeć do jego pliku z korespondencją.

*Otrzymałmy twoją prośbę. Miło nam, że możemy pomóc.
Wskazany obiekt przesłany do centrum administracyjnego
w Nowym Jorku.*

Przechodząc za ściankę działową, Lawrence zobaczył stojącą w rogu plastikową tubę pocztową. Na naklejce widniały japońskie litery oraz druk deklaracji celnej, stwierdzający, że w środku znajduje się „japoński rekwizyt filmowy przeznaczony na uroczystą premierę”. Bracia ukryli przed rządem, że wysyłali miecz pochodzący z XIII wieku, wykuty przez jednego z *Jittetsu* i uznany za skarb dziedzictwa narodowego.

Na biurku ekspedycji poczty leżał nóż do kartonu; używając go, syn Sparrowa odciął taśmę i plomby z cła. Otworzył wieko i z rozczarowaniem zobaczył zestaw mieczy - filmowych rekwizytów, przeznaczonych do nakręcenia samurajskiego filmu. Napierśnik, hełm, rękawice. I na koniec, niemal na dnie tuby, dostrzegł miecz zawinięty w brązowy papier.

Lawrence chwycił broń i od razu wiedział, że jest zbyt ciężki jak na szklane włókno. Szybkim ruchem odwinął papier z rękojęści i zobaczył szczerozłotą inkrustowaną robotę. Miecz jego ojca. Talizman.

Boone zawsze okazywał podejrzliwość wobec niesubordynowanego pracownika, który nie pojawiał się w pracy. Pięć minut po rozmowie z administratorem ośrodka komputerowego w Londynie wysłał do mieszkania Lawrence'a Takawy członka zespołu ochroniarzy. Wóz prowadzący inwigilację był już zaparkowany po drugiej stronie ulicy, kiedy szef ochrony fundacji zajechał na miejsce. Wszedł na tył furgonetki i zastał tam technika, który nazywał się Dorfman, wpatrującego się w ekran urządzenia termowizyjnego i przy okazji pałaszującego kukurydziane chipsy.

- Takawa wciąż jest w domu. Zadzwoił rano do ośrodka badawczego i powiadomił, że ma gripę.

Boone przyklęknął na podłodze samochodu i uważnie spojrzął na wyświetlany obraz. Zamazane linie wskazywały na ściany i rury. Jasna, ciepła plama znajdowała się w sypialni.

- To jego sypialnia - stwierdził Dorfman. - A tu jest nasz chory pracownik. Ogniwo Ochronne wciąż tam jest.

Kiedy spoglądali na monitor, ciało zeskoczyło z łóżka i najwyraźniej pełzło ku otwartym drzwiom. Zawahało się przez parę minut i powróciło na łóżko. Przez cały czas nie znajdowało się więcej niż dwie, trzy stopy ponad podłogą.

Boone otworzył kopniakiem drzwi wozu i wyszedł na ulicę.

- Sądzę, że nadeszła pora odwiedzić pana Takawę lub tego ktosia, który leży w jego łóżku.

Ze sforsowaniem frontowych drzwi poradzili sobie w niespełna czterdzieści pięć sekund, po kolejnych dziesięciu byli już w sypialni Lawrence'a. Na całym posłaniu były rozrzucone krakersy dla szczeniąt, pośród których siedział

kundel zajęty ogryzaniem wołowej kości. Gdy Boone podszedł bliżej, psiak zaskomlał.

- Dobry pies - mruczał. - Dobry.

Do szyi czworonoga była przywiązana plastikowa torba na kanapki. Boone ściągnął torebkę i znalazł w środku zakrwawiony identyfikator OO.

Gdy syn Sparrowa jechał Second Avenue na południe, krople deszczu zaczęły rozbijać się o przednią szybę jego auta. Ciemne chmury zasnuły niebo, amerykańska flaga na stalowym maszcie łopotąła jak szalona. Nadchodziła gwałtowna wichura. Powinien jechać ostrożnie. Wierzch dłoni Lawrence'a przykrywał opatrunek, ale rana wciąż sprawiała ból. Starając się go zignorować, spojrzął za siebie na tylne siedzenie. Dzień wcześniej kupił cały zestaw kijów do golfa, torbę na kije oraz walizkę. Miecz i pochwa były schowane pośród kijów typu *iron* i *putter*.

W jazdę własnym autem w kierunku lotniska było wkalkulowane ryzyko. Zastanawiał się wcześniej nad kupnem używanego auta, które nie miałoby wmontowanego nadajnika GPS, ale taki zakup mógłby zostać wykryty przez systemy bezpieczeństwa Tabulów. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, były zadane przez komputer pytania: *Dlaczego kupił pan drugi samochód, panie Takawa? Czy służbowe auto, udostępnione panu przez fundację Evergreen, szwankuje'?*

Najlepszym sposobem było jak najbardziej normalne zachowanie. Mógł pojechać na lotnisko Kennedy'ego, wsiąść na pokład samolotu zmierzającego do Meksyku i udać się do wakacyjnego centrum Acapulco przed ósmą wieczór. Gdy tam dotrze, będzie mógł wyrwać się spod nadzoru Rozległej Sieci. Zamiast jechać do hotelu, wynajmie jednego z taksówkarzy czekających pod lotniskiem i ruszy

w kierunku Gwatemali. Co sto mil będzie zmieniać taksówkarza, meldować się w małych pensjonatach i po kilku godzinach znów znajdować nową taksówkę. Przedostając się na prowincjonalne obszary Ameryki Łacińskiej, będzie unikał skanerów twarzy i programów komputerowych typu Carnivore, do których mieli dostęp Tabulowie.

Dwanaście tysięcy dolarów w gotówce zaszył pod podpinką płaszcza przeciwdeszczowego. Syn Sparrowa nie miał pojęcia, na jak długo wystarczą mu te pieniądze. Niewykluczone, że będzie musiał przekupić miejscowe władze albo kupić dom w jakiejś zapadłej wiosce. Gotówka była jedynym zasobem, jakim dysponował. Użycie czeku lub karty kredytowej zostałyby natychmiast wykryte przez Tabulów

Krople deszczu znów uderzyły, po dwie, trzy naraz. Lawrence stał na czerwonych światłach i widział ludzi idących pośpiesznie pod parasolami, starających się znaleźć bezpieczne schronienie, zanim nawałnica rozpocznie się na dobre. Skręcił w lewo i jechał teraz na wschód w kierunku Midtown Tunnel. *Nadeszła pora, by rozpocząć nowe życie*, powiedział do siebie. *Zostawić to stare za sobą*. Opuścił szybę w oknie i zaczął wyrzucać na ulicę karty kredytowe. Jeśli ktoś obcy je znajdzie - i zrobi z nich użytek - zamieszanie będzie jeszcze większe.

Helikopter już czekał, kiedy Boone dotarł do centrum badawczego fundacji. Wysiadł z samochodu, przeszedł szybko przez trawnik i wsiadł do maszyny. Gdy śmigłowiec unosił się powoli w powietrze, szef służb ochrony wsunął do gniazdka komunikacyjnego wtyczkę od słuchawek i usłyszał głos Simona Leutnera.

- Przed dwudziestoma minutami Takawa pokazał się w centrum administracyjnym na Manhattanie. Wszedł do

kancelarii, posługując się kartą identyfikacyjną i po sześciu minutach opuścił budynek.

- Możemy stwierdzić, co tam robił?
- Nie natychmiast, proszę pana. Ale już zaczęli sprawdzać specyfikację przesyłek i paczek, które mogły być w pomieszczeniu.
- Zaczynajcie skanowanie wszelkich danych w poszukiwaniu Takawy. Niech jeden z naszych zespołów skoncentruje się na operacjach z jego kart kredytowych oraz koncie bankowym.
- Już się tym zajęliśmy. Wczoraj wybrał wszystkie swoje oszczędności.
- Zorganizujcie inny zespół, który wejdzie do danych linii lotniczych i sprawdzi rezerwacje na przeloty.
- Oczywiście.
- Skoncentrujcie się głównie na namierzeniu jego samochodu. Mamy teraz przewagę. Takawa dokądś jedzie, ale nie sądzę, żeby wiedział, że już go szukamy.

Boone wyglądał przez okno helikoptera. Widział dwupasmowe asfaltowe drogi Westchester County oraz, w oddali, stanowią drogę szybkiego ruchu prowadzącą do Nowego Jorku. Samochody osobowe i inne pojazdy sunęły w różnych kierunkach. Szkolny autobus. Ciężarówka poczty kurierskiej FedEx. Zielone sportowe auto przemykające między innymi samochodami.

Gdy Boone był młodszy, widział mnóstwo zrobionych w Hollywood filmów, w których bohater-buntownik wskakiwał do szybkiego samochodu i umykał przed niebezpieczeństwem lub odpowiedzialnością. Bardzo często kamera pokazywała samochód mknący brudną drogą przez otwarty i przepiękny wolnością krajobraz Zachodu. Teraz samochód był tylko dużym, ruchomym celem, który bardzo łatwo było kontrolować przez systemy komputerowe.

W przeszłości ludzie wydawali spore pieniądze na montaż w swoich autach urządzeń globalnego systemu

określania położenia, ale stopniowo stało się ono elementem standardowego wyposażenia. Terminale GPS wskazywały pożądaną kierunek jazdy i pomagały policji odnaleźć skradzione pojazdy.

Większość obywateli nie zdawała sobie sprawy z tego, że ich auta są również wyposażone w czarne skrzynki, które dostarczają informacji na temat tego, co działo się z pojazdem kilka sekund przed drogową kolizją czy wypadkiem. Producenci ogumienia umieszczali w ścianach opon miniaturowe układy scalone, których sygnał odczytywały odległe detektory. Urządzenia odczytujące łączyły z kolei oponę z numerem rejestracyjnym auta i jego właścicielem.

Gdy helikopter wznosił się coraz wyżej, komputery Braci z centrum informatycznego w Londynie wchodziły bez pozwolenia do zastrzeżonych baz danych. Niczym cyfrowe duchy przechodziły przez ściany i pojawiały się w zamkniętych pomieszczeniach. Świat zewnętrzny wciąż wyglądał tak samo, ale duchy obserwowały ukryte wieże i mury wirtualnego panopticonu.

Gdy syn Sparrowa wyjeżdżał z Tunelu Midtown, lało już jak z cebra. Krople deszczu rozbijały się o chodnik i stuknęły głośno w dach jego auta. Ruch stanął prawie zupełnie, pojazdy przemieszczały się w iście ślimaczym tempie. Skręcił w Grand Central Parkway w sznurze innych samochodów. W oddali widział, jak szarpane wiatrem strugi deszczu uderzają wściekle o chodnikowe płyty.

Zanim zniknie w dżungli, musiał wywiązać się z jeszcze jednego obowiązku. Lawrence wpatrywał się w światła stopu jadącego przed nim samochodu i wybierał w pamięci telefonu numer alarmowy, podany mu przez Lindena, kiedy spotkali się w Paryżu. Nikt nie odpowiadał. Usłyszał w za-

mian nagrany głos informujący o wakacyjnym weekendzie w Hiszpanii: *Zostaw wiadomość, a my oddzwonimy do ciebie.*

- Tu twój amerykański przyjaciel - powiedział syn Sparrowa, po czym podał datę i godzinę. - Wyruszam w bardzo długą podróż i nie zamierzam już wracać. Powinieneś zakładać, że moja firma wie o mojej współpracy z konkurencją. Oznacza to, że sprawdzą wszystkie moje wcześniejsze kontakty i pytania zadawane systemowi. Będę poza Siecią, ale liczę się z tym, że starszy brat pozostanie w ośrodku badawczym. Eksperyment posuwa się naprzód...

To wystarczy, pomyślał. Nie mów ani słowa więcej. Jednak jakoś nie mógł wyłączyć telefonu.

- Powodzenia. Poznać ciebie było dla mnie zaszczytem. Mam nadzieję, że ty i twoi przyjaciele zdołacie przetrwać.

Lawrence wcisnął klawisz zamontowany w oparciu i opuścił automatycznie szybę. Krople deszczu wpadły z impetem do wnętrza auta, uderzając go w twarz i dłonie. Wyrzucił telefon komórkowy na ulicę i kontynuował jazdę.

Miotany przez wichurę helikopter leciał na południe. Krople deszczu stukały głośno w pleksiglasową szybę przed pilotem niczym małe grudki ziemi. Boone dzwonił z telefonu komórkowego na różne numery, od czasu do czasu tracąc zasięg. W pewnej chwili maszyna wpadła w powietrzną dziurę, opadając dobre sto metrów w dół, po czym znów odzyskała stabilność.

- Nasz cel właśnie użył telefonu komórkowego - poinformował Leutner. - Ustaliliśmy jego położenie. Jest teraz w Queens. Przy wjeździe na Van Wyck Expressway. GPS w jego samochodzie potwierdza te koordynaty.

- Jedź na lotnisko Kennedyego - stwierdził Boone. - Będę tam za dwadzieścia minut. Czeka tam na mnie kilku przyjaciół.

- Co chce pan zrobić?
- Czy masz dostęp do urządzenia lokacyjnego w jego samochodzie?
- To proste - odparł Leutner z nieskrywaną dumą w głosie. - Mogę to zrobić w ciągu pięciu minut.

Syn Sparrowa wyjął bilet z automatu i wjechał na część lotniskowego parkingu przeznaczoną dla samochodów zostawianych na dłużej. Musiał tu porzucić służbowy wóz. Kiedy Bracia dowiedzą się o braku lojalności z jego strony, nigdy nie będzie mógł wrócić do Ameryki.

Deszcz wciąż padał, a grupka ludzi skryła się pod daszkiem na parkingowym przystanku i czekała na wahadłowy autobus, który miał ich zawieźć na lotniskowy terminal. Lawrence znalazł wolne miejsce i wjechał między dwie zatarte już białe linie. Spojrzał na zegarek - do planowego lotu do Meksyku pozostało mu jeszcze ponad dwie i pół godziny. Wystarczy czasu, żeby nadać bagaż i kije golfowe, przejść przez kontrolę ochrony i spokojnie wypić filiżankę kawy w sali odlotów.

Kiedy dotknął klamki w drzwiach, zobaczył, jak przyciski zamków suną w dół, zupełnie jakby wcisnęła je jakaś niewidzialna ręka. Głośne kliknięcie. Potem cisza. Ktoś siedzący przy odległym terminalu komputerowym włączył automatyczną blokadę wszystkich czworga drzwi w jego samochodzie.

Helikopter z Boonem na pokładzie usiadł na lądowisku w pobliżu terminalu prywatnych lotów portu lotniczego JFK. Śmigła wciąż się obracały, gdy szef służb ochrony fun-

dacji popędził w strugach deszczu do forda sedana zaparkowanego na skraju pasa startowego. Otworzył z impetem drzwi i wskoczył do wnętrza. Z przodu siedzieli detektywi Mitchell i Krause, popijając piwo i jedząc kanapki.

- Sprowadź arkę - powiedział na przywitanie Mitchell. - Nadchodzi u bram...

- Ruszajmy. Odczyty z system GPS mówią, że samochód Takawy znajduje się na pierwszym lub drugim parkingu obok terminalu.

Krause spojrział na partnera, później przewrócił oczami.

- Być może samochód tam jest, Boone. Ale on chyba już zniknął.

- Nie sądzę. Dopiero co zamknęliśmy go w środku.

Detektyw Mitchell włączył silnik i ruszył w kierunku strzeżonego wyjazdu.

- Na tych parkingach stoją tysiące wozów. Zanim go znajdziemy, mogą upłynąć całe godziny

Boone założył słuchawki na głowę i wybrał numer z pamięci telefonu komórkowego.

- Tym także się zajmę.

Lawrence usiłował wyciągnąć suwaki zamków i naciskał klamkę z całych sił. Wszystko na nic. Poczuł się, jakby został żywcem zamknięty w trumnie. Tabulowie wiedzieli już o wszystkim. Być może śledzili go od wielu godzin. Otarł twarz chłodnymi dłońmi. *Uspokój się, powiedział do siebie. Zachowaj się jak Arlekin. Jeszcze cię nie złapali.*

Zupełnie nieoczekiwanie w samochodzie rozległ się dźwięk klaksonu, a przednie światła zaczęły mrugać. Pulsujący hałas zdawał się dźgać jego ciało niczym czubek noża. Dał się porwać panice i zaczął walić pięściami w boczną szybę, ale pancerne szkło nawet nie pękło.

Lawrence obrócił się do tyłu, przelazł na tylne siedzenia i otworzył torbę do przewożenia golfowych kijów. Wsadził rękę do środka, wyciągnął kij typu *iron* i zaczął nim wściekle walić w przednią szybę po stronie pasażera. Najpierw pojawiła się siateczka pęknięć, niczym szlify na kryształach, a potem stalowa główka kija rozbiła szybę w drobny mak.

Obaj detektywi wyciągnęli broń, gdy zbliżyli się do samochodu, ale Boone już wcześniej dojrzał rozbitą szybę i porzucony w kałuży nylonowy worek.

- Nikogo - skomentował Krause, zaglądające do wnętrza auta.

- Powinniśmy otoczyć parking - podsunął Mitchell. - W tej chwili być może nam ucieka.

Boone wrócił do policyjnego wozu, nie przestając rozmawiać z ekipą w Londynie.

- Zdołał wydostać się ze swojego samochodu. Wyłączył alarm o kradzieży i uruchomienie skanowanie twarzy ze wszystkich kamer zamontowanych na lotnisku. Zwróćcie szczególną uwagę na strefę dojazdową na zewnątrz terminalu. Jeśli Takawa złapie taksówkę, chcę mieć jej numer rejestracyjny.

Pociąg kolejki podziemnej szarpnął do przodu. Stalowe koła zapisały, gdy skład ruszył ze stacji Howard Beach. Z mokrymi włosami i w przemoczonym płaszczu Lawrence usiadł na końcu jednego z wagonów. Miecz trzymał na kolanach, czarna pochwa i inkrustowana złotem rękojeść wciąż były owinięte brązowym papierem.

Syn Sparrowa wiedział, że lotniskowe kamery zrobiły mu zdjęcia, gdy wsiadał do wahadłowego autobusu dowożącego pasażerów do stacji metra. Na stacji, przy budce z biletami oraz na peronie były zamontowane następne kamery. Tabulowie mogli ściągnąć z nich dane do własnych komputerów i poszukiwać go, posługując się oprogramowaniem wykorzystującym technologię rozpoznawania twarzy. W tej chwili wiedzieli prawdopodobnie, że jedzie pociągiem „A” z powrotem w kierunku Manhattanu.

Wiedza ta była w praktyce nieprzydatna, gdy pozostał w pociągu i jechał nim bez przerwy. Sieć nowojorskiego metra była niezwykle rozbudowana, liczne stacje miały wiele poziomów oraz po kilka korytarzy wyjściowych. Przez moment Lawrence poczuł się ubawiony perspektywą mieszkania w metrze przez resztę życia. Nathan Boone i inni najemnicy mogli daremnie wyczekiwać na peronach lokalnych stacji, gdy on mijałby ich, pędząc w ekspresowym składzie.

Nie mogę tego zrobić, pomyślał. W końcu i tak go wytropią i będą na niego czekać. Musiał znaleźć takie wyjście do miasta, które było poza zasięgiem Rozległej Sieci. Miecz i pochwa trzymane w dłoni stanowiły jednak groźny oręż, jego ciężar sprawił, że poczuł napływ odwagi. Jeśli zamierzał ukryć się gdzieś w trzecim świecie, to musiał teraz znaleźć podobne miejsce w Ameryce. Po Manhattanie mogły jeździć wyłącznie korporacyjne taksówki, ale niezarejestrowane i jeżdżące „na lewo” można było znaleźć w innych dzielnicach. Gdyby taksjarsz zdołał przewieźć go na drugą stronę rzeki, do Newark, być może udałoby mu się niepostrzeżenie wsiąść do autobusu jadącego na południe Stanów.

Lawrence wysiadł na stacji metra East New York i pobiegł schodami, by złapać pociąg linii „Z” zmierzający na dolny Manhattan. Z krat w suficie skapywały krople deszczu, w powietrzu czuć było wilgotny i stęchły zapach. Stał samotnie na peronie do chwili, gdy światła pociągu poja-

wiły się w tunelu. *Przemieszczaj się. Ciągłe się przemieszczaj. To jedyna droga ucieczki.*

Nathan Boone siedział w stojącym na ziemi helikopterze w towarzystwie Mitchella i Krausego. Krople deszczu wciąż rozbijały się o betonową płytę lądowiska. Obaj detektywi sprawiali wrażenie rozdrażnionych, gdy szef ochrony fundacji powiedział im, żeby zgasili papierosy. Ignorował ich zupełnie, zamknął oczy i słuchał głosów dochodzących ze słuchawek.

Zespół internetowy Braci podłączył się do kamer obserwacyjnych dwunastu różnych instytucji publicznych i struktur komercyjnych. Gdy ulicami i podziemnymi przejściami Nowego Jorku przemykali pospiesznie ludzie, gdy zatrzymywali się na rogach ulic, gdy wsiadali do autobusów, charakterystyczne punkty ich twarzy zamieniały się w ciągi liczb. Niemal natychmiast ruszyła procedura porównywania tych liczbowych ciągów z algorytmem opisującym wygląd twarzy Lawrence'a Takawy

Boone rozkoszował się wizją nieprzerwanego strumienia danych płynącego niczym nurt ciemnej, zimnej wody kablami i przewodami komputerowych sieci. *Wszystko to jedynie cyfry i liczby*, pomyślał. *W rzeczywistości wszyscy tym jesteśmy - liczbami.* Gdy Simon Leutner zaczął mówić, Boone otworzył oczy

- W porządku. Właśnie sprawdziliśmy system bezpieczeństwa banku Chase Manhattan. Przy Canal Street mają bankomat z kamerą monitorującą. Poszukiwany przeszedł obok kamery przed chwilą, kierując się w stronę Manhattan Bridge - w głosie Leutnera dał się wyczuć radosny uśmiech. - Zakładam, że nie zauważył kamery w bankomacie. Stały się już elementem miejskiego pejzażu.

Przerwa.

- Okay. Cel jest już na chodniku dla pieszych prowadzącym na most. To proste. Podłączyliśmy się do systemu bezpieczeństwa kapitanatu portu. Kamery są zamontowane na słupach latarni, ukryte przed niepowołanymi oczami. Będziemy go widzieć, jak przechodzi na drugą stronę.

- Dokąd zmierza? - zapytał Boone.

- Na Brooklyn. Cel niesie w prawej ręce coś, co przypomina słupek lub kij.

Przerwa.

- Dochodzi do końca mostu.

- Cel kieruje się w stronę Flatbush Avenue. Nie. Poczekajcie. Macha na „dziką” taksówkę z bagażnikiem na dachu.

Boone sięgnął ręką do pulpitu i przełączył się na interkom śmigłowca.

- Mamy go - zakomunikował. - Powiem wam, dokąd mamy lecieć.

Kierowca taksówki biorącej pasażerów na lewo był starszym Haitańczykiem, ubranym w plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy oraz czapkę bejsbolową drużyny Yankees. Dach samochodu przeciekał i siedzenia z tyłu były wilgotne. Lawrence poczuł na nogach dotyk wilgotnego chłodu.

- Dokąd chcesz jechać?

- Newark, New Jersey. Jedź przez Verrazano, zapłać opłatę drogową.

Stary mężczyzna najwyraźniej nie był zachwycony tym pomysłem.

- To za dużo mil i powrót za darmo. Nikt w Nowym Jorku nie chce jechać do Fort Green.

- Ile kosztuje przejazd w jedną stronę?

- Pięćdziesiąt pięć dolarów.
- Zapłacę ci sto dolarów. Jedźmy już.

Zadowolony z dobitego targu Haitańczyk wrzucił bieg i poobijany chevrolet ruszył, perkocząc. Kierowca zaczął nucić pod nosem kreolską piosenkę, wystukując palcami rytm na kierownicy.

- *Ti cheri. Ti cheń.*

Głośny ryk dobiegł nagle do ich uszu, a Lawrence dostrzegł, jak silne podmuchy powietrza miotają strugami deszczu o zaparkowane na poboczu auta. Taksówkarz zahamował gwałtownie, zdumiony tym, co miał przed oczyma - na skrzyżowaniu ulic powoli siadał helikopter. Syn Sparrowa chwycił miecz i otworzył kopniakiem drzwi.

Boone pędził ile sił przez deszczową nawałnicę. Gdy zerknął do tyłu, zobaczył, że obaj detektywi dyszą już ciężko i machają zamasyżycie rękami. Takawa był około stu metrów przed nimi, uciekał w dół Myrtle Avenue, potem skręcił w St. Edwards. Szef ochrony minął sklep z kasami o zakratowanych oknach, gabinet stomatologiczny i butik z niewielkim, krzykliwym, różowo-fioletowym neonem.

Wieżowce osiedla mieszkalnego Fort Green załamywały linię nieba niczym rozwalony mur. Na widok trzech mężczyzn ścigających młodego Azjatę, przechodnie instynktownie kryli się do bram lub pospiesznie przechodzili na drugą stronę ulicy. *Policyjna oblawa na dilerów narkotyków*, myśleli. *Gliny, Lepiej się nie mieszać.*

Boone dobiegł do St. Edwards i spojrzął w dół kwartału. Krople deszczu waliły w chodnik i dachy samochodów. Strumienie wody spływały do rynsztoków, na skrzyżowaniu utworzyła się wielka kałuża. Dostrzegł jakiś ruch. Nie, to tylko stara kobieta z parasolką. Takawa zniknął.

Postanowił nie czekać na detektywów i pobiegł dalej. Minął dwa zapuszczone budynki mieszkalne, spojrzął w dół ulicy i dostrzegł, jak Takawa przeciska się przez dziurę w murze. Omijając plastikowe worki ze śmieciami oraz wyrzucone materace, Boone dotarł do dziury i zobaczył kawał ocynkowanej blachy, kiedyś przymocowanej do drzwi. Ktoś, zapewne miejscowi narkomani, wygięli blachę, a teraz Takawa był w środku.

Mitchell i Krause dobiegli do skraju alei.

- Obstawcie Wyjścia! - krzyknął do nich szef ochrony. - Wchodzę do środka i znajdę go!

Ostrożnie przecisnąwszy się obok blachy, wszedł do długiego pomieszczenia z betonową podłogą i wysokim stropem. Wszędzie walały się śmieci i odpadki. Połamane krzesła. Wiele lat temu budynek służył za warsztat samochodowy. Przy ścianie stała ławka na narzędzia, obok znajdował się kanał, w którym mechanicy pracowali, naprawiając auta. Kanał o obrysie prostokąta wypełniała teraz oleista woda, która w przyćmionym świetle sprawiała wrażenie, jakby prowadziła do jaskini. Boone podszedł do betonowych schodów i nasłuchiwał. Usłyszał odgłos kropli kapiących na posadzkę, a później skrzypnięcie dobiegające z góry.

- Lawrence! Tu Nathan Boone! Wiem, że jesteś na górze!

Syn Sparrowa stał samotnie na *pierwszym piętrze*. Jego płaszcz z zaszytymi tysiącami dolarów był przemoczony do cna i ciężki. Szybkim ruchem zdjął go z siebie i odrzucił na bok. Krople deszczu zaczęły padać mu na ramiona, ale to nic miało znaczenia. Czuł się tak, jakby zrzucił z barków ogromy ciężar.

- Zejdź na dół! - krzyknął Boone. - Jeśli zejdziesz na tychmiast, nie stanie ci się nic złego!

Lawrence zaczął obrywać papier, w który zawinięta była pochwa z mieczem jego ojca. Gdy skończył, wyciągnął ostrze, przyglądając się połyskującemu wzorowi na klindze. Złoty miecz. Miecz *Jittetsu*. Wykuty w ogniu i ofiarowany bogom. Po twarzy ściekła mu kropla wody. Stracone. Wszystko stracone. Zmarnowane. Zostawiał za sobą wszystko. Pracę i stanowisko. Jedyne rzeczy, które miał naprawdę, był ten miecz i jego własna odwaga.

Syn Sparrowa położył pochwę na wilgotnej posadzce i podszedł do schodów, trzymając obnażony miecz.

- Zostań tam - odkrzyknął. - Schodzę do ciebie!

Zszedł powoli zaśmieconymi schodami. Z każdym krokiem znikła gdzieś ociążałość i złudzenia kładące się balastem na sercu. W końcu pojął, czym była samotność, którą widział na zdjęciu ojca.

Dotarł do parteru. Boone stał pośrodku zagraconego pomieszczenia, trzymając w ręku automatyczny pistolet.

- Rzuć broń! - zawołał szef ochrony - Rzuć ją na ziemię!

Odrzucił wreszcie maskę, którą nosił przez całe życie.

Trzymając złoty miecz, syn Sparrowa ruszył na wroga. Nie było w nim krzty wątpliwości czy wahania, gdy Boone powoli podniósł broń i wystrzelił prosto w jego serce.

Vicki była więźniem w domu swojej matki. Pilnowana zarówno przez Tabulów, jak i przez wiernych Kościoła. Ciężarówka zakładu energetycznego odjechała, ale pojawiły się inne ekipy obserwacyjne. Dwaj pracownicy telewizji kablowej zaczęli wymieniać przekaźniki na słupach telefonicznych. W nocy nawet nie próbowali się ukrywać. Dwaj mężczyźni - czarny i biały - siedzieli w furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie ulicy. W pewnej chwili patrol policyjny zatrzymał się obok auta i policjanci powiedzieli coś do Tabulów. Zza zasłony Vicki widziała, że najemnicy pokazali identyfikatory i wszystko zakończyło się uściskiem dłoni.

Matka Vicki prosiła Kościół o ochronę. Jeden człowiek lub dwóch ludzi nocowało w salonie. Rano nocna zmiana odchodziła, a nowi wyznawcy przybywali, aby spędzić dzień w domu. Wyznawcy idei Isaaca T. Jonesa nie stosowali przemocy; uważali, że do obrony wiary wystarczą słowa Proroka. Gdyby dom został zaatakowany, śpiewając hymny położyliby się przed samochodami.

Vicki spędziła tydzień przed telewizorem, ale w końcu wyłączyła odbiornik. Od kiedy uświadomiła sobie, co naprawdę jest grane, większość programów okazała się dziecinnie naiwna lub kłamliwa. Od diakona dostała sztangę i każdego popołudnia ćwiczyła w garażu, aż do bólu mięśni. Do późnej nocy przeglądała Internet w poszukiwaniu tajnych witryn tworzonych w Polsce, Korei Południowej i Hiszpanii, zawierających informacje o Travelerach i Rozległej Sieci. Większość z nich wydawała się potwierdzać,

że wszyscy Travelerzy znikli, zgładzeni przez Tabulów i ich najemników.

Będąc małą dziewczynką, Vicki z niecierpliwością wyciekiwała niedzielnej mszy. Budziła się wcześniej, wcierała wonne olejki we włosy i stroiła się w odświętną, białą sukienkę. Teraz każdego dnia czuła się podobnie. W późny niedzielny poranek nadal leżała w łóżku, gdy Josetta weszła do pokoju.

- Przygotuj się, Vicki. Wysłali już po nas samochód.
- Nie chcę iść.
- Nie ma żadnego powodu do obaw. Zgromadzenie cię ochroni.

- Nie boję się Tabulów. Martwię się o przyjaciół.

Josetta zacisnęła wargi i Vicki wiedziała, co myśli jej matka: *Oni nie są twoimi przyjaciółmi*. Stała przy łóżku, aż Vicki wstała i skończyła się ubierać.

- Kiedyś Isaac T. Jones powiedział swojemu bratu...
- Nie przytaczaj mi słów Proroka, mamó. On wiele mówił, ale nie wszystko się ze sobą zgadza. Gdy skupić się na podstawowej idei, to oczywiście, że Isaac T. Jones wierzył w wolność, altruizm i nadzieję. Nie wystarczy jednak powtarzać jego słowa i wierzyć, że ma się rację. Ludzie muszą zmienić swoje życie.

Godzinę później siedziała w kościele u boku matki. Nic się nie zmieniło - znajome pieśni, rozklekotane ławki i otaczające ją twarze - ale ona nie czuła się częścią wspólnoty. Całe zgromadzenie wiedziało, że Victory „Od Grzechu” Fraser związała się z Hollisem Wilsonem i złą wojowniczką Arlekinów o imieniu Maya. Wpatrywali się w Vicki i wyrażali swoje lęki podczas spowiedzi.

Msza w kościele Jonesów była czymś niepowtarzalnym, swoistym połączeniem atmosfery ceremonii baptystów i spotkań kwaków. Tego ranka przebiegała w typowy sposób. Najpierw wielbny J. T. Morganfield wygłosił kazanie o mannie na pustyni - nie tylko pożywieniu, którym zostali obdarowani Izraelici, ale również bogactwie dostępnym każdemu

wyznawcy Gdy trzyosobowy zespół zaczął grać w porywającym rytmie gospel, zgromadzenie odśpiewało *Rozgłaszaj wiarę swoją* - stary hymn jonesjański. Ludzie śpiewali na stojąco, wyrażając na końcu każdej strofy swoje obawy

Niemal wszyscy wymieniali Vicki Fraser. Martwili się o nią, bali się, ale wierzyli, że Bóg ją ochroni. Vicki patrzyła wprost przed siebie i próbowała nie wyglądać na zawstydzoną. Główną troską wiernych było to, że popełniła błąd, wierząc w Dług Niespłacony. Kolejna strofa. Wyznanie wiary. Strofa. Wyznanie wiary Chciałaby wstać i uciec z kościoła, ale wiedziała, że wszyscy poszliby za nią.

Gdy śpiewy stały się głośniejsze, otworzyły się drzwi zakrystii niedaleko ołtarza i wkroczył przez nie Hollis Wilson. Wszyscy zamilkli, ale to mu nie przeszkadzało. Stając przed wiernymi, sięgnął pod kurtkę i wyciągnął oprawiony w skórę egzemplarz listów zebranych Isaaca T Jonesa.

- Muszę wam coś wyznać - powiedział. - Mam przesłanie do was wszystkich. W *Czwartym Liście*, pisany w Meridian w stanie Missisipi, Prorok napisał, że nie ma naprawdę upadłego mężczyzny lub kobiety. Każdy, nawet najmniejszy grzesznik, może odnaleźć drogę do Boga i kręgu wiary.

Hollis spojrział na wielbnego Morganfielda i pastor odpowiedział, prawie automatycznie:

- Amen, bracie.

Wszyscy wierni odetchnęli, napięcie opadło. To prawda: człowiek stojący koło ołtarza był niebezpieczny, ale byli przyzwyczajeni do takiego stylu jego wypowiedzi. Po raz pierwszy Hollis popatrzył na Vicki, kiwnął jej głową, bardzo nieznacznie, aby tylko zaznaczyć związek między nimi.

- Błądziłem przez wiele lat - powiedział Hollis. - Żyłem samolubnie, w nieposłuszeństwie i grzechu. Przepraszam każdego, kogo uraziłem, ale nie proszę o przebaczenie. W swoim *Dziewiątym Liście* Isaac T. Jones mówi nam, że tylko Bóg może przebaczyć; każdemu jednakowo, mężczyźnie i kobiecie, wszystkim rasom i narodom pod słońcem.

Hollis przekartkował zieloną książkę i przeczytał wers.
- „My, którzy jesteśmy równi w oczach Boga, powinniśmy być równi w oczach ludzkości”.

- Amen - odpowiedziała starsza kobieta.
- Również nie błagam o przebaczenie za związanie się z Arlekinami przeciw Tabulom. Zrobiłem to początkowo dla pieniędzy, jako płatny najemnik. Ale teraz opadła zasłona z moich oczu i dostrzegłem władzę Tabulów i ich plan, by rządzić i manipulować ludźmi Nowego Babilonu.

Przez wiele lat ten kościół był podzielony z powodu Długu Niespłaconego. Jestem do głębi przekonany, że ta doktryna zagubiła swój sens. Zachary Goldman, Lew Świątyni, zginął za Proroka. To jest fakt i nikt tego nie neguje. Ale co najważniejsze, zło dokonuje się właśnie teraz, przez gotowość Tabulów do zdrady ludzkości. Jak powiedział Prorok: „Prawość musi zwalczać Smoka zarówno w ciemnościach, jak i w świetle dnia”.

Vicki rozejrzała się po kościele. Hollis pozyskał sobie niektórych, ale na pewno nie wielbego Morganfielda. Starsi wyznawcy kiwali głową, modlili się i szeptali „Amen”.

- Musimy wesprzeć Arlekinów i ich sojuszników nie tylko naszymi modłami, ale również naszymi synami i córkami. Właśnie dlatego dzisiaj tu przybyłem. Nasza armia potrzebuje pomocy Victory „Od Grzechu” Fraser. Proszę ją o dołączenie do nas i dzielenie naszych cierpień.

Hollis pokiwał wzniesioną prawą ręką, jakby chciał powiedzieć: „Chodźcie za mną”. Vicki wiedziała, że to jest najważniejsza decyzja w jej życiu. Gdy spojrzała na matkę, zobaczyła, że Josetta płacze.

- Potrzebuję twojego błogosławieństwa - wyszeptała Vicki.
- Nie idź. Oni cię zabiją.
- To jest moje życie, mamó. To jest mój wybór. Wiesz, że nie mogę pozostać tutaj.

Wciąż płacząc, Josetta objęła córkę. Vicki poczuła, jak matka oplata ją rękami i mocno przytula, ale w końcu po-

zwała odejść. Wszyscy patrzyli, jak Vicki opuszcza ławkę i dołącza do Hollisa przy ołtarzu.

- Zegnajcie - powiedziała do zgromadzenia. Jej własny głos zaskoczył ją. Zabrział silnie i dobitnie. - Za kilka tygodni być może poproszę kogoś o pomoc i wsparcie. Idźcie do domów i módlcie się. Zdecydujcie, czy chcecie być z nami.

Hollis złapał ją za rękę i ruszył szybko w stronę drzwi. Kempingowy pikap był zaparkowany w bocznej alejce. Gdy do niego dotarli, Hollis wyciągnął automat zza pasa i położył go na siedzeniu między nimi.

- Dwaj najemnicy Tabulów czekają od frontu po drugiej stronie ulicy - powiedział.

- Miejmy nadzieję, że nie śledzi nas jakaś druga ekipa.

Powoli pojechał polną drogą między dwoma rzędami budynków. W końcu dotarli do asfaltu kilka bloków za kościołem.

- Wszystko w porządku? - Vicki zerknęła na Hollisa, a ten się uśmiechnął.

- Miałem drobną przeprawę z trzema instalatorami, ale opowiem ci o tym później. Od kilku dni jeżdżę po mieście, wpadam do publicznych bibliotek i używam dostępnych tam komputerów. Skontaktowałem - się z Lindenem, tym Arlekinem z Francji. To przyjaciel Mai, facet, który wysłał mi pieniądze.

- Kto jeszcze jest w tej armii, o której mówiłeś?

- Na razie tylko ty, ja, Maya i Gabriel. Przeniosła go do Los Angeles. Ale wyobraź sobie... - Hollis uderzył pięścią w kierownicę - Gabriel przeszedł przez barierę. On jest prawdziwym Travelerem.

Vicki przyglądała się pojazdom na autostradzie, na którą wjechali. Tysiące samotnych ludzi w swoich pudełeczkach na kołach. Przeglądających się w zderzakach samochodów jadących przed nimi, słuchających radiodbiorników, przekonanych, że otaczające ich tu i teraz jest jedyną, prawdziwą rzeczywistością. W umyśle Vicki wszystko się odmieniło.

Traveler pokonał bariery trzymające go w tym świecie. Autostrada, samochody i kierowcy nie były ostatecznym bytem, tylko jedną z alternatyw.

- Dziękuję ci, Hollis, że przyszedłeś do kościoła. To było niebezpieczne.

- Wiedziałem, że ty tam będziesz, i pamiętałem tę wąską alejkę. Ponadto potrzebowałem pozwolenia zgromadzenia. Można by powiedzieć, że większość mnie poparła.

- O jakim pozwoleniu mówisz?

Hollis odchylił się na siedzeniu i roześmiał się.

- Na ukrycie się w Arkadii.

Arkadia była obozem Kościoła na wzgórzach na północny zachód od Los Angeles. Biała kobieta o nazwisku Rosemary Kuhn, lubiąca śpiewać pieśni w kościele Isaaca T. Jonesa, przekazała zgromadzeniu czterdzieści akrów ranca Malibu. Zarówno Vicki, jak i Hollis w dzieciństwie często odwiedzali Arkadię, aby wędrować, pływać w basenie i śpiewać piosenki wokół niedzielnego, nocnego ogniska. Kilka lat temu obozowe źródła wody znikły i zarząd regionu uznał teren za niebezpieczny z powodu różnych zagrożeń. Kościół próbował sprzedać nieruchomość, ale dzieci Rosemary Kuhn wniosły pozew o odzyskanie własności.

Hollis wybrał Route One wzdłuż wybrzeża, a następnie wjechał na dwupasmową drogę przebiegającą przez Topanga Canyon. Gdy skręcili w lewo przy urzędzie pocztowym w Topanga, droga stała się wąska i bardzo stroma. Nabrzeżny dąb i gęste krzewy porastały obie jej strony. W końcu przejechali pod drewnianą bramą z wymalowany słowem „KADIA” na zniszczonym godle i dotarli do szczytu wzgórza. Długi, błotnisty podjazd doprowadził ich do żwirowego parkingu.

Budynki w obozie nie zmieniły się przez ostatnie dwadzieścia lat. Obóz miał dormitoria dla kobiet i mężczyzn, pusty basen z przebieralnią i dużą stołówkę używaną również podczas kościelnych ceremonii. Dachy długich białych

budynków pokrywała czerwona dachówka w stylu hiszpańskim. Kwietniki i ogród warzywny, niegdyś troskliwie dogładane przez wiernych, teraz stały porośnięte chwastami. Wszystkie okna były porozbijane, a puste puszkę po piwie pokrywały ziemię. Ze szczytu wzgórza można było zobaczyć z jednej strony góry, a Ocean Spokojny z drugiej.

Vicki myślała, że są sami, dopóki Maya i Gabriel nie wyszli ze stołówki, aby spotkać ich na parkingu. Maya wyglądała tak jak zawsze - silna i agresywna. Vicki gapiała się na Gabriela, szukając zmian w jego wyglądzie. Uśmiech pozostał ten sam, ale oczy obserwowały ją w inny, nowy sposób. Czuła się nieswojo, dopóki Gabriel nie przywitał się i nie uściskał jej.

- Martwiliśmy się o ciebie, Vicki. Cieszę się, że jesteś tutaj.

Hollis obszedł sklepy demobilu i kupił składane łóżka i śpiwory dla obu dormitoriów. Obozowy piec, butelki wody i puszkę z jedzeniem stały w kuchni. Do zmiatania użyli starej miotły i zasiedli przy jednym z długich stołów. Maya włączyła komputer i pokazała im zebrane przez siebie informacje o Amerykanach w ich wieku, którzy zginęli w wypadkach samochodowych. W ciągu kilku tygodni powinni uzyskać metryki urodzeń, później prawa jazdy oraz paszporty dla rozmaitych tożsamości. W ostateczności, w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia, będą mogli przekroczyć granice Meksyku.

- Nie chcę skończyć w meksykańskim więzieniu - powiedział Hollis. - Jeśli pozostaniemy w kraju, będziemy potrzebowali pieniędzy.

Maya wyjaśniła, że Linden wysłał do Ameryki ukryte w zabytkowym posągu Buddy tysiące dolarów. Przesyłka znajdowała się u jednego z marszandów w Hollywood West. Wysłanie pieniędzy i odebranie przesyłki było niebezpieczne z powodu ciągłej czujności Tabulów. Hollis zaoferował się pilnować tyłów budynku, gdy Maya wejdzie od frontu.

- Nie mogę zostawić Gabriela samego.

- Nic mi się nie stanie - stwierdził Gabriel. - Nikt nie wie o tym miejscu. A jeśli nawet Tabulowie odkryliby je, musieliby nadjechać tą krętą drogą. Widzielibyśmy samochód dziesięć minut wcześniej, zanim dostaliby się tutaj.

Podczas lunchu Maya dwa razy zmieniała zdanie, aż w końcu zdecydowała, że odzyskanie pieniędzy jest bardzo ważne. Vicki i Gabriel, stojąc na parkingu, przyglądali się, jak samochód Hollisa oddala się w dół stoku.

- Co sądzisz o Mai? - zapytał Gabriel.

- Jest bardzo odważna.

- Ojciec Mai zaaplikował jej naprawdę ciężki trening, by przekształcić ją w Arlekina. Nie sądzę, aby ufoła komukolwiek.

- Prorok kiedyś napisał list do swojej dwudziestoletniej bratanicy, Evangeline. Powiedział w nim, że nas>i rodzice dają nam zbroję, lecz to my, gdy dorastamy, decydujemy, czy włożyć ją całą. Kiedy stajemy się dorośli, różne jej elementy mogą nie pasować do nas, a wtedy nie ochrania nas w pełni.

- Maya jest bardzo dobrze chroniona.

- Tak. Ale wewnątrz jest taka sama jak my. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

Vicki znalazła starą miotłę i zaczęła zamiatać podłogę stołówki. Czasami wyglądała przez okno i widziała Gabriela przemierzającego brudny parking. Traveler wyglądał na niespokojnego i nieszczęśliwego. Rozmyślał o czymś, próbując rozwiązać problem. Vicki skończyła zmiatanie i wycierała stoły moką szmatą, kiedy Gabriel ukazał się w drzwiach.

- Zdecydowałem się na przejście przez bariery

- Dlaczego chcesz to teraz zrobić?

- Muszę odnaleźć Michaela, moj ego brata. Rozłączyliśmy się' w barierze Ognia, ale być może przebywa w jednym ze światów.

- Czy sądzisz, że on pomaga Tabulom?

- Właśnie to mnie martwi, Vicki. Mogli zmusić go do tego. Vicki poszła za Gabrielem do dormitorium i przyglądała się, jak siada na jednym ze składanych łóżek.

- Czy mam odejść? - spytała.

- Nie. Wszystko w porządku. Moje ciało pozostanie tutaj. Żadnych płomieni czy aniołów.

Trzymając nefrytowy miecz obiema rękami, Gabriel wziął długi, głęboki wdech. Nagle przewrócił się na plecy. Wszystko zaczęło się zmieniać w niesłychanym tempie. Wciągnął powietrze po raz ostatni i wtedy Vicki ujrzała transformację. Ciało Gabriela zadrżało i pozostało zupełnie bezwładne. Przypominało teraz posąg leżącego na grobowcu, kamiennego rycerza, który Vicki kiedyś widziała.

Czy Gabriel był gdzieś ponad nią? Czy płynął przez przestrzeń? Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiegoś znaku, lecz nie zauważyła nic poza zaciekami na ścianach i brudem sufitu. *Strzeż go, Boże, modliła się. Dobry Boże, chroń tego Trawlera.*

Gabriel dokonał przejścia, jego Światło przekroczyło cztery bariery. Otwierając oczy, ujrzał, że znajduje się na szczycie schodów w jakimś starym domu. Był sam. W domostwie panowała cisza. Słabe szare światło przenikało przez wąskie okno.

Z tyłu na półpiętrze stał stary stół. Gabriel dotknął sztywnych, gładkich płatków róży stojącej w wazonie. Róża, wazon i cały otaczający go pokój były tak samo fałszywe, jak przedmioty w jego własnym świecie. Tylko Światło było realne i prawdziwe. Ciało i ubranie Gabriela obrazowały stan ducha, który doprowadził go do tego miejsca. Wyciągnął z pochwy swój nefrytowy miecz na kilka centymetrów, a jego stalowe ostrze zaiskrzyło srebrną energią.

Rozchylił koronkowe zasłony i wyrzwał przez okno. Był wczesny wieczór, tuż po zachodzie słońca. Przebywał w mieście. Po obu stronach widzianej przez niego, obsadzonej drzewami alei były chodniki. Znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy rząd budynków przypominał mu wyłożone szarym piaskowcem dzielnice Nowego Jorku lub Baltimore. Włączone w niektórych apartamentach światła sączyły się przez okna łagodnym żółtym kolorem, jak gdyby starego pergaminu.

Gabriel przerzucił rzemień pochwy miecza przez jedno ramię tak, aby znalazła się na plecach. Tak cicho, jak to tylko było możliwe, zszedł na trzecie piętro. Pchnął jedne z otwartych drzwi, w każdej chwili oczekując ataku, i znalazł się w pustej sypialni. Wszystkie meble były masywne i ciemne - duża komoda z mosiężnymi okuciami i łóżko z rzeźbionym

stelażem. Staromodny wystrój pokoju kojarzył się z filmami z lat dwudziestych. Nie znalazł ani radia, ani telewizora, niczego nowego, jasnego, błyszczącego. Usłyszał napływające z parteru dźwięki fortepianu. Muzyka była powolna i smutna, prosta melodia powtarzająca się z drobnymi zmianami.

Schodząc na dół, pokonując ostatnie półpiętro, Gabriel próbował uniknąć skrzypienia schodów. Otwarte drzwi na parterze zaprowadziły go do jadalni z długim stołem i sześcioma krzesłami o wysokich oparciach. Na paterze stojącej na kredensie leżały owoce z wosku. Przecinając korytarz, przeszedł przez pomieszczenie klubowe ze skórzanymi fotelami i jedną lampą do czytania. Wszedł do małego salonu.

Grająca na fortepianie kobieta siedziała tyłem do wejścia. Była ubrana w długą czarną spódnicę i bluzkę barwy lawendy z bufiastymi rękawami. Miała siwe, upięte z tyłu włosy. Gabriel postąpił w stronę kobiety. Podłoga skrzypnęła, a ona obejrzała się przez ramię. Jej twarz zaskoczyła go. Była blada i wyniszczona, jakby kobieta przez cały czas przebywała zamknięta w domu i głodowała. Tylko oczy były żywe, jasne i intensywne. Patrzyła na niego. Była zaskoczona, ale nie przestraszona tym, że obcy człowiek ukazał się w pokoju.

- Kim jesteś? - spytała. - Nigdy cię wcześniej nie widziałam.

- Nazywam się Gabriel. Czy mogłabyś mi powiedzieć, jak się nazywa to miejsce?

Gdy podchodziła do niego, jej czarna spódnica zaszeleściła.

- Wyglądasz inaczej, Gabrielu. Musisz być nowy.

- Tak. Chyba masz rację.

Cofnął się o krok, ale ona dalej szła w jego kierunku.

- Przepraszam, że znalazłem się w twoim domu.

- Och, nie przepraszaj.

Kobieta schwyciła go za prawą rękę, zanim zdążył ją powstrzymać. Wyraz zdziwienia ukazał się na jej twarzy.

- Masz ciepłą skórę. Jak to jest możliwe?

Gabriel spróbował się wyrwać, ale kobieta trzymała go z siłą, której istnienia nikt by nie podejrzewał w tak kruchym ciele. Drżąc, pochyliła się i ucałowała jego dłoń. Gabriel poczuł zimne wargi dotykające jego skóry, a później przeszywający ból. Wyszarpnął dłoń i ujrzał, że krwawi.

Mała kropla krwi - jego krwi - wykwitła w kąciку ust kobiety. Dotknęła jej wskazującym palcem i przez chwilę jakby podziwiała jej jasnoczerwoną barwę, a potem włożyła palec do ust. Zadrżała ogarnięta ekstatyczną, opętańczą przyjemnością i zamknęła oczy. Gabriel pośpiesznie wyszedł z pokoju i skierował się wzdłuż korytarza do drzwi frontowych. Energicznie nacisnął klamkę i znalazł się na chodniku.

Zanim zdołał zaleźć jakąkolwiek kryjówkę, czarny samochód przejechał powoli wzdłuż ulicy. Przypominał czterodrzwiowego sedana z lat dwudziestych, chociaż były pewne różnice. Bardziej wyglądał jak projekt samochodu niż gotowe urządzenie zbudowane w fabryce. Kierowcą był wynędzniały, zasuszony staruszek. Przyglądał się idącemu Gabrielowi.

Nie pojawiły się już żadne inne samochody, gdy Gabriel przemierzał ciemne ulice. Doszedł do placu z małym, otoczonym balustradą miejskim parkiem: były tu ławki i kilka cienistych drzew. Witryny sklepowe trzech budynków handlowych znajdowały się na poziomie ulicy. Światła przeświecały przez okna górnych pięter. Na placu stało około tuzina ludzi. Wszyscy byli ubrani podobnie jak kobieta grająca na fortepianie - w staromodnym, eleganckim stylu: ciemne garnitury, długie spódnice, kapelusze i płaszcze okrywające szczupłe sylwetki.

Gabriel poczuł się niezręcznie w swoich dżinsach i bluzie sportowej. Starał się pozostawać w cieniu budynków. Witryny sklepowe z grubego szkła oprawionego w stalowe ramy ochronne przypominały monitorowane wystawy sklepów z biżuterią. Każdy sklep miał tylko jedną witrynę, a na każdej wystawie był prezentowany tylko jeden, podświetlony przedmiot. Gabriel podszedł do chudego, łysiego człowieka

o zaniepokojonej twarzy. Przyglądał się on zabytkowemu, złotemu zegarkowi na wystawie. Patrzył na przedmiot oszołomiony, prawie zahipnotyzowany Dwie wystawy dalej przed sklepem z antykami stała kobieta o ustach pomalowanych ciemnoczerwoną szminką. Przyglądała się posagowi nagiego chłopca z białego marmuru. Gdy Gabriel przechodził obok, kobieta pochyliła się i pocałowała płaskie szkło witryny

Sklep spożywczy znajdował się na końcu budynku. Nie był nowocześnie wyposażony w lody chłodnicze ze szklanymi drzwiczkami i szerokimi przejściami między nimi, lecz mimo to wyglądał na dobrze i schludnie prowadzony Klienci z koszykami z czerwonego drutu przemieszczali się między regałami. Za kasą stała młoda kobieta ubrana w biały fartuch.

Kasjerka przyglądała się idącemu wzdłuż regałów Gabrielowi, który za wszelką cenę pragnął uniknąć jej ciekawości. Na regałach stały pudełka i słoiki, na których nie było żadnego słownego opisu produktu. Zamiast tego miały kolorowe rysunki zapakowanych produktów. Na kartonikach dzieci ze swoimi rodzicami uśmiechały się radośnie jako szczęśliwi konsumenci płatków śniadaniowych lub zupy pomidorowej.

Gabriel podniósł pudełko krakersów, które prawie nie ważyło. Wziął inne pudełko, otworzył i stwierdził, że jest puste w środku. Sprawdzając inne opakowania i słoiki, przeszedł do następnego rzędu regałów, gdzie zastał kłęzącego człowieka, który, podobnie jak on, przeglądał ich zawartość. Jego biały, wykrochmalony fartuch i czerwona muszka nadawały mu schludny, porządny wygląd. Człowiek ten pracowicie i dokładnie układał opakowania, upewniając się, że są zawsze zwrócone rysunkiem na zewnątrz.

- O co chodzi? - zapytał Gabriel. - Wszystkie opakowania są puste.

Człowieczek wyprostował się i spojrzał uważnie na Gabriela.

- Musisz być tu nowy.

- Jak możecie sprzedawać puste opakowania?

Ciepło ciała Gabriela najwyraźniej przyciągało sklepowego subiekta. Z zapalem ruszył do przodu, ale Gabriel go odepchnął. Usiłując nie poddać się panice, opuścił sklep i powrócił na plac. Serce biło mu szybko, a zimny dreszcz strachu wstrząsnął ciałem. Sophia Briggs mówiła mu o tym miejscu. Znalazł się w Drugim Wymiarze zamieszkanym przez wygłodzone duchy. Były to zagubione widma, fragmenty Światła szukające nieustannie czegoś, co wypełniłoby przenikającą je na wskroś bolesną pustkę. Jeśli nie znajdzie przejścia, zostanie tu na zawsze.

Ruszył pospiesznie ulicą i zdumiał się, natrafiając na sklep rzeźniczy. W jaskrawo oświetlonym wnętrzu zobaczył wystawione na metalowych tacach baranie kotlety, wieprzowe żeberka i wołowe szpondry. Masarz, którym był potężnie zbudowany blondyn, stał za ladą z pomocnikiem, młodym mężczyzną w wieku dwudziestu kilku lat. Dziewięcioletni chłopiec w męskim fartuchu zamiatał pieczołowicie podłogę. Rozebrane mięsa były prawdziwe. Obaj mężczyźni i chłopiec wyglądali na dobrze odżywionych. Dłoń Gabriela spoczęła na mosiężnej klamce. Przez chwilę zawahał się, potem wszedł do środka.

- Wyglądasz na nowego - powiedział rzeźnik, uśmiechając się życzliwie. - Znam tu wszystkich, a ciebie nie widziałem nigdy wcześniej.

- Można kupić coś do zjedzenia? - zapytał młodszy z braci Corriganów. - Może ta szynka?

Wskazał na trzy wędzone szynki wiszące na hakach nad wystawową gablotą. Masarz sprawiał wrażenie rozbawionego, a jego pomocnik uśmiechnął się szyderczo. Nie pytając o pozwolenie, Gabriel sięgnął ręką i dotknął jednej z szynek. Dotyk był jakiś dziwny. Coś było nie w porządku. Zdjął szynkę z haka, upuścił ją na podłogę i zobaczył, jak ceramiczna atrapa rozbija się w drobny mak. Wszystkie produkty w sklepie były nieprawdziwe: sztuczne mięsa i wędliny imitujące rzeczywiste pożywienie.

Usłyszał z tyłu za sobą ostre, metaliczne szczęknięcie i obrócił się na pięcie. To chłopiec zasunął rygiel w drzwiach. Obracając się ponownie, zobaczył, jak rzeźnik i jego pomocnik wychodzą z za lady. Pomocnik masarski wyciągnął nóż z długim na dwadzieścia centymetrów ostrzem, który trzymał wcześniej za pasem. Właściciel sklepu ścisnął w garści ciężki tasak. Gabriel wyciągnął miecz i zrobił krok do tyłu, zbliżając się do ściany. Chłopiec odstawił szczotkę na bok i sięgnął po cienki, zakrzywiony nóż - z rodzaju tych, jakich używa się do trybowania mięsa i odcinania go od kości.

Nie przestając się uśmiechać, masarski czeladnik zamachnął się i rzucił swoją bronią. Gabriel zrobił gwałtowny unik w lewo, a nóż wbił się głęboko w drewnianą boazerię. Teraz do przodu wysunął się rzeźnik, wymachując tasakiem i kręcąc nim młynki. Starszy z braci Corriganów zamarkował atak w głowę, lecz uderzenie poszło niżej, rozcinając ramię masarza. Duch wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokazał ranę: przecięta skóra, odsłonięte mięśnie i kość, ale bez najmniejszej choćby kropelki krwi.

Gabriel ponowił atak; uniesiony tasak sparował uderzenie miecza. Dwa ostrza ścierały się ze sobą, trąca stal wydawała piski niczym schwytyany ptak. Traveler odskoczył na bok, znalazł się z tyłu za masarzem i znów natarł, odcinając upiorowi lewą nogę poniżej kolana. Rzeźnik upadł do przodu, zwalając się ogromnym cielskiem na kafelkową podłogę. Leżał na brzuchu, jęcząc i wymachując ramionami, jakby usiłował płynąć po suchym lądzie.

Masarski czeladnik znów ruszył do przodu z nożem w dłoni, a Gabriel szykował się do sparowania ataku. Jednak pomocnik klęknął przed leżącym i wbił mu nóż w plecy. Chłopiec również podbiegł i dołączył do atakującego, odcinając kawałki suchego mięsa i napychając nimi usta.

Traveler otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz. Przebiegł przez ulicę w stronę niewielkiego parku znajdującego się

pośrodku placu i wtedy zdał sobie sprawę, że ludzie wychodzą z domów. Rozpoznał starą kobietę, która grała na pianinie, oraz niskiego sklepowego subiekta w muszce. Upiory wiedziały, że on jest w mieście.

Stał samotnie obok parkowej estrady. Czy powinien przed nimi uciekać? Czy była jakaś droga ucieczki? Usłyszał odgłos samochodowego silnika, rozejrzał się i zobaczył przednie światła nadjeżdżającego jedną z bocznych ulic samochodu. Gdy wóz się zbliżył, Gabriel zauważył, że to staromodna taksówka z zapalonym żółtym kogutem na dachu. Ktoś naciskał na klakson, raz za razem, potem auto podjechało do krawężnika. Kierowca opuścił boczną szybę i uśmiechał się od ucha do ucha. To był Michael.

- Wskakuj! - wykrzyknął.

Gabriel wcisnął się do kabiny auta, jego brat objechał plac dookoła, trąbiąc zawzięcie i omijając nienasycone upiory. Znow skrzył w boczną ulicę i nieco przyspieszył.

- Byłem na dachu tego budynku, kiedy spojrzałem w dół i zobaczyłem cię na placu.

- Jak zdobyłeś tę taksówkę?

- Biegłem ulicą i wtedy pokazał się taksówkarz. To był chudy i kościsty staruch, który wciąż wypytywał mnie, czy jestem tu „nowy”. Wywlokłem go z auta, walnąłem w twarz i odjechałem - pochwalił się i roześmiał głośno. - Nie mam pojęcia, gdzie właściwie jesteśmy, ale nie sądzę, żeby ktoś nas aresztował za kradzież auta.

- Jesteśmy w Drugim Wymiarze, zamieszkanym przez wygodniałe duchy.

- To brzmi sensownie. Wstąpiłem do restauracji, przy stoliku siedziały tam cztery osoby. I żadnego jedzenia. Nawet okruszka. Tylko puste talerze.

Michael odbił mocno kierownicą i gwałtownie skrzył w następną aleję.

- Pospieszmy się - podjął rozmowę. - Musimy dostać się do tego budynku, zanim ktokolwiek zdąży nas zauważyć.

Obaj bracia wysiedli z taksówki. Michael trzymał w ręku miecz ze złotym trójkątnym motywem inkrustowanym na rękojeści.

- Skąd to masz? - zapytał Gabriel.
- Od przyjaciół.
- To talizman.
- Wiem. W miejscach podobnych do tego warto mieć przy sobie broń.

Bracia Corriganowie opuścili aleję i pospieszyli chodnikiem do czterokondygnacyjnego budynku z granitową fasadą. Duże drzwi wejściowe były wykonane z ciemnego metalu i podzielone na kwadratowe pola, na których umieszczono reliefy ukazujące pszenicę, jabłka i inne jadalne rzeczy Michael pociągnął drzwi do siebie, otworzył je i obaj bracia wsunęli się do wnętrza. Znaleźli się w długim holu bez okien, z posadzką w czarno-białą szachownicę. Z sufitu zwisały lampy na długich mosiężnych łańcuchach. Michael pobiegł wzdłuż holu i zatrzymał się przy drzwiach z napisem „Biblioteka”.

- Wreszcie jesteśmy To najbezpieczniejsze miejsce w miasteczku.

Gabriel wszedł za starszym bratem do dwupoziomowego pokoju z witrażowym oknem w jednej ze ścian. Wzdłuż pozostałych stały dębowe regały wypełnione rzędami książek. W pomieszczeniu były drabiny oparte o ściany i znajdująca się cztery i pół metra nad podłogą antresola, dzięki której można było sięgnąć do górnych półek z książkami. Lampy z niebieskiego szkła oświetlały stoły. Wystrój biblioteki skojarzył się Michaelowi z historią i tradycją. To właściwe miejsce dla każdej mądrej księgi.

Starszy z braci Corriganów chodził po sali, jakby to on był bibliotekarzem.

- Miłe miejsce, czyż nie?
- I nikt tu nie zajrzy?
- Oczywiście, że nie. Po co mieliby to robić?
- Żeby przeczytać książkę.

- Nie sędę - powątpiewał Michael. Wziął do ręki gruby tom w czarnej skórzanej obwolucie i rzucił w stronę brata. - Zobacz sam...

Gabriel otworzył wolumin i przekonał się, że są w nim tylko puste strony. Upuścił księgę na stół i sięgnął po kolejny tom z półki. Niezadrukowane strony. Michael roześmiał się.

- Sprawdzalem w Biblii i słownikach. Wszystko jest puste. Ludzie, którzy tu mieszkają, nie potrafią jeść, pić ani czytać. Założę się, że nie uprawiają też seksu i nie śpią. Jeśli ma to być sen, to z pewnością jest to koszmar.

- To nie jest sen. Jesteśmy tu obaj.

- Prawda. Jesteśmy Travelerami - przytaknął Michael i dotknął ramienia brata. - Martwiłem się o ciebie, Gabe. Cieszę się, że jesteś zdrow i cały.

- Nasz ojciec żyje.

- Skąd o tym wiesz?

- Pojechałem do osady o nazwie New Harmony w południowej Arizonie. Osiem lat temu ojciec spotkał pewnych ludzi i zainspirował ich do utworzenia społeczności żyjącej poza Siecią. Możemy go spotkać w naszym świecie, w tym świecie; gdziekolwiek.

Michael chodził tam i z powrotem między stolikami czytelnicy. Podniósł książkę, jakby mógł wyczytać z niej odpowiedź.

- Dobrze - rzekł w końcu. - Tato żyje. To interesujące, ale nas nie dotyczy. Musimy skoncentrować się na naszym bieżącym problemie.

- Co masz na myśli?

- W tym momencie moje ciało leży na stole zabiegowym w ośrodku badawczym pod Nowym Jorkiem. Gdzie ty jesteś, Gabe?

- Przebywam w opuszczonym kościelnym obozowisku na wzgórzach Malibu.

- Czy trzymają cię pod strażą?

- Co za pomysł?

- Kiedy wrócę do normalnego świata, powiem im, gdzie mogą cię znaleźć...

- Czyś ty oszalał? - Gabriel podszedł do brata. - Zostałeś uwięziony przez Tabulów. To ci sami ludzie, którzy zaatakowali nasz dom i puścili go z dymem.

- Wiem o wszystkim, Gabe. Człowiek nazywający się Kennard Nash wyjaśnił mi wszystko. Ale to działo się w przeszłości. Teraz potrzebują Travelera. Nawiązali kontakt z zaawansowaną cywilizacją.

- To nie robi żadnej różnicy. Zmierzają do zniszczenia osobistej wolności we wszelkich jej postaciach.

- Ten problem dotyczy zwykłych śmiertelników, nie nas. Nie jest to kwestia kategorii dobra lub zła. Tak się po prostu stanie. Nie możesz tego powstrzymać. Bracia już pracują nad wdrożeniem systemu.

- Nasi rodzice inaczej postrzegali ten świat.

- Ale co to ma, do diabła, wspólnego z nami? Nie mamy forsy Nie mamy przyjaciół. Nie mogliśmy nawet posługiwać się własnym nazwiskiem i przez całe życie uciekaliśmy. Nie możesz uniknąć Sieci. Dlaczegoż więc nie stanąć po stronie ludzi, którzy dzierżą władzę?

- Tabulowie zrobili ci pranie mózgu...

- Nie, Gabe. Jest wręcz odwrotnie. Jestem jedyną osobą w naszej rodzinie, która zawsze patrzyła na sprawy z rozsądnej strony.

- Nie tym razem.

Michael położył dłoń na rękojeści złotego miecza. Obaj Travelerzy spojrzeli sobie prosto w oczy

- Chroniłem cię, kiedy dorastałeś - wyznał Michael. - Wygląda na to, że znów muszę to zrobić.

Obrócił się na pięcie i wybiegł pędem z biblioteki.

Młodszy z braci Corriganów wciąż stał między stołami.

- Wracaj tu! - wykrzyknął. - Michael!

Odczekał kilka sekund, potem pobiegł do holu. Pusto. Nie było nikogo. Drzwi cicho skrzypnęły i zamknęły się za nim.

Michael usiadł na stole operacyjnym wewnątrz grobowca. Doktor Richardson i anestezjolog cofnęli się i patrzyli, jak panna Yang zdejmuje czujniki z jego ciała. Gdy pielęgniarka skończyła, sięgnęła po leżącą na tacy grubą bluzę i podała pacjentowi. Michael wziął bluzę i niespiesznie włożył. Był wyczerpany i bardzo zmarznięty.

- Chyba powinniśmy wiedzieć, co się zdarzyło? - doktor Richardson sprawiał wrażenie przejętego.

- Gdzie generał Nash?

- Wezwaliśmy go niezwłocznie - wyjaśnił doktor Lau. - Był w biurówcu.

Ze stolika obok Michael wziął do ręki ukryty w pochwie miecz. Niczym anioł stróż wędrował z nim przez bariery. W Drugim Wymiarze połyskujące ostrze i złota rękojeść wyglądały identycznie.

Drzwi się uchylily i na ciemnej podłodze zajaśniała wąska smuga światła. Michael odłożył broń, a przez środek pomieszczenia podszedł do niego Kennard Nash.

- Michael, wszystko dobrze? Podobno chciałeś ze mną rozmawiać.

- Niech oni wyjdą.

Nash dał znak głową. Richardson, Lau i panna Yang wyszli z laboratorium pod północną galerią. Technicy komputerowi nadal zerkali z okien galerii.

- To wszystko! - zawołał Nash. - I proszę o wyłączenie mikrofonów! Dziękuję ogromnie.

Technicy zareagowali jak uczniacy przyłapani na zaglą-

daniu do pokoju nauczycielskiego. Momentalnie odsunęli się od okien i powrócili do jaśniejących monitorów.

- Dokąd więc powędrowałeś, Michael? Do nowego wymiaru?

- Później opowiem. Zdarzyło się coś ważnego. Spotkałem brata.

Generał Nash podszedł bliżej, do stolika.

- Fantastycznie! Mogliście porozmawiać?

Michael odwrócił się i usiadł na skraju stołu. Kiedy wraz z Gabrielem podróżował po kraju, wiele godzin spędził na oglądaniu widoków przez przednią szybę. Niekiedy skupiał uwagę na jednym obiekcie przy drodze i przez kilka sekund nie spuszczał z niego wzroku, aż wreszcie element ten zniknął. Teraz odnosił wrażenie, że to samo uczucie powróciło do niego ze zwiększoną mocą. Obrazy utrzymywały się w jego głowie i mógł analizować najdrobniejsze szczegóły.

- Kiedy dorastaliśmy, Gabriel nigdy nie wybiegał myślami w przyszłość ani nie snuł planów. Sam decydowałem, co robić.

- To jasne. Rozumiem - Nash mówił głosem cichym i kojącym. - Jesteś starszym bratem.

- Gabrielowi przychodzą do głowy najróżniejsze pomysły. Muszę myśleć obiektywnie i dokonywać trafnych wyborów.

- Jestem pewien, że twój brat poznał wszystkie niedorzeczne legendy dzięki Arlekinom. Nie ogarnia większej perspektywy. W przeciwieństwie do ciebie.

Można było odnieść wrażenie, że czas spowolnił bieg. Michael bez wysiłku dostrzegał szybko następujące zmiany na twarzy Nasha. Zazwyczaj podczas rozmowy wszystko rozgrywało się szybko. Jedna osoba mówiła, druga czekała na możliwość zareagowania. Panował hałas, ruch, zamieszanie i wszystkie te czynniki sprzyjały ludziom w ukrywaniu prawdziwych emocji. Teraz wszystko było jasne.

Przypomniał sobie, jak jego ojciec postępował z obcymi, jak uważnie ich obserwował, kiedy mówili. *Tak właśnie się*

to robi, pomyślał Michael. Me czyta się z ich umysłów, tylko z twarzy.

- Wszystko w porządku? - spytał Nash.

- Po rozmowie rozstałem się z bratem i odszukałem przejście powrotne. Gabriel nadal przebywa w Drugim Wymiarze, lecz jego ciało leży w obozie kościelnym na wzgórzach Malibu, na północ od Los Angeles.

- Cudowne wieści. Natychmiast wysyłam tam drużynę.

- Gdy pan go znajdzie, proszę go unieruchomić. Przekonałem się, że muszę poruszać rękami lub nogami, choćby odrobinę, żeby wyruszyć do innych światów.

- Rozumiem.

- To nie znaczy, że macie mu zrobić krzywdę. Wystarczy go kontrolować.

Nash opuścił wzrok, jakby szykował się do zatajenia prawdy. Nieznacznie poruszył głowę, a kąciki jego ust cofnęły się, jakby usiłował nie okazywać pogardy. Traveler zamrugał oczami i świat ponownie był normalny. Czas płynął, każda następna chwila wpadała w przyszłość niczym kostka domina wywracająca cały szereg.

- Bez obaw, Michael. Zrobimy, co w naszej mocy, aby uchronić twojego brata. Dziękuję. Postąpiłeś słusznie.

Generał Nash zrobił w tył zwrot i pospieszył przez cienie ku wyjściu. Obcasami stukał donośnie o gładką, betonową podłogę. Stuk-puk. Stuk-puk. Dźwięk odbijał się echem od ścian grobowca.

Michael sięgnął po złoty miecz i mocno zacisnął jego pochwę.

Dochodziła siedemnasta, a Hollis i Maya nadal nie wracali. Vicki czuła się jak Arlekin, strzegąc spoczywającego na łóżku polowym Travelera. Co kilka minut dotykała palcami jego szyi. Miał ciepłą skórę, lecz nie wyczuwała tętna.

Usiadła kilka metrów dalej i czytała stare pisma o modzie, które znalazła w szafie. Ich treść dotyczyła ubrań, makijażu, poszukiwania mężczyzn i ich tracenia, a także wiedzy na temat seksu. Vicki czuła zażenowanie, czytając niektóre artykuły, pospiesznie więc odwracała stronicę z niestosownym tekstem. Zastanawiała się, czy byłoby jej niewygodnie w obcisłych rzeczach, spod których prześwituje ciało. Hollis uznałby ją za bardziej atrakcyjną, lecz mogłaby zostać jedną z dziewczyn, które następnego ranka otrzymują zapasową szczoteczkę do zębów i przejażdżkę samochodem do domu. Wielebny Morganfield zawsze wspominał o bezwstydnym, nowoczesnych kobietach i dziwkach z poboczy dróg.

- Bezwstydnice - szepnęła. - Bezwstydnice.

Brzmienie tego słowa kojarzyło się z piórem lub wijącym się wężem.

Vicki cisnęła czasopisma do kubła na śmieci, wyszła na dwór i popatrzyła w dół wzgórza. Gdy wróciła do sypialni, skóra Gabriela była blada i zimna w dotyku. Być może Traveler wkroczył na niebezpieczny obszar. Mógł zginąć, zgładzony przez demony lub wygłodniałe duchy. Lęk przeniknął ją niczym przyciszony głos, który nabiera siły i staje się coraz donośniej szy. Gabriel słabł. Umierał. Nie potrafiła go ocalić.

Rozpięła mu koszulę, pochyliła się i przycisnęła ucho do jego klatki piersiowej. Nasłuchiwała bicia serca. Nieoczekiwanie rozbrzmiał głuchy, ciężki łomot - dźwięk docierał z zewnątrz budynku.

Oderwała się od leżącego, wybiegła za drzwi i ujrzała czarny śmigłowiec, który wylądował na płaskim skrawku ziemi przy opróżnionym basenie. Z pojazdu wyskoczyli mężczyźni w hełmach z kuloodpornymi przyłbicami i ochraniaczami na ciele. Wyglądali jak roboty.

Vicki popędziła z powrotem do sypialni. Objęła tors Gabriela i szarpnęła go w górę, lecz był dla niej zbyt ciężki. Łóżko przewróciło się na bok, musiała puścić ciało na ziemię. Jeszcze go trzymała, gdy do pokoju wpadł wysoki mężczyzna w ochraniaczach.

- Puść go! - ryknął i skierował na nią lufę karabinu.

Vicki ani drgnęła.

- Cofnij się i ręce na głowę!

Napastnik przyciskał spust, a Vicki zamarła w oczekiwaniu na kulę. Była gotowa umrzeć u boku Travelera niczym Lew Świątyni, który zginął za Isaaca T. Jonesa. Po tylu latach spłaciłaby dług.

Chwilę później do pomieszczenia wkroczył Shepherd. Wyglądał jak zawsze elegancko, z postawionymi na sztorc blond włosami, w szytym na miarę garniturze.

- Dość - zakomenderował. - Nie ma potrzeby.

Mężczyzna opuścił broń. Shepherd z aprobatą skinął głową i podszedł do Vicki tak, jakby spóźnił się na przyjęcie.

- Witaj, Vicki. Szukaliśmy cię. - Pochylił się nad ciałem Travelera, odłożył miecz i przycisnął palce do tętnicy szyjnej Gabriela. - Pan Corrigan najwyraźniej wybrał się do innego wymiaru. Nie ma sprawy. Prędzej czy później musi wrócić*

- Byłeś Arlekinem - warknęła Vicki. - To grzech pracować dla Tabulów.

- Grzech... Takie przebrzmiało słowo... Ale, rzecz jasna, wy, dziewczyny Jonesie, zawsze byłyście staroświeckie.

- Śmieć z siebie - syknęła Vicki. - Znasz takie określenie?
Shepherd posłał jej dobroliwy uśmiešek.
- Pomyśl o tej sytuacji jak o wyjątkowo zawilej grze.
Wybrałem stronę zwycięzców.

Maya i Hollis byli w odległości około sześciu kilometrów od wejścia do Arkadii, kiedy ujrzeli śmigłowiec Tabulów. Pojazd wzbił się w niebo i kołował nad kościelnym obozem niczym drapieżnik wypatrujący ofiary

Hollis zjechał z drogi i zaparkował pikapa przy kępach bielunia dziedzierzawy rosnącego obok muru- Spojrzeli między gałęziami dębu i ujrzeli znikający za wzniesieniem helikopter.

- Co teraz? - spytał Hollis.

Maya chciała walnąć pięścią w okno, kopać i wrzeszczeć, byle tylko rozładować wściekłość. Zmusiła się jednak do skumulowania emocji w zakamarku mózgu i zamknęła na klucz prowadzące do nich drzwi. Gdy była dzieckiem, Thorn kazał jej stać w kącie, a następnie udawał, że ją atakuje mieczem, nożem albo pięścią. Jeśli się uchylała lub wpadała w panikę, ojciec nie krył rozczarowania. Gdy zachowywała spokój, wychwalał jej siłę.

- Tabulowie nie zgładzą Gabriela od razu. Najpierw go przesłuchają i wyciągną z niego, co wie. Jednocześnie pozostawiają najemników w obozie kościelnym, aby dopaść każdego, kto powróci.

Hollis wyjrzał przez okno.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś się tam czai, żeby nas zabić?

- Otóż to. - Maya włożyła ciemne okulary, żeby Hollis nie mógł ujrzeć jej oczu. - Ale stanie się inaczej...

Słońce zaszło około szóstej i Maya zaczęła się wspinać na wzgórze, ku Arkadii. Przedzierała się przez gęstwinę wysuszonych krzewów. Delikatna woń opadłych liści i słodki, przenikliwy zapach dzikiego anyżu drażniły nozdrza. Miała trudności z wędrowaniem w linii prostej, czuła się tak, jakby gałęzie i pnącza chwyciły ją za nogi i usiłowały ściągnąć jej z ramion miecz w pochwie. W połowie drogi na szczyt utknęła przed gęstymi zaroślami mącznicy i karłowatych dębów, które zmusiły ją do poszukiwania łatwiejszej ścieżki.

W końcu dotarła do otaczającej obóz kościelny siatki. Chwyciła pręt na szczycie ogrodzenia i podciągnęła się. Dwa dormitoria, basen, zbiornik z wodą i sala modlitw były wyraźnie widoczne w świetle księżyca. Najemnicy Tabulów z pewnością gdzieś się zaczaili pod osłoną ciemności. Zapewne wyszli z założenia, że jedyna droga do obozu prowadzi przez podjazd na wzgórze Standardowa taktyka nakazywała, by dowódca rozmieścił ludzi w układzie trójkątnym, wokół parkingu.

Dobyła miecza i przypomniała sobie lekcje bezgłośnego skradania się, wpojone jej przez ojca. „Idź tak, jakbyś stąpała po cienkim lodzie na powierzchni jeziora: wyciągaj nogę, badaj grunt i dopiero potem przesuwaj ciężar ciała do przodu”.

Maya dotarła w pobliże zbiornika wody, gdzie ziemia była pogrążona w ciemnościach. W pewnej chwili dostrzegła kogoś klęczącego na skraju basenu: był to niski, barczysty mężczyzna uzbrojony w szturmowy karabin. Podeszła bliżej i usłyszała, jak obcy szepcze coś do mikrofonu radiosłuchawek.

- Zostało ci trochę wody? Wypiłem cały zapas. - Zamilkł na kilka sekund i dodał zirytowany. - Wszystko rozumiem, Frankie, ale w przeciwieństwie do ciebie nie wziąłem dwóch butelek.

Zrobiła krok w lewo, podbiegła i cięła mieczem przez kark mężczyzny, który padł jak zarżnięty wół. Zabiła go

bezgłośnie, mógł ją zdradzić wyłącznie szcęk upadającej na beton broni wroga. Usłyszała szepty.

- Jadą - wymamrotał ktoś z południowoafrykańskim akcentem. - Widzicie reflektory? Jadą pod górę...

Hollis wjechał pikapem na parking, stanął i wyłączył silnik. W świetle księżyca widać było jego sylwetkę za kierownicą.

- Co teraz? - rozległ się głos Amerykanina.

- Widzisz kobietę?

-Nie.

- Jeśli mężczyzna wyjdzie z wozu, zabij go. Jeżeli zostanie w środku, zaczekaj na kobietę. Boone kazał od razu ją zastrzelić.

- Widzę tylko mężczyznę - oświadczył Amerykanin. - A ty, Richardzie?

Zapadła cisza, pytanie najwyraźniej skierowano do trupa.

Hollis został w wozie, odwracając uwagę mężczyzn od prawdziwego zagrożenia. Maya dostrzegła kolejnego z Tabulów w drugim rogu trójkąta. Klęczał przy sali zebrań, celując z karabinu snajperskiego w samochód. Maya bezszelestnie stąpała po twardej ziemi, lecz najwyraźniej wyczuł jej obecność, bo odwrócił się lekko. W tej samej chwili ostrze miecza przecięło mu bok gardła. Z tętnicy chlusnęła krew, a mężczyzna cicho się osunął.

- Chyba wysiada z samochodu - zauważył Afrykaner. - Richard? Frankie? Słyszycie mnie?

Maya błyskawicznie oceniła sytuację i pobiegła do dormitorium kobiet. Nie pomyliła się - mężczyzna stał za rogiem budynku. Ogarnęło go przerażenie, głośno mówił do mikrofonu.

- Słyszycie mnie? - powtarzał. - Zastrzelcie mężczyznę w samochodzie!

Wyłoniła się z mroku i cięła go przez prawe ramię. Afrykaner upuścił karabin, a wtedy zaatakowała ponownie, tnąc ścięgna pod lewym kolaniem. Padł, rycząc z bólu.

Praktycznie wykonała zadanie. Stanęła nad rannym i machnęła mieczem.

- Gdzie więźniowie? - warknęła. - Dokąd ich zabraliście?

Najemnik usiłował uciec, kuśtykając, ale jednym celnym cięciem unieruchomiła mu też prawą nogę. Leżał teraz na brzuchu, próbując pełznąć niczym dogorywające zwierzę, palcami rył miękką ziemię.

- Gdzie oni są?

- Zabrali ich na lotnisko Van Nuys i umieścili na pokładzie ... - jęknął, a jego ciało przeszły konwulsje - .. prywatnego odrzutowca.

- Dokąd polecieci?

- Do Westchester County niedaleko Nowego Jorku. Do ośrodka badawczego fundacji Evergreen - przetoczył się na plecy i uniósł ręce. - Przysięgam, to szczerza prawda. Są w fundacji Evergreen...

W mroku śmignęło ostrze jej miecza.

Światła furgonetki omiatały drogę, kiedy Hollis zjeżdżał w dół wzgórza, opuszczając kościelny obóz.

Maya siedziała oparta o drzwi z arlekińskim mieczem na kolanach. Odkąd przyjechała do Ameryki, walczyła lub uciekała, ale teraz zawiodła na całej linii. W tej chwili 'Gabriel i Vicki siedzieli pojmani w prywatnym odrzutowcu i podążali na wschodnie wybrzeże. W rękach Tabulów znaleźli się obaj Travelerzy.

- Musimy zaatakować ośrodek badawczy fundacji Evergreen - powiedziała. - Jedź na lotnisko, złapiemy samolot do Nowego Jorku.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Hollis. - Nie mam fałszywego dowodu osobistego, poza tym trudno będzie nam wejść z bronią na pokład. To ty przecież mówiłaś mi o Rozległej Sieci. Tabulowie weszli prawdopodobnie do każdego systemu policyjnego w Stanach i umieścili nasze podobizny w rubryce „poszukiwani”.

- Możemy pojechać pociągiem?

- Ameryka nie dysponuje systemami szybkich kolei, takimi jakie ma Europa czy Japonia. Podróż tym środkiem lokomocji potrwałaby cztery lub pięć dni.

Maya dała się ponieść złości, podnosząc głos.

- Co więc twoim zdaniem mamy robić, Hollis? Musimy zareagować jak najszybciej!

- Pojedziemy w poprzek Ameryki. Już to kiedyś robiłem. Droga zabiera siedemdziesiąt dwie godziny.

- To za długo.

- Załóżmy, że magiczny latający dywan zabrałby nas prosto do centrum badawczego. Wciąż musimy obmyślić jakiś skuteczny sposób dostania się do środka - uśmiechnął się do Arlekina, starając się okazywać optymizm. - Żeby przejechać Amerykę, potrzeba dużo kofeiny, benzyny oraz trochę dobrej muzyki. Gdy będziemy w drodze, będziesz miała trzy dni na opracowanie planu.

Maya wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w przednią szybę, potem lekko skinęła głową. Zmartwiło ją to, że emocje mogły wywierać wpływ na podejmowane przez nią decyzje. Instruktor sztuk walki miał rację, myślał niczym rasowy Arlekin.

Na siedzeniu między nimi leżały kartonowe pudełka po butach wypełnione płytami CD z muzyką. W furgonecie były dwa spore głośniki, a także dwa odtwarzacze płyt kompaktowych zamontowane na szczycie kolumn głośnikowych. Kiedy skręcili na autostradę, Hollis włożył płytę do jednego z nich i nacisnął klawisz „play”. Maya spodziewała się usłyszeć house music z silnym rytmem, ale zamiast tego do jej uszu dotarły delikatne dźwięki strun gitary cygańskiego wirtuoza tego instrumentu - Django Reinhardta - grającego szlagier *Sweet Georgia Brown*.

Hollis odnalazł ukryte więzi między jazzem, rapem, muzyką klasyczną i muzyką z całego świata. Gdy mknęli przed siebie, lewą dłoń trzymał na kierownicy, a prawą grzebał w pudełkach, szukając pożądanej płyty. Komponował swoisty *soundtrack* ich dalekiej podróży, łącząc ze sobą utwory bez schematu. Po saksofonowym solo Charliego „Birda” Parkera, rozlegały się głosy cerkiewnego chóru mnichów z Rosji, którzy ustępowali miejsca Marii Callas, operowej diwie śpiewającej arie z *Madame Butterfly*.

Pustynie i górskie pasma pozostające w zachodniej części kraju zdawały się sunąć do tyłu niczym piękny sen o swobodzie i wolności. Rzeczywistość nie stanowiła części krajobrazu Ameryki, jedynym elementem, w którym dało

się ją odnaleźć, były potężne ciężarówki mknące autostradą, przewożące benzynę, drewniane płyty czy też setkę przestraszonych świniaków, wystawiających ryje przez szczeliny w ścianach kontenera.

Przez większość trasy Hollis prowadził wóz, a Maya rozłożyła się na siedzeniu pasażera. Posługiwała się telefonem komórkowym albo laptopem. Znalazła Lindena w pokoju czatów i wyjaśniła, używając ogólnikowych sformułowań, aktualną sytuację. Francuski Arlekin nawiązał kontakt z nowymi wspólnotami powstającymi w Ameryce, Europie i Azji - rekrutującymi się w głównej mierze z ludzi sprzeciwiających się nadzorowi Rozległej Sieci. Jedną z tych grup urządzała czaty na buntowniczej witrynie internetowej o nazwie Stuttgart Social Club. Chociaż żaden z hakerów tak naprawdę nie mieszkał w tym niemieckim mieście, klub stanowił ochronę ich tożsamości i umożliwiał natychmiastowy kontakt. Linden powiadomił członków klubu o pilnej potrzebie zdobycia informacji na temat centrum badawczego fundacji Evergreen z siedzibą w Purchase w stanie Nowy Jork.

Na początek ludzie ze Stuttgart Social Club przesłali jej zebrane przez siebie artykuły prasowe na temat fundacji Evergreen. Po kilku godzinach członkowie klubu zaczęli włamywać się do korporacyjnych i rządowych baz danych. Hiszpański haker o imieniu Hercules dostał się do komputerów firmy architektonicznej, która zaprojektowała budynki kompleksu badawczego, a na ekranie przenośnego komputera Mai zaczęły się pojawiać tajne kopie planów budowlanych.

- To duży kompleks w podmiejskiej okolicy - oznajmiła wojowniczo, przeglądając informacje na ekranie komputera. - Są tam cztery duże budynki ulokowane wokół czworokątnego dziedzińca. Pośrodku znajduje się piąta budowla bez okien.

- Jak mają się sprawy z zabezpieczeniami? - zapytał Hollis.

- Przypomina to nowoczesne zamczysko. Zewnętrzny mur ma ponad trzy metry. Do tego kamery monitorujące.

- Mamy pewną przewagę. Założę się, że Tabulowie w swojej pysze i zadufaniu nie spodziewają się ataku z naszej strony. Czy jest jakiś sposób, aby dostać się tam, nie uruchamiając przy okazji wszystkich systemów alarmowych?

- Budynek przeznaczony na laboratoria genetyczne ma cztery kondygnacje pod ziemią. Są tam rury wodne, kable elektryczne i przewody wentylacyjne prowadzące wzdłuż części podziemnych tuneli. Jeden z węzłów konserwacyjnych systemu wentylacji ma wyjście dwa metry poza murem.

- Brzmi obiecująco.

- Będą nam potrzebne narzędzia, żeby się tam dostać.

Hollis wsunął nową płytę do odtwarzacza i z głośników zamontowanych w drzwiach dobiegła taneczna muzyka kapeli o nazwie Funkadelic.

- *No probierni* - wykrzyknął.

Dźwięki muzyki niesły ich naprzód przez imponujący krajobraz.

Dochodziła północ, gdy ciało Gabriela zostało przewiezione do ośrodka badawczego. Strażnik zapukał do drzwi pokoju doktora Richardsona w budynku administracyjnym i kazał mu się ubrać. Neurolog wsunął stetoskop do kieszeni płaszcza i udał się pod eskortą do centralnej części kompleksu. Była wprawdzie zimna, jesienna noc, ale niebo było czyste. Oświetlony od wewnątrz grobowiec zdawał się unosić w ciemności niczym potężny sześcienny blok.

Zbliżając się do bramy wjazdowej, doktor Richardson i strażnik natknęli się na prywatną karetkę i czarną osobową furgonetkę. Ruszyli za konwojem niczym dwaj żałobnicy za konduktem pogrzebowym. Kiedy samochody podjechały pod budynek, w którym mieściły się laboratoria genetyczne, z furgonetki wysiedli dwaj pracownicy fundacji i ciemnoskóra kobieta. Młodszy z mężczyzn powiedział, że nazywa się Dennis Prichett. Był odpowiedzialny za transport i zamierzał jak najlepiej wszystkiego dopilnować. Starszy był ostrzyżony na jeża, a na jego twarzy malowało się senne rozleniwienie. Prichett mówił do niego *per* Shepherd, jakby to było równocześnie jego imię i nazwisko. Z lewego ramienia Shepherdza niedbale zwisała czarna metalowa rura. Niósł też japoński miecz.

Młoda czarnoskóra kobieta przyglądała się Richardsonowi, ale on unikał jej wzroku. Czuł, że jest ona kimś w rodzaju więźnia, ale nie mógł jej ocalić. Gdyby szepnęła: „Proszę, pomóż mi”, musiałby przyznać, że sam nie przebywa tu z własnej woli i że jest tchórzem.

Prichett otworzył drzwi z tyłu ambulansu. Richardson zobaczył, że Gabriel Corrigan jest przypięty do noszy grubymi, płóciennymi pasami, jakich używa się zwykle do krępowania agresywnych pacjentów w izbach przyjęć. Był nieprzytomny. Kiedy wyciągano z karetki nosze na wózek, jego głowa kołysała się bezwładnie na boki.

Młoda kobieta usiłowała podejść do Gabriela, ale Shepherd chwycił ją mocno za ramię i przytrzymał.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Musimy wwieźć go do środka.

Popchnęli wózek w kierunku budynku z laboratoriami genetycznymi i zatrzymali się. Nikt z nich nie miał upoważnienia, aby samowolnie do niego wejść. Prichett musiał zadzwonić do ochrony ze swojego telefonu komórkowego, a cała grupka sterczała na zimnie. W końcu technik siedzący przy komputerze w Londynie udzielił autoryzacji na wejście do budynku za okazaniem posiadanych przez nich identyfikatorów. Prichett wszedł do środka, pchając wózek, a pozostali ruszyli za nim.

Odkąd Richardson przypadkiem przeczytał raport z laboratorium na temat hybryd zwierzęcych, był ciekaw, jak wygląda wnętrze budynku, w którym przeprowadza się ściśle tajne badania genetyczne. Laboratoria na parterze nie wyróżniały się niczym szczególnym. Światłówki na sufitach. Lodówki i stoły laboratoryjne. Mikroskop elektronowy. W budynku pachniało jak w schronisku dla psów, ale Richardson nie dostrzegł żadnych zwierząt laboratoryjnych, a już na pewno nie zauważył niczego, co można by nazwać „sklejką”. Shepherd poprowadził młodą kobietę w głąb korytarza, natomiast wózek z Gabrielem ulokowano w pustym pokoju.

Prichett stanął obok ciała Gabriela.

- Uważamy, że pan Corrigan przedostał się do świata równoległego. Generał Nash chciałby się dowiedzieć, czy odniósł jakieś fizyczne obrażenia, czy też nie.

- Ale ja mam tylko stetoskop.

- Niech pan zrobi, co się da, byle szybko. Nash będzie tu za kilka minut.

Richardson dotknął opuszkami palców szyi Gabriela w poszukiwaniu tętna. Nic. Ołówkiem wyjętym z kieszeni marynarki dźgnął podszewę stopy młodego mężczyzny, czym wywołał odruchową reakcję mięśni. Obserwowany przez Prichetta, rozpiął koszulę Travelera i przyłożył stetoskop do jego piersi. Dziesięć sekund. Dwadzieścia. I wreszcie jeden oddech.

Na korytarzu za drzwiami rozległy się głosy. Richardson odsunął się od ciała, kiedy Michael, Nash i ochroniarz generala pospiesznie weszli do pokoju.

- No i jak? - spytał Nash. - Wszystko z nim w porządku?

- Żyje. Nie wiem, czy doszło do jakichś uszkodzeń neurologicznych.

Michael podszedł do wózka i dotknął twarzy brata.

- Gabe jest jeszcze ciągle w Drugim Wymiarze i szuka drogi powrotnej. Ja już znalazłem przejście, ale mu o tym nie powiedziałem.

- To była mądra decyzja - powiedział Nash.

- Gdzie talizman mojego brata? Japoński miecz?

Shepherd wyglądał tak, jakby ktoś zarzucił mu kradzież. Podał miecz Michaelowi, a ten położył go na piersi brata.

- Nie możecie przez cały czas trzymać go skrupowatego - oburzył się Richardson. - Dojdzie do owrzodzeń skóry, jak u pacjentów z uszkodzeniem rdzenia kręgowego. Jego mięśnie zaczną się degenerować.

General Nash wydawał się zirytowany tym, że ktoś wygłasza krytyczne uwagi.

- Nie martwiłbym się o to, doktorze. Pacjent pozostanie pod kontrolą, dopóki nie zmienimy jego przekonania.

Następnego ranka w laboratorium neurologicznym urządzonym w piwnicy biblioteki Richardson starał się schodzić wszystkim z oczu. Swego czasu otrzymał prawo dostępu do rozgrywek *on-line* w szachy na komputerze centrum badawczego i gra go zafascynowała. Jego czarne figury oraz białe, którymi grał komputer, były małymi, animowanymi postaciami z twarzami, rękoma i nogami. Kiedy gońcy nie poruszali się po szachownicy, czytali brewiarze, a rycerze-skoczki starali się okiełznać swoje maleńkie koniki. Znudzone piony bez przerwy ziewały, drapały się i zapadały w drzemkę.

Kiedy Richardson przyzwyczał się już do tego, że figury są ożywione, przeszedł na tak zwany Drugi Poziom Interaktywny. Na tym poziomie szachy obrzucały się nawzajem obelgami albo udzielały Richardsonowi wskazówek. Kiedy przesunął figurę w złym kierunku, ta sprzeczała się z nim na temat strategii, a w końcu niechętnie przechodziła na następne pole. Na Trzecim Poziomie Interaktywnym Richardson nie musiał już nic robić. Szachy poruszały się samodzielnie, a silniejsze figury zabijały słabsze, okładając je laskami lub dźgając mieczami.

- Ciężko pan pracuje, doktorze?

Richardson obejrzał się i zobaczył stojącego w drzwiach Nathana Boonea.

- Rozgrywam tylko partyjkę szachów z komputerem.

- To dobrze - powiedział Boone i podszedł do stołu laboratoryjnego. - Wszyscy powinniśmy ciągle stawiać przed sobą nowe wyzwania. To pobudza umysł do pracy

Usiadł po drugiej stronie stołu. Każdy, kto zajrzałby do pokoju, mógłby pomyśleć, że oto dwaj koledzy omawiają jakieś zagadnienie naukowe.

- Jak pan się miewa, doktorze? Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy.

Richardson spojrział na ekran komputera. Małe figurki dyskutowały między sobą, czekając na sygnał do ataku. Neurolog zastanawiał się, czy ludziki na szachownicy wierzą, żasą prawdziwe. Pewnie modliły się, marzyły i cieszyły się ze swoich małych zwycięstw, nie zdając sobie sprawy, że to on o wszystkim decyduje.

- Ja... Chciałbym wrócić do domu.

- Rozumiemy to - Boone uśmiechnął się życzliwie. - W końcu będzie pan mógł wrócić do swojej sali wykłado-
wej, ale w tej chwili jest pan ważnym członkiem naszego zespołu. Powiedziano mi, że był pan tu wczoraj w nocy, kiedy przywieziono Gabriela Corrigana.

- Tylko pobieżnie go zbadałem. To wszystko. Jeszcze żyje.

- No właśnie. Jest tutaj, żyje i teraz my musimy się nim zająć. Mamy do czynienia z problemem jedynym w swoim rodzaju: jak utrzymać Travelera w zamknięciu? Zdaniem Michaela, jeżeli jego brat będzie całkowicie unieruchomiony, wówczas nie zdoła się wydostać ze swojego ciała. Może to jednak wywołać problemy natury fizycznej.

- Właśnie. To samo powiedziałem generałowi Nashowi.

Boone pochylił się nad stołem i klepnął w jeden z klawiszy laptopa. Szachownica z zaludniającymi ją postaciami zniknęła.

- Od pięciu lat fundacja Evergreen sponsoruje badania nad procesami neurologicznymi, które towarzyszą odczuwaniu bólu. Jak pan zapewne wie, ból to dosyć złożone zjawisko...

- Bodźce bólowe są odbierane przez różne obszary w mózgu i biegną równoległymi ścieżkami neuronowymi - powiedział Richardson. - Dzięki temu nawet jeżeli jakaś część mózgu jest uszkodzona i tak możemy reagować na urazy.

- W rzeczy samej, doktorze. Ale nasi naukowcy odkryli, że do pięciu rejonów mózgu, z których najważniejsze to mózdzek i wzgórze wzrokowe, można wprowadzić prze-

wody Proszę spojrzeć... - Boone wyjął z kieszeni płytę DVD i umieścił ją w komputerze Richardsona. - To zostało sfilmowane mniej więcej rok temu w Korei Północnej.

Na ekranie komputera pojawił się brązowawożółty reżysier siedzący w klatce. Z jego czaszki wystawały przewody. Były podłączone do przekaźnika radiowego przymocowanego do ciała zwierzątka.

- Widzi pan? Temu egzemplarzowi nikt nie zadaje ran ani nie przypala mu skóry Wystarczy tylko nacisnąć guzik i...

Małpka wrzasnęła i upadła z wyrazem ogromnego cierpienia na pyszczku. Leżała na podłodze klatki, drżąc i kwiląc cichutko.

- Widzi pan, co się dzieje? Nie ma żadnego fizycznego urazu, ale układ nerwowy zostaje dosłownie zmiażdżony przez potężny bodziec.

- Dlaczego pan mi to pokazuje? - z trudem wykrztusił Richardson.

- Czy to nie oczywiste, doktorze? Chcemy, żeby pan wprowadził przewody do mózgu Gabriela. Kiedy powróci ze swojej podróży, krępujące go pasy zostaną usunięte. Będziemy go dobrze traktować i postaramy się zmienić jego buntownicze poglądy na pewne sprawy. Ale kiedy tylko spróbuje nas opuścić, ktoś naciśnie guzik, a wtedy...

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Richardson. - To są tortury.

- To nie jest właściwe słowo. My tylko zadbamy o to, by pewnym negatywnym wyborom towarzyszyły natychmiastowe konsekwencje.

- Jestem lekarzem. Uczono mnie, jak leczyć ludzi. A to... To jest złe.

- Naprawdę musi pan popracować nad słownictwem, doktorze. Procedura nie jest złem. Ona jest koniecznością.

Nathan Boone wstał i podszedł do drzwi.

- Proszę się zapoznać z materiałem na płycie. Za kilka dni prześlemy panu więcej danych.

Raz jeszcze się uśmiechnął, po czym zniknął w głębi korytarza.

Doktor Richardson czuł się jak człowiek, który właśnie się dowiedział, że w jego ciele wykryto raka, a niszczycielskie komórki rozprzestrzeniają się w jego krwi i kościach. Wszystko dlatego, że z powodu strachu i ambicji ignorował wszelkie symptomy, a teraz jest już za późno.

Siedząc w laboratorium, oglądał na ekranie komputera kolejne małpy. *Powinny uwolnić się z klatek, myślał. Powinny uciec i się schować.* Ale rozkaz został wydany, ktoś nacisnął guzik, a one musiały być posłuszne.

Włamywanie się do budynków było uważane za pomniejszą, choć ważną umiejętność Arlekinów. Kiedy Maya była nastolatką, Linden poświęcił trzy dni na nauczenie jej wszystkiego o zamkach, zabezpieczeniach i systemach alarmowych. Na zakończenie tego nieformalnego szkolenia francuski Arlekin pomógł jej włamać się do budynku uniwersytetu londyńskiego. Wędrowali po pustych korytarzach i wsunęli pocztówkę do czarnego surduta okrywającego doczesne szczątki Jeremyego Benthama.

Na elektronicznym planie ośrodka badawczego był widoczny kanał wentylacyjny biegnący pod *ziemią* do piwnic budynku, w którym prowadzono badania genetyczne. W różnych miejscach architekt umieścił na planie małe litery PDR, które oznaczały działające w podczerwieni pasywne detektory ruchu. Z tym konkretnym problemem można było sobie poradzić, ale Maya obawiała się, że jeszcze jakieś dodatkowe urządzenia zabezpieczające zostały zainstalowane później.

Hollis zatrzymał się przed centrum handlowym na zachód od Filadelfii. W sklepie z artykułami sportowymi kupił sprzęt do wspinaczki, a w magazynie z wyposażeniem medycznym mały pojemnik z płynnym azotem. W pobliżu centrum handlowego znajdował się sklep z narzędziami,

w którym spędzili godzinę, chodząc w tę i z powrotem między długimi regałami. Maya wrzuciła do wózka młotek i dłuto, latarkę, łom, mały propanowy palnik i przecinak. Miała wrażenie, że wszyscy ich obserwują, ale Hollis pozartował z młodą kasjerką i wyszli ze sklepu przez nikogo nie zatrzymywani.

Późnym popołudniem dotarli do Nowego Jorku. Było to miasto ludzi bogatych, z wielkimi domami, prywatnymi szkołami dziennymi i centralami korporacji stojącymi w otoczeniu malowniczych parków. Maya stwierdziła, że to idealne miejsce na wzniesienie tajnego ośrodka badawczego. Kompleks znajdował się w pobliżu Nowego Jorku i miejscowych lotnisk, a równocześnie Tabulowie mogli bez trudu ukrywać swoją działalność za kamiennym murem.

Zameldowali się w motelu i Maya przespała kilka godzin z mieczem u boku. Kiedy się obudziła, zobaczyła, że Hollis goli się w łazience.

- Gotów do akcji? - spytała.

Hollis włożył czystą koszulę, a następnie zajął się swoimi dredami.

- Daj mi kilka minut - powiedział. - Mężczyzna powinien dobrze się prezentować przed walką.

Około dziesiątej wieczorem wyjechali z motelu, minęli Old Oaks Country Club i skręcili na północ w drogę dwupasmową. Bez trudu znaleźli ośrodek badawczy. Na murze były zamontowane silne lampy sodowe, a w budce przy bramie siedział strażnik. Hollis bez przerwy zerkał we wsteczne lustro, ale nikt za nimi nie jechał. Przejechawszy jeszcze mniej więcej półtora kilometra, skręcił w boczną drogę na północ i zaparkował na poboczu, w pobliżu sadu jabłoni. Jabłka zebrano już wiele tygodni temu i teraz ziemię zaścierał dywan opadłych liści.

W samochodzie było bardzo cicho. Maya zdała sobie sprawę, jak bardzo przywykła do muzyki dobiegającej z głośników - to ona podtrzymywała ich na duchu podczas podróży

- To będzie trudne - powiedział Hollis. - Jestem pewien, że na terenie ośrodka jest mnóstwo strażników.

- Nie musisz tam iść.

- Wiem, że robisz to dla Gabriela, ale musimy też uratować Vicki - Hollis popatrzył przez przednią szybę na nocne niebo. - Ona jest mądra i dzielna, i staje w obronie słusznej sprawy. Każdy mężczyzna czułby się szczęściarzem, gdyby mógł stać się częścią jej życia.

- Wygląda na to, że sam chciałbyś być tym mężczyzną.

Hollis się roześmiał.

- Gdybym był szczęściarzem, nie siedziałbym teraz w poobijanym pikapie z Arlekinem. Wy macie zdecydowanie za dużo wrogów.

Wysiedli z samochodu i zaczęli się przedzierać przez gęstwinę dębów błotnych i zarośli jeżyn. Maya niosła swój miecz i strzelbę. Hollis zabrał ze sobą karabin półautomatyczny i płócienną torbę z narzędziami. Kiedy wyszli spośród drzew w pobliżu północnej strony muru otaczającego ośrodek, znaleźli wylot szybu wentylacyjnego. Otwór był zabezpieczony ciężką, stalową kratą.

Hollis najpierw przeciął bolce dwóch kłódek, a później podważył kratę łomem. Poświecił do środka latarką, ale jej promień sięgał zaledwie trzy metry w głąb szybu. Maya poczuła na skórze podmuch ciepłego powietrza.

- Według planu kanał prowadzi wprost do piwnicy - powiedziała. - Nie wiem, czy jest dość szeroki, żeby można się w nim było swobodnie poruszać, dlatego zejść pierwsza.

- Skąd będę wiedział, że wszystko z tobą w porządku?

- Spuszczając mnie w dół, luzuj po metrze liny na raz. Jeśli pociągnę za nią dwa razy, to będzie znaczyć, że możesz popuścić jeszcze trochę.

Maya zakładała uprzęż wspinaczkową, a Hollis mocował do brzegu kraty karabińczyk i bloczek z liną. Kiedy wszystko zostało sprawdzone, wojowniczką zeszła do szybu wentylacyjnego z kilkoma narzędziami schowanymi za pa-

zucha. W stalowym kanale było ciemno, gorąco i starczyło w nim miejsca tylko dla jednej osoby. Czuła się tak, jakby opuszczano ją w głąb jaskini.

Mniej więcej po dwunastu metrach Maya dotarła do miejsca, w którym szyb rozdzielał się na dwa kanały biegnące w przeciwnych kierunkach. Wisząc głową w dół, wyciągnęła młotek i dłuto i przygotowała się do przebicia blaszanej rury. Kiedy ostrze dłuta uderzyło w metal, dźwięk odbił się wokół niej głośnym echem. Pot spływał jej po twarzy, gdy raz za razem uderzała młotkiem. Nagle dłuto przebiło stal i pojawiła się cienka smuga światła. Maya wycięła otwór i odgięła brzegi blachy. Pociągnęła za linę dwa razy i Hollis opuścił ją do podziemnego tunelu o betonowej podłodze i ścianach z bloczków żużlowych. Wzdłuż ścian biegły rury wodociągowe, kable energetyczne i przewody wentylacyjne. Jedyne źródło światła stanowiły rozmieszczone co sześć metrów świetlówki.

Wciągnięcie liny i opuszczenie jej plecaka z narzędziami zajęło dziesięć minut. Po następnych pięciu minutach Hollis stanął obok Mai.

- Jak się dostaniemy na górę? - zapytał.

- W północnym narożniku budynku jest klatka schodowa prowadząca do wyjścia awaryjnego. Musimy ją znaleźć, nie włączając po drodze alarmu.

Poszli w głąb tunelu i zatrzymali się przy pierwszych otwartych drzwiach. Maya wyjęła małe lusterko i trzymając je pod kątem, sprawdziła, co jest za framugą. Po drugiej stronie znajdowało się białe, plastikowe pudełeczko z wklęsłą soczewką rozpraszającą.

- Według tego, co było widać na planie, używają detektorów ruchu wrażliwych na ciepło emitowane przez obiekty. Alarm włącza się, kiedy jego poziom przekroczy pewną wartość.

- To dlatego wzięliśmy ze sobą azot?

- Właśnie.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła zbiornik z ciekłym azotem. Wyglądał jak termos z dyszą. Ostrożnie wysunęła rękę za framugę i spryskała detektor. Kiedy pokrył się białym szronem, ruszyli dalej.

Inżynierowie, którzy budowali podziemną część ośrodka, namalowali na ścianach numery sektorów, ale Maya nie rozumiała tych oznaczeń. W pewnych odcinkach tunelu słyszeli monotony, mechaniczny pomruk, który brzmiał jak odgłos pracującej turbiny parowej, ale nie udało im się zobaczyć maszyn. Mniej więcej po dziesięciu minutach doszli do rozwidlenia. Dwa korytarze wiodły w przeciwnych kierunkach, a nigdzie nie było znaku, który wskazywałby ten właściwy. Maya wyjęła z kieszeni generator liczb losowych. *Nieparzysta oznacza, że idziemy w prawo*, postanowiła i nacisnęła guzik. Pojawiło się 3531.

- Chodźmy w prawo - powiedziała do Hollisa.

- Dlaczego?

- Bez żadnego powodu.

- Tunel po lewej wygląda na szerszy. Uważam, że powinniśmy pójść tamtędy.

Poszli w lewo i przez dziesięć minut zaglądali do pustych pomieszczeń magazynowych. Za którymś z przejść tunel kończył się ślepo. Kiedy zawrócili, znaleźli lutnię Arlekinów, którą Maya wydrapała nożem na ścianie.

Hollis był zirytowany.

- To wcale nie znaczy, że twoja maszynka z numerkami dokonała właściwego wyboru. Daj spokój, Mayu. Liczba nic nie znaczy.

- Ta znaczy, że mamy iść w prawo.

Weszli do drugiej odnogi tunelu i unieszkodliwili następnego detektor ruchu. Nagle Hollis zatrzymał się i wskazał palcem na coś u góry. Do sufitu przyklejone było srebrne pudełeczko.

- Czy to detektor ruchu?

Maya pokręciła głową. *Me. Bądź cicho.*

- Powiedz tylko, co to jest.

Chwyciła go za ramię i pobiegli korytarzem. Pchnąwszy stalowe drzwi, weszli do pełnego filarów pomieszczenia wielkości boiska piłkarskiego.

- Co się dzieje do diabła?

- To był ich dodatkowy system zabezpieczający. Drugi detektor. Prawdopodobnie współpracuje z programem komputerowym o nazwie „Echo”. Komputer odfiltruje mechaniczne odgłosy i reaguje na dźwięk ludzkiego głosu.

- W takim razie wiedzą, że tu jesteśmy?

Maya zdjęła wieko z futerału, w którym trzymała miecz.

- Alarm zadziałał prawdopodobnie jakieś dwadzieścia minut temu. Ruszaj się, musimy znaleźć klatkę schodową.

W pomieszczeniu było tylko pięć źródeł światła: po jednej żarówce w każdym z odległych narożników i piąta żarówka na środku sufitu. Idąc powoli między filarami, kierowali się ku tej pośrodku. Betonowa podłoga była brudna, a powietrze gorące i stęchłe.

Światła zamrugały, po czym zgasły. Kilka sekund stali w kompletnych ciemnościach, dopóki Hollis nie zapalił ich jedynej latarki. Był spięty i gotów do walki.

Usłyszeli zgrzyt i skrzypienie, jakby otwieranych siłą drzwi. Cisza. Potem drzwi zamknęły się z głębokim „bum”. Maya czuła mrowienie w czubkach palców. Dotknęła ramienia Hollisa - *Nie ruszaj się* - i wtedy usłyszeli szybkie poszczekiwanie, które brzmiało jak śmiech.

Hollis skierował światło latarki między dwa szeregi filarów. Dostrzegli coś przemykającego w mroku.

- Sklejki - powiedział. - Wypuścili je tu, żeby nas zabiły.

Maya sięgnęła do plecaka po palnik. Zesztywniałymi dłońmi niezgrabnie odkręciła stalowy zawór i podpaliła gaz zapalniczką. Błękitny płomień wydostawał się z dyszy z miękkim sykiem. Podniosła palnik i zrobiła kilka kroków do przodu.

Ciemne kształty przemykały między filarami. Znowu krótki chichot. Zmodyfikowane genetycznie bestie zmieniły pozycje, okrążyły ich. Maya i Hollis stali w małym kręgu światła zwróceniem plecami do siebie.

- One nie umierają łatwo - powiedział Hollis. - A jeśli kogoś postrzelisz, rana natychmiast się goi.

- Celować w łeb?

- Jeśli dasz radę. Będą atakować, dopóki nie zostaną całkowicie unicestwione.

Maya rozejrzała się dookoła i dostrzegła stadko hien w odległości jakichś piętnastu metrów. Było ich osiem, może dziesięć, i poruszały się bardzo szybko. Żółtawe futro w czarne łaty. Tępo zakończone, ciemne pyski.

Jedno ze zwierząt wydało wysoki, chichoczący dźwięk. Grupka się rozbiegła, rozproszyła między filarami i zaatakowała z obu stron naraz. Maya postawiła palnik na podłodze przed sobą i przeładowała strzelbę. Odczekała, aż zwierzęta podejną na odległość trzech metrów, i dopiero wtedy strzeliła do tego, które biegło pierwsze. Śrut trafił je w klatkę piersiową, a impet strzału odrzucił do tyłu, ale pozostałe nie zawróciły. Hollis stał tuż obok, strzelając ze swojego karabinu do drugiej grupy atakujących.

Naciskała spust raz po raz, aż wystrzeliła wszystkie naboje. Odrzuciwszy strzelbę, wyciągnęła miecz i skierowała go przed siebie niczym lancę. Bestia, która właśnie wyskoczyła w powietrze, nadziała się na ostrze. Jego ciężkie cielsko upadło tuż przed nią. Desperacko wyszarpnęła klingę i zaczęła nią wymachiwać, zadając krótkie cięcia dwóm innym zwierzętom, które zaatakowały ją równocześnie. Piszczwały i skowyczały, kiedy miecz przecinał ich grubą skórę.

Maya zerknęła za siebie i zobaczyła, że Hollis, za którym podążają trzy krwiożercze bestie, oddala się od niej biegiem, próbując równocześnie zmienić magazynek. Odwrócił się, rzucił latarkę, zamierzył się kolbą na pierwsze z atakujących go zwierząt i zważył je z nóg. Dwa pozostałe skoczyły na niego, przewracając go na plecy, prosto w mrok.

Maya lewą ręką podniosła palnik, a prawą chwyciła miecz. Ruszyła biegiem w kierunku Hollisa, który tymczasem próbował zrzucić z siebie dwa zwierzaki. Szybkim zamachem klingi odrąbała głowę jednej bestii, a drugą dźgnęła w brzuch. Kurtka Hollisa była w strzępach, a twarz cała we krwi.

- Wstawaj! - krzyknęła. - Musisz wstać!

Latarka zgasła, ale z palnika wciąż wydobywał się płomień. Hollis pozbiierał się z podłogi, znalazł pełny magazynek i załadował karabin. Ranny zwierz próbował odczołgać się na bok, ale Maya tylko zamachnęła się mieczem jak kat. Ramiona jej drżały, kiedy stała nad martwym ciałem. Pysk zwierzęcia był otwarty i mogła w nim dojrzeć zęby.

- Przygotuj się - rzucił Hollis. - Znowu nadchodzą. Podniósł karabin i zaczął półgłosem odmawiać modlitwę Proroka Jonesa:

- Modlę się do Boga całym sercem. Niechaj Jego Światło uchroni mnie od zła, które...

Szczekliwy śmiech rozległ się za nimi i w jednej chwili zostali zaatakowani z trzech stron. Maya walczyła mieczem, dźgając i tnąc usiłując osiągnąć ją zęby i pazury, czerwone jęzory i dzikie oczy płonące nienawiścią. Hollis początkowo oddawał pojedyncze strzały, próbując oszczędzać amunicję, później jednak przeszedł na ogień ciągły. Hieny nie przestawały atakować, dopóki ostatnie zwierzę nie zbliżyło się do Mai. Podniosła miecz, gotowa, by zadać cios, ale Hollis stanął przed nią i strzelił bestii w łeb.

Stali ramie w ramie, otoczeni przez śmierć. Maya czuła się wewnętrznie odrętwiała, przytłoczona furią ataku.

- W porządku? - głos Hollisa był ochryply i pełen zmęczenia.

Maya odwróciła ku niemu twarz.

- Tak myślę. A co z tobą?

- Jeden z nich chlasnął mnie przez bark, ale jeszcze mogę ruszać ramieniem. Chodź. Musimy się stąd zabierać.

Maya wsunęła miecz z powrotem do futerału. Trzymając strzelbę w jednej ręce, skierowała się ku położonej dalej ścianie podziemnego pomieszczenia. Odnalezienie stalowych drzwi zabezpieczonych czujnikami elektromagnetycznymi zajęło im tylko kilka minut. Połączono je kablem ze skrzynką, którą Hollis natychmiast otworzył. W środku znajdowała się płatanina przewodów i przełączników, ale na szczęście były różnokolorowe. To ułatwiało sprawę.

- Już wiemy, że jesteśmy w budynku - wyjaśniała Maya. - Nie chcę, żeby się zorientowali, że dotarliśmy do klatki schodowej.

- Który drucik przecinamy?

- Nigdy niczego nie przecinaj. To włącza alarm.

„Nigdy nie unikaj podejmowania trudnych decyzji”, powiedział jej kiedyś ojciec. „Tylko głupcy uważają, że mogą być pewni słuszności dokonanego wyboru”. Maya uznała, że prąd płynie w czerwonych przewodach. Palnikiem stopiła plastikowe osłonki na każdej parze czerwonych kabli, a następnie połączyła je ze sobą za pomocą metalowych „krokodylków”.

- Czy to zadziała?

- Może i nie.

- Czy będą tam na nas czekać?

- Pewnie tak.

- Cóż, to brzmi obiecująco.

Hollis uśmiechnął się lekko, a to sprawiło, że poczuła się lepiej. On nie był wprawdzie taki, jak jej ojciec albo jak Mother Blessing, ale zaczynał myśleć jak Arlekin. Musisz akceptować swój los, a mimo to nie tracić odwagi.

Nic się nie wydarzyło, kiedy napierając, otworzyli stalowe drzwi. Znajdowali się na najniższym poziomie

betonowej ewakuacyjnej klatki schodowej, z jedną żarówką
świecącą na każdym podeście. Maya zrobiła pierwszy krok,
po czym zaczęła biec.
Odnaleźć Travelera.

Kennard Nash rozmawiał z jednym z techników obserwujących komputer kwantowy. Klepnął mężczyznę w plecy, jak trener wysyłający zawodnika z powrotem na boisko, po czym przeszedł przez pokój i usiadł obok Michaela.

- Otrzymaliśmy wstępną wiadomość od naszych przyjaciół - wyjaśnił. - To zwykle oznacza, że główny przekaz nastąpi za pięć do dziesięciu minut.

Ochroniarz generała, Ramon Vega, ponownie napełnił winem oba kieliszki, gdy Michael niespiesznie pogryzał krakersa. Lubił tak siedzieć w półmroku i przyglądać się szczelnie zamkniętemu, szklanemu zbiornikowi wypełnionemu płynnym helem. W zielonym płynie bez przerwy dochodziło do miniaturowych eksplozji, kiedy uruchamiano elektronowe przełączniki, manipulując energią w energetycznych klatkach w samym sercu komputera.

Elektrony istniały w tym świecie, ale dzięki właściwości superpozycji, którą zyskiwały w trakcie wzbudzenia, te subatomowe cząstki mogły równocześnie istnieć i nie istnieć, być na górze i na dole, wirować w lewo i w prawo. Przez niemal niezauważalną chwilę były równocześnie tu i tam, przekraczając granicę między równoległymi wymiarami. W tym drugim świecie zaawansowana cywilizacja czekała ze swoim komputerem. Komputer przechwycił elektrony, uporządkował je w pakiet informacji i wysłał z powrotem.

- Czekacie na coś konkretnego? - spytał Michael.

- Na wiadomość od nich. Być może na nagrodę. Trzy dni temu przekazaliśmy dane, które uzyskaliśmy, kiedy

przeastates się do JIrugiego Wymiaru. Właśnie tego od nas chcieli: mapy dróg sporządzonej przez Travelera.

Nash nacisnął przycisk i z sufitu zjechały trzy plazmowe ekrany telewizyjne. Technik, który po przeciwnej stronie pokoju wpatrywał się w monitor komputera, zaczął wpisywać polecenia. Po kilku sekundach na ekranie po lewej stronie pojawiły się punkciki światła i plamki ciemności.

- Tak wygląda ich przekaz. To kod binarny - wyjaśnił Nash. - Światło i nie-światło to elementarny język Wszechświata.

Komputery przetłumaczyły kod i na ekranie po prawej stronie pojawiły się cyfry. Po chwili na centralnym monitorze Michael zobaczył zbiór linii prostych i łamanych. Wyglądało to jak rysunek jakiegoś skomplikowanego urządzenia.

Generał Nash miał wyraz twarzy wiernego, który właśnie ujrzął oblicze Boga.

- Na to czekaliśmy - szepnął. - Patrzysz na nowszą wersję naszego komputera kwantowego.

- Ile czasu potrzeba, żeby go zbudować?

- Nie jestem inżynierem, Michael. Moi ludzie przeanalizują dane i podadzą mi termin realizacji. Do tego czasu musimy się starać, żeby nasi nowi przyjaciele byli zadowoleni.

Nash uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Prowadzę z tamtą cywilizacją pewną małą grę. My chcemy stać się potęgą technologiczną. Oni chcą poruszać się swobodnie między światami równoległymi. Ty jesteś człowiekiem, który im pokazuje, jak to się robi.

Kod binarny. Cyfry. A potem projekt nowego urządzenia. Dane od zaawansowanej cywilizacji przepływały przez trzy ekrany i Michael dał się unieść pojawiającym się przed oczami obrazom. Ledwie zauważył, że Ramon Vega podchodzi do generała Nasha i podaje mu telefon komórkowy.

- Jestem zajęty - powiedział Nash do swojego rozmówcy. - Nie możesz zaczekać, aż...

Nagle generał zmienił się na twarzy. Wyraźnie zdenerwowany, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Gdzie jest Boone? - spytał. - Skontaktowałeś się z nim? To się pospiesz. Każ mu przyjść natychmiast do centrum komputerowego.

- Jakiś problem? - spytał Michael, kiedy Nash zakończył rozmowę.

- Ktoś wszedł na teren ośrodka. To może być jeden z tych fanatycznych Arlekinów, o których ci wspominałem.

- Czy ten osobnik jest w budynku?

Ta ewentualność zaskoczyła generała Nasha. Spojrzał na swojego ochroniarza, po czym opanował strach.

- Oczywiście, że nie. To niemożliwe. Wszystko jest pod kontrolą.

Przewędrowawszy mroczne miasto, Gabriel znalazł w końcu przejście do domu. Teraz czuł się tak, jakby znajdował się na dnie głębokiego basenu i patrzył w górę na migoczącą powierzchnię wody. Powietrze zgromadzone w płucach wypychało go w górę - początkowo powoli, a później coraz szybciej. Był już blisko powierzchni, dzieliło go od niej zaledwie kilkadziesiąt centymetrów, kiedy powrócił do swojego ciała.

Traveler otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że nie leży już na połowym łóżku w dormitorium kościelnego obozu. Zamiast tego był przypięty pasami do szpitalnego łóżka służącego do przewożenia chorych, które ktoś ciągnął długim korytarzem z lampami na suficie. Nefrytowy miecz, ukryty w pochwie, spoczywał bezpiecznie na jego brzuchu i piersi.

- Gdzie... - wyszeptał. Ale jego ciało było bardzo wyziębione i mówienie przychodziło mu z trudem. Nagle wózek przestał się poruszać i pochyliły się nad nim dwie twarze - Vicki Fraser i jakiegoś starszego mężczyzny w białym kitlu.

- Witaj wśród żywych - powiedział mężczyzna.

Wyglądająca na zmartwioną Vicki dotknęła ramienia Travelera.

- Jak się czujesz, Gabrielu? Słyszysz mnie?

- Co się stało?

Vicki i mężczyzna w kitlu wepchnęli wózek do pomieszczenia pełnego pustych klatek dla zwierząt i rozpięli pasy. Gdy Gabriel usiadł i próbował rozruszać ramiona, Vicki wyjaśniła mu, że Tabulowie zaatakowali Arkadię

i przenieśli ich do ośrodka badawczego w pobliżu Nowego Jorku. Mężczyzna w białym fartuchu to neurolog, Phillip Richardson. Wypuścił Vicki z pomieszczenia, w którym ją zamknęto, i razem znaleźli Gabriela.

- W ogóle tego nie planowałem. Jakoś tak samo wyszło - doktor Richardson wyglądał zarazem na przerażonego i podekscytowanego. - Pilnował cię strażnik, ale został odwołany. Wygląda na to, że ktoś atakuje centrum...

Vicki przyglądała się Gabrielowi, próbując ocenić, ile ma sił.

- Doktor Richardson uważa, że jeżeli zdołamy dotrzeć do podziemnego parkingu, być może uda nam się wyjechać jedną z furgonetek obsługi.

- A co potem? - spytał Gabriel.

- Jestem otwarty na wszelkie propozycje - odparł Richardson. - Mój stary kumpel ze studiów mieszka na farmie w Kanadzie, ale możemy mieć trudności z przekroczeniem granicy

Kiedy Gabriel wstał, poczuł, że nogi ma miękkie, ale był teraz skupiony i odzyskał trzeźwość myślenia.

- Gdzie jest mój brat?

- Nie wiem.

- Musimy go znaleźć.

- To zbyt niebezpieczne - doktor Richardson był zaniepokojony - Za parę minut personel zorientuje się, że ty i Vicki zniknęliście. Nie damy rady z nimi walczyć. To niemożliwe.

- Doktor ma rację, Gabrielu. Może uda nam się wrócić później i uratować twojego brata. Ale teraz musimy się stąd wydostać.

Sprzeczali się szeptem, aż w końcu Gabriel zaakceptował ich plan. Richardson zaczynał już wpadać w panikę.

- Oni prawdopodobnie o wszystkim wiedzą - powiedział. - Być może już nas szukają.

Wyjrzał przez szparę w drzwiach, po czym poprowadził ich długim korytarzem do windy

Kilka sekund później byli już na poziomie parkingu. Wokół siebie widzieli tylko betonową podłogę i filary podtrzymujące strop. Jakies sześć metrów od windy stały trzy białe furgonetki.

- Obsługa najczęściej zostawia kluczyki w stacyjkach - wyjaśnił Richardson. - Jeśli zdołamy przejechać przez główną bramę, może nam się udać.

Doktor podszedł do pierwszej furgonetki i próbował otworzyć drzwi od strony kierowcy. Były zamknięte, ale on wciąż szarpał za klamkę, jakby nie mógł w to uwierzyć. Vicki stała obok niego. Jej głos był spokojny i łagodny.

- Proszę się nie martwić, doktorze. Spróbujmy z następną.

Vicki, Gabriel i Richardson usłyszeli skrzypnięcie otwieranych stalowych drzwi, a później odgłos kroków na betonie. Chwilę później z klatki schodowej wyszedł Shepherd.

- A to ci dopiero.

Shepherd powoli minął windy i stanął uśmiechając się szeroko.

- Myślałem, że Tabulowie będą chcieli się mnie pozbyć, ale teraz pewnie dadzą mi premię. Arlekin renegat bohaterem dnia.

Gabriel spojrzął na Vicki, po czym wyjął z pochwy nefrytowy miecz. Powoli przeciął nim powietrze, przypominając sobie, co powiedziała mu Maya. Tylko nieliczne przedmioty wykonane przez człowieka są tak piękne - tak czyste - że chciwość i żądza nie mają do nich dostępu.

Shepherd parsknął, jakby właśnie usłyszał kiepski dowcip.

- Nie bądź durniem, Gabrielu. Maya może sobie myśleć, że nie jestem prawdziwym Arlekinem, ale to w niczym nie umniejsza moich umiejętności wojownika. Władania mieczem i nożami zacząłem się uczyć, kiedy skończyłem cztery lata.

Gabriel nieznacznie odwrócił głowę.

- Zajrzyj do następnej furgonetki - powiedział do Vicki. - Może kluczyki są w stacyjce.

Shepherd sięgnął do wnętrza futerału w kształcie tuby. Wyjął swój miecz Arlekina i zatrzasnął wieko.

- No, dobra. Jak chcesz. Będzie z tego przynajmniej jeden pożytek: zawsze chciałem zabić Travelera.

Przyjął pozycję wyjściową, ale Gabriel zaskoczył go natchmiastowym atakiem. Nacierając do przodu, udał, że mierzy w twarz Shepherd'a. Kiedy ten sparował cios, Gabriel wykonał obrót i ciał w serce. Stał uderzyła o stal dwa, trzy, cztery razy, ale Shepherd bronił się bez wysiłku. Dwie klingi szepiły się ze sobą. Shepherd cofnął się o pół kroku, wykonał szybki ruch nadgarstkiem i wyłuskał nefrytowy miecz z rąk Gabriela.

Broń z brzękiem upadła na betonową podłogę. W pustym garażu odgłos upadku zabrzmiał głośno i wyraźnie. Dwaj mężczyźni stali twarzą w twarz i Traveler przyjrzał się uważnie swojemu przeciwnikowi. Wprawdzie twarz Shepherd'a zmieniła się w maskę Arlekina, ale coś było nie w porządku z jego ustami. Ich kąciki drżały lekko, jakby wargi nie mogły się zdecydować czy unieść je w uśmiechu, czy opuścić w grymasie.

- No, dalej, Gabrielu. Spróbuj go podnieść...

Ktoś gwizdnął, ostro, przesywająco. Shepherd odwrócił się dokładnie w tej samej chwili, gdy rzucony czyjąś ręką nóż błysnął w powietrzu i wbił się głęboko w jego gardło. Miecz wypadł mu z ręki, a on sam osunął się na kolana.

Przez otwarte drzwi weszli Maya i Hollis. Wojowniczką spojrzała na Gabriela, chcąc się upewnić, że nic mu nie grozi, po czym zbliżyła się do rannego.

- Zdradziłeś mojego ojca - powiedziała. - Czy wiesz, co oni mu zrobili, Shepherd? Wiesz, jak umarł?

Mężczyzna z najwyższym trudem skupiał na niej wzrok, ale skinął głową, jakby przyznanie się do winy mogło mu jeszcze uratować życie. Maya złożyła dłonie niczym zakonnicą tuż przed modlitwą, po czym wyprowadziła szybkie, mordercze kopnięcie do przodu, prosto w rękę noża, który jeszcze bardziej zagłębił się w ciało.

Maya wycelowwała strzelbę w wysokiego mężczyznę w białym kitlu.

- Nie! - rzuciła szybko Vicki. - To jest doktor Richardson, naukowiec i przyjaciel. Pomaga nam stąd uciec.

Po pospiesznej ocenie Maya uznała, że Richardson jest wprawdzie przerażony, ale nieszkodliwy. Gdyby spanikował w tunelach, byłaby zmuszona uporać się z tym problemem. Teraz liczyło się dla niej tylko to, że Gabriel żyje.

Kiedy Hollis opowiadał, jak weszli na teren ośrodka badawczego, Maya podeszła do ciała Shepherd'a. Nadepnęła na smugę krwi, która rozlewała się po betonowej podłodze jasnoczerwonymi strużkami, uklękła obok martwego mężczyzny i wyciągnęła swój nóż. Shepherd był zdrajcą, ale Maya nie cieszyła się z jego upadku. Pamiętała, co powiedział jej w magazynie firmy „Zmartwychwstanie”: „Jesteśmy tacy sami, Mayu. Oboje wychowaliśmy się pod opieką ludzi, którzy poświęcili się dla przegranej sprawy”.

Kiedy wróciła do pozostałych, zauważyła, że Hollis kłóci się z Gabrielem. Vicki stała między dwoma mężczyznami, jakby próbowała wynegocjować jakiś kompromis.

- O co chodzi?

- Pogadaj z Gabrielem - odparł Hollis. - Chce szukać swojego brata.

Sama myśl o pozostaniu na terenie ośrodka zdawała się budzić przerażenie Richardsonsów.

- Musimy natychmiast uciekać. Strażnicy na pewno nas szukają.

Maya dotknęła ramienia Gabriela i poprowadziła go na bok.
- Oni mają rację. Pozostawanie tu dłużej będzie niebezpieczne. Może uda nam się wrócić kiedy indziej.

- Wiesz, że tak się nie stanie - stwierdził Gabriel. - A nawet jeśli my wrócimy, Michaela już tu nie będzie. Przeniosą go w jakieś inne, jeszcze lepiej strzeżone miejsce. To moja jedyna szansa.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie ty tu decydujesz, Mayu. Ja sam tak postanowiłem.

Maya miała wrażenie, że ona i Gabriel są ze sobą związani niczym dwoje alpinistów w skalnej ścianie. Jeżeli jedno z nich się poślizgnie lub jeśli skalna półka, na której stoi, runie, spadną oboje. Żadna z nauk ojca nie przygotowała jej na taką sytuację. *Wymyśl jakiś plan*, powiedziała sobie. *Narażaj swoje życie, nie jego.*

- W porządku. Mam inny pomysł - starała się, aby jej głos brzmiał najspokojniej, jak to możliwe. - Pójdiesz z Hollisem. On wyprowadzi cię z budynku. A ja przyrzekam, że zostanę i poszukam twojego brata.

- Nawet jeżeli go znajdziesz i tak ci nie zaufa. Michael zawsze był podejrzliwy. Ale mnie posłucha. Wiem, że tak.

Gabriel popatrzył jej w oczy i przez jeden oddech, jedno uderzenie serca, poczuła, jak mocna jest więź, która ich łączy. Próbowwała gorączkowo wymyślić jakieś dobre rozwiązanie, ale było to niemożliwe. Tym razem nie było dobrych rozwiązań, tylko ślepy traf.

Szybko podeszła do doktora Richardsona i zerwała plaketkę identyfikacyjną przypiętą do jego fartucha.

- Czy to otwiera tu wszystkie drzwi?

- Mniej więcej połowę.

- Gdzie jest Michael? Wie pan, gdzie go trzymają?

- Zazwyczaj przebywa w strzeżonych pokojach w budynku administracyjnym. Teraz znajdujemy się w pobliżu północnej krawędzi ośrodka. Administracja mieści się dokładnie po przeciwnej stronie, na południe stąd.

- Jak się tam dostać?
- Idźcie tunelami i trzymajcie się z daleka od korytarzy na wyższych poziomach.

Maya wyjęła z kieszeni kilka naboju i zaczęła ładować strzelbę.

- Wracajcie do piwnicy - powiedziała do Hollisa. - Wyprowadź tych dwoje przez szyb wentylacyjny, a ja pójdę z Gabrielem.

- Nie rób tego - nalegał Hollis.
- Nie mam innego wyjścia.
- Każ mu iść z nami. Zmusz go.
- Hollis, przecież właśnie tak zrobiliby Tabulowie. My nie działamy w ten sposób.

- Gabriel chce pomóc bratu. W porządku. Rozumiem to. Ale oni zabiją was oboje.

Przeładowała strzelbę, a głośny trzask odbił się echem po pustym parkingu. Maya nigdy nie słyszała, żeby jej ojciec mówił „dziękuję”. Arlekini nie powinni odczuwać wdzięczności wobec nikogo, ale ona chciała powiedzieć coś człowiekowi, który walczył z nią ramię w ramię.

- Powodzenia, Hollis.
- Wam będzie bardziej potrzebne. Rozejrzyjcie się tu raz dwa i spadajcie stąd jak najszybciej.

Kilka minut później ona i Gabriel szli betonowym tunelem pod zabudowaniami ośrodka. Było gorąco i duszno. Maya słyszała wodę, która płynęła w rurach biegnących wzdłuż ścian.

Gabriel ciągle na nią zerkał. Męczyło go poczucie winy
- Przykro mi, że musieliśmy to zrobić. Wiem, że chciałaś pójść z Hollisem.

- Dokonałam wyboru, Gabrielu. Nie obroniłam twojego brata, kiedy byłam w Los Angeles. Teraz mam drugą szansę.

Dotarli do budynku administracyjnego po drugiej stronie kompleksu i posługując się identyfikatorem doktora Richardsona, weszli na klatkę schodową i do holu. Maya użyła identyfikatora do otwarcia windy, którą wjechali na czwarte piętro. Szli szybko korytarzem wyłożonym chodnikiem, zaglądając do pustych biur i sal konferencyjnych.

Maya dziwnie się czuła, trzymając w ręku strzelbę, a równocześnie widząc ekspres do kawy, szafy pełne segregatorów, wygaszacz ekranu komputera z aniołkami fruującymi po błękitnym niebie. Przypomniła sobie pracę w biurze projektowym w Londynie. Całymi godzinami przesiadywała w swoim białym pokoiku z przypiętą do ściany pocztówką z widoczkiem tropikalnej wyspy. Każdego dnia punktualnie o czwartej po południu zaglądała do niej pulchna Hinduska pchająca wózek z herbatą. Teraz tamto życie wydawało się równie dalekie, jak jakiś równoległy świat.

Z jednego z biur zabrali kosz na śmieci i wrócili z nim do windy. Kiedy zjechali na trzecie piętro, postawiła kosz w drzwiach. Powoli ruszyli korytarzem. Maya kazała Gabrielowi cofać się o dwa metry, kiedy otwierała każde kolejne drzwi.

Korytarze były oświetlone specjalnymi panelami zamontowanymi w suficie, co sprawiało, że na podłodze kładły się dziwaczne cienie. Jeden z cieni na końcu korytarza, tuż za zakretem, był nieco ciemniejszy od pozostałych. *To może być cokolwiek*, pomyślała Maya. *Pewnie przepalona żarówka*. Kiedy zbliżyła się o krok, cień zaczął się poruszać.

Maya odwróciła się do Gabriela i położyła palec na ustach. *Bądź cicho*. Poprowadziła go do jednego z prywatnych gabinetów i gestem nakazała mu, żeby schował się za biurkiem. Kiedy wróciła w pobliże miejsca, w którym korytarz zakręcał, obejrzała się za siebie. Przed jednym z pokoiów biurowych ktoś zostawił wózek sprzątaczkowy, ale jej samej nigdzie nie było widać.

Doszła do końca prostego odcinka korytarza, ostrożnie wyjrzała za róg i natychmiast odskoczyła do tyłu, ponieważ

trzej mężczyźni zaczęli do niej strzelać z pistoletów. Kule wyłobiły rysy w ścianach i pozostawiły najeżoną drzazgami dziurę w drzwiach jednego z gabinetów.

Ze strzelbą w ręku Maya pobiegła z powrotem w głąb korytarza i strzeliła w głowicę spryskiwacza pośrodku sufitu. Urządzenie rozleciało się na kawałki i odezwał się alarm przeciwpożarowy. Jeden z Tabulów wychylił się zza zakrętu korytarza i zaczął strzelać do niej na oślep. Ściana obok niej dosłownie eksplodowała, a na podłogę posypało się jeszcze więcej kawałków tynku. Kiedy Maya odpowiedziała ogniem, mężczyzna wycofał się za róg.

Z uszkodzonego spryskiwacza lała się woda, a Maya stała nieruchomo w korytarzu. Kiedy człowiek znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji, jego pole widzenia przeważnie się zawęża, jakby przebywał w ciasnym tunelu. *Rozejrzyj się dookoła*, nakazała sobie Maya i zerknęła na sufit. Uniosła strzelbę i dwukrotnie wypaliła w panel oświetleniowy nad wózkiem sprzątaczką. Plastikowa kratka przestała istnieć, a w gipsowej płycie pojawiła się dziura.

Maya zatknęła strzelbę za pasek i weszła na wózek. Włożyła ręce do otworu w suficie i złapała rurę wodociągową. Energicznym kopnięciem popchnęła wózek w głąb korytarza, a sama podciągnęła się do góry i ukryła w wąskiej przestrzeni między gipsową płytą a stropem. Słyszała tylko wycie alarmu przeciwpożarowego i szum wody ze spryskiwacza. Wyjęła strzelbę zza paska. Oplotła rurę nogami i zawisła jak nietoperz głową w dół.

- Przygotować się - powiedział jakiś głos. - Teraz!

Tabulowie wyszli na korytarz i zaczęli strzelać. Przerwa. Znów kanonada. Cisza.

Ktoś spytał

- Gdzie ona się podziała?

- Nie mam pojęcia.

- Ostrożnie - wtrącił się trzeci głos. - Może być w jednym z pokoi.

Maya ostrożnie wyglądała przez otwór w suficie i obserwowwała jednego, dwóch, trzech tabulskich najemników przechodzących pod nią z pistoletami w dłoniach.

- Tu Prichett - odezwał się trzeci głos. Rozmawiał chyba przez krótkofalówkę albo telefon komórkowy - Widzieliśmy ją na trzecim piętrze, ale uciekła. Tak jest. Sprawdzamy każde...

Ciągle obejmując rurę nogami, Maya wychyliła się przez otwór w suficie. Wisiała głową na dół, a jej czarne włosy falowały nad podłogą. Zobaczyła plecy trzech Tabulów i strzeliła do pierwszego z nich.

Siła odrzutu pchnęła ją do tyłu. Dziewczyna zrobiła salto i wylądowała na nogach na środku korytarza. Nie zważając na wodę, która wciąż lała się ze zraszacza, strzeliła do drugiego mężczyzny, kiedy ten się odwracał. Trzeci wciąż jeszcze trzymał w ręku telefon, gdy pocisk ze śrutem trafił go w pierś. Uderzył plecami w ścianę i osunął się na podłogę.

Zamontowany na ścianie dzwonek alarmu przeciwpożarowego nie przestawał wydawać przeszywających, natarczywych dźwięków. Maya podniosła strzelbę i zniszczyła go celnym strzałem. Zraszacz przestał zalewać korytarz wodą, a ona stała samotnie, patrząc na trzy ciała u swoich stóp. Dalsze pozostawanie w tym budynku było zbyt niebezpieczne. Musieli wrócić do tunelu. Raz jeszcze zauważyła ruchomy cień na ścianie i zza zakrętu korytarza wyłonił się nieuzbrojony mężczyzna. Wiedziała, że to drugi Traveler, mimo, że między braćmi brak było rodzinnego podobieństwa. Natychmiast opuściła broń.

- Jak się masz, Mayu. Jestem Michael Corrigan. Wszyscy trzęsą się ze strachu przed tobą, ale ja się ciebie nie boję. Wiem, że jesteś tu, by mnie chronić.

Za jej plecami otworzyły się drzwi i Gabriel wyszedł na korytarz z pokoju, w którym się ukrywał. Bracia patrzyli na siebie, a ona stała między nimi.

- Chodź z nami, Michael - Gabriel zdobył się na uśmiech. - Będiesz bezpieczny. Nikt nie będzie ci mówił, co masz robić.

- Mam kilka pytań do naszego Arlekina. To dziwaczna sytuacja, nieprawdaż? Gdybym z wami poszedł, to chyba mielibyśmy wspólną dziewczynę.

- To nie tak - powiedział Gabriel. - Maya po prostu chce nam pomóc.

- A gdyby tak musiała wybierać? - Michael zrobił krok do przodu. - Kogo uratujesz, Mayu? Gabriela czy mnie?

- Was obu.

- Żyjemy w niebezpiecznym świecie. To może się nie udać.

Maya spojrzała na Gabriela, ale on nie dał jej żadnego sygnału, co powinna powiedzieć.

- Będę chronić każdego, kto pragnie naprawić ten świat.

- W takim razie to będę ja - Michael wykonał kolejny krok do przodu. - Większość ludzi nie wie, czego chce. To znaczy, oczywiście, chcą mieć nowy, duży dom albo nowoczesny samochód, ale są zbyt strachliwi, żeby nadać określony kierunek swojemu życiu. Dlatego my zrobimy to za nich.

- Tabulowie tak ci powiedzieli - przerwał mu Gabriel. - Ale to nieprawda.

Michael potrząsnął głową.

- Zachowujesz się tak samo, jak nasz ojciec: chcesz żyć skromnym życiem, chować się jak robak pod kamieniem. Nienawidziłem całego tego gadania o Sieci, kiedy dorastaliśmy. My obaj mamy tę moc, ale ty nie chcesz z niej korzystać.

- Kiedy tak naprawdę ona nie pochodzi od nas, Michael.

- Wychowywaliśmy się jak jacyś szaleńcy. Bez elektryczności. Bez telefonu. Pamiętasz pierwszy dzień w szkole? Pamiętasz, jak ludzie wytykali palcami nasz samochód, kiedy przyjechaliśmy do miasta? Nie musimy tak żyć, Gabe. Możemy o wszystkim decydować.

- Ja chcę, żeby ludzie sami decydowali o własnym życiu.
- Czemu sam na to nie wpadłeś? Czemu niczego się nie nauczyłeś? Dotąd zawsze trzymaliśmy się razem. Ale stawiasz mnie w sytuacji bez wyjścia - Michael uniósł dłonie, jakby chciał pobłogosławić swego brata. - Przykro mi, Gabe, ale może być tylko jeden Traveler...

Zza zakrętu korytarza wyszedł krótko ostrzyżony, siwowłosy mężczyzna w okularach w drucianej oprawie, stanął obok Michaela i wycelował w nich pistolet. Gabriel wyglądał, jakby na zawsze utracił rodzinę. Zdradzony.

Maja popchnęła go w kierunku najbliższej odnogi korytarza właśnie wtedy, gdy Boone strzelił i trafił ją w prawą nogę. Impet uderzenia rzucił nią o ścianę. Upadła twarzą do podłogi. Miała wrażenie, że ktoś wycisnął całe powietrze z jej płuc.

Gabriel schylił się i wziął ją na ręce. Przebiegł kilka metrów i zdyszany wpadł do windy, podczas gdy Maya usiłowała się wyswobodzić z jego objęć. Chciała krzyknąć „Ratuj siebie!”, ale słowa nie chciały wydostać się z jej ust. Gabriel kopnął kosz na śmieci blokujący drzwi i klepnął guziki. Strzały. Krzyki. Drzwi się zamknęły i zaczęły zjeżdżać na parter.

Maya zemdląca, a kiedy otworzyła oczy, byli już w tunelu. Gabriel klęczał na jednym kolanie, wciąż trzymając ją mocno w ramionach. Usłyszała czyjś głos i zdała sobie sprawę, że Hollis też tu jest. Układał w stos butelki z chemikaliami, które zabrał z laboratoriów genetycznych.

- Pamiętam jeszcze czerwone napisy ostrzegawcze w naszym szkolnym laboratorium. Wszystkie te substancje należy trzymać jak najdalej od ognia. - Hollis odkręcił zawór zielonego pojemnika. - Czysty tlen.

Podniósł szklaną butelkę i wylał na podłogę jakiś przezroczysty płyn.

- A to płynny eter.
- Coś jeszcze?
- Mamy wszystko, czego nam potrzeba. A teraz uciekajmy jak najdalej stąd.

Gabriel zaniósł Mayę do drzwi przeciwpożarowych na końcu tunelu. Hollis zapalił propanowy palnik, ustawił sycający, niebieski płomień, i rzucił za siebie.

Weszli do drugiego tunelu. Po kilku sekundach usłyszeli coś w rodzaju serii głośnych wystrzałów, a ciśnienie rozprężającego się powietrza otworzyło na oścież ciężkie drzwi za nimi.

Kiedy Maya ponownie otworzyła oczy, schodzili po schodach. Nagle nastąpiła znacznie głośniejsza eksplozja, jakby na budynek spadła potężna bomba. Światła pogasły i schodzili po omacku, dopóki Hollis nie włączył latarki. Maya starała się nie stracić przytomności, ale na zmianę to budziła się, to pogrążała w malignie. Pamiętała głos Gabriela i opasującą ją linę, kiedy ktoś wciągał ją do góry szybem wentylacyjnym. A potem leżała na plecach w mokrej trawie i patrzyła na gwiazdy. Słyszała wciąż nowe wybuchy i zawodzenie syreny policyjnej, ale nic ją to nie obchodziło. Zdawała sobie sprawę, że wykrwawia się na śmierć; miała wrażenie, że zimna ziemia wchłania całe życie uchodzące z jej ciała.

- Słyszysz mnie? - zapytał Gabriel. - Mayu?

Chciała się do niego odezwać, powiedzieć choć jedno, jedyne, ostatnie słowo, ale ktoś ukradł jej głos. Jakiś czarny płyn zbierał się na granicy jej pola widzenia, a potem zaczął się rozlewać i ciemnieć, jak kropla atramentu w szklance czystej wody.

Okolo szóstej rano Nathan Boone spoglądał w niebo nad ośrodkiem badawczym i widział przymgloną plamę słonecznego światła. Skóra szefa ochrony i cała jego odzież pokryte były sadzą. Pożar w tunelach był już prawdopodobnie opanowany, ale czarny dym o ostrym, chemicznym zapachu wciąż przeciskał się przez przewody wentylacyjne. Można było odnieść wrażenie, że ziemię ogarnęła pożoga.

Wozy strażackie i policyjne radiowozy stały w różnych miejscach czworokątnego dziedzińca. W nocy czerwone światła kogutów wydawały się przenikliwe i wyzywające. Wczesnym rankiem migały blado i niemrawo. Brezentowe węże, wyglądające jak ogromne beznogie gady, biegły od motopomp przy samochodach do przewodów wentylacyjnych. Niektóre wciąż tłoczyły wodę do podziemi, gdy strażacy o poczerniałych twarzach pili już kawę z tekturowych kubków

Mniej więcej dwie godziny wcześniej Boone dokonał ogólnej oceny sytuacji. Eksplozja w tunelach i spowodowana nią awaria zasilania spowodowały szkody we wszystkich budynkach. Z całą pewnością komputer kwantowy został wyłączony, a część jego układów zniszczona. Młody technik komputerowy szacował, że ponowne uruchomienie systemu potrwa od dziewięciu miesięcy do roku. Pomieszczenia podziemne zostały zalane. Ściany wszystkich laboratoriów i biur poczerniały od dymu. Sterowana komputerowo chłodnia w laboratorium badań genetycznych przestała pracować i kilka doświadczeń nad zmutowanymi genetycznie zwierzętami było bezpowrotnie straconych.

Boone nie martwił się jednak skalą zniszczeń. Z jego punktu widzenia każdy budynek kompleksu mógł lec w gruzach. Prawdziwą katastrofą było to, że Arlekin i wiadomy Traveler zdołali się wymknąć i uciec.

W podjęciu natychmiastowych poszukiwań stanął na przeszkodzie słabo opłacany ochroniarz siedzący przy bramie głównej ośrodka. Kiedy doszło do wybuchu, młody mężczyzna wpadł w panikę i wezwał policję oraz straż pożarną. Wpływy Braci ogarniały cały glob, ale Boone nie był w stanie kontrolować działań ekipy lokalnych strażaków, którzy z desperacją wykonywali swój obowiązek. Kiedy strażacy urządzili stanowisko dowodzenia i zaczęli łąć wodę do podziemi, pomógł generałowi Nashowi i Michaelowi Corriganowi opuścić dziedziniec w asyście ochroniarzy. Resztę nocy spędził, starając się dopilnować, żeby nikt nie znalazł zwłok Shepherd'a i trzech mężczyzn zabitych w budynku administracyjnym.

- Panie Boone? Przepraszam, panie Boone...

Patrzył przez ramię, jak zbliża się do niego Vernon McGee, kapitan straży pożarnej. Przysadzisty i niski kapitan był na dziedzińcu niemal od północy, ale wciąż wydawał się pełen energii - niemal radosny. Szef ochrony doszedł do wniosku, że podmiejskim strażakom znudziło się sprawdzanie hydrantów i ściąganie kotów z drzew

- Myślę, że jesteśmy już gotowi do rozpoczęcia inspekcji.

- O czym pan mówi?!

- Ogień został zduszony, ale upłynie jeszcze kilka godzin, zanim będziemy mogli wkroczyć do tuneli technologicznych. Teraz muszę wejść do każdego budynku i sprawdzić, czy nie doszło do naruszenia ich konstrukcji.

- To absolutnie wykluczone. Mówiłem już panu w nocy, że tutejszy personel był zaangażowany w prace badawcze o najwyższej klauzuli tajności, zlecone przez rząd. Wejście do niemal każdego pomieszczenia wymaga określonych uprawnień i certyfikatu bezpieczeństwa.

Kapitan McGee odchylił się nieco do tyłu na obcasach butów z cholewami.

- Mam to wszystko gdzieś. Jestem kapitanem straży i ja tu rządę. Mam prawo wejść do każdego z tych budynków w interesie bezpieczeństwa publicznego. Jeśli pan sobie tego życzy, proszę dać mi asystę.

Boone usiłował ukryć gniew, gdy McGee wracał do swoich ludzi. Być może strażacy mogli już przeprowadzić inspekcję. Nic nie stało na przeszkodzie. Wszystkie ciała były zawinięte w plastikową folię i włożone do furgonetki. Później, w ciągu dnia, zawiezie się je do Brooklynu, gdzie współpracujący z Braćmi właściciel zakładu pogrzebowego zamieni zwłoki w popiół i wysypie prochy do morza.

Szef ochrony postanowił zlustrować budynek administracyjny, zanim McGee zacznie węszyć. Dwójka ochroniarzy powinna znajdować się w korytarzu na drugim piętrze i szorować poplamiony krwią dywan. Choć kamery monitorujące nie działały, Boone zawsze zakładał, że ktoś go obserwuje. Starając się sprawiać wrażenie pewnego siebie, ruszył w poprzek dziedzińca. Zadzwoiła jego komórka, a kiedy odebrał, usłyszał tubalny głos Kennarda Nasha.

- Jak się przedstawia sytuacja?

- Straż pożarna zamierza przeprowadzić inspekcję.

Nash zaklął głośno.

- Do kogo mam zadzwonić? Do biura gubernatora? Czy gubernator jest w stanie to powstrzymać?

- Nie ma powodu, by cokolwiek powstrzymać. Pozybliśmy się wszystkich istotnych problemów.

- Mogą stwierdzić, że ktoś podłożył ogień.

- Tego właśnie się po nich spodziewam. W tej chwili moja ekipa przebywa w mieszkaniu Lawrence'a Takawy. Na jego kuchennym stole zostawią zmontowany w połowie detonator i napiszą na jego komputerze list zapowiadający zemstę. Kiedy zjawią się tu spece od podpaleń, opowiem im o naszym mściwym pracowniku...

- I wtedy zaczęła szukać gościa, który już gdzieś przepadł jak kamień w wodę - dokończył Nash i uśmiechnął się ciepło. - Dobra robota, panie Boone. Skontaktuję się z panem dziś wieczorem.

Generał Nash zakończył rozmowę, nie mówiąc „do widzenia”, a szef ochrony stał obok wejścia do budynku administracyjnego. Jeśli dokonałby oceny własnych działań w ciągu kilku ostatnich tygodni, musiałby się przyznać do popełnienia kilku błędów. Nie docenił skuteczności Mai i zignorował swoje podejrzenia wobec Lawrence'a Takawy. Kilka razy dał się ponieść wzburzeniu, co miało zdecydowanie negatywny wpływ na podejmowane przez niego decyzje.

Gdy pożar dogasał, kolor dymu zmienił się z czarnego na brudnoszary. Przypominał samochodowe spaliny - zwykle zanieczyszczenie powietrza - gdy tak snuł się z otworów wentylacyjnych, unosił do góry i znikał. Być może Bracia' ponieśli przejściową porażkę, ale zwycięstwo było i tak nieuniknione. Politycy mogli szermować hasłami o wolności, rzucając słowa w powietrze niczym konfetti. Było to absolutnie bez znaczenia; tak rozumiane pojęcie wolności odchodziło do lamusa historii. Po raz pierwszy tego ranka Boone nacisnął przycisk na ręcznym zegarku i przekonał się, że puls jest normalny. Wyprostował plecy, opuścił ramiona i wkroczył do budynku.

Maya znów była niewolnikiem tego samego snu. Stała samotnie w ciemnym tunelu, po czym ruszyła do ataku na trzech futbolowych pseudokibiców i uciekała schodami w dół. Chuligani walczyli ze sobą, usiłując rozbić szyby w oknach pociągu, gdy Thorn prawą ręką chwycił ją za dłoń i wciągnął do wagonu.

Powracała w myślach do tego zdarzenia tyle razy, że zagnieździło się ono na dobre w jakimś zakamarku jej mózgu. *Obudź się*, powiedziała do siebie. *Dość tego*. Tym razem jednak dalej drażyła pokłady pamięci. Pociąg szarpnął i ruszył do przodu, ona zaś przytuliła twarz do wełnianego płaszcza ojca. Zarrknęła oczyma zacisnęła mocno zęby, przygryzając wargę, aż poczuła w ustach smak krwi.

Gniew, który czuła, był silny i gwałtowny, ale jakiś inny głos szeptał do niej w ciemności. Wiedziała, że sekret zostanie ujawniony Thorn zawsze był silny, dzielny i pełen pewności siebie. Tamtego popołudnia w północnym Londynie dopuścił się zdrady wobec niej, ale zdarzyło się wtedy jeszcze coś innego.

Podziemny pociąg znów szarpnął, zostawiając za sobą stację, a ona spojrzała w górę na twarz ojca i dostrzegła łzy w jego oczach. Wtedy wydawało się jej niemożliwe, że mógł okazać słabość. Teraz wiedziała, że to prawda. Łza spływająca po policzku Arlekina była czymś niezwykle rzadkim i cennym, niczym brylant. *Przebacz mi*. Czy to wtedy myślał? *Przebacz mi krzywdy, które ci wyrządziłem*.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że z góry spogląda na nią Vicki. Przez kilka sekund Maya błąkała się jeszcze w krainie ciemności między światem snu i jawy, wciąż jeszcze widziała twarz Thorny, gdy ręką dotykała brzegu koca. Głęboki wydech. Wizja ojca zniknęła.

- Słyszysz mnie? - zapytała Vicki.
- Tak. Już nie śpię.
- Jak się czujesz?

Maya wsunęła rękę pod poślanie i poczuła bandaż owinięty wokół zranionej nogi. Gdy wykonała ciałem szybki ruch, pojawił się ostry ból, jakby ktoś dźgał ją czubkiem noża. Leżąc bez ruchu, miała wrażenie, że ktoś rozpalonym żelazem przypala jej skórę. Thorn uczył ją, że bólu nie można zignorować, należy go zredukować do określonego punktu, który jest odizolowany od reszty ciała.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i przypomniała sobie, jak kładziono ją na łóżko. Znajdowali się w letniskowym domku na plaży przy wybrzeżu Cape Cod, zakrzywionego półwyspu wcinającego się w Ocean Atlantycki na terenie stanu Massachusetts. Vicki, Gabriel i Hollis przywieźli ją tutaj po tym, jak kilka godzin spędzili w prywatnej klinice prowadzonej przez pewnego lekarza z Bostonu. Doktor był członkiem Kościoła Isaaca T. Jonesa, a ten dom był miejscem jego letniego wypoczynku.

- Chcesz jeszcze tabletkę?
- Żadnych tabletek. Gdzie jest Gabriel?
- Spaceruje po plaży. Nie martw się. Hollis ma na niego oko.
- Jak długo spałam?
- Osiem lub dziewięć godzin.
- Znajdź Gabriela i Hollisa - powiedziała wujowniczką. - Spakuj wszystko. Musimy ruszać.
- Nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy tu bezpieczni, przynajmniej przez kilka dni. Nikt nie wie, że przebywamy

w tym domu, poza doktorem Lewisem, który wierzy w Dług Niespłacony Nigdy nie zdradzi Arlekina.

- Tabulowie nas szukają.
- Nikt nie chodzi po plaży, bo jest za zimno. Dom obok został zamknięty na zimę. Większość sklepów w osadzie też jest zamknięta. Nie zauważyliśmy żadnej kamery monitorującej.

Vicki sprawiała teraz wrażenie osoby silnej i pewnej siebie. Maya przywołała w myślach obraz nieśmiałej, pobożnej dziewczyny, która podeszła do niej na lotnisku w Los Angeles zaledwie kilka tygodni temu. Wszystko uległo zmianie, posunęło się naprzód z powodu Travelera.

- Muszę porozmawiać z Gabrielem.
- Wróci tu za kilka minut.
- Pomóż mi, Vicki. Nie chcę leżeć w łóżku.

Pomagając sobie łokciami, uniosła tułów. Znow przeszył ją ostry ból, ale zdołała powstrzymać grymas na twarzy. Stając na zdrowej nodze, objęła ręką bark Vicki; wyszły powoli z sypialni i przeszły przez korytarz.

Gdy co krok się zatrzymywały, Vicki przekazywała Mai kolejne informacje. Po tym, jak zdołali uciec z ośrodka badawczego fundacji Evergreen, doktor Richardson utrzymywał ją przy życiu, gdy Hollis wiózł ich do Bostonu. Teraz neurolog był już w drodze do Kanady, gdzie miał pozostać u starego przyjaciela z czasów studiów, który miał farmę mleczarską w Nowej Fundlandii. Hollis zaparkował furgonetkę w ubogiej okolicy, zostawiając kluczyki w stacyjce. Teraz mieli do dyspozycji dostawczego pikapa, który był własnością innego członka Kościoła.

W domku na plaży znajdowały się grube perskie dywany, a meble z drewna i skóry były proste i schludne. Rozsuwane drzwi prowadziły na werandę. Z pomocą Vicki Maya wyszła na powietrze. Gdy położyła się na szezlongu, zdała sobie sprawę, jak wiele wysiłku kosztowało ją pokonanie na własnych nogach tak krótkiego dystansu - zaledwie

dziewięciu metrów. Jej twarz zrosiły krople potu, a ciałem wstrząsały dreszcze.

Vicki weszła do domu i wróciła, niosąc koc. Opatuliła nim Mayę i chora poczuła się komfortowo. Dom zbudowano obok wydmy porośniętej krzewami dzikich róż, kępami piaskownicy i ciemnozielonego wrzosu. Wiatr był na tyle silny, że suche liście trawy wdzięcznie falowały, córka Thoma czuła też zapach oceanu. Samotna rybitwa krążyła nad głowami obu kobiet, jak gdyby szukała miejsca na odpoczynek.

Drewniane schody prowadziły z werandy na plażę. Był odpływ, Gabriel stał około stu pięćdziesięciu metrów od brzegu morza. Hollis siedział na piasku, w połowie drogi między domem a Travelerem. Na kolanach trzymał coś, co było owinięte jaskrawym ręcznikiem plażowym; Maya domyśliła się, że to strzelba. W tym spokojnym i odosobnionym miejscu obecność Arlekina była zbędna. Vicki i Hollis; zatroszczyli się o wszystko bez pomocy z jej strony. Jej powinnością było chronienie Gabriela, jednak to on, narażając własne życie, wyniósł ją z podziemnego tunelu.

Pochmurne niebo i szarzielona woda zlały się w jedno, linia horyzontu była niemal niewidoczna. Fale uderzały o brzeg z wytłumionym poszumem, woda wdzierała się na ubity piach i znów spływała do oceanu. Gabriel był ubrany w granatowe dzinsy i ciemną dresową bluzę; można było odnieść wrażenie, że gdyby zrobił kolejny krok, zostałby wchłonięty przez szarość i zniknął z tego świata.

Traveler odwrócił się od wody i spojrzał w kierunku domu.

- Widzi nas - powiedziała Vicki.

Maya czuła się jak małe dziecko owinięte w koc, ale siedziała spokojnie, kiedy dwaj mężczyźni wrócili z plaży i wchodzili po schodach na werandę. Gabriel stanął przy poręczy, a Hollis uśmiechnął się szeroko i podszedł do niej.

- Maya! Jak się czujesz? Sądziliśmy, że będziesz spać jak suseł przez kilka dni.

- Czuję się dobrze. Musimy skontaktować się z Lindenem.

- Zrobiłem to już w Bostonie, w internetowej kawiarence.
Prześle pieniądze w trzy różne miejsca w Nowej Anglii.

- Czy to wszystko, co miał do powiedzenia?
- Zdaniem Lindena syn Sparrowa nie żyje. Tabulowie
wytropili go w Nowym Jorku i zabili. Przypuszczam, że
dowiedzieli się...

Vicki wtrącała się do rozmowy.

- Chodź, Hollis, zaparzymy kawę.

- Nie mam ochoty na kawę.

- Ale inni mogą mieć.

Głos czarnoskórej dziewczyny zmienił się nieco, a Mai sko-
jarzyło się to z miękkim naciskiem wywieranym przez kogoś
innego. Wyglądało na to, że mężczyzna z dreadami pojął aluzję.

- Racja. Oczywiście. Świeża, aromatyczna kawa - od-
parł i rzucił spojrzenie w stronę Gabriela, po czym podążył
za Vicki do wnętrza domu.

, i Byli teraz tylko we dwoje, ale Traveler wciąż milczał.
Stado mew pojawiło się w oddali; czarne punkty krążące
w wąskim kręgu, który powoli zaczął obniżać się ku ziemi.

- Doktor Lewis stwierdził, że za jakiś miesiąc znów bę-
dziesz chodzić. Miałaś szczęście, że kula nie roztrzaskała kości.

- Nie możemy zostać tu tak długo - odparła wojowniczką.

- Vicki ma wiele znajomości dzięki kościelnej kongre-
gacji, a Hollis zna ludzi związanych ze światem sztuk walki.
Uważam, że istnieje wiele miejsc, w których możemy się
skryć, zanim zdobędziemy fałszywe dowody i paszporty.

- Wtedy powinniśmy opuścić Stany Zjednoczone.

- Nie jestem tego pewien. Ludziom wciąż się wydaje,
że jest gdzieś jakaś tropikalna wyspa lub grota w górach,
w której mogą się ukryć, ale to nieprawda. Czy to się nam
podoba, czy nie, wszyscy jesteśmy ze sobą związani.

- Tabulowie będą cię szukać.

- Tak. A mój brat będzie im w tym pomagać - dodał
gorzko i usiadł obok niej, zmęczony i przygnębiony. - Kiedy
razem dorastaliśmy, czułem, że Michael i ja możemy za-

wojować cały świat. Zrobiłbym dla mojego brata wszystko. Zaufałem mu bezgranicznie. Chyba dlatego właśnie tak trudno jest mi się pogodzić z jego zdradą.

Maya przypomniała sobie sen z podziemi metra - smutek ojca - i wtedy poczuła współczucie dla innej ludzkiej istoty. Podała mu swoją dłoń, a Gabriel mocno zacisnął na niej swoją. Ciepło jego skóry zetknęło się z przenikającym ją chłodem, czuła, że zachodzi w niej jakaś zmiana. Nie było to poczucie szczęścia. Nie, szczęście było dziecięcą, chwilową iluzją. Ból, który świdrował jej ciało, gdzieś znikł. Pojęła, że oboje tworzą teraz jądro, niezmiennosc, całość.

- Utraciłem matkę i Michaela. Straciłem wszystko - podjął Gabriel. - Ale czuję w sobie więź z tobą, Mayu. Stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym.

Patrzył na nią z niezwykłą siłą w oczach, a później puścił jej dłoń i szybko wstał. Ich bliskość sprawiała mu ból; zdawali sobie sprawę, że przekroczyli granicę.

Traveler schodził znów po schodach na piasek, samotny i pozbawiony ochrony Arlekin pozostał na werandzie, usiłując zapanować nad uczuciami. Jeśli miała go chronić, to nie mogła sobie pozwolić na przywiązanie i troskę o jego los. Wszelkie tego typu uczucia zwiększały w niej niepewność i osłabiały siłę decyzji. Jeśli pozwoli sobie na tę słabość, może stracić go na zawsze.

Pomóż mi, pomyślała. Pierwszy raz w życiu zaczęła się modlić. *Proszę, pomóż mi. Pokaż mi, co powinnam zrobić.*

Zimny wiatr dotknął jej czarnych włosów, poczuła w sobie jakiś poryw, narastającą siłę. Przez jej życie przewinęło się tylu ludzi, którzy odgrywali swoje role i nie dostrzegali prawdziwego celu doczesnej peregrynacji. Wątpliwości i wahania, które targały nią w Londynie, gdzieś odeszły. Wiedziała teraz, kim jest: Arlekinem. To będzie trudne, ale pozostanie u boku Gabriela.

Uniosła się nieco i spojrzała na ocean. Stado mew odpoczywało na plaży. Kiedy Traveler podszedł bliżej, wzleciały w niebo, kwiląc żałośnie i nawołując się nawzajem.